

Marek S. Huberath

Vatran Auraio

ILUSTRACJE
Marta Blachura

Wydawnictwo Literackie



© Copyright by the Author

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2010

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-04569-5

Redakcja

Michał Cetnarowski

Korekta

Urszula Srokosz-Martiuk, Dorota Trzcinka

Projekt okładki

Marta Blachura

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2010

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+48-12) 619 27 70

Spis treści

Spis treści	3
Vatran Auraio	5
Spokojne, słoneczne miejsce łęgowe	279
Maika Ivanna.....	314

Lemowi

Vatran Auraio

1.

Niebo z każdą chwilą jaśniało. Szare mgły jeszcze zalegały w dolinach, ale wyżej można było ogarnąć wzrokiem mnogość zębatach grani rozpościerających się do widnokregu. Tu i ówdzie, jak dukty pędzla gigantycznego malarza, wylaniały się spomiędzy nich czarne strzępy chmur. Nieboskłonowi wciąż przybywało odcieni purpury i fioletu, a wreszcie w środku różowiejącego obszaru, spomiędzy bliźniaczych, ostrych szczytów Nokate, wychynał czerwony rąbek tarczy słonecznej. Słońce szybko rosło.

„Już tutaj wschodzi, pora zejść ku ludziom. Nie można kryć się dłużej”, pomyślał Ajfrid. Spojrzał w dół, na szarą mgłę wypełniającą Matcinu Dolanu. Gdzieś w tej głębi, zasłonięta progiem wiszącej dolinki, kryła się osada. W grani, na południu, oddzielony od samotni połogim siodłem Prevaju, piętrzył się mroczny, strzelisty Ledan Vyrh. Dni wydłużyły się już dość, by słońce wschodziło dwa razy – zaraz znowu skryje się za jego masywem, by potem pojawić się drugi raz, już wysoko na nieboskłonie. Idą ciepłe dni *medinocelja*.

W równoległej grani zamykającej dolinę od zachodu, naprzeciwko samotni, kulminował strzelisty Vatran Vyrh. Kiedy słońce ukazuje się pomiędzy Nokate, Vatran Vyrh przez godzinę płonie w blasku słonecznym. Z ruchem słońca po nieboskłonie zmieniał się rysunek rzeźby jego ścian.

Blask słońca jeszcze nie raził oczu ani nie grzał. Ajfrid rozpostarł ramiona na chwilę, ale nie pomogło – od skóry nie przyszło miłe, mrowiące ciepło.

Samotnia, nie samotnia. W zakamarkach czaił się ostry, przykry zapach, odór zgniłych jaj, pozostałość po *nocelju*, którą trzeba było znosić, bo jeszcze za zimno na intensywne wietrzenie. Już od ponad dwóch tygodni zachodzili tu z dołu *nosiczja*, czyścili drogę z lodu, sprząтали w gnieździe, przynosili z wioski żywność. Głównie zapasy sprzed *nocelja*, ale też trochę świeżego chleba. „Już pieką chleb, budzą się do życia...”, pomyślał, łamiąc do śniadania trzeszczący, słodkawy placek.

Z żadnym z *nosiczjav* dotąd nie zamienił słowa. Zaskoczyli go swym pierwszym pojawieniem się i nieprzyjemną ruchliwością: za szybko, jakby z przeskokami, pokazywali

się w różnych miejscach pomieszczenia, krzatali się po jego samotni, a on sam, ospały i półprzytomny, miotając się między snem i jawą, ledwie zauważał zmiany otoczenia. Rejestrował ich pojawianie się i znikanie jako serię niepowiązanych ze sobą obrazów. To budził się z odrętwienia, to znów zasypiał, wyłączając z rzeczywistości. *Trinoclnika* sprząтали pomieszczenia, uciekali na dwór przed dławiącym smrodem i znowu wracali do pracy.

Nosiczja bali się i unikali go. *Trinoclnik* nie śmiał odezwać się pierwszy do *auraio*. Między sobą szeptali: „*pticzjak auraio*”. Zrazu słyszał też „Drevana Auraica”, potem przestali wspominać jej imię. Domyślili się, co zaszło.

Ajfrid stęsknił się za widokiem osady w dolinie. Rękopisy, spakowane w ostatnich dniach przed *noceljam* w zgrabne paczki, czekały na *nosiczjav*.

Już cała tarcza słoneczna wspięła się nad horyzont, a zaraz zacznie się chować za Ledan Vyrham. Ajfrid jeszcze raz rozpostarł ramiona. Nic, blask jeszcze za słaby.

Matcina Dolana ginęła w mroku, tam ledwie świtało, choć mgły już rzędły. Nad doliną płonęły w słonecznym blasku lodowe zerwy Vatran Vyrhu. A gdyby ktoś wspiął się pod ściany skalnego kolosa, ujrzałby na przeciwnej grani błyszczący *ljuszturu*, kryty cienkimi, płaskimi płytami łupka spadzisty dach zabudowania samotni, a może i zdołałby wypatrzeć małą sylwetkę Vatran Auraio, skrytego w płaszczu rurkowatych, czerwonych, żółtych i czarnych piór, który stał z rozłożonymi ramionami, jakby chciał zerwać się do lotu.

Rozgrzany promieniami słońca, Ajfrid poczuł się wzmocniony i pobudzony. „Taki blask to prawie posiłek”, pomyślał. Wyszedł na koniec rampy wystającej w przepaść po drugiej stronie grani, nad Bezladnu Dolanu. Dzisiaj celowała ku wschodzącemu słońcu. Może jej kierunkiem zapomniany budowniczy chciał wyróżnić dzień, kiedy słońce po raz pierwszy wychynie spomiędzy Nokate? Z tej rampy, pewnego mroźnego ranka, zaszyte w prześcieradło, pofrunęło do ostatniego lotu ciało Drevanej Auraicy. Kiedyś pofrunie z niej ciało jego samego. Ajfrid prawie zamarł w przeraźliwym wichrze, wlokąc zwłoki zaszyte w całun. Mróz i założone odzienie zabiły wiele piór.

W dole, w górnym piętrze Bezladnaj Dolany, wśród ospy want, szarych płasni szutru i pojedynczych płatów śniegu, zaznaczało się kilka płaskich, białych owali stawów. Gdzieś na piargu lub jeszcze pod firnem leży szary, podłużny tłumok. Śniegu było już mniej, gęsto wystawały czarne wanty, a na jednym ze stawów lód odsłonił zieloną toń. „Zelano Jazyro zawsze budzi się pierwsze, a w *medinocelju* zmienia barwę. Po tamtej stronie grani zmrożona, bezludna, jałowa płasń, po naszej znacznie głębsza, żyzna dolina z osadą, polami i stadami”.

Cóż, jemu droga ku ludziom, do Matcinaj Dolany.

2.

Kamienne stopnie były oczyszczone z firnu. Na białym tle ścieżka rysowała się szarym ścięciem stopni. Łukiem opadała do wiszącej dolinki. Wsparł się na drewnianej barierce. Stopnie kryła polewa lodu pozostałego z nocy. Orle pióra grzały ciało, marzły tylko stopy obute w sandały.

Najpierw schodził równo ze słońcem, potem go wyprzedziło i rozgrzewało dalszą drogę. Jeszcze stromym zboczem, a niżej ku rozległej płasni karu. Tutaj nie było już śladu śniegu. „Całkiem jak tafla okazałego stawu, pomyślał”, gdy teren wypłaszczył się, a potok dolinny rozdzielił na kilkanaście wąziutkich ramion, to wyodrębniających się, to łączących ze sobą, dzieląc łąkę na separowane trawniki.

Na skraju płasni widniały ruiny kilkunastu chat mieszkalnych. Trzy budynki były wyższe, piętrowe. Mury całkiem dobre, wystarczy dodać zadaszenie. „Jeśliby kto chciał kiedy tutaj wrócić”.

Z progu karu otwarła się głębia głównej doliny. Ostatnie pasma mgły, jak kłębki waty, plątały się nad lasami, a w dole widać było zabudowania, pastwiska i pola uprawne. Serce zabiło mocniej. Cieszył się na spotkanie ludzi, chociaż jego widok ich nie uraduje. Ścieżka powiodła dalej w dół, stromo i wśród skał.

W górze mizerne, ledwie widoczne spod kamieni, trawiaste porośla stawały się coraz wyższe, coraz okazalsze, a łodygi grubsze. Pojawiły się krzaczki o twardych, rurkowatych gałązkach i drobnych, kielichowatych listkach, wyrastających jeden z drugiego. Jednych czerwonych, innych purpurowych, jeszcze innych zielonych. Było cieplej, wiał lekki dolinny wietrzyk. Powietrze pachniało. Barwy i zapachy przypominały dzieciństwo. Nie żałował, że porzucił ten świat, ale wracał tu z przyjemnością.

Pojawiły się drzewa jak barwne świeczniki. Najpierw stały oddzielnie, potem w kępach, które wreszcie zgęstniały w las. Samotne chodzenie po lesie wywoływało dreszczyk emocji. Za dnia drapieżniki nie zbliżały się do wsi, ale gdyby zapuścił się tu jakiś *medvad* czy *porok*, to wędrowiec byłby bez szans.

Mijał martwe kępy wysokich, strzelistych pni *jedal drava*, sterczących niby gigantyczne rury wetknięte na sztorc. Czasem przewracają się bez ostrzeżenia, całkiem spróchniałe w środku. Podobno zaskoczeni ludzie ginęli, przywaleni ich ciężarem.

Stopę ocierał sztywny pas od sandała. Powietrze było ciepłe i wilgotne. Las to gęstniał, to rzedł, rozdzielany stromymi skałami na zboczu. Wreszcie teren się wypłaszczył. Ajfrid mijał polany i pierwsze pola uprawne, jedno porośnięte dywanami drobnych brązowych kapeluszy, inne czerwieniące się mięsistymi listkami wyrastającymi wprost z

ziemi, inne wreszcie pokryte szczotką białawych ostrych kielków, sięgających już kolan. Ścieżka wkrótce zbliżyła się do potoku, słychać było szum płynącej wody. O tej porze dnia, pod wieczór bystry i spieniony, Styrman leniwie snuł się wśród kamieni.

Zaraz ścieżka znów wzniosła się po zboczu, Ajfrid zaś skierował się za nią w górę doliny, do osady.

Głośno zaszeleściły zarośla. Ścieżką na spotkanie szła dziewczyna, zgarbiona pod niesionym koszem. Zaskoczona, stanęła jak wryta.

– Ach, to ty, Vatran Smyj! *Preczo schadisz ky nama?*

Spojrzał na nią nieruchomo.

– Vatran Auraio – poprawiła się. Zły, zacięty wyraz jej twarzy nie zniknął. Nie powiedziała „*pticzjak auraio*”, znaczy, że w dolinie już wiedzieli o śmierci Drevanej Auraicy.

Słowo „*smyj*”, żmij, czyli smok, było obrażą. Nie zareagował. Może w osadzie zmieniło znaczenie.

– Już pora – powiedział. – Już pora, Sirka Ovidna.

– Ty mnie pamiętasz?

– Uczyłem cię tkać.

– Pamiętasz, jak plątały mi się palce? – Kwaśno się uśmiechając, zmrużyła szarozielone oczy.

Kosz wypełniony bulwami zawadzał o gałęzie, przygniatał ją do ziemi. Poprawiła brzemień na ramionach.

– Tam już na ciebie czekają od paru dni, Vatran Auraio.

– A ty?

– Skoro przyszedłeś, to pora odlecieć. Na wszystko przychodzi czas.

Pokiwał głową.

3.

Na łąkach wypasano stada *volcav*. Trudno było zliczyć, ile ich się tu zgromadziło. Masywne, sześć- lub ośmionogie zwierzęta były posłuszne krzykom i razem witek trzymany w dziecinnych rączkach *jednocljkav*. „Niedługo już nie będzie widać malców ponad poganianym stadkiem”, pomyślał Ajfrid. „*Volca* rosną błyskawicznie. Są już po dwóch lub trzech wylinkach. Nie zabraknie mięsa tego *medinocelju*”. Zwierzęta były jeszcze bardzo młode, jasnokremowe. Ich ciemnobrunatne, niedawno pokryte pancerzem głowy trzęsły się od łapczywego żerowania. Sześćionogie *volca* miały ciemne oczy, zaznaczające się na

bladym tle gładkiej skóry zaledwie dwoma rombami utworzonymi z czterech niezrośniętych, brunatnych plam; głowy pokrywała miękka, jasna skóra.

Południowe słońce przypiekało. Ajfrid zmrużył oczy. Przyglądał się nadbiegającym dzieciakom. Przed *noceljam* pozostawił wśród nich dwoje różnych od wszystkich innych. Chłopiec miał dodatkową parę sprawnych nóg, dziewczynka tak samo. Zwali te dzieci *kintarka*. Mimo odmienności, ta para rozwijała się normalnie. Ajfrid miał nadzieję, że surowy *nocelj* nie zabierze ich ze sobą, jednak nie dostrzegł tych dzieci wśród małych pasterzy. „Czy chociaż dostali imiona?”

– Vatan Auraio przyszedł – szeptały dzieci. Wkrótce wszystkie towarzyszyły mu jak orszak gnomów.

„Wszyscy *jednoclnika* wypasają *volcav...*?”, pomyślał. „A ucą się tylko starsi”. Zatrzymał się.

– Vatan Auraio – powiedziało któreś z nich.

Uniół ramiona tak, aby rozsunięte pióra, czarne z wierzchu, wyraźnie odsłoniły te czerwone i żółte na spodzie. Aby wszyscy zobaczyli, że Płomienisty Orzeł jest naprawdę płomienisty.

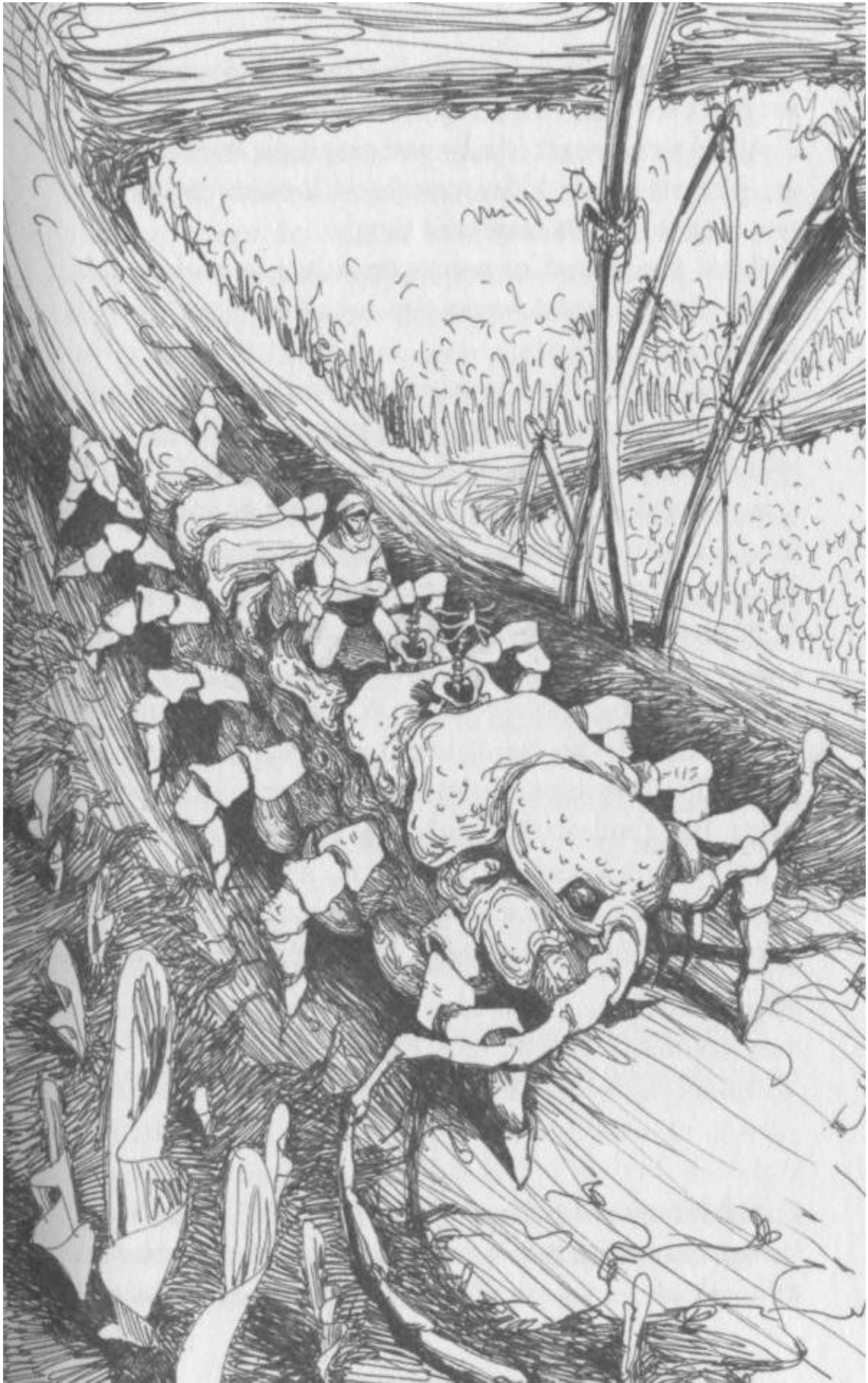
– Ale piękny – mruknęła mała dziewczynka, gdy gęste, długie pióra opadły, lekko wijąc się i falując za opuszczonymi ramionami.

– Piękniejszy niż inne *ptyci* – trzeźwo zauważył usmarkany chłopczyk. – Piękniejszy, bo nasz – dodał z dumą.

Ajfrid był dla nich ucieleśnioną legendą, widzieli go po raz pierwszy w życiu. Odtąd stanie się dla nich żywym zegarem, znacznikiem upływającego czasu. Olśniewanie wyglądem było jego obowiązkiem. Takim powinni go ujrzyć wszyscy urodzeni w zeszłym *medinocelju*. Miało to dla nich pozostać wrażeniem na całe życie. Dla niego takim pozostało.

Ruszył w kierunku zabudowań, a za nim grupka dumnych maluchów obserwujących odmienca. Co jakiś czas wykonywał parę teatralnych gestów: to zakręcił się, to chwilę podrygiwał tanecznym krokiem, to znów pomachał ramionami, aż zrywał się w górę tren z czarnych, czerwonych i żółtych piór. Trochę zalęknione dzieciaki odskakiwały na większą odległość, by stamtąd obserwować tany Płomienistego Orła.

Nagle zza zakrętu ścieżki wyłonił się potężny, włochaty stwór, sunący na sześciu parach masywnych, słupowatych odnóży. Między odnóżami kolebały się pary ciężkich, obrzmiałych worów skórnych. Lazł wolno, mozolnie, machając przed sobą długimi wąsikami. Dopiero z bliska dało się dostrzec drobną sylwetkę *kornaaka*, który siedząc między trzecią i czwartą parą odnóży, uderzeniami stopy sterował olbrzymim zwierzęciem.



- *Jogr! Jogr! Mlokan jogr!* – Czereda malców pobiegła ku nowemu dziwowisku. Tłoczyli się wokół niego, podskakiwali, krzyczeli. Najodważniejsi próbowali dotknąć przepełnionych wymion.

Olbrzym nie zauważał obecności małych natrętów, sprawdzając teren przed sobą wtkowatymi czułkami.

Ospale laźł wiejską drogą, a gdy stawał słupowate odnóża, grunt wibrował.

Ajfrid zszedł w zarośla, by przepuścić potwora mlecznego. Olbrzymi stwór, który wracał z wielodniowego wypasu, tarasował sobą całą szerokość drogi.

Przed *kornaakam*, na przewężeniach ciała *mlokan jogra*, tkwiły dwie segmentowane, sinusoidalnie wygięte tyczki, *stryżaja*.

Pozostały jeszcze sprzed *nocelja*, gdyż pasy barkowe dawno już odpadły, a sekwencję kręgów podtrzymywały tylko wysuszone mięśnie szkieletowe. Zatròvati Ljuci, obszar pastwisk rozpościerający się u wylotu doliny i jeszcze niżej, jest wrogi dla ludzi. Trudno tam przeżyć długo. Jeśli *kornaak* porwał się do przedwczesnego lotu, to jego ciało pozostanie na grzbiecie *mlokaja*. Odpadną stopy, ręce i głowa, a wreszcie żebra. Zostanie właśnie *stryżaj* – uschłe uda, biodra i tyczka kręgosłupa. W końcu organizm zwierzęcia wchłonie całą tkankę miękką do reszty, a *jogr* pójdzie precz. Utrata oswojonego potwora mlecznego jest poważną stratą. Przechodzący *jogr* wchłonał już dwóch *kornacaav*.

Pobyty na nizinach skracał życie, nawet jeśli *mlokan jogr* nie przemienił w *stryżaja*. *Kornaaca* rzadko dożywali wspólnego lotu *szesnoclnikav*, ale chętnych do kornaczenia nie brakło.

Powrót potwora mlecznego radował. Oznaczał, że zyskano ich stado po *nocelju* i już gromadzony jest przybytek.

4.

Zabudowania wsi wznosiły się w górze doliny na lewym brzegu Styrmana. Nie za wysoko, by śniegi szybko zeszyły, jednak też nie za nisko, jak najdalej od zabójczych miazmatów Zatròvati Ljucav. Pola schodziły niżej, a do samego końca doliny docierali tylko *kornaaca*.

W osadzie dominowało sześć podłużnych piętrowych budynków, *garadav*, wzniesionych w równych odstępach wzdłuż brzegu Styrmana. Inne zabudowania, małe, na ogół parterowe chaty, były przypadkowo rozsiane. Wszystkie duże budynki świeżo pobielono, w oknach błyszcząły szyby. Jakby dla kontrastu, małe sadyby były zaniedbane. Wiele obróciło się w ruinę: dachy zwalone, czarne otwory okien. Do niedawna mieszkano w izolowanych małych domostwach, jednak Jante nakłonił wszystkich, by przenieśli się do

wspólnych domostw. „Tyle *garadav*, ile *noceljav* trwa życie ludzkie”, pomyślał Ajfrid.

Lekko wznoszącą się ścieżką Ajfrid dotarł do zabudowań.

– *Jedan nocelj, djeten nocelj...* – dobiegło go skandowanie uczniów. – *Dvi nocelj, ljuden nocelj. Trvi nocelj, ljuden nocelj* – mówił mężczyzna, a za nim powtarzał chór głosów dziecięcych.

– *Czetri nocelj, velkan nocelj...* – To nie był nauczyciel, Ajfrid rozpoznał głos Jante Budara. – *Pati nocelj, velkan nocelj.*

Ajfrid stanął w drzwiach.

Jante chodził po izbie, głośno wyliczając i rytmicznym kiwaniem się akcentując każde słowo, aż podskakiwała krzaczasta czarna broda, a za nim chórem powtarzali mali uczniowie. Aby równo mówili, dodatkowo dyrygował ruchem ręki.

– *Szasti nocelj, jauken nocelj.*

Spojrzenia cieśli i Ajfrida spotkały się. Jante drgnął.

– Auraio – jego szept rozciął nagłą ciszę. Gdyby nie półmrok, widać by było, że pobladł.

– Cieszyć się trzeba. Nadchodzi Czas Radości.

– Tak. Nadszedł Czas Radości – odpowiedział Jante.

Nagle dzieci zaczęły przekrzykiwać się jedno przez drugie.

– Vatran Auraio! Vatran Auraio! Płomienisty Orzeł!

Plan lekcji rozsypał się w proch.

– Pochwalcie się naszemu Vatran Auraio, jak umiecie liczyć – Jante zwrócił się do malców.

– *Jedan, dvi, tri, czetri, patj...* – Coraz wyżej szło coraz wolniej i ciszej. – *Szast... sedam...* – Tu już trzeba było pomocy nauczyciela. – *Osam...* – To już tylko dwoje prymusów. – *Davam, desam* – wyrecytowali zgodnie Jante i Ajfrid. Dla małych uczniów było to jeszcze ponad siły.

– Koniec lekcji. Tyle na dzisiaj – powiedział Jante.

Dvinocljnika jednak zamiast wychodzić, kołem otoczyli Ajfrida. Znowu skandowali jego miano. Posłusznie parę razy uniósł ramiona, a pióra opadły, miękko falując i wijąc się.

– Idźcie już – powiedział Jante. – Vatran Auraio chce porozmawiać z waszym *vedanam*.

Posłusznie wyszli, tylko największe urwisy zza framugi zerknęły na kolorowego przybysza.

– Wyjdziemy przed chatę...? Ty, zdaje się, nie możesz długo przebywać w cieniu.

– Gdzie tam... To jakiś nowy mit.

– Tak wcześnie, a ty już wśród nas. Śniegi ledwie zesły.

– Zesły. To już jest właściwy czas.

Jante przetarł dłonią liszaj na policzku. Wytarł wydzielinę w rękaw kubraka.

– Jante, dlaczego to ty uczysz, a nie Kosima...? Pamiętam, że planowaliście postawić nowy spichlerz. *Budar* nie powinien tracić czasu. Trzeba zdążyć przed *noceljam*.

– Zdążyć przed moim *vyletam*. Kosima nie dotrwał. Najpierw stracił wszystkie zęby, potem skóra zesła z niego płatami. Zbyt często kornaczył. Zżarła go ciekawość. Chciał wiedzieć, co jest jeszcze dalej na południe. Wreszcie wrócił stamtąd jego *stryżaj*.

– Ilu nie przetrwało *nocelja*?

Według ostatniego spisu, przybyło siedmiu mieszkańców *Matcinaj Dolany*.

– Mroczne szaleństwo wyгнаło wszystkich pięciu *obudacav*. Dobrze chociaż, że ostatni zaczął nas wybudzać z letargu, zanim wybiegł w mrok. Znaleźliśmy potem ich wszystkich twardych jak lodowe rzeźby. Trzy osoby nie zbudziły się, ale to *jednocljnika*. I jeszcze dwoje starszych *kintarav*.

– To już wiem. A *vyletnice*?

– Dwie umarły w męczarniach. Wykrwawiły się ze zwykłego powodu. Jedna przetrwała bóle, ale potem też umarła, od zakażenia.

– Stale im się tłumaczy, że kobieta nie zniesie swoich *ovajav* poza *vyletan bazinam*. Chociaż wiadomo, z kim która zaczęła?

– Nie powiedziały, mężczyźni też się nie przyznali.

– Trudno przezwyciężyć stare nawyki. Żyje jeszcze któryś mały *devijak*? – Przed *noceljam* w tej gromadzie było troje dzieci o dodatkowych rączkach.

Jante pokręcił głową.

– Żaden się nie zbudził, choć były zdrowe przed zaśnięciem i władały wszystkimi rączkami. W *Matcinaj Dolane* nie ma teraz ani *devijaka* ani *kintarka* czy *kintarczinki*. Nikt nie ma więcej niż dwie ręce ani więcej niż dwie nogi. Poza nimi wielu innych nie przetrwało *nocelja*. *Drevana Auraica* przedwcześnie się cieszyła, że nas przybywa. Tym, co przetrwali, wystarczą wspólne *garady*. Obejrzałem, wyremontowałem. Nowy spichlerz faktycznie by się przydał. Jeśli zbiory będą tak dobre, jak w zesłym *medinocelju*, kiedy nie sposób było wszystkiego zebrać i zwieźć.

– Kto postawi dla was nowy spichlerz?

– *Patnoclжник* *Tezej Elekan* się przyucza.

– Na *Prevaju* jestem sam. Kiedy zbudziłem się podczas *nocelja*, znalazłem *Drevaną*

Auraicę martwą. Powinien nadejść jej czas, ale miałem nadzieję, że będzie inaczej. Trzymała się bardzo dzielnie.

– Wiemy to już, wiemy.

– Żyje jeszcze Gata Tezejna? – Ajfrid nie wytrzymał. Twarz tej dziewczyny wracała w jego letargicznych snach. Chociaż im później, tym mniej szczegółów miała.

– Tak, ale jest w strasznym stanie. Ona czeka na ciebie. Nie odejdzie, póki cię nie spotka. Tak mówi.

Gata Tezejna odmówiła *vyleta*. Uznała, że jest lepsze wyjście. Twierdziła, że Drevana Auraica skazuje całe pokolenie na śmierć, gdyż zbyt starzy byłiby zbyt mądrzy i przestaliby jej słuchać. Mówiła też, że bardzo chce ujrzeć swoje dzieci.

– Bawiła i wychowywała dzieci innych kobiet.

– Dla niej to było nie to samo.

– Urodziła swoje dzieci? – spytał Ajfrid.

– Ani jednego. Raz poroniła. Bez *ovaja*.

– Miało dodatkowe nóżki lub dodatkowe rączki?

– Nikt nie sprawdził.

– Drevana Auraica przykazała wam, żeby sprawdzać.

– Dzieci urodzone poza *vyletam* są skażone i łatwo zarażają innych. Wszyscy bali się choroby.

– Tak się powtarza, ale to niepewne.

– Odwiedzisz ją?

– Skoro czeka.

Ajfrid wyszedł z izby.

Po śmierci Kosimy w czasie jednej z dalekich wypraw w niskie partie doliny, Jante został tu przywódcą. Należało słuchać *vatran auraio*, jednak Ajfrid rzadko pojawiał się we wsi, dlatego osadą na co dzień zarządzał *vedan*. Każdy następny wskazywany był przez poprzednika, nie przez *auraio*. Taki sposób wyboru *vedanu* w znacznym stopniu uniezależniał osadę od Płomienistego Orła.

5.

Musiał zajrzeć do *garadu vyletnikav*. Uniósł skrzypiące wrota. Wchodząc z ciemnego przedsionka do głównej sali na parterze, schylił głowę, by nie potrącić okazałej drewnianej rzeźby nagiej kobiety o rozrzuconych ramionach i otwartych ustach, zawieszanej nad wejściem do pomieszczenia. W dłoniach gniewnej kobiety zwykle umieszczano lampki

oliwne. W miejsce włosów miała kłęb wysuszonej trawy, ufarbowanej na czarno węglem. Chropowatości na powierzchni skóry wygładzono zaprawą z glinki i oleju, a potem zabarwiono ochrą i starannie wypolerowano.

Ajfrid dobrze pamiętał, jakie wrażenie zrobiła na nim kiedyś ta rzeźba, gdy jako mały szkrab w tajemnicy zakradł się do świetlicy dorosłych. Postać kobiety przedstawiono tak, jakby wysuwała się z zawoju tkaniny. Dolną część bioder i nogi skrywały rzeźbione fałdy, odrobione na sinoszaro. Kiedyś były błękitne, ale nietrwały barwnik się rozłożył. Z wyrzeźbionej tkaniny nie wyłaniały się stopy lecącej niewiasty, w zamian sterczało do tyłu ze dwanaście długich, czarnych, sierpowatych kłów, kolców *poroka*. Od lat nikt nie odważał się polować na te bestie. Podchodziły w mroku nocy, a w osadzie brakowało źródeł silnego światła. Obecnie po zachodzie słońca ludzie zaszywali się w bezpiecznych schronieniach, oddając teren całej wsi włochatym napastnikom.

„Nikt nie umie skończyć tej rzeźby”, pomyślał. „Brakuje jej stóp. Kły tego nie zastąpią. Tym bardziej że są siwe od kurzu i połamane”. Zeszłego *medinocelja* w czasie sprzeczki pijani biesiadnicy zrzucili rzeźbę na podłogę i dwa kły się połamały. To była najpiękniejsza rzecz, jaką Ajfrid widział w życiu, a była też pierwszą nagą kobietą, którą ujrzał, zanim namówił Gatę. Nie zapisano, jak się nazywał jej autor. Szkoda, że nie skończył udanego dzieła.

Za dnia lampek nie palono, w izbie było dość jasno. Wystarczały otwarte okiennice. Wzdłuż ścian ustawiono szeregiem równo przycięte, drażone pnie, pełniące rolę stojaków. W każdym wykonano kilka dużych otworów, a w nich zawieszono czaszki dawnych mieszkańców wspólnoty. Kość miała rdzawy odcień, odcinający się od szarego drewna. Trudno było znieść natarczywe spojrzenie mrocznych oczodołów. Czaszki przerażały malców, którzy skryci w krzakach na zboczu zaglądali do okien tajemniczego budynku.

Ajfrid zdjął z haka taśmę, na której zawieszono jedną z czaszek. Pniak zadrzał, a inne czaszki zakolebały się. Większość z nich wisiała w powietrzu na taśmach przeciągniętych przez otwór w czole i w potylicy, inne powieszono za warkocze splecione z zachowanych włosów. Niektóre taśmy rozciągnęły się z czasem, a może zrobiono je za długie, bo te czaszki stały nieruchomo w swoich gniazdach, przekrzywione dziwacznie na boki. Gdy czaszka wisi, później odpada żuchwa, a kość wolniej rozsypuje się w proch. Kiedy stoi, nie widać, czy ktoś żuchwy nie ułamał.

„Zybar Kunóvina”, przeczytał inskrypcję na czole. Powierzchnię czerepu pokrywały wygrawerowane spirale, umieszczone w środku sieci miodowej. Jedne z nich były większe, inne mniejsze. Między zwojami spiral wryto dziesiątki kóleczeń. W rowki wtarto czarny

barwnik, aby wzory były lepiej widoczne. Przetarł czaszkę z kurzu. Kóleczka nabrały koloru: jedne stały się brunatne, inne ochrowe. „Ledwie go pamiętam. Taki wysoki. Uczył mnie czytać”.

Odstawił czaszkę na półkę. „Rozsypuje się, jak wszystko”, strzepnął biały pył z dłoni.

Kątem oka dostrzegł, że jest śledzony zza drzwi.

Obejrzenie kolekcji *wspomnień*, jak nazywali te czaszki mieszkańcy, było jego dzisiejszym obowiązkiem. Spreparowane *wspomnienia* pokrywała pajęczyna nitek, linii i paciorków. Odkurzał jedną po drugiej czaszkę i podziwiał wzór i zachowane barwy. Wiele miało ryty barwione czerwoną gliną, *krvedemu*. Niestety, zapas czerwonej farby się skończył. Czerwony barwnik winien pokrywać spreparowane *wspomnienia*, ponieważ najważniejszymi substancjami są czerwona glina i woda. „*Krvedemu* nie może zabraknąć”, pomyślał.

Nie wszyscy trafiali do tej izby. Do *vyletu* każdy miał bransoletkę z wypisanym węglem imieniem, ale napisy zmywały się, kości rozpadały lub wreszcie czaszka kruszyła po wysuszeniu. Zachowane kości trafiały w ręce *razbatjela*. Całą ich powierzchnię artysta pokrywał grawerunkiem. Każdy *vylet* wyróżniano innym wzorem. Na środku czoła, a także w kilku innych miejscach, ryto imię *vyletnika*. Wzór na czaszce był symbolem pokolenia. Jednak *wspomnienia* zwykle rozsypywały się w proch po kilku *noceljach*, więc czasem zdarzało się, że kolejne pokolenia oznaczano tak samo.

Czarny barwnik otrzymywali, rozprawdzając starty na proszek węgiel drzewny w oleju. Olej był jedną z niewielu rzeczy, której było w nadmiarze. Z ubitego *volca* zostawało sporo mięsa, suszonego dla trwałości. Ponownie nasycone wodą, smakowało niezłe i było podstawowym źródłem białka w pożywieniu. Oprócz mięsa zostawała znacznie większa ilość słodkawego, jadalnego tłuszczu, którym palono w kagankach, a który po przedestylowaniu wysychał w ciągu paru dni, więc używano go jako osnowę dla farby.

Ajfrid unosił czerepy, odczytywał imiona. Przed oczyma stawały mu twarze rówieśników, kolegów i koleżanek, z którymi się wychowywał, z którymi się uczył. Teraz po nich wszystkich pozostały czaszki, a on był najstarszym członkiem wspólnoty. Znajdował czaszki dawnych nauczycieli, ludzi starych, kiedy Ajfrid był jeszcze malcem.

Skryci obserwatorzy wreszcie odważyli się wejść do środka. Wyższy trzymał w rękach kosz, nazywał się Jante Baric, a niższy i znacznie cięższy, Niklo Waru. Baric nie podniósł wzroku na Ajfrida, tylko wyjmował z kosza seledynowe czaszki, jedna po drugiej, i układał je trzema rzędami na ławie. Jeszcze nie przyozdobione *wspomnienia* z ostatniego *vyleta*. Niektóre z nich zdobiły ryty, których jeszcze nie zabarwiono.

Po robocie Barie wytarł ręce w fartuch.

– Dobrze się zachowały przez *nocelj*? – spytał Ajfrid.

– Dwanaście *wspomnień* rozsypało się w proch. Starannie wymietliśmy półki z warstwy pyłu.

Ajfrid skinął głową.

Z dawniejszych *medinoceljav* sporo *wspomnień* było bardziej kompletnych. U wielu zachowała się nie tylko skóra na głowie, było kilkanaście kompletnych zasuszonych postaci. Z ostatniego zostały gołe kości – ani śladu skóry czy mięśni. Dobrze chociaż, że Kosima kazał zebrać czaszki, które teraz zdobili *razbatjela*, bo kości rozsypały się w proch. „Mocny jad przywiało ze *Zatròvati Ljucav*, i on ich zżarł”, pomyślał Ajfrid. „Przynajmniej żywych oszczędził”.

Milczący Niklo rozłożył narzędzia na stole: kilka ostrych dłutek, szmatki do ścierania, zwęglony patyczek do rysowania.

– Przybędzie dwadzieścia dziewięć – odezwał się Baric. – Żadna nie rozpekła się ani nie rozsypała. Imię jednej nie zachowało się.

– Nie da się odtworzyć?

– Może to była Antja Zosima...

– Sprawdzę w spisie *vyletnikav*.

Ajfrid wziął do ręki czaszkę różniącą się od wszystkich innych kolorem: była kremowo-biała, nie ceglasta. Wyglądała charakterystycznie: nieco mniejsza niż inne, może nieco szersza, może niższa, może żuchwa bardziej wystawała do przodu. To Doedd Furlongg. Mówią, że to najstarsze *wspomnienie*. Nie pozwolił na czerwoną glinę. Powiedział, że glinę ma on już za sobą.

– To pierwszy człowiek? – spytał Baric.

– Ma na czole wyryte słowo *priljetatjel*. To człowiek, który się tutaj nie urodził – odpowiedział Ajfrid.

– Człowiek z gwiazd... A ja myślałem, że to baśń. Ale czy to jest pierwszy człowiek...? Powiedz, *auraio*.

– Może pierwszy, może też ostatni – odpowiedział zagadkowo Ajfrid i nie odezwał się więcej.

Obaj *razbatjela* pozostali sami nad dwudziestoma dziewięcioma nowymi czaszkami, ustawionymi w trzech rzędach na ławie. Wzięli się do rytowania.

W piętrowej chatce nad Styрманem przy łóżku Gaty czuwała wysoka dziewczyna zawinięta w chustę. Nieznajoma co jakiś czas ocierała pot z czoła leżącej albo szmatką suszyła z wydzielinę sine liszaje.

Gata Tezejna była rówieśnicą Ajfrida, lecz teraz wydawało się to nieprawdopodobne. Koc skrywał pomarszczoną figurkę, wychudzoną tak, jakby nikogo pod nim nie było, a fałdy tkaniny wznosiły się tylko przypadkiem. W pełgającym blasku kaganka błyszcząły oczy chorej. Otwarte świetliki wpuszczały niewiele światła. Zaprzeszano wyrobu szkła, gdyż wielkim nakładem pracy otrzymywano marne wyniki: ledwie przejrzyste płytki, naczynia nieforemne. Zapas szyb powoli się zużywał. W dużych wspólnych *garadav* wszystkie okienka szklono. U Gaty przez otwarte świetliki przy suficie wpadało światło dnia.

Spojrzenie chorej zogniskowało się na Ajfridzie.

– Drevana Auraica zatriumfowała – powiedziała. – Moje życie skończy się ślepyim końcem, jak kiedyś rzekła. Nikogo po sobie nie zostawię.

– Ani ona nie triumfowałaby, ani ty. Ty przeżyłaś o *nocelj* dłużej niż inni we wsi, *sedmi nocelj*.

– Ale nie zmądrzałam dzięki temu, jak ona. A tak myślałam.

– Bo nie uczyłaś się z pism.

– Wkrótce umrę, a ty wyglądasz równie młodo, jak przed *noceljam* i jesteś już Vatran Auraio.

– Musiałem nim zostać, skoro ona odeszła.

– Krótko byłeś *pticzjakam auraio*.

– Mam nadzieję, że nauczyłem się dosyć.

– Pamiętam jeszcze, jak przeganialiśmy *volci*, jak razem chodzili na Hubinacu Ljuku.

– Ja też pamiętam.

– Teraz ty powiesz mi, że zrobiłam błąd?

– Ty powiedziałaś mi, że robię błąd, zostając *auraio*.

– Nie zrobiłaś błędu, Ajfrid. Przeżyjesz tu wszystkich, choć umrzesz bezpotomnie, jak ja.

Nieznajoma dotąd siedziała nieruchomo, teraz jednak powstała, by wyjść. Gata przytrzymała ją.

– Zostań, Alica. To stare tajemnice. Nic niewarte tajemnice. I tak je już znasz.

Nieznajoma poprawiła chustę, spod której wymknął się kosmyk falujących szaroblond włosów.

– Zastałem Matcinu Dolanu tętniącą życiem. *Nocelj* odszedł, ludzie pracują.

– Jeśli sztucznie się ich nie usypia i nie otępia, zaraz wracają do normalności. Długi bezruch, wielodniowy sen, nie jest czymś naturalnym dla człowieka.

– Też tak uważam – powiedział Ajfrid.

– To pokolenie nie sprawi trudności. Odlecą, skoro powinni. Nie ma wśród nich drugiej Gaty Tezejnej.

– Teraz pora się cieszyć. Potem nadejdzie czas *vyleta*.

– Ja już tego nie dożyję. Chciałam znowu ciebie zobaczyć. Teraz już nie mam na co czekać.

– Jestem, rozmawiamy. A ja powinienem dzisiaj trzymać w rękach twoje dzieci. Cieszyć się nimi. Chociaż sam nie wiem, czy bym tak wołał.

– Skoro urodziłam martwe, to i podczas *vyleta* wydałabym takie same.

Nie chciał pogneźbić jej stwierdzeniem, że podczas lotu wydałyby zdrowe dzieci. Nosząc je w swym łonie zbyt długo, przekazała dziecku śmierć. Teraz sama umierała.

Nie wspomniał też, że obecność buntowniczkki jest potrzebna. Stabilizuje społeczność, gdyż wszyscy widzą skutki odmowy i sami się nie buntują. Z dziewczyny, dla której chciał zrezygnować z przemiany w *auraio*, pozostało wychudłe, wyniszczone ciało, pomarszczona skóra i spróchniałe kości, które ledwie dźwigały mizerną powłokę.

– Alica, oprowadź Vatron Auraio po wsi – zachrypiała Gata. – Od miesiący marzysz, żeby obejrzeć jego barwne pióra.

– Zostanę przy tobie.

– Stara może chwilę leżeć sama – fuknęła. – Przynieś mi mleka. Tylko to zatrzymuje się jeszcze w moich kiszkaach. No, idź, idź...!

Gdy Ajfrid wyszedł w ślad za Alicą, policzki starej rozjaśnił blady uśmiech.

– Sam najlepiej znasz Matcinu Dolanu – rzuciła Alica, gdy wyszli na dwór. – Ja przyniosę jej mleka. – Wysoka i zgrabna, trzymała się prosto. Złowił spojrzenie jej modrych oczu. Patrzyła na niego niechętnie, a może to tylko takie wrażenie, bo jej spojrzenie było zbyt badawcze. Dziewczyna odwróciła się i odeszła.

Poszedł ścieżką, która wreszcie odbiła od Styrmana i wspięła się w zakosy, omijając bystrza potoku, a dalej powiodła koło tartaku. Na zboczu dwóch mężczyzn szamotało się z parą ośmionogich *volcav*, które nie chciały wlec wielgachnego pnia. Tartak wzniesli w miejscu, gdzie na zboczu doliny rosły drzewa o miękkim, ale spoistym drewnie. Przypominały strzeliste purpurowe świeczniki i zarówno z głównego, jak i z bocznych pni dostarczały drewna bardzo dobrej jakości. Pnie drzew rosnących w innych miejscach zawierały puste lub wypełnione słabą miazgą komory. Większość drzwi, dachów i mebli

zrobiono z drewna właśnie stąd. Niestety, większość tych drzew wykarczowano. Drewna Auraica zaprojektowała kiedyś prasę do miękkiej miazgi. Uważała, że klejone płyty pozwolą wykorzystać pnie wszystkich drzew z okolicy. Nigdy takiej prasy nie zbudowano.

– *Dybar dan*, Tatu! *Dybar dan*, Kirus! – Ajfrid pozdrowił drwali. Musiał uważać, żeby nie mylić imion, chociaż twarze zatarły się w pamięci. Tatu odpowiedział skinieniem dłoni, drugi się uśmiechnął. Kirus dziwacznie przytrzymał kłodę, naciągając zbyt długi rękaw koszuli.

Mężczyźni z pokolenia *vyletnikav* często dodawali do nadanego kiedyś imienia nazwę swojego zawodu: Budar, Drewar.

Przy tartaku ścieżka rozgałęziała się. Prawa odnoga wspinała się w strome zakosy na pierwszy próg doliny, Prvni Urav, dalej ku Dlni Jazyru i przez Dvi Urav w górę, pod jezor lodowca. Lewa ścieżka, znacznie szersza, opadała łagodnym łukiem z powrotem w pobliże Stymana, ku ostatniej grupie zabudowań, wśród których wyróżniał się budynek kryty *ljuszturu*. Ajfrid skierował się ku niemu.

7.

Jante Budar kierował pracą kilku osób. Dzban za dzbanem wlewali mleko *jogrove* do betonowego baseniku. Unosił się ciężki, kwaśny odór.

Na przeredzone ciemnie skapnęła *vedanu* zimna kropla. Uniósł wzrok. Płyty *ljuszturu* na dachu poprzesuwały się po *nocelju*, przez szpary prześwitywało niebo. Deszczówka wlewająca się do fermentującego wina nie zaszkodziłaby w procesie, jednak później, dla *vyletnikav*, byłaby śmiertelnym niebezpieczeństwem. „Trzeba to poprawić przed *vyletam*”, pomyślał.

– Późno na robienie wina – mruknął. – Mleko czuć octem.

– Pastwiska są jeszcze ubogie, to się przykwasilo – powiedział Jadòvina. Nie łysiał tak bardzo jak Jante, za to garbił się zanadto, bo niedowidział. – Wina brakuje. Najwyżej będzie trochę czuć octem. *Jogry* wcześniej wróciły z pastwisk, przychodu mało. Wory mleczne były u wielu prawie puste. Niemal łuskać się nie dały.

– To co je przygnało...?

– Nie wiadomo co. Widzą, że słońce wspina się już wysoko, to wracają.

– Nie wiem, co one widzą tymi swoimi wielgachnymi gałami – włączył się Kovica.

– Wszystko widzą – odparł Jadòvina.

„Dziwne. Pastwiska powinny być żyzne. Każdy *medinocelj* jest cieplejszy od poprzedniego. Woda z potoka szybciej robi się trująca, barwi drobnymi czerwonymi

ziarenkami. Lodowiec w górze doliny się cofa. Vyrhni Jazyro całe wychynęło spod jezora, a wyżej odsłoniła się ciemnoszara morena. Stare mapy przedstawiały inny obraz górnej części doliny”, pomyślał Jante.

– Trzeba zdążyć z tym winem. *Vyletnika* nie mogą czekać – powiedział.

– Będzie trochę cieńsze.

– Cienkie i kwaśne – burknął Kovica.

„Ledwie przygrzało, to zaraz *vatran smyj* zwłókł się ze swojej lodowej nory”, pomyślał Jante. „*Smradlivi smyj! Trupan smyj!*”, wyzywał Ajfrida w myślach.

Joncillo źle przytrzymał ucho i gliniany dzban uderzył w krawędź basenu.

– Ostrożnie, bo rozbijesz! – krzyknął *vedan* na *patnocljinika*. – Dzbanów brakuje.

„Słońce wysoko na niebie, a ten już pijany”. Jante podrapał swędzącą czerwoną plamę na lewym przedramieniu. „Po co on pije? Jeszcze cały *nocelj* przed nim. Ja powinienem się upić, nie on. Będzie pił już teraz, to swojego *vyleta* nie doczeka.

Nasz czas się zbliża, a kogóż ja doprowadzę...? Pięciu mężczyzn i dwadzieścia osiem kobiet. Co z tego będzie? A jeśli nawet znowu się uda, to komu wszystko zostawimy? Tej bandzie pijaków?” Jante rozejrzał się po asystujących mu *patnocljinikav*. Żaden z nich nie był trzeźwy, chociaż tylko Joncillo ruszał się niezbornie.

„Ja piłem mało, a już rozpadam się z każdym dniem. Braborka odwraca głowę, jeszcze wyleci z tym pokurczem *Jadóviną*. A na dodatek *smyj* przyłazi z góry i obiecuje Czas Radości. Co to za radość przez ły...? Same ły, nie radość. Przecież go pamiętam. Ledwie starszy od nas, a niby taki mądry. Ech...”, machnął ręką.

Wszyscy podnieśli głowy, chcąc wykonać polecenie.

– Nie. Nic – powiedział.

Nagle znieruchomieli. Wszedł *Vatran Auraio*. Oparł się o ścianę i zaplótł ramiona. Milcząc, przyglądał się ich robocie.

„Co mu się znowu nie podoba?” pomyślał Jante. „Znowu coś nie tak? Inaczej niż w jego uczonych książkach?”

Pióra okrywające ciało *auraio* lekko się wiły, nie zatrzymując ani na chwilę. Większość była czarna, ale spod nich chwilami ukazywały się czerwone, a nawet złote.

Milczenie przeciągało się. W kącie stał wór ułomków *hubiny*. *Auraio* sięgnął po ciemnobrązową bryłę. Opuszką palca sprawdził delikatną, aksamitną powierzchnię. Powąchał: intensywny zapach świeżego chleba.

– Mocno pachnie. Zaczyn dobrego wina – powiedział.

– *Hubinaca Ljuka* się kończy – powiedział *vedan*. – Zbieramy za dużo. Kępa się nie

odradza. Szukamy nowej.

– Nie ma kto chodzić po lasach...?

– Mało nas. Mało *vyletnikov*, mało też *patnoclĵnikov*.

– A woda już zatruta?

– Przynosimy jeszcze znad Prvni Urava. Jest czysta. Na dnie zostawia trochę łu, ale żadnych czerwonych drobinek.

– Może by zacząć chodzić ponad Dvi Urav?

– Woda stamtąd jest mętna, zgrzyta w zębach.

– Wystarczy zostawiać ją na noc, łu osiadzie. Czerwona zaraza dosięgnie ją później niż wodę znad Prvni Urava. Zacznę przemianę – Ajfrid zmienił temat.

Jeśli jakieś przedsięwzięcie Zacznie sam *vatran auraio*, to sprawa na pewno zakończy się sukcesem. Ajfrid znał swoje powinności. Tanecznym ruchem uniósł ramiona, by pióra zatoczyły łuk i pokazały barwy, następnie z namaszczeniem włożył brunatną grudę do basenu. Potem sięgnął po drugą i następną. Zrazu unosiły się na powierzchni, potem nasiąkały płynem, ciemniały i zanurzały się całe. Pozostali wrzucili resztę *hubiny*.

– Wino jest lepsze niż woda – powiedział Jante.

– Wkrótce woda będzie zatruta, zostanie tylko wino.

– Bo jest zdrowe.

– Nie jest szybką trucizną, ale zmienia ludzi. Ciągłe kłopoty z pijakami.

Jante nie odpowiedział. *Patnoclĵnika* pili za dużo, a *vyletnika* jeszcze więcej.

– Gdyby odbudować most, można by szukać *hubinu* znacznie niżej – powiedział Ajfrid.

„Mostu mu się zachciewa”, pomyślał Jante. „A dla kogo? Dla tego pijanicy Jonczilla? Czy może dla Gjacke Ovidana, który ze swoją bandą terroryzuje *garadu patnoclĵnikov*?”

Wyprawy na prawy brzeg Styrama trzeba było kończyć wczesnym popołudniem, kiedy potok dało się jeszcze przebyć w bród. Im bliżej zmierzchu, tym groźniej nurt bił w swoje koryto; pod wieczór chciał już rozwalić więżące go skały.

Nie mogli ryzykować noclegu poza domem. *Poroki* podchodziły pod samą wieś, uderzenia ich masywnych, włochatych łap głucho dudniły w zamknięte okiennice. Po nierozważnym wędrowcu, który spróbowałby przenocować pod gołym niebem, zostałyby w nicianym całunie garść zniekształconych jadem kości, może jeszcze kłębek niestrawionych włosów.

W nocy potok uspokajał się, a rankiem już tylko sączył niewielką strugą.

– Skoro stary most zerwało, to i nowy się nie utrzyma – powiedział Jante. – Zostań do

jutra. Prześpij u Dziwaczek, w chacie Gaty żyją dwie osoby. Po co ci tak biegać w górę i w dół?

– Wymierzono mi, ile razy wolno zejść do wsi za jeden *medinocelj*.

– To też jest w pismach?

– Jest wszystko. Przestrzeganie reguł daje więcej siły na przetrwanie *nocelja*, ale zostanę tu do jutra.

Do chaty weszła Alica. Stała pod ścianą, ale daleko od *auraio*, i przysłuchiwała się rozmowie. Teraz podeszła do niego.

– Chodźmy. Pościelę dla ciebie na strychu – powiedziała.

Do wsi wracali skrótem wzdłuż potoka. Spytał o Kirusa.

– Złamał rękę – wyjaśniła. – Krzywo mu się zrosła. Gorzej nią włada.

– Obejrzę, co się da zrobić.

Uśmiechnęła się.

„Ci oboje chcą razem odlecieć”, pomyślał niechętnie. Ale zaraz się zreflektował. „Czy to samotność sprawiła, że ledwie ją zobaczyłem, a już jestem o nią zazdrosny...?”

8.

W dolinie oziębilo się na wieczór. Słońce już dawno skryło się za granią. W chacie było jeszcze dość jasno, by nie palić kaganka. Zresztą to może lepiej, bo Alica opatrywała przed snem Gatę Tezejną i nie było widać wszystkich szczegółów. Ajfrid chciał wyjść, lecz Gata go zatrzymała.

– Musisz mnie obejrzeć i opisać ze szczegółami.

– Jest dość relacji. – Wolał zachować w pamięci wspomnienie jej pięknego, gibkiego ciała.

– Ja chcę zostać opisana. Chcę przydać się następnym. Odejdę bezpotomnie, niechże przynajmniej wiedzy dzięki mnie przybędzie. Już nie przypominam ludzkiej istoty.

Ajfrid usiadł obok. „Ja też nie” pomyślał. Nie wziął ze sobą ani stronicy, ani tuszu, obserwacje odtworzy potem z pamięci.

Alica zdjęła chustę, podwinęła rękawy białej bluzki, odsłaniając smukłe przedramiona i delikatne nadgarstki. Miała nieduże dłonie i długie palce. „Nie przywykła do ciężkiej pracy fizycznej”, pomyślał.

Dziewczyna zgarnęła włosy, by nie sypały się po ramionach i ciasno spięła je bladoceglastą wstążką. Odśloniła wdzięczną szyję i ładny kark. Ajfrid wolał gapić się na urodziwą pomocnicę, niż śledzić opatrywanie śmiertelnie chorej. „Ta wstążka mogłaby być

bardziej czerwona” pomyślał. „Wyglądałaby w jej włosach jeszcze ładniej”.

Gata zerknęła to na Alicę, to na Ajfrida. Milczała.

Alica odwinęła koc, odsłaniając chorą. Choroba zrujnowała ciało Gaty, zmieniając je w żywy szkielet. Głowa, przewiązana chustką, spod której wychynęły resztki rzadkich włosów, przypominała czaszkę: policzki zapadły się, błyszczące oczy otaczały ciemne kręgi. Z piersi zostały tylko brodawki, paradoksalnie opuchnięte i przez to wznoszące się nad wyraźne żebra. Brzuch zapadł się jak u mumii, eksponując spojenie kości łonowej, tym znaczniejsze, że biodra Gaty były bardzo wąskie. Wychudłe uda rysowały się wyraźnym kształtem kości udowych. Mocno wystawały kolana i kostki. Podudzia od połowy i całe stopy miały karminowy kolor. Z tym wyjątkiem skóra była mocno pomarszczona, brunatna, usiana czerwonymi, sączącymi się plackami, przedzielonymi wiodącymi w głąb ciemnymi pęknięciami.

– To jedno wielkie *krve zname*. One wszystkie połączyły się przeciwko mnie. Widziałeś coś takiego? – spytała Gata.

– Pierwszy raz na własne oczy... – Ale w rzeczywistości oczekiwał podobnego widoku.

Zdrowa kobieta może przeżyć *sedmi nocelj*, natomiast mężczyzna, który choć raz kornaczył, dodatkowego *nocelja* nigdy nie przeżyje. Nie pamiętano żadnego buntownika. Któżby zrezygnował z przejażdżki na grzbiecie *mlokan jogra*?

Alica ścierała wydzielinę wilgotną szmatką, suszyła gałgankiem sączące się znamiona starej. Tam skóra odstawała, odsłaniając szczeliny wiodące w głąb zmienionej tkanki. Na szmatce zostawały skrawki martwej materii. Sporo czerwonych drobinek.

– Pamiętasz jeszcze, jaka byłam?

– Tak.

– Wyglądam przerażająco. Chociaż ty tego nie powiesz.

Skinął głową, trudno było zaprzeczać.

– Może ostatni raz chciałam ci się pokazać naga.

– Ja stale chodzę nago.

– Twojej nagości nikt nie widzi. Jesteś szczelnie odziany w pióra. Lepiej niż ktokolwiek inny, bo zawsze.

Alica skończyła opatrywanie chorej. Przykryła Gatę kocem pod szyję, starannie zawinęła jej stopy.

– Alica, przygotuj Vatran Auraio posłanie w gościnnej izbie.

Gdy dziewczyna wyszła, stara spojrzała na niego.

– To wszystko dla niej – powiedziała. – Ma widzieć to wszystko, żeby nie została buntownicą. Ma takie zadatki. Dopilnowałam, żeby to ona mnie pielęgnowała. Mieszka ze mną na stałe.

Ajfrid milczał. Po co to zrobiła? Umierająca kobieta mogła tracić władzę umysłową.

Alica posłała mu w największej izbie, wypełniającej całe piętro chałupy. Jeden kaganek nie rozświetlał jej mroku.

– Powiedziała, żeby zamiast kołdry dać ci dwa prześcieradła. Są czysto wyprane. Nie zakażą cię jej wydzielinami.

– Starczy jedno. Ja się nie przykrywam. Często zmieniam pozycję. Przygniecione pióra by obumarły.

Zostawiła go samego. Przez szpary w zamkniętej okiennicy widać było ogniki pełgające w oknach wielkich domostw. Jeden po drugim znikwały: mieszkańcy zabezpieczali się na noc przed chłodem i zwierzem. *Porok* potrafił bez trudu wspiąć się na piętro po ścianie i dalej, pochyłością dachu. Większy i cięższy *medvad* mógł zaatakować tylko drzwi czy okna na parterze.

Z dołu właśnie dobiegał odgłos barykad zakładanych przez Alicę. Potem jeszcze stapania przy wyjściu, trzask drzwi, jakby właśnie dziewczyna wymykała się z chałupy. „Pobiegła do Kirusa. Oni wszyscy to robią przed *vyletam*, chociaż nie powinni”. Poczł niestosowność tej myśli.

Chmury gdzieś poznikały, a niebo się rozgwieździło. Ajfrid zdusił palcami knot lampki oliwnej i wygodnie ułożył się na rozesłanym prześcieradle.

Biegące przed oczyma obrazy z minionego dnia przekształcały się, zmieniały. Barw im ubywało. Narastała nieuchwytna groza, która nieodwołalnie nadchodziła po zwykłych wydarzeniach. Gdzieś zniknęło światło, sceneria ciemniała. Kirus dusił go zdeformowaną lewą dłonią, podtrzymując prawicą sztywno przykurczone palce. Skóra napastnika była brunatna, gęsto pokrywała ją karminowe liszaje. Na dodatek ktoś położył Ajfridowi na plecach zaszyty całun ze zwłokami Drevanej Auraicy który wgniatał go pod ziemię. Kirus wypchał go teraz do tego samego worka, aby go potem zaszyć obok jej ciała. Auraica pomagała oprawcy, naciskając na Ajfrida wężowymi ruchami.

– No, już! – dotarł do niego szept. – Teraz lepiej. – Alica poprawiła go na posłaniu. – Już będzie ci lepiej. – Jej oczy zabłyszczały w świetle kaganka. – Przyszłam sprawdzić, jak śpisz. Zobaczyłam, że leżysz na boku, ale nie oddychasz, dlatego cię zbudziłam.

– Dziękuję. Musiałem przycisnąć serce. Tego nie wolno opierzonym.

– Nie domknąłeś okiennicy, a godzinę temu podszedł *porok*. Pierwszy raz od zejścia

śniegów. Dobijał się do głównych drzwi. Dobrze, że nie wspiał się na dach, bo wtedy mógłby wejść do środka.

9.

Wczesnym rankiem grupka uczniów pośpiesznie dreptała do budynku szkoły. Każdy trzymał związane sznurkiem drewniane deseczki, powlekane tabliczki do notowania. Nagle na ich drodze stanął stwór straszniejszy niż wszystkie drapieżniki nękające Matecinu Dolanu.

Oto znad kępy porośli o kraplakowych i fioletowych kielichach, przypominających wycelowane w niebo trąbki, groźnie łypała ku malcom nienaturalnej wielkości trupia czaszka o długich, cylindrycznych zębach w nieustannie kłapiącej zuchwie. Czerep wieńczył kłęb postrzępionych czarnych włosów.

– Huhu! Uhu! – posepnie dudniła czaszka. Malcom zdrętwiała skóra na plecach. Zamarli w bezruchu. Niektóre dzieci złapały się za rączki.

Przeraźliwa czaszka wznosiła się coraz wyżej. Tkwiła na końcu patykowatej szyi, a już zza porośli odsłoniły się ramiona z trzech trupich czaszek, tych przynajmniej milczących, już wychynał kręgosłup, aż gęsty od pałakowatych żeber, a jeszcze niżej biodra z trzech jeszcze większych trupich czaszek o zuchwach przyrośniętych i nieruchomych. Żebra otulał rzadki kłęb grubych jak druty czarnych włosów, a niżej biodra drugi taki sam, może jeszcze gęstszy. Stwór wymachiwał niezwykle długimi i chudymi ramionami. Olbrzym miał ze cztery metry wysokości.

– *Ja som Nocelj! Trupan Nocelj! Nie odejdę! Przegnam słońce!* – rozległo się wokół.

Malcy patrzyli przerażeni.

– *Ot-bje-żaj-tje! Ot-bje-żaj-tje!* – donośnie zakrzyknął potwór.

Uczniów nie trzeba było zachęcać. Wszyscy zawrócili w miejscu i runęli do ucieczki. Wokół zostały porzucone tabliczki i kartki z notatkami.

Rozległ się wtedy wybuch śmiechu. Pokraczna kukła wyłoniła się w całości. Nogi nieśli i napędzali Matej Branu i Jurdo Drevar. Tyczkami poruszali ramiona Kosima Prugar i Gjacke Ovidan, który wszystkim kierował.

Patnocljnika bawili się znakomicie. Od dwóch tygodni, w tajemnicy przed innymi, przygotowywali kukłę Nocelja. Wyrzeźbione czaszki, kościste dłonie i stopy pozostały w *garadu* jeszcze po poprzednikach, patykowate kończyny, żebra, kręgosłup i tyczki napędzające kukłę wystrugali sami.

– Chodźcie, postraszymy dziewczyny – zakomenderował Gjacke. – Maluchy boją się wszystkiego.

- Jeszcze nie wyszły z *garadav* – burknął Matej.
 - Bardzo dobrze. Nocelj zapuka do okiennic na piętrze.
- Wszyscy gruchnęli śmiechem.

10.

Z każdym dniem słońce wyżej wspinało się na nieboskłon. Już nie kryło się w swej drodze za Ledan Vyrhem, lecz całą tarczą biegło ponad nim. Śniegi cofnęły się w górę Bezladnaj Dolany, pozostawiając za sobą przysypane rumoszem jęzory lodowców.

Toń Zelanogo Jazyra odzwierciedlała nazwę. Żyjące w nim organizmy nasyciły je barwą. Bezladna Dolana pyszniła się barwami. W górze mieniła się różnymi odcieniami purpury, a jej dolne piętra szczelnie pokryła roślinność. „Przeniesienie się tam nie uwolniłoby nas od plagi zakażeń”, pomyślał Ajfrid. „Wegetacja jest równie bogata, jak w Matcinaj Dolane, więc zagrożeń równie wiele. Nie mieli racji moi poprzednicy”.

Dokuczala mu samotność. Drevana Auraica tłumaczyła, że tylko samotność go nie opuści i powinien się z nią jak najszybciej zaprzyjaźnić, jednak dotąd mu się to nie udało. Spacerował w górę pod Prevajnu Pianinu albo w dół na Prevaj, i dalej, na zbocze Ledan Vyrhu, wydeptując ścieżkę. W słoneczny dzień nie musiał nawet podnosić ramion, pióra grzały wystarczająco. Nadal odżywiał się normalnie.

Nadchodził okres upałów. „Pastwiska w dole są teraz najżyźniejsze, ale wiatr niesie za dużo jadu”, pomyślał. Łąki w pobliżu osady nie zapewniały dość paszy dla potworów mlecznych. „Gdyby dało się skutecznie pętać *jogry*, można by je pozostawiać na najgorętszy okres bez dozoru na pastwisku, a mleka byłoby w nadmiarze”. Niestety, mocarne stwory zrywały liny plecione z włókien roślinnych. „Może linki stalowe by wytrzymały? Cóż, zrobienie wyciągarki do drutu przekracza nasze możliwości”.

W osadzie Nocelj grasował codziennie. Wymuszał w okupie wino mleczne, kradł orzechy, zaczepiał dziewczyny, straszył małe dzieci. Czwórka *petjnocljnikav* pozwalała sobie na wiele. Zaczęli przez okna zakradać się do sypialni wczesnym rankiem i zaczepiać śpiące dziewczyny.

Jurdo Drevar miał lekką rękę do rzeźbienia w drewnie. Przybyło więc dodatkowych drewnianych puszczeli i kilka czaszek. Swawolnicy wrzucali przez okna kości Nocelja, albo te drewniane czaszki, i żądali zapłaty. W *garadu czetrinocljnikav* zniszczyli framugę, i Jante ich zrugął, bo z naprawą ledwie zdążyli przed nocą. Jednak przegnać Nocelja z osady jeszcze nie można było. Będzie wszystkich straszył, dręczył i zaczepiał aż do Pochodu Starej Pamięci.

Ukończono podwieszoną kładkę na drugą stronę Styrymana. Kirus Drevar

zaprojektował konstrukcję wiszącą na plecionych linach, parę metrów nad nurtem. Kładka nie nadawała się do transportu większych ilości towaru, a już mowy nie było, żeby przeszedł przez nią *mlokan jogr*. Wysokie pastwiska na drugim brzegu potoku nadal pozostawały poza zasięgiem wiejskiego stada. „Może dzięki tej kładce odnajdą na drugim brzegu nowe *hubinacy ljuci*”, pomyślał Ajfrid, który znowu zszedł do osady.

Kirusa Drewara, który nadzorował roboty wykończeniowe, nie odstępowała Alica. Ajfrid złapał jej spojrzenie, ale ta zrobiła dłonią gest i oddaliła się. Dziewczyna go unikała. Nie pamiętał, czym ją uraził.

Zaczynały się problemy z wodą. Przynajmniej wina mlecznego nie brakowało, niedługo będzie to jedyny napój w osadzie, a wszyscy od południa będą już pijani.

– Czerwona zaraza wypełniła Dlni Jazyro, ale woda z Vyrhni Jazyra pachnie świeżo, jest całkiem przezroczysta – powiedział Jante do Ajfrida. – Jednak boimy się jej pić.

– Wiem. Lepiej nie ryzykować. Mlecznego wina jest dosyć.

Ajfrid zatrzymał się w chacie Gaty Tezejnej. Stara żyła jeszcze, chociaż prawie się nie ruszała. Jedynie błyszczące spojrzenie zostało badawcze. Ledwie mówiła. Wieczorem usiadł przy niej i długo opowiadał, jak rosną *volci*, jak zabarwione są obie doliny, jak wygląda nowa kładka, a jak jego samotnia nad Prevajem. Gata знаła to już, ale chciał ją jakoś rozerwać. Może w jego opowieści znajdzie coś nowego dla siebie?

– Dosyć – powiedziała wreszcie. – Męczysz mnie. Po prostu posiedź tu blisko, Ajfrid.

Alica nie przeniosła się do *vyletan garadu*. Nadal sypiała u Gaty. Nie zamienił z nią ani słowa. Zajrzała późno. Przygotowała mu posłanie i zaraz znikła.

11.

Coraz gorzej szło Nocelju w Matcinaj Dolane. Nadal próbował straszyć malców czy zakradać się do śpiących dziewcząt, jednak wypląsał go ostry, krzykliwy dźwięk długich trąb, wykonanych z pustych w środku łodyg *jogravaj travi*. Wrzaskliwy charkot oznaczał, że tutaj Nocelj okupu nie dostanie. Za czwórka *patnocljinikav* coraz częściej chodzili *trubyci*, hałasując nieznośnie swoimi fanfarami. Wszyscy inni, ostrzeżeni wrzaskiem, mieli czas oddalić się od uciążliwej kukły. Coraz więcej *czetrinocljinikav* sporządzało sobie hałaśliwe instrumenty i wypląsało Nocelja. Gjacke i jego kompani, nękani przez *trubyciv*, ogłuszani ich piszczakami, tracili ochotę do złośliwych psot.

Trubyci byli gromkim znakiem, że zbliża się Czas Radości, pora Pochodu Starej Pamięci, jednego z dwóch najważniejszych świąt osady. Gdy tylko słońce wychodziło nad grani, grzało niemiłosiernie. Nocą nie było przymrozków. Najwyższy czas zebrać nasiona

jedal drava. Muszą wyrosnąć i wydać plon przed nadejściem mrozów kolejnego *nocelja*. Trzeba posadzić ich jak najwięcej w pobliżu osady, bo olbrzymich pni nie da się transportować daleko. Urbanec i Jonczillo płątali się wokół spróchniałych, niebotycznych, tyczkowatych, martwych pni. Deptali skłębione, przypominające włosy, suche, wąskie łodygi. Łamali brunatne, kapeluszowate liście, kiedyś mięsiste, intensywnie purpurowe, teraz wyschłe i podziurawione, trzaskające burym kurzem. Wszystko tu martwe, kruche, wysuszone. Urbanec metodycznie tarasił roślinność, Jonczillo robił to z mniejszym przekonaniem.

– Tutaj nie widać nasion – powiedział. – Trzeba się przenieść pod Prvni Urav. Wszystko przepadło, mróz poraził, a potem przylazł *stjegan smyj* i zeżarł do reszty. To ścierwo zeżre wszystko, co znajdzie. Drobi tymi swoimi krótkimi łapskami, a wścibskim pyskiem przy ziemi śledzi. Wszystko wynajduje. Dziwne, że tego zielska nie ruszył.

– Myślę, że tutaj nie dotarł – skrzywił usta Urbanec. – Tnij te liście, orzechy leżą na ziemi, tylko są trochę przykryte butwiną.

– A te dziury w liściach kto powygryzał...?

– *Stjegan smyj* zeżarłby wszystko do ziemi.

Jonczillo pociągnął głęboki łyk z glinianego dzbanka.

– Najpierw praca, potem picie – rzucił twardo Urbanec. – Odstaw dzbanek. Bierz się za te krzaki.

Jonczillo spróbował raz, drugi ciąć maczetą nitkowate łodygi, ale te sprężynowały.

– Trzeba to wytargać.

– Na co czekasz? Na wino trzeba zapracować.

Jonczillo spojrzał niechętnie. Owszem, Urbanec miał rację, ale w czasie lekcji to Jonczillo, a nie on, najszybciej rozwiązywał zadania zadawane przez nauczyciela. Urbanec dochodził do swoich sukcesów mozołem, nie talentem. Zawsze wiedział wszystko dzień później, kiedy w samotności przemyślał, przećwiczył podobne zagadnienia, a wreszcie wszystkiego nauczył się na pamięć. Zamęczał długimi i głośnymi przemowami pełnymi emfazy, w których przedstawiał rzeczy wyłożone przez nauczyciela jako własne pomysły. Dziewczyny wyśmiewały się z jego pozy, ze sztucznego brzmienia głosu.

Jonczillo był przeciwieństwem Urbaneca. Zwykle już następnego dnia nie pamiętał lekcji, jednak zadania rozwiązywał najszybciej ze wszystkich uczniów. Mimo różnic to właśnie oni byli najlepszymi uczniami spośród *patnocljinikav*. Gjacke Ovidan nie mógł się z nimi równać.

Vylet zbliżał się szybko. Niedługo trzeba będzie wybrać nowego nauczyciela, czas

nauki się kończył, ktoś z *patnocłjnikav* będzie uczył następnych. Jonczillo bardzo chciał zostać nauczycielem, ale przy systematycznym Urbanecu nie miał wielu szans. „Chyba, że Jante właśnie Urbaneca wybierze swoim następcą”, pomyślał.

Teraz jednak pyszałek miał rację: usunięte chaszcze ujawniły masę obłych nasion *jedal drava*, przykrytych warstwą rudego pyłu butwiny. Szybko wypełniali worki orzechami.

– Baric mówi, że w nasionach *jedal drava* można znaleźć małych ludzików – rzucił Jonczillo.

– Bredzi – prychnął Urbanec. – Ludzie biorą się z *vyleta*.

– Niektórzy mówią, że pierwszych ludzi znaleziono w *jedal dravu*. Bo niby skąd mieliby się tu wziąć...? – Jonczillo spojrział z ukosa na Urbaneca. Trochę drażnił się z przemądrzalcem, ale jego samego niepokoił *vylet*, z którego wzięli się pierwsi ludzie. Co zniosło pierwsze *ovaja*? *Porok*? *Medvad*? Może *mlokan jogr* czy *stjegan smyj*...? Mało prawdopodobne.

– Bzdury. Jak niby mieliby tam powstać?

– Powstali wewnątrz pnia, a ich *ovaja* wysypały się, gdy pień sam runął. Inne *jedal drava* postanowiły ich karmić i w zamian *ovajav*, wewnątrz pni, wydawały słodkawą mączkę, *jedlo*.

– Wierzysz w to?

– Sam nie wiem. Tak mówi Baric, inni też tak mówią. *Jedal drava* dalej próbują wydawać ludzików, ale wychodzą im tylko małe *smyjaka*, które zjadamy.

– Gdybyśmy je tam zostawili, to wyrosłoby z nich ludzie? Przecież *smyjaka* są tłuste, segmentowane, nie mają rąk czy nóg, a tylko głowę i szczęki. Z tego mieliby wyrastać ludzie...?

– Pewnie nie. Ze wszystkim jest coraz gorzej, to może zamiast małych ludzików *jedal drava* wydają tylko *smyjaka*. Dobrze, że chociaż smaczne i słodkie w środku.

– Ze *smyjaka* wylęgają się *żjaraca*, a nie ludzie.

– Tak mówił nauczyciel. Może chciał coś ukryć przed nami.

– *Auraio* schował w swojej norze prawdziwą wiedzę.

– On też nie wie.

Urbanec spojrział poważnie.

– *Krvedema* i woda, to jego odpowiedź. Tak ci odpowie *auraio*. Z gliny, nawet z czerwonej *krvedemu*, można ulepić dzbanek, nie człowieka.

– A z *jedal drava* wylażą *smyjaka*, nie małe ludziki. Podbierałem cię, to tylko Baric w nie wierzy.

– Nie tylko on. Wielu tak twierdzi. Ja też to słyszałem. Chodź, kosze pełne, wracamy.

Joncillo pociągnął dwa wielkie łyki i podał dzbanek Urbanecowi. Ten nie miał ochoty, ale widząc, że jest obserwowany, wypił do dna.

12.

Alica wybrała się do podziemnej spiżarni po kulki *jedal drava*. Spieszyła się, bo Gata została bez opieki. Stare zapasy pożywienia już się kończyły. Pożywienie niby było trwałe, jednak z czasem zaczynało się powoli psuć. Przyjemny ziołowy aromat już dawno gdzieś uciekł. Kulki zbrązowiały, obecnie wydzielały niemiły zapach tłuszczu. Na dodatek ktoś niedbały wysypał je z worka. Trzeba było wszystko pozbierać, żeby ludzie nie podeptali. Podziemne pomieszczenie było ciemne, kaganek słabo rozjaśniał podłogę. Alica męczyła się na kolanach. Nagle stało się znacznie jaśniej.

– Trzeba ci pomóc? – rozległ się miły niski głos.

– Poradzę sobie, ale przyświeć.

Jadovina nachylił się, jednocześnie przybliżając kaganek. Snop światła wydobył kulki leżące na podłodze pod półką. Alica zbierała jedną po drugiej. Na szczęście jeszcze nie było rozdeptanych – podłogi czyścić nie trzeba.

– Przeniosłaś się od Sirki – ni to stwierdził, ni spytał. – Nie lękasz się mieszkać tak osobno?

– Mam więcej spokoju, a okiennice są dość mocne.

– Izolujesz się od innych.

– Nie tęsknię za towarzystwem.

Jadovina pachniał inaczej niż wszyscy *vyletnika*. Był czysty, wymyty, a jego świeżo wyprana odzież nie wydzielała zapachu zaschłej ropy czy limfy.

– Dużo wysiłku poświęcasz buntownicy.

– Jante kazał się nią opiekować. Nie narzekam, to stara, mądra kobieta. Dużo się od niej nauczyłam.

– To po co się zbuntowała?

– Może dziś zrobiłaby inaczej... Przyświeć tu z lewej.

– Za dużo zrobiła dla mężczyzny. Nie zostawiła swoich dzieci.

– Myślisz, że zrobiła to dla Vatran Auraio?

– On tego nie zauważył. Kobiety się poświęcają, mężczyźni nawet nie zauważają.

– Ty wszystko robisz, żeby się podobać kobietom. Gonia za tobą bez opamiętania.

– Gonia za mną?

- Ależ tak. Zlatka, Krysta, Pavla.
- Dożyłem do *vyleta*. Samo tak wyszło. Wcześniej byli przystojniejsi ode mnie. Dziewczyny mnie nie zauważały.
- Nie masz *krve znam*, została ci czarna czupryna, gładka skóra.
- Skąd wiesz, że mam gładką skórę...?
- Jadòvina roześmiał się.
- Przytrzymaj tę chustkę – powiedziała za szybko. – Chcę tutaj wsypać *jedlo*.
- Wyszli razem z piwniczki. Jadòvina niósł jej zawiniątko.
- Już nie trzymasz się blisko Kirusa. On jest zdrowym mężczyzną, tylko rękę ma zniekształconą. Będzie dobrym ojcem.
- Jest inny powód.
- Na Pochód Starej Pamięci chcemy uhonorować *vyletnice*, bo one są najważniejszymi z ludzi – zmienił temat.
- Honorujesz jedną za drugą – parsknęła.
- Skąd wiesz?
- Przecież widzę, jak za tobą patrzą, wszystkie.
- Zlatka, Krysta i Pavla...? Wymyśliłaś sobie.
- Gruby Dmytro albo Taras będą je honorować? Oni też są dość zdrowi.
- Wybierzemy waszą przedstawicielkę, którą *patnocljnika* poniosą w lektyce. Tak uczymy łono *vyletnicu*. Jante się zgadza. Bez *vyletnic* wszyscy by przepadli.
- I to mam być ja?! Tak? O to ci chodzi?
- Możesz być ty, ale musisz... – Przysłonił usta dłonią i resztę powiedział jej szeptem do ucha.
- Dosyć! Przestań! Nie i jeszcze raz nie! – krzyknęła rozgniewana. – Oddaj *jedlo*! – Odebrała mu zawiniątko. – Sama to wezmę.
- To nie ja wymyśliłem – powiedział Jadòvina z daleka. – Jante miał cię spytać o to samo.
- Usłyszysz to samo!

13.

Głównymi bohaterami dzisiejszego dnia byli przyszli *vyletnika*. Już od rana aktorzy zbierali się przed *vyletan garadam*. Wszyscy odziani byli bardzo kolorowo. Pasemka barwionej trawy gęsto poprząszywali do strojów. Wyglądali dziwnie, uroczyście, jakby włochato i niezwykle. *Vyletnice* umalowały się starannie: brwi i rzęsy przyczerniły węglem drzewnym, policzki

natarły ceglastoczerwoną glinką. Włosy przyciemniły sinym sokiem roślinnym. W tych przebraniach były nie do rozpoznania. Mężczyźni byli zachwyceni.

Wszyscy wystrojeni, uroczyści stali w milczeniu, nasłuchując czegoś w górze doliny. Wiatr wiał, Styрман szumiał, ale nagle przez te zwykłe odgłosy przedarł się ledwie rozpoznawalny, a potem coraz głośniejszy, przeraźliwy dźwięk trąb.

Hałas zbliżał się ku osadzie, wędrując leśną ścieżką. Wreszcie znad pobliskich drzew wyłoniła się wyszczerzona, nieustannie kłapiąca czaszka Nocelja. Trąbienie ogłuszało. Drewniane straszdyło machało patykowatymi ramionami, we wszystkie strony łypało pustymi oczodołami. Wyłaniały się już czaszki jego barków, dalej patykowate żebra, a wreszcie czaszki jego bioder. Zgromadzonych ogarniało ożywienie. Nocelj pokracznymi susami uciekał przed grupą *trubyciv*, którzy ploszyli go przeraźliwym hałasem i niemal kłuli długimi, wąskimi piszczałkami.

– *Tij pokracu!* – krzyczeli zgromadzeni. Wygrażali mu. – *Odleżaj na zatratu, tij trupan szpatjelu!*

Nocelj kiwał się na wszystkie strony, ruszał niezdarnie. Jedno ramię zwisało mu bezwładnie, gdyż napędzała go dzisiaj tylko trójka swawolników. Niby uciekał, ale *trubyci* otaczali go z każdej strony i jak pociskami, razili przeraźliwymi dźwiękami.

– Cisza! – *Vedan* uniósł rękę i wrzaski umilkły. Wrzaskliwe ryki *trub* urwały się tak nagle, że cisza w uszach aż wibrowała. Inne odgłosy jeszcze nie chciały się przez nią przebić.

– *Czo z njam? Czo z pokracam? Czo z Noceljam?* – Jante zwrócił się do zgromadzonych.

– *Na za-tra-tu! Na za-tra-tu!* – skandowali wszyscy. Ajfridowi udzieliła się atmosfera i roześmiany do łez, też krzyczał z innymi.

Jante dał znak, a operatorzy skłonili Nocelja głową aż do ziemi. Wtedy skądś pojawił się czwarty z nich, z maczetą w dłoni. Zamachnął się i jednym ciosem ściął głowę cudaka. Od zbyt mocnego uderzenia ostrze wygięło się komicznie na bok. Przez zgromadzonych przebiegła fala chichotu, a egzekutor się zaczerwienił. „Zwykle ścina się Nocelja drewnianą maczetą, żeby kija nie stracić”, pomyślał Ajfrid. „Trzeba będzie kukłę naprawiać”.

– Do Styр-ma-na! Do Styр-ma-na! – zaczęli skandować rozradowani zgromadzeni. Zaraz młodzi rzucili się i rozkawałkowali pokonane straszdyło na pojedyncze członki. „Zniszczą go do reszty. Psują zabawę następcom”.

Resztki Nocelja, wrzucone do strumienia, nie popłynęły z nurtem. Jedne zaczepiły się o kamienie, inne – czaszki rzeźbione z porowatego kamienia – zatoneły. Straty nie były więc aż tak poważne. Jutro wybiera się to, co zostało, i schowa na przyszłość.

Czas Nocelja się skończył, nadszedł Czas Radości. Dzisiejsze święto niosło jednak ryzyko, gdyż pochód wiódł daleko w dół, aż ku Zatròvati Ljucam. Podobno kiedyś gęste chmury czerwonego pyłu, przygnane wiatrem z dolin, uderzyły w Pochód Starej Pamięci. Od przyniesionego jadu wiele osób straciło przytomność, a trzy zmarły. Jednak kto by dzisiaj myślał o starych strachach?

Jante kierował uroczystością. Wszyscy zgromadzili się przed bramą *garadu vyletnikav*. *Vyletnika* przynosili szerniałe ze starości drewniane belki. Na każdej z nich mieściły się cztery gniazda do zamocowania słupów z *gazova drava*, w których przechowywano czaszki lub zachowane mumie. Z belek montowano kwadratowe platformy, następnie wynoszono słupy z czaszkami i mocowano je w gniazdach. Gdyby któraś z czaszek wypadła i roztrzaskała się, byłby to zły znak. Kiedy słup się przechylił, czaszki kolebały się jak serca dzwonów.

Ajfrid próbował wyłowić wzrokiem Alicę, ale kobieta była nie do poznania pod makijażem.

Czwórkami, *vyletnika* unieśli platformy z czaszkami, biorąc na ramiona końce belek.

Przynieśli też lektykę i przyprowadzili jedną z *vyletnic*. Usiadła w lektyce. Unieśli ją w górę. To była nowość w Pochodzie Starej Pamięci.

– Teraz już tak będzie? – Ajfrid spytał Jantego.

– Wszystkich *vyletnic* nieść nie możemy, a to przecież ich święto, bo dzięki nim są *wspomnienia*. Wybrali Braborkę. Ona jest dzisiaj symbolem ich wszystkich.

Wysoka dziewczyna miała posagową urodę. Zerkali za nią wszyscy w Matcinaj Dolane. Długie, kręcone, rude włosy, duże ciemne oczy i nieźrównane spojrzenie władczyni. Ceglany rumieniec nie oszpecał jej za bardzo.

– Chyba jej nie zostawicie przy granicy? – mruknął Ajfrid.

– No skądże.

Na siedmiu platformach zmieściło się sporo słupów, jednak znacznie więcej ich pozostało. Te mieli dźwigać młodszy. Każda osoba jeden słup przytroczony pasami do pleców.

Dwumetrowe wydrążone pniaki *gazovo drava* były lekkie dla *czetrinocljnika*.

Wkrótce uformowano pochód.

Najpierw w dwóch rzędach na samym przedzie pochodu ustawili się *trubyci*, dziś przebrani w stroje całe we wstążkach, kudłach i gałgankach. Raz za razem podbiegali dwa kroki i rytmicznie podskakiwali, przeraźliwie trąbiąc to na prawo, to na lewo, to wreszcie w przód. Kiedy *trubyci* podskakiwali, przymocowane do ich strojów kolorowe gałganki podnosiły się i falowały.



Zaraz za *trubycima* szła lektyka z *vedanku*. Uradowana Braborka zerkała z wysokości to w prawo, to w lewo. Sytuacja ją bawiła. Dystans gdzieś się ulotnił, naturalny majestat pozostał.

Po niej następowały platformy z najstarszymi *wspomnieniami* niesione przez *vyletnikav*. Potem reszta słupów. Szli bardzo wolno w dół Matcinaj Dolany. Co krok schylało się dwóch niosących platformę. Za każdym razem dwóch kolejnych. Skutkiem tego platforma pochylała się to w prawo, to w przód, następnie w lewo i wreszcie w tył, a cykl powtarzał się w kółko. W takt pochyleń czaszki umieszczone w kolejnych słupach wychylały się na boki. Niektóre kołatały, wracając na miejsce. Co cztery kroki niosący platformę obracali ją w kółko, aby „*wspomnienia* przypomniły sobie widok z każdej strony”.

Niosący pojedyncze słupy powtarzali rytm wychyleń, ale tylko odchylali je nieco do tyłu. W niektórych przechowywano całe mumie. Te słupy należało pochylać szczególnie uważnie, aby *wspomnienie* nie rozleciało się na kawałki. Niosący byli dość ostrożni, więc nic takiego się nie stało. Wystarczał nieznaczny ruch, a wyschłe ciała wychylały się ku idącym za niesionym pniem. Mumie wzmocniono, wiążąc stawy sznurkami, a kończyny umacniając przytroczonymi patykami.

Młodszy nieśli *grzmaca*. *Dvinoclnika* mniejsze, *trinoclnika* większe. Każdy *grzmac* wykonany został z półmetrowego kawałka pnia, do którego wzdłuż linii rdzenia wbito tyczkę. Niosący podnosił go za tyczkę i z każdym krokiem dwukrotnie uderzał pniakiem w ziemię. Pochodowi towarzyszył równy rytm głuchych uderzeń. Dźwięk nie był głośny, ale czuć było wibracje gruntu. Wszyscy poddali się rytmowi *grzmacav*. Zrównali krok. Dodało to pochodowi dostojęstwa. „Czemu właściwie to ma służyć?” zastanawiał się Ajfrid. „Za jednym przejściem ścieżki nie utwardzą”. Pochodom Starej Pamięci towarzyszył głuchy rytm uderzeń *grzmacav*.

Idący przystawali, gdy *trubyci* na wszystkie strony oznajmiali przenikliwym hejnałem, że ludzie przetrwali, że mocno będą trzymać się życia w Matcinaj Dolane, a ich trwanie przedłuży się do nadejścia kolejnego *nocelja*. Nie przegnały ich ni nie zabiły ani straszliwe mrozy, ani wielometrowa warstwa śniegu, grzebiąca pod sobą dolinę. A teraz, kiedy groza odeszła, ludzka osada znowu tętni życiem.

Pochód poruszał się tak wolno, że dzieci mogły łatwo wyprzedzać idących, przyglądać się niesionym *wspomnieniom*, potem znowu wracać na koniec. Jedni malcy śpiewali, czasem tanecznie podrygiwali, naśladując ruchy niosących platformy; inni udawali wysuszone zwłoki kolebiące się na wietrze: wywracali oczy do tyłu i kurczowo podrygiwali. Gonili się po zaroślach. „Jeden wracający z pastwiska *mlokan jogr* rozgoniłby pochód i popsuł całą

zabawę”, pomyślał Ajfrid.

Na jednej z platform Ajfrid wypatrzył czaszkę Doedda Furlongga. „Jego czaszka nigdy się nie rozsypie”, jak zaczarowany wpatrywał się w kremowy kształt.

Zeszli daleko w dół doliny. Tu było ciepłej, powietrze duszne, a wegetacja jeszcze bujniejsza. Niewyraźna ścieżka ginęła wśród wielobarwnych porośli, posplatanych srebrzystymi nitkami wysnutymi przez *poroki*. „Pochorują się po dzisiejszym święcie”.

Inni też tak myśleli. W tych rejonach wszyscy czuli się nieswojo. Dodawali sobie odwagi piciem. Pochód zwalniał jeszcze bardziej, a śpiewy brzmiały nieskładnie.

„Żaden *mlokaj* nie rozpędziłby tego pochodu”, uświadomił sobie Ajfrid. „Nawet największy *medvad* czy *porok* zawróci, przerażony wibracjami gruntu. Wyczuje zbliżanie się jakby ogromnego zwierza, znacznie większego niż on sam. *Grzmak* to najlepsze zabezpieczenie naszej grupy”. Zapisze to później. Ucieszył się ze swojego odkrycia. On sam pozostawi następcom coś od siebie. Kolejni aurai będą mniej obawiać się tych pochodów.

Spostrzeżenie było drobne, ale nie mógł oderwać się od tej myśli. Im niżej schodzili, tym mniej ubity był gościniec, a masywne tłuczki wydawały cichsze dźwięki. Tylko grunt nie przestawał wibrować po każdym rytmicznym uderzeniu.

Wreszcie dotarli do granicy osady, do rzędu kamiennych kopców stojących wzdłuż drogi. Na ich szczytach umieszczali drażone belki. Na każdym kopcu po jednej. Najpierw po kolei ubywało tych niesionych pojedynczo. Wreszcie jedna za drugą opróżnili i zdemontowali platformy. Czaszka Doedda Furlongga pozostała na jednym z najdalszych kopców. Tu przez cały *medinocelj* pozostanie znak, że w dolinie nadal żyją ludzie.

– Nie zostawiliście ani kubka – powiedziała Braborka, kiedy zeszła z lektyki. – Wargi mi popękały z pragnienia.

– Jednego niosą, inni piją – powiedziała z przekąsem Sirka.

– To chociaż moglibyście mnie zanieść z powrotem.

– Chciałabyś! Jeszcze ci mało?! Ciesz się, że belki nie dźwigasz.

Braborka wzruszyła ramionami i odeszła. Kłócić się ze zazdrośnicą nie chciała. Ostatecznie to ją, nie Krystę czy Alicę, *vyletnika* wybrali jako najpiękniejszą.

Powrót do osady potrwał dłużej. Wszyscy byli już zmęczeni, głodni, a większość miała zdrowo w czubie. Mleczne wino się skończyło. Skorupy dzbanków, rozbitych przez niecierpliwych pijaków, pozostały przy drodze. Przestali śpiewać, jedni szli w milczeniu, inni rozmawiali. Nikt nie uderzał *grzmacama* w grunt. Nieśli je na ramionach.

„Kiedyś *medvad* zabił parę osób podczas Starej Pamięci”, pomyślał Ajfrid, gdy wrócili do wsi. „Pewnie wtedy też się spili”.

Do Ajfrida podszedł jeden z *patinocljnikav*. Niski, krępy, szeroki w ramionach. Jego policzek przecinała biała blizna. Spojrzał spode łba na *aurai*. Właśnie to on ściał Nocelja.

– Dlaczego nie uczą nas wszystkiego? – zaczął bez wstępu.

Ajfrid spojrział na młodzieńca. Nie zdarzało się, żeby ktoś tak do niego mówił. Chłopak, mimo późnej pory, wyglądał trzeźwo i mówił składowie.

– Czego powinni jeszcze uczyć?

– O nas, o osadzie.

– To znaczy?

Patinocljnik drapał się po grzbiecie dłoni.

– Jest podręcznik z techniki, z uprawy, z medycyny, wiele innych...

– Właśnie.

– Brakuje wiedzy o rządzeniu. Jak kierować pracą, żeby była najskuteczniejsza, jak wydawać trafne polecenia ludziom.

– Są takie zapiski, lecz nasza wspólnota jest zbyt mała, aby taki podręcznik był konieczny.

Chłopak rzucił chytre spojrzenie.

– Po prostu trzeba nauczyć się zbyt wielu innych rzeczy. Na wszystko czasu nie starczy.

– Ja bym się tego uczył...

– Jak masz na imię? – spytał Ajfrid.

Młody powinien zacząć rozmowę od przedstawienia się, ale tak zaintrygował sobą Ajfrida, że ten nie zwrócił na to uwagi.

– Gjacke Ovidan.

– Przygotuję taki podręcznik.

14.

Osada w Matcinaj Dolane tętniła życiem. Gromadzono zapasy, reperowano odzież, tkano, prowadzono wypas.

Przy drodze postawiono dwa drewniane *mlokaje*. Nogi wykonano z *grzmacav*, segmenty wyciosano ze zbutwiałych pniaków *jedal drava*. Wąsiska z *jogravaj travi*. Odnóży miały tylko po osiem z każdej strony, ale kukły i tak wyglądały okazale. Pomiedzy parami odnóży, w miejscach, gdzie gromadzi się mleko w *ovajav*, zawieszono dzbanki z winem.

Jednocljnika wdrapywali się po słupkach, by w ekwilibrystycznej gimnastyce dosięgnąć łyku piekającej nagrody. Wspinali się na grzbiet kukły, przeskakiwali z segmentu na

segment, gonili. Mniej sprawni spadali na ziemię. Inni ciągnęli zabawkę za wąsy, naśladując dorosłych. Koło południa wszystkie dzbanki były już zazwyczaj puste, ale kiedy słońce obniżało się na swej drodze, Sirka uzupełniała zawartość dzbanków. Obie kukły symbolizowały Czas Radości, obfitość plonów.

Właśnie podbierano pożytek od *mlokan jogra*. Gromada dzieciaków z daleka śledziła wysiłki starszych. Każdy marzył, że kiedyś sam będzie oporządzał prawdziwego *mlokaja*, nie drewnianego.

Potwór mleczny tkwił nieruchomo, trzymany w mocnym uścisku ud *kornaaka*. Ten nagle parę razy mocno uderzył go piętą w delikatną błonę między segmentami. Na ten znak olbrzymie zwierzę wygięło się w łuk, odsłaniając pomiędzy kolczastymi odnóżami nabite wory mleczne. Baric i Jonczillo przewiązali lekko jeden z nich u samej góry, przy nasadzie, a następnie stopniowo zacisnęli sznur. Dzięki temu *ovajo* wyłuszczyło się z ciała potwora. Przewiązanie szypuły pojemnika myliło *mlokan jogra*. Prawdopodobnie zwierzęciu wydawało się, że skoro krążenie cieczy w środku się zatrzymało, to jajo jest już całkiem napelnione, więc je składał. Obaj mleczarze odnieśli uzyskany pojemnik z mlekiem i wzięli się za następny. Sprytnie uzyskiwali jeden wór mleczny za drugim. Olbrzym, posłuszny *kornaaku*, nie protestował. Gdy zebrano już cały pożytek z prawego boku potwora, jedno, drugie celne uderzenie piętą wystarczyło, by olbrzym zgiął się w drugą stronę, odsłaniając znów rząd napelnionych worów.

Jonczillo był pijany, ale starał się wykonywać, co do niego należało. Zataczał się, lecz nie ustawał w pracy, jakby chciał za wszelką cenę okazać, że jego stan nie zmniejsza przydatności dla gromady. „Zbierają wiele mleka, samo najśłodsze, mlecznego wina przybywa w błyskawicznym tempie”, pomyślał Ajfrid.

Kiedy podebrano już cały pożytek, potwór mleczny się wyprostował. Baric i Jonczillo schwycili jego najdłuższe czułki, te z drugiej pary. Wtedy *jogr* opuścił głowę do samej ziemi, aż kleszczowate, nieoczekiwanie niewielkie żuwaczki nabrały pyłu z drogi. *Kornaak* Janez – Ajfrid go poznał – podniósł się z siedzenia i przeszedł segment po segmencie na głowę *mlokan jogra*. Po drodze sprawnie ominął dwa *stryżaja*. „Pijak będzie dosiadał potwora mlecznego?” pomyślał Ajfrid. „Gromada straci zwierzę”.

Janez zsunął się z twardej płyty czołowej na głowie zwierzęcia. Pancierz na głowie *mlokan jogra* był pogruzłowany wystarczająco, by bosa stopy się po nim nie ślizgały. Po raz pierwszy od dwóch tygodni Janez stapał po ziemi. Zatokczył się jak Jonczillo, ale nie upadł. Zastąpił Barica, trzymającego czulek *jogra*. Ten wziął ze sobą pakunek z jedzeniem oraz długą, cienką, zaostrzoną rurkowatą łodygę, przeznaczoną do podpijania z mlecznych worów

potwora. Wspiął się po czole zwierzęcia, umiejętnie omijając kilka par żuwaczek. Największe z nich miały niewiele ponad metr rozwarcia, ale były tak mocne, że *mlokaj* mógłby nimi ściąć pień drzewa.

– Miejsce jeszcze ciepłe – rzucił Baric.

– Z lewej strony ma bliźnę – powiedział Janez. – Tam błona jest zgrubiała. Musisz mocniej kopać go z lewej.

– Jasne.

– Uważaj na wystrzępiony kant pancerza nad brzuchem. *Mlokaj* tak się raz wyrwał do przodu, że rozciął mi skórę do krwi. Dobrze, że był suchy, bo się rana nie jadziła. Od tyłu krawędź pancerza ktoś mu wcześniej wykruszył i w tyłek nie drapie...

Baric nie odezwał się. Myślał już tylko o dosiadaniu ogromnego stwora.

Nowy *kornaak* zacisnął uda, a zwierzę posłusznie ruszyło. Janez i Jonczillo odskoczyli. Najpierw *jogr* poszedł przed siebie, potem, wprawnie sterowany, zawrócił ciasnym łukiem i skierował się w dół doliny. Kierowanie sprawiało Baricowi wielką przyjemność. „Sam bym się przejechał”, pomyślał Ajfrid.

Kiedy pomyślał, że trzeba by tak tkwić przez dziesięć dni, ochota odeszła. Później znowu zatęsknił za taką jazdą: przed siebie, gdzie fantazja powiedzie. Ajfrid niewiele razy kornaczył. Parę razy wybrał się na wypas jako *czetrinoclnik*. Z początku przerażało uczucie drętwienia, rozchodzące się od siedzenia, obejmujące biodra, schodzące do pól uda, w górę podchodzące do pasa. Był to atak organizmu *jogra* na ciało *kornaaka*. Zwykle kończył się niepowodzeniem, ale żaden *stryżaj* nie odpowie przecież, czy powstał w wyniku śmierci *kornaaka* z głodu, pragnienia, czy też z innego powodu. *Kornaaca* opowiadali sobie przerażające historie o mackach wydobywających się z błony między segmentami *jogra*, rozpruwających odzienie i wnikających w brzuch bezbronny jeźdźca. Jednak podczas kornaczenia przykre uczucie odrętwienia dolnych partii ciała krótko towarzyszyło Ajfridowi. Zorientował się, że wystarczy podłożyć grubą derkę, by znikło. Dokuczało monotonne pożywienie: dzień za dniem wyłącznie *jogrze* mleko, czasem słodsze, to znowu wodniste, kiedy pastwisko uboższe. *Kornaaca* mówili, że po dłuższym czasie szczęki drętwieją, a potem się zrastają z braku zwykłego pożywienia. „To proste”, wywodził Barnac Krykar, a młody Ajfrid uważnie słuchał jego słów. „Jeśli staw długo nie jest używany, to kości stykają się i zaczynają łączyć w jedno. Bierzcie się do roboty, bo kolana wam się pozrastają!”

Obecnie Ajfrid uważał, że historię o *jogrzych* mackach, podobnie jak i tę o zrastających się szczękach, można między bajki włożyć, wtedy jednak wystarczyła, by zaczął unikać kornaczenia. Został pomocnikiem nauczyciela.

Czasami żałował niezwykłego uczucia nieskrępowanego wędrowania, nieograniczonej przestrzeni. Drogi ciągnącej się bez granic, w nieskończoną dal.

Zatròvati Ljuci jawiły się we wspomnieniach Ajfrida jako jałowa równina porośła rudą trawą, z której każdy krok *jogra* podnosił chmury kurzu. Owszem, było gorąco jak w najgorętszych dniach *medinocelja*, ale w sumie dość zwyczajnie. Może tylko zdumiewała pustka: nad głową półsfera nieba, brak stromych stoków górskich zamykających horyzont. *Jogr* kluczył doliną wijącą się wśród suchych pagórków, niby niewysokich, ale też zamykających widok na otoczenie. Wypasany stwór zwykle trzymał się w pobliżu coraz mizerniejszego Stymana, chociaż czasami, z sobie wiadomych powodów, zapuszczał się w inne kluczące dolinki, w obszary półpustynne. Ani razu Ajfrid nie widział Zatròvati Ljucav w okresie rozszalałej wegetacji i rozkwitu życia zwierzęcego, zaraz po i zaraz przed *noceljam*.

W rzeczywistości tylko jazda na potworze mlecznym pozwalała dłużej przetrwać na Zatròvati Ljucam. „Może czynnik zakaźny utrzymuje się blisko ziemi i już z odległości grzbietu zwierzęcia traci swoją zjadliwość?”, pomyślał. „Może więc dałoby się powędrować na południe, przebyć Zatròvati Ljuci i zobaczyć, co jest tam dalej? Sprawdzić, dokąd płynie Styman, czy nie ma tam pożytecznych roślin i zwierząt?” Cóż, to marzenie zabiło Kosimę, więc lepiej tak nie marzyć.

15.

Ajfrid określił kolejną wizytę w osadzie. Kresek za szybko przybywało. Magnezem ciągnącym do doliny była Alica, chociaż ona nadal go unikała.

Ajfrida unikano jeszcze bardziej niż dotąd. Wszyscy żyli nadchodzącą uroczystością. Szyto nową białą odzież.

Obecnie Ajfrid nocował w piwniczce przy budynku *bazina*, a nie w chacie Dziwaczek. Partia za partią fermentowało mleczne wino. Co kilkanaście dni młody trunek przelewano do glinianych dzbanów lub do beczek, a *bazin* napełniano nową porcją. Ciężki, kwaśny odór wypełniał piwniczkę. Ajfrid zdmuchnął kaganek i wyszedł po schodach. Trudno było długo tu wytrzymać.

Odgarnął tren z piór i przysiadł na ławeczce przed budynkiem *bazina*. Podeszła ku niemu wysoka, zgrabna dziewczyna z dzbankiem.

– Kubek wina dla *auraio*?

– Chętnie.

Nie poznał jej: *vyletnica* miała brwi karykaturalnie grubo zarysowane węglem. By uzyskać równą, wyraźną kreskę, spopieliła cały patyczek. Powieki przyciemniła mocno

sinobłękitnym sokiem z *hubiny*, usta zaczerwieniły się od liści *krvavca*. Jeszcze żuła kawałek, podrażniona olejkiem błona śluzowa napuchła i nabrała intensywnie czerwonej barwy. Zaczerwienienie obramowało wargi, poszerzając je nienaturalnie. Twarz pokrywała jednolita, gładka warstwa kredy zmieszanej z olejem. „To Alica...?”, pomyślał. „Głos inny, chociaż sylwetka podobna”.

– Nie poznajesz mnie?

– Alica...?

– Skądże – obruszyła się. – To ja, Braborka. Przecież jestem od niej ładniejsza...

Jej urodę skrywała gruba warstwa barwników, a jego spojrzenie nie potrafiło tego ukryć.

– Tobie jednemu się nie podobam. – Przysiadła obok i sobie też nałala.

– Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, ale dzisiaj pomalowałaś się za bardzo. Jako *vedanka* byłaś piękna.

– Wtedy pomalowała mnie Alica.

– A dzisiaj kto?

– Przecież sama siebie nie widzę. Sirka Ovidna mnie pomalowała.

Pokiwał głową.

– Złośliwie mnie tak wysmarowała. *Stjegana smyja!* Już ja ją wymaluję! Trzeba było poprosić Alicę. Dziwaczka jest uczciwa. Nie oszpeci makijażem.

Umilkła na chwilę.

– Muszę się malować, muszę kłaść grubą warstwę pudru. Mam *krve znanja* na twarzy.

– Możesz nie zostać dopuszczona do *vyleta*?

– Nie jest aż tak źle, ale kilka się znajdzie, zresztą teraz wszystkie *vyletnice* tak się noszą.

– Wszystkie?

– Z wyjątkiem Dziwaczki. Alica ma gładkie policzki. Może zaoszczędzić na kredzie i oleju.

– Włosy związałaś inaczej niż zwykle. Nakryłaś je chustką. Poznałbym cię po lokach.

– Przez ciebie przeżyłam największe rozczarowanie.

– Musisz zaraz podobać się wszystkim?

– Nie muszę. To nie moja zasługa, że się podobam. Ale że się akurat samemu *auraio* nie podobam, to wstyd...

– Nie zawsze tak wyglądasz.

– No nie zawsze, ale dzisiaj chciałam zrobić szczególne wrażenie. Teraz wszystko

przepadło.

– Trzeba wypróbować na kim innym.

Roześmiała się.

– Inni zawsze są zachwyceni. Dzbanek już pusty – dorzuciła, zebrała się i poszła.

Patrzył za nią, jak idzie, lekko się zataczając.

16.

Przeprowadzili wytop żelaza ze zgromadzonej rudy. Proces znano tylko z opisów, ale wytop się udał. Po rozbiciu dymiącego kopca znaleziono sporo gorących brył metalu. Stاپanie z pyłem węglowym i kucie przeprowadzą później. Na razie bryły żeliwa schowano do szopy. Taka ilość żelaza wystarczy na długo. Młotów, motyk czy łopat nie brakowało, a wyciągarki do drutu nie potrafili zrobić. Ogrodzenia robili z pni drzewnych. Zresztą czy wzmocnione drutem, czy nie, to jak się *medvad* postara, każde ogrodzenie rozbije, żeby się dorwać do *volcav*. Duży *porok* też da rady.

Ajfrid zebrał stare zapiski w jeden podręcznik zarządzania. Opisał instytucje i zasady rządzenia, stanowienia i spisywania prawa, wreszcie rozstrzygania sporów. Dla niego samego było to nowością. Gromada była zbyt nieliczna, by opłacało się wprowadzać te procedury. Przykładowe przewinienia nie zdarzyły się w udokumentowanej historii Matcinaj Dolany. Nikt nie spisał reguł, którymi się tu kierowano, bo dla wszystkich były oczywiste. Przyroda narzucała rytm życia, a złamanie reguł przetrwania oznaczałoby zagładę. Po przepisaniu zebrało się sześćdziesiąt stronic tekstu.

Jante Budar bez entuzjazmu przyjął dodatkowy manuskrypt.

– Nie zdążę ich tego nauczyć. Co to jest? – Zmrużył oczy. Widział coraz gorzej, dlatego już tylko uczył.

– Wiedza o dobrym zarządzaniu.

– Ja zarządzam źle...!?

– Ty zarządzasz dobrze – Ajfrid nie mógł odpowiedzieć inaczej. – To jest podręcznik opisujący zarządzanie dużymi grupami ludzi, tak jak było dawniej.

– Ludzi ubywa, nie przybywa.

– Tak jest, ale może kiedyś się to odwróci. Dobrze pielęgnować tę wiedzę na przyszłe czasy.

– Może ty doczekasz takiego czasu. Za mojego *vedantva* liczba ludzi spadła.

– Może mówienie o dużych grupach ludzi przyniesie nadzieję...

– Mam tego uczyć?

– W żadnym razie. O tę wiedzę poprosił jeden z *patinocljnikav*. Takim prośbom *auraio* nie odmawia.

– Kto o to prosił?

– Gjacke Ovidan.

– Widzę w nim mojego następcę.

Ajfrid popatrzył uważnie.

– Zmieniłem zdanie. Najzdolniejszy z nich, Jonczillo, rozpił się zupełnie, a Urbanec jest dziwaczny. Upaja się sobą. Jest zapatrzony w siebie samego. Nie nadaje się. Natomiast Ovidan jest pracowity i ambitny. Pije mało, a i pięści potrafi użyć, kiedy trzeba.

Ajfrid zrobił dłońmi gest oznaczający: „No, właśnie”.

– Brakuje mu posłuchu wśród rówieśników, bo bardzo niski. Za często się z niego wyśmiewają, chociaż silny jak *porok*.

Ajfrid nie odezwał się.

– Dam mu ten nowy podręcznik, niech go sam przeczyta.

– Najpierw ty przeczytaj. Uczeń nie może wiedzieć więcej od nauczyciela.

– Oczywiście.

Ajfrid znalazł opis otrzymywania krwistej farby z czerwonej glinki, *krvedemy*. Wystarczyło zebrać najczerwieńszą glinę i płukać do skutku, by oddzieliły się ziarenka tlenku żelaza. Później należało uzyskany barwnik rozetrzeć na drobny pył. Jego część można było starannie rozmieszać z olejem jogrzym, resztę zostawić jak jest – do farby wodnej. Ajfrid rozrysował cały proces, zaprojektował małe żarna, policzył objętości naczyń, porcje surowca do jednorazowego przerobu. Rzecz wydawała się wykonalna. Karty z opisem procedury *czetrinocljnika* znieśli z samotni wraz z innymi notatkami. Jante zdecyduje, kiedy wezmą się za wytwarzanie barwnika.

Farba nie była najpotrzebniejszym produktem, ale wiele *wspomnień* czekało na zabarwienie, a niedostępna Alica może ucieszy się z nowej, czerwieńszej wstążki do włosów.

Skoro czerwona glina jest tak ważna, jak kiedyś nauczał *priljetatjel*, to i rdzawoczerwony jest najważniejszym kolorem.

17.

Alica siedziała nad leżącą Gatą. Stara nie ruszała się, spała. Jej głośny, chrapliwy oddech rozlegał się nieregularnie, z przerwami. „Umiera?”, Alica pochyliła się nad chorą. Jednak oddech Gaty się wyrównał, chociaż nadal głośno świstało jej w płucach.

Brunatny pled przykrywający chude ciało przecięła kreska światła. Alica odwróciła się

do drzwi, ale oślepią blaskiem nikogo nie dostrzegła.

– Alica, chodź pogadać. *Trupanka sje posjedi haj osobna* – rozległ się natarczywy szept Braborki.

Alica odwróciła się do chorej. Czy można ją zostawić samą? Nudno było beczynnie tkwić w ciemnym pokoju.

– Jante kazał mi jej nie opuszczać. Tutaj możemy pogadać.

– *Ej trupanka sje obudi.* – Braborka skrzywiła się. – *W garadu vyletnikav* o tej porze już nie ma nikogo. Tam można posiedzieć i pogadać spokojnie.

Chyłkiem skradały się wiejską dróżką, ale *vedanu* nie spotkały. Braborka otworzyła okiennice na oścież. W pokoiku na piętrze zrobiło się bardzo jasno. Przysiadły na drewnianej pryczy, którą gospodyni przyrzuciła jednym, a potem drugim pledem.

– Z kim mieszkasz?

– Z Druzką. O tej porze pewnie siedzi nad Styrmanem zupełnie pijana. Gapi się w nurt i marzy o nieistniejącym mężczyźnie. Chcesz wina?

– Nie.

– Nie pijesz wina? – Braborka uniosła brwi ze zdziwienia. „To rzeczywiście dziwaczka”, uśmiechnęła się.

– Piję wino tylko do jedzenia.

– Dlaczego?

– Pijany traci kontrolę nad sobą i nie może się bronić. Ja nie chcę zostać zaatakowana.

– Przytyjesz.

– Na razie nie przytyłam. Piję wodę. Śmierdzi trochę, ale da się wytrzymać. Już nikt jej nie chce, reszta dla mnie starczy.

– Silna jesteś – powiedziała Braborka bez zazdrości.

– Nazywają mnie Dziwaczka, to muszę taka być.

Obie się roześmiały.

– Umalujesz mnie? – spytała Braborka.

– Jesteś umalowana, jak wszystkie *vyletnice*. Tylko ja się nie maluję.

– *Auraio* się nie podobam. W tym jego składzie tajemnic są podobizny kobiet umalowanych ledwie zauważalnie. Powiedział, że kolory zaznaczają się prawie niewidocznie, ale podkreślają urodę i kryją *krve znama*. Jemu takie kobiety się podobają.

– Zależy ci na jego zdaniu?

– Przecież *auraio* jest ważniejszy niż *vedan*. Jante ciągle pokrzykuje, rozkazuje, ale w końcu też pójdzie do *vyleta*. Zresztą prawie całkiem wyłysiał, a skóra mu schodzi płatami.

Auraio jest stary jak Gata, ale skórę ma gładką, tylko zmarszczki na twarzy.

– Nie narzekaj. Zostało tylko pięciu mężczyzn, a *vedan* jest z tobą.

– Nie tylko *vedan*. *Jadovina* umie opowiadać o *Zatròvati Ljucam*. Wydaje mi się wtedy, że sama tam byłam. Mogę go słuchać godzinami.

– Uważaj, żeby *Jante* nie zauważył. Wybije ci z głowy opowieści *Jadoviny*.

– *Jante* całymi dniami nie wychodzi z budynku szkoły. A jak wyjdzie na wieczór, to jest kompletnie pijany. Nic nie zauważa. Mogłabym mieć sześć ramion, jak jaka *devinka*, i cztery nogi, jak *kintarczinka*, też by nie zauważył.

– *Auraio* ciągle przynosi mu nowe podręczniki.

– A co innego *auraio* robi? Przepisuje z jednych kartek na następne całymi dniami, bo nie ma co robić, a *Jante* koniecznie chce tego wszystkiego nauczyć *czetrinoclnikav*. Jakby to co miało zmienić. Nic im nie pomoże. Za następny *nocelj* też do *vyleta*.

Alica nie odezwała się.

– Wiesz, *Druzka* mówi, że *vyletnice* wracają do *Matcinaj Dolany* jako *bjeli ptyci*.

Każde stworzonko to dusza jednej *vyletnicy*.

– Jeszcze ich teraz nie ma. Pojawią się później, jak zwykle.

– Chciałabym kiedyś latać w powietrzu. Nabierać skrzydełkami powietrze jak wodę dłonią.

– A *vyletnika* wracają jako *zjaraca*...? – *Alica* rzuciła szelmowskie spojrzenie.

Obie wybuchły śmiechem.

18.

Nauczyciel spóźnił się na lekcję. Ktoś mocno pociągnął *Urbaneca* za rudą czuprynę. Ten odwrócił się gwałtownie, zaciskając pięści. Zobaczył stężałe ze śmiechu, zaczerwienione oblicze *Gjacke Ovidana*. Wymierzył mu szybki, ale słaby cios w podbródek.

– *Tij smradlivi nezradilcu!* – wrzasnął *Gjacke*, purpurowiejąc do reszty, a czerwony ścieg blizny idącej przez twarz prawie trysnął krwią. Rzucił się na *Urbaneca*, powalając ławkę. Siedzący obok niego *Jonczillo* zręcznie usunął się spod przewracającego się pulpitu, nadal zachowując kamienną twarz. To on był przyczyną całego starcia.

Rozwścieczony *Ovidan* okładał na osłep kułakami powalonego *Urbaneca*. Chociaż niższy od niego o głowę, był krępy, bardzo muskularny. Bez trudności radził sobie z wyższym przeciwnikiem. *Urbanec* próbował na czworakach wydostać się spod prześladowcy.

Nagle przy drzwiach się ożywiło. Wszedł nauczyciel. Walczący pozbierali się z ziemi. *Urbanec* poprawiał kubrak, *Gjacke Ovidan* postawił ławkę na nogach.

Nauczyciel nic nie zauważył, zaafierowany, by nie upuścić nieporęcznych pomocy naukowych: okazałej drewnianej kuli i dzbana z wodą. Zresztą był pijany.

Dzisiaj Jante Budar miał tłumaczyć wiedzę o kosmosie.

– Ziemia jest kulą unoszącą się w przestrzeni... – zaczął. – Inne globy też są podobnymi kulami. Jest ich wiele.

– A co je trzyma pomiędzy sobą? Dlaczego nie pospadają? – wtrącił się Urbanec, wycierając kułakiem krew sączącą się z rozbitej wargi. Napuchła już i mrowiła z bólu, ale nauczyciel poruszył temat nurtujący ucznia.

– Tak samo jak latawce nie spadają, kiedy wieje wiatr, czy jak nici *poroka* unoszą się w powietrzu, tak wielkie globy mogą to samo.

– Ale nici *poroka* są cieniutkie, leciutkie, a globy czy skały wielkie i ciężkie – znów przerwał uparty Urbanec.

Gjacke spojrzał ironicznie.

– Nici *poroka* też mogą wydawać się nadzwyczaj ciężkie, grube i masywne, są takie choćby dla maleńkiego mikrostroma, który draży nasze ciało, dla czerwonej drobinki. – Jante rozejrzał się, czy jeszcze ktoś chce dokładniejszego wyjaśnienia, ale na sali było już cicho.

– Kulisty kształt naszej Ziemi objaśnia, dlaczego nie należy oddalać się zbyt daleko od Matcinaj Dolany.

Powiódł wzrokiem po sali.

– Wyjaśnię to wam na przykładzie wody – mówił składnie, nie bełkotał, chociaż wypił już wiele. Starał się dobrze przeprowadzić ostatnią lekcję z geografii.

– Woda jest już trująca. Może zaszkodzić – wmieszał się Matej Branu. On też chciał się wyróżnić podczas zajęć.

– Nie szkodzi. Pić jej nie będziemy. – Zniecierpliwiony nauczyciel machnął ręką. Nadział kulę na długi poziomy kij, wykorzystywany czasem jako podstawa do doświadczeń.

– O, tutaj jest Matcina Dolana, tutaj...! – Stuknął paluchem w sam szczyt kuli. Następnie wziął dzban do ręki i ostrożnie polał kulę wodą, uważając, by wąska strużka trafiała w oznaczone miejsce położenia osady. – Widzicie? Woda ścieka, bo ziemia jest kulą. Tak jak Styrman ścieka z Matcinaj Dolany ku Zatròvati Ljucam.

Wszyscy uważnie obserwowali ściekające krople.

– A popatrzcie, co się stanie, jeśli ktoś za daleko oddali się od naszej osady. – Jante położył na szczycie kuli mały klocuszek i lekko zaczął popychać go palcem. – O, wędruje, wędruje coraz dalej... – powiedział. – Idzie jeszcze dalej... – Wreszcie popychany klocek zsunął się z kuli i spadł na podłogę. – Odszedł za daleko i zleciał *na zratru*.

- Ale czasem nie spadnie *na zaturtu* – odezwał się Jonczillo.
- Wszyscy umilkli, zerkając na nauczyciela. Słowa ucznia zabrzmiały zaczepnie.
- Jak to nie spadnie? – spytał Jante.
- No spadnie, ale po drodze trafi na inny glob.
- Ależ oczywiście! – Jante aż westchnął. – Tak się oczywiście może zdarzyć. Wtedy to będzie *priljetatjel*. Pojawi się gdzie indziej.
- Ale do nas nikt nie przyleciał – zauważył obity Urbanec. Słona krew na opuchłych wargach już zaschła, chociaż szczęka drętwiała z bólu.
- *Auraio* uważa, że jacyś do nas przybywali – powiedział Baric. – Po jednym została biała czaszka. *Wspomnienie*, które nie chce odejść.
- A jak daleko można się oddalić od Matcinaj Dolany, żeby nic nie groziło? – spytał Jurdo Drevar. Sam lubił włóczyć się po lasach doliny. Wprawdzie jeszcze blisko osady, ale lepiej się upewnić.
- Po Zatròvati Ljucam można jeszcze wędrować – odpowiedział autorytatywnie Jante.
- Ale dalej to już nie wiem... – Pokręcił głową. – Zresztą nawet ze Zatròvati Ljucav *jogry* też czasem nie wracają.
- Ale taki *porok* to może dalej zajść – wyrwał się Jonczillo. – Na każdej łapie ma dwa pazurki, to się nimi może przytrzymywać.
- *Tij durny!* – wrzasnął Gjacke, aż jego sąsiad przygarbił się pod tym głosem. – A czego się taki *porok* chwyci? Trawy i porośli? Trawę pozrywa i też polecą *na zaturtu*.

19.

Pod koniec Czasu Radości krzykliwie malowały się już wszystkie *vyletnice*. Każdej bardzo zależało, by jej *vylet* nie był samotny, by towarzyszył jej wybrany mężczyzna. Każda chciała wybrać jak najlepszego ojca dla swoich dzieci, chociaż nie było żadnej pewności, że będzie to ten, który właśnie z nią wejdzie do *vyletan bazina*.

Ajfridowi te zabiegi wydawały się toporne i prostackie. Czarne kreski brwi, czerwone opuchnięte usta i rdzawe plamy na policzkach imitujące rumieniec oszpecały. Dziewczyny jednak powtarzały to, co widziały w zeszłym *nocelju*, kiedy do *vyletu* szły się ich poprzedniczki. W samotni oglądał dawne podobizny pięknych kobiet. Żadna z nich nie przypominała obecnego wyglądu *vyletnic*. Może na którymś z obrazów usta wydawały się czerwieniejsze niż naturalne, może rzęsy dłuższe, ale odstępstwa były ledwie zauważalne, jeśli w ogóle stanowiły wynik sztucznego upiększenia.

I nagle na drodze zobaczył kobietę jak z dawnych podobizn.

Owszem, policzki miała nieco przyczerwienione, brwi przyciemnione, ale to poprawki ledwie widoczne. W długiej do kostek, marszczonej spódnicy i gęsto haftowanym kubraku, a włosach ujętych białym czepkiem Braborka stąpała jak żywy obraz, niosąc w dłoniach nieodłączny dzbanek. Cóż, piła jak wszyscy: przecież to Czas Radości. Teraz zresztą wcale się nie zataczała.

Nie mogła nie zauważyć, jaki efekt na nim wywarła.

– Dzisiaj jest lepiej? – zapytała roześmiana. – Umalowała mnie sama Alica.

– Robisz wrażenie sobą, nie farbami. Wolę twoją naturalną urodę.

– Jaka tam naturalna uroda? – obruszyła się. – Co we mnie naturalnego...? Wszystko sztuczne.

Pociągnął łyk piekącego mlecznobiałego płynu.

– Moje wspaniałe czerwone włosy to *krvedema*. Co dzień je farbuję, bo naprawdę są szare... jakies takie bezbarwne. Nie to co szarozłoty kolor Alicy

– Barwisz włosy *krvedemu*?

– Nie tylko ja. Dlatego cały zapas tak szybko wyszedł.

– *Krvedema* nie trzyma się włosów.

– Jak się dobrze rozmiesza w oleju i starannie wciera we włosy, to barwi bardzo skutecznie. Tyle że dużo jej wychodzi.

– To *vyletnice* zużyły cały zapas?

– No pewnie. Stare gnaty mogą zaczekać, my nie. Każda skrywa jeszcze zapasik.

– Wszystkim podobałaś się *ak vedanka* Pochodu Starych Wspomnień. Byli dumni, że mają ciebie w Matcinaj Dolane.

– Chcieli, żebym siedziała goła na tej lektyce, jako taki symbol. Upierali się, żeby uczyć łono *vyletnicy*. Stało na tym, że pod spódnicą nic nie miałam, Ale ich przechrzyłam i wzięłam spódnicę do kostek. Nic nie było widać...?

– Skądże. No raczej niestety.

– To już lepiej – dopiła do dna. – Idę. Dolać ci?

– Starczy. Koło południa już po jednym kubku lubi się w głowie zakręcić. Nie pij tyle.

– Wszystkie piją. Co nam pozostało innego?

– Odrodzisz się w swoich dzieciach.

– Eee... – Machnęła ręką. – Nawet tych dzieci nie zobaczę. Chciałabym chociaż obrócić się w *bjelu ptycu*.

– Alica też pije?

– Skądże. Dziwaczka wszystko robi inaczej niż inni. W końcu się struje tą wodą.

– Dokąd idziesz?

– Nad potok. Czerwona woda trochę śmierdzi, ale ładnie wygląda. Posiedzę, odpocznę. Może przyjdzie Jadòvina. Co ciekawego powie. On rozmawia, nie rozkazuje. Jak chcesz, możesz posiedzieć z nami. Dzbanek pełny. Starczy dla nas trojga.

– Może potem.

– No tak. Masz swoje powinności. Jante rządzi w magazynie. Na pewno mu się przydasz. – Wzruszyła ramionami i poszła sobie, stąpając ze zwykłą gracją. Jednak trochę się zataczała.

W dużej sali *garady vyletnikav* rozpakowywano plik notatek Ajfrida. Jante przeglądał kartkę po kartce. Kilka osób otoczyło go wianuszkami. Znad ich ramion wpatrywała się w zapiski zawieszona na łańcuchach rzeźba gniewnej, frunącej, nagiej kobiety z ramionami wyciągniętymi przed siebie. Niżej, zza ramienia Jantego, zerkąła milcząca Alica. „Ona też jest pomalowana?” pomyślał. Widać było jej zbyt mocny rumieniec, brwi i rzęsy były ciemniejsze niż zwykle. „Ona dzisiaj ozdobiła Braborkę, a tamta ją”, domyślił się. Ajfrid nie gustował w takich ozdobach, ale jeśli dotyczyło to Alicy, niechęć była mniejsza.

Kartka z opisem uzyskiwania czerwonego barwnika trafiła w jej ręce. Uważnie przyjrzała się tekstowi i nagle się ożywiła.

– Zaraz to zrobimy. Wiem, które naczynia należy wybrać – powiedziała szybko.

– Dobrze, to zajmij się tym – rzucił Jante.

– Przygotujemy to z Kirusem. Potrzeba jeszcze trzech mężczyzn, żeby kopali *krvedemu*. Kirus pokieruje *czetrinocljnikama*. Ja wiem, gdzie jest najczerwieńsza ziemia.

Ajfrid milczał, niepytany. Chciał jakoś doradzić, coś powiedzieć. Przecież to on specjalnie dla niej opracował proces sporządzania barwnika z czerwonej ochry. To on mógłby tutaj wszystko najlepiej wyjaśnić. A ona nie chciała jego pomocy ani jego towarzystwa.

– Zawsze lubiłam wędrować po okolicy. Czasem nawet moje stopy zmieniały kształt od pęcherzy – rzuciła z uśmiechem i zniknęła z kartką jego notatek w dłoni. Tyle ją dzisiaj widział, ale to ostatnie zdanie z pewnością było skierowane do niego.

„Chodziła na bosaka?”, pomyślał. Oznaczało to rychłe zakażenie i groźną chorobę.

W trzy dni pracy uzyskano worek intensywnie rdzawoczerwonego proszku. Niestety, nikt nie był zainteresowany barwieniem płótna. Inne prace zabierały zbyt wiele czasu. Alica nie dostała czerwonej wstążki do włosów, a tylko *vyletnice* w tajemnicy nadal podbierały barwnik z worka.

Umarła Gata Tezejna. Nie wiedziano, jak pochować buntownicę, bo przecież *wspomnieniem* zostać nie mogła. Wreszcie wykopano jej mogiłę za wsią, nieco w dół doliny.

Ciało Gaty, zaszyte w płóciennym worku, ułożono w dole wykopanym w suchej, kamienistej ziemi. Alica rzuciła na nią wiązanekę purpurowych łądyżek. Uplotła je w wianek, okrąg umieszczony jakby na długiej rączce. Wkrótce ciało zmarłej do reszty zawłaszczą czerwone drobinki. Po co im to utrudniać, skoro należało się im ono już od dawna?

Wszyscy pamiętali cierpienie umierającej, nikomu z *vyletnikav* nawet nie zaświtała myśl o buncie.

Alica pozostała w chacie Dziwaczek. Nie zamieszkała wspólnie z innymi *vyletnikama ve vyletan garade*.

20.

Termin *vyleta* Ajfrid wyliczył na podstawie notatek i położenia słońca. Co warte rachunki, skoro każdy *nocelj* jest cieplejszy od poprzedniego, lodowce się cofają, a miejscowe życie coraz wcześniej wraca do doliny...? Kiedyś *vylet* skończy się klęską, jeśli on sam albo ktoś z jego następców nie znajdzie dokładniejszych reguł.

Jante uznał, że Ajfrid powinien przespać we wsi trzy noce poprzedzające *vylet*. O tej porze pióra mogły nie ochronić przed agresywnymi organizmami. Jednak odmowa gościny byłaby obrazą. Za dnia krył się więc w piwniczce koło *vyletan bazinu* albo wychodził wysoko w dolinę.

Dotarł aż pod Prvni Urav. Przystanął przy białej, suchej wancie. Pewnie każdy tutaj przysiadł, bo tylko tego jednego miejsca nie pokrywała gęsta szara poduszcзка organizmów. Szorstki kamień był wygrzany słońcem.

Styrman wyrywał się białą strugą spomiędzy wąskiej skalnej bramy i spadał niemal pionowo w dół, burząc się i pieniąc. Pod wieczór oszalała woda waliła z hukiem, jakby chciała rozerwać ciasne skalne łożysko. Chłodna orzeźwiająca mgła niosła się od wodospadu. Ajfrid przetarł dłonią twarz. Tu było bezpieczniej: może zimno, ale czysto. Poniżej wodospadu nurt zwalniał, rozlewał się wśród ciemnych głazów. Na jednym z nich przysiadła *ptyca*. Śnieżnobiałe zwierzątko rozłożyło na boki wszystkie pary wąskich, puszystych skrzydełek, jedną przy drugiej; opuściło głowę, a czułki przycisnęło do ciała, dzięki czemu przypominało formą białą literę „te”.

– Co ty tu robisz tak wcześnie? – powiedział do niej. „Może przetrwała w jakiejś norce cały *nocelp*. Mało jest zimujących stworzeń. *Ovaja* zimują. Czyżby ta kruszynka zaliczała się do wyjątków?” pomyślał.

Znieruchomiała *ptyca* chwilę grzała się do słońca. Zaraz jednak ożywiła się i tylnymi odnóżami już przeczesywała pierzaste skrzydła. Przy kolejnych ruchach biały puch opadał

przygnieciony i zaraz znowu się podnosił. Skrzydełka były wystrzępione, na tułowiu brakowało sporo futerka. Przeświecała błyszcząca brązowa skóra. Zadowolona *ptyca* pokręciła głową w prawo i lewo, ukazując duże, opalizujące w słońcu modre oczy, i zaraz rozpostarła skrzydła na pełną rozpiętość, a potem ułożyła je w dwa wachlarzyki. Miała ich cztery pary. Pokrytym białymi włoskami odwłokiem poruszała w górę i w dół, nerwowo powęszyła wtkowatymi czułkami i zerwała się do lotu.

Zatoczyła w powietrzu jeden łuk, potem drugi i zniknęła między kamieniami rozlewiska Styrmiana. Długo jej nie było widać. „*Ptyci* nie nurkują”, pomyślał zaciekawiony.

Poszedł w ślad zwierzątka, skacząc z wanty na wantę. *Ptyca* energicznie przechadzała się nad samą wodą i coś starannie zbierała z brunatnej płycizny przy brzegu. Wybierała jedną po drugiej brunatne drobinki, przednimi łapkami unosiła przed oczy, a następnie wsadzała do pyszczka. Posilała się bardzo szybko, co chwila bacznie się rozglądając. Obie pary głaszczków ruszały się rytmicznie, odwłok rozdymał się i kurczył w takt oddechów. Dojrzała zbliżającego się Ajfrida i zerwała do lotu. Zaraz przysiadła po drugiej stronie Styrmiana. „*Bjali ptyci* są mięsożerne?” zdziwił się. „Cóż ona tam znalazła?”

Brunatna ławica była złożem martwych czerwonych drobinek. Straciły kolor i śmierdziały serem. *Ptyca* żywiła się wysokobiałkową, rozkładającą się masą. Niestety, oprócz martwych organizmów w innych miejscach rozlewiska odłożyły się całe kolonie żywych czerwonych drobinek. Niektóre przypominały bąble, podnoszone wydzielanymi gazami. Już tak wysoko woda Styrmiana została skażona. Nawet wdychanie pyłu wodnego pod Prvni Uravam mogło zaszkodzić.

Ajfrid wrócił na przyjazny kamienny fotelik i wystawił się do słońka. Pióra wzięły się energicznie do pracy i wkrótce poczuł się posilony. Nagle coś zasłoniło mu światło. Zaskoczony wzdrygnął się, jednocześnie otwierając oczy.

– Ach, to ty...! Chodzisz po lodowcu?

– Do lodowca daleko – odpowiedziała Alica. – Byłam tylko przy Dlni Jazyru. – Miała na sobie zielony wyszywany kubraczek i pasiastą spódnicę do pół łydki. Włosy spięła chustką, żeby wiatr ich nie targał.

„Pożyczają sobie z Braborką ubrania?”, pomyślał ubawiony.

– A ja zbieram łopatą ser z czerwonych ziarenek. Będzie na zimę, a na razie nakarmię *ptyci*, jeśli jakie tu przylecą. Rzecz jasna łopatą moich myśli.

– Trudno odpowiadać, gdy tak żartujesz.

– To obowiązek. *Aurairo* powinien mówić zagadkami.

– Jeśli ludzie się poznawają, powinni rozmawiać o zrozumiałych dla dwojga,

wspólnych rzeczach, a nie nabierać się nawzajem – skarciła go.

– Ty mnie poznajesz?

– Rozmowa powinna służyć poznawaniu się. Ja poznaję różnych ludzi.

– Tak.

– Nie siedź tu długo, wracaj do wsi, bo cię dorwie jaki *porok*, a bez ciebie wszyscy przepadniemy – rzuciła i znikła na ścieżce tak nagle, jak się pojawiła.

Spojrzał za nią z uśmiechem. „Strofuje, a jednocześnie aż tak chwali”, pomyślał.

Ucieczki z osady nie pomogły. W drugim dniu infekcja zaatakowała. Dostał gorączki, głowa puchła, a z nosa się lało. „Ileż razy trzeba im powtarzać, że miejsce *aurai* jest na *Prevaju*?”, myślał gderliwie. „Byle tylko na tym się skończyło”.

21.

Każdy dzień był słoneczny. Znad postrzępionej grani zamykającej dolinę przestały nadpływać chmury. Przed południem można było jeszcze pracować i krzątać się na dworze, około południa trzeba było już schronić się pod dach. *Jadovina* miał dzisiaj cały dzień pilnować sortowania pozyskanego mięszu *jedal drava*, ale żeby akurat taki dzień zmarnować na żmudną robotę, z której on sam nie będzie miał najmniejszego pożytku?

Poszedł ścieżką w dół, nad *Styrmán*. O tej porze dnia woda była niska, cuchnęła serem. Dopiero na wieczór wzbierze, stanie się czysta, głęboka i rwąca, a pył wodny, rozproszony w powietrzu bystrym nurtem, będzie pachniał orzeźwiająco.

Trudno było spodziewać się tutaj kogoś, jednak *Jadovina* wiedział, kogo szuka. Nad samą wodą, na obłym głazie, na złożonym w kostkę pledzie siedziała zgarbiona dziewczyna. „Garbi się jak ja”, pomyślał.

Zamyślona, wpatrywała się w leniwy nurt, z rzadka niosący czerwone płyty. Nie zauważyła jego przybycia.

– Czego tam wypatrujesz? – zagadał do niej.

Wzdrygnęła się, odwróciła gwałtownie i rzuciła mu przestraszone spojrzenie dużych niebieskich oczu.

– Taki straszny jestem...?

– Nnie... ale zamyśliłam się – powiedziała *Druzka*.

Była niższa, pulchniejsza niż inne dziewczyny. Miała też najjaśniejsze włosy ze wszystkich *vyletnic*, jaśniejsze nawet niż *Alica*.

– A czego tam wypatrujesz?

– Nie czego, a kogo.

– Więc kogo. _

– Wodnych *vyletnikav*.

– Co?

– Dziewczyny mówią, że woda czasami przynosi wodnych mężczyzn. Płyną z nurtem od Prvni Urava, a może nawet z jeszcze wyższa. Trzeba takiego złapać i sobie wyłowić. Podobno taki jest lepszy niż każdy z Matcinaj Dolany, niż każdy z was.

– Naprawdę wierzysz w takie opowieści?

– A co mi zostało? Jest was siedmiu *vyletnikav*, a *vyletnic* dwadzieścia osiem. Więc ja mam szansę tylko na wodnego mężczyznę.

– Tak jest zawsze. Mało który mężczyzna dożywa *vyleta*.

– No widzisz! Więc muszą być w wodzie jacyś mężczyźni, skoro w każdym *vylete* rodzi się aż tyle *jednocljnika*. Przecież każdy może począć tylko raz, nie więcej. Po samych *vyletnikav* nie zostało by aż tak wiele dzieci. Może wodni mężczyźni są niewidzialni? Albo słabo widoczni i trzeba ich uważnie wypatrywać?

– A nie chcesz zwyczajnego mężczyzny do *vyleta*? Takiego z krwi i kości, nie z wody?

– Wszyscy zajęci.

– A ja?

– Za tobą wszystkie wodzą wzrokiem, a najbardziej Braborka. Co wieczór opowiada tylko o tobie. Co Jadòvina powiedział, czy się uśmiechnął, ile wina wypił, dlaczego tak mało. Gdzie mnie do Braborki. Jest najładniejsza z nas wszystkich. Ty też jesteś przystojniejszy od innych.

– Garbię się. Mówią na mnie *pokurac*.

– Bo te łyse, ostrupiałe dziady zazdroszczą ci gładkiej skóry i czarnych włosów z białymi nitkami.

– Braborka idzie *ka vyleta sa vedanam*. Ty z nią mieszkasz w jednym pokoju.

– Ach dlatego...! Chcesz być bliżej niej w taki sposób?

– Może. Zresztą ty też jesteś ładną dziewczyną. Nie powinnaś przepaść. Niech następne dziewczyny w Matcinaj Dolane będą do ciebie podobne.

– Taka *malka kuljka*?

– *Ljepszi malka kuljka czjo drapaca smyja ak Sirka*.

Druzka parsknęła śmiechem. – Braborka miała rację. Ty rzeczywiście umiesz ładnie mówić, jak żaden z nich.

Jadòvina objął ją ramieniem. Chwilę siedzieli razem i oboje gapili się w nurt w

milczeniu.

– Zostały dwie noce do *vyleta* – powiedziała. – Mam dzisiaj nie barykadować okiennicy..?

– Tak.

– W prawo od okna jest łóżko Braborki, w lewo moje.

– Wiem.

Druzka zrozumiała rolę, jaką miała odegrać, ale nie potrafiła powstrzymać radości rozpierającej piersi. Znowu roześmiała się.

– Miałam rację. Trzeba było chodzić nad wodę. Powiem to Braborce.

Jadòvina uśmiechnął się do siebie.

22.

Ajfrid przespał noc w głębokiej piwniczce. W chłodzie dolegliwości były mniej uciążliwe, jednak i tak rano czuł się fatalnie. Skronie ścisnęła obręcz, oczy łzawiły, zachodziły mgłą. Skórę pokryła gruzłowata czerwona wysypka. Dzisiaj nie wolno mu zawieść. Tego dnia nie da się odwołać. Powolnym ruchem, żeby obolała głowa nie eksplodowała, zgramolił się z posłania.

Vylet miał się zacząć koło południa. Trzy dni temu *vyletan bazin* wypełniono gruboskórymi orzechami, grzybami i ziołami. Każdy składnik pocięto maczetą na drobne części, by sok uwolnił się do kąpieli. Dodano łodygi roślin ściętych w lasach na zboczach doliny oraz zioła zebrane z pastwisk, a następnie stopniowo zalano wrzącą wodą i odstawiono, by wystygło. „Większości składników używamy na co dzień. Co jest szczególnego w tej mieszaninie?”, pomyślał. Płyn już zgęstniał, zmętniał od pęcherzyków gazu. W książkach w samotni opisano jakieś substancje. Nikt nie pamiętał, czym były, w jakich składnikach mieszaniny się kryły. „Nie można kąpieli poprawić, gdyby zmieniły się warunki w dolinie. Wiadomo tylko, że ceglasty płyn nie może być w najlżejszym stopniu kwaśny, a ma być słodko-gorzki”. Powierzchnię pokrywała gęsta biaława piana, unosił się zapach mleka *jogra*. „Zgadza się z opisem”, myślał dalej Ajfrid. „Ale czy to dosyć, by wysłać ich do tego płynu? Przecież *vyleta* nie da się powtórzyć”.

Winien asystować *vyletu*, jednak nie chciał przyglądać się faktycznej śmierci tylu mieszkańców osady. Miał towarzyszyć jedynie pierwszej osobie, aby sprawdzić, czy wszystko przebiega prawidłowo, potem mógł usunąć się w cień.

Vyletnika gromadzili się przed wejściem. Wewnątrz zasepiony Ajfrid gapił się w powierzchnię płynu. Nie można wahać się bez końca. Popchnął drzwi, by otwały się na

zewnątrz. Weszła Sirka Ovidna w długiej białej koszuli. W półmroku pomieszczenia biel tkaniny niemal fosforyzowała.

– Właśnie ty, nie Braborka...?

– Tak. Piękność zobaczysz później.

Bez słowa ściągnęła przez głowę odzienie i oddała mu do rąk. Przejrzał jej skórę, ale nie dostrzegł zmian chorobowych. Sirka krok za krokiem zstąpiła do płynu. Kiedy usiadła, czerwona toń skryła po szyję jej nieładne, za chude, przedwcześnie pomarszczone, obwisłe, blade ciało.

Chwilę przelewała płyn w dłoniach. – Całkiem ciepło tutaj – powiedziała.

Skinął głową w milczeniu.

– Nie masz nastroju do żartów, Ajfrid?

– Cóż... Vatran Auraio ma asystować pierwszej osobie, obowiązku radowania się nie ma.

Sirka nabrała garścią płynu, zdmuchnęła piankę i skosztowała.

– Słodkie, gęste i całkiem dobre – powiedziała.

– Tu działa wiele mikrostrukturów. Zjadłś ich trochę.

– Reszta mnie zje.

Parujący płyn skraplał się na ścianach i na suficie. Osadzała się brudnobiała piana. Tak też miało być. Piana powinna spływać na posadzkę, a później wyschnąć. Aby ułatwić jej ściekanie, sufit był nachylony, a na ścianach zrobiono karby wskazujące pianie drogę. Coraz bardziej nasilał się odór zgniłych jaj.

– Nie spytasz, dlaczego weszłam sama?

– Nie wypada pytać. – Mężczyzn było tak mało.

– Nie chciał mnie, chociaż pozwoliłam mu dzielić siebie z inną.

Ajfrid milczał. Nie należy się zbyt wtrącać w cudze rozrachunki z życiem.

– Widzisz, jaka dobra byłam? Ale nie pomogło. Tacy są mężczyźni.

Nie odezwał się. „Dlaczego nie puściła najpierw Braborki i *vedanu*”, pomyślał. Ta kobieta musiała się mocno postarać, by pierwsza wejść do kąpieli. Uważano, że moc płynu szybko zużywa się z kolejnymi *vyletnikama*. „Stale walczy, ze sobą, z innymi. Całe życie rozpierała ją ambicja”.

Sirka siedziała nieruchomo, tylko dłonią przelewała oszalamiający płyn.

– Nie można zbyt długo czekać?

Ajfrida przeszła fala gwałtownych dreszczy.

– *Vylet* może trwać do wieczora – powiedział. „Jeszcze jest dość czasu”, pomyślał.

„Oni pójdą potem w krótszych odstępach”.

Sirka wypięła drugi, trzeci łyk.

– W głowie się zakręciło – powiedziała. Wzrok jej zmętniał. – Spróbuję tak – dodała i zaczęła pić wprost z powierzchni basenu. – Tak idzie... znacznie... szybciej. – Traciła kontrolę nad sobą. Nie potrafiła zogniskować wzroku.

Raz i drugi zanurzyła głowę w krwistoczerwonym, gęstym płynie, jednak zaraz ją z powrotem podniosła, głośno kaszłąc. Gdy kaszel przechodził, piła ciecz łyk za łykiem. Już nie dało się zrozumieć jej bełkotu.

Wreszcie głowa Sirki zanurzyła się w płynie znowu. Tym razem już nie krztusiła się. Gdy głowa zniknęła pod powierzchnią, wydobywały się bańki powietrza, jednak tonąca nie miotła się. Jedna bańka, druga, trzecia. Głowa Sirki już nie wzniosła się nad poziom płynu. Jej ciało pozostanie w cieczy, nie rozkładając się. Karmione płynem będzie żyło nadal, choć świadomość nigdy już nie wróci.

Póki nie utonęła, pijąc słodki, odurzający płyn, musiał jej towarzyszyć. Teraz mógł już wyjść na zewnątrz.

Jante Budar i Braborka już czekali w białych koszulach. Braborka palcem powiodła po kilkunastu płytkich dziobach na skórze policzka i spojrzała na Ajfrida, jakby mówiąc: „Widzisz?” Mimo uszkodzeń skóry na twarzy pozostała piękna.

Jante winien wskazać następcę. Bez wątplenia rzecz została postanowiona już znacznie wcześniej. Kilku *patnocłjnikav* kręciło się w pobliżu. Skinał na Gjacke Ovidana, który przyglądał się scenie z chmurną miną.

– *Tij bydesz vedan* – powiedział.

Ajfrid skinał głową, zatwierdzając tę decyzję. Bez wyraźnego powodu nie powinien się sprzeciwić. Jego zdaniem Gjacke nie był dobrym kandydatem, ale inni byli jeszcze gorsi.

Gjacke nie okazał radości. Zaraz odszedł ku innym. Wydał pierwsze polecenia. Odtąd on zawiadywał ceremonią; będzie kierował gromadą przez następny *nocelj*.

Ajfrid wrócił do chaty. Skóra *vedanu* była bardzo zniszczona. Jante miał rozległy czerwony liszaj na biodrze i na pośladku. Płaty skóry w wielu miejscach słabo trzymały się ciała. Dziwne, że on jeszcze żył. Powinien zostać oddalony, jednak kto odmówi *vyleta* samemu przywódcy? „Może nie skazi kąpieli za mocno, a inni będą w lepszym stanie?”, pomyślał Ajfrid.

Braborka miała tylko kilka dziobów na policzkach. Oboje zanurzyli się w basenie i raczyli płynem. Jante polewał sobie głowę. Braborka chichotała nieskładnie.

Zamoczone włosy Jantego odsłoniły różową, pergaminową łysinę. Aby ukryć przed

Braborką jej istnienie, zaczął duszkiem pić płyn z *bazina*, a zaraz jego głowa zniknęła pod powierzchnią.

Braborka była jeszcze przytomna. Popatrzyła na Ajfrida.

– Musiałam z nim wejść do *vyleta*, bo mi kazał, ale mój syn będzie rozmawiał, nie rozkazywał – powiedziała.

– Syn *Jadòviny*? – spytał Ajfrid.

– Pewnie. W ostatnią noc, ale myślę, że nam się udało. No, teraz mogę już wylecieć. – Zaczęła pić duszkiem.

„Skąd oni dowiadują się, jak można to robić poza *vyletam*?”, pomyślał. „Nikt ich tego nie uczy”. Jego samego nauczyła kiedyś Gata. Nie spytał, skąd wiedziała. Opisy były w samotni.

Ajfrid nie czekał, aż Braborka straci świadomość, tonąc w czerwonym płynie. Wyszedł po następnych. Na ogół wchodziły pojedynczo kobiety. W sumie weszło sześć par, bo tylu tylko mężczyzn dożyło *vyleta*. *Kovica* umarł parę dni przed uroczystością. Pary na ogół obejmowały się, tonąc w czerwieni. Chcieli, aby to właśnie ich komórki się spotkały. Wierzyli, że bliskość ciał to zapewni. Cóż, mężczyzn starczyło tylko dla garstki wybranych, zresztą uważano, że fizyczna bliskość nie ma dużego znaczenia, bo żywe nasienie penetruje całą objętość płynu.

Nie chciał oglądać zanurzającej się Alicy, dlatego nie patrzył, kiedy z *Kirusem* wchodziła do *vyletan bazina*. Niech radzą sobie sami. „W czasie *vyleta* możesz nie chcieć oglądać jednej lub kilku osób”, powiedziała kiedyś *Auraica*. Jednak trzeba oceniać stopień uszkodzenia skóry u większości *vyletnikav*. Nie należało dopuścić zbyt wielu ludzi o bardzo zniszczonej skórze, jeden czy dwaj nie stanowili problemu – zioła udaremnią rozwój niewielkiej ilości mikroorganizmów. „Może się zdarzyć, że komuś zabronisz *vyleta*, gdyż skaziłby przychodzące dzieci. Taki odejdzie bezpotomnie w czasie *nocelja*”.

Na powierzchni płynu tworzyła się warstewka żelu. Kolejni wchodzący przebijali cieniutką, przezroczystą błonkę. Wylewał się spod niej płyn, który sam zaraz tężał. Samoistnie formowała się powłoka ochronna.

Vyletnika układali się w basenie obok siebie. Dwa szeregi osób, nogami ku sobie. Po trzech mężczyzn w każdym szeregu, leżących w równomiernych odstępach.

Wchodził z nimi, czekał, póki się nie rozbiorą, oceniał skórę i wychodził z pomieszczenia. Niech wejdą do swej ostatniej kąpieli bez zbytecznej asysty, co najwyżej śledzeni mętnym spojrzeniem poprzednich, jeszcze wychylających głowy ponad poziom płynu. Nikt nie miał skóry w tak złym stanie jak *Jante*, lizaje zdarzały się rzadko.



Z Ajfridem było całkiem źle. Chwilami tracił świadomość. Gorączka rosła. Drapał się gwałtownie. Czerwone gruzły wysypki już zmieniły się w ropne pęcherze. Praca wymykała mu się spod kontroli. W końcu stracił rachubę. Opuszczał coraz więcej osób. Miał nadzieję, że Gjacked odlicza poprawnie. Wszystkich ich miało być przecież trzydzieści cztery osoby. Kiedy ostatnia z nich nieodwołalnie zatęnęła, dowlókl się tam raz jeszcze. Wydawało mu się, że na skraju unosi się w płynie samotna Alica, jak inne topielice otoczona chmurą włosów. Zamknął drzwi za sobą.

23.

Drzwi *vyletan bazina* zabarykadowano solidnymi półpłazami. Nawet najpotężniejszy *medvad* teraz się tam nie włamie. Skończyli robotę i rozeszli się ze zwieszonymi głowami. W przyszyłym *nocelju* czeka to ich samych.

Skończył się Czas Radości, nadeszła Posucha. Ograniczenie jedzenia, unikanie mięsa, zakaz zabaw, głośnych krzyków, jeśli niepotrzebne. Czekaając na wynik *vyleta*, mieszkańcy Matcinaj Dolany wkrótce zaszyją się w piwnicach domostw, by umknąć przed wszechobecnym upałem.

Obecność *auraio* w osadzie była już zbyt duża. Wystarczy, jak pojawi się parę razy dla sprawdzenia, czy wszystko idzie w porządku, a potem dopiero na końcu *vyleta*. Gjacked Ovidan świetnie sobie poradzi. W Matcinaj Dolane powstanie nowe społeczeństwo, z własnymi zasadami i hierarchiami, wykrystalizowanymi w piwnicach, gdzie wszyscy będą się kryć w dniach największego upału.

Uczniowie nie zdążą przerobić przygotowanego materiału. Zresztą papier nie przetrwa *medinocelja*. Rozsypie się w proch, wcześniej butwiejąc i brązowiejąc. Potem trzeba im będzie przynieść następne rękopisy. „Będą wiedzieć mniej niż ich poprzednicy. I tak to postępuje z każdym nowym pokoleniem”, pomyślał Ajfrid.

Na Prevaju mikrostromy stracą przewagę nad piórami. Ajfrida czeka długa samotność, okraszona czasem widokami nieznanymi mieszkańcom osady. Przez długi czas nikt z osady nie wyjdzie do samotni.

Półprzytomny Ajfrid ruszył wąską ścieżką, wijącą się wśród nadrzecznych głazów. Wreszcie dróżka opadła na brzeg Styrmana, Ajfrid doszedł do wsi, mijał ciemne zabudowania. W głowie kręciło się od gorączki. Zataczał się, jakby ścieżka chciała uciec spod nóg. Było późne popołudnie, słońce dawno schowało się za grań. W izbach było już mroczno, ale tego wieczora nikt nie zapalił światła. Z gromady ubyły dzisiaj trzydzieści cztery osoby, a ilu jeszcze tego *medinocelja* wróci z pastwisk jako *stryżaja*?

Na Prevaj będzie cztery godziny szybkiego podejścia. On dzisiaj temu nie podoła. Mijał właśnie domek Gaty Tezejnej. Okien nie rozjaśniał ogienek kaganka. Pomyślał o Alicy, której ciągle żywe ciało unosi się w czerwonym płynie, a jego nieznaczne, wolne ruchy wymusza konwekcja stygnącego płynu w basenie. Chwilę stał mu przed oczyma żywy posąg rozneglizowanej Alicy, choć faktycznie pamiętał ciało Braborki. Ominął *vylet* Kirusa, by nie ujrzeć Alicy w ostatnim uścisku w jego ramionach. Ukłucia w sercu nie stłumiła choroba. Ta dziwna tęsknota wróci w czasie długich godzin samotności. „Lepiej przespać w opuszczonym domu”, pomyślał.

Skreślił w stronę otwartych wrót. Wewnątrz było cicho. Ciekawe, czy nowi władcy pozostaną w wielkich *garadav*, czy wrócą do izolowanych domostw, jak było dawniej?

Drzwi nie zabarykadował, nie miał dość siły przewlec solidnych bierwion. *Porok* nie odróżni ich od innych, dlaczego miałyby właśnie w te drzwi uderzyć włochatą łapą?

Chata nie miała podpiwniczenia, ale w podziemnym składziku panował przyjemny chłód. Pomieszczenie było ciemne, pozbawione okien. Na posłaniu leżało parę rozrzuconych koców. Wyciągnął się na nich.

Mimo zmęczenia sen nie nadchodził. Najpierw Ajfridem trzęsły fale dreszczy. Gorączka rosła bez opamiętania. Przed oczyma pojawiały się jakieś widziadła, kolorowe plamy. Wracały znajome twarze. Najpierw Sirka Ovidna, której nieładne, nieproporcjonalne ciało budziło niechęć. Potem z mroku wyłoniły się wytrzeszczone, błyszczące oczy Gaty Tezejnej, które zaraz przemieniły się w oczy Alicy. A potem już widział tylko jej twarz i spojrzenie pełne niepokoju. „Całkiem źle ze mną, skoro martwi mnie odwiedzają”, pomyślał.

Wyimaginowana Alica przyrzuciła go kocem, więc pomógł widziadłu. Lekki koc nie zniszczy przecież piór. Nie zrobiło się ani trochę cieplej, koc upleciono z sypkiego śniegu. Na szczęście pod śniegiem skrywał się wyschły, górski trawnik wygrzany słońcem. Zrudziała trawa była sucha, szorstka, ale miła w dotyku i przyjemnie grzała, a wreszcie przemieniła się w posąg kobiety. Nie wiedział, czy tuli się do prawdziwej kobiety, czy do żywego, ciepłego posągu utkanego z suchej trawy. Nie chciało się wierzyć, by rzeczywista kobieta była aż tak proporcjonalnie zbudowana: długie, proste nogi, smukłe biodra, wąska talia, wreszcie duże piersi, aksamitne w dotyku. Dotknięcie śniegowego koca stawało się coraz mniej dokuczliwe, chociaż ten śnieg nie topniał, lecz znikał.

24.

Myśli wróciły z szarej nicości, przeradzając się w koszmar. Rozpalony posąg Alicy wyginał mu ramiona swoim ciężarem, siedział na klatce piersiowej, odbierając oddech. Poczował, że ktoś

go odwraca, wyciąga spod gorącego kształtu.

– Połóż się na boku – dobiegł go szept. – Tak lżej ci będzie oddychać. – Gorący posąg odsunął się i teraz z nim rozmawiał. To ożyła rzeźba gniewnej kobiety z *garady vyletnikav*. „Skąd sobie wzięła normalne nogi?”, pomyślał. „Dwie nogi lepsze niż osiem kłów *poroka*”.

Posąg z trawy zbudził go lekkim szarpnięciem. Pod kuchnią już rozpalono, blask kaganka pełgał po ciemnej izbie. Ajfrid leżał nie na brzuchu, jak zwykle, by ochronić pióra, lecz na wznak. Tak nie spał od niepamiętnych czasów. Przypomnił sobie, gdzie jest. A gdzie jest meluzyna?

Alica była blisko. Drzemała, siedząc na zydlu przy jego łóżku. Zbudziła się, gdy tylko *auraio* zaczął się ruszać.

– Ty tutaj...? – spytał niepewnie.

Podawała mu kubek z gorącym winem mlecznym.

– Tak.

Wypił parę łyków kwaskowatego, piekącego napoju.

– Gdy zasnąłeś, zaczęły tobą trząść okropne dreszcze. Nawet wetknęłam ci klocek między zęby, abyś nie odgryzł sobie języka. Ogrzałeś się dopiero ciepłem mojego ciała – powiedziała szybko.

„Nowa buntownica”, pomyślał. „Gata urobiła ją na swoje podobieństwo. Łudzi się, że sama urodzi dzieci Kirusa. Buntownica po buntownicy skłoni gromadę do dalszego łamania reguł, których łamać nie wolno. A to sprowadzi zagładę”.

Zamiast cieszyć się z obecności tej kobiety, ogarnęła go złość. Już pogodził się z utratą Alicy. Z czego tu się zresztą cieszyć? Po następnym *nocelju* zobaczy ją dogorywającą, jak ujrzał Gatę. A może ona umrze wcześniej, próbując wydać na świat dziecko, mimo zbyt małego otworu w zdeformowanej miednicy, przez który żadnej kobiecie nie przejdzie główka noworodka; dziecko już w jej łonie śmiertelnie skażone jej chorobą.

– Zabrania się tak sypiać *auraio*. Pióra mogą się uszkodzić od odzieży.

– Wiedziałam o tym, dlatego spałam nago.

– Nie zmarzłaś?

– Dreszcze nie trwały długo.

– Nigdy tak nie sypiałem z Auraicą.

Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.

– Twoje pióra łaskoczą w dotyku. Powoli, same z siebie, wolno się poruszają.

– One żyją. Nie drapią?

– Same końce. Trzeba uważać, przytulając się.

– Najpierw drapią, potem starają się przyrosnąć.

– Już jednym końcem są wrosnięte w ciebie.

– Rozpoznają innego żywiciela.

– Starają się nas połączyć? Chciałbyś, żeby nas z sobą połączyły?

– Ach! – westchnął. Cóż jej powiedzieć? Oczywiście, że chciałby, żeby została z nim na Prevaju. Samotność we dwoje to przyjemność, nie wyrzeczenie. Ale jak przyjęłaby to gromada? Oto sam *vatran auraio* związał się z buntowniczką? Uciekinierką, która zdeptała najważniejsze zasady rządzące trwaniem tej gromady. Nie mógł tego powiedzieć.

– Gdy się mocno zakotwiczą, pękają w połowie. Tak się rozmnażają.

– Przecież nie mają szansy spotkać dwoje ludzi nieruchomych przez tak długi czas.

– Człowiek nie jest ich nosicielem. Sadzimy je sztucznie.

– Zostanę *pticzjake*.

– Jakżeż...?

– Jante się zgodził, żebym została *pticzjake*. Gjacke Ovidan potwierdził.

Dbano, by między kolejnymi płomienistymi orłami była różnica wieku przynajmniej dwa *nocelja*. Zaopatrywanie dwóch osób żyjących na Prevaju w samotni zmuszało wspólnotę do dużego wysiłku. Jednakże przy dużej różnicy wieku ryzyko przedwczesnego odejścia *auraio* rosło. Bez następcy, kto przekazałby wiedzę następnym? Wspólnota przepadłaby.

Ajfrid milczał. Zbyt wiele spraw działo się poza jego wiedzą. Decyzję podjęto, nie informując go o tym.

– Gata zdecydowała.

„Może miała rację: *auraio* żyje krócej niż *auraica*. Ja parę razy kornaczyłem, warto szybko znaleźć następcę”, pomyślał.

– Ale ty mnie unikałaś. Nawet parę słów było trudno z tobą zamienić.

– Należałeś do Gaty, nie do mnie. Ona przekonała ich wszystkich. A mnie powiedziała, że tobie nie muszę nic mówić, bo na pewno się zgodzisz.

– Ja...?

– Tak. Ty.

Pokiwał głową.

– Miała rację – powiedział i się uśmiechnął.

Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem. Zdążył polubić ten uśmiech.

– Wiesz, ja długo wahałam się z tą decyzją.

– Ale mnie nie spytałaś.

Umilkła zagniewana.

– Wiele masz *krve znam...*? – przerwał milczenie.

– Chodzi ci o liszaje?

– Tak.

– Znajdą się może ze trzy, ale nieduże.

– Ociera cię na nich odzież.

– Czasem.

„Nie straciła czucia, krócej będzie się leczyła”, pomyślał.

– Kiedy wyrosną twoje pióra, nie będziesz mogła się przytulać. A wcześniej czeka cię sporo cierpienia.

Zamknął oczy i zapadł w drzemkę bez koszmarów.

25.

Gdy znowu otworzył oczy, był bardzo słaby, chociaż gorączka nie ćmiła myśli.

– Przespałeś dwa dni. Chwilami budziłeś się i majaczyłeś.

– Jaka teraz pora dnia?

– Przedświt. Gwiazdy bledną.

Pomogła mu zebrać się z posłania. Czuł się lepiej. Minęło przesilenie.

– Zdołasz wyjść na górę?

– Jeśli będę szedł wolno.

Suszone kulki *jedal drava* nie chciały zmięknąć, moczone w winie mlecznym. Tylko je przegryzał i połykał połówki. „*Jedlo* już podśmierduje”, pomyślał. Słodycz była ledwie wyczuwalna.

Niebo pojaśniało, chociaż słońce znacznie później zajrzy do doliny i obezwładni słabego wędrowca. Alica zostawiła zasłonięte okiennice.

Weszli w las.

– *Poroki* już wróciły do swoich jam – powiedziała.

– Mam nadzieję – urwał, bo usłyszeli trzask łamanej gałązki.

Alica płynnym, lekkim, ale stanowczym gestem ściągnęła ich ze ścieżki. Parę kroków pomiędzy rzadko rosnące, purpurowe kandelabry, otoczone wysoką trawą. Bezszelestnie, bo drapieźnik wyczuje każdą wibrację gruntu.

Dobrze przewidzieli. Ścieżką nadszedł czarny *porok*. Włochaty stwór wysokości kucyka, a szerokością zajmujący całą ścieżkę, przemieszczał się leniwymi, miękkimi ruchami ośmiorga potężnych ramion. Nie ukrywał się, nie skradał, lecz szedł ścieżką, która – zanim ludzie tu przybyli – została wydeptana przez inne *poroki* i *mlokan jogry*. Stapał lekko, z

niezwykłą gracją, jednak przy tej wielkości nie mógł czasem nie złamać drobnej gałązki, przyciśniętej ramieniem zaopatrzonym w dwa chwytne pazury.

Ajfrid zerkał na *poroka*, przytulony do Alicy i szczelnie owinięty jej szarą chustą.

Gdy włochaty potwór zniknął za zakrętem ścieżki, dziewczyna za szybko odsunęła się od Ajfrida, jakby zrobiła coś niewłaściwego.

– Twoje płomieniste pióra... – powiedziała. – *Vatran poroki* mają żółto-czerwone pasy na odnóżach. Czarne walczą z nimi. Ten mógł dostrzec pióra i uznać cię za swojego przeciwnika.

„Wystarczy nie drgnąć”, pomyślał Ajfrid. „Nie zauważy nas. Dlaczego one podchodzą tak wysoko? Czego szukają tutaj? Bez płataniny nitek pokrywających podłoże są prawie ślepe. Olbrzyma może okpić słaby człowiek”.

Wrócili do ścieżki wyznakowanej teraz pasmami białawych nici. Alica nożem ścięła jedno z nich, potem drugie i w rękach zwinęła je w motek, chowając ciasny zwitek w kieszeni spódnicy.

– Już wyschła. Nić zawsze się przyda.

– To było nieroztropne, wychodzić tak wcześniej – powiedział. – *Medvad* by nas zabił.

– W dolinie zabiłaby cię choroba.

Medvady rzadko zachodziły pod wieś, ale skoro z góry schodził *porok*, to *medvada* na pewno tam nie było. Drapieżniki polowały na siebie – zawsze *medvady* na *poroki*. *Medvad*, dysponując dwoma potężnymi ramionami chwytными i dwoma krótszymi jak szczytce, którymi kawałkował zdobycz, wreszcie długim jak szabla ostrzem na końcu giętkiego ciała, miał przewagę nad uzbrojonym w dwa kły, uderzającym nimi zawsze od góry do dołu, dość powolnym i mało spostrzegawczym, choć silnym *porokiem*.

Mówili, że dzięki podobnemu ubarwieniu odnóży *vatran poroki* nie atakowały *auraio*. To nie mogła być prawda, zaskoczone w miejscu wykluczającym ucieczkę walczyły nawet ze sobą nawzajem.

– Też zaczęłaś się malować pod koniec Czasu Radości – zmienił temat.

– Tak.

– Ciebie malowała Braborka, a ty ją?

– Poznałeś? Sirka ją celowo oszpecała.

– To było ledwo widoczne malowanie, nie tak jak u innych.

– Powiedziała mi, że *Jadòvina* nie lubił krzykliwego makijażu, a ty też nie lubisz.

– Cco...?

– Zwyczajnie. Żaden z was nie przepadał za takimi barwami.

- No tak.
- Ale poszła do *vyleta* z Jantem.
- Przecież musiała.

Skinął głowę. Poszli w dół doliny, odejście ścieżki na Prevaj jest poniżej wsi.

„Drożka zarasta trawą”, pomyślał, zerkając na świeże, purpurowe źdźbła wystrzelające spomiędzy równo ciętych, płaskich kamieni, którymi wyłożono ścieżkę, aby powstrzymać wegetację. Każda łądyżka, otwarta od góry, wyglądała jak rurka. „Dziwaczna odmiana się tu rozplenia”. Patrzył na triumfującą roślinność niechętnie, ale nie deptał kruchych cylindereków

26.

Ajfrid przystawał na każdym zakosie ścieżki. Alica czekała, rozglądała się, milczała. Pod progiem bocznej doliny las był już mocno przerzedzony i na stromym podejściu w drobne zakosiki spomiędzy drzew wylaniały się coraz piękniejsze widoki, to w górę, to – przeciwnie – w dół doliny.

– Byłaś już kiedy na Prevaju?

– Nigdy. W dole byłam przy Hubinacaj Ljuce, a w górę zaszłam doliną aż po Jazor, a kilka razy niżej, ale ponad Dvi Urav.

U stóp ścieliły się drobne klocki zabudowań wsi, a dalej ku końcowi doliny jaśniały lustrzane tafle obu Jazyr, Styрман zaś, opadający z Uravav siklawami, rysował się srebrzystymi nitkami.

- Pięknie tu. Mogłam tego nigdy nie ujrzeć.
- Wyżej będzie jeszcze piękniej.
- Dziwne, że jedni mogą to zobaczyć, inni nie.
- Każdy może. *Nosiczja* napatrzą się do znudzenia.
- Mało kto wie, co można zobaczyć z drogi na Prevaj.
- Wielu nie zwróciłoby uwagi.

Wyżej kolumny drzew zastąpione zostały gęstymi, splątanymi poroślami o kruchych, twardych łądygach. Roślinność zmieniła się od czasu, kiedy schodził tędy pierwszy raz po *nocelju*. Ścieżka była zaznaczona wyraźną przecinką. Tu rośliny pieniały się wolno, nie trzeba było przed nimi zabezpieczać ścieżki płytami łupka. Zarośla sięgały na dwa i pół metra, widoku nie było stąd żadnego. Zrobiło się zbyt ciepło i duszno. Alica kichała od pyłu zarodników, unoszących się chmurkami wystrzelowanymi z końców łądyg w kolorach od ochry, przez ceglastą czerwień do głębokich brązów, sieni i umbry.

Na ostatnim zakosie ścieżki odchodził ślad trawersu.

– Tu, w zboczu, mieszkali ludzie. Pokażę ci.

Poszła za nim.

Brodzili w suchych, trzeszczących poroślach, wznosząc chmury rudych zarodników. Trawers rozszerzył się do kilkudziesięciu metrów. Nad nim piętrzył się wapienny okap. Skąła przy ścieżce poszczerbiona była kwadratowymi otworami okien i prostokątami drzwi.

– Okap chroni przed zabójczym blaskiem w najgorętsze dni *medinocelja* – powiedział.

– Dawne zabudowania ciągną się w obie strony od ścieżki. Wejdźmy do izby. Uważaj na próg.

Światło wpadało do wnętrza przez otwory okienne.

W chacie rosły ciemnofioletowe krzaczyska o grubych na palec, mięsistych liściach jak płaskie, postrzępione kapelusze.

– Popatrz tutaj. – Ajfrid odgarnął olbrzymi liść, odsłaniając płaszczyznę ściany pobieloną wapnem. Na białym tle rysował się widok zabudowań oraz strome go zbocza górskiego za nimi. Domy odrobiono w sadzy, sangwinie i ochrze. Zbocze, wymalowane kiedyś sinym barwnikiem, zbladło prawie zupełnie.

– Ale piękne.

– Chodź do następnej chaty. Tam jest więcej fresków.

W sąsiedniej znaleźli wymalowanego na całą ścianę, częściowo pozwijanego *stjegan smyja*. Nieznany twórca pracowicie oddał segmentowanie ciała potwora, wiedział też, że z każdego segmentu wyrastają zwierzęciu dwie pary kończyn. Na przeciwnej ścianie groźnie unosił ramiona *vatran porok*. Miał żółte i czerwone pasy na czarnych odnóżach.

– To była szkoła?

– W innych chatach też są malunki.

– Kto to malował?

– Nikt nie pamięta.

Sporo fresków było zniszczonych. Wilgotny liszaj wyżarł barwy i kreski. Alicę szczególnie przyciągały podobizny ludzi. Kobiet w kapeluszach, rudych spódnicach i sznurowanych kubrakach i mężczyzn w spodniach o nogawicach sznurowanych na bokach. Rozglądała się zafascynowana. Jej oczy się śmiały.

– Tu jest moje miejsce, wiesz – powiedziała wreszcie. – Chcę nauczyć się tak rysować.

– Nikt tak nie umie, chociaż farby umiemy zrobić.

Brodząc w zaroślach, wrócili do ścieżki na Prevaj. Ostatni zakos był szeroki, wznosił

się bardzo wolno. Jakby część dawnej drogi, nieużywanej i mocno zachwaszczonej.

Zarośla skończyły się dopiero na poлогіej kopie wieńczącej próg karu. Wystarczyło zrobić kilka kroków, a dno Matcinaj Dolany zamknęło się przed ich wzrokiem. Znaleźli się w wiszącej dolince, z trzech stron otoczonej skalnym amfiteatrem. Po prawej piętrzyły się skalne żebra Ledan Vyrhu, a wysoko pod granią białało kilka płatów letniego śniegu. Przed sobą mieli stromy piarg wiodący na Prevaj. Orzeźwił ich chłodniejszy podmuch.

– Ta trawiasta płaszczyzna pożłobiona ciekami to było kiedyś jezioro – powiedział.

– Ktoś opisał ten staw?

– Nikt. Ale takie miejsce pozostaje po stawie. Kiedyś mieszkało tu wielu ludzi. To było ich miejsce. – Wskazał na kamienne ruiny.

– Dlaczego je porzucono?

– Ten kar nie wykarmi ludzi, chociaż *krve znama* rosną tu wolno. Mieszkając tutaj, i tak trzeba było prowadzić gospodarkę na dole. To okazało się za trudne.

Alica rozłamała płaski bochenek i podała mu kawałek. Słodkawy placek, o kruchej brązowej skórce i żółtej ośrodku, utykał w gardle. Popili wodą z potoku, na tej wysokości zawsze pewną.

– *Auraio* nie musi jeść na dworze.

– To plotka. W całym *medinocelju* zbierze się najwyżej dwa tygodnie, kiedy pióra zdołają mnie wykarmić.

Ruszyli widoczną ścieżką przez wyschły staw, ku stopniom wiodącym zboczem w górę.

– Tę poręcz zrobili specjalnie dla ciebie?

– Taa... Przewidzieli moją chorobę.

– Wszyscy chorują w dolinie.

Poręcz okazała się nieoceniona. Wolno wspinał się, łapał oddech, pochylony wspierał na barierce. Przynajmniej lodu nie było.

– Stąd widać, jak wielu ludzi tu mieszkało. Tu była cała wieś. – Wskazała ręką w dół.

– Dawne notatki mówią o kilku osiedlach w dolinie. Ludzie też mieszkali na przeciwnym zboczu, pod Vatan Vyrham. Dziś dla wszystkich starczy jedna wieś, chociaż nadal wznoszą nowe zabudowania.

– Mieszkali tu w ciasnocie.

– Teraz znowu stłoczyli się w sześciu *garadav*.

Co chwilę przystawał. Alica cierpliwie czekała. Słońce grzało, chociaż już obniżało się w swej drodze po nieboskłonie.

Im wyżej, tym było chłodniej. Oddechy znaczyły się mgiełką. Kiedy osiągnęli Prevaj, słońce już spomarańczowiało. Siodło przełęczcy oznaczono samotną tyczką. Alica, zdumiona, patrzyła w głąb Bezladnaj Dolany, która właśnie się przed nimi odsłoniła.

– Inna niż nasza? – spytał.

– Tak. Uczyłam się, że są inne doliny – burknęła. Nie chciała wyjść w jego oczach na prostaczkę.

Łagodnie wznoszącym się grzbietem dotarli do schronu. Zatrzymali się na werandzie przed zabudowaniem. Niebo na wschodzie już ciemniało. Tarcza słoneczna nad horyzontem była soczyście czerwona. Alica zamarła, urzeczona.

Ajfrid przystanął za nią. Nie chciał swą obecnością psuć jej przyjemności odkrywania.

Nagle obejrzała się, spłoszona.

– Czerwone Słońce. Ono bywa czasami jeszcze dziwniejsze. Naoglądasz się tu jego tarczy.

Milczała.

– Chcesz patrzeć, jak się chowa za horyzontem?

– Tak.

Ajfrid najchętniej zaraz by się położył. Było coraz chłodniej. Gdyby jednak zostawił ją samą, mogłaby tu pozostać do rana. Zresztą nie czekał go już żaden wysiłek. Siły wracały, a ten zachód słońca był piękny.

27.

Życie w samotni ułożyło się w codzienny rytm. Alica wzięła się do sprzątania pomieszczeń i czyszczenia zasobów. Krzątania sprawiała jej przyjemność. Przeniosła swoje rzeczy do najdalszego pomieszczenia samotni. Ajfrid stracił delikatny dotyk i przypadkowe ciepło jej ciała, gdy budził się w środku nocy.

Pod wieczór wyszli na betonową, wywieszoną rampę. Alica patrzyła w głąb Bezladnaj Dolany, którą teraz w dolnej części pokrywał kozuch z cieniuśkich niteczek.

– To nitki *poroka*?- spytała.

– Nie byłyby stąd widoczne. Te tu naprawdę są grube jak potworne konary albo pnie. Gęstwa nie do przebycia. Ta dolina zarasta nimi w *medinocelju*. Kiedy śniegi i lody odejdą, stawy robią się zielone albo purpurowe, a siwa płatanina narasta od dołu doliny.

– Dlaczego Matcina Dolana tak nie zarasta?

– Może tak się dzieje dzięki ludziom. Intensywnie wypasamy łąki *jogramy a volcama*, a przez to wegetacja nie podchodzi od dołu.

– Stąd kiedyś zrzucisz moje ciało – powiedział – zaszyte w prześcieradło. To będzie mój *vylet*.

– Albo ty moje.

– Tak się nie zdarzy.

Alica wyszła na sam koniec trzydziestometrowej rampy.

– To się ledwie trzyma, zbrojenia się odsłoniły – powiedział. – Beton koroduje w szybkim tempie. Nie przetrwa już długo. Złamie się.

– Wtedy oboje zginiemy razem, a cała wspólnota z nami. – Wychyliła się głęboko, zerkając w przepaść.

„Żeby spróchniały fragment betonu nie odpadł właśnie w tym momencie”, pomyślał zaniepokojony.

– Ona spadła w tamten żleb? – Alica wskazała na stromy lizak zlodowaciałego śniegu u ich stóp, znikający między dwoma skalnymi żebrami.

– Myślę, że rampę zrobiono po to, aby ciała odeszłych *aurai* nie były widoczne z samotni. Lecą w powietrzu, potem osuwają się tamtą rynną. Każde z nas zjedzie po tym lodzie.

Nie odezwała się.

Wczesnym rankiem znalazł ją na werandzie. Siedziała wpatrzona w czerwoną tarczę słońca, która już wychynęła zza odległej grani, a teraz przebijała się przez pasma szarawych mgieł porannych. Podziwiała sięgające po horyzont postrzępione granie. Spojrzała na niego zaskoczona, jakby została nakryta na czymś nieodpowiednim, i zaniepokoiła się, co on sobie pomyśli, obserwując jej naiwny zachwyt nad pospolitym widokiem.

– Przepadam za wschodami słońca, ale wtedy jest zbyt zimno dla mnie – powiedział.

– Tak. Idę. Robota czeka.

– O tej porze?

– Trzeba przygotować jedzenie, zamieść korytarze, w połowie pomieszczeń jest szaro od kurzu. Tu chyba nikt nigdy nie sprzątał. Tobą trzeba się zaopiekować.

– Pióra już pokonały infekcję. Szybko wracam do formy. Czujesz się tu samotna?

Spojrzała na niego uważnie.

– Brakuje ci Kirusa?

– Kogo!? Tego łajdaka?

Nie odezwał się.

– Co ty insynuujesz? Brakuje mi wsi, przyjaciółek, rozmów, wieczornych śpiewów.

– Tu czeka cię samotność. Nie ostrzegęła cię Gata? Ja od samotności prawie

oszałem.



- Mnie już jest ciężko.
- Przecież wszyscy oni odeszli.
- Wiem – rzuciła i wyszła.

Tyle ją widział tego dnia. Rano pojawiła się przy posiłku i rozmawiała już normalnie.

28.

Od początku lipca pogoda się ustabilizowała, dni były słoneczne, chociaż na ogół wiało dość mocno. Dzisiaj był jeszcze piękniejszy dzień. Umocowała na desce kartę i rysowała panoramę otaczających szczytów. Kawałkami węgla drzewnego cieniowała płaszczyzny. Ajfrid niepostrzeżenie podszedł z tyłu i przypatrywał się jej pracy. Autorka starała się niewiele upraszczać.

- Dobrze ci idzie.

Jej ręka zadrżała, po kartce poszła fałszywa kreska.

- Przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam. Dobra ta panorama.

- To dla uczniów. Dodamy szkic do podręcznika. Niech poznają ten widok. To nie jest tylko dla nas. - Wzięła się za cieniowanie. Miętko rozcierała opuszkami palców szerokie pociągnięcia węglem.

- Ależ brudas z ciebie.

- Zaraz to skończę.

- Przyniosę ci dzbanek z cysterny.

Wszedł do samotni.

- Masz światła - powiedział, gdy wrócił, i dał jej kawałek twardej kremowej glinki owiniętej papierem.

- Najpierw opłucz mi ręce.

Wytarła umyte ręce w kawałek tkaniny i zaczęła kłaść światła.

- Nie wrócisz do cieni?

- Położone są wystarczająco starannie.

Znowu pracowała w skupieniu. Ajfrid patrzył ciepło na jej zamyślenie. Na leciutko uchylone usta i koniuszek języka, który chciał się przez nie wysunąć, by jej pomóc w pracy.

- Nigdy wcześniej nie było mi tak dobrze - odezwała się.

- Tutaj na górze?

- Tutaj z tobą.

Wzruszył ramionami, a długie pióra opadły trójbarwnym trenem.

– Jednostajne, jałowe bytowanie, nuda.

– Skądże. Czasami nawet mi się wydaje, że ja już nie żyję, bo pozbawiono mnie *vyletu*, a teraz trafiłam do krainy marzeń. Czytam, uczę się, piszę, rysuję. Co dzień widzę inny spektakl światel. Ty jesteś blisko... – urwała, jakby w obawie, że powiedziała za dużo. – Wiem, że to nie będzie długo trwało...

Uśmiech zgasł mu na ustach.

– Ale ja nie wyśniłabym, że od życia dostanę aż tyle – zakończyła.

Ajfrid nigdy nie związał się mocno ze swoimi rówieśnikami, a obecnie już słabo ich pamiętał. Zadawał sobie pytanie, czy znajdzie wspólny język z Alicą. Rówieśnicy stanowili odrębne grupy: razem wzrastali, razem się uczyli, między sobą utrzymywali najściślejsze kontakty, unikali starszych, a lekceważyli młodszych, a wreszcie razem odchodzili. Tworzyli zamknięte kręgi. Ona teraz została sama. Czułaby się wyobcowana wśród pozostałych mieszkańców osady. Życie skazało ich na siebie. Czy porozumienie jest możliwe? Otuchy dodawał fakt, że oboje byli w tej samej sytuacji. Jakby dostali na swój użytek trochę nieskończoności niedostępnej innym. To wiele czasu na rozmowy.

Pod koniec *medinocelja* trzeba będzie zasadzić jej pióra. Czy ona pozwoli na tak daleką poufałość? Zgodziła się, ale obecnie zachowywała się inaczej. Kryła się przed nim, tak że czasem nie widywali się nawet przez parę dni. Jedzenie przygotowywała tylko dla siebie, gdyż obecnie Ajfrida żywiły wystarczająco jego pióra. Najwyżej wypił kubek mlecznego wina, czasem rozpuścił w nim aromatyczną kulkę słodkiego *jedla*.

Nadszedł najgorętszy okres *medinocelja*, czas najbujniejszej wegetacji. Bezładnu Dolanu szczelnie przykrył kozuch zaschłej białawej piany. Z dołu wkroczyły organizmy wymagające najwyższych temperatur.

– One oczyszczą całą dolinę – powiedział. – To chyba grzyby, które łapczywie karmią się jej roślinnością. Zniszczą te niby-nici, a potem obumrą i szybko się rozłożą, pozostawiając po sobie tylko pył zarodników, które deszcze i potoki zmyją z doliny.

– Szaleńcza strategia. Zżerają wszystko, a potem giną z głodu.

– To się nie zdarza na równinach. U nas rośliny rozwijają się wolniej i są atakowane przez grzyby. Tamte zdążą wcześniej wydać nasiona, a kozuch żywi się tylko uschłymi łodygami.

– Czy ten szary kozuch też by nas pożarł, gdybyśmy tam zeszli?

– Nie sędzę. *Jogry* chętnie się na nim pasą. Faktycznie przez większą część *medinocelja* na *Zatròvati Ljucam* to jest ich główna pasza.

Wśród sprzętów w magazynie znalazł niewielki zaostriżony przedmiot w kształcie

krótkiego stożka, otoczonego cienkim pierścieniem – poczwórny nóż do sadzenia piór. Od przeciwnej strony kończył go drugi pierścień, oddzielony od pierwszego przesuwaną się po osi sprężyną. Przyrząd w paru miejscach chwyciła rdza. Ajfrid kilkakrotnie nacisnął blaszany pierścień, aż cztery ostre blaszki rozsunęły się jak płatki kwiatu, gdy zaś nacisk palca ustał, sprężyna spowodowała, że natychmiast zsunęły się w jedno ostrze. „Czy zdążę użyć tego noża? Czy *krve znama* ją pokonają?” pomyślał.

Kilka razy przejechał paznokciem po szorstkich liszajach rdzy. „To trzeba usunąć. Sprawiloby jej zbyteczną przykrość”.

W wolnych chwilach polerował powierzchnię noża, póki rdzawe plamy nie znikły.

29.

Alica dotarła granią aż na szczyt Ledan Vyrhu. Ułożyła wanty w stopnie, tworząc stałą ścieżkę do wierzchołka. Ajfrid uważał, że ona szuka samotności, specjalnie stroni od niego. On sam kiedyś wszedł tylko na Prevajnu Pianinu, połogi szczyt wznoszący się nad schronem.

– Znalazłam ścieżkę schodzącą z Prevaja do Bezladnu Dolanu – powiedziała, zerkając na niego. – Jest niewidoczna z przełęczy. Dróżka z kamieni starannie ułożonych w stopnie, które po boku ograniczono płytami wkopanymi na sztorc. Jedynie barierki brakuje.

– Nie ma gdzie prowadzić – mruknął. – Bezladna Dolana nie była nigdy zasiedlona.

– To ścieżka dawnych *aurai*. Może wiedzie do zapomnianego archiwum z półkami nieznanymi manuskryptów...?

Nie wierzył, żeby gdzieś nad Bezladnu Dolanu skryto coś ważnego. Wiedział, że Alica nudzi się i szuka urozmaicenia. „Trzeba będzie zejść tam i to sprawdzić”, pomyślał. Nie miał ochoty tłuc się cały dzień do nieznannej doliny, wolałby czytać notatki w archiwum. Im starsze, tym trudniej, bo zawierały coraz więcej niezrozumiałych słów. A jeśli już nie mieli wspólnie studiować pożółkłych stronic na werandce, to wolałby wykonać dokładną panoramę, bo ta wyrysowana przez Alice miała błędy. Zrobił przyrząd do zaznaczania dokładnych pozycji wybranych punktów na horyzoncie. Ułatwiłoby to szkicowanie.

Słońce miało jeszcze sporo drogi do południa, najlepiej pójść od razu.

Ścieżka schodziła zygzakami stromym zboczem. Była cały czas widoczna na drobnym szutrze, chociaż nie używano jej od dawna. Nie wiodła do zapomnianego zabudowania w pobliżu samotni, lecz do doliny.

Niżej zbocze przerodziło się w rozległe piarzysko. W osuwającym się drobnym piargu ktoś ułożył stopnie z kamiennych płyt. Ścieżka zakreśliła pod skały ograniczające żleb od lewej, w miejscu, gdzie mur skalny wyrastał z rumoszu.

Spod skał otworzył się widok na górne piętro Bezladnej Dolany. Dolina była jałowa, cała zavalona piargami. Stawy znajdowały się poniżej. Tylko najwyższy skrywał się za spiętrzonym progiem. Ścieżka dalej trawersowała poniżej linii skał. W jednym miejscu zniszczyła ją kiedyś kamienna lawina. Tu zwolnili, wolno podchodząc po ruchomych głazach.

Wreszcie dotarli do stawku, otoczonego stromymi zboczami piargu, formującymi prawie zamkniętą kotlinkę. Zasilał go wątlutki ciek wypływający spod skał. Spokojna tafla wody odbijała nieboskłon jak lustro. Ze stawu przez wąską przerwę w otaczających wantach wylał się cieniutki potok, dalej opadając białym wężykiem ku Zelanu Jazyru. Niżej w dolinie jego bieg znaczyła szczotka barwnych palikowatych łądyg.

Poblize stawu było jałowe: drobny żwirek, wanty, żadnych plam porośli, łądyżek. Może dlatego, że pionowa, szara ściana skalna ocieniała wodę przez większą część dnia. Ścieżka urywała się przy brzegu. Tylko tyle. Żadnego budynku, schronu, stanowiska pomiarowego, nic.

Czyściutka, przejrzysta woda ujawniała kamienie na dnie stawu, rozrzucone jak korale. Pokrywała je cieniutka warstwa niby aksamitnego mchu, a niektóre z nich były niemal całkiem skryte w brunatnym mule. Spod kamieni, z powłoki mułu, wylało się nieoczekiwanie wiele podłużnych badyli. Kamienie były podobnej wielkości, obłe, niemal kuliste. „Zupełnie jak ludzkie czaszki”, pomyślał.

Bo rzeczywiście to były ludzkie czaszki. Niektóre szczyrzyły się mrocznymi oczodołami, inne wystawiały podniebienia, jakby w obszernym śmiechu, od którego pogubiły zuchwy. Przygniecione czaszkami paliki to były kości udowe, piszczele i żebra. Zauważył też kielichy miednic, medaliony kości krzyżowych, wiele drobniejszych kostek. Ludzkie kości wyścielały całe dno stawu.

Na brzegu kości nie było. Żadna czaszka nie wystawała ponad powierzchnię wody. A przy brzegu żwirek był nietknięty – żadnych śladów.

Alica przywarła do jego ramienia. Nieruchomo wpatrywała się w czyściutką toń.

– To jest Kostor. Ten staw istnieje naprawdę – powiedział.

Spojrzała pytająco.

– Jego dno wysłane jest szkieletami *aurai*. Każdy z nas skończy w nim swój ostatni lot, swój *vylet*.

Spojrzał w górę. Ostatnia droga ciał *aurai* nie była stąd widoczna, jednak zjeżdżając lodową rynną, każdy pakunek musiał trafić na taflę stawu. Jeśli lot nastąpił w *medinocelju*, ciało od razu tonęło w wodzie, jeśli w trakcie *nocelju*, to lej uformowany z piargu, na dnie którego znajdował się Kostor, naprowadzał tak, by skończyło swój bieg na powierzchni stawu

i zatoneło, gdy ten już rozmarzył. Musiało tak być, skoro na brzegu nie leżała ani jedna kość.

– Ona też tu jest? – spytała Alica.

– Musi być. Jej ciało powinno się jeszcze zachować.

– Obejdźmy staw wokół.

Nie trzeba było długo szukać. Płytko pod wodą, blisko brzegu, zauważyli kompletny szkielet. Pokrywała go cienka zielononiebieska powłoka, oczodoły wypełniała barwna masa, przestrzeń pod żebrami też. Wyglądał jak nieuszkodzona postać ludzka, bez wątplenia kobiety, z kośćmi tu i ówdzie przezierającymi na powierzchnię. Ani śladu płóciennego worka, w który zaszył ją Ajfrid, pióra też się nie zachowały. Drevana Auraica pól siedziała na dnie stawu, po śmierci uwolniona od dożywotniego stroju.

– Ona tak dziwnie wygląda. Jakby wyrzeźbiona.

– O tym też czytałem. Pióra broniły jej ciała długo, wcześniej nawet płócienny worek został w całości spożyty przez grzyba. Potem grzyb nie zdążył już wiele wskórać, kiedy skończył się jego czas.

– Przetrwą następny *nocelj*?

– Raczej tak, chociaż jak się oziebi w dolinach, tutaj znowu na krótki czas wraca życie. Czasem pojawia się wtedy drugie pokolenie grzyba. W takim przypadku najbliższy *nocelj* zastanie już tylko jej goły szkielet, nie kolorowy posąg.

– Ładnie wygląda, jak tak sobie tam siedzi.

– Tak. Ja też bym tak chciał siedzieć, a nie żeby mnie rozsypało po całym stawie.

– Przestań.

30.

Upał nie sprzyjał wędrownikom, ale kilka razy Ajfrid musiał sprawdzić, jak przebiega *vylet*. Alica nie chciała oglądać pustych domów.

Wyruszył z rana. Zejście do ruin osiedla w dolince było przyjemne, jednak niżej na progu owiała go fala gorącego powietrza, wznoszącego się z dołu. „Jak z pieca”, pomyślał. Może to wina zarośli, obecnie najgęstszych. Kozuch grzybni do doliny nie dochodził, więc zielsko pieniało się tu bez opamiętania. W dole srebrna wstążka Styrmana ledwie się sączyła. Ajfrid obawiał się, że coraz cieplejsze *medinocelja*, a wraz z nimi nowe organizmy przybywające z równin, zniszczą osadę w Matcinaj Dolane, ostatnią ludzką kolonię.

Może ich namówić, aby przenieśli się na Prevaj? Wystarczą cztery takie schrony jak dotychczasowy. A potem tylko na rampie żegnać odchodzących, póki wszystko się nie skończy. „Kostor ich wszystkich nie pomieści”, pomyślał. „A dlaczego nie, skoro znaleźli w

nim miejsce wszyscy dotychczasowi *aurai*?”

Schodził doskonale znanymi zakosami. Jego myśli wracały do oczka wody wśród skał, odbijającego sobą przechodzące chmury i kryjącego historię schronu na Prevaju. „Dlaczego kozuch nie pożera kości, skoro tak szybko rozkłada celulozę tkaniny?”, pomyślał. „A co oznacza słowo «celuloza»...? Cechę tkaniny czy jej składnik?”

Schodząc z progu wiszącej dolinki, czuł się, jakby zstępował do pieca. Rozgrzane, duszne powietrze odbierało dech, zaklejało płuca. Kruche, rurkowate łądygi z trzaskiem pękały pod podeszwami sandałów, eksplodując chmurkami pyłu. „Dopiero miazdżone rozsiewają zarodniki? Obecnie każdy *porok* ma odnoża do połowy rude od pyłu”. Chwilami krztusił się pyłem. W dolinie powietrze stało nieruchomo, brakowało tchu. Przynajmniej droga szeroka, stapało się po płytach łupka, pyłu nie wznosząc. Aby tylko pióra jak najmniej grzały. Dręczyło pragnienie. Byle do schronu z chłodnym mlecznym winem.

Wzdłuż ścieżki biegły dziesiątki białych nici. Miejscami łączyły się w tkaninę. „Obrodziło *porokami*”, pomyślał. „Te niestety w końcu ściągną tu *medvady*”.

Wyrosło już nowe pokolenie *jedal drava*. Mijał kępy nie zerwanych pni. Zbyttno wyrosły. Wkrótce różne organizmy wyżrą z nich cały miąższ, zawierający słodkawą, jadalną mączkę. Mijał przyzmy leżących pni, zostawionych do wyschnięcia. Lżejsze zwiezie się w pobliże wiaty, gdzie doschną do reszty, a potem wydobędzie się z nich mąkę.

W Matcinaj Dolane krążyły bajki, jakoby ludzie wywodzili się z wnętrza pni *jedal drava*. Faktycznie zapisano, że kiedyś gromada zamieszkiwała te pnie, gdyż w Matcinaj Dolane było tak niewielu ludzi. Jednak wypróchniałe pnie czasem przewracały się, grzebiąc mieszkańców, wzniesiono zatem pierwsze domy.

Na dnie doliny mrowiły się skrzydlate stwory. Nieduże pękate kuleczki furkotały, każda podczepiona pod kilkoma błoniastymi skrzydłami. Beładne ruchy ich skrzydeł i cały lot sprawiały wrażenie bezcelowej miotaniny. Nad zaroślami unosiły się białawą chmurą. Gdyby nie obezwładniający upał, latające istoty wyglądałyby nawet przyjemnie.

– Najgorszy czas, *żjaraca krvepity privlaczlis!* – zaklął.

Osada wyglądała jak wymarła. Ni żywej duszy. Chaty z oknami skrytymi za zamkniętymi okiennicami zachowywały resztki chłodu z nocy. Mieszkańcy kryli się w najgłębszych piwnicach przed upałem, a może też przed inwazją skrzydlatych agresorów.

Każde *żjarace* pozornie tylko unosiło się bez celu. Stwór szukał łądygi lub pnia *jedal drava*, by wkluć się w nie jak najgłębiej. Wkrótce potem niepotrzebne już skrzydła *żjaraca* wysychały, marniały, a wreszcie odpadały do reszty, stwór zaś zajmował się już wyłącznie wysysaniem słodkawego soku z jadalnej rośliny. Można go było ostrożnie ściąć i spalić w

ognisku z chwastami. Wtedy, ku uciesze malców, kulka pękała, buchała kłębkami pary oraz przyskała gorącą cieczą. Samą kłujkę roślina wchłaniała, chociaż ta, ostrożnie wyciągnięta, mogła pełnić rolę igły. Mówiło się, że chmura *żjaracav* może opaść na śpiącego człowieka i wysać mu krew, która smakuje stworom bardziej niż soki roślinne. Może obawy przed ich atakiem były przesadzone, ale legiony żarłocznych stworów wyrządzały wymierne straty – nalot *żjaracav* kończył ścinkę *jedal drava*. Potem nie było czego zbierać. Gdy biała chmura opadała na drzewa, mieszkańcy osady zabierali się do czyszczenia łądyg *jedal drava* i innych roślin. Póki stwory unosiły się w powietrzu, ludzie kryli się w swych domostwach – irracjonalny strach był zbyt duży.

Obfity pojaw *żjaracav* ścigał za sobą egzotyczne stwory, z którymi walka była trudniejsza, a niektóre z nich stanowiły większe zagrożenie. Dlatego zebranie się chmur *żjaracav* nad Matcinu Dolanu traktowano jako zły znak.

W celu sprawdzania kąpielii *vyletnikav* Ajfrid nie musiał niepokoić mieszkańców. W chłodnej piwniczce przy budynku *bazina* mógł przetrwać najgorszy skwar.

Chaty osady zostały gęsto połączone niciami *porokav*. Jakby kudłate bestie upodobały sobie właśnie to miejsce. „Ależ one tutaj harczą”, pomyślał, śledząc wzrokiem najdzikszy przebieg nitek, znaczących drogę drapieznika z dachu jednej chaty na następny, potem znów do okna i na kolejny dach. „Muszą tu nocami zachodzić prawdziwe olbrzymy, jeśli tak łatwo włączą tak wysoko”.

Zajrzał do *vyletan bazina*. Zdjął z drzwi drewniane blokady, belki masywne, nie do sforsowania dla *poroka*.

Płyn w basenie był mętny, mlecznobiały. W pomieszczeniu panowała temperatura zbliżona do temperatury ludzkiego ciała. Uważano, że mleczna biel to maleńkie pęcherzyki gazu, obficie wydzielającego się z dodanych składników.

Nabrał nieco płynu do szklanki i obejrzał pod światło. „Światło jeszcze przez to przechodzi”. Wszystko wyglądało prawidłowo. Ciecz miała właściwy kolor i zapach. Temperatura też była taka, jak powinna.

Zabarykadował pomieszczenie łaźni, a potem w chłodnej piwnicy znalazł gliniany dzbanek z winem mlecznym. Wystarczyło za posiłek.

Następnego dnia, z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca, ruszył w powrotną drogę. *Poroka* nie spotkał.

– Przyszła z tobą ta ruda?! – Alica stanęła w drzwiach i podparła się pod boki, kiedy wieczorem siedział na ławie i moczył w winie białe kulki *jedal drava*.

Zmartwił.



- Jaka ruda?

– Nie słyszałam jej przez cały czas, kiedy byłeś na dole. Musiała zejść z tobą, a teraz wróciła.

– Kogo masz na myśli?

– No kogóż by innego jak nie Braborkę? Zostawiłeś ją sobie do towarzystwa, bo jednej ci mało.

– Braborka weszła do *vyleta*.

– Nie wierzę. To musiała być jakaś inna. Braborka snuje się po obserwatorium i kryje po kątach przede mną.

Nie znalazł odpowiedzi.

31.

Wśród zapisków w bibliotece leżała kartka ze słowami Furlongga. Ajfrid kiedyś nauczył się ich na pamięć, potem zdążył zapomnieć, wreszcie położył w widocznym miejscu, by zawsze była pod ręką. Słowa *priljetatjela* przepisano już wielokrotnie, nie zmieniając treści.

„Na początku człowieka była glina oraz woda. W waszej dolinie jest właśnie glina początku, czerwona glina, *krvedema*. Pamiętajcie o tym, nawet jeśli reszta wiedzy przepadła. To wystarczy, bo dobrze zaczęta rzecz dobrze się rozwinie i trwać będzie długo.

Bądźcie oznaczeni czerwoną gliną, aby was wzięto za swoich, kiedy nadejdą *priljetatjelja*. Wasza pamięć o historii to ciała przodków, których imiona umie wyrecytować każde dziecko w szkole, niech więc każdy ze szkieletów zostanie wyraźnie zaznaczony czerwoną gliną”.

Ajfrid odłożył stronicę na półkę. „Nikt nie potrafi recytować imion swoich przodków. Zapomniano je”, pomyślał.

Przetrawło niewiele słów Doedda Furlongga. Więcej myśli przeniosła tradycja. *Priljetatjel* polecił czekać na innych, podobnych sobie zwiastunów. Mówił o wspaniałych tajemnicach, jakie znów zostaną ujawnione mieszkańcom Matcinaj Dolany.

Sporo wiedzy o światach *priljetatjeljav* zachowało się w podręczniku astronomii oraz w podręczniku zoologii. Traktowały o rzeczach niewyobrażalnych. Jakie więc treści daleko wspanialsze zostały przed nimi ukryte? „Dlaczego powiedział nam tak mało, skoro wiedział więcej? Może zapomniał?”, zastanowił się Ajfrid.

Furlongg długo milczał, zanim jako tako opanował ich język. Może mówił zbyt słabo i nie chciał przekreślić najważniejszych nowin? Albo brakowało mu wiedzy, by ich nauczyć? „Tylko że on oszedł, a my dalej nic nie wiemy”, pomyślał Ajfrid. „Bo po nim nikt nie

przybył”.

Była jeszcze kartka zwana „PseudoFurlongg”. Ktoś spisał z pamięci słowa *priljetatjela*. Ale dziwaczna treść budziła podejrzenia, że są to myśli właśnie tego kogoś innego.

„Czy zapomnienie uwalnia od upadku? Niepamięć nie uniewinnia sprawcy. Ale jeśli to wina różna od innych win, taka, która przechodzi z rodziców na dzieci, jako dziedzictwo? W takim przypadku zapomnienie wszystkiego, co nastąpiło po niej, a więc zarówno następstw tej winy, jak i pokusy, która do niej doprowadziła, może zmniejszy stopień tej winy. Dlatego ukrywam przed wami wszystko, co zdarzyło się po czerwonej glinie i wodzie”.

„To na pewno apokryf, a nie myśli zwiastuna z gwiazd”, pomyślał Ajfrid. „Jakiś szalony *auraio* nawdychał się dymu z *czyrnaj hubiny*..”

A były jeszcze dziwaczniejsze zapiski.

„Bracia to dwaj synowie tej samej kobiety i tego samego mężczyzny. Wam nie dano rozpoznać, którzy z was są dziećmi tej samej kobiety czy tego samego mężczyzny. Choćby nawet udało się wam to ustalić, nigdy nie orzekniecie, czy dwoje dzieci tej samej kobiety pochodzi od tego samego mężczyzny. Nie dano wam wiedzieć, kto z was jest czyim bratem. Nie jest to tylko krzywda, oznacza to bowiem, że uchronieni zostaliście od drugiej winy, od bratobójstwa. Dlatego nie ujawniłem więcej, bo uważam, że wasza droga ma być inna”.

Jemu ta kartka nie wydała się apokryfem. Raczej pasowała na początek relacji Furlongga. „Pierwsza wina, druga wina, czym były?” pomyślał. Ajfrid wsunął zapisane karty pomiędzy inne notatki. „Są w niezłym stanie”. Papier nie kruszył się, rogi nie były nawet zetłale. Jeszcze długo przetrwają na Prewaju.

– Jednak przyprowdziłeś ze sobą Braborkę! – powiedziała Alica, stojąc w drzwiach. Nie było jej widać parę dni, a teraz nagle pojawiła się z wyrzutami.

Popatrzył na nią pytająco.

– Dzisiaj przestawiła mi naczynia. Wystarczy, że wyjdę na chwilę, a talerze dla ciebie są inaczej ułożone.

– Może to ja sam je przestawiłem.

– Ty byłeś gdzie indziej. Powiedz jej, żeby przestała.

– Ona już z nikim nie rozmawia.

32.

Jeszcze kilkakrotnie w okresie najcięższych upałów Ajfrid schodził do osady. Każda wyprawa do rozpalonej doliny wymagała ogromnego wysiłku. Płyn w kadzi *vyletan bazina*

jeszcze się nie klarował.

Pojaw *żjaracav* kończył się. Ich ostatnie chmury zostały rozproszone i przegnane przez drapieżne *listicy*, które uganiały się żwawo na wąskich błoniastych skrzydłach i chwytaly je w powietrzu. *Listica* miała po dwie pary skrzydeł na obu końcach wydłużonego ciała. Uderzała, w mig owijając się wokół kulistego *żjaraca*. Szczypce umieszczone na końcu jej ciała były groźniejszą bronią niż dwie pary krótkich, masywnych żuwaczek. Utrapione *listicy* chwytaly się mocnymi odnóżami dłoni i ostrymi kleszczami szczypaly boleśnie, chociaż rzadko były w stanie przebić skórę.

Dotąd *żjaraca* nie przyciągnęły za sobą groźniejszych stworzeń, więc może tego *medinocelja* nic takiego już się do Matcinaj Dolany nie przywlecze.

Na polach pasły się stada dorodnego bydła. Wyrośnięte *volca* były olbrzymie, masywne, włochate, z ciężkimi łbami zwieszonymi przy ziemi. Miały już po siedem, osiem par sprawnych odnóży. Po każdej wylince na końcu ciała *volca* pozostawała ich dodatkowa, bezwładna para. Ajfrid podejrzewał, że zamiast rzezi *volcav* można by pozbawiać ich tylko tych obumarłych części. Dzięki temu można by pozyskiwać więcej mięsa z jednego zwierzęcia, nie czekając, aż następne okazy urosną i przytyją. Z drugiej strony stare *volca* coraz rzadziej przechodziły wylinkę, więc nadwyżka uzyskanego mięsa nie byłaby duża.

Obecnie większość *volcav* wypasano niżej w dolinie. Łąki w pobliżu osady nie wystarczały dla okazałych, żarłocznych zwierząt.

Obsesja Alicy rozwijała się. Wszędzie podejrzewała działanie Braborki. Raz zobaczyła niewyraźny cień, ale poza tym jej nie ujrzała. Natomiast Braborka stale przedstawiała jej naczynia, chowała do szafy przygotowane posiłki, podmieniała umyte sztucce i talerze na inne, zakurzone.

– Domyślam się, czego chce Braborka – powiedziała.

Milczał. Unikał rozmowy o jej halucynacjach.

– Musisz zbadać moje *krve znama*. Wtedy ona straci przewagę nade mną.

– Jaką przewagę?

– Swojego nagiego ciała. Ona wie, że jest piękna. Przyjdź za chwilę, ja się przygotuję do badania.

Krve znama Alicy, choć nieliczne, nie chciały się goić. Nie rozwijały się, ale i nie cofały. Sadzenie piór na jej ciele było obecnie wykluczone. Jego własne pióra były wyrośnięte, ich barwy intensywne. Takie najlepiej nadawały się do przesadzenia.

Lekko wodził dłonią po nagich plecach Alicy. Leżała na brzuchu, zadarłszy koszulę do góry, odsłaniając całe plecy, ramiona i szyję. Biała, gładka skóra w trzech miejscach była

jakby pęknięta. Rysa szła w głąb ciała, nie krwawiła. Proste jak trzcina, wąskie plecy Alicy wyglądały jak malowidło olejne pokryte spękaniem farby. Ze spękań wyzierały tu i ówdzie drobne czerwone ziarenka. Sączących się liszajów nie było.

- Nie potrafię przyśpieszyć gojenia twoich ran.
- Nie poprawia się? – Uniosła brodę, wtuloną w splecione ramiona.
- Dotąd wystarczyło, że ktoś zamieszkał w samotni.
- W przeciwnym razie *pticzjak* wracał do doliny, gdzie wkrótce umierał.
- Też czytałaś te notatki.
- Tak. Zostanie ci wtedy Braborka. Przeszanie się ukrywać.
- Przestań o tym mówić.

Powiodł dłonią wzdłuż jej kręgosłupa.

- Sprawdzasz, czy kręgi nie spróchniały? Czy nie zapadną się pod dotykiem dłoni?
- Nie. Masz aksamitną skórę. Przyjemnie cię dotykać.

Wstrząsnęła włosami.

- To miało być badanie.
- Dalej jest.

Teraz rzeczywiście ją badał. Sprawdził kręgi, łopatki i żebra. Nie znalazł niepokojących oznak.

- Przestałaś spinać włosy.
- Splatam warkocz. Zgubiłam tamtą czerwoną wstążkę. Zresztą całkiem wypłowiała.
- Tutaj na górze?
- Przepadła gdzieś na Ledan Vyrhu. Wiatr porwał ją w przepaść. Teraz noszę warkocz.
- Za bardzo przysłania twój kark.

33.

Alica zaczęła pojawiać się na oględzinach regularnie. Zawsze o tej samej porze czekała, na stole przyrzuconym pledem, leżąc, z koszulą zadartą głęboko do góry, odsłaniając plecy, krzyże i kark. Traktowała badanie zmian chorobowych jako obowiązek, któremu musiała się poddać każdego dnia. Prawie się nie odzywała, a kiedy kończył, znikwała na długo w zakamarkach samotni. Ajfrid wcześniej nie wyobrażał sobie nawet, że ten budynek ma aż tak wiele miejsc, gdzie jedna osoba może się skryć przed drugą. Alica porządkowała kolejne pomieszczenia, sortowała zapasy, ścierała kurze. Wbrew temu, co mówiła wcześniej, świetnie radziła sobie z samotnością. Zawsze w innym pomieszczeniu niż on, a kiedy przypadkiem się

pojawił, zaraz przenosiła się dalej. Unikanie go nie było trudne, gdyż codzienny plan Ajfrida był stały: z rana pomiar wschodu i pozycji słońca; potem wypisy, notatki w archiwum; przerwa na posiłek; znowu lektura, obliczenia, notatki; łapanie południa; dalej spacer po grani, by podkarmić pióra. Co dzień te same czynności.

Zagadnął ją kiedyś o Braborkę.

– Nie ma jej. Mogę wszystko robić normalnie.

– Może jej w ogóle nie było?

– Skryła się teraz. Wcześniej najpierw tylko do mnie mówiła, a potem zaczęła podmieniać mi rzeczy. Myślę, że wróci.

Wymagowana Braborka przestała ją teraz dręczyć, ale Alica nie zmieniła trybu życia. Całymi dniami pozostawała niewidoczna.

„Wybrała ten los. Wybrała dłuższe życie w moim pobliżu, a teraz mnie unika, jak tylko potrafi”, myślał.

Chciał, by Alica pomagała mu, czytała, uczyła się i odtwarzała wiedzę minionych pokoleń. Rozmawialiby, doradzali sobie nawzajem, jak pokonać problemy w pracy.

Nie była to jednak cała prawda, bo czasem dostrzegał ją, gdy skryta w cieniu, obserwowała go przez okno czy drzwi. Patrzyła, jak wykonywał rutynowe pomiary, a barwne pióra falowały w blasku słońca. Potem nagle znikła na cały dzień.

Wieczory zaczęły ich łączyć. Badanie *krve znam* na jej plecach stało się intymnym zwyczajem. Późnym popołudniem czekała na niego w swoim pokoju, leżąc na brzuchu, z koszulą wysoko zadartą do góry, a często ściągniętą przez głowę, i z ramionami skrzyżowanymi pod brodą. Myślał, że ona czeka na niego, bo nie znosi się przed nim rozbierać. Skrupulatnie badał jej skórę, pieścił każdy centymetr, leciutko gładząc opuszkami palców. Czasami niedbale obsuwała halkę tak, że jego palce mogły błędzić po jej krzyżach i górnej części pośladków, a nawet schodzić do miejsca, gdzie pośladki zaczynały się rozdzielać. Oczywiście nie było powodu, by tak dokładnie badać ją co wieczór. On jednak za nic nie zrezygnowałby z przyjemności, o której marzył cały dzień. *Krve znama* na jej plecach goiły się bardzo wolno, jeśli w ogóle.

Zdarzało się, że czekając na niego, Alica zasypiała na łóżku. Siadał wtedy cichutko obok niej, a następnie zaczynał palcami delikatnie muskać jej kręgi. Niby dla sprawdzenia, czy gdzieś głęboko pod skórą kość nie zmurszała i nie zapadła się, pożarta przez mikroswory; naprawdę jednak tylko po to, by czuć dotyk jej skóry. Zwykle budziła się w czasie tego badania. Czasem wzdrygała się, zaskoczona sytuacją, częściej nieco wyciągała ramiona, przeciągając się i zmieniając pozę, ufnie poddając się jego palcom.

Kiedyś zdrzemnęła się, czekając na codzienne badanie, a śpiąc, odwróciła na wznak. Wcześniej zadarła koszulę tak wysoko, że teraz odsłoniła całe piersi.

Gata, kiedy jeszcze nie zniszczyły jej ciała *krve znama*, miała szczupłą, gibką sylwetkę, jej piersi wystawały niewiele, choć zarysowywały się drobnymi ostrymi końcami. Piersi Alicy przypominały obfite, kształtne owoce, o dużych, ciemniejszych kwiatach i widocznych łodyżkach, a jednocześnie niezwykle delikatne i aksamitne. Nawet rzeźba meluzyny w *garadu vyletnikav* nie miała ich tak pięknych, chociaż rzeźbiarz ucieleśnił w niej swoje marzenie, a nie realną kobietę.

Ajfrid wpatrzył się w piersi Alicy jak urzeczony, a zaraz pocałował jedną, a zaraz potem drugą z nich, w sam kwiatek, w samą łodyżkę.

Zanim zdążył poczuć się jak złodziej, Alica leniwie otworzyła oczy.

Teraz śmielej, jeszcze raz pocałował najpierw lewą pierś, leciutko ujmując wargami jej koniuszek, a potem tak samo prawą.

Roześmiała się nisko, gardłowo.

– Przestań. To stanowczo za dużo – powiedziała i odwróciła się na brzuch. – Nikt tak nie robi.

Jednak do oględzin nie obciągnęła niżej koszuli i pieszcząc opuszkami palców jej plecy, mógł do woli przyglądać się widocznym z boku fragmentom piersi. Niestety, opierały się o pościel i nie można było zobaczyć więcej.

– Nie mam na piersiach *krve znam* – powiedziała. – Nie trzeba mnie badać od przodu.

– Dotąd nie było, ale mogą się ujawnić.

Znowu roześmiała się, w taki sam sposób.

– Bo uwierzę – powiedziała.

Wieczorem długo nie mógł zasnąć. Pod zamkniętymi powiekami stale widział piersi Alicy. Potem mu się przyśniła, chociaż niestety zapięta pod szyję.

34.

Następnego dnia razem usiedli do śniadania. Ajfrid zaraz zorientował się, że tylko on je. Alica świdrowała go dwiema modrymi szpilkami. „Czy powinienem ją przeprosić?”, pomyślał.

Wykradł sporo tajemnicy jej ciała, ale nie bez jej winy, a zresztą taka batalia toczy się od zawsze. Owszem, mógł wyjść, widząc jej nagość, ale ona sama musiała liczyć się z czymś takim. Wcześniej wielokrotnie zasypiała, czekając na jego przyjście. Nikt nie śpi w bezruchu, było więc pewne, że kiedyś we śnie się odwróci.

Siedziała nieruchomo, więc i on przestał jeść. Podniósł na nią wzrok.

– Widziałeś?

– No pewnie. Twoje piersi to najpiękniejszy widok, jaki widziałem.

Machnęła ręką, nawet nie myślała o takiej błahostce.

– Nie to... Piersi jak piersi. Zwracasz na nie zbyt dużą uwagę.

– Wczoraj długo nie mogłem usnąć. Pamiętam smak tych pocałunków.

Spojrzała na niego ciepłej.

– Widziałeś *krve znama* na brzuchu i na biodrach?

Spojrzał zaskoczony.

– Leżącą na wznak widziałem cię pierwszy raz w życiu. Już wiesz, co dostrzegłem...

– Ach, powiedziałaś mi to przez Braborkę! – parsknęła. – Wczoraj pomyślałam sobie, że teraz mam nad nią przewagę, a ona zaraz zemściła się i rozwiązała mi język.

„Znowu się zaczyna”, pomyślał. „Przerwa na wytchnienie była krótka”.

– Okłamałam cię, mówiąc, że mam tylko kilka *krve znam* na plecach – odezwała się po chwili. – Zajęły mój brzuch, uda i całe biodra. Wiedziałaś, że prezentując ci gołe plecy i biodra, odwrócę twoją uwagę. Gata wiedziała, że nie nadaję się do *vyleta*, dlatego oddzieliła mnie od innych. Przeznaczyła mnie dla ciebie, abys przez jakiś czas nie był samotny.

Ajfrid milczał. Podbródek oparł o splecione nadgarstki. Jej słowa uderzyły w niego jak drewniany młot.

– Ja nie chciałam, żebyś się ze mną wiązał, by strata nie była dla ciebie zbyt bolesna. Widziałam przecież, jak wodzisz za mną oczyma. Ajfrid, przegnaj mnie *na zatratu*, zanim moje ciało zmieni się w pustą spróchniałą powłokę, jak ciało Gaty! Bo nie mam już siły grać i ciebie unikać. Myślałam, że *krve znama* mnie zeżrą, zanim się zorientujesz. Braborka mnie podeszła i się wygadałam...

– Nie masz siły mnie unikać?

– Nie mam.

– Więc może ja sam ocenię prawdziwe zagrożenie, co?

Spojrzała na niego nieufnie.

– Może zjemy to śniadanie – powiedział. – A potem pokażesz mi wszystkie swoje rany, dobrze?

– Tak.

Słodkawe kulki *jedla*, nasączone mlecznym winem, zatrzymywały się w gardle. Ajfrid zwykle przepadał za tą potrawą. Alica sama zebrała naczynia. Nie chciała, żeby jej pomagał. Zwykle wykorzystywał tych parę chwil, by być blisko niej, dzisiaj musiał zostać przy stole.

– Ale nie będę rozbierać się przed tobą. Przyjdiesz, jak już będę tam leżała naga.

Będę miała przewagę nad Braborką.

– Dobrze. Zawołasz mnie.

Zaraz usłyszał jej wołanie.

Naga Alica leżała na brzuchu na swoim pościeliu. Pościel jakoś tak ściągnęła pod siebie, że ta utworzyła pod nią postument, pozwalając leżącej wygodnie wesprzeć się na łokciach i ugiąć kolana. Dziewczyna świdrowała go wzrokiem, gdy się do niej zbliżał. Niedowidziała i z odległości paru metrów jego twarz wydawała się jej zamazaną plamą.

Chwilę milczał. Alica wydawała mu się teraz niezmiernie smętną, odbierał piękno jej ciała zakończeniem każdego nerwu.

– Dlaczego nic nie mówisz?

– Jesteś piękna.

– *Krve znam* są na udach, na biodrach i na pośladkach.

„Nie wierzy moim zapewnieniom?” pomyślał.

Alica leżała na brzuchu, z lekko rozsuniętymi nogami. Taka poza w niektórych miejscach ujawniała znacznie więcej, niż gdyby kobieta leżała na wznak. Krępował się wodzić palcami po skórze wewnętrznej strony jej ud.

Miała tam bardzo wiele *krve znam*. Zarówno te na udach, jak i te na pośladkach wyglądały nietypowo. To były okrągłe czarne dziurki, dziesiątki otworków wiodących głęboko w jej ciało.

– Widzisz już?

– Tak – odpowiedział i ośmielony położył jej dłoń od wewnątrz na udzie.

Alica zadrżała.

Te otwory były niewielkie. Miał trudności z wyczuciem ich opuszkami palców. W jeden czy dwa ostrożnie wsunął drzazgę. Wchodziła na głębokość pół paznokcia, ale z pewnością sięgłaby znacznie głębiej. Kłuta drzazgą, Alica nie czuła bólu, ale dotykana w pobliżu kroku, drżała i wzdrygała się, wreszcie zachichotała.

– Łaskoczesz mnie.

– Nie straciłaś czucia w sąsiedztwie ran. Nigdy nie widziałem takich *krve znam*. Może są obumarłe?

Alica była inaczej zbudowana niż wszystkie kobiety w gromadzie. Jej biodra nie były tak wąskie jak u mężczyzny, lecz łagodnymi łukami rozszerzały się, podkreślając wąską talię. Inne niewiasty, jak choćby Sirka czy Gata, przypominały w proporcji ciała małą dziewczynkę czy dorosłego mężczyznę. Kobiety tak zbudowane jak Alica Ajfrid znał tylko z rysunków w archiwum.

– Odwróć się teraz na plecy – powiedział.

– Tak. Już. Ona teraz całkiem się wycofa. Nawet pokazać się nie potrafi, tylko sfalszować posiłki i podrzeć kartki.

Wzdrygnął się; już nie musiał domyślać się, kto wczoraj potargał jego notatki. Wrócił do oględzin. Piersi były w całości wolne od *krve znam*. Niżej było inaczej. Jak mógł tego wtedy nie zauważyć...? *Krve znama* były wszędzie na jej brzuchu. Pokrywały go drobną ospą małych otworków.

– Są drobne. Było dość ciemno. Może skryły się wtedy w cieniu.

– No, tak. Było patrzeć, nie całować od razu?

– Niby dlaczego...?

– No i co!?! – zaczęła nieoczekiwanie głośno. Jej nastrój nagle się zmienił. – Naprzeciw ciebie siedzi ludzki wrak. Nie dość, że zżarta chorobą, to jeszcze niezgrabna! *Baba-porok, baba-medvad!* Ociężała brzydula.

– Co...?

Miał taką minę, że straciła rozpęd.

– Mam powiedzieć hymn na cześć twojego ciała? Chcesz? Masz gęste włosy, świetliste oczy, mógłbym godzinami wpatrywać się w twoją twarz. Jakie piersi, to już wiesz...

Nie odezwała się.

– No, dobrze. Mógłbym godzinami całować twoje piersi.

– Wymyśliłeś to i spodobało ci się. – Machnęła dłonią, jakby chcąc przegnać natrętne słowa.

– Proste nogi...

– Przestań!

Zamilkła, ale uspokoiła się, znowu poddając się mieszaninie czułych pieszczot i oględzin powierzchni ciała. Nie wiadomo, czy jego dotyk sprawiał jej przyjemność, czy radowało ją przekonanie, że właśnie odnosi prywatne zwycięstwo nad wymagowaną Braborką. Chwilami nieznacznie się uśmiechała, przesuwając pod jego dłońmi wolnymi, płynnymi ruchami, a na pewno wypinała piersi, uniósłszy ramiona i założywszy splecione dłonie pod głowę. Nogi rozrzuciła bezładnie. Znamion choroby było wiele, ale wszystkie podobne do siebie. A rejon pachwin, łono i znaczna część brzucha były w ogóle wolne od *krve znam*.

Zadziwiały wahania jej nastroju. Znowu uspokoiła się i z przyjemnością poddawała pieszczotom. Nie mógł jednak przedłużyć tego bez końca. Zaraz Alica zrobił znudzony gest.

– Ubierz się już – powiedział.

– To wyjdź.

Zebrał się bez słowa.

35.

Znowu znikła w samotni. Zostawiła mu przygotowany posiłek, a wieczorem zasłane łóżko. Czy znów pochłonęła ją gonitwa za wymagowaną Braborką? Było jednak inaczej: następnego dnia czekała przy obiedzie. Bardzo zaniepokojona, nie jadła. Zatopiona w myślach, wlepiała wzrok w jeden punkt.

Szybko odtworzył w pamięci, ile razy jego dłonie zabłądziły za daleko. Cóż, wiele razy. Nawet lekko rozgarniał włoski na jej łonie, szukając zakażenia. Ona przecież musiała się liczyć z drobiazgowym badaniem. Nie protestowała. A że opuszkami palców uczył się jej ciała...? Inaczej to wyglądać nie mogło. Potem zaczęła ogarniać go złość: przecież są skazani na swoją obecność i jakieś zbliżenie musiało kiedyś nastąpić. Ona musiała się z tym liczyć, decydując się dzielić z nim los.

Chciał zacząć mówić o jej ranach, kiedy odezwała się:

– Jestem ci tak wstrętna, że nie możesz mnie dotykać, prawda?! Nie próbuję ukryć, że różnię się od innych kobiet.

– Ty, wstrętna...?

– Przecież nudzi cię dotykanie mojej skóry.

– Ależ... Chciałem tego i chcę nadal. To ja pomyślałem, że ciebie nudzę.

Spojrzała uważnie.

– Twoje ciało jest foremne, biodra szerokie prawie jak ramiona, a talia wąska.

– No znowu! Moje ciało nie zwęża się ku dołowi, jak u wszystkich.

– Mnie się to podoba.

– Bo jestem chuda – wyduła wargi. – Gdybym przytyła, nie mógłbyś na mnie spojrzeć.

– Mógłbym.

„Dawne obrazy przedstawiają tylko tak zbudowane kobiety”, pomyślał. „Ucząc się o przeszłości, patrzyłem na nie godzinami, twe ciało nie jest mi nowiną czy dziwadłem”.

– Dawniej biodra kobiety były proporcjonalnie szersze niż u mężczyzny. Twoje biodra są jak z dawnych rysunków. Kronikarze uważali to za wzór budowy ciała kobiecego.

– Wymyśliłeś to, żeby mnie uspokoić? – spytała spokojnie.

– Znajdę te wizerunki. Zobaczysz, to się przekonasz.

– Dlatego umierają *vyletnice*, które zaczną za wcześnie?

– To może być przyczyną ich śmierci, ponieważ umierają zawsze w taki sam sposób:

nie mogą uwolnić swojego *ovaja* przez zbyt wąski otwór w miednicy, dziecko umiera wewnątrz ich ciała, a dzień, najwyżej dwa później *vyletnica* umiera w gorączce i w męczarniach.

– *Vyletnica* żyłaby trochę dłużej, ale dziecko zarażone jej dolegliwością ginęłoby jeszcze wcześniej.

– Właśnie.

36.

Ajfrid cierpliwie przeglądał zapiski. Najstarsze zwoje, całkiem zrudziałe, kruszyły się w palcach. Jeszcze takie były, chociaż od dawna *aurai* pisali na pojedynczych stronicach, zestawianych w pliki. Karty zawinięte w zwój szybciej butwiały. Pojedyncze stronice nie kruszyły się tak szybko ze starości, ale przekładając jedną po drugiej, łatwo się je uszkadzało. Wzmacniających paseczków, wystających przy rogach stronicy, zwykle brakowało. Przynajmniej nowsze zapiski blakły wolniej niż dawne zwoje. Odkąd jako atramentu używano wyłącznie rozrabianego w oleju pyłu węgla drzewnego, a nie roślinnego soku, nawet zetłale stronice były czytelne. Opisu dolegliwości Alicy nie znalazł.

Trzeba było przygotować instrukcje, poradniki, przepisać podręczniki szkolne. W dolinie kartki papieru rozsypywały się w proch po jednym *medinocelju*. Zwykle nie udawało się odtworzyć kompletu piśmiennictwa. Nie było to winą leniwych *aurai*. Wystarczyło, aby nie zważano ze zbieraniem i zwózką szerokich włóknistych liści, roślin rosnących nisko w dolinie, a produkcja papieru opóźniała się i samotny pisarz nie zdążył skompletować tekstów przed nastaniem letargu *nocelja*.

Znalazł dwa opisy ataku *żjaracav* na człowieka. W obu przypadkach ofiarą był śpiący na łące pijany mężczyzna. *Żjaraca* zakłuły go na śmierć, zanim się obudził.

Alica przestała go unikać. Gdy uświadomiła sobie, że Ajfrid jest nią urzeczony, zaczęła się z nim drażnić.

– Żeby ci się spodobać, musiałabym umalować się jak *vyletnica*. Wtedy wyglądałabym lepiej.

– Właśnie dlatego, że nie oszpecałaś się jak *vyletnica*, wodziłem za tobą oczyma.

– Że nie czerniłam brwi i powiek? Nie czerwieniłam ust ani policzków?

– No, przecież. Wyglądałaś delikatnie i elegancko.

– Jestem zbyt leniwa, żeby codziennie czekać, aż mnie która pomaluje. Zresztą mieszkałam sama.

– Póki nie dogadałaś się z Braborką, prawda...? Alica obdarzyła go promiennym

uśmiechem. Znów modro zajaśniały jej oczy.

– Skąd wiesz, że się dogadałyśmy?

Spojrzał uważnie. Mogło to znaczyć przecież coś zupełnie innego.

– Przestała ci podmieniać jedzenie i talerze?

– Też to zauważyłeś?

– Domyśliłem się.

– Tylko kilka razy mignęła mi w oknie. Chyba jest trochę zła, że miała mniejsze piersi i węższe biodra. Na razie siedzi cicho. Nie przeszkadza.

Ajfrid podsunął jej stare obrazy. „Ależ one miały kufry”, myślała, przeglądając płaskie deseczki, z których w zupełności odeszły niektóre kolory, nadając wizerunkom niezwykle wygląd. „Ta ma tyłek ze dwa razy szerszy niż ja”. Zerknęła na wdzięcznie wygiętą, nagą damę, otoczoną niezwykle roślinnością. „Przy niej jestem smukłobiodra, a ona jest młodsza ode mnie”.

– Dziwni ludzie. Dziwne zwierzęta. Niektóre w ogóle bez kończyn. U nas nie ma takich – powiedział Ajfrid. – Jest czterdzieści osiem obrazów. Na pewno były przerysowywane z jeszcze starszych.

– Z tego nauczyłeś się takich kształtów kobiecych? One są nie dość, że szerokie, to jeszcze bardzo tęgie.

– Niektóre z nich, nie wszystkie.

– Takie kobiety niegdyś żyły również *ve Matcinaj Dolane*?

– Najprawdopodobniej tak, a potem z jakiś powodów ich córki przestały tak wyglądać. Otwory w ich miednicach zwężyły się zanadto, by wydawać potomstwo dawnym sposobem.

Przestała unikać codziennych oględzin. Z lubością nadstawiała swoją skórę pod jego czujny dotyk. Palce Ajfrida musiały omijać jej piersi i łono – tam *krve znam* nie było – natomiast mogły codziennie drobiazgowo mierzyć każdy skrawek jej łydek, ud, brzucha i bioder.

– Od kiedy masz te *znama*?

– Musiałam się zakazić zeszłego *medinocelja*, potem wyrosły mi w mroku.

– Wiesz, jak to złapałaś?

– Lubiałam samotnie wędrować po okolicy.

– Chodziłaś boso?

– Nigdy. Ale sypiałam na trawie, choć tylko w miejscach, gdzie *poroki* nie dochodziły. Zawsze było co podłożyć pod gnaty. Jaki pled...

- Zaatakowało cię, gdzie koc nie sięgał. Jeszcze nikt nie złapał takiego ścierwa.
 - Szybko zrujnują moje ciało. Kłopot sam się rozwiąże.
 - Przestań się droczyć! – Instynktownie zacisnął palce.
 - Nie szczyp mnie w pupę.
 - To było niezależne ode mnie. Nie strasz mnie, to cię nie będę szczypał. –
- Kilkakrotnie czule pocałował urażone miejsce.
- Roześmiała się swoim niskim, gardłowym śmiechem.

37.

Alica czytała stronice poświęcone zoologii. Lektura ją irytowała, bo treść podręcznika wydawała się nieprzydatna, a uwagi zbyt liczne dla uczniów.

– Zwierząt opisanych w książkach nie ma w Matcinaj Dolane. Uczymy o istotach nieobecnych.

– Poczytaj podręcznik astronomii. Wyjaśnia, że na wszystkich zaludnionych globach występują podobne zwierzęta. To znaczy, są podobne schematy budowy zwierząt.

– To zwierzęta wzorcowe, stwory *zvezdan smyjav*, gwiazdnych smoków. Czytałam, że mogły wędrować ze *smyjame*. Jednak nasze zwierzęta wyglądają inaczej. Według nich cztery nogi, a sześć nóg to zupełnie różne zwierzęta, a jeszcze zupełnie inne, to te mające nóg osiem. U nas zwierzęta bardzo do siebie podobne mają cztery, osiem, dziesięć i więcej odnóży. Faktycznie często są podobne do wzorowego schematu, ale ich niektóre elementy – zwykle odnóży – są zwielokrotnione. Jakby ten sam element powtórzono parę razy... Nawet ludzie rodzą się z czterema nóżkami, *kintarka*, albo z czterema czy sześcioma rączkami, *devijaka*.

– Są też stwory dokładnie według wskazań podręcznika. Choćby ośmionożne *poroki a medvady*.

– Tylko one. *Nejgorszi rozbojca*. Są jeszcze *stjegan smyja* czy *mlokan jogry*, złożone z jednakich segmentów, a to też podręcznikowy schemat budowy. Ale cała reszta zwierząt sprawia wrażenie jakby wzorcowy schemat uzupełniono o dodatkowe pary odnóży, przybywające z każdą wylinką. Albo jakby całe ciało podwojono czy dwa wzorcowe organizmy połączono końcami, tyle że jeden z nich został uproszczony.

– W podręczniku astronomii napisano, że odstępstwo od schematu budowy zwierzęcia przybyłego ze *smyjama* jest miarą odstępstwa warunków globu od wzorcowych dla ludzi.

– Oj, to my jesteśmy bardzo daleko od wzorca.

– Tutaj to my jesteśmy wzorcem.

– Właśnie. Dlatego ja opiszę znane nam zwierzęta. Rozbuduję podręcznik zoologii. Żeby było też o naszych zwierzętach, a nie tylko o jakichś nieznanach, których nikt nie zobaczy. Dziecku potrzebniejsza jest wiedza, jak się schować przed *medvadam* albo jak nie oberwać wąsem *jogra*.

Spojrzał z niepokojem. Pisane przez nią teksty trzeba uważnie sprawdzać. Niewidzialna Braborka może podsuwać jej dziwaczne wnioski czy sformułowania.

– Są też zwierzęta poza wszelkimi schematami. Na przykład *żjaraca* – zauważył.

– Może to nie są zwierzęta *zvezdan smyjav*? Może tylko te stwory nie zostały tutaj przywleczone, ale wywodzą się stąd?

– Napisz ten swój traktat zoologiczny. Może to najwartościowsze, co po nas zostanie.

W czasie oględzin usuwał czerwone drobinki z *krve znam* Alicy. Cienkie, puste w środku żdźbło wsuwał w głąb kanalików i odsysał. Udawało się w ten sposób wydobyć nieco ziarenek. Czasem kilka połykał. Żołądek je strawi, tutaj nie zaszkodzą. Czyścił jedną po drugiej dziurkę w skórze jej ud, a potem jej plecy.

Zwykle nie usuwano czerwonych ziarenek. Twierdzono, że były one niegroźnymi produktami inwazji. „Może pisano tak, ponieważ odsysanie groziło infekcją...?”, myślał.

Ona nie gorączkowała, typowe *krve znama* z jej pleców wolno zmniejszały się. Ajfrid zwlekał z kolejnym zejściem do doliny, by nie przywlec nowych źródeł zakażenia.

Codziennie oględziny chorej zmieniały się w spektakl gestów i póż, i czułych pieszczot. Obserwowała, czy jest podziwiana, a widząc, że jest, prężyła się i przeginała, aby urozmaicić jego dłoniom ścieżki po swojej skórze. Nie można jej było zawieść.

– Ale mi się, brzyduli, udało – powiedziała kiedyś. – Żadna kobieta nie była tak wielbiona.

– Uważałaś się za brzydulę?

– Wszyscy wodzili oczyma za Braborką.

– Ty byłaś dla mnie.

– Żebyś tylko teraz tak nie łypał za nią.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Ty podobałaś mi się już wcześniej, ale chodziłeś z Gatą. Zresztą nie zauważałaś młódki.

Obecnie rzadko wplątywała do rozmowy swoje halucynacje. Nie miała nowych. Sama zachowywała się normalnie, a jego nie zmuszała do dziwnych zachowań.

Kiedy wiało mniej, wynosili stół przed samotnię, a w pogodne dni aż pod daszek na Prevaju. Lektura i przepisywanie tekstów w wysokogórskiej scenerii były przyjemnością. Może czasami zbyt urzekł taniec mgieł nad graniami, może czasem niesforny powiew wiatru wyrwał z rąk świeżo zapisane myśli. Z wichrem można sobie było poradzić, przyciskając rogi stronic kamykami, na fascynację pięknem otoczenia sposobem był dokuczliwy, przychodzący nagle od lodowców, mroźny powiew. Zwykle jednak przez Prevaj przewalało się ciepłe powietrze.

Bezladna Dolana mieniła się od różu, przez kraplaki, purpury, błękity, do zielonej ochry. W Matcinaj Dolane dominowały odcienie brązu, jasnej ochry i szarości. Wegetacja wyschła, rozsypała się lub została pożarta, wycofała do form umożliwiających przetrwanie gorąca. Tarcza słoneczna osiągnęła swój największy rozmiar. Goręcej już nie będzie, chociaż najcieplejszy czas *medinocelja* potrwa jeszcze długo.

Wyjmowali po jednej stronicy z kufierka, przyciskali kamykami i brali się do pracy. Po godzinie Alica przynosiła z samotni dzbanuszek gorących gorzkich ziółek, które należało pić, chociaż nikt nie pamiętał po co. Drevana Auraica ich unikała, a też zmarła, więc nie trwały zbyt mocno.

Stół pod chroniącym od słońca daszkiem zostawiali na noc, a na nim kamyki do przytrzymywania stronic. Alica formowała z nich regularne wzory, kiedy wieczorem kończyli pracę i zabierali pliki notatek. Podejrzewał, że są to znaki dla widmowej Braborki, ale Alica nie dawała po sobie poznać, że urojenia wróciły.

Któregoś dnia oboje byli pogrążeni w pracy nad tekstami, gdy Ajfrid dostrzegł ruch na skraju pola widzenia. Podniósł wzrok. Od strony Bezladnaj Dolany na przełęcz wspinało się spore zwierzę. Było już blisko nich.

Alica też je zauważyła.

Stwór wpatrywał się w nich badawczo czworgiem wielkich, błyszczących czarnych oczu. Jego ciało pokrywało długie, gęste futro, tylko na odnóżach krótsze. Odwłok był w czarno-szaro-brunatne ukośne pasy, czarny tułów tuż ponad odnóżami obwiedziony szerokim pasem białego futra zaznaczającym karapaks. Oprócz tego zarówno na tułowi, jak i na odwłoku *porok* miał kilka par dużych, kraplakowych plam. Czarne, badawcze oczy otaczał okular białego futerka, zupełnie jakby rzęsy. A długi biały kosmyk sterczący nad oczyma nadawał jego spojrzeniu wyraz nieoczekiwanej filuterny, jakby u rozbawionego dzieciaka. Jedyne głaszczki były głęboko zielone, błyszczące blaskiem szmaragdu.

Tak małego *poroka* nigdy w życiu nie widzieli. Gdyby stanął przy nich, stwór sięgałby Ajfridowi nieco powyżej kolan. Jednak rozmiary stworzenia myliły. Chociaż nieduży, *porok*

musiał mieć kolce jak sierpy. Powalenie człowieka nie mogło być dla niego problemem. Wielkie oczy to pewnie znakomita orientacja przestrzenna. Niewielkie zwierzę musiało być bardzo szybkie i może nawet groźniejsze niż jego olbrzymi pobratymcy.

Porok skradał się ku nim. Przysiadł na odnóżach, usiłując zmniejszyć swoją sylwetkę na tle szarych gładów, i przypatrywał się siedzącym. Z jakiej odległości stwór zaatakuje? Jeszcze parę metrów i skoczy. Czym się bronić? Uderzyć piórem? Nie sięgnie splotu nerwowego. W starciu z tym przeciwnikiem bezbronny człowiek był bez szans.

Nagle *porok* wykonał szeroki ruch szmaragdowymi nogogłaszczkami. To poruszenie wydało się jakieś mechaniczne, za obszerne, niepotrzebne. Co on sprawdzał?

Ajfrid powstał.

Alica westchnęła, powstrzymując okrzyk zdziwienia. Prawie ślepy *porok* nie zauważył cię, póki się nie poruszysz. Ale co zrobi *porok*, który ma oczy wielkości spodków i wpatruje się w ciebie natarczywie? Takiego stwora nie znało żadne z nich.

Porok stanął jak wryty. Teraz patrzył tylko na Ajfrida.

Ajfrid powtórzył ramionami gest *poroka*.

Stwór zareagował. Uniósł przód ciała wysoko na odnóżach i wyprostował przednie nogi na boki, następnie jednocześnie uniósł je obie do góry, a potem równo opuścił w dół.

Ajfrid powtórzył jego gesty obszernymi ruchami ramion, podkreślonymi falowaniem piór. Najpierw wyprostował ramiona na boki, potem ugiął w łokciach, kierując przedramiona pod kątem prostym do góry, a potem pod kątem prostym w dół. Ramiona stale trzymał na bok, zginając ręce jedynie w łokciach, by jak najlepiej oddać gestykulację stwora.

Porok przestąpił krok w bok. W dziwacznym tańcu powtórzył sekwencję ruchów odnóży. Stale unosił i opuszczał szmaragdowe nogogłaszczki. Ruchy stwora były szybkie, mechaniczne i przedzielane pełnym bezruchem. Tylko z początku, kiedy skradał się, by na nich zapolować, poruszał się powolnymi ruchami, które miały wystudiowaną płynność.

Ajfrid powtórzył gest *poroka*, ale dodał jeszcze jedno wyprostowanie ramion i ich zgięcie do góry. Nie mógł tylko jednocześnie naśladować ruchów nogogłaszczek stwora.

Porok powtórzył jego ruchy. Znow przestąpił na bok, ale zaraz potem zbliżył się o krok.

Ten taniec mógł prowadzić do walki. Nie do polowania, ale do starcia równych sobie bestii. W tym też człowiek nie miał szans.

Alica powstała.

Stwór zamarł w bezruchu, zwróciwszy się ku nowemu przeciwnikowi.

Alica powtórzyła kilka gestów *poroka*. Zmieniła jednak ich kolejność. Ajfrid podawał

ramionami inną sekwencję znaków.

Wtem zadrżeli. Stwór skoczył. Jednak nie był to atak: *porok* skoczył do tyłu, na dwie swoje długości. Skok był precyzyjny. Lądowanie pewne.

Oboje uśmiechnęli się do siebie. Znowu posłali do *poroka* serię gestów. Ten starał się je powtórzyć, ale najwidoczniej gubił się w tej rozmowie na migi. Czoła stawiały mu dwa wysokie, więc groźne *poroki*, które zarzucały go mrowiem gestów. Z odpowiedziami nie mógł nadążyć. Zaniepokojony, jeszcze raz odskoczył. Tym razem lądowanie nie wyszło mu tak zgrabnie. Odwrócił się do nich tyłem, wystawiając podłużny i porośnięty długim futrem odwłok ozdobiony kądziółkami przędnymi, i żwawo odbiegł ku dolinie, z której tu wyszedł. Nie zostawił za sobą zwykłej nitki sygnalizacyjnej.

– Chodźmy stąd. On może wrócić – powiedziała Alica.

Zebrali notatki.

Rankiem kamyki do przyciskania stronic zostawione na blacie stołu były ułożone w symetryczny wzór.

– Zostawiłaś wczoraj znaki dla Braborki?

– Nie zdążyłam. – Pokręciła głową.

39.

Skoro Alica nie gorączkowała, to może jej *krve znama* goiły się. Jak je mierzyć? Drzazga wetknięta za głęboko może zranić, bo wewnątrz nie ma czucia. Podzielił jej ciało na obszary i liczył czarną ospę otworków, każdy dotykając patyczkiem. Za każdym razem wynik był nieco różny, ale ran nie ubywało.

– Całujesz mnie, zamiast badać – stwierdziła kiedyś, zbierając się z posłania.

Uśmiechnął się ciepło.

– Tylko gdzie nie ma *krve znam...*

– Najczęściej w piersi.

Zrobił zawstydzoną minę.

– Są najlepiej widoczne...

Przez parę dni nie reagowała na jego pieszczoty.

– Piersi mnie bołą, bo co wieczór przychodzi Braborka i ciągnie mnie za koniuszki.

Wykręca mi je we wszystkie strony.

– Widziałaś ją?

– Oczywiście, że nie. Ona czeka, aż zgaszę kaganek.

Obejrzał jej piersi. Miała zaczerwienione aureole, a sutki nieco opuchnięte. „Chyba

sama się nie kaleczy...?” pomyślał.

– Lubię, jak wtykasz drewnienka do wnętrza *krve znam*.

– Czujesz tam dotyk?

– Łaskocze mnie.

– A teraz? A tu? A tu...?

W niektórych miejscach odzyskała czucie. Kiedy sprawdzał drzazgą wnętrza *krve znam*, kilka razy syknęła z bólu.

– Boli – powiedziała.

– To bardzo dobry znak. – Wziął ją w ramiona.

40.

Przez parę dni nie dało się wyjść za bramę samotni, tak wiało. Jakby gwałtowne porywy chciały podnieść *ljuszturu* z dachu. Dobrze, że przyciśnięta była kamieniami opartymi o ramę z pniaków.

Rozmowny agresor nie pojawił się. Po co dotarł tak wysoko? Tu nie ma zwierząt, na które zwykle polował. Nie miał tu czego szukać.

– Wielkookie *poroki* mogą się komunikować, ale nie muszą być rozumne – powiedział Ajfrid. – Może to nie była walka z rywalem, tylko demonstracja siły. Wycofał się, bo zobaczył dwóch przeciwników.

– Jego przysłała Braborka. On co noc przestawia kamyki na stole. – Uśmiechnęła się w swój sposób. – Czasem wychodzą mu ładniejsze wzory niż mnie wieczorem. Ona tym przekazuje mi znaki.

– Przecież siedzimy tu zamknięci, skąd wiesz, jakie znaki widnieją na stole na Prevaju?

– Śpisz dłużej. Wcześniej rano często wiatr słabnie. Wtedy wychodziłam i układałam inny wzór. Następnego ranka zawsze zastawałam zmieniony.

– Wiatr kiwa stołem, kamyki się przesuwają. A ty ryzykowałeś życiem, bo ten drapieżnik może się zacząć.

Wydeła pogardliwie wargi i przyniosła kartkę papieru.

– Odrysowałam swoje wzory i jego odpowiedzi. Wiatr nie potrafiłby czegoś takiego zrobić.

Wszystkie schematy były symetryczne. Te poprawiane przez *poroka* wyglądały gorzej niż pomysły Alicy, ale to nie mógł być przypadkowy układ.

– Cztery pokusy – powiedział.

- Że co...? – zachnęła się.
- Odpowiedział na twoje cztery pokusy.
- Ty znowu o jednym.
- No tak... *Porok* rozumie cię na swój sposób, a nie jak ty pomyślałaś.
- Na twój sposób.
- Skoro nie chcesz mówić o zalotach, to nie wiem. Drapieżniki nie pokazują innym, gdzie jest pożywienie.
- Oczywiście. Kamyki na ziemi to sygnały od Braborki. Jeszcze ich nie rozumiem.
- No dobrze. Chodź. Pora na oględziny twojego ciała – zmienił temat.
- Już mówiłam, że ty tylko o jednym.

Rano wstał wcześniej od Alicy, cicho wyszedł z sypialni równo z bladym przedświtem. Chciał sprawdzić, kto układa kamienie. Zakradł się do okna i uchylił okiennicę. Na niebie jaśniały jeszcze gwiazdy, większość z nich formowała gęsty pas idący ukosem przez niebo. W ich zimnym blasku widmowo błyszczał Ledan Vyrh. Zimne powietrze kleistą strugą wlewało się przez szczelinę i chłodziło stopy. Oparł łokcie o parapet, szykowało się oczekiwanie w zasadzce. Na tym ziąbie drzemka nie groziła.

Usłyszał za sobą cichy szelest.

Zaraz Alica oparła się o jego plecy, też chcąc wyzierać przez szparę w okiennicach. Przykryła go kocem, którym sama była owinięta. Słyszał jej oddech, a zaraz poczuł ciepło jej ciała.

– Ja wychodziłam po świcie, nigdy go już nie spotkałam – powiedziała cichutko, a ciepło jej oddechu dotknęło jego ucha.

Pokiwał głową w milczeniu.

Zimny powiew chyba omijał ją zupełnie, bo po kilkunastu minutach oddech Alicy zrobił się równomierny, a ciało stało się bezwładne i mocno oparło o jego plecy. Dziewczyna usnęła. Ajfrid uśmiechnął się do swoich myśli.

Jego samego też powoli morzył sen. Niebo pojaśniało, gwiazdy już znikły.

Nagle dostrzegł ruch na przełęczy. Jakiś kształt zwinnie wskoczył na stół. Mimo cichych ruchów gościa rozeschnięty blat zarezonował trzaskiem. Spłoszyło to przybysza, który zamarł w bezruchu, ale zaraz zaczął łązić po blacie stołu, a potem zgrabnie zeskokczył na szuter i zniknął w mroku. Ajfrid potrząsnął ramieniem, by ją zbudzić.

- Cco...? – odezwała się półprzytomnie.
- Twój znajomy już sobie poszedł. Zostawił nowy list.
- Już poszedł...? Spałam?

– Na moich plecach.

– No właśnie. Lubię spać na tobie. – Podniosła i złożyła koc. – Opowiesz mi, co mój ulubiony *porok* tam robił?

– Za dnia sama zobaczysz.

Kamienie tworzyły symetryczny, złożony wzór. Równie niezrozumiały jak poprzednie. Ajfrid dodał osiem nowych kamieni. „Zobaczmy, co ułoży nocny gość?” pomyślał. Wszystkie *poroki* były nocnymi drapieżnikami. „W jakim celu oczy tego gatunku tak bardzo się rozwinęły? Inne *poroki* mają maleńkie oczka. Dzięki nitkom sygnalizacyjnym świetnie sobie radzą w nocy, mimo marnego wzroku. Ten odmieniec jest drapieżnikiem dziennym? Nas dostrzegł z odległości trzydziestu metrów”.

– Co mu ustawić? – spytała niechętnie. – Z szesnastu kamieni można ustawić znacznie więcej kombinacji niż z ośmiu.

Nastrój Alicy zmieniał się z dnia na dzień. To wietrzyła podstępny niewidzialnej Braborki, to rozmawiała i rozumowała normalnie. Była dla Ajfrida coraz większą zagadką.

– Rozstrzygnie się, czy jest rozumny – powiedział. Do ośmiu mógł jeszcze zliczyć, do szesnastu to powinno być dla zwierzęcia za wiele.

– Niego, jego, nim, on... – powiedziała Alica. – A jeśli to dziewczyna?

– Wyszła wysoko, by w bezpiecznym terenie złożyć *ovaja*?

– Że w ogóle tu wyszła. – Nagle oboje zaczęli myśleć o tym stworzeniu cieplej. Jakby stało się bliższą istotą. – Tutaj nie znajdzie nic do jedzenia. Nie sądzę, żeby polowała na tak duże stwory jak my.

– Może była zagłodzona? Może zablądziła za daleko?

Ponumerował zapiski Alicy, niektóre uzupełnił. Dzisiejszą kartkę zatytułował: „Dwunastego dnia lipca, za *auraio* Ajfrida, a w Matcinaj Dolane za Gjacked Ovidana”, następnie dołączył do dokumentacji przyrodniczej. „Chciałbym przyszłego *medinocelju* notatki sygnować «za *aurai* Ajfrida i Alicy»”, pomyślał.

41.

Kiedy zrobiło się już tak gorąco, że zajęcia gospodarskie ustały, a wszyscy pochowali się w chłodnych piwnicach przed południowym upałem, Gjacked obszedł wszystkie zabudowania. W dużej sali *garady vyletnikav*, na ławce przy stole garbił się brodaty Urbanec, wyznaczony przez nowego *vedanu* na nauczyciela. Zaczytany w tekście, przyświecał sobie w pracy kagankiem. Spod rzednącej rudej czupryny błyszczała skóra. Zatopionemu w pracy nie przeszkadzał zaduch w pomieszczeniu, nawet nie zauważył wejścia przywódcy.

– Jak ci idzie? – zagadnął Gjacke.

– Czytam, czytam, nie mogę się oderwać. – Urbanec wyszczerzył nierówne zęby. Dłonią przyglądał kędzierzawą rudą brodę. Rosła obficie w miarę, jak włosy na czerepie rzedły. Broda była przywilejem nauczyciela.

– Kiedy zaczniesz zajęcia?

– Ależ ja stale uczę...! Dzisiaj zaczynam po południu. – Uniósł się nowy ekspert. Mówił wysokim, dźwięcznym głosem z przesadną emfazą, która już po chwili słuchania go zaczynała irytować. – *Jednocłjnika* i *dvinocłjnika* uczą się dwa razy na dzień, starsi i tak są teraz zajęci robotami w polu. Do lekcji z maluchami nie musiałem się wiele przygotowywać. Pamiętałem wszystko...

– Dobrze. – Gjacke pokiwał głową. Lubił chodzić po osadzie, sprawdzać, doradzać. Wszyscy powinni czuć jego spojrzenie.

– No nie wiem, czy dobrze.

– To znaczy? – Przywódca zmarszczył brwi.

– Czytam podręczniki dla starszych i nie widzę w tym sensu.

– Nie rozumiesz? – Gjacke błysnął spojrzeniem. – Spytaj Vatran Auraio. On tutaj często zachodzi.

– Nie w tym rzecz, że nie rozumiem tekstu. Wyłożone jest całkiem jasno i przystępnie.

– To w czym problem?

– To jest fantazja. Mam ich uczyć rzeczy, których nie ma. Mnie uczono z podręczników, które zawierały co innego.

– Uważasz, że podręczniki zostały sfalszowane? To bardzo poważny zarzut. Nie mów tego bez uzasadnienia.

– Zoologia to opisy nieistniejących zwierząt. – Wziął do ręki plik kartek. – Właśnie to czytam. Co to są typowe schematy budowy ciała zwierzęcego? Beznogi, jednonogi, czworonogi, sześcionogi, ósmionogi, wielonogi. Przecież nie ma takich zwierząt.

– Są wielonogie. Choćby *stjegan smyja*. Dojrzałe *volci* mają wiele nóg.

– W podręczniku napisano, że oprócz *porokav*, *medvadav* i właśnie *stjegan smyjav* wszystkie inne zwierzęta nie są jakby prawdziwe, lecz to tylko pokracznie pozmieniane jakieś wzorcowe istoty, których nigdy nie widzieliśmy. A czy idealne istoty w ogóle istniały, czy to tylko wymysły Ajfrida? Przecież ja pamiętam, jak włóczył się *po ljuCAM izo Gatu Tezejnu*.

– Tych ostatnich zdań nie musiałem usłyszeć...

– Tak. Jednak jak uczyć o nieistniejących zwierzętach? Jak tłumaczyć, gdzie one są? Jeszcze gorszy jest nowy podręcznik astronomii. Pisze w nim o rzeczach, których nikt nie

pamięta. Ziemia nie jest płaska?

– Oczywiście, że nie jest płaska. Już zapomniałeś, co mówili w szkole tobie samemu?!

Styrman spływa na Zatròvati Ljuci. Gdyby Ziemia była płaska, zatopiłby Matcinu Dolanu.

– Nie – głos nauczyciela zabrzmiał melodyjnie. – Czym innym są góry i doliny. Ziemia może być płaska, pomimo gór i dolin pomiędzy nimi.

Gjacke patrzył sceptycznie. „Przecież w końcu woda ściekająca z lodowców zatopiłaby resztę świata”, pomyślał.

– Przejrzę ten podręcznik – powiedział. – Podrzucić mi go, kiedy skończysz.

– Przyniosę na wieczór.

– Savinka umarła dzisiaj w nocy – Gjacke zmienił temat.

– Wiem. Siedziałem przy niej do końca. To mój obowiązek.

– Domyślasz się przyczyny? Jeśli nie, to trzeba będzie pokroić jej ciało, żeby wiedzieć na pewno, dlaczego umarła młoda *czetrinocljnica*.

– Umarła ze zwykłej przyczyny. Nie mogła znieść swojego *ovaja*. Nie musisz jej kroić – w głosie Urbaneca brzmiała troska. – Nieszczęsna dziewczyna.

– Nie masz żadnych wątpliwości?

– Typowe objawy, typowy opis, nie ma wątpliwości.

– Co za pobudzenie! Nie zdarzyło się nigdy, żeby tacy młodzi już się rwali do siebie i zaczęli za szybko. Może co jedzą szczególnego? Jakie ziele wyszukali?

– Myślę, że nie. Cóż, tak się zdarzyło.

– Rozejrzyj się, wypytaj. Masz się dowiedzieć, kto jest winien śmierci Savinki. Na pewno kolega.

– Słabo sobie radzę z takimi sprawami.

– Spędzasz z nimi całe dni. Masz to zrobić. Od tego jesteś nauczycielem, żeby wiedzieć.

– Dobrze.

– Nie pal kaganka za dnia. Siedź przy oknie. Zimno jeszcze nie jest, a oleju nie ma za wiele.

– Tak.

42.

Alica budziła się przed świtem i nie mogła zasnąć. Dręczyły ją koszmarnie myśli. Niepokój wrócił. Wiedziała, że trzeba zrozumieć znaki dawane przez *poroka*. Mogły być odpowiedzią na zachowanie Braborki. *Porok* mógł być przez nią nasłany jednak równie dobrze mógł tymi

znakami przed nią ostrzegać. Ta znowu zaczęła podmieniać jedzenie. „Ruda chce nas otruć? Za co? Przecież ją ładnie umalowałam”, pomyślała. Czują, że działa tutaj nie tylko Braborka, lecz ktoś jeszcze.

Zebrała się, zawinęła w chustę i wymknęła na Prevaj. Szesnaście kamieni na stole leżało ustawione w nowy, regularny wzór. Przerysowała schemat. Chwilę wahała się, czy pokazać go Ajfridowi. Można, zdecydowała – on przecież tak niewiele rozumiał. Nie zaszkodzi, póki będzie regularnie dotykał jej ciała. W razie potrzeby będzie mogła pokazywać mu zmienione schematy.

Porok umiał zliczyć do szesnastu, a przynajmniej spójnie komponować całości z szesnastu elementów.

– Dzisiaj ułożył to. – Podsunęła kartkę Ajfridowi.

– To może być inteligentne stworzenie. Jak zejdziesz do Matcinaj Dolany i spróbuj tak się z nimi porozumiewać jak z nami, zostanie natychmiast zabita. Nawet jeśli, jak inne *poroki*, ma zwoje nerwowe na stronie brzusznej, przebita włócznią wykrwawi się na śmierć. Nikt jej nie oszczędzi, a ona nas nie zabiła, chociaż mogła.

– Jeśli wiedziała, że zdoła nas łatwo zabić.

– Oni tam nie wychodzą z piwnic. Co najwyżej jaki *kornaak* się trafi na drodze. Trzeba jej wytłumaczyć, żeby się wyniosła z tej doliny, zanim się oziębi.

– Co planujesz? – Spojrzała badawczo.

– Błat nie pomieści więcej kamieni. *Porok* je porzuca przy wskakiwaniu. Wzór się rozsypie. Kontakt się urwie. Nie wiem.

– Zbuduj dla niej pomost, żeby nie musiała skakać.

Skinął głową.

– I damy jej trzydzieści dwa kamienie.

– Wybierasz wielokrotności liczby jej oczu? – Czasami potrafiła niemal świdrować modrym spojrzeniem.

– Osiem to dwa razy cztery. Po cztery kamyki na jedną kartkę, jeśli jedna osoba przepisuje przy stoliku. Jak dwoje zaczęliśmy tam naraz pracować, dzieliliśmy się tymi samymi kamieniami – głośno myślał. – Ta liczba wypadła przypadkiem. Ona ma dwie pary bardzo dużych oczu, skierowanych do przodu, a po bokach karapaksu jeszcze dwie pary mniejszych.

„Braborka to jeden, ja sama to dwa, Gata – trzy, Drevana Auraica – cztery, Sirka, oczywiście Sirka to pięć, Druzka mieszkała z Braborką – to sześć, Ajfrid to siedem”, Alica gorączkowo policzyła w myślach. „Kto jest ósmy?” Spojrzała z niepokojem. „Może Jante?”

Nie, bo on się rozsypał. Ósmy jest oczywiście Jadòvina. To nim chce Braborka podmienić Ajfrida, bo reszta to kobiety”, biegły niepokojące myśli. „Muszę go ochronić, a na razie Ajfrid nie może się niczego domyślić”.

– Może ona ma mózg złożony z ośmiu części, a każda z nich współpracuje z innym okiem? Nie, to chyba pomysł bezsensowny... Takie osiem nie powiązanych mózgów – powiedziała, by wprowadzić go w błąd.

– Przyniosę twoje szkice – zapalił się.

Wzory nie składały się z dwóch większych i dwóch mniejszych grup. „Dwie grupy po trzy kamyki, dwie po jednym. Ostatni układ szesnastu kamieni ma tylko dwie osie symetrii, nie rozpada się na podgrupy”, pomyślał Ajfrid.

– Liczbę kamieni zwiększymy później, na razie podsuwaj jej układy szesnastu elementów. Ten jeden układ nic nie mówi. Może następne pokażą inne prawidłowości, a może ona zacznie się powtarzać, co będzie znaczyć, że dochodzi do kresu możliwości.

– Te rozmowy za pomocą układanek są ważne. Czuję to.

– Tak. Rozmawiamy z przyszłością. Może kiedyś inny *aurai* przeczyta nasze notatki i doda więcej myśli.

Nie odpowiedziała, zwiesiła głowę. „Jak długo jeszcze zdołam cię ochronić, zanim zabierze mi ciebie Braborka?”, pomyślała.

43.

Porok chętnie korzystał z przygotowanej dla niego rampy z kamieni. Wzory z szesnastu elementów nie stały się bardziej różnorodne: zwykle jedna, rzadziej dwie osie symetrii. Niezbyt wielka liczba kamieni ograniczała możliwości. Wreszcie Alica pozostawiła na noc układ ze środkiem symetrii, w odpowiedzi rano czekał na nich inny układ ze środkiem symetrii.

Kiedy następnego wieczora Alica ułożyła trudniejszy do odczytania, bo mniej oczywisty układ ze środkiem symetrii, w odpowiedzi czekał na nią z rana zupełnie inny układ, ale też środkowosymetryczny. Kamienie ułożone były równo, *porok* nie popsuł układu, trzęsąc stołem przy zeskoku. Może w ogóle nie wszedł na stół, zatrzymując się na rampie.

Za każdym razem wzór tworzył wir skierowany w dół. Dla Alicy było jasne, że Ajfrid powinien sprawdzić, co jest w dolinie. Może jednak wytłumaczenie było inne. Może w dolinie właśnie działo się coś złego, co mogłoby mu zagrozić. Lepiej więc tego nie mówić. Może groźba sama zniknie.

– Jeśli rzeczywiście jej mózg podzielony jest na osiem autonomicznych części, każda

obsługująca inne oko, to powinna być zdolna co najwyżej do układów z jedną, a najwyżej z dwiema osiami symetrii – powiedziała to, co chciał usłyszeć. – Układ ze środkiem symetrii jest poza jej możliwościami.

– Czy to dowód na jej inteligencję?

– Powiesz, że jeszcze nie, bo części jej mózgu mogą lepiej współpracować niż u innych *poroków*. Musimy spróbować czegoś zupełnie nowego, żeby znaleźć dowód. – Śmiała się w duchu z jego naiwności. Słyszał przecież jakby swoje zdania z jej ust. Sam snuł podobne domysły.

– Kamieni jest za mało, żeby ich układy mogły przekazywać wiele więcej.

– Może więc pora na trzydzieści dwa kamienie?

– Po cztery na jedno oko?

„Obojętne, czy szesnaście, czy trzydzieści dwa”, pomyślała. „W obu liczbach tkwi osiem osób, a właściwie siedem i zagrożenie podmianą”. Nie miała tylko jasności, czy Jadovina chce podmienić sobą Ajfrida tutaj, na Prevaju, czy chce to zrobić w Matcinaj Dolane.

44.

Nadal co rano znajdowali zmieniony wzór na blacie stołu. Alica przerysowywała ładne, symetryczne figury. Bacznie się im przyglądała, by zaraz zmienić schemat, kiedy która pokaże coś niebezpiecznego. Jeszcze ani razu nie musiała tego robić, by ratować Ajfrida. *Porok*, proszony układem ze środkiem symetrii, odpowiadał innym środkowosymetrycznym. Kiedy dostał osiowosymetryczny, zostawiał inny osiowosymetryczny. „Dlaczego ona to robi?” zastanawiał się Ajfrid. Odkąd pomyśleli, że to samica, już tak zostało.

Z trzydziestoma dwoma kamieniami *porok* radził sobie bezbłędnie. Więcej kamieni nie pomieściłoby się na blacie stołu.

– Pora pokazać jej liczby – powiedział Ajfrid. – Jak dziecku na pierwszej lekcji w szkole.

– A cyfry?

– Później wymyślimy cyfry dla niej.

Wieczorem zostawili nowe zadanie dla *poroka*: kilka kupek. Pierwsza to jeden kamień, druga to dwa obok siebie, potem jeszcze trzy obok siebie i bezładna kupka pozostałych w kącie blatu.

Wczesnym rankiem czekali przy uchylonej okiennicy. Alica podniecona, tym razem nie drzemała, a kiedy cień wreszcie zeskoczył i zniknął między wantami, zaraz zawinęła się w

koc, bo nocny ziąb jeszcze dokuczał, i wybiegła ku Prevajovi. Ajfrid pobiegł w ślad za nią.

Na blacie przybyła kupka czterech kamieni.

– Umie liczyć do czterech! Jutro dostanie do dodania pięć kamieni.

„Cztery było jeszcze bezpieczną liczbą. Trzeba zwracać uwagę dopiero na siedem i osiem”. Alica nie miała wątpliwości, że w mniejszych liczbach *porok* nie przekaże groźnego znaku.

– To może być obyczaj komunikacyjny – powiedział. – Mają dobre oczy, lubią równo machać ramionami, to może układanie wzorów przychodzi jej bez wysiłania umysłu.

– Umie liczyć do czterech. Jutro okaże się, czy zliczy do pięciu.

Porok dodał kupkę z pięciu kamieni do poprzedniej, a następnej nocy kupkę z sześciu.

Alica siedziała na siodle Prevaju przy Porokowym Stole, jak go już nazwali. Nie zabierali tego mebla do samotni. Alica zabroniła. Wielokrotnie zostawiali go poza kontrolą. Nie dało się sprawdzić, czy nie został już podmieniony. Nie zauważała żadnych oznak na blacie stołu czy na nogach, ale przecież nie można było nic wykluczyć. Przeciwsłoneczny daszek, pod którym ustawili stół, zmienił się bardzo: zgiął się, pojaśniał, chyba nieco zmniejszył, dwie klepki się obluzowały. To musiała być sprawka Braborki, bo *porok* nie wyskoczyłby aż tak wysoko. Alica sprawdziła, ale pod obluzowanymi klepkami żadnej wiadomości dla niej nie było.

45.

Od rana w dużej sali *garady czetrijnocljnikav* młodzi mieszkańcy Matcinaj Dolany zgłębiali tajniki geografii. Urbanec miał ich dzisiaj nauczyć czytania mapy, a ponieważ nie było jeszcze gorąco, a wszyscy odrobili zadanie, wygonił całą klasę na dwór. Polecił im usypać kopiec z piasku i starannie przyklepać.

– Wyobraźcie sobie, że to jest Ledan Vyrh – powiedział.

– Ale Ledan Vyrh jest wielki, a nie taki malutki – zaprotestował piegowaty Jancesz.

– To jest model – rzucił zniecierpliwiony nauczyciel.

– Ledan Vyrh nie jest z piasku tylko z kamieni – nie ustawał bystry uczeń.

– To jest model góry.

Malec nadał się.

– Model jest trochę podobny, ale nie taki sam. Kopiec z piasku jest wypukły jak Ledan Vyrh. Powtórz, co to jest.

– To jest model.

– No.

– *Uczetjel je vedanav modjel* – cicho powiedział jakiś niesforny uczeń, a wszyscy malcy zachichotali.

Urbanec zmilczał to. Nie chciał robić dochodzenia i karać winowajcy.

– Teraz wyjmijcie przyniesione nici.

Okazało się, że wszyscy solidnie odrobili zadanie domowe: z zarośli otaczających osadę zebrali długie nitki *porokav*. W wyciągniętych dłoniach pojawiło się kilkanaście szarawych kłębków.

Następnym etapem pracy uczniowskiej było powbijanie na równej wysokości kołeczków i połączenie ich nitkami, aby uformowały się poziomice. Biegali wokół modelu, wyrównywali, żeby przybliżenie było doskonalsze. Nikomu w głowie nie powstało naśmiewanie się z nauczyciela – lekcja stała się zbyt ciekawa.

– Teraz narysujcie widok poziomicy, jakbyście patrzyli od góry.

– Ale mało widać.

– To wyjdziemy na ganek. Stamtąd będzie widać lepiej.

– Tak! Taak! Tak! – wybuchła radość, że na lekcji zobaczą ganek *garaáy czetrinocljnikav*, na którym zwykle nie wolno im było przebywać.

Na ganku biegali z jednego końca na drugi, głucho łomocząc sandałami po szerniałych deskach. Urbanec nie potrafił zagonić ich do pracy.

Wreszcie się zmęczyli i zgromadzili wokół nauczyciela.

– Weźcie swoje kartki i narysujcie teraz sami, jak wyglądają poziomice, kiedy patrzymy na nie od góry.

Nowe zajęcie ich zaciekało. Na kamiennych tabliczkach do rysowania ich rysiki szybko tworzyły mniej lub bardziej udatne cebulowate figury.

– Dobrze, dobrze. – Urbanec uwijał się od jednego do drugiego. Doradzał, poprawiał. Bardzo mu zależało, aby każdy uczeń zrozumiał zasadę tworzenia mapy.

– Teraz chodźcie na dół, pokażę wam prawdziwe rysunki poziomicy Matcinaj Dolany.

Zaraz pognali za nim.

Urbanec rozpostarł na stole arkusz mapy obejmującej całą Matcinu Dolanu aż po lodowiec, a od dołu aż po *Zatròvati Ljuci*.

– *To je ne Matcina Dolana, to je mala stranjica* – wyrwało się Kubince.

– *Tij durna, to je modjel.*

Urbanec nie chciał karać Jancesza za to wyzwisko, przecież uczeń dokładnie zrozumiał lekcję.

Zafascynowani malcy rozpoznawali nitkę *Styrmana*, oba *Uravy*, miejsca, gdzie

zaznaczono budynki osady.

„Niech utrwalają sobie przedstawianie okolicy za pomocą płaskiej mapy. Zrozumieją wtedy, że ziemia niekoniecznie musi być okrągła. Niech pomyślą odważnie, że jeśli jest przeciwnie, jeśli jest płaska, to życie ich wszystkich nie musi ograniczać się do Matcinaj Dolany i jej bezpośredniego otoczenia. Lecz można wyruszyć w nieznaną i poznawać odległe okolice”, pomyślał. Był pewien, że ziemia nie jest okrągła, a próba zbytniego oddalenia się od Matcinaj Dolany nie grozi śmiertelnym upadkiem w otchłań.

46.

Zarówno kupki z pięciu, sześciu, jak i siedmiu kamieni zostały uzupełnione przez niezwykle nocnego gościa. Stworzenia umiejącego liczyć do siedmiu nie można nazwać zwierzęciem. Ajfrid planował przeróbkę blatu, by zmieściły się na nim jeszcze bardziej skomplikowane wzory. Poprosił, by Alica zaprojektowała znaki, które miały symbolizować cyfry. Chciał zająć ją praktyczną robotą, w nadziei, że jej halucynacje odejdą.

Niestety, następnej nocy *porok* po prostu się nie pojawił. Na stole leżało siedem kamieni w ostatniej kupce, a zbiór ośmiu nie przybył. Nie było też tak, że gość sobie nie poradził z kolejnym zadaniem, bo przed świtem oboje bezskutecznie czekali na jego przybycie.

Następnej nocy i kilka następnych też nic. Kontakt z obcą istotą o dużych oczach urwał się. Ośmionogi rozmówca przerwał dialog za pomocą symboli. Dni upływały na przepisywaniu bądź redagowaniu tekstów. Milcząca Alica snuła się po pomieszczeniach samotni. Dla niej było to oczywiste. Zagrożenie podmianą Ajfrida na Jadówinę jest tak wielkie, że nawet *porok* nie odważył się ułożyć ósmego kamienia.

Przysiedli na Prevaju. Alica wzięła się za rysowanie.

– Brakuje mi *poroka* – zaczął Ajfrid.

Podniosła oczy znad rysunku. Przedstawiał grupę siedmiu osób i ósmą, stojącą osobno. Próbowała rysunkiem udaremnić zamiary Braborki. Zobacz, że została zdemaskowana, to przestanie szkodzić.

Ajfrid kończył kolejny manuskrypt dla gromady. Można było to samo robić pod dachem, tym bardziej że dzisiaj sporo chmur krążyło nad górami i mogło przykropić z nieba.

– Zauważyłam, kiedy przestała przychodzić – odważyła się powiedzieć. Chciała go ostrzec.

– Wróci, jeśli go co nie zjadło.

– To nie jest dowcipne.

„Jakiż on jest naiwny”, pomyślała. „Znowu muszę grać. Pomóc mu nie mogę”.

– Zwykle mu dolinnemu *medvadovi* ucieknie bez trudu. Chyba że w *Bezładnej Dolane* żyją inne *medvady*: szybkie, niezbyt wielkie, a sprawne i wielkookie jak ten *porok*. Takiego *poroka* jak ten nikt wcześniej też nie spotkał.

– Skoro przestał przychodzić, wraca pytanie: po co tu wyszedł? Chciał się porozumieć?

„Tak tęsknić za nieznanym stworzeniem?” zadumał się. Przecież mogło ich zaatakować i zabić. Ale brakowało mu tych wizyt.

Kiedy się pojawiało, mówili o tym stworzeniu „ona”, kiedy przestało przychodzić, stało się „nim”.

– Dawał mi znaki.

– Może w *Bezładnej Dolane* napotkamy jego pobratymców? – Zignorował jej słowa.

– Lepiej nie spotykać jego kumpli. Nie będą ani przyjaźni, ani rozmowni. Nasz mógłby być bardzo groźny.

– Więc uważasz, że przekazał ci znak?

– Tak. Wykonał swoje zadanie.

– Dla kogo?

– Dla mnie. Ostrzegała.

– Trzeba obszukać okolice samotni. Mógł paść w pobliżu. Może chory wyszedł tu, by umrzeć, i dlatego szukał kontaktu.

– Też chciałabym, żeby się pojawił. Znaczyłoby to, że się myłę.

– Nadal będziemy zostawiać mu na noc zadania do rozwiązania.

Wzruszyła ramionami.

Przez resztę dnia włóczyli się po piargach w okolicy samotni. Penetrowali różne zakamarki, zaglądali do naturalnych koleb utworzonych przez spiętrzone wanty. Blisko samotni były trzy opisane, odkryli jeszcze dwie gorsze, od biedy mogące służyć za schronienie przed deszczem, jednak martwego *poroka* nie znaleźli. Przy tak intensywnym nasłonecznieniu Ajfrid nie czuł głodu. Pióra zapewniały jego organizmowi dość pożywienia. Alica nie wychylała głowy spod parasola.

Pod wieczór znaleźli ukryty z tyłu samotni, w miejscu osłoniętym przed słońcem, prawie metrowej średnicy kulisty pojemnik ze skudłaconej nitki, przymocowany do muru powrozem skręconym z białych nitek.

– Co to jest? – Alica dotknęła chropowatej powierzchni kudłatej kapsuły. – Ciepłe – powiedziała.

- Przesyłka od *poroka*. Kokonik z jajkami. Przyniosła nam swoje dzieci.
 - Tak myślisz?
 - Może tak, może nie. Ten dialog mógł być wołaniem o pomoc, o opiekę nad małymi poroczątkami. A może wzięła udział w starciu z nami jako konkurentami. Potem uznała, że to był błąd, że jej nie zagrażamy i może tutaj ukryć swoje *ovaja*.
 - Poroczątka mają tutaj marne szanse przetrwania na mrozie. Nawet jeśli przetrwają *nocelj*, padną z głodu. W czasie *nocelja* szaleją zawieruchy, a mrozu nie przetrwa żywa istota.
 - Ona musiała to wiedzieć. Może więc to był jej krzyk o pomoc. Sam nie wiem...
 - Jeśli wylęgną się w czasie *nocelja*, to nas zakłują. Innego pożywienia drapieznik tu nie znajdzie. Może przeznaczyła nas na pierwszy posiłek dla swoich dzieci.
 - Raczej chciała, żebyśmy się zaopiekowali poroczątkami. Nie spotkała wcześniej ludzi, jednak jeśli była rozumna, to mógł jej taki pomysł strzelić do głowotułowia.
 - Nie wierzę w to! – ucięła rozmowę Alica. – Musimy się zabezpieczyć.
 - Nie przeniesiemy kokonu do wnętrza, to powinno wystarczyć. Możemy go też lepiej zabezpieczyć przed mrozem.
 - Ale jak? I jaką temperaturę mamy mu zapewnić?
 - Ona próbowała go zakopać, chociaż nie mogła. Grunt skalisty. Zobacz, trochę kamieni tutaj poprzewracała, trawniki pozdzierane.
 - Chcesz to zakopać?
 - Skoro ona nie dała rady, nam też będzie trudno. Poza tym jak poroczątka wykopałyby się z tego? Ale można obsypać ten kokon, tworząc sztuczną norę. Ochłodzi się, zajrzą tu znowu *czetrinocljnika*. Oni to zrobią.
 - Trzeba koniecznie poprzebijać ten kokon. Tylko nieliczne poroczątka zginą, bo są małe.
 - Po co chcesz to zrobić?
 - Na wszelki wypadek.
- Spojrzał pytająco.
- Bo myślę, że w kokonie podesłali Jadóvinę.
 - Cco...?
 - Chcą ciebie nim podmienić – wyjaśniła. – To jest właśnie liczba osiem, sfalszowana osoba do podmiany. Wcześniejszych siedem było prawdziwych.
- Patrzył na nią nieswojo. To oczywisty nonsens. Jak argumentować, żeby przyjęła?
- Zarówno ciało Braborki, jak i Jadóviny pływają *ve vyletan bazinu ve Matcinaj Dolane*. Przecież kokonik jest zbyt mały na męczyznę.

– Dorośnie. Wylęgnie się. Każdy człowiek przecież rośnie. Zresztą, jak się dorosły skręci w kłębek, to się tam zmieści.

47.

Trzeba nadzorować proces *vyleta*. Ajfrid znowu wybrał się do osady. Poniżej przełęczy przytłoczył znajomy upał. Schodzenie w takim gorącu nie było trudne, ale później na podejściu trzeba przeznaczyć dwa razy tyle czasu co zwykle.

W dolinie nie było śladu po *żjaracav*. Inwazja fruwających kulek dobiegła końca. Za to tu i ówdzie z ziemi sterczały niewysokie, białawe lub bladozielone słupki. Średnio co pięćdziesiąt znaczyły je karby, jakby granice segmentów. Z przyzwyczajenia ścinał je kopnięciami. Już wyrastały *bulavi pazdaca*, znak, że okres upałów zbliża się ku końcowi. W tydzień lub dwa szybko wyrosnie z tych słupków we wszystkie strony płatanina śluzowatych nitki, które napotykać inne idące od sąsiednich *bulav*, połączą się w skłębioną płataninę. Nitki stwardnieją w gęste pasma białawych nici. Uważano, że *pazdac* to jeden wielki organizm, rozrosły i rozgałęziony pod ziemią, który w lecie wrasta coraz wyżej w dolinę, podchodząc aż pod Dlni Urav, a może i jeszcze wyżej. *Bulavi* zawsze wyrastały oddzielnie i w pewnym oddaleniu jedna od drugiej, ale wyglądały jednakowo. Dlatego uznano, że to nie oddzielne istoty, lecz odnoża jednej, olbrzymiej, podziemnej. Tym bardziej że wyrosłe nad ziemię słupki zawsze starały się połączyć z innymi. Skoro większość organizmu pozostawała pod ziemią, więc może w taki sposób *pazdac* zwykł się pnieć. Ajfrid uważał, że poszczególne *bulavi* mogą być różnymi organizmami nagle rozplenionymi na wzór choćby *żjaracav*, a te łączące się nici to ich sposób rozmnażania. *Bulavi pazdaca* usuwano z terenu osady, gdyż zarósłby ścieżki i obejścia. *Jednocljkav* zachęcano do zabawy w ścinanie ich, a każdego starszego widok wystającej z ziemi, rozszerzającej się, białawej maczugi natychmiast skłaniał do energicznego kopniaka. Bawiąc się, malcy bardzo skutecznie oczyszczali teren osady.

We wsi Ajfrid nie zauważył ani jednego seledynowego słupka – cały obszar dokładnie oczyszczono. Mimo przygniatającego upału snuło się tam trochę ludzi. Nikt do Ajfrida nie zagadał, ale skoro jemu imiona wielu z nich myliły się jeszcze, to jak oni mieliby spoufalać się z samym *auraio*. Do niedawna jeszcze byli młokosami, z którymi starszy zwykle nie rozmawia. Ludźmi dorosłymi stali się niedawno.

W górze doliny odbierano pożytek od *mlokan jogra*. Młodym szło to równie sprawnie, jak poprzednikom.

Płyn w *vyletan bazinu* nadal był mlecznobiały. *Vyletnika* pozostawali niewidoczni pod jego warstwą, a żaden nie wypływał. Z rzadka majaczyły pod powierzchnią ciemniejsze

kszały: tu czyjaś noga, dalej może bark, jeszcze dalej chyba głowa. Proces przebiegał prawidłowo.

Ajfrid przenocował w piwniczce przy *vyletan bazinu* i wrócił zadowolony na Prevaj.

Znalazł Alicę na tyłach samotni. Na zydłu, pod parasolem, wpatrywała się w kokonik. Nie okazała radości z jego powrotu. Popatrzyła obojętnie.

– Po co tak szybko wróciłeś? Tam byłeś bezpieczny

– Pełno wszędzie nici poroczych. Pienią się *bulavi pazdaca*. *Medinocelj* ma się ku końcowi.

Wzruszyła ramionami. Zwyczajne sprawy jej nie cieszyły.

– Kokon jest większy. *Jadovina* już się przygotowuje.

– Skulony człowiek nie potrafi wydobyć się z takiej płataniny.

– Ona przyjdzie w porę i go uwolni.

– Daj spokój. *Jadovina* jest *ve vyletan bazinu*.

– Widziałeś go tam?

– Obecnie płyn jest zupełnie mętny.

Nic nie powiedziała.

48.

Na ciele Alicy nie znajdował nowych ognisk zakażenia. Liczba kanalikowych ubytków nie spadła, ale wróciło czucie w ich pobliżu, a wewnątrz stały się miękkie i bolesne. Zwykle *krve znama* na plecach zmniejszyły swoją powierzchnię. Bardziej niepokoiła rozwijająca się choroba jej psychiki. Po oględzinach określił kreską poprzedni zapis, wpisał datę: „Trzydziestego trzeciego dnia lipca” i resztę formułki, a następnie opisał wygląd skóry Alicy.

– Jak to się stało, że złapałaś nieznane pasożyty? – spytał, kiedy już się odziała. – Masz niewiele typowych *krve znam*.

– Przestrzegałam zaleceń podręcznika higieny.

– Wiedziałaś, czym grozi sypianie na trawie.

– W podręczniku higieny jest dość ostrzeżeń. Mimo to sypiałam na trawie.

– Mogłaś stracić życie, upolowana przez drapieżnika.

– Wolalam zostać zabita przez *poroka* albo złapać nieznane *krve znama*, niż nocować z innymi *vyletnikama*.

Pokręcił głową.

– Powodem była moja fałszywa przyjaciółka i Kirus.

– Więc jednak...

– Zupełnie nie to, co pomyślałaś... – Spojrzała gniewnie.

Milczał. Czekał na wyznanie.

– Zwykle *vyletnika* dobierają się w pary i zaczynają przed *vyletam*. Chcą znać rodzica swoich dzieci, a nie powierzać tego przypadkowi.

– No tak...

To było powszechne. Manuskrypty traktujące o godziwym postępowaniu i podtrzymaniu trwania gromady opisywały to zjawisko. Twierdzono, że walka z nim przyniesie więcej szkody niż pożytku. Ważniejsza dla stabilności grupy była postać pamiętanej buntownicy, której smutny los jest przestrogą dla następnych pokoleń. Zagrożenie dla trwałości gromady mogło się pojawić, jeśli przez długi czas żadna kobieta się nie buntowała. O buntowniku mężczyźni manuskrypt nie wspominał; bo on i tak wkrótce by odszedł, a tylko straciłby szansę na potomstwo.

– Ja nie znalazłam dla siebie nikogo odpowiedniego. Żaden się nie nadawał.

Ajfrid zrobił głupią minę. „Czyżby ona już wtedy myślała o mnie...?”, podsunęła mu męska duma.

– Albo byli za niscy, albo prostacy, żadnego z nich nie chciałam – ciągnęła. – Mnie jednak upatrzył sobie Kirus.

– Ten z krzywo zrośniętą ręką...?

– Tak, to on.

Chwilę milczeli oboje.

– Był natarczywy, ale udawało mi się go odpędzić słowami... Wtedy przyjaźniłam się z Sirką. Ona okazała się właśnie moją fałszywą przyjaciółką.

– Sirka Ovidna?

– Ta sama. *Vyletnicy* mieszkają parami, my dwie dzieliłyśmy pokój. Ona chciała zdecydować za mnie.

Słuchał uważnie.

– Zaczęła z Vasko Prugarem. To znaczy Vasko zakradł się kiedyś po gzymsie i wszedł do środka przez uchyloną okiennicę, kiedy *poroki* jeszcze się nie włączyły. W pokoju było całkiem ciemno i najpierw poszedł z wyciągniętymi rękami w kierunku mojego łóżka. Zanim zdążyłam krzyknąć, Sirka powiedziała „tu jestem” i już się nie pomylił. Zaraz musiałam wysłuchać cudzego zbliżenia. Vasko głośno sapał, Sirka milczała. Wkrótce potem zebrał się i szybko wyszedł oknem. Sirka szczelnie zapała okiennice, bo nadeszła godzina *porokav*. Drugi raz nie przyszedł. Przepadł na *Zatròvati Ljucam*. *Poszjel ve stryżaja*.

– Inni nie przychodzili?

– No co ty? *Vyletnicav* jest dość. Przez jakiś czas był spokój. Nikt nie sapał. – Nagle zaczęła śmiać się do siebie. Machnęła ręką. – Bo to było tak szybko... Vasko wgramolił się przez okno, posapał i się wygramolił. To komiczne było.

– Musiał uciekać.

– Akurat tamtej nocy porocze łapy nie grzmiały w deski okiennic. Usnąć nie mogłam. Ty się bawisz moją skórą z godzinę. A Vasko już, już i go nie ma.

– Tak długo?

– Potrafisz się bawić moim ciałem jak dziecko zabawką.

– Mogę cię szybciej badać.

– Nie chcę.

– Przez Prugara wyniosłaś się z *garady vyletnikav*...?

– Nie. Kiedyś Sirka oznajmiła, że Kirus jest dla niej. Odtąd godzinami opowiadała o jego zaletach, a to jaki jest mądry, jaki zaradny, a jaki przystojny. Ja przytakiwałam zwierzeniom przyjaciółki, bo to był jej wybraniec. Na chwilę umilkła, chcąc zaakcentować dalsze słowa.

– Wreszcie Sirka zwierzyła mi się, że chce być razem z Kirusem we dwoje. Wzruszyłam ramionami. Przyszedł Prugar, może przyjdzie Drevar. Przyjdzie, posapie i pójdzie. Ja przyłożę głowę poduszką. Nawet słyszeć nie będę. Tym razem jednak było inaczej. Zaczekali, aż *vedan* pozamykał drzwi do wszystkich pokoi.

– Pozamykał drzwi?

– Oczywiście. Jante co wieczór osobiście barykadował od korytarza drzwi do wszystkich pokoi *garadu vyletnikav*.

– *Vedan zatvirac*.

– Właśnie tak na niego mówili.

– Tłumaczył, dlaczego to robi?

– Oczywiście. Dla naszego dobra. Aby nie umierać w bólach przed *vyletam*. I tak trzy umarli, chociaż on i Kovica jeszcze przed *noceljam* barykadowali drzwi od wszystkich pokoi. Potem został sam, ale robił to samo.

– Mogliście spłonąć w razie pożaru.

– Prawie tak się stało.

Nabrała powietrza dla złapania oddechu.

– Przez pierwszą noc nic się nie działo. Przyszedł, posapał, wyszedł. Wszystko razem dziesięć minut. Ot, taka kopia Prugara. Za tydzień wymyślili, że prześpi całą noc u nas. Sirka uznała, że on potrzebuje więcej ciepła. Zaparzyli mocne gorzkie zioła, dosypali wysuszonej

czyrnaj hubiny. Protestowałam, bo nie trzeba pić w nocy, kiedy wyjść się nie da. Z nocnika śmierdzi na cały pokój. Sami pili i nalegali, żebym ja też piła. Po paru łykach zaczęło mi się kręcić w głowie, a w mrocznych kątach pokoju zaczęły biegać ciemne zjawy.

– Jak Braborka?

– Inne. – Spojrzała poważnie. – Potem ogarnęło mnie odrętwienie – kontynuowała. – Leżałam jak kłoda, a oni ruszali się normalnie i normalnie rozmawiali. Dali mi do wypicia co innego, niż sami pili. Sirka położyła mi dłoń na czole i powiedziała: „Już jest gotowa”. Kirus podszedł i palcami rozszerzył mi powieki. „Która dałaby ci w prezencie drugą kobietę?”, powiedziała Sirka. „Pomóż mi ją przenieść”, powiedział do niej. Byłam świadoma, ale zupełnie odrętwiała. Zwlekli mnie na łóżko, a on zaczął rozsznurowywać mój kubrak.

– Kawał łajdaka!

– Nie potrafił sobie poradzić, bo mu się *czyrna hubina* na mózg rzuciła. Sirka przyniosła kaganek i przyświecała mu z bliska. Ona też nie mogła sobie poradzić z rzemykami. Ja zawsze wiązę kubrak starannie. „Nie musisz jej całkiem rozbierać”, powiedziała i zaczęła zadzierać mi spódnice. Sięgła ręką, żeby mi rozwiązać *pelven namotanec*.

Ajfrid słuchał bez słowa.

– Przypadkiem spódnica uniosła nieco moją nogę, a ja machnęłam stopą. Cały czas chciałam walczyć, ale nie mogłam zrobić żadnego ruchu. Udało się, stopa sama opadła. Mój udział był malutki, ale starczył. Ręka Sirki zadrżała. Z kaganka rozlała się gorąca oliwa i sparzyła ją. Sirka krzyknęła i upuściła kaganek. Ściemniło się na moment, ale już za chwilę zajęła się pościel nasączona oliwą. Zaczęli to gasić, ale dym rozchodził się. Ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Drevar uciekł przez okno i spadł z piętra, łamiąc sobie przegub dłoni. Ktoś otworzył drzwi. Sirka powiedziała, że przypadkiem potraçała kaganek. Moje odrętwienie minęło. Sirka powiedziała, że śpię, chociaż już siedziałam. Słowa nie mogłam wydusić. Jante miał pretensje o spaloną pościel. Sirka go uspokoiła, a *vedan* zabarykadował drzwi. Rzuciłam się na nią. Chciałam ją zadusić, ale okazało się, że chociaż niższa, jest ode mnie silniejsza. Powaliła mnie na ziemię i klęknęła mi na ramionach. „Zachciało ci się, żeby być lepszą od innych? Znaj swoje miejsce”, syczała. Szydziła, że się wynoszę ponad inne, że chcę być panienką z bajki. Zaczęła mnie dusić poduszką. To dodało mi sił. Kopniakiem zrzuciłam ją z siebie. Pięścią trafiłam w nos, raz i drugi, aż krew poszła. Zanim się pozbierała, skrepowalam ją i zostawiłam na podłodze. Położyłam się spać na łóżku, ale strasznie śmierdziało spalonym olejem, a wywietrzyć się nie dało. Ani ja, ani ona tamtej nocy nie zasnęłyśmy. Drevar całą noc błąkał się po krzakach. Następnego nocy spałam w trawach za wsią. Noc była ciepła. Sirka

zniszczyła moją pościel pod pozorem, że się spaliła. Nie było co łątać.

– Cholerni niegodziwcy...! Jante kazałby ich przegnać *na zatratu*. Zabroniłby im *vyleta...!*

– Zdarzało się w moim pokoleniu, że *vyletnica* była gwałcona. Nie wiedziałeś...? Jante by ich nie przegnał. Sama skazałam się na wygnanie.

– Nie musiałaś opuszczać *garadu vyletnikav*. Drevar z połamaną ręką już nie zdołałby się wspiąć po ścianie.

– Minał czas tkania, a moja pościel spłonęła. Trudno co noc spać na deskach. *Krve znama* rosną szybko. Jante zabronił mi wrócić do *garadu vyletnikav*.

– Często sypiałaś poza gromadą?

– Zebrałoby się tych nocy. Potem Gata Tezejna przekonała *vedana*, żebym z nią zamieszkała. – Spojrzała na Ajfrida. – Ona mnie przeznaczyła dla ciebie. Uznała, że do *vyleta* się nie nadaję, bo jestem zbyt zakażona... Powiedziała, że *auraica* ze mnie nie będzie, ale mogę ci towarzyszyć.

– Nie protestowałaś?

– Nie... Powiedziałaś tylko, że mnie nie będziesz chciał.

– I co na to Gata?

– Powiedziała, żebym się nie obawiała, tylko żebym ci nic nie mówiła za wcześnie.

– Och, Gata...

– Dwa tygodnie później ty pierwszy raz zszedłeś z Prevaja do Matcinaj Dolany. To wszystkie moje tajemnice. Teraz się ciebie trochę boję, bo znasz mnie za dobrze.

49.

Urbanec skończył ostatnią lekcję. Uczniowie z gwarem wybiegli ze szkolnej izby. Omal nie przewrócili nadchodzącego *vedana*.

– *Jedan, dvi, tri, czetri, patj!* – odliczali już początek zabawy w chowanego. – *Tji ak sljapi, ne paczjas!*

Oczy Gjackedego wolno przyzwyczajają się do mrocznej sali. Słońce schowało się już za grań, w dolinie zmierzchało. W szkolnej izbie nie palono kaganka.

Nauczyciel siedział przy oknie. Pochylony nad notatkami skubał kocią brodę. Błado zaznaczało się koło łysiny na jego ciemieniu. Wystarczyło parę minut, by pogrążył się w swojej pasji. Nowe podręczniki przeczytał już wielokrotnie, teraz studiował, porównywał fragmenty. Nie miał wątpliwości, że książki wprowadzają w błąd. „To fantazja, nie istniejące rzeczy, przygotowane, aby zająć nas bezużyteczną pracą”, myślał. W rzeczywistości nie był

pewien, czy to jest robione celowo, czy *aurai* tylko fantazjują lub przypadkowo kopiują cudze wymysły.

– Odnoszę podręcznik zoologii – powiedział Gjacke.

Nauczyciel machnął ręką.

– Umieję go już prawie na pamięć. Mogę uczyć bez podręcznika.

– Tak... – mruknął Gjacke. Niechętnie słuchał jego przechwałek. Pamiętał go z czasów, gdy obaj sami się jeszcze uczyli. Urbanec zawsze się wykazywał, recytował wyuczone odpowiedzi. Rozpierała go ambicja, chciał zawsze być prymusem. „Tylko ten nieznośny Jonczillo”, Gjacke uśmiechnął się do swoich myśli. Jemu samemu nauka przychodziła z trudem. Samotnie siedział godzinami nad kajetem. Czasem długo tkwił nieruchomo i wpatrywał się w temat, zanim napisał jedno czy dwa zdania, które zaraz kreślił i poprawiał po kilka, kilkanaście razy. Z zadaniami rachunkowymi w ogóle rzadko sobie radził. Zwykle dopiero znając wynik, był w stanie zrozumieć zadanie.

Urbanec patrzył wyczekująco na zamyślonego przywódcę.

– Przeczytałem cały ten podręcznik – powiedział Gjacke. – Taki sam jak dawny. Nic nowego. Pamiętałem jeszcze wiele. Mnie też uczono schematów budowy ciał różnych istot żywych. Ten podręcznik nie został sfalszowany.

– Nie miałem na myśli, że został w całości sfalszowany, ale moim zdaniem za wiele zostało zmienione. Możliwe, że sens ogólny został zachowany, ale zbyt dużo nowej treści tu dodano.

– Przybyło tekstu o zwierzętach Matcinaj Dolany.

– Nie możemy tego sprawdzić, bo stare podręczniki rozsypały się w proch.

– Cóż, taka jest kolej rzeczy... Papier wytrzyma dłużej tylko przechowywany wysoko w górach.

– Nikt z Matcinaj Dolany nie jest w stanie sprawdzić, czy podręczniki nie są fałszowane. To jest poza kontrolą.

– *Aurai* się tym opiekują.

– Może warto zrobić skrytkę niezależną od Prewaja?

„Do czego on zmierza?” *Vedan* spojrzał badawczo. – Nie podołamy. Dość trudu zajmuje nam utrzymanie samotni na Prewaju. Osada nie podoła zaopatrzeniu drugiego schronu.

– To prawda. Utrzymanie Prewaju i dwóch stale tam mieszkających osób wyczerpuje możliwości gromady. Na przykład nie stać nas już, żeby organizować wyprawy w dół *Zatròvati Ljucav*.

– A czego tam szukać? – obruszył się Gjacke. – Zajdziesz za daleko, to spadniesz w mroczną nicość, bo ziemia jest kulą, a zanim spadniesz, zginiesz od jadu Zatròvati Ljucav. Nie dość *stryžajav* wraca, kiedy wypasamy *jogry*? Chcesz więcej ludzi wysłać *na zadržatu*? I tak nas ubywa z każdym *vyletam*.

Urbanec nie odpowiedział.

„Czy on chce, abyśmy przegnali *aurai*?”, pomyślał Gjacke. „A kto przekaże wiedzę następnym pokoleniom? Czas naszego *vyleta* nadejdzie szybciej, niż ktokolwiek myśli”.

– Mówili mi, że przeprowadziłeś pasjonującą lekcję dla dzieci. Teraz wszystkie chcą rysować mapy doliny.

– Nie przypuszczałem, że tak to zwróci uwagę. Cieszę się.

– Pokaż im więc, czym grozi zbytne oddalanie się od Matcinaj Dolany.

– A jak niby? – Urbanec zrobił taką minę, że *vedan* poczerwieniał z wściekłości.

Gjacke chwilę wpatrywał się w nauczyciela i sapał.

– A zwyczajnie! Jak ciebie samego uczyli! Drewnianą kulą!

– A gdzie dać Matcinu Dolanu?

– Zapomniałeś? Na samym szczycie. – Oczy Gjackego dalej rzucały gromy. – A potem pokaż, jak z tego modelu spadają figurki, kiedy oddalą się zanadto.

Urbanec nie odezwał się.

– Masz to wykonać. Oni mają wiedzieć, jak wygląda świat. Ich zainteresowanie mapami może skłonić do poglądu, że ziemia jest płaska, jak kiedyś próbowałeś tłumaczyć to mnie.

– To, że ziemia jest kulą, wynika wyłącznie z podręcznika. Obserwacja prowadzi do czego innego.

– Ciebie obowiązuje nauka z podręcznika. Przynajmniej tak długo, póki nie dowiedziesz, że jest inaczej. Savinka nie umarła, dlatego że nie mogła wydać swojego *ovaja* – *vedan* zmienił temat.

– Tak...?

– Wydała swoje dziecko. Było niedorośnięte i martwe. Przed swoim czasem.

– Nie wiedziałem...

– Kobiety ją potem myły, zauważyły... A ty wyniuchałeś już, kto był przyczyną jej śmierci? Jego trzeba koniecznie przegnać z osady *na zadržatu*.

– Nie udało mi się go wysledzić.

– Do tej pory nie potrafiłeś się tego dowiedzieć? Więcej obserwuj ludzi, mniej szukaj urojonych wrogów.

– Dobrze. – Urbanec zgarbił się pod słowami *vedana*.
Gjacke zostawił nauczyciela samego nad lekturą.

50.

Roślinność w dolinach już wyschła i zbrunatniała, jednak wypas nadal kontynuowano. Suche łądygi z trzaskiem pękały w potężnych żuwaczkach *jograv*. Każdy krok sprawiał, że potwory mleczne tonęły w rudych chmurach zarodników. Za sobą pozostawiały szerokie pasy wyjedzone do gołej ziemi. Upały zmniejszyły się, przebywanie *kornaacav* na pastwiskach było bezpieczniejsze, a bydło dało się sprowadzać znacznie niżej.

Po okresie nieznośnych upałów życie gromady wracało do normy. Nadal narzekano na gorąc, ale sypiano już w chatach, nie w piwnicach.

Vylet dobiegał końca. Lada dzień kąpiel zacznie się klarować, a wtedy nadejdzie najważniejsze wydarzenie tego *medinocelja* – przywitanie nowych członków gromady. Właściwie jego początek, ponieważ ten proces postępował etapami, sterowany naturalnym zegarem rozwoju dzieci.

Od paru godzin oboje przepisywali podręczniki. Wcześniej Alica znikła na kilka dni. Dzisiaj niespodziewanie pojawiła się, bez słowa usiadła za stołem i wzięła do pracy przerwanej parę dni temu. Trzeba było pisać wyraźnym, równym pismem, by na nowej stronie zmieściła się ta sama liczba linii co na poprzedniej. W schronie pozostawały najnowsze kopie. Poprzednie przeznaczano dla gromady. Stronic nie było wiele.

– Zostaniesz parę dni sama – odezwał się.

Podniosła oczy znad pliku stronic.

– Już nadszedł czas?

– Tak wynika z wyliczenia.

Nie odezwała się.

Nie miał wątpliwości, chciała zejść razem z nim. Zobaczyć budzenie noworodków. Jednak ogniska zakażenia nadal były aktywne, a zaleczonych *krve znam* zamknęło się niewiele.

– Jutro zejść tam sam. Po co masz widzieć trupy, jeśli *vylet* się nie uda? Gdy przebiegł pomyślnie, to takich wizyt będzie więcej. Następnym razem wezmę cię ze sobą.

Dalej udawała, że czyta. Nie usłyszał jej przyzwolenia na samotną wyprawę. Pokręcił się w miejscu.

– Nie chcę cię stracić.

– Wczoraj znowu przysiadłam przy kokonie – powiedziała po chwili.

– To zbyt uczucie.

– Nagle struga czerwonej farby spłynęła z nieba na moje złożone dłonie.

– Malowałaś wtedy?

– Nie. To był taki kielich uformowany z samej barwy, który zwęzał się ku moim dłoniom. Ta farba stale płynęła, właśnie tak opadając na moje ręce.

– Nie byłaś zraniona?

– To wyglądało jak krew, ale ta fontanna lała się w dół, nie w górę. Wchodziła we mnie, a nie wypływała. Potem już jej nie było. To była halucynacja, tak...?

– Przecież wiesz. To była halucynacja. Mówię ci, że od jakiegoś czasu masz halucynacje. Za każdym razem ci mówię.

– To jest choroba? Rozwija się stale?

– Przychodzi falami na ciebie. Są dni, kiedy rozmawiasz normalnie, kiedy indziej jest gorzej albo w ogóle ukrywasz się gdzieś w samotni.

– Szukam Braborki. Sprawdzam, czy nie podstawiła gdzieś Jadóviny, żeby przygotować go do podmiany za ciebie.

– No właśnie. Ich tu nie ma. To jest twoja choroba.

– Pomóż mi, Ajfrid.

Spojrzał na nią poważnie.

– Szukam pomocy całymi dniami. Zetłale papiery rozsypują mi się w palcach. Nie ma opisu choroby duszy.

Znowu zapadło milczenie.

– Pora na oględziny mojego ciała – odezwała się wreszcie.

Dzisiejsze badanie ani trochę nie przypominało codziennej delikatnej pieczyoty i przyjemności, dla której przecież było tylko pretekstem. Ot, suche, staranne przeglądanie skóry. Alica pośpiesznie nadstawiała kolejne fragmenty swojego ciała pod jego czujny wzrok i uważny dotyk. Milczała.

Poprawa była widoczna. Kanalikowych *krve znam* pozostała ledwie trzecia część. Po niektórych zostały ciemne kropki, po innych nawet te kropki zjaśniały. W okolicy reszty wróciło czucie, a wnętrza były bolesne. Sączące zmiany na plecach jeszcze się nie wygoiły, jednak pęknięcia tkanki wypełniły się i skróciły, chociaż nadal gromadziły się w nich czerwone drobinki.

Po badaniu znowu zaszyła się gdzieś w samotni i do wieczora jej nie widział.

Wyruszył przed świtem, by skryć się przed palącym słońcem. W nocy było jednak zimno, a teraz w cieniu zmarzł. Miał nadzieję, że Alica śpi jeszcze, ale się mylił. Nie zszedł nawet połowy zbocza, kiedy zauważył idącą w ślad za nim sylwetkę.

Zatrzymał się. Nie wiedział, co zrobić. Gdy go dogoniła, spiorunował ją wzrokiem.

– Miałaś nie schodzić – powiedział. *Aurairo* należało słuchać. Teraz jednak gniew mieszał się z niepokojem o nią.

– Nie schodzę. Tutaj zaczekam, aż zejdziesz do samego karu. Stąd dobrze widać, gdyby ona chciała ciebie podmienić. Nie pozwolisz się ochronić, to przynajmniej będę wiedziała, jak naprawdę jest z tobą. No idź, idź już.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Alica rzeczywiście została na zboczu. Gdy odwracał się, widział jej nieruchomą i malejącą sylwetkę. Może później zeszła jeszcze nieco, ale zostawiła go samego. Żeby tylko bezpiecznie wróciła do samotni.

W dolinie było gorąco. Ajfrid mijał mieszkańców bez słowa. Ludzie odwracali głowy. Nikt nie okazywał radości. „Uważają, że przyszedłem za późno”, pomyślał Ajfrid. „Lepiej, żeby nie było martwych dzieci w kadzi”.

W pobliżu *vyletan bazina* zgromadziło się kilkanaście osób. Milczeli. „Skąd wiedzą, że dzisiaj jest właściwy dzień?”, pomyślał. „Skąd potrafią przewidzieć właściwy czas? Przecież nikt ich tego nie uczy”.

Zaraz wczuł się w swoją rolę. Tanecznym krokiem, powiewając piórami, podszedł do wrót. Kułakiem trzykrotnie zastukał w drewniane wrota. Odpowiedział mu głuchy odgłos.

Ajfrid uważał, że trochę teatru tylko pomoże. Należało umacniać wagę tej uroczystej czynności. Skomplikowana procedura narodzin mogła łatwo zostać odrzucona przez gromadę, a to byłby koniec wspólnoty.

Z wrażenia niektórzy przełękali ślinę. Ajfrid rozejrzał się po gromadzie. Wzrokiem wyłowił z tłumu Gjacke Ovidana i skinął na niego. *Vedan* nie wziął się do roboty osobiście, lecz wskazał na dwóch mężczyzn, pewnie swoich *zapplecnikav*. Ci podeszli i zaczęli odblokowywać wrota.

Ajfrid zaplótł ramiona i stał zasepiony, w milczeniu wpatrując się w ich wysiłki. Kiedy usunęli barykady i stanęli z boku, wyciągnął przed siebie ramiona, a pióra otoczyły je wijącymi się węzami. Wymyślił to, bo wszyscy spodziewali się ceremonialnych gestów.

W pomieszczeniu *vyletan bazinu* panował półmrok. Gęsta mgła zebrana na mętnych szybach osłabiała blask słoneczny. Było wilgotno, chłodniej, niż się spodziewał. „Żeby tylko nie przemarzli”, pokręcił głową.

Powierzchnia płynu była przezroczysta, klarowna, ciecz zachowała karminową barwę.

Wewnątrz unosiły się nagie ciała martwych ludzi. Ciała były zmienione, zdeformowane: kończyny nienaturalnie cienkie, jakby różowawy płyn wysał z nich zawartość. Na korpusach zaznaczały się wystające żebra, talie zapadły, a niżej ostrymi krawędziami rysowały się kości miednicy. Twarze obu płci upodobniły się do siebie, wychudły, a chciwy płyn jakby splukał z nich indywidualne rysy, nadając przy tym trupiego wyrazu. Skóra ciasno opięła się na kościach, oczy zaś przeciwnie – nie zapadły się, lecz nabrzmiały, wytrzeszczyły, jakby chciały wystrzelić z oczodołów. Kobiety można było odróżnić po chmurach długich włosów, lekko falujących w wodzie, oraz po obrzmiałych piersiach o nienaturalnie wydętej kulistej formie, unoszących się paradoksalnie stromo nad wychudłymi korpusami, jakby chciały oderwać się od swoich właścicielek. Niektóre rodzaje tkanki gwałtownie kurczyły się w czerwonym roztworze, inne nadmiernie chłoneły płyn i karykaturalnie pęczniały.

Dwaj mężczyźni mieli brzuchy wzdęte jak potworne balony. „To Taras i Dmyter”, pomyślał Ajfrid. Pamiętał, że tylko oni wśród *vyletnikov* byli otyli.

Rozejrzał się po pływających w roztworze ciałach kobiet, szukając znanych sobie. „Sirka...? Braborka?” Kobiet nie dało się rozróżnić. Każda z nich na przegubie lewej ręki miała jednak bransoletkę z wypisanym imieniem, co później umożliwi identyfikację.

Wokół ciał unosiły się białawe owalne pęcherze, przez które mętnie przeświecała zawartość.

Ciała *vyletnikov* dawno rozluźniły się, żywe plemniki przedostały się z jąder do roztworu, a wreszcie osiągnęły cel w macicach martwych kobiet. Wkrótce potem, w odpowiedzi, macice przedwcześnie skurczyły się, wydając żywe i nadal rosnące płody, skryte w łożyskach i wciąż połączone z matką paradoksalnie wydłużoną pępowiną. Pępowina osiągała taką długość prawdopodobnie dlatego, że łożysko unosiło się swobodnie w cieczy. Także dzięki temu, a może na skutek przedwczesnego odklejenia łożyska, swobodnie wzrastająca pępowina perforowała jego powierzchnię i wytwarzała swoją osmówkę w ścianie półmartwej macicy. A może w zapiskach mylono się i łożysko nie odklejało się całkowicie, lecz rozwarstwiało, a jego zewnętrzna warstwa nadal pozostawała przyrośnięta do ściany macicy?

Obecnie nad ciałami martwych rodziców na nitkach pępowin unosiły się, jak białawe baloniki, pęcherze z dziećmi. Zmienione łożyska były cienkie, półprzezroczyste, niby galaretowate i kuliste *ovaja* zniesione przez *stjegan smyja* czy *poroka*. Wiele unosiło się tuż pod powierzchnią płynu. Na szczęście żadne z nich nie wystawało ponad powierzchnię, co ochroniło łożysko przed wysuszeniem i pęknięciem.

Ajfrid miał samodzielnie przystąpić do zbioru. W czasie zeszłego *vyleta*, jako *pticzjak*

auraio, tylko asystował Drevanej Auraicy. Pęcherze różniły się wielkością – wiele z *ovajav* było jeszcze niedorostłych, za małych. Dwanaście wyróżniało się: były duże, okazałe, zbliżonych rozmiarów i w przeciwieństwie do pozostałych, pływały przy samej powierzchni.

Sięgnął po najbliższy z nich i wolno przyciągnął do siebie. Ciało w głębi roztworu poruszyło się – martwa matka zęgną się z dzieckiem.

Ajfrid najpierw przeciął sznurek pępowiny, a następnie ujął pęcherz w obie dłonie i uniósł nad powierzchnię. Błona pękła, a wody płodowe wylały się do basenu. Ajfrid ujął lekko niemowlaka, odwrócił głowę w dół i wymierzył mu lekkiego klapsa. Rozległ się płacz dziecka. Jako pierwszy *obudził się* chłopiec. Odpowiedział mu okrzyk radości oczekujących na zewnątrz *vyletan bazina*. Ajfrid wyniósł dziecko w ramionach i podał jednej z kobiet, a następnie krótko zawiązał pępowinę i odciął jej nadmiar. Wszyscy cieszyli się, zachwycali maleństwem. Witali nowego członka gromady.

Wrócił do *vyletan bazina*. Przyciągnął ku krawędzi basenu następny pęcherz. Pępowiny poprzedniego i tego pęcherza wiodły ku ciału tej samej kobiety, leciutko poruszanej ruchem płynu. Teraz błona pęcherza pękła wcześniej, widać już zaczęła zanikać. „Przenoszona?” zdziwił się. Nic złego się jednak nie stało. Mała dziewczynka uradowała wszystkich swoim płaczem.

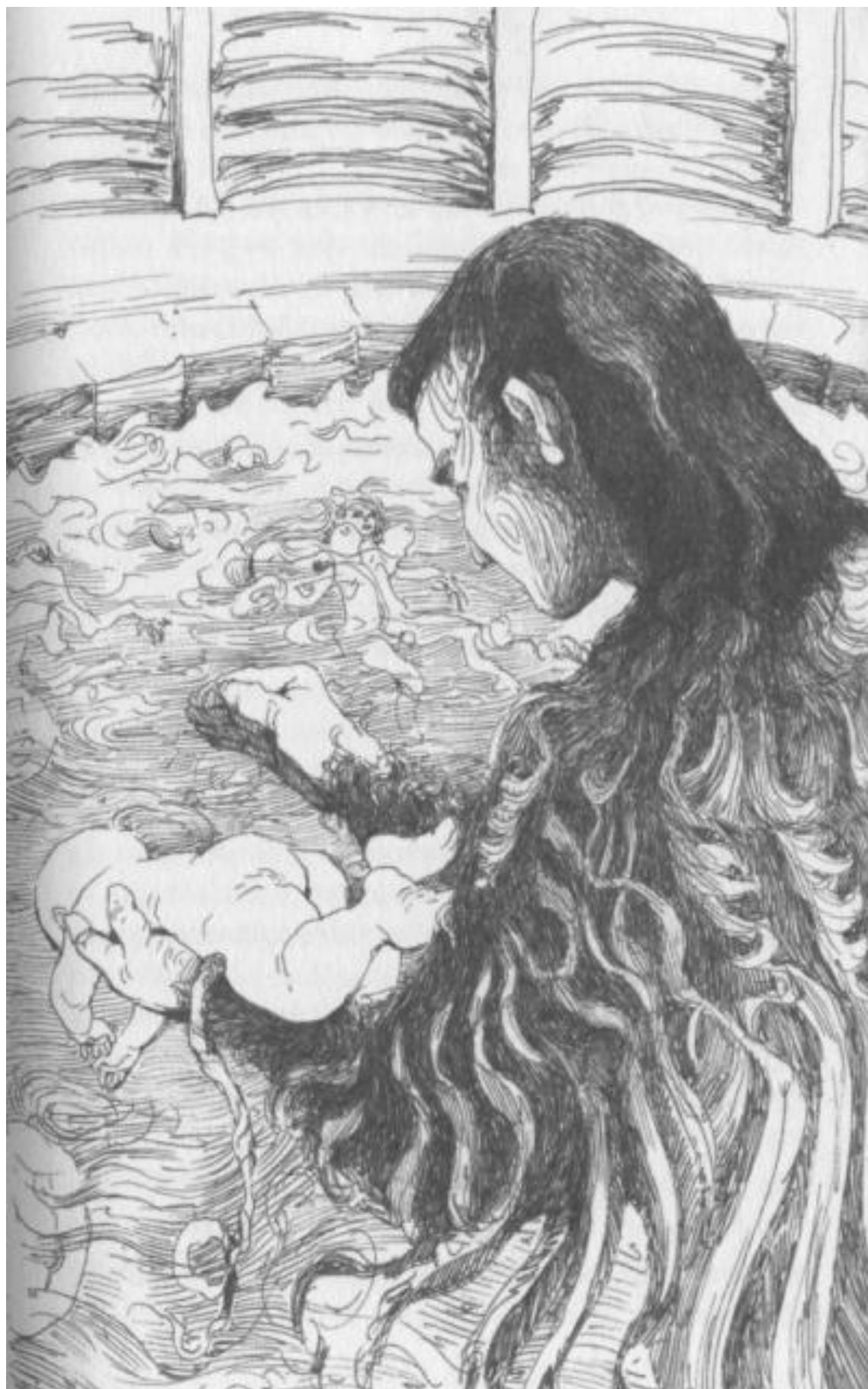
Jeszcze cztery pęcherze można było dosięgnąć z brzegu. Ajfrid po kolei *zbudził* czworo zdrowych dzieci. Te cztery pochodziły od jednej kobiety. Po następną grupkę trzeba było wejść do środka. Westchnął, ściągnął sandały i wstawił nogę do płynu. Ani piórom to nie zaszkodzi, ani kąpieli. Starał się tak stapać, by na kogoś nie nadepnąć. Niestety, ręce były ledwo widoczne. Kilka razy się pośliznął na czyjejś dłoni. Ciała poruszały się w rozfalowanym płynie, jakby chciały Ajfrida wciągnąć między siebie. Wolno holował wybrany pęcherz ku brzegowi basenu, jednak pępowina miała ograniczoną długość. Musiał ją wcześniej ściąć. Również to dziecko urodziło się zdrowe.

Wkrótce przestał zwracać uwagę, że depcze po trupach. Uważał tylko, żeby nie uszkodzić któregoś z mniejszych, niedojrzałych pęcherzy. Unosiły się one niby promieniami gwiazd wokół kobiet i trzymały głębiej w cieczy. Starał się przesuwając ciała tak, aby pozostałe pęcherze mogły bardziej zbliżyć się do powierzchni. Za każdym razem zzuwał buty, wchodził do basenu, wyławiał pęcherz płodowy, budził dziecko, ostrożnie przechodził na skraj basenu i wychodził zeń, nakładając buty. Szło to wolno, ale mieszkańcy osady cierpliwie czekali na każde nowe maleństwo. Wszystkie były żywe. Gromadzie przybyło dwanaścioro dzieci. W roztworze pozostało jeszcze bardzo wiele pęcherzy.

Częściowa śmierć w życiodajnym płynie umożliwiła kobietom o zbyt wąskich

otworach w miednicach poród i wydanie na świat żywego potomstwa.

Gjacke rozdzielił nowe dzieci uradowanym opiekunkom. Czy tym razem przybędzie więcej mieszkańców, niż ich ubyło?



Ajfrid jeszcze raz sprawdził, czy w basenie nie pozostało jakieś dojrzałe *ovajo*, i polecił zabarykadować wrota. Wypłukał zmoczone pióra, zebrał nadmiar wody i zszedł do piwniczki.

Jeszcze tego samego dnia wyruszył do samotni. Cieszył go udany *vylet*, ale dręczył niepokój o Alicę. Do czego jest zdolna, pozostawiona sama sobie?

Droga pod górę dłużyla się. Im wyżej, tym było zimniej. Ajfrid szedł zatopiony w myślach. *Vylet* wyglądał niedobrze. Zbyt wiele pęcherzy było małych, niewyrośniętych. Nie zdążą dojrzeć przed *noceljam*, a wydobyte z nich dzieci nie utrzymają się przy życiu. Nowy *nocelj* przywita mniej ludzi niż poprzedni.

Na Prevaj wyszedł, zanim słońce schowało się za graniami.

Alica stała obok stołu na przełęczy. Nie usiadła, bo przecież stół został podmieniony.

– Ile ich było? – spytała.

– Obudziłem pięciu chłopców i siedem dziewczynek, ale będzie ich więcej.

– Słyszałam okrzyki radości.

– Stąd słyszałaś?

– Tak. Dziewięć razy.

– Było dwanaście okrzyków.

– Może kilka okrzyków uniósł wiatr.

Znowu go zmusiła, by wziął udział w narzuconej przez nią grze pozorów i ułudy.

– *Ovajav* jest jeszcze wiele – powiedział. – Będzie ze trzydzieści gron. Pęcherzy w nich dużo, najmniejsze na pewno nie zdążą dojrzeć, ale przybędzie dość ludzi, żeby wspólnota przetrwała przynajmniej ze dwa *nocelja*.

52.

Następny zbiór powinien wypaść dwadzieścia osiem dni po pierwszym. Jednak Ajfrid uznał, że zapiski o zestrojeniu się czynności półmartwych ciał kobiet w *vyletan bazinu* mogą nie być dokładne i postanowił zejść do doliny już w tydzień później.

Alica siedziała w bibliotece. Coś czytała w świetle lampy olejnej. Nie odezwała się, skinęła tylko głową, gdy się zegnał. „Demonstracja? Przecież jeszcze słońce nie wzeszło”, pomyślał. „Nie zdarza się jej praca przed świtem”.

Mylił się. Od dwóch dni, kiedy blask przedświtów dopiero oznajmiał nadejście dnia, Alica wstawała i brała się do pracy. Dręczyły ją koszmarne sny. Nie mogła dospać. Gdy nie zerwała się ze snu przed świtem, cały dzień czuła się fatalnie. Szarpała ją tęsknota i lęk, którego przyczyny nie знаła. W duszy kłębiły się gęstsze chmury niż te skrywające granie.

Mrok rozpaczy odsuwał poczucie natrętnej obecności Braborki i Jadòviny.

Kiedy Ajfrid wyszedł bez słowa, podniosła za nim oczy. Akurat czytała memoriał opisujący *vylet* oraz następujące po nim zbiory. Dawny *auraio* zalecał częste sprawdzanie *vyletan bazinu*, cóż, skoro ona bała się samotności. Jednak nie zaprotestowała, że znowu poszedł do doliny.

Ajfrid schodził szybko, ale zwolnił, gdy pośliznął się na przezroczystej polewie lodowej. „Pierwszy przymrozek”, pomyślał. Dalej szedł ostrożniej, przytrzymując się barierki.

Im niżej, tym cieplej. W osadzie snuli się ludzie. Jeszcze było znośnie i wykorzystywano to na prace gospodarskie. Upał południa znowu zapędzi wszystkich do chłodnych piwnic.

„Nigdy nie zaczną ze mną rozmawiać?”, pomyślał, gdy ktoś odwrócił wzrok. „Czego mi zazdroszczą...? Za co nienawidzą?” Może po prostu szedł za szybko, zgarbiony, pogrążony w myślach.

Dalej więc podążał tanecznym krokiem, machając ramionami, by pióra falowały jak płomienie czy układające się na wietrze w zwiewne pasemka liście *vimuha*, a tor jego przemarszu nie był prostą linią. Im bliżej celu, tym staranniej powtarzał rytualne ruchy. Wystarczyło. Mieszkańcy zatrzymywali się, patrzyli z uznaniem, niektórzy uśmiechali. Potrzebowali niezwykłości, cudowności, a może po prostu Ajfrid wyglądał w tańcu *vatran auraio* malowniczo i atrakcyjnie. Budził szacunek. Niewielu pamiętało go z czasów, zanim został barwnym cudakiem. Niektórzy czuli do niego niechęć, inni respekt przed jego wiedzą i doświadczeniem, jednak nikomu nie przysłoby do głowy, że jego decyzje można kwestionować. „Może Drevana Auraica nie była tak stara, jak kiedyś myślałem?” pomyślał. „Była przecież ode mnie starsza ledwie o trzy *nocelja*. Teraz nawet Alica jest już starsza od każdego z nich”.

Vyletan bazin czekał odbarykadowany – wieść o przyjsciu *auraio* dotarła tu wcześniej. Ajfrid umył ręce i nogi i przestąpił próg pomieszczenia dla *vyletnikav*. Warto było dzisiaj tutaj zajrzeć. Cztery pęcherze, kapsuły transportujące na świat nowych członków społeczności, unosiły się przy samej powierzchni. Nie musiał nawet wchodzić do cieczy. Jeden po drugim ścinał *ovaja* jak białawe opalizujące owoce, przez które prześwitywał z wnętrza mały podróżnik. Trzy zdrowe dziewczynki i jeden rozwrzeszczany chłopiec. Łatwe przyjscie na świat i brak powikłań porodowych był dla tych dzieci rekompensatą za to, że nigdy nie zobaczą swoich rodziców, bo przyszły na świat kosztem ich śmierci.

Potem wszedł do basenu. Spróbował przemieścić podpływające ciała tak, aby większe

pęcherze mogły zbliżyć się do powierzchni. Zbyt wiele było małych kapsulek, nie dających nadziei, że podróżnicy zdążą dorosnąć przed nadchodzącym *noceljam*. Możliwe, że zapłodnienia nadal zachodzą w tym płynie, chociaż ich wynik jest skazany na niepowodzenie. „Które z tkanek *vyletnikav* jeszcze działają?” pomyślał, wyciągając za cienką rękę ciało jakiejś kobiety spod sterty innych. Na środku basenu był jeszcze jeden dojrzały pęcherz. Znowu chłopiec.

Dzisiaj przybyły gromadzie nowa Sirka i nowa Gata. Skoro akurat takie imiona wybrali, zaproponował, żeby trzeciej dziewczynce nadali imię Alica, ale Gjacke postanowił, że będzie Smeljka. Chłopcy dostali Gofrijd i Jonczillo.

Gjacke był dzisiaj bardzo przejęty. Zamiast cieszyć się z nowych ludzi, wspólnota żyła smutnym wydarzeniem, niemającym precedensu. Oto jedna *czetrinocljnica*, Marijka, dziewczyna spokojna, skryta i poważna nad wiek, popełniła samobójstwo. To była rzecz niebywała. Marijka wspięła się na skały nad progiem wiszącej dolinki i skoczyła z nich w przepaść. Widziały to jej koleżanki, więc nie było wątpliwości, że to nie wypadek, lecz samobójstwo. Dziewczyna chwilę stała na cyplu skalnym, nagle rozłożyła ramiona, jakby chciała pofrunąć, i skoczyła w otchłań. Jej zmasakrowane ciało znieśli do doliny i pochowali zaszyte w płótno. Nikt nie umiał znaleźć przyczyny.

Ajfrid podejrzewał, że Marijka została dotknięta tą samą dolegliwością duszy co Alica, jednak milczał, nie chciał przedwcześnie ujawniać własnych problemów. Nie zatrzymał się w Matcinaj Dolane, lecz zaraz ruszył w drogę powrotną. Było jeszcze upalnie, ale im wyżej, tym szło się lepiej.

Wspinając się z karu, wydawało się, że dostrzegł małą sylwetkę ludzką na Prevaju. Alica chodziła po przełęczy. Wyżej piarżyste zbocze zasłoniło mu widok.

Pod samym Prevajem obserwował, jak słońce chowa się za granie. „Sporo go już ubyło”, pomyślał, obserwując tarczę spod przymrużonych powiek. „Ależ ono szybko zmierza w powrotną drogę”. Był właśnie siedemdziesiąty drugi dzień sierpnia. Punkt zachodu przesuwiał się z powrotem niemal z dnia na dzień, jakby wspinał się na kolejne szczyty na horyzoncie, w mozolnej wędrówce w lewo. „Teraz zmiany długości dnia są najbardziej widoczne, chociaż o naszym życiu naprawdę decyduje wielkość tarczy słonecznej. Z każdym dniem słońce jest już mniejsze”.

Droga z Matcinaj Dolany nie zajęła wiele ponad cztery godziny. Na przełęczy Alicy nie znalazł. Pomyślał, że znowu zaszyła się w jakimś zakamarku i trzeba jej będzie szukać.

Nie miał racji. W największej sali, w jadalni, w półmroku na jadalnym stole zobaczył omdlałą, nagą Alicę, która zwiisała nieprzytomna, z rękoma uniesionymi do góry i

skrępowanymi rzemiennymi pasami, umocowanymi do haka na suficie. Jej ciało bezwładnie wisiało na ramionach, częściowo opadając na blat. Twarz skryła się w fali opadających włosów. Na podłodze leżała rozrzucona w nieładzie spódnica, kubrak, bluzka i *pelven namotanec*. Na stole leżał nóż do sadzenia piór.

Podbiegł do niej przerażony. Jej stan ostatnio poprawił się, halucynacje ustąpiły. Teraz jednak stało się coś niedobrego. Bał się, czy ona żyje. Miała zimną skórę. Na szczęście oddychała.

Wdrapał się na stół i chwycił ją za ramiona, próbując wyswobodzić z rzemieni. Skórzane opaski były szerokie, ale głęboko odcisnęły się w skórze przedramion. Wąskie rzemienie tylko spletało, a nie powiązało, i łatwo dały się zsunąć. Ułożył ją na wznak na stole. Oprócz sinych otarć nie miała żadnych obrażeń. Lekko skropił jej skronie wodą.

Otworzyła oczy. W jej spojrzeniu mieszał się ból z podejrzliwością.

– Co się stało? – spytał z niepokojem. Patrzyła na niego z przerażeniem. – To ja, Ajfrid. Nie poznajesz mnie?

– Nie czuję ramion. Zupełnie mi zdrętwiały. Rozmasuj je.

– Co się tutaj stało, kiedy zostawiłem cię samą?

– Przecież wiesz.

– Przestań! Ja nic nie wiem. Opowiedz wszystko.

– Przykryj mnie czymś, bo wstydzę się leżeć naga. Nie chcę, żebyś tak na mnie patrzył.

„Teraz się wstydzisz?”, pomyślał. Z drugiej strony, wraca wstyd, wraca normalność. Może właśnie choroba słabnie.

Odrętwienie zaczęło przechodzić. Masował jej ramiona i przedramiona. Alica syczała, wiła się, ale gdyby dłużej wisiała ze skrępowanymi ramionami, obrażenia byłyby większe. Wydawało mu się, że widział ją stosunkowo niedawno, tuż zanim wspiał się do samotni. Na pewno chodziła po Prewaju.

– Dlaczego rozebrałaś się do naga?

Alica była zdolna do najdzikszych wyczynów, jednak starannie dozowała widok swojego ciała obcym oczom. Może dlatego stale myślał o jej ciele.

– To nie jest mój kubrak ani spódnica. Zostały sfalszowane. Braborka mi wszystko podmieniła. Nie mogę w tym chodzić, bo mnie coś zakazi.

– Będiesz chodzić nago...?

Uważnie spojrzała na niego.

– A powinnam?

Nie odezwał się. Ostatecznie mieszkali tu oboje w zupełnej samotności, więc jeśli uznała, że podmieniono jej całą odzież...

– Niedoczekanie twoje.

– No to co się tutaj stało?

– Wróciła Braborka.

Westchnął.

– Wróciła, kiedy poszłam na spacer po grani. Dzień słoneczny, nie chciałam stale chować się w samotni. Wtedy Braborka zaczęła mówić do mnie. Chciała koniecznie, żebym wróciła i wyszła na koniec rampy na Bezładnu Dolanu. Kiedy tam poszłam, zaczęła mnie przekonywać, żebym skoczyła w przepaść. Powiedziała, że nic złego mi się nie stanie, bo Kostor jest głęboki. Nabiorę ładnej, świetlistej, zielonej barwy i będę ci się bardziej podobać, bo sam jesteś w kolorowych piórach.

Dotąd Alica bała się śmierci. Jej dolegliwość powodowała, że obawiała się wymaganych przeciwników, którzy chcieli jej zaszkodzić, jednak mocno trzymała się życia. Tendencje samobójcze były nowością. A dzisiaj miał też na świeżo tragiczne wiadomości z osady. „Trzeba będzie jej teraz starannie pilnować”, pomyślał.

– Dobrze, że nie spróbowałaś tego skoku. Rozbiłabyś się w przepaści.

– Dobrze o tym wiedziałam. Braborka od dawna coś knuje. Widziałeś ten gwiazdzisty nóż?

– To nóż do sadzenia piór.

– Długo obserwowałam, jak ona powoli, stopniowo czyści go ze rdzy, a potem ostrzy. Był schowany w ciasnym zakamarku składzika, ale go znalazłam. Co jakiś czas rdzy na nim ubywało i stawał się coraz ostrzejszy.

„Powiedzieć jej, że to ja go ostrzyłem...? Albo pomyśli, że dybałem na nią, albo uzna, że próbuję kryć Braborkę”.

– Przypomniałam sobie o tym nożu i przestałam jej słuchać. Wróciłam do samotni. Po drodze zauważyłam, że zdążyła już podmienić moje ubranie. Nie mogłam poznać ani spódnicy, ani kubraka. Barwy były ciemniejsze, pulsujące. To zrobiła ona albo Jadovina. Nie wiem, które z nich. Nie zdążyłam sprawdzić, czy wydobyl się już z kokona. Zrzuciłam sfałszowane odzienie, żeby się nie zakazić, i przywiązałam się do haka na suficie, żeby mnie nie zwlekła w przepaść, kiedy zasnę.

– Ręce ci zdrętwiały od tego.

– Potwornie. Bo rzemień był za krótki. Ale mogłam bezpiecznie zasnąć. Jestem zmęczona. Nie spałam od trzech nocy, bo chciałeś zejść do Matcinaj Dolany. Obawiałam się,

że podmieni cię Jadovina. Chciałabym jeszcze pospać.

– Tutaj?

– Tak samo. Przywiąż mnie do tego haka i tak splątaj rzemień, żeby go nie zdołała rozwiązać.

– Znajdę dłuższy rzemień, żebyś mogła normalnie leżeć na stole.

– Dobrze.

– Nago będzie ci zimno.

– To połóż w pobliżu koc, żebym się mogła przykryć, jak zmarznę.

– Podścielę ci drugim, żeby przykryć deski.

53.

Urbanec patrzył za dziećmi wybiegającymi po lekcjach na dwór. Musiał uczyć ich rzeczy, w które sam nie wierzył. Był przekonany, że jego spostrzeżenia są trafniejsze niż wiedza z podręcznika. Polecenie *vedana* związało mu usta, zmusiło do skrywania własnych opinii, jednak znalazł rozwiązanie.

Myśl pobiegła w inne rejony. Przed oczyma stanęły mu wielkie, wilgotne czarne oczy. „Głupia ta Marijka. Jak mogła tyle stracić? Życie chciało jej dać przecież tak wiele, a ona mu odmówiła”.

Westchnął, zapalił kaganek i rozłożył kilka czystych kart papieru, które pozostały po pracy z uczniami. Przyniósł gliniany kałamarz pełen dobrego, tłustego tuszu i usiadł za stołem. Zanurzył w kałamarzu zaostrzone źdźbło i wziął się do pracy. Wymyślił te zdania wcześniej. Wielokrotnie powtórzył je w myśli, a teraz tylko notował.

„Zarówno pion, jak i poziom są kierunkami wyróżnionymi w naturze. Poziom określa lustro wody w naczyniu, pion zaś wyznacza kierunek kamienia wiszącego na nici *poroka*. Każdy może powtórzyć ten pomiar i w każdym miejscu Matcinaj Dolany stwierdzić, jak biegnie pion oraz wytyczyć poziom. To są kierunki oczywiste, wyznaczone w naturalny sposób, który w nikim nie budzi wątpliwości”.

Przyjrzał się napisanym zdaniom. Przeczytał je uważnie, sprawdził, jak brzmią wymawiane głośno.

– Muszę pisać na papierze ukradzionym uczniom... – mruknął do siebie. – *Aurai* kontrolują nawet to, co wolno nam zanotować.

„Oto gdziekolwiek powtarzałem ten eksperyment, a byłem zarówno ponad Dvi Uravam, jak i raz dotarłem daleko w dół Zatròvati Ljucav, oba te kierunki można było wyznaczyć w taki sam sposób”, Urbanec pisał dalej, mozolnie skrobiąc na szorstkiej

powierzchni literę za literą. „Ani pion nie odchyłał się w bok, ani tafla wody w naczyniu nie była nachylona względem pionu, co sprawdziłem, porównując ze wzorcem kąta prostego. Oznacza to jasno, że ziemia nie jest kulą, jak opisano w podręczniku, ani żadną inną wypukłą czy też wklęsłą bryłą. Bryłą wklęsłą jest forma Matcinaj Dolany, co wynika wyłącznie z obecności otaczających ją grani”.

Chwilę zastanawiał się, czy ostatnie zdanie jest potrzebne. Czy ktoś nie stwierdzi, że dzieło jest mniejszej wagi, jeśli przypomina się w nim rzeczy znane. Nie wydrapał jednak tych słów.

„Skoro ziemia nie jest ani bryłą wypukłą, ani wklęsłą, to z tego niezbitnie wynika, że musi być płaska.

Vatran Auraio, zapytany przeze mnie o widok z Prevaja, powiedział, że widać niezliczone granie górskie, z pewnością ograniczające wiele nieznanych dolin. Gdyby ziemia była kulą, to albo nie byłoby widać żadnej innej grani, albo co najwyżej tylko niewiele, te najbliższe.

Głównym wnioskiem wynikającym z moich badań jest to, że wolno wyruszać w dalekie wyprawy, gdyż nie grozi to upadkiem w otchłań. Powinniśmy poznawać jak największe obszary. Może uda się odkryć żyźniejsze doliny niż Matcina? To, że Bezladna Dolana nie nadaje się do zamieszkania, nie oznacza, że wszystkie inne doliny są podobnie niegościnne”.

Skończył notować swoje spostrzeżenia, ale dalej nie wiedział, co z nimi zrobić. Komu je przekazać? Gjacke Ovidan już raz wyśmiał jego poglądy, może kazać je zniszczyć. Nikt inny nie zrozumie tego wyводу. Ukryć jako depozyt dla następców? Najściślejsza tajemnica Matcinaj Dolany, skryta przed cudakami ze schronu? Może jakiś następny nauczyciel zainteresuje się jego odkryciami, jeśli ktoś równie zdolny jak on się narodzi?

„Nikt tego nigdy nie zobaczy, bo papier rozsypie się w ciągu jednego *nocelja*, najwyżej w ciągu dwóch”, pomyślał.

Ciężko westchnął i ciasno zwinął obie karty w rulon.

54.

Jeszcze kilkakrotnie Ajfrid schodził do Matcinaj Dolany. Za każdym razem zostawiał nagą Alicę leżącą na stole w głównej sali. Żądała, by krępował jej przeguby rąk. Bała się wyimaginowanej Braborki. Mówiła, że nie chce popełnić samobójstwa, lecz Ajfrid tłumaczył sobie jej obawy jako tłumioną, lecz stale wracającą skłonność właśnie do samobójstwa. Zrobił jej długie na parę metrów taśmy krępujące, żeby w czasie wielogodzinnej samotności mogła

dotrzeć do toalety. Alica jadła coraz mniej. Każdą kulkę *jedal drava* uważnie oglądała przed spożyciem. Wybierała co trzecią, co piątą. Nie zaglądała się jeszcze, lecz jej kształty nieco się wyostrzyły. O czym myślała, godzinami leżąc naga na wznak i wpatrując się w szarą łuskę *ljuszturu* pokrywającą dach samotni, było jej tajemnicą. Gdy wracał, nie spała, patrzyła w sufit. Ostatnio przestała spać w ogóle, a przynajmniej tak twierdziła. Za to *krve znama* na jej ciele goiły się szybko.

W *vyletan bazinu* Ajfrid zebrał jeszcze dwadzieścia cztery *ovaja* z nowymi dziećmi. Tylko dwa z nich były martwe, ale reszta przyniosła ze sobą radość, stała się nowymi członkami wspólnoty, *prednoclnikama*. Jeszcze wiele pęcherzy-jaj unosiło się w toni na długich szypułkach pępowin. Były one jednak małe, niedoroste. A przecież nadchodziły przeraźliwe mrozy mrocznego *nocelja*. Te dzieci nie zdążą się już urodzić. Dawniej pozostawiano kąpiel nawet po święcie zbiorów i przenosin, ale *vyletan bazin* stygł z każdym dniem, a ciała *vyletnikav* ciemniały. Niektóre z nich otaczała aureola odchodzącej od ciała skóry. „Tylko trzydzieścioro ośmioro przybyło”, pomyślał zatroskany Ajfrid. „Ilu z nich przetrwa pierwszy *nocelj*? A ilu dotrwa do *vyletu*?”

Ajfrid znów zeszedł do Matcinej Dolany. Zamyślony, nagle zatrzymał się, bo na jego spotkanie biegło kilka niedużych *porokav* na tylnych odnóżach. Roześmiał się do swoich myśli.

Z *garady trinoclnikav* wybiegło kilka dziewczynek, poprzebieranych w czarne włochate stroje z dodatkowymi rękawami puszczone od ramion do łokci, wypchanymi suchą trawą, oraz z dodatkowymi nogawicami od bioder do kolan, też tak wypełnionymi, aby wyglądały jak dodatkowe odnóża. Niektóre miały czerwone i żółte pasy na rękawach i na nogawicach, ale w większości strojów te kolory wyblakły. Ćwiczyły taniec *poroka* na zbliżające się święto zbiorów, *pazdnek sbirky*, i dumnie wybiegły w przebraniach na drogę. Uśmiechnął się do nich, kiedy roztańczone pobiegły w górę wsi.

– *Veljak auraio! Auraio! Auraio!* – dobiegły go ich krzyki. Z bliska nie odważyły się go przedrzeźnić. Po chwili przestały, zainteresowało je co innego.

Zaraz za nimi wybiegły większe dzieci. Starsze dziewczynki miały stroje *poroka* bardziej kolorowe: całe w żółceniach i czerwieniach, tylko z akcentami czarnymi.

Niektórzy chłopcy mieli stroje, w których ramiona połączono tkaniną z bokami ciała i nogami, a na dodatek podoszywano do nich wiele giętkich łądyg, ufarbowanych na żółto, czerwono lub czarno. Ci byli w strojach *auraio*. Inni nieśli latawce przypominające kształtem postać ludzką z powiewającymi bardzo długimi piórami. Rozbawiona hałastra pognęła w górę doliny. Stare latawce nie przetrwały *nocelja*, nowym brakowało czerwieni. Zabarwiono je na

czarno, a pióra na ochrową żółcień.

Ajfrid zaszedł do *vyletan bazinu*. Nowe *ovaja* przestały się rozwijać. Miały z reguły kolor fioletowowiśniowy, żadne z nich nie pojaśniało, żadne nie podrosło. Wszystkie były drobne. Proces zatrzymał się. „Tego *medinocelja* zbiór skończył się szybko. Nikt już nie przybędzie wspólnocie. Można basen osuszyć i znowu przeznaczyć do wyrobu mlecznego wina albo sera. Smutne to”, pomyślał. Kąpiel straciła charakterystyczny zapach, w zamian czuć było ostry sztych moczu. To był oczywisty objaw rozkładu.

Dla pewności wszedł do basenu. Wyłowił każdy z niedorosłych pęcherzy. Uniesione ponad wodę, śmierdziały moczem. Gdy pękały, rozchodził się smród acetonu. W czterech *ovajav* znalazł martwe embriony. Jedno dziecko miało trzy pary nóżek, chociaż nierównej długości i nie w pełni uformowanych, inny chłopiec – dwie pary równych i proporcjonalnych nóżek, jedna para za drugą. U jeszcze innego dziecka rozwijały się dwie pary rączek oraz dodatkowa prawa nóżka. Zwielokrotnione kończyny były chude i źle uformowane. Kolejne miało aż cztery pary zgrabnych, proporcjonalnych rączek, ale – podobnie jak pozostałe dzieci – też było martwe, a piąte z nich, chociaż zbudowane całkiem normalnie, było niewyrośnięte, malutkie i tak rozłożone, że rozpadło mu się w dłoniach na kawałki. Coś ukłuło go w serce. Fragmenty małego ciała zniknęły pod powierzchnią płynu. Ze wszystkich pozostałych pęcherzy wylała się cuchnąca moczem lub acetonem mętna ciecz.

„Człowiek też próbuje się przystosować do tutejszych warunków, ale bezskutecznie. Tylko późne dzieci próbują tego, a jeśli *ovajo* rozwija się wcześniej, zdąży dorosnąć *ve bazinu* i zachowuje tradycyjną formę. Bezpośrednie zagrożenie zmusza istotę ludzką do przemiany wymaganej przez Matcinu Dolanu. Jest możliwe, że dalsze pokolenia ludzi będą miały kończyny zwielokrotnione, po kilka poprawnie uformowanych par rąk czy nóg. Jak ta ładna, martwa dziewczynka, *devijka*”, pomyślał Ajfrid. Odnosił wrażenie, że ta obserwacja jest odkryciem, które warto byłoby przekazać *priljetatjeljam*. By Matcina Dolana wniosła coś do wspólnego dorobku, co można by dodać do podręczników zoologii w odległych *dolanach*. „Ach, gdyby przyleciał jaki *smyj*. Ileż wątpliwości wyjaśniliby *priljetatjelja*, ile nieznanych rzeczy by nam ujawnili... A tutaj jedynym świadectwem kontaktu jest tylko krusząca się czaszka...”

Jego pracy przyglądał się *vedan*.

Ajfrid wy dostał się z basenu i zebrał dłonią ciecz z piór.

– Już wszyscy przybyli? – spytał Gjacke Ovidan.

Ajfrid smutno skinął głową. Nie było wątpliwości.

Oznaczało to, że powinien zostać w dolinie dłużej. „Jak długo Alica wytrzyma tam

skrępowana?” pomyślał.

– To już koniec – powiedział. – Można zlikwidować *vyletan bazin*. Pozostało tylko ocalić pamięć *vyletnikav*.

– Mało nas przybywa, z każdym zbiorem mniej.

Ajfrid pokiwał głową. „Wszyscy już to widzą”, pomyślał.

„Do jakich wniosków dojdą tu na dole w czasie *nocelja...*?” W czasie długich miesięcy bezruchu w otępionych narkotykami głowach kłuły się najdziksze pomysły.

– Co zrobić z *nezradilcama*? – spytał Gjacke.

– Dawniej uważano, że ludzie powstali w *jedal dravam*. Wszystkich *vyletnikav* umieszczano w wydrążonych pniach *jedal drava*. Teraz, kiedy nie starcza *jedal drava* do wyrobu mąki, drażymy dla nich *kazeti*. Jak się nie rozpadną, to każdego dać do własnej *kazeti*. Oni chcieliby do nas dołączyć.

– Można by ich wsadzić w pnie *gazowa drava*. Wydrążyć kilka drzew z kępy nad *Prvni Uravam*. Nie ścinać ich.

– Tak też być może. „Dlaczego nie chce umieścić ich z innymi? Obawiają się, że to sprowadzi nieszczęście na gromadę?”

Na wieczór wrócił do samotni na *Prevaju*. Alica drzemała. Po raz pierwszy od dawna widział ją śpiącą. Wyplątał jej przeguby z więzów i przykrył ją ciepłym pledem.

55.

Alica spała do rana. Nie zaprotestowała, kiedy oznajmił, że razem zejdą do *Matcinaj Dolany*. Dłużej przecież niż parę godzin w więzach leżeć nie mogła. *Krve znama* się wzmocnią, ale może niewiele. W piwnicy pod *vyletan bazinam* trzeba będzie przespać noc, może dwie czy nawet więcej. Dużo pracy.

Wzięła ze sobą kanciasty pakunek zawinięty w płótno. Nie powiedziała, co jest w środku. „Może *Jadòvina*?”, pomyślał ironicznie.

Długo szli bez słowa. Słońce dogoniło ich na progu kotlinki.

– Prawie zapomniałam, jak wygląda osada – odezwała się wreszcie. – Te domki to wielobarwne zabaweczki. Paski, kratka, tyle brązów i czerwieni. Każdy z domków jest inny.

– *Auraica* powinna lubić osadę – mruknął.

Wzruszyła ramionami.

Zostawił ją w chłodnej piwniczce pod *vyletan bazinam* i przykrył kocem. W dolinie było już gorąco, ale pod ziemią panował przyjemny chłód i mrok.

– Zgasić lampkę oliwną?

– Zostaw zaświeconą. Czuję się tu samotnie.

„Na gorze nigdy tak nie mówiła”, pomyślał.

– Brakuje powietrza – dodała.

– Boisz się zamknięcia w ciemności?

– Tak.

– Muszę zamknąć drzwi, bo zrobi się za ciepło.

– Niech będzie.

Gjacke sprowadził ludzi pod *vyletan bazin*. Kobiety zerknęły do ciemnego wnętrza.

– Przygotowaliście *kazeti*? – spytał Ajfrid.

– Jest ich dosyć. Wycieliśmy trzydzieści sześć kaset. Znaleźliśmy cztery *maljke kazeti* na niedoleciałych do nas. Dorobi się jeszcze ze trzy.

– Było tylko *tridca czetri vyletnikav. Dve kazeti ostanas*.

Gjacke wzruszył ramionami.

– Jedna zostanie na mnie. Reszta na kogoś innego. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Najpierw przynieśli *maljke kazeti*, wydrążone kawałki pniaczków, do których dorobiono pasowne wieka. Ajfrid wyłowił z kąpieli martwego embriona i troskliwie ułożył w dłubanej trumience. Ktoś dzbanem dolał do pełna płynu z *vyletan bazinu*, kto inny przyłożył wieko i starannie obwiązał łykiem. Następnie w taki sam sposób pochowano drugiego martwego człowieczka. „Wam się nie udało” pomyślał Ajfrid.

Uważano, że w miarę jak woda wolno sączy się na zewnątrz przez pory pniaka, zanurzone ciało powoli schnie i później nie pęka tak łatwo. Ajfrid był innego zdania. Kazał ośmioręczną dziewczynkę i chłopca o dwóch parach normalnych nówek włożyć do suchej kasety. Uznał, że reszta ciał zostanie zmarnowana, a ocaleją tylko dwa wybrane przez niego. Czuł, że ciała tych dzieci należy zachować jak najdłużej. Kiedyś ktoś może zechcieć okazania dowodu zmian.

Wokół basenu zakrzętnęli się ludzie. Jego zawartość czerpano do glinianych dzbanów, a potem wylewano do Styrmana. Kuba Drewar przyniósł na plecach drewnianą trumnę. Taką samą jak te maleńkie, tyle że wydrążoną z grubego pnia. Pozostały tylko cienkie ścianki i denka, cylinder z *gazova drava* ważył niewiele. Za ręce i za nogi wyciągnięto pierwsze ciało. Częściowo oddzielona skóra, jak wiele wachlarzy, falowała przy przenoszeniu, lecz gdy kobietę już uniesiono ponad powierzchnię płynu, opadła niczym mokry łach, a na boki, jak kiesy z pieniędzmi, osunęły się workowate, paradoksalnie wzdęte piersi niewiasty. Żuchwa opadła, otwierając usta do bezgłośnego okrzyku, przynajmniej powieki się nie podniosły. Z włosów kobiety ściekła struga płynu. *Vyletnicu* ułożono troskliwie, składając jej ręce na

podółku i krępując przeguby tak, aby nie rozsunęły się na boki i jakoś podtrzymywały piersi, a odchodząca wyglądała godniej i piękniej. Z tego też powodu zsunięto razem jej nogi i skrepowano je w kostkach oraz podwiązano żuchwę.

Ajfrid zauważył opaskę na jej ramieniu i obrócił tak, żeby ukazał się napis. – Braborka – przeczytał litery skreślone węglem.

Chwilę patrzył, co pozostało z najpiękniejszej kobiety w osadzie. Zmienione kąpielą rysy twarzy zachowały podobieństwo, chociaż skóra układała się dziwnie, maskując naturalne kształty, a włosy brunatną warstwą oblepiły ramiona. Braborka nigdy się tak nie czesała. „Alica musi ją zobaczyć”, pomyślał.

Zaraz kobiety splotły jej dwa grube warkocze, które zawiązały na poprzecznym drzewcu w kasecie.

Następnie wyjmowali jedno ciało po drugim i składali w drażonych komorach. Wszystkim podobnie układano i krępowano ręce i nogi oraz podwiązywano szczęki. Kiedy wydobyto już wszystkie ciała, każdy z cylindrów wzięło na ramiona trzech mężczyzn i odniosło je pod dom *sedminocljnikav*. Pod ścianami ułożono je rzędem na wcześniej przygotowanych płaskich kamieniach. Kiedy ustawiano ostatni pień, pierwsi już zaczęli marszczyć swe brązowe, jakby drewniane twarze w natarczywych promieniach słońca. Otwierali usta, aż żuchwy opierały się o taśmę. Ajfrid kazał przenieść do cienia Braborkę, a wszystkich skropić wodą, by nie popękali, i wreszcie szczelnie zamknąć *kazeti* pasownymi wiekami.

Pospisywał imiona *vyletnikav*. Jego obowiązkiem było dokumentowanie, sporządzenie opisu, relacji, jednak nie mógł się temu przyglądać spokojnie. Zbyt dobrze pamiętał tych ludzi.

Każdy z leżących miał na przegubie opaskę z łyka ze swoim imieniem napisanym węglem. Sami przygotowywali sobie te identyfikatory. Nikt z nich w kąpielu opaski nie stracił; z tego *vyleta* każdy zostanie zapamiętany.

Ajfrid chodził wzdłuż leżących, przypatrywał się zmienionym twarzom, próbował znaleźć podobieństwo do wspomnień. Te jednak coraz bardziej zacierały się w zetknięciu z odmienionymi, jakby rzeźbionymi w drewnie obliczami. Mimo częstego zwilżania mumie schły zbyt szybko, na ramionach i na nogach pojawiły się zmarszczki podkreślające wcześniejszą macerację ciała w płynie. Tylko skóra, wcześniej otaczająca wachlarzem ciało unoszące się w płynie, wracała na swoje miejsce i ponownie przywierała do tkanki.

Przetworzyli się w dziwne istoty: tu obrzmiałe, tam zmacerowane, z ułożoną w wachlarzyki skórą, która ledwie trzymała się tkanki. Teraz brunatnieli, a z każdym dniem

będą schnąć. Wreszcie stwardnieją wystarczająco, żeby mogli stać na własnych nogach, a lekkie ciało zdoła przenieść z miejsca na miejsce nawet dwóch *divnocljinikav*. *Vyletnika* już nigdy nie opuszczą swoich *kazet*. Aby żaden z nich nie wypadł ze swojej nyży, zostaną powieszani na sznurze przewleczonym przez dwa otwory zrobione w czaszce: jeden w górze czoła, drugi na szczycie ciemienia. Długowłosym kobietom splatano warkocze i wieszano je za włosy, żeby oszczędzić na wierceniu w kości. W czasie święta wszystkie *kazeti* zostaną zniesione daleko w dół doliny, do granic *Zatròvati Ljucav* i dołączone do ustawionych tam Starych *Wspomnień*. Ten sposób przechowywania *vyletnikav* nosił nazwę *veljka pamytj* i trwał do *nocelja*.

Już się ściemniało. Rozłożona kąpiel *vyletnikav* dawno zmieszała się z mętnym i mlecznobiałym pod wieczór nurtem Styrmiana. *Vyletan bazin* czyszczono i szorowano. Zostanie wykorzystany na magazyn *mljoka* i dalej do fermentacji, a potem przechowywania mlecznego wina przez cały *nocelj*.

Ajfrid z Alicą mieli przenocować w domu Gaty Tezejnej. Już nie trzeba było chronić się przed upałem w piwniczce. Okiennice opuszczonego domu nie były uszkodzone, pledy nie zbutwiały. Auraio przyjął zwyczajowy posiłek od gromady. Okiennice zabarykadowali dwaj wyznaczeni mężczyźni. Tylko pełgający kaganek rozjaśniał ciemne pomieszczenie.

– Powinnam była pozostać na górze – powiedziała Alica. – Nie ruszę tego. – Odsunęła od siebie talerz. – Tutaj oboje jesteśmy w ich szponach.

– Oboje mają skrepowane ręce i nogi.

– Wyzwolą się, jak będą chcieli.

Ajfrid moczył wysuszone pędy *cukroviny* w piekącym język słodkim płynie, aby zmiękły, czasem wyjmował z ust bardziej zdrewniałe fragmenty. „Cicho tu i spokojnie. Do szczęścia brakuje tylko światła gwiazd i jej bliskości”, pomyślał. „Z mojego pokolenia pozostały tylko czaszki, jej pokolenie zmienia się w pomarszczone mumie. A ja nadal żyję i ona żyje, ale jakże stała się odległa”. Ta ostatnia myśl nagle go zaskoczyła.

56.

Rano zbudziła go Alica, krzątając się przy posiłku. Zerknęła na niego znad obieranych kłaczy. Była przebrana, uczesana, gotowa do wyjścia. Ajfrid raczej oczekiwał, że kobieta zostanie w piwniczce. Ostatecznie nie przeszkadzało jej wylegiwanie się całymi dniami na stole w samotni, tutaj też mogła posiedzieć, żeby *krve znama* się nie rozsiały.

Podniósł się na łokciu i popatrzył na nią. Choroba jakby cofnęła się. To znowu była dawna Alica.

– Chciałam ich wszystkich jeszcze raz zobaczyć. Zresztą dni teraz chłodniejsze, dolina mniej groźna.

– To nie jest przyjemny widok.

– Trzeba ich udokumentować. – Świdrowała go wzrokiem. – To nasz obowiązek. Przyniosłam kartony, kredę i węgle. Zjedz śniadanie. Mleczne wino jest lepsze w dolinie. Nam wynoszą jakieś skwaśniałe męty.

– Tutaj wyłoczyli już zapas nowych kartonów. Mogłaś je wykorzystać. I tak to potem trzeba wynieść na górę.

– *Czetrinocljnika* wyniosą. Pora, żeby zaczęli poznawać swoją pracę. Jeszcze nie widzieli samotni.

Ani słowa o podmienianiu czy fałszowaniu kartonów.

Nie dało się dłużej polegiwać. Alice rozpierała energia. Niecierpliwie zerkała, kiedy wreszcie zabiorą się do pracy. „Cóż...” westchnął w duchu. Ostrożnie podniósł się, by nie zmiażdżyć piór. Wraz z ubywaniem dnia, odrastały coraz wolniej.

Zaraz gnał w ślad za Alicą ku domowi *vyletnikav*. Mówić jej, żeby zwolniła, nie miało sensu. „Czy ona nie zdaje sobie sprawy z tego, co zobaczy?”

Wydrążone pnie z *vyletnikama* oparto o ścianę od strony *Zatròvati Ljucav*; dzisiaj je uniesiono, żeby wietrzyk lepiej suszył brązowe postaci. Przesławiono je do cienia, by silne słońce nie zniszczyło mumii.

Gdy Alica zerknęła do wnętrza drążonego pnia, stanęła jak wryta. Wyszczrzyła się do Alicy jedna z *vyletnic*, może Braborka? W ciepłe słonecznym ciała schły zbyt szybko, pękały, a większość z nich, mimo podwiązanych szczęk, rozdziawiała usta.

– To oni? – wyrwało się Alicy.

Ajfrid pokiwał głową.

– Wiadomo, kto jest kto?

– Tak. Każdy miał na ręku bransoletkę z imieniem.

– A ta, która na mnie patrzy?

Ajfrid schylił się i ujął opaskę.

– Smeljka – przeczytał.

Alica podchodziła od jednej do drugiej drewnianej celi, schylała się i czytała. Długo nie mogła znaleźć właściwej.

– Sirka Ovidna – głośno przeczytała.

Skoro Braborka z *Jadòviną* skryli się na *Prevaju*, obiektem zainteresowania musiała stać się Sirka.

– Ależ ona jest piękna! – powiedziała głośno Alica. – Ona taka piękna nie była.

„Mumia piękna...? Cóż znowu chcesz?”, pomyślał i podszedł ku wskazanej dziupli.

Mumia Sirki nie wyróżniała się niczym szczególnym: krótkie włosy przyschły do głowy i ramion, nadając jej ładny, płynny obrys. Skryły zbyt kanciaste, prostokątne ramiona. Ręce miała skrzyżowane na podołku, a nogi ułożone równolegle i blisko siebie. Może przez to, że usta ledwo się rozchyłały albo że zachowały się rzęsy, a może wreszcie, że pęknięć nie było widać? Ajfrid przymykał im wszystkim powieki, kiedy ciała wydobywano z kąpieli. Często rzęsy podwijały się albo wypadały. Całkiem przypadkiem wysuszone ciało tej dziewczyny nie wyglądało źle w porównaniu z innymi.

– Ona nigdy nie miała takich piersi! – parsknęła Alica.

Faktycznie, nieproporcjonalnie małe i nieładne piersi Sirki nabrzmiały w roztworze, osiągając właściwy kształt, a teraz w znacznym stopniu go zachowały.

– Za życia tak nie wyglądała.

– Wiem.

– Ta tkanka puchnie w *vyletan bazinu*.

– Nie przypuszczałam, że jej uda się aż tak bardzo.

– Cóż, jeśli nawet, to nie na długo. Ciało nie przetrwa *nocelja*.

– Tak. – To znowu było jak smagnięcie batem.

Na szczęście mumia Kirusa zasychała paskudnie. Ramiona skrzywiły się nierówno, a na dodatek Kirus wyglądał jak garbaty. Niezabezpieczona w porę żuchwa opadła tak nisko, jakby wrzeszczał. Nogi ułożyły się też dość pokracznie: były krótkie, rozjechały się nieco i wyglądały, jakby jedną miał krótszą od drugiej, wypukliły nieprawdopodobnie krzywe łydki. Ciało było wystarczająco miękkie i dałoby się te wady wyrównać, ale nikt tego nie zrobił. Za życia Kirus postępował paskudnie, to dlaczego miałby teraz dobrze wyglądać...?

57.

Alica uwieczniała twarze kolejnych mumii. Starła się rysować wszystkich w takim samym ujęciu, chociaż niezbyt się to udawało, ponieważ głowy, schnąc, skręcały się nieco. Próbowwała uchwycić różnice w wyglądzie, co było jeszcze trudniejsze. Jej ręką szybko powstawały podobizny. „Gdzie ona nauczyła się tak rysować?” pomyślał Auraio, zerkając przez ramię na jej pracę. Sam nie potrafiłby narysować dobrego portretu, choć Drevana Auraica uczyła go dokumentowania.

„Nikt dotąd tak nie dokumentował *vyletnikav*”, pomyślał Ajfrid. „Przybędzie roboty, jeśli wszyscy sobie tego zażyczą jeszcze przed *vyletam*”. Podejrzewał, że to wynik jej

choroby. „Czy myśli, że ich w ten sposób przypina do papieru?”

Zresztą niech się zajmie pracą. Może to uleczy jej myśli, a nowego kartonu dosyć, by uwiecznić mumie *vyletnikav*, czy nawet wszystkich członków gromady.

Alica kreśliła niewielkie portrety. Na każdej stronicy mieściły się cztery. Wychodziły niezbyt podobne, chociaż rysownicza bardzo się starała. Indywidualne rysy kryły się za trupimi grymasami: to rozdziawionymi ustami, to opadłą szczęką, to niedomkniętymi powiekami. Każdy portret podpisywała imieniem *vyletnika*, jednak wizerunki nie wywoływały w pamięci twarzy znanych osób. Drowar, Prugar, inni... *Vylet* przemienił ich, skrywając oblicza pod maską skóry napiętej na czaszce i dramatycznym grymasem.

– Sportretujesz ich wszystkich?

– Sirki nie narysuję. I jego też nie.

– A ja mogę ją sportretować...?

– Ją możesz. Jego nie – powiedziała stanowczo. – Kiedyś ją lubiałam.

Ajfrid nic nie powiedział.

– Ona teraz ładnie wygląda. Zostanie w zbyt ładnym rysunku...

– Właściwie trzeba by narysować ich ponownie, jak wyschną do reszty. Teraz zmieniają się z każdym dniem.

– Najwyżej zostaną mniej podobni.

– Dotąd nikt nie dokumentował *vyletnikav*. Dla kogo to sporządzać? Dla gromady we wsi? Dla przyszłych *aurai*?

– Wszyscy powinni zostać na papierze. Ludzi należy spisać. To przodkowie następnych pokoleń.

„Może ktoś już wpadł na ten pomysł, ale rysunki rozsypały się w proch...?”, pomyślał.

Słońce ostro przyświecało, było ciepło jak za najdłuższych dni. Droga przeszedł jeden, a zaraz po nim drugi potwór mleczny. Cieszyły mocno wypchane, kołyszące się wory *mljoka*. Mimo suchego *medinocelja* żywności na nadchodzący okres zimna i mroku nie zabraknie. Roboty w polu było jeszcze wiele, ale spichrze wypełniały się szybko.

Parę papierowych latawców chybotąło się na wietrze. Ćwiczone do Pochodu Nowych Wspomnień. Do niedawna ulubioną rozrywką było unoszenie się na latawcach, ale odkąd zeszłego *medinocelja* rozbił się o ziemię Jurad Robar, porwany nieoczekiwanym podmuchem wiatru, zabroniono tych lotów, chociaż czasami zdarzało się, że *czetrinoclnika* wciąż próbowali ryzykownej zabawy. Teraz też, jeśli by uważnie przyjrzeć się chybotającym płatkom, można było odnieść wrażenie, że pod jednym z nich widać ciemny, podłużny kształt – ciało ryzykanta. Ajfrid sam raz pofrunął, uniesiony latawcem. Skręcił nogę przy

gwałtownym lądowaniu, jednak nigdy nie zapomniał tego wrażenia, kiedy nagle doskonale znane budynki osady zmieniły się w małe pudełeczka, a całe osiedle Matcinej Dolany w zabawkę, *modjel pre jednoclnikav*. Widok osady z progu kotliny był trochę podobny, chociaż osiągał go bez tego niezwykłego uczucia opuszczania znanego świata.

Ajfrid kazał wykonać drugą deskę rysunkową i teraz oboje utrwalali mumie *vyletnikav*, Alica czyjś portret, on sam całą postać Sirki. Po godzinie Smjaszka przyniosła im posiłek i dzbanek wina mlecznego. Smjaszka zwróciła się do Alicy słowami *pticzjaka auraica*, a ta rzuciła Ajfridowi uradowane spojrzenie.

Nadmiar wina mlecznego był utrapieniem Matcinaj Dolany. Niektórzy byli pijani już przed południem, jednak o tej porze dnia jeszcze do awantur nie dochodziło.

Właśnie zbliżał się jeden z nich, niezwykle chudy, ze złamanym nosem. Ajfrid nie znał go zbyt dobrze. Kompletnie pijany, mimo że słońcu było jeszcze daleko do południa.

– *Smjaszka! Smjaszka!* – udarł się pijak. – *Ka ti lezjacz?!*

– *Odlezaj, fonczillo.* – Dziewczyna zerknęła na niego przez ramię.

Brudny i rozczochrany Jonczillo bezsensownie wymachiwał patykowatymi kończynami.

„Spał w norze jakiegoś *poroka* czy co?” pomyślał Ajfrid. „Wygląda jak nadjedzony przez potwora”.

– Ród Kirusów nie wymiera, a pleni się okazale – powiedział. Alica uśmiechnęła się krzywo. – Piją w ogromnych ilościach. Moi rówieśnicy pili mniej, mieszały wino z mlekiem, w zeszłym *medinoceljam* było mniej popijaw.

– Twoi rówieśnicy pili niewiele mniej niż oni, a na dodatek oszałamiali się *czyrnu hubinu*. Tak mówiła Drevana Auraica – zaprzeczyła.

Smjaszka pakowała swoje zawiniątko. Jonczillo podszedł do niej, zatoczył się i próbował złapać ją za ramię. Dziewczyna z obrzydzeniem strząsnęła ramię pijaka.

– *Tij nerobu! Odlezaj na zatratu!* – krzyknęła. – *Medvad tij pojedli*

Pijak odsunął się jak trafiony. Machnął ramieniem.

– *Et, mracna smyja!* – powiedział, ale odstąpił. Bezskutecznie próbował ześrodkować wzrok na zajętych pracą Ajfridzie i Alicy. Kiwnął się w jedną stronę, potem w drugą, coś zabelkotał. Wreszcie jego mętny wzrok ułowił odchodzącą z koszem Smjaszkę. Zawrócił i powlókł się w ślad za nią.

– Ale się jej trafił adorator – prychnęła Alica. – Ja miałam podobnego.

– Jonczillo był pilnym i zdolnym uczniem. Nadawał się na nauczyciela, gdyby się co przytrafiło Urbanecowi. Niedawno się rozpił. Wyglądał też inaczej, póki mu nosa nie

zgruchotali.

58.

Trzydziestego szóstego dnia października, w dzień równonocy jesiennej, w Matcinaj Dolane nie mogło zabraknąć nikogo. Ranki bywały już mroźne, a schody wiodące na Prevaj coraz częściej pokrywało lodowe szkliwo.

Zmarznięty Ajfrid stał przy *garadu jednocljnikav* obok Alicy, która przykryła połą chusty jego pióra i grzała go ciepłem własnego ciała. Czekali, aż najbardziej kapryśni mieszkańcy wsi przygotowują się do święta.

Podobizny wszystkich *vyletnikav* już zostały ukończone, podpisane i ponumerowane. Może to było pożegnanie Alicy z rówieśnikami? On dodał tylko podobiznę postaci Sirki. Narysował też portret Kirusa, ale wyszedł nieudany. Kirus wysechł niesymetrycznie: może kasetka stała przechylona, może słońce oświetlało zbyt długo tylko jeden policzek, dość że jedna połowa twarzy skurczyła się znacznie bardziej niż druga. Alica, która wreszcie pozwoliła uwiecznić niedoszłego gwałciciela, nieubłaganie kazała go narysować dokładnie na wprost.

Jednak co innego intrygowało ją najbardziej. Nie rozstawała się z kartonami przedstawiającymi Braborkę i Jadòvineę. Nie żądała krępowania do snu, ale kładła przy swojej głowie karton z podobizną Braborki.

– Jadòvina nie jest groźny. Na dodatek zaplątany jest w kokonie *poroka*.

– Braborka mówi do ciebie?

– Właśnie nie. Przestała mówić. Nie wiem dlaczego.

– Może nigdy nie mówiła?

– Nie... – zawahała się. – Słyszałam wyraźnie.

Było prawie jak za dawnych czasów. Lęki odeszły, głosy ucichły.

– Ona może właśnie dzisiaj coś powiedzieć.

– W czasie Pochodu?

– Pewnie na to czeka.

Wreszcie wewnątrz *garadu jednocljnikav* dały się słyszeć stłumione głosy, ruch. Przez uchyloną okiennicę opiekunka dała znać, że spektakl można już zacząć. Ajfrid wydobył się spod płaszcza Alicy, podszedł do drzwi i zapukał drewnianą laską. Na ten znak otworzyły się od środka. Jeszcze trochę szeptów i narad, aż wreszcie z wnętrza zaczęli wyłaniać się najmłodsi członkowie społeczności. Dzieci szły parami, trzymając się za ręce. Niektóre niosły małe dzbanuszki, z których sypały liśćmi i wonnymi ziołami. Zaczęły śpiewać, chociaż

piosenka zaraz przemieniła się w nieskładne wykrzykiwania. Najmniejsi uczestnicy pochodu klócili się, szarpali ze sobą, bo nie każdy miał równie ładne i pachnące kawałki ziół w koszyku. Trzeba było uciszać maluchów.

Do wrót drugiego domu zastukali już *jednoclnika*. Od tej pory Ajfrid tylko asystował w uroczystości, bo oboje z Alicą jako jedyni nie zmieniali swojego domu.

Kiedy brama uchyliła się i ukazały się starsze dzieci, *jednoclnika* wpadli do środka, roztrącając starszaków i dziko biegnąc przed siebie, żeby zająć najlepsze pokoje i łóżka. Słychać było jeszcze łomot sandałów o schody, kiedy dom zaczęli opuszczać dotychczasowi mieszkańcy. Dziewczynki w przebraniach *porokav* tańczyły, rytmicznie unosząc ramiona, aby dodatkowe, doszyte odnóża unosiły się do góry. Wyglądały jak czarne straszyletka. Chłopcy nieśli lampiony zrobione z gąbczastego papieru. Wszyscy bawili się znakomicie. Kiedy uformowali pochód przed Ajfridem i Alicą, z opuszczonego domu wybiegli malcy i już jako widzowie dołączyli do uroczystości. *Dvinoclnika* oprócz niesienia lampionów nie mieli nic do roboty, tylko niektórzy przyozdobili stroje nitkami barwionej trawy, więc teraz, zazdroszcząc dziewczynkom tańczącym taniec *poroka*, rytmicznie podrygiwali. Gdy upuszczali lampiony na ziemię, kaganki gasty olej rozlewał się, a papier kleił do błota po ostatnim deszczu.

Przy *garadu trinoclnikav* znowu przerwa i szamotanina, kiedy nowi właściele obejmowali w posiadanie skromne dobra. Zaraz z bramy wyłoniła się następna barwna grupa.

Śpiewy pochodu zastąpiła muzyka – święto przyozdobili *trubyci*. *Trinoclnika* wyćwiczyli melodię i teraz mimo rozpierającej radości, piskliwe dźwięki brzmiały składowe.

W tym pochodzie ci, co wcześniej doń dołączyli, czasem opuszczali go, wyprzedzali, aby przyrzeć się widowisku, potem znowu wracali do szeregu. Porządek obowiązywał jedynie tych, którzy właśnie zmieniali *garadu*.

Postrzępionych i hałaśliwych cudaków zaraz otoczyła grupka niesfornych *jednoclnikav*. – *Trubyci ptyci!* – wołali malcy. Zaraz *dvinoclnice* zaczęły nowy taniec *poroka* i maluchy wróciły na miejsca z tyłu pochodu, denerwować tańczące.

Został za nimi dom Gaty Tezejnej, a teraz minawszy kilka niezamieszkaných ruin, dochodzili do *garadu czetrinoclnikav*. Ta część pochodu budziła obawy. Wymiana mieszkańców odbyła się jednak spokojnie, *trubyci* obawiali się o swoje barwne przebrania. Jeszcze trzy *nocelja* temu *czetrinoclnika* tańczyli w pochodzie *tanec medvada*. Cięli się ostrzami z twardych liści i kłuli ostrymi kolcami. Były przypadki, że jakiś zaciętrzewiony tanecznik użył noża lub sierpa. Po godzinie agresywnej zabawy byli pokrwawieni, zdarzały się nawet wypadki śmiertelne. To była ulubiona część święta dla подростков, możliwość

uregulowania porachunków bez ponoszenia następstw. Jednak liczebność gromady stale spadała, a życie każdego jej członka było na wagę złota. Drevana Auraica zabroniła tego tańca i odtąd *czetrinoclnika* zastąpili go tańcem *auraio*. Miało to ich zachęcić do nauki i bardziej zainteresować poznawaniem otaczającego świata. Z oporami wprowadzono tę decyzję. Każdy *nocelj* zacierał wspomnienia, ale pamiętano ekscytujące bójki w czasie *tanca medvada* i wciąż trzeba było się liczyć z pojedynczymi starciami.

Czetrinoclnika jednak nie sprawili trudności. Zarówno chłopcy, jak i dziewczyny mieli podłużne liście przyczepione do odzienia. Spokojnie wyszli z bramy. Każde z nich dzierżyło *grzmaka*. Wyszukiwali wzrokiem Ajfrida i starali się złowić jego spojrzenie. Ten zaś skwapliwie próbował nie przeoczyć żadnego z nich. „Może właśnie wśród nich idzie mój następca?” pomyślał.

Kilka dziewczyn przebrało się w ciemnozielone kubraczki, oblamowane zimnym, wpadającym we fiolet kraplakiem. Włosy spięły w krótki warkoczyk i wpleły weń bladoceglastą wstążkę. Ajfrid uśmiechnął się w duchu. Wiedział, co czuje stojąca obok Alica. Dzisiaj wyglądała właśnie tak, jak one. Zresztą nie miała innego stroju. Każda z przebranych sprawdzała wzrokiem, czy *pticzjaka auraica* dostrzegła ją w grupie. Nigdy wcześniej nie występowały tak odziane. „Już wzięli to za swoje”, pomyślał. „A ile czasu straciły, żeby przerobić i przefarbować swoje stroje? Do *nocelja* połowa dziewczyn będzie się tak nosiła”.

Czetrinoclnika ruszyli w taniec *auraio*. Odtwarzali taneczne ruchy Ajfrida, akcentując je rytmicznymi, podwójnymi uderzeniami *grzmacav*. Niektórzy tańczyli sugestywniej niż on sam. Pochód ruszył przed siebie. Dziewczyny przebrane za Alicę nie podrygiwały, lecz szły równym, dostojnym krokiem. Odnosił wrażenie, że usiłują naśladować jej sposób poruszania się.

Trubyci wygrywali hejnał na przemian z pieśniami intonowanymi przez *jednoclnikav*, a podejmowanymi przez starszych. Pochód zbliżał się do *garadu patnoclnikav*. Byli już obserwowani z okien na piętrze, a zanim *trubyci* podeszli pod bramę, ustawili się przed nią w dwuszeregu opuszczający go mieszkańcy. Przepuścili wchodzących *czetrinoclnikav*. Byli zwyczajnie odziani. To przecież pokolenie władców. Oni nie musieli się przebierać, bo to dla nich urządzono tę uroczystość. Nieśli tylko lekkie dragi z *gazova drava*. Po krótkim zamieszaniu, wywołanym gonitwą obejmujących w posiadanie nowe pokoje, pochód ruszył w dalszą drogę.

Muzyka grała donośnie, śpiewy stawały się coraz głośniejsze. Radość pobudzały coraz większe porcje alkoholu. „Schleją się, zanim ich poustawiają”, pomyślał Ajfrid. „Więcej *wspomnień* niszczą pijacy, niż pożerają wrogi mikrostwory”.

Garada szestnocljkav była opustoszała, a pokoje wcześniej rozdzielone. Nowi posiadacze weszli do swoich pokoi, każdy zostawił na wybranym łóżku swój przedmiot i zaraz dołączył do reszty. Czekala na nich teraz najbardziej emocjonująca część uroczystości: droga do *Zatròvati Ljucav*, by znieść tam *Nowe Wspomnienia*.

Vyletnika czekali ustawieni przy *vyletan bazinu*. W równych rzędkach, każde w swoim pniaku. Żadne ciało się nie rozsypało. W większości czaszek *Baric* wykonał po dwa otwory, przewlókł sznur i zamocował go do pniaka. Dzięki temu kurczące się mumie, wisząc w powietrzu, będą mniej narażone na rozkład. *Ajfrid* skrzywił się z odrazy, widząc ludzkie głowy pokancerowane wiertłem. „Pewnie mózg rozsmarował się na sznurze”, pomyślał.

Teraz wszystko było wyschnięte, sznur też, nawet nie poruszał się wewnątrz głowy mumii. Z drągów *patnocljkav* zmontowali platformy do niesienia *kazet*. Następnie umieścili je w wydrążonych gniazdach. Szli wolno, z godnością, akcentując każdy krok. Pamiętali, jak po *nocelju* robili to ich poprzednicy.

Ajfrid pomyślał, że właśnie oni najmocniej odczuwają rytm życia wspólnoty, rytm rozwoju, przybywania i odchodzenia. Chwilę czuł się samotny, ponieważ nie dano mu wziąć udziału w tej odwiecznej walce o przetrwanie. Jakby został wykluczony z należnego każdemu dziedzictwa. Pomyślał, że jego czaszka już dawno powinna była dołączyć do innych dawnych *wspomnień*.

– Nie jest ci zimno? – usłyszał szept *Alicy*. – Słońce zaszło, pióra nie grzeją.

„Oni mnie wykluczyli spośród siebie, ale w zamian dali mi ciebie”, pomyślał. Spojrzał ciepło na *Alicę*.

– No, co chcesz?

– Nic. Dobrze, że jesteś.

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie... – prychnęła. – Ona też tu była. Nie odezwała się ani razu, ale była blisko.

59.

Dzisiejsze zejście w dół doliny powinno być bezpieczne: duże drapieżniki nie zaglądały tutaj za dnia, a zimniejsza pora powodowała, że mnogość szkodliwych mikroorganizmów była mniejsza. Zresztą pochodowi towarzyszył głuchy rytm *grzmacav*. Po półgodzinie marszu osiągnęli słupy ze *wspomnieniami*. Mijali po kolei szczyzące się do nich czaszki przodków. Nawet pijani uczestnicy ucichli. Defilowali przed dawnymi mieszkańcami, których kiedyś było dość, by zasiedlić wszystkie zabudowania, nie tylko pokoleniowe *garady*. Inna rzecz, że ci, których czaszki tkwiły w drążonych pniach, sami nie pamiętali tamtych czasów, rozpad

mumii, a później szkieletów, postępował zbyt szybko. „Może chociaż czaszka Doedda Furlongga pamięta dobre czasy?”, pomyślał Ajfrid.

Kopce kamieni pod pnie chroniące nowe *wspomnienia* znajdowały się najdalej. Mumie tegorocznych *vyletnikav* wystawiano na najbardziej energiczne procesy rozpadu, a dopiero potem chroniono bardziej to, co pozostało. Lepiej, by ciała, które w ogóle nie nadawały się do dłuższego przechowywania, rozłożyły się jak najszybciej, bo nie było miejsca na nie wszystkie. Kolejnych *vyletnikav* umieszczano na szczycie kopców, a pień okładano kamieniami, żeby się nie przewrócił. Pniaki pochylały się, a ciała kiwały jak serca dzwonów. Na przegubach mumii widniały opaski z imionami.

Kiedy ostatni pień zatknęto na szczycie kopca kamieni, a ostatnia platforma została zdemontowana, uroczystość dobiegła końca. Gromada oznaczyła granice swojego terenu i swoje zasoby. Przybyło im historii, przybyło nowe pokolenie *vyletnikav*. „Dla kogo to czynimy?”, zastanowił się Ajfrid. „Nikt przecież tu nigdy nie przyszedł od *Zatròvati Ljucav*, bo nikt tam nie zdoła długo przeżyć. A właściwie skąd to wiemy? *Kornaaca* giną, bo *mlokan jogr* przetwarza ich na *stryżaja*, a nie od toksyny nizin”.

Nie planowano uroczystego powrotu. Uczestnicy brali się do picia. Jeśli spiliby się w tym miejscu i ułożyli do snu, mogłoby to się źle skończyć, gdyby po zmroku z dołu przywłókł się tu jakiś drapieжник.

Ajfrid wyszukał w rozbawionym tłumie Gjacke Ovidana. *Vedan* nie był jeszcze pijany. Łatwo dał się przekonać.

– Ale jak ich skłonić do powrotu? Zasłużyli na radość po święcie... – mruknął.

– Radość jest tak wielka, że święto może nadal trwać.

Gjacke zrobił bezmyślną minę.

– No, *trubyci* grają, *poroki* tańczą, *aurai* tańczą, wszyscy razem wracamy w rytmie *grzmacav*. Mamy dłuższe święto, zabawa trwa.

– Tak będzie od tej pory...? – Gjacke zrobił krzywą minę.

– A czemu nie? Niech cieszą się dłużej.

Stwierdzenie *vedana*, że dzisiejsze święto może dłużej trwać, przyjęto z radością, póki nie zorientowano się, że nie będą się mogli rozsiać i upić. Kłopot sprawił pijany do nieprzytomności Jonczillo, na którego natknęli się w drodze powrotnej. Ajfrid poradził, żeby przewieźć go na taczkach, których kilka par wzięto na rozmontowane platformy transportowe, na wypadek, gdyby wszyscy się spili i nie mogli ich nieść. Skrępowali pijakowi ręce i nogi, żeby się nie rzucał, jak się obudzi, i cisnęli nim jak workiem, twarzą do dołu, żeby się nie zachłysnął wymiocinami. Nie zbudził się, a tylko ciężko chrapał.

Pochód wracał nieskładnie, pieśni przeradzały się w pijackie zawodzenia i wrzaski, ale nikt nie zginął. Drugą część drogi popędzał ich wracający z pastwiska *jogr. Kornaak*, zirytowany, że ominęła go największa uroczystość gromady, nie spowalniał stąpającego równomiernie potwora. *Czetrinocljnika* nieśli *grzmaca* na ramionach.

Wspomnienia wrócą do osady jakby chyłkiem, przyniesione pojedynczo, bez rozgłosu, po pierwszej zamieci śnieżnej w dolinie.

60.

Nadszedł czas porządków. Póki *wspomnienia* stały wyniesione na skraj terenów gromady, można było starannie wysprzątać wszystkie *garada*. Gromadzono zapasy na zbliżający się *nocelj*. *Vyletan bazin* znowu mógł posłużyć do produkcji mlecznego wina. Z nadwyżki mleka robiono ser, który następnie starannie prasowano w kostki i suszono.

Pierwsze wyrośnięte *volca*, które złożyły już *ovaja* i skryły je w kokonach, już wyrzynano. Zapas mięsa trzeba było wysuszyć przed *noceljam*, a czasu ubywało. Zabezpieczano zebrane kokony. Wydobyte z nich jaja zostaną rozmnożone zaraz po ustąpieniu mrozów *nocelja*. Wystarczyło bowiem przenieść je na parę dni do ogrzanego pokoju, aby wystarczająco przyspieszyć ich rozwój. Dzięki temu, gdy tylko śniegi *nocelja* zejda, na łąkach zacznie się wypas. *Volca* oczyszczą pola ze starej, zrudziałej trawy, odsłoniętej spod śniegu.

Alica dobrze zniosła pobyt w Matcinaj Dolane. Nie miała gorączki, a na jej skórze nie pojawiły się złowrogie czerwone kropki. Porządkowała zgromadzone zapasy. Spisywała ilość przyniesionego suszonego mięsa i kulek *jedał drava*. Mierzyła w cysternie poziom wina mlecznego. Pracowała z animuszem, szykując się na przyszłość.

Okres choroby Alicy wracał do Ajfrida w snach. Tylko tam przypominały mu się jej dziwaczne stwierdzenia, urojenia, obawa, że odbierze sobie życie. Obecnie nic takiego się nie działo. Jej wzrok przestał być zatopiony gdzieś w myślach. Patrzyła wścibsko, badawczo, znowu interesowała ją rzeczywistość. Łapał się chwilami, że obawia się jej słów. Teraz było jakby zbyt dobrze, zbyt zwyczajnie. To nie mogło potrwać długo. Nie dość wierzył w tę poprawę, by porozmawiać z nią o chorobie. Wciąż nie można było powiedzieć wprost, że miała urojenia. Alica nadal codziennie sprawdzała, czy kokonik wielkookiego *poroka* nie został aby uszkodzony.

– Te ostatnie, niedorosłe dzieci przypominały inne stworzenia, zamieszkujące Matcinu Dolanu – powiedział.

– Taak...? – Alica podniosła oczy znad notatek.

Opowiedział jej o martwych dzieciach, które nie zdążyły już wykluć się z umierających jaj. Naszkicował niezwykle martwe dziecko z kompletem czterech par proporcjonalnych ramionek.

– Może wszyscy tak kiedyś będą wyglądać, jeśli człowiek przystosuje się podobnie jak inni mieszkańcy Matcinaj Dolany?

Alica pokręciła głową.

– Może być całkiem inaczej.

– Tylko jak? – Uniósł brwi.

– To nie musi być żadne przystosowanie – urwała.

– No, powiedzże wreszcie.

– Może to być wynik ataku mikroorganizmów, nie żadne przystosowanie. Zaatakowany człowiek ginie, nie opuszczając *ovaja* lub zaraz potem. W przeciwieństwie do nas, wiele *zverav smyjav* poradziło sobie z tym, przekształcając formę swojego organizmu, jego schemat, by przeżyć. Ich wielokrotnione odnóża, chociaż często mniej sprawne, nadal nadają się do używania.

Alica już kiedyś o tym mówiła, nawet częściowo opisała to w podręczniku. Skoro wracała do zainteresowań naukowych, poprawa postępowała.

– Czyli że tylko człowiek oparł się temu atakowi, zachowując wzorowy schemat budowy ciała, a jeśli już ulega atakowi mikroorganizmów, to ginie.

– No właśnie.

61.

W dolinie nadszedł czas żniw *cukrovinu*. Teraz był też najlepszy czas dla zbioru różnych rodzajów ziół.

Ajfrid zastał osadę całkiem pustą. Wszyscy wyszli na pola, więc poszedł ich śladem. Łodygi *cukrovinu* wyrosły już na dobrych pięć, może sześć metrów. Wąskie tyczki były równomiernie otoczone wianuszkami wiotkich liści. Przemrożona roślina wydzielala intensywnie cukier, a jej rozluźniona tkanka najlepiej nadawała się do przeróbki. Mieszkańcy ułożyli się w linię. Odziani w najlepsze stroje *patnocłjnika* sierpami ścinali jedną łodygę po drugiej i podawali młodszym pomocnikom. Kobiety, odziane w białe bluzki i pasiaste spódnice, wiązały zbiór w ciasne wiązki, które odnosili młodszy. Nad polem niósł się śpiew. Ajfrid chłonał wzrokiem malowniczą scenę. „Pewnie byś ich narysowała”, jego myśli pobięły ku Alicy.

Żeńcy pracowali bez pośpiechu, tnąc zamaszystymi pociągnięciami przy samej ziemi.

Jeden zamach, jedna łądyga ścięta. Chóralny śpiew bawił, nadawał rytm ich pracy, a poza wszystkim płoszył drapieżniki, jakie mogły się kryć wśród wysokich łądyg *cukrovinu*.

– *Dlja vedana, dlja vedana,*

Ak poroka a medvada,

Naszja żjatwa je oddana,

Choczja rozbojc durna gada... – ktoś zaintonował, a wszyscy gruchnęli śmiechem i podchwycili przyśpiewkę.

„...*jez otdana...*”, pomyślał Ajfrid. „Oni już nawet mówią inaczej niż poprzednicy. Ma być przecież też: *durno* nie *durna...* Jak nasza mowa szybko się zmienia”.

Rozpoczynający linię żniwiarzy Gjacke Ovidan nawet się nie obejrzał. Nie wypadało. Jednak instynktownie wtulił głowę w ramiona, słysząc zwykle uszczypliwości pod swoim adresem. Zresztą może to błędne wrażenie, może on tylko nabrał tchu w płuca, by głośno dołączyć do pieśni. Mimo że wyróżniający się rozsądkiem oraz krzepki właśnie jak *medvad* Gjacke nie mógł zdobyć wśród rówieśników należytego autorytetu. „Na *vedana* woleliby ostatniego kretyna, byle był najwyższy spośród nich”, pomyślał Ajfrid. Pamiętał jeszcze, jakie walki musiał Gjacke staczać z rówieśnikami tylko dlatego, że był niskiego wzrostu.

Za żeńcami kłębiła się chmura *ptycav*. Wieloskrzydłe, leciutkie istotki zrywały się w powietrze, kiedy z kłębu krzaków wyciągano kolejne łądygi, i zaraz nurkowały w zarośla. Wyszukiwały tam pożywienie. Kobiety próbowały przeganiać białe, kremowe, rdzawe czy brązowe puchate stworzki, a te zgrabnymi łukami omijały ich chustki. To już było młode pokolenie *ptycav*. Każda pokryta gęstym szczelnym futerkiem, z kompletem odnóży i równymi skrzydłami.

Pożywienia musiała być obfitość, bo *ptycav* stale przybywało. Malcy próbowali chwycić je w chusty. Spłoszone stworzonka szybko zrywały się do lotu i sprawnie manewrowały w powietrzu. Mimo tego coraz więcej schwytych stworzeń unosiło się nad uszczęśliwionymi posiadaczami. Po złapaniu *ptycy* przywiązywano za jedno z najdłuższych tylnych odnóży i wypuszczano na nitce. Mali więźniowie usiłowali chaotycznie wyrwać się na wolność, nawet kosztem urwanego odnóża, jednak doświadczeni ptasznicy wiązali je za parę kończyn, co chroniło przed skutkami szamotaniny zdesperowanego więźnia.

Coraz więcej żeńców było pijanych. Mężczyźni opróżniali jeden dzban z mlecznym winem po drugim. Robota szła coraz wolniej. Inna sprawa, że niewiele pozostało już do zebrania.

Gdy pole zostało już zebrane, kilka nieprzytomnych osób leżało na ściernisku jak bezwładne wory. Trzeba ich było wziąć na taczki i przywieźć z powrotem do osady.

Oszołomiony Jonczillo iść nie dał rady, ale awanturować się jeszcze potrafił. Gjacke kazał związać mu ręce na plecach i nogi w kostkach, a następnie jeszcze przytomnego, brzuchem na dół rzucić na taczki. Metoda przewożenia skrępowanych pijaków szybko przyjęła się w osadzie.

Wracającej grupie zmęczonych zniwiarzy zamiast śpiewów towarzyszył bełkot transportowanych pijaków. „To pokolenie pije na umór, znacznie więcej niż poprzednie. Trzeba będzie parę osób wykluczyć z *vyleta*, nawet jeśli przetrzymają *nocelj*”, pomyślał Ajfrid. Nałogowi pijacy zwykle marli w czasie letargu. Nie przetrzymywali kilkumiesięcznego braku aktywności życiowej.

62.

Ajfrid zrobił przemeblowanie na półce w archiwum. Niżej przeniósł manuskrypty. Znalazł sporo miejsca pod samym sufitem.

Natychmiast zainteresowało to Alicę. Nie było wątpliwości, że wszelkie porządki w schronie to jej domena.

– Wreszcie weźmiesz się do pracy – zauważyła.

– Tak?

– No, przybędzie tyle manuskryptów, że trzeba półki opróżniać...

– Ach, nie... chciałem tu pomieścić inny zbiór.

Spojrzała zaciekawiona. Kiedy na twarzy Alicy gościła ciekawość, spojrzeniem aż świdrowała rozmówcę.

– Kiedy to przyniosą? – udawała brak zainteresowania.

– Już przynieśli. – Uśmiechnął się. – Trzeba tylko rozpakować. Chcesz mi asystować...?

Nie potrafiła ukryć, jak bardzo chce zobaczyć, co tam jest. Miała taką minę, że Ajfrid już dłużej się nie droczył.

– No, chodź. Potrzebuję twojej pomocy.

Drewniana skrzynka stała w cieniu, pod murem.

– Skryłeś ją przede mną?

– Nie. Z rana przynieśli ją *trinoclnika*.

– A kto umie robić takie zgrabne szkatułki?

– Nikło Waru ma lekką rękę. Zamówiłem u niego jeszcze dwie takie same. Woli taką robotę niż pracę w polu, a teraz *razbatjela* pracują z innymi.

Zanieśli skrzynkę do czytelnia.

Ajfrid usiadł naprzeciw Alicy, żeby nie mogła za wcześnie zobaczyć, co jest schowane w środku. Podniósł wieko skrzynki, wsadził do niej dłoń, czegoś tam szukał, coś przestawiał, ale długo nic nie wyjmował.

Alica przypatrywała mu się w milczeniu. Pożerała ją ciekawość, jednak się nie odzywała.

Ajfrid wyjął ze skrzynki krótki kawałek pniaka i postawił na stole. Odsunął wieczko i jej oczom ukazała się mumia czteronożnego embriona. Chłopiec kiwał się w wydrążonej niszy, zawieszony na sznurku.

– Och! No wiesz! – Przysłoniła dłonią usta.

– Ją też kazałem przynieść. – Ajfrid postawił na stole drugi pojemniczek, w którym na sznurku wisiała ośmioręczna dziewczynka.

– Po coś to kazał zrobić? Ich miejsce jest na drodze wiodącej na Zatròvati Ljuci, nie tutaj...

– Nie ma dla nich miejsca w pochodzie *wspomnień*, tam nikt nie zauważyłby tych małych nieszczęśników, a oni na pewno bardzo chcieli do nas dołączyć. Na Prevaju przetrwają dłużej. Natura nie jest tutaj tak żarłoczna jak w Matcinaj Dolane, nie pochłonie ich tak szybko. W zimnym składziku mogą trwać długo.

– Chciałeś mnie przestraszyć?

– Chciałem ich zachować.

– Oni tu pozostaną na zawsze?

– Wszystko przepada tak szybko. Nie jesteśmy w stanie tego sprawdzić, nie możemy nawet porównać dzieci z dwóch *vyletav*. Co pokazalibyśmy *priljetatjeljam*, by uzasadnić twoje słowa z podręcznika biologii Matcinaj Dolany? Ktoś łatwo mógłby nam zarzucić kłamstwo.

– Mówiłeś, że było więcej zmienionych *nezradilcav*.

– Inni nie byli tak foremni jak ci dwoje. Tamtych próbowali zakonserwować, długo mocząc w wodzie. Tkanka osłabła. Próbowali ich powiązać niciami, ale ciała rozleciały się na kawałki. Oni byli niesymetrycznie zdeformowani. Na przykład dwie prawe nóżki, ale jedna lewa; albo zdwojone kończyny jednej strony ciała. Tych dwoje trzymano w suchych *kazetav* i już się utrwaliłi.

– Każ przynieść tutaj Braborkę.

– Cco...?

– Każ przynieść tutaj Braborkę. Chcę ją mieć pod kontrolą. Muszę wiedzieć, kiedy zaczniesz do mnie mówić, a jeśli nie zaczniesz, to czy czegoś nie kombinuje.



- Ona nie mówiła do ciebie. To była twoja choroba, halucynacje.

- Właśnie dlatego muszę mieć pewność. Sprowadź ją tu. Niech stale stoi w tamtym kącie.

„Może warto zachować kogoś z nas dla przyszłych badaczy?” pomyślał. „Skoro nagle zaczęły rodzić się dzieci o czterech nóżkach albo o ośmiu rączkach?”

- Dobrze – powiedział. – Nie zauważyłaś, że ci nowi mieszkańcy są nieco niżsi, niż my byliśmy?

- Przesadzasz. Gjacke jest niski i jego trzej *zapplecnika* też, stąd takie wrażenie. Poza tym, Ajfrid, to my oboje należeliśmy do najwyższych spośród naszych rówieśników.

- Nas też powinien zachować tutaj jaki przyszyły *vatran aurairo*? To znaczy ty mnie, a ciebie ktoś następny...

- To nie jest dowcipne.

63.

Obecnie przy *garadu jednocljnikav* unosiło się wielu przywiązanych więźniów. *Ptyci* nie miały szans urwać się z mocnych nitek. Tylko kilka, które niedbale przywiązano za jedną nogę, tracąc odnóże, odzyskało wolność. Bezbronne latające istoty desperacko wrywały się do słońca. Pozbawione pożywienia, słabły z każdą godziną. Malcom nie wpadło do głowy, żeby karmić swoich więźniów, chociaż płakali, kiedy ulubieniec spadał na ziemię i stopniowo nieruchomiał.

Ajfrid obserwował, jak przychodziła śmierć do jednej *ptyci*. Uwięzione stworzonko ospale chodziło po ziemi, nieco poruszało delikatnymi żuwaczkami, jednak z każdą chwilą traciło koordynację ruchów. Najpierw znieruchomiała mu lewa przednia noga, potem lewa środkowa i prawa przednia, następnie przestało poruszać lewym pierzastym czułkiem. Wkrótce już tylko powłóczyło tylną prawą nogą, a niedługo potem ledwie poruszało delikatnymi żuwaczkami. Wreszcie *ptyca* znieruchomiała do reszty. Nie sposób orzec, czy zdechła z głodu, czy przyszedł jej czas. Na ścieżkach coraz częściej znajdowano martwe *ptyci*. Z tym że tamte miały wystrzępione skrzydełka, starty biały pyłek z odwłoków, brakowało im odnóży, a ta jedna jeszcze dzień wcześniej dziarsko zrywała się do lotu, powstrzymywana jedynie więzącym sznurkiem. „Nadszedł czas *ptycav*, przylatują wolne, malców cieszą schwyttane, a na ścieżkach leżą martwe”, pomyślał Ajfrid. „Wszystko ma swój czas. Był czas *żjaracav* i czas *vyleta*, i czas robienia mlecznego wina. Miesiące mają po sto dwadzieścia dni. Może by podzielić je na krótsze okresy czasu, żeby ludzie lepiej pamiętali aktualną datę? Powiedzmy cztery po trzydzieści dni albo trzy po czterdzieści. Byłby czas

czerwonych drobinek w Styrmannie i czas pierwszego zbioru mlecznych *ovajav jograv* „,

Delikatnie ujął w dłonie martwe stworzenie i palcem wygładził puch na jego skrzydłach. „A czy oni chcieliby nowych terminów? Czy przyzwyczają się mówić Czas *Ptycav?*”

Martwe *ptyci*, te w najlepszym stanie, zbierano dla szkoły. Będą pomocami naukowymi w nauce zoologii dla *dvinoclnikav*.

Ajfrid obejrzał martwego więźnia. Ten okaz był kompletny.

– Nie uratujesz mojej *ptyci*? – Mała dziewczynka wpatrywała się w niego natarczywie. Zauważyła, że Vatran Auraio zainteresował się jej ulubieńcem, i czekała w pobliżu.

– Nawet ja nie dam rady.

– Ale przecież Vatran Auraio wszystko umie... – Łzy już kręciły się pod jej powiekami.

– Potrafi dużo, ale nie wszystko.

– Oszukujesz... – Dziecko rozplakało się. – Nie chcesz uratować mojej *ptyci*.

– Ona już umarła.

– Nie! Ja nie chcę!

Ajfrid zerwał się i machnął skrzydłami raz i drugi. Czarne, czerwone i złote pióra otoczyły go chmurą.

Przestraszone dziecko aż się cofnęło. Barwny spektakl odwrócił jej uwagę.

– *Ake ti mjeno?* – zapytał groźnie *auraio*.

– Zlatinka – odpowiedziała potulnie.

– Zlatinko, twoja *ptyca* zasnęła już na *nocelj*. Będzie teraz spać na półce w twojej szkole.

– No. Dobrze – bąknęło przestraszone dziecko. – A czy *bjela ptyca* się obudzi potem?

Teraz Ajfrid stracił pewność siebie. Dziecko mogło znowu zacząć krzyczeć.

– Już się nie obudzi, ale zawsze będzie tak ładnie wyglądać jak dzisiaj, jeśli przypilnujesz, żeby jej ktoś nie zniszczył.

– Dobrze. A co zrobić, żeby inne *ptyci* nie usypiały? – spytała rozsądnie.

– Zabieraj je nad Styrmannę i pozwól troszkę pochodzić przy samym brzegu, tam gdzie woda stoi i osadzają się czerwone ziarenka. *Ptyca* sobie poje.

– Dobrze, Vatran Auraio. – Pokiwała poważnie głową. – Czy mogę sama zanieść *bjelu ptycu* do szkoły?

– Tak, Zlatinko. – Ajfrid podał dziecku martwe stworzenie.

– To zaniosę do szkoły wszystkie moje *ptyci*. Niech sobie razem śpią na półkach. Zobacz, ile ich mam. – Ze sporego pudełka wyjęła kilka wysuszonych, zdekompletowanych okazów. Niektórym brakowało kruchych stopek, w innych ledwie trzymały się wyłamane skrzydełka.

Ajfrid uśmiechnął się nieznacznie.

– Rzeczywiście macie dużo *bjeli ptycav*.

– Miałam jeszcze więcej, ale dwie mi już wyschły i zupełnie się rozleciały.

Zlatinka delikatnie ułożyła martwych ulubieńców w pudełku, a na końcu wzięła w dłonie ostatnią *ptycu* i położyła na wierzch. Ponieważ pojemnik był już wypełniony, mocno docisnęła wieczko, łamiąc dalsze stópki. Z pudełkiem pod pachą pognęła do szkoły.

64.

Znowu zmarła *czetrinocljnica*. Próbowwała wydać na świat swoje *ovajo*. Tym razem dziecko było dorosnięte. Do samego końca towarzyszył jej troskliwy nauczyciel. Gjacke zobowiązał go, by ten dowiedział się, kim jest mężczyzna będący tego przyczyną. Czy to ten sam, który spowodował śmierć Savinki, czy może rośnie całe pokolenie skażone występkiem? Wreszcie strapiony Urbanec poszedł do *vedanu*. Niczego się nie dowiedział. Nie zdołał przełamać solidarności pokoleniowej. „Może ich rozsiać pojedynczo po małych domostwach?”, zastanawiał się *vedan*. „Jak zaradzić tej pladze?”

Zbierano plony z pól, prowadzono wypas. Nadszedł czas rzezi *volcav*. Wyrośnięte okazy miały już odwłoki nabrzmiałe od jaj. Po ich złożeniu stwór był bity i rozbierany na mięso. Jaja wędrowały do chłodnej piwnicy, gdzie powinny przetrwać *nocelj*. Co jakiś czas należało każde nieco obrócić, aby nie zaatakowały je mikrostrwory. To wystarczało, aby po *nocelju* z większości z nich wylęgały się żywe *volca*.

Spełtano *volca*, wyjątkowo duży egzemplarz posiadający dwanaście par odnóży. Głowę stworza unieruchomiono w drewnianej bramie, a przez grzbiet przeciągnięto kilka lin, które nie pozwalały na gwałtowne skręty. Uderzenia odnóży zwierzęcia mogłyby połamać nogi otaczających go osób. „Coś nowego, nikt jeszcze w taki sposób nie bił *volcav*”, pomyślał Ajfrid.

– Solidna instalacja – powiedział do stojącej obok Smjaszki. – Czyj to pomysł?

– *Naszego vedana* – odpowiedziała.

– Po co ta rama?

– Utnie łeb *volca*, żeby nie cierpiał za długo – wyjaśniła Smjaszka i mocniej zawinęła się w chustę.

– Teraz tak prowadzicie ubój?

– Nie, to będzie pierwszy raz. Ovidan przekonał nas, że *volec* rozbierany za życia bardzo cierpi.

Do tej pory, kiedy *volec* złożył jaja, obcinano kolejno ostatnie pary jego bezwładnych odnóży. Stwór nie protestował, bo nic nie czuł. Kiedy zaś odcinano segmenty, w których czucie nie było zaburzone, *volec* już nie żył, wykrwawiony masywnym wypływem płynów ustrojowych przez ogromną ranę z tyłu ciała. Ajfrid nie uważał, że ubój prowadzony w tradycyjny sposób jest dręczeniem zwierzęcia. *Volec* dawno stracił czucie w ostatnich segmentach, a szybki wypływ chemolimfy przerywał procesy życiowe przez uduszenie.

Niski, barczysty Gjacked kierował wszystkimi. Właśnie zakładali wąskie, stalowe ostrze z grubej blachy w szeroką szczelinę, wyciętą w drewnianej ramie, która obejmowała łeb *volca*. Zaniepokojony stwór badawczo poruszał czułkami, ale nie protestował. Kiedy już ułożyli ostrze równo i podparli, zaczęli kołowrotem napinać ciągnące liny. Gjacked uwijał się jak w ukropie.

– Hej! Hop! – pokrzykiwali. Lina przeżyła się jak struna.

– *Jedan, dvi, tri!* – Gjacked energicznie machnął ręką.

Wtedy dwaj mężczyźni równocześnie wybili drewnianymi młotami blokady po obu stronach noża, a ostrze opadło, ciągnięte liną, tnąc z metr w głąb ciała. Tam ugrzęzło w miękkiej masie. Z rany strugą pociekła zielonkawa chemolimfa. *Volec* gwałtownie szarpnął się w bok, w jedną, a potem w drugą stronę. Ktoś wypuścił jedną z lin i szalejący z bólu olbrzym odzyskał swobodę ruchu.

– *Tij smradlivi nezrodilcu!* – wrzasnął Gjacked na niefortunnego pomocnika.

Jonczillo wtulił głowę w ramiona. Nikt nie byłby w stanie utrzymać tego szarpnięcia, ale nikogo to nie obchodziło.

Ostrze zatrzymało się. Unieruchomiony stwór nie mógł uciec, ale gwałtownymi szarpnięciami miotał się na boki, odpędzając ludzi.

„Limfa cieknie za wolno, żeby go rychło uspić”, pomyślał Ajfrid.

– Poruszajcie ostrzem na boki, to zetnie mu łeb – powiedział.

– Tnij! Tnij! Nie słyszycie!?! – wrzasnął Gjacked. Okaleczony stwór mógłby wypłoszyć stado z doliny. Żaden poganiacz nie utrzyma spanikowanego olbrzyma.

Ruchy boczne ostrza szybko pogłębiły cięcie. Blacha zagłębiła się na drugi metr i do reszty odcięła łeb. Limfa buchała strumieniem, ale zwierzę straciło niewiele ze swej żywotności. *Volca* nie mają jednego mózgu, lecz kilka rozdzielonych zwojów nerwowych. Odcięcie głowy nie wystarcza do szybkiego zabicia stwora. „Na tyle powinien znać

zoologię”, Ajfrid pomyślał o *vedanu* i zaraz szybko odskoczył, unikając uderzenia potężnym odnóżem.

Bezgłowy stwór wyswobodził się z więzów i miotał we wszystkie strony. Wszyscy odbiegli na bezpieczną odległość. Mężczyźni obserwowali go z dala, by ponownie spętać, kiedy nadarzy się okazja. Odcięta głowa *volca* też jeszcze nie znieruchomiała: obie pary żuwaczek poruszały się rytmicznie, a czułki wywijają na wszystkie strony. „Nie widziałem jeszcze tak spapranego uboju”, pomyślał Ajfrid.

Niestety, to samo pomyślał Jonczillo. Zebrał się na desperacką odwagę.

– Nie widziałem jeszcze takiej męki! – wrzasnął, aż wszyscy spojrzeli na jego wybuch. – Jante nigdy tak nie kazał dręczyć *volcav*. *Sam sjesz osmirjuczni nezrodilac!*

Wszyscy znieruchomieli. Z *vedana* naśmiewano się wyłącznie skrycie. Nikt nie odważyłby się zaatakować go wprost.

Tego było za wiele dla Gjacke. Kilkoma szybkimi susami podbiegł do Jonczillo i mimo różnicy wzrostu sięgnął kułakiem do jego szczęki. Potężny cios skosił Jonczillo na ziemię.

– *Smradliva myrtvina!* – Splunął na leżącego.

Starcie odwróciło uwagę od *volca*. Intensywne krwawienie uspiło go wreszcie. Wkrótce ustały konwulsje i przystąpiono do rozbierania stwora. Koszami wynoszono połcie mięsa. Ludzie zerkali spode łba w stronę *vedana*. Nikt nie dał mu władzy, żeby bił innych. Autorytet przywódcy miał się brać z mądrych rad, a dzisiaj Gjacke poradził nietrafnie. Jego pomysł okazał się gorszy od dotychczasowej metody.

Auraio oddalił się, by nie rozmawiać z *vedanam*. Sytuacja była niezręczna.

65.

Ajfrid wieczorem zajrzał do szkoły. O tej porze najstarsi mieszkańcy osady na ogół relaksowali się przy kubku mlecznego wina, jednak Urbanec siedział za ławą wystawioną przed drzwiami i studiował podręcznik. Poślinił palec i przewrócił stronicę.

„Może by jego wyznaczyć na *obudaca*...?”, pomyślał Ajfrid. „Pije niewiele. Może wytrzyma?” Zwykle tę funkcję dzielono pomiędzy kilku ludzi, lecz mieszkańców ubywało z każdym *noceljam*, a większość *obudacav* ginęła. „Może na wymianę z *vedanam*?” Ajfrid spojrzął na zapracowanego nauczyciela. „A jeśli Urbanec nie zaśnie w połowie *nocelja* i umrze...? Kto zastąpi go w uczeniu małych? Mało kto się do tego nadaje. Sami pijacy mówiący dziwnym akcentem...”

Nie wszystkim wolno było zapaść w letarg w czasie *nocelja*. Na straży pozostawiano

przynajmniej jednego *obudaca*. Niestety samotność, zamknięcie w ciemnym pomieszczeniu zasypanym śniegiem wysoko ponad szyby były ponad wytrzymałość pojedynczego człowieka. Twardzi, silni mężczyźni, których obawiali się wszyscy inni we wspólnocie, rozrabiacy, pozostawieni samotnie w bezruchu i półmroku przez wiele dni, w pewnej chwili wspinali się na strych, potem na dach, czasem jeszcze musieli pokonać drabinę w lodowym szybie, wychodzili na śnieg i na oślep wybiegali do mroźnej doliny, by nigdy już nie wrócić. Później czasem znajdowano ich resztki w dole doliny. Pierwsi zwiadowcy, którzy opuszczali *garadu* po *nocelju*, sprawdzali i odśnieżali okolice osady, jednak niżej wcześniej docierali padlinożercy z *Zatròvati Ljucav*. Gdy zwłoki rozmarzły, były pożerane przez *stjegana smyja*, które czyściły dolinę z padliny i zbutwiałych liści. Kiedy śnieg zniknął do reszty, do doliny wchodziły drapieżniki, a *stjegan smyj* padał ofiarą zarówno *medvada*, jak i *poroka*. Ajfrid podejrzewał, że właśnie te zwierzęta stanowiły główne pożywienie dużych drapieżników. Tylko dlatego, że *Matcina Dolana* jest blisko granicy występowania obu drapieżników i brak tu innej zdobyczy, obu *rozbojcam* zdarzało się w tym rejonie polować na *jogra*. Na *Zatròvati Ljucam* i niżej na pewno i *medvady*, i *poroki* omijały trudniejszą zdobycz w poszukiwaniu powolnego i mało sprawnego *stjegan smyja*.

Ajfrid słabo znał nowego nauczyciela. Chciał zagadać, ale tamten podniósł oczy znad podręcznika i odezwał się pierwszy:

– Tego mam ich uczyć? – Uderzył dłonią w kartki. – O zwierzętach, których nie ma? O roślinach, których nie zobaczymy?

– To jest nasza wiedza, innej nie mamy.

– O baśniach? O legendach? – Rzadka, ruda broda *Urbaneca* zatrzęsała się.

– To wiedza dana nam przez *priljetajela*. Czaszka ostatniego z nich jeszcze się nie rozsypała. Oni przybywają do nas naprawdę, lecz rzadko.

– A do innych dolin przybywają częściej?

– Możliwe, że do innych częściej.

– A są jacyś inni ludzie niż my tutaj, w *Matcinaj Dolane*...? – Głos nauczyciela zabrzmiał za wysoko.

– Tak myślę. Nauczyli nas tego, co umiemy.

– Przecież to ty nauczyłeś nas otrzymywania czerwonej farby, a nie oni.

– Znalazłem opis w archiwum samotni. Tylko go trochę zmodyfikowałem.

– To może wymyślił go kiedyś jakiś inny *auraio*...?

Cóż, mogło przecież tak być. Nie wiadomo, ile wymyślili jego poprzednicy, a ile wiedzy zawdzięczali przybyszom. On sam starał się znaleźć wyjaśnienie dla wielu zjawisk.

Priljetateljja mogli być tylko legendą.

Urbanec inaczej odczytał jego wątpliwości.

– Dlaczego mieliby akurat do nas przybywać? Nie ma nigdzie większych osad? Piękniejszych *garadav*?

– Może nie ma. Może są. Nie wiadomo, czy ludzie są w innych dolinach. Nam to obojętne, bo nikt nie przebył *Zatròvati Ljucav*.

– A po drugiej stronie *Prevaja*?

– W *Bezladnaj Dolane* nie da się żyć... Za długo leży śnieg, a w lecie wszystko zarasta śluzowatym kożuchem. Życ się tam nie da. *Myrtvina*.

Twarz Urbaneca płonęła, a oczy błyszczały nienaturalnie. „*Czyrna hubina* macerowana w winie. On to potrafi przełknąć...?”, pomyślał. „Już lepiej, żeby pił więcej, ale samego wina”. Wybuch nauczyciela był skutkiem halucynogenu. „Nie usłyszę od niego nic mądrego”, pomyślał Ajfrid.

– W nowym *medinocelju* urządźcie wyprawę do *Bezladnaj Dolany*. Wtedy okaże się, czy tam kto nie mieszka i czy nie jest zdrowsza od naszej.

– Tak! – wykrzyknął żarliwie Urbanec. – To bardzo ważne. Sam poprowadzę tę wyprawę.

„Jak zwykle obficie gestykułuje, mówi dużo, bardzo głośno i niezbyt mądrze”, ocenił Ajfrid.

66.

Kosima i Jonczillo wyruszyli wcześniej i teraz znajdowali się już daleko od osady. Obaj czuli się nieswojo, jak intruzi. Niby jeszcze *Matcina Dolana* – po obu stronach strome zbocza zarosłe suchymi poroślami – ale kto wie, czy dzisiaj nie wspięła się aż tutaj *skorja smyrt*...? Sami nigdy by się nie wybrali w to miejsce, ale *vedan* nakazał, wykonać trzeba. Co chwilę obaj kichali od rudego pyłu wznoszonego przez sandały. Każdy z nich był tu kiedyś kornaczą, ale to co innego: *jogr* chroni przed paskudą z równin. Natomiast z własnej woli wybrać się aż tutaj pieszo to głupota i ryzyko.

Jonczillo wyciągnął płaską butelkę zza pazuchy.

– Nie! Zostaw to teraz! – powiedział Kosima. – Dopiero jak wrócimy, uczcimy naszą wycieczkę.

– Chciałem tylko przepłukać gardło.

– Zostaw to teraz. Najpierw robota.

– Mówią, że wino chroni przed mikroorganizmami.

– Różne rzeczy mówią. Chodźmy. – Zakrył usta chustką.

W dół schodziło się szybko, wkrótce osiągnęli pierwsze *wspomnienia*. Po obu stronach ścieżki stały dwa szeregi drążonych pni. W każdym wisiała wysuszona mumia. Kilka ułamało się w pasie i tam zwisały tylko głowa, barki i ramiona, zakończone palikiem kręgosłupa, inne urwały się wyżej i pozostała sama głowa, a ciało w dole leżało pogięte i połamane, jak suche badyle.

– Która to będzie ta Sirka? – mruknął Kosima. – Ona podobno lepiej wygląda teraz niż przedtem.

– Teraz tak poschły wszystkie, że trudno babę odróżnić od chłopca.

– Prawie same baby. Każda ma na ręce obrączkę z imieniem.

Podchodzili do każdej wiszącej mumii, wychylali ją nieco z niży w *kazetu* i powoli sylabizowali imię. Czasem kopczyk był za stromy i trudno się było nań wspiąć, wtedy trzeba było mocno mumię wychylić. Jedna z nich, brutalnie pociągnięta, urwała się i padając, złamała w połowie. Na sznurku została sama głowa.

– Uważajże! – syknął Kosima. – Już się upiłeś!

Joncillo zdarł opaskę z przegubu mumi i przesyłabizował:

– Dy-my-tar. Nawet go pamiętam. Taki gruby był. Lubił wypić.

Kosima odegnał nieprzydatnego pomocnika i sam sprawdzał wszystkie imiona. Joncillo patrzył spode łba i skrycie popijał. Doszedł do końca *wspomnień*. Brakowało tylko Sirki. Musiała się już rozlecieć. Kosima czytał słabo. Potrzebował pomocy alkoholika.

– Sprawdź jeszcze raz te imiona – rzucił. – Ja niedowidzę.

Joncillo wrócił do pracy.

– Nie ma jej – powiedział wreszcie. – Sirka przepadła. Rozsypała się.

– Wybierz jaką inną babę, byle kompletną. Z pustymi rękami nie wrócimy.

– Ta jest bardzo ładna, Braborka. Nic jej nie brakuje. Nawet mały paluszek nie odleciał, a włosy ma puszyste, takie rude.

– To właśnie o Braborce gadali, głupku. Sirka to była tylko ta, co tak wyładniała.

– Niech będzie Braborka. Też ładna.

– To od słońca zrudziała. Ona miała ciemne włosy. Ciemnokasztanowe. Pamiętam, chodziła z Jantem, *drevan vedanam*. Ostrożnie, tylko jej cycka nie ułam! Zostaw! Co ją z tego wyciągasz, pijaku jakiś cholerny! Bierzemy ją ze *celju kazetu*.

– Niesiemy całego pniaka?

– A jak byś chciał? To przecież lekkie, *gazovo dravo*. Jeden chłop uniesie.

– To po co nas dwóch wysłali?

– Na płask niesiemy, na płask. Żeby się Braborka nie rozleciała. I staraj się w robocie, bo *vedan* ma na ciebie oko. Już raz oberwałeś.

– Słabo widzę na to oko. Tylko jasność albo ciemność, nic więcej. Tak mi przyłożył.

– To się teraz staraj, póki ci drugie jeszcze zostało.

Kosima wykopał pniak i obaj wzięli go na ramiona. Jonczillo szedł pierwszy, Kosima za nim. Wolał mieć pijaka pod kontrolą.

– Smjaszka mi się widzi – powiedział Jonczillo, kiedy ruszyli. – Chciałbym *vyletat iz neju*.

– Smjaszka jest dla *vedana*, nie dla ciebie.

– Ale ja jestem wyższy od niego o głowę.

– Powiedz to przy Ovidanie, to ci drugie oko wybije. Ciebie *auraio* w ogóle nie dopuści do *vyleta* albo szczęzniesz za *nocelja*, nie przebudzisz się. Pijacy nie dożywają *vyleta*.

Przestali rozmawiać.

– Przestanę pić – powiedział po jakimś czasie Jonczillo.

– Się okaże – Kosima burknął pod nosem.

W milczeniu podchodzili dolinę. Koło południa było najgoręcej, a pień ciążył im nad miarę. Faktycznie Jonczillo w czasie powrotu ani razu nie sięgnął po butelkę, w pobliżu osady prawie całkiem przetrzeźwiał.

Kiedy doszli, wsparli *kazetu* o mur chaty. Ciekawscy malcy zlecieli się zaraz i zaczęli dotykać suchych stóp i podudzi Braborki.

– *Vlaczjas, smyjama! Vlaczjas!* – wrzasnął Kosima. Tylko tego brakowało, żeby dzieci połamały mumię i zmarnowały całodzienną pracę.

W ślad za dziećmi przyszedł nauczyciel. Skubał rudą brodę i świdrował ich wzrokiem. Kosima nie chciał z nim mówić. Lepiej żeby kto nie doniósł *vedanu*, że rozmawia z nauczycielem. Nie zamierzał już zawsze pracować wspólnie z pogardzanym Jonczillo.

– Dla kogo przynieśliście to *wspomnienie*? – surowo spytał Urbanec.

– *Vedan* polecił.

– Będzie stać w osadzie?

Kosima roześmiał się.

– No, gdzieżby w osadzie?

– To gdzie? – Nauczyciel się nie stropił.

– Podobno *auraio* o to prosił. Chce suchą pannę do samotni, zwyczajnej mu mała.

– *Auraio*?

– Właśnie on sam.

– Kiedy ją poniesiecie?

– A jutro z rana. Dzisiaj się ją schowa do *garadu vyletnikav*, żeby jaki *porok* się nie pomylił. Pogadają sobie obie z tą czerwonawą, co tam wisi pod sufitem. Znaczy, sucha potańczy, a pulchna jej poświęci do tańca. – Kosima wyszczerzył rzadkie zęby w uśmiechu, ale uważnie przypatrywał się reakcji nauczyciela, jakby oczekując uznania.

Urbanec jednak nie odezwał się więcej. Odwrócił się i odszedł. „Do czego oni potrzebują *wspomnienie?*”, zastanawiał się. „Czy *aurai* spróbują obudzić *vyletnicu?* Do czego to mogłoby się im przydać? Zanurzą ją w roztworze i sami zrobią *vyletan bazin* na Prevaju? Mają skryte sposoby, żeby to zrobić. Nam zdradzają tylko niewielką część swojej wiedzy. Czy oni chcą budzić posłusznych sobie, idealnych ludzi, którym my nie stawimy czoła? Którzy uczynią z nas swoich niewolników? Dlatego kazali dostarczyć sobie mumię najpiękniejszej kobiety z poprzedniego pokolenia”, myśli nie chciały odejść. „Już Gjacke i jego *zaplecnika* uczynili nas swoimi posłusznymi niewolnikami”, przyszła refleksja. „Innym panom służyć też możemy. Co za różnica?” Później jednak irracjonalny niepokój wrócił. „Do czego oni jej potrzebują?” kołatało się pod czerepem. Urbanec prawie nie słyszał odpowiedzi uczniów, bo natrętne myśli kłębiły się jak szara mgła, a wyjaśnienie nie nadchodziło.

67.

Kiedy nauczyciel poszedł sobie, Jonczillo zagadnął do towarzysza.

– Coś go tak podbierał z tymi babami?

– Ale się nie wygadał, chociaż miał na końcu języka.

– Z czym?

– Bo ta Sirka wcale nie musiała się rozsypać.

– A co? Łaziła sobie po okolicy i podziwiała widoki?

– Żebyś wiedział. Chociaż za dnia to by ją za bardzo słońce wysuszyło, kiedy by goła łąziła bez parasola, więc może rzeczywiście się rozsypała.

– Coś ty, durny?

– Durny? A to się przyjrzyj, co ta Braborka ma taką dziwną fryzurę.

– No, jakiś taki węzeł z włosów czy plecionkę. – Jonczillo wyteńczył prawe, zdrowe oko.

– A nie widzisz tego? Przypatrz się uważniej.

Jonczillo nie odezwał się.

– To ją na chwilę połóżmy na płask. Przypatrz się uważniej.

Jonczillo obejrzał dokładniej włosy mumii.

– Ona wisi za włosy, a nie za dziurę w głowie. Baric w ogóle jej nie zrobił dziury w czole.

– No właśnie. Taka baba budzi się w nocy i przychodzi do Barica.

– Do Barica? Przecież on szpetny... Liszaje mu już na głowę powychodziły. To lepiej by do mnie przyszła. – Roześmiał się.

– Z wdzięczności przychodzi, że jej głowy nie przedziurawił, mózgu nie zniszczył. A za co tobie miałyby być wdzięczna sucha baba? Ty byś ją rozerwał na kawałki, jak tego Dymytara. Masz szczęście, że Baric przedziurawił czoło Dymytarowi. Pogoniłby cię po osadzie za to, żeś go przepołowił, bo krzepki był z niego chłop.

– Pierwsze słyszę o tych suchych babach.

– To każde dziecko o tym wie, tylko nie ty. Z babami nie można przed *vyletam*, ale każda sucha baba jest już po *vyletu*, no nie? Nawet Ovidan nie zabroni, a *auriao* z daleka nie zobaczy. Wystarczy nie domknąć okiennicy i czekać, aż zastuka, żeby ją wpuścić.

– A jak Baric odróżnia, że to baba przyszła, a nie *porok*?

– Baby od *poroka* nie odróżni? Baba lekko rączką zastuka do okna, a *porok* wiadomo jak przywali. Dlatego każdą co ładniejszą wieszka się za włosy, a każdego chłopca bez wyjątku za dziurę w czole. Na wszelki wypadek. Nie każde się zbudzi, ale po co ryzykować, jakby któremu się zachciało wrócić do osady?

– I one tak wszystkie do Barica się schodzą na noc?

– Gdzie tam tylko do Barica? Do Waru też chodzą, bo obaj *razbatjela* je sprawiają po *vyletu*. Ale Waru ma cięższą rękę, gorzej je sprawia, to potem rzadziej z wdzięczności przychodzą.

– Coś mi się nie chce wierzyć w te suche baby – burknął Jonczillo.

– To przyważ, że na piętrze wzdłuż okien każdej *garady* idzie taka listwa, a wyżej jakby barierka, żeby się rękami chwycić. Dla *porokav* by tego nie zrobili. Sucha baba może przejść od okna do okna, a barierki się złapie, żeby nie spaść. To dla brązowych suchych bab jest.

– Ale ona przecież szpetna, taka pomarszczona... Nie to co Smjaszka.

– Jak się budzi, to schodzi do Styrmana i pije wodę, tyle wypije, co ją wysuszyło. Na powrót ciała nabiera, jak za młodu. Wszystkie zmarszczki się rozprostują, tylko ten brązowy kolor pozostaje. Najważniejsze, żeby jej mózgu nie zniszczyć, bo to każdego zabija na dobre. A Smjaszkę to ty sobie lepiej sam wybij z głowy, bo tak ci *vedan* przyłoży, że oślepniesz i na drugie oko.

– I te suche baby tak wszystkie do *razbatjelav* przychodzą?

– Nie tylko. Popatrz, ilu *stryżajav* wraca pod koniec *medinocelja*, kiedy się *vylet* już skończył i *vyletnice* poschły.

– No, paru ich przybyło.

– Właśnie. Cała sztuka to zatrzymać dłużej *jogra* przy słupach pamięci i suche baby same się do ciebie zleżą. Nudzą się na tych słupach, to lgną do *kornaacav*. Niektórzy z tym przesadzają, aż ich *skorja smyrt* oblezie.

– Jakże się te baby zleżą, skoro przywiązane do swoich *kazet*? – Sceptycyzm jakoś nie chciał opuścić rozmówcy.

– Jedna drugą odwiązuje. Tak sobie radzą, kiedy chętne.

– Jak to może być, że nikt mi o tym nie powiedział?

Kosima wzruszył ramionami.

– Ciebie tylko wino całymi dniami interesuje, toś o czym innym nawet nie rozmawiał z kumplami.

– Łebski chłop ten Baric, wie, co robi. – Jonczillo pokiwał wreszcie głową. – Ale mu ta panna przepadła, bo trafi do samotni.

– Ta do samotni, inna się rozsypała, ale nie szkodzi. Znajdzie się w słupach jeszcze parę niebrzydkich. Było co wybrać spośród *vyletnic*. Udane panny. A jeszcze ta jedna Dziwaczka pozostała. Chyba najwdzięczniejsza z nich była, ale z niej to teraz będzie wielka pani *auraiica*...

– Mnie tam się starsze dziewczyny nie podobały. – Jonczillo wzruszył ramionami. – A ty się teraz przyznaj, że nabierałeś mnie z tymi suchymi babami. Do ciebie żadna jeszcze nie przyszła?

– Może jaka przyjdzie po dzisiejszym, jak mnie sobie tam ze słupa upatrzyła. Raz widziałem, jak taka wchodzi przez okno do Waru. Bardzo ciemna była i gibka taka. Wszystkie zmarszczki jej się naprostowały.

– Goła laźła?

– No a jak miała inaczej? Przecież one w tych *kazetach* to odzienia wziąć skąd nie mają.

– Może by im zostawić tam jakie lachy, to która wdzięczność do człowieka poczuje i odwiedzi nocą? Ale jak mnie porani suchą łapą, to ci przyłożę!

– Właśnie. Trzeba postawić suchą pannę na sztorc i przenieść do cienia, bo się jeszcze rozpęknie, a wtedy wdzięczna nie będzie i na pewno przed snem przydusi... Przypasujemy jej jaki dekiel do tej *kazeti*, żeby się jej krzywda nie stała, jak ją poniosą na Prevaj. Na pewno wdzięczna będzie za to, na wieczór się zbierze z tego pudła.

– Chciałbyś. A od robienia *kazet* i dekli jest *razbatjel* – powiedział Jonczillo, patrząc na zbliżającego się Niklo Waru.

– Postawcie ją przy bramie – zaczął Niklo. – Zrobię do *kazeti* pasowny dekiel, a jutro się ją wyniesie na Prevaj.

Kosima porozumiewawczo spojrział na Jonczillo.

„A ta pulchna, wisząca ze świecznikami pod sufitem, niby też ożywa?”, pomyślał Jonczillo. „Co on mi tu bredzi? Ona przecież jest z drewna”.

68.

Wreszcie zamknęły się ostatnie *krve znama* na skórze Alicy, w porę, bo był już najwyższy czas, aby posadzić pióra na jej ciele. Do nadejścia *nocelja* muszą zakorzenieć się i dojrzeć.

Ajfrid przeczesywał swoje pióra, pasmo za pasmem. Miał z czego wybierać. Pod koniec *medinocelja*, kiedy słońce już znacznie obniżyło się w swej drodze, były najdorodniejsze i nadawały się do zbioru. „Zbierze się z łydek i przedramion, może też trochę z ud”, pomyślał. „Tyle wystarczy”. Każdy ścięty organizm dzielono na plasterki, które sadzono w skórze. Cylindryczna łożyczka pióra starczała na wiele sadzonek.

Nie wiedział, jak zacząć rozmowę. Od kiedy się jej poprawiło, Alica znowu nie pozwoliła oglądać się naga. Nie lubiła tego, a po sadzeniu piór będzie musiała pożegnać się ze strojem na zawsze. Nie wyzdrowiała, bo nie wycofała się ze swoich urojeń, lecz nowych nie miała. Ajfrid zastanawiał się, jak jej wytłumaczyć, że niektóre fakty, które jej wydawały się obiektywną rzeczywistością, świadectwem zmysłów, były tylko tych zmysłów produktem. Przekonywanie jej, by potraktowała część swoich przeżyć jako ułudę, odebrałaby z pewnością jako przymuszanie do kłamstwa.

Niedawno przyniesiono do samotni Braborkę. *Nosiczja* męczyli się, bo mumia nie całkiem wyschła i jeszcze sporo ważyła. Ułożono ją w największej sali, jak zadysponowała Alica. Braborka stała w *kazetu*, gdyż warkocz mógłby się urwać pod ciężarem ciała. Ajfrid owinał jej szyję, brzuch, uda i ramiona bandażem, żeby za bardzo się nie marszczyły przy suszeniu. Alica kazała podwiązać też piersi, bo stwierdziła, że są za duże i za długie.

– Były mniejsze, ale nabrzmiały w płynie. Teraz są podobne do twoich – powiedział. – Nie są ani za duże, ani za długie.

– Nie chcę, żeby się jej za bardzo rozciągnęły.

– Dbasz o nią.

– Nie chcę, żeby mnie zaatakowała. Nie można jej oszpecać. Musi być zadowolona ze swojego wyglądu.

Z początku zastanawiał się, czy nie zanurzyć Braborki na jakiś czas w wodzie, żeby zmarszczki się cofnęły, a potem ją wolno wysuszyć. Ale zmarszczek nie było jeszcze zbyt wiele, a bandaże powinny pomóc. Trochę starań znacznie poprawi wygląd mumii.

Alica przesiadywała godzinami przed Braborką. Czasem ją rysowała, czasem tylko siedziała w milczeniu i patrzyła na nią. Powstało kilkanaście podobizn mumii. Ajfrid podejrzewał, że Alica stara się wykryć podejrzaną zmianę, których stale oczekuje.

Kokonik przy składziku był pusty. Poroczątki wylęgły się i rozeszły, kiedy zeszli na parę dni dokumentować mumie i brać udział w Świącie Nowych *Wspomnień*. A może zaszło to wcześniej, w czasie nasilenia choroby Alicy, kiedy rzadko sprawdzali, co się dzieje za samotnią. Dziewczyna na razie nie mówiła nic o ucieczce Jadòviny, ale Ajfrid nie miał wątpliwości, że ten temat wróci, kiedy skończy się okres polepszenia.

Dzisiaj Alica też siedziała przed brązową mumią.

– Mówi do ciebie?

– Nie. Dalej milczy.

„Jak zagadnąć o sadzeniu piór...?” Wziął się do rysowania. Na schemacie sylwetki kobiecej zaznaczył pióra w trzech barwach.

Zaraz ją to zainteresowało. Rysowanie było jej pasją, nie obowiązkiem.

– Ależ to pokraczne! To ma być ludzka postać?

Nie odezwał się. Cóż, nie umiał lepiej rysować.

– To schemat piór Drevanej Auraicy?

– Nie. Tak będą wyglądały twoje pióra. Wymyśliłem piękny wzór. Oprócz płomienistych pasów na ramionach i udach, a też na podudziach i przedramionach, będziesz miała ciało ładnie obramowane złotymi piórami.

– Jak karapaks *vatran poroka*?

– Właśnie.

– To już zupełnie nie będę mogła chodzić po nocy.

– I tak ci nie wolno.

– Dlaczego to rysujesz?

– Nadeszła pora sadzenia piór. *Nocelj* się zbliża. Najwyższy czas, żebyś została *vatran auraicu*.

– Nie jestem jeszcze zdrowa.

– *Krve znama* się zamknęły. *Nocelj* nadchodzi, czasu nie ma.

– A jeśli *krve znama* się otworzą?

– Najwyżej jedno albo dwa. Pióra poradzą sobie z nimi.

– Wykąp mnie. Dlaczego trzeba kąpać się dzień przed rozpoczęciem sadzenia?
„Czytała opis procedury”, pomyślał. „Może nawet nauczyła się tego na pamięć”.
– Skóra się zmienia. Przez noc wróci do normy. Wykąpię cię – powiedział. – A potem będziesz leżeć spokojnie do wieczora, wyśpisz się i rano zaczniemy.

– Dobrze.

Kiedy przykrył ją po kąpieli kocem, powiedział:

– Już dziewczyny nie przebiorą się za ciebie z okazji Pochodu Pamięci.

– Dam Mjadce kubraczek, spódnicę i halkę. Jest trochę niższa, to skróci. Może ona też zostanie kiedyś *auraicu*.

– Na pewno się ucieszy.

– Co to warte? Tyle razy je Braborka podmieniała, że sama nie wiem, co noszę. Przynajmniej przestanie robić sztuczki z moim odzieniem. Podeschnie, to się ją podciągnie na warkoczu i przestanie gonić po samotni.

– Znowu ci podmienia odzież?

– Myślę, że znowu zaczyna. Przynajmniej choroba odeszła.

Ajfrid zmarkotniał. Na dodatek nie miał pewności, czy inwazja piór nie wywoła nawrotu *krve znam* i nie zabije Alicy. Wolno je było sadzić wyłącznie na zdrowej skórze.

Późnym wieczorem zalał zioła wrzątkiem i sporządził ostro pachnący złocisty roztwór. Wymył w gorącej wodzie nóż do sadzenia piór, a potem zanurzył go głęboko w płynie i zostawił do rana.

69.

Alica przespała noc przykryta cienkim pledem. Długo nie mogła usnąć. W mroku snuły się szare postaci. Wyszły jednak z półsnu, nie z urojeń. Potem znikły. Zmarzła nad ranem, nie mogła dospać poranka. Ajfrid długo rozmyślał, niepokój nie pozwalał zasnąć. Mieli przekroczyć próg bez powrotu. Alica zmieni się w inną istotę.

– Kiedy zaczniemy? – spytała.

– Po jedzeniu. A teraz pochodź sobie na golasa. Przyzwyczaj się, że od dzisiaj już tylko tak będziesz chodzić.

– Przyzwyczaiałam się już wcześniej. Zresztą ty wyglądasz na grubo odzianego. Mojej nagości też nikt nie zauważy.

– To odczucie jakby futra, nie odzieży. Trzeba garścią podnosić pióra do góry.

– Przyjemne odczucie?

– Z początku to morderczy ból, swędzenie nie do zniesienia, wysoka gorączka.

Podobno może zabić. Potem boli mniej, a jak pióra wyrosną, to przyjemne uczucie. Kiedy zaś pióra cię karmią, to już reakcja skóry zadziwia. Nie wszyscy to lubią.

– A ty?

– Ja polubiłem. Jakby skóra rozgrzewała się miejscami, potem stygła i znowu rozgrzewała się, a pod skórą przepływał prąd, niby nurt Styrmiana.

– Taki zimny?

– Właśnie. No, bierzmy się do roboty.

Alica spojrzała z obawą.

– Właśnie tym przyrządem?

– Znalazłaś go przecież.

– To może zrobić dziury głębokie na paznokiec.

Pokręcił głową.

– Na dwa, najwyżej na trzy milimetry.

– Ale ranę można okropnie rozerwać.

– O, tym się ustawia ostrza na średnicę pióra, a one mają po trzy, najwyżej cztery milimetry średnicy. To nie są duże rany, ale i tak bolą nieznośnie. Raczej pieką, niż bolą.

– To ty go czyściłeś z rdzy, nie Braborka?

– Tak.

Patrzyła w milczeniu. Jednak jej wzrok pozostał badawczy, przenikliwy, nie uciekał w głąb myśli, w chorobę.

– Dalej się mnie boisz?

– Z początku bałam się ciebie. Teraz już nie. No, może trochę. Jesteś stary, wiesz wszystko.

– Różni nas tylko jeden *nocelj*. Poza mną ty tutaj jesteś najstarsza.

– Ale to nie to samo.

– Ciebie pewnie też się już boją.

– Nie muszą.

– Mnie też nie.

– Ale ty jesteś *vatran auraio*.

– Bierzmy się do roboty. Od jutra ty będziesz *vatran auraica* i na pewno ciebie też wszyscy będą się bali.

– To chyba nigdy nie będzie to samo. Pamiętam przecież, jak byłeś *vyletnikam* i chodziłeś z Gatą, a ja byłam ledwie *patnocljnicu*, na którą nawet nie spojrzałeś.

– Już mi kiedyś to mówiłaś. Po prostu przyzwyczaj się, że jest już inaczej.

Przeszli do najjaśniejszej sali samotni, do czytelnicy. Oprócz noża Ajfrid wziął kartkę ze schematem przyszłych barw na ciele Alicy. Ta się uśmiechnęła.

– To też?

– Oczywiście. Chcę, żebyś wyglądała najpiękniej.

– Myślałam, że rysowałeś dla zabawy.

– Skądże.

– Masz niewiele złotych piór. – Znowu go pouczała.

– Starczy.

– A jeszcze te złote lampasy wzdłuż boków i talii... – dalej się drażniła.

– Specjalnie po to, żeby w talii cię wyszczuplić.

– No wiesz...?! Sam mówiłeś, że jestem idealnie zgrabna – zaperzyła się. – No, może te biodra...

– Biodra są w porządku. Ale złotych piór na podkreślenie talii może nie starczyć.

– Dostyc tego.

Uśmiechnął się przewrotnie.

– Ściągnij koszulę i stań na środku pokoju, żeby było wszystko dobrze widać.

– Chciałbyś.

– Tak musi być.

– Dobrze, ale się odwróć.

– Znowu? – stęknął. – Widziałem cię tyle razy.

– Nie szkodzi. Nie gap się za wiele.

Odwrócił się.

– Już.

Alica stała jak imponujący posąg kobiety. Wyprostowana na wdechu, dumnie wypinała ciężki biust.

– No...?

– Tak, tak. Nabierałem cię. Jesteś bezbłędnie zbudowana. Będzie z ciebie najpiękniejsza *vatran auraica*, jaka kiedykolwiek żyła w Matcinaj Dolane.

– Tylko tyle?

– Wypuść powietrze. Długo tak nie wytrzymasz.

Parsknęła śmiechem, wydychając powietrze z płuc.

– Tak też pięknie wyglądają.

– Przestań. Dekoncentrujesz mnie.

– No, wreszcie – zachichotała, a oczy jej zabłysnęły.

– Jak zawsze. Możesz wątpić...?

Nie odpowiedziała.

– Zaczynamy od złotych piór. – Ajfrid nasycił złocistym roztworem kłębek białego płótna i zaczął starannie wcierać barwny płyn w jej skórę w miejscach przewidzianych pod złociste pióra. Kiedy symetryczny wzór zabarwił ciało Alicy na złocistopomarańczowy kolor, ze swojego podudzia ściął jedno z piór i położył je na blacie biurka. Ścięte pióro nie poruszało się, lecz opalizowało, natężenie barwy ciągle wędrowało wzdłuż jego długości.

– To wciśniesz mi do rany?

– Tak. Ja też się tego uczę.

Pokroił złote pióro na płaskie plasterki. Ujął ramię Alicy i przycisnął do niego ostrze noża do sadzenia piór. Dobrze zakonserwowany mechanizm chodził gładko. Złożone ostrza płytko przekłuły skórę, a następnie rozsunęły się w cztery strony, rozciągając kolistą ranę akurat na średnicę pióra. Ułożył złoty dysk na ranie. Następnie zluzował nóż, a skóra zacisnęła się na wszczepie.

– Nawet nie krwawi – powiedział.

– Nie czuję bólu, skóra mi odrętwiała.

– Płyn znieczulił skórę.

Obok zrobił kolejne nakłucie i rozszerzył je. Drugi dysk ładnie zablokował się w ranie. Małą kroplę krwi starł szmatką umoczoną w płynie dezynfekcyjnym.

– Weszło trochę za głęboko – powiedział. – Może trochę krwawić.

– Też nie boli.

W następne nakłucie wprowadził kolejny plasterek pióra, i znowu, i znowu. Nakłuwał jej skórę miejsce przy miejscu. Dziur szybko przybywało. W dolnej części jej ramion pojawiały się dwa złociste pasy. Wyżej, też po natarciu skóry płynem, wszczepił czerwone pióra. Utworzyły szeroki pas. Kiedy skończyli pracę przy ramionach, zaczął sadzić szeroki złocisty pas okalający dolne części bioder, a wyżej równy co do szerokości pas czerwony.

– Najpierw barwy?

– Tak. Resztę wypełnimy czarnymi piórami.

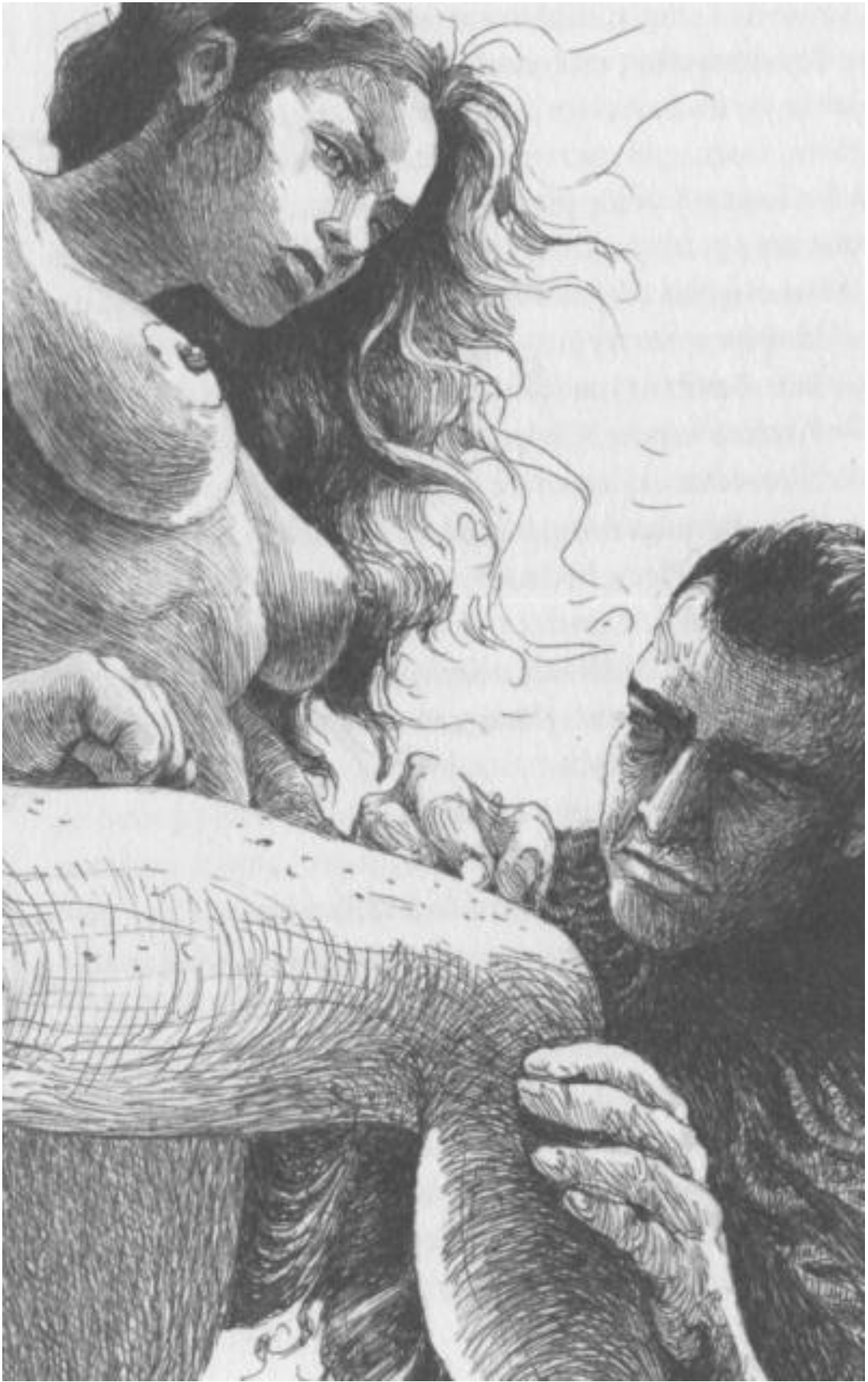
– Poszerz te pasy. Chcę wyglądać jak najjaśniej.

– Nie wiem, czy szerokie pasy będą ładne.

– To zrób mi czerwone pasy na plecach.

– Nie, nie. Plecy będziesz miała czarne, ale otoczone złocistą lamówką. Zasadzę pojedyncze czerwone pióra na twojej pupie i na biodrach, żeby rozjaśnić tren z piór.

Jednak nieco poszerzył barwne pasy zarówno na jej ramionach, jak i na udach.
– Boli coraz bardziej – powiedziała.



- Jesteśmy w jednej trzeciej.

Dłużej trwało podkreślenie konturu pleców złotą obwódką. Zmienił zamiar i pociągnął ją niżej, obejmując kontur bioder i zamykając wzór pod pośladkami. Od góry otwartymi liniami wprowadził go aż do granicy włosów.

Od przodu powiodł podobny pasek, ale od dołu otwarty, to znaczy przechodzący linią bioder i łączący się z linią od tyłu. Od góry poprowadził szeroką złotą linię – najpierw wzdłuż obojczyków, a następnie od dołka obojczykowego z powrotem w skos na zewnątrz w górę, po linii mięśni ku uszom.

Dzięki licznym złocistym pasom *vatran auraica* będzie znacznie jaśniejsza od niego.

Na głowie piór nie sadził. Źle przyjmowały się na skórze owłosionej. Kiedy ukończył formowanie barwnego wzoru, wziął się za czarne. Sadził je gęsto, by szczelnie wypełniły pozostałe wolne miejsca. Miały mniejszą średnicę niż złote czy czerwone, a w dotyku wydawały się bardziej elastyczne.

Wreszcie cała skóra na tułowi powyżej pasa i ramionach Alicy zmieniła się w mapę dziur przetykanych barwnymi dyskami. Czasami na krawędzi otworu pojawiła się kropelka krwi.

– Teraz robimy dół – powiedział. – Stań na stole.

– Trochę mi się kręci w głowie.

– Jak poczujesz się słabo, zaraz ostrzegaj.

– Może być ze mną gorzej. Przerwijmy pracę, a resztę posadźmy jutro.

– Wykluczone. Nie wolno przerwać sadzenia piór.

– To przesunąć stół pod hak i przywiązać mi do niego ręce. Zawisnę na nim, gdybym zemdlą.

– Teraz wiesz, po co jest hak.

– Myślałam, że do krępowania buntowników.

– Jesteś wychowanką buntownicy Gaty...

– Przestań. Ja nie wepchałam się w zamian za nią. Nie myślałam o jej miejscu.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Drevana Auraica tobie nie zakładała tych kajdan? – spytała po chwili milczenia.

– Nie trzeba było. Nie zemdląłem. Przesunę ten stół.

Mebel zazgrzytał o posadzkę. Nogi trafiły w cztery płytkie wgłębienia, zrobione, aby stał równo pod hakiem.

– Zdejmij sandały, żeby się nie pośliznąć.

– Ty je zdejmij. Nie mogę się schylać.

Rozwiązał rzemyki obuwia, następnie ujął ją za rękę i pomógł wyjść na stół i stanąć na nim.

– Od początku trzeba było stać pod tym hakiem. – Założyła na przeguby skórzane obejmy. – Zasznurowuj. – Wyciągnęła ku niemu rękę.

Ajfrid zawiązał skórzane taśmy na jej nadgarstkach, nie zaciskując ich.

– Już tu kiedyś stałam. – Alica sama zaplotła rzemienie do haka. – Bałam się bardzo, żeby Braborka nie rozplątała tych więzów. – Stojąc na stole, sięgała pod samo sklepienie; ręce oparła na głowie.

Auraio wziął się do pracy. Sadził pióra od samego dołu, od połowy podudzi, idąc w górę jej nóg. Trzeba było uważać na goleniach, by nóż nie ukłuł za głęboko i nie przebił którejs z żył nabrzmiątych pod skórą.

– Pióra nie mogą sięgać za wysoko, by nie utrudniać ci chodzenia. – Sadził teraz na wewnętrznych powierzchniach ud.

– Jestem przygotowana na wszystko... – prychnęła.

– Zbyt blisko pachwiny pióra tracą barwę, wyrodnieją w szare, twarde kłacza o ostrych krawędziach, które sprawiają ból nosicielowi. Atakują *auraio*.

– No dobrze. Rób swoje.

Musiała jednak przez jakiś czas stać mocno rozkraczona, co ją irytowało.

Zdażył uporać się z sadzeniem piór na górze ud, kiedy Alica zemdląca. Gdyby nie więzy, spadłaby do tyłu.

Zaraz był przy niej na stole. Lekko ją uniósł, żeby ulżyć ramionom. Otworzyła oczy.

– Co...? Już skończyłeś?

– Jeszcze nie. Na chwilę straciłaś przytomność.

– Już dobrze. Mogę stać o własnych siłach.

Zostały mu tylko uda i łydki do połowy. Wrócił do pracy. Pracował jak automat. Drugi raz Alica zemdląca tylko na moment. Podniosła się sama.

– Dobrze są te więzi, ale skóra na przegubach się ociera, kiedy na nich zawisam.

– Uważaj, żeby nie rozwiązać pętli, kiedy powstajesz.

– Wiem przecież. Spiesz się, bo słabnę.

– Tak.

Powierzchnia jej skóry przypominała zbiorowisko kraterów, napuchnięte obręcze zaraz otaczały wszczepione dyski.

– Boli mnie coraz bardziej. Swędzi i piecze.

– Znieczulenie przestaje działać.

– Jak zemdleję, to mnie nie budź, tylko sadź pióra...

Po chwili znowu bezwładnie zawisła na wyciągniętych ramionach. Ajfrid przyniósł kubek wina mlecznego. Otworzyła oczy.

– Wypij trochę. Wzmocni cię.

– Źle się czuję.

– Jeszcze trochę wytrzymaj. Będzie coraz lepiej.

Jej stan się zmieniał. Już do końca zabiegu nie straciła świadomości. Może to wpływ napoju, może substancji wydzielanych przez wszczepiane pióra. Alica była coraz bardziej pobudzona. Przeginała się, by wygodniej mu było pracować.

– Znow jestem silna. Tylko boli coraz bardziej. Zaraz zacznę podskakiwać, żeby się nie wściec.

Dziesięć minut później odłożył nóż.

– Koniec roboty. Więcej piór nie da się wcisnąć. – Rozwiązał ją i pomógł zejść na podłogę. – Uważaj na drzazgi.

– Załóż mi sandały i rozwiąż mnie.

Szybko spełnił jej polecenia.

– Teraz wyjdź. Chcę zostać sama.

– Dobrze. Tylko nie siadaj – dodał. – Teraz musisz stać.

– Wiem.

71.

Kiedy wrócił do czytelnicy, Alica nadal stała z ramionami uniesionymi nad głową. Rozpierała ją energia. Omdlenie nie groziło. Cała skóra piekła i mrowiła. Sama myśl o odzianiu się wzbudzała palący ból. Myśl o zmianie pozycji także.

Ajfrid przyjrzał się żywemu posagowi.

– Prawie nie krwawisz. O tu, wytrę... – Gałgankiem usunął samotną kropelkę krwi ze skraju złotego kółeczka. – Bardzo boli?

– Nie do wytrzymania. Ale to raczej nieznośne łaskotanie. Mam ochotę drapać się i drapać. Wydłubać z siebie te wszystkie kawałki. A ty wreszcie się napatrzysz.

– Tak. Nie uciekniesz mi.

– Ale mogę cię stąd przegnać.

– Nie zrobisz ani jednego, ani drugiego. Wszystkie ziarenka muszą przyrosnąć. – Startł nową kropelkę, która zebrała się na krawędzi krateru w połowie uda.

Chwilę milczeli. Ajfrid przeglądał jej skórę.

– Napatrz się, napatrz – powiedziała. – To już ostatni raz. Na zawsze stracisz ten widok.

– Tak. Na wieczór spuchniesz i przestaniesz przypominać ludzką istotę, a potem wyrosną ci pióra i zawsze już będziesz wyglądać jak ubrana.

– Nie wiem, jak przyzwyczaję się do chodzenia stale nago.

– Pomyśl, że to strój. Wygląda jak odzienie, a grzeje czasem nawet bardziej. Tyle że nigdy tego nie zdejmiesz, a zaczniesz się o nie troszczyć.

– Dlaczego nie posadziłeś mi piór na głowie?

– Trzeba by ci powyrywać wszystkie włosy. W przeciwnym razie wrastają w pióra i robi się przewlekłe zapalenie. Ja też nie mam piór na głowie i *krve znama* mnie nie zjadły, to i tobie nic się nie stanie.

– Na piersiach też nic nie posadziłeś.

– Taak? Może przegapiłem...

– Nie kłam.

– Z tego samego powodu – burknął. – Nie chcę, żebyś miała włochate piersi. Zresztą one i tak cię będą boleć najbardziej.

– A jak *krve znama* je zaatakują? Nic nie będziesz miał, nawet owłosionych piersi.

– Nie zaatakują.

– A kobietom wolno zostawiać głowę nie pokrytą piórami?

– Wolno. Przestań się droczyć. Będziesz stała spokojnie?

– Przy każdym ruchu można się wściec z bólu.

– To cię narysuję. Nie ma rysunku wzorcowej kobiety.

– Podziurawionej. Tylko nie bierz największej kartki!

– Dlaczego nie? Chcę cię narysować starannie.

– Bo się będzie podwijać. Ta karta wystaje poza inne. Nie chcę potem stracić nóg, jak się papier ukruszy.

– To tylko rysunek, nic więcej. Nie jest twoją częścią, nie skłoni twojego ciała do takiej czy innej przemiany. Nogi ci nie odpadną, jak kartka się podrze.

– Kto to wie. Bierz się do rysowania. I lepiej się nie pomył. Nie chcę zbrzydnać.

„Dlatego właśnie chciałem wziąć tę dużą kartkę, bo da się oddać więcej szczegółów” pomyślał.

– Chciałem, żeby rysunek wyszedł najpiękniejszy – powiedział.

W Matcinaj Dolane wiele osób wierzyło, że rysunki w jakiś sposób żyją. To, że Alica przyozdobiła nowe podręczniki szkicami oraz zaczęła rysować mieszkańców, wzbudziło

wielkie zainteresowanie. Jedne osoby broniły się przed uwiecznieniem na papierze, inne nalegały, żeby tworzyć ich podobizny. Jedni bali się, że zostaną przypięci do białej kartki trzymanej w zamknięciu, wysoko na przełęczu; inni uważali, że dzięki temu drapieznik ich nie zabije, bo nie może jednocześnie zaatakować osoby i jej części, ukrytej bardzo daleko.

Wieczorem Alica dostała wysokiej gorączki, a jej skórę pokrył rumień. Spuchła, zasiane pióra schowały się w głębokich zagłębieniach. Chwilami traciła świadomość, skóra piekła. Ajfrid ułożył ją pod cienkim płótnem. Zwilżał jej spękane wargi chłodną wodą.

– Przetrzyj mi wodą koniuszki piersi – powiedziała. – Pęcznieją, jakby chciały eksplodować.

Spuchnięte kwiatki miała obwiedzione czerwonym pasem. Zrobił, co powiedziała.

– Uch! Ulga. Rób tak często.

– A tutaj? – Lekko przetaił wilgotną szmatką wargi jej łona.

– Tak, koniecznie też. Tam piecze okropnie.

To miejsce miała bolesne, gorące, szczególnie podrażnione. „Dlaczego boli skóra nie pokryta piórami? Czy one atakują śluzówki i wszystkie miejsca, gdzie skóra jest delikatniejsza?” zastanawiał się. Powieki były zapuchnięte, zropiałe i zaczerwienione, więc też przecierał je chłodnym wacikiem. Zimna woda przynosiła doraźną ulgę.

Alica przewracała się, jęcząc z bólu. Nie mogła usnąć. Nad ranem jęczała ciszej, ruszała się mniej, rzadziej zmieniała pozycję. Ajfrid stracił kontakt z rzeczywistością. Zbudził się wymięty i spocony na karku. W ustach czuł nieprzyjemny, nieświeży smak. Kości bolały od niewygodnej pozycji. Alica leciutko chrapała, leżąc na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami. Położył dłoń na jej czole. Nie było rozpalone.

Otworzyła oczy. Spojrzała nieprzytomnie.

– Tak...? Dobrze się czujesz? – zapytała.

Uśmiechnął się.

– Musiało ci się coś przyśnić.

– Boli mnie cała skóra.

– Ale chyba już mniej? Zjesz coś?

– Tak. – Usiadła. – Piecze mnie siedzenie. Zjem na stojąco.

– Wyrosną ci tam długie pióra, ogon *vatran auraio*. Warto z tego powodu przez jakiś czas jeść na stojąco.

– Przestań! – prychnęła. – Ach! Jak boli!

Przez parę dni podziwiał żywy, chodzący posąg. Alica nie odziewała się, a pióra jeszcze nie wystawały ponad powierzchnię jej skóry, opuchlizna zaś ustępowała. Dla

zmniejszenia bólu godzinami stała bez ruchu. Powstało wtedy kilkanaście bardzo dobrych rysunków jej sylwetki. Ajfrid chciał, żeby w przyszłości były kopiowane w podręcznikach jako wzór idealnej budowy kobiety.

- W słońcu boli mnie znacznie mniej – powiedziała pewnego razu, stojąc w oknie.
- One wtedy odżywiają się światłem słonecznym, a nie kosztem twojego organizmu.
- Może powinnam wyjść na werandę albo pod daszek?
- Lepiej nie. Jest zbyt zimno.

72.

Dawno nie był w Matcinaj Dolane, jednak nie chciał jeszcze opuścić Alicy, choć jej stan poprawiał się z dnia na dzień. Pióra zagnieździły się w jej ciele, zrosły ze skórą i otorbiły sztywną błonę. Skóra pokryła się wystającymi guzkami. Wyglądało to tak, jakby ciało Alicy było niedoskonale wykończoną rzeźbą, której leniwemu twórcy nie chciało się nadać gładkości właściwej ciału kobiety. Mówiła, że czuje napięcie naciągniętej skóry, ale ból ustał. Kąpiele w świetle słonecznym nie pomagały. Przyzwyczaiła się już do nagości w każdej sytuacji. Jedynie zakładała sandały. Ajfrid ilustrował przemiany zachodzące na jej skórze. Alica cierpliwie pozowała.

Po tygodniu pióra wzeszły. Jedno za drugim wyrzynały się z otorbionych pęcherzy. Na szczycie każdego guza Ajfrid naciął twardą błonę na krzyż.

- Czy tak wolno? Tego nie ma w opisie.
- Uzupełnimy opis sadzenia piór. Dzień wzejścia piór przestanie być okupowany bólem. Dość się nacierpiałś.
- Nie zaszkodzi to piórom? Nie chcę drugi raz cierpieć sadzenia.
- Nie zaszkodzi. A moje pióra i tak już odrosły. One dobrze sobie radzą w naszej skórze.

Wzrost piór przyspieszył. Już następnego dnia wszystkie były widoczne. Od razu ubarwione: sporo wypukłych czerwonych dysków, wiele żółtych, ale większość czarnych.

Ajfrid niepokoił się, jak idą sprawy w osadzie. Pamiętał dziwne wypowiedzi nauczyciela. Chciał sprawdzić, czy Urbanec uczy dzieci, czy może zapatrzony w siebie, sączy im tylko w głowy swoje wymysły. Jego poprzednie wypowiedzi nie musiały być wynikiem działania halucynogenu.

Z każdym dniem pióra wydłużały się. Były sztywne, cylindryczne, niedojrzałe. Ajfrid co dzień mierzył ich długość. Obawiał się, czy *krve znama* zostały zaleczone, czy tylko zamknęły się szczeliny i dziurki w jej skórze, a wrogie mikroorganizmy skryły się we wnętrzu.

Alica stała przy oknie w promieniu słonecznym i czytała stare teksty, których nie zamieszczano w podręcznikach. Postanowiła skopiować całe archiwum.

Braborka sporo już podeschła. Ważyła znacznie mniej. Ajfrid wyjął ją z *kazeti*. Rozluźniał kolejne zwoje i ściągał bandaż. Zmarszczki nieco pogłębiły się, ale ciasne skrepowanie skóry pomogło i ogólny wygląd nie pogorszył się. Nogi ułożyły się równo, a piersi symetrycznie. Pozostawił jeszcze bandażę podtrzymujące piersi i skrepowane nogi, żeby się nie zdeformowały.

– Nie jest zniszczona. Nic się jej nie ułamało. Zasycha ładnie, symetrycznie.

– Wygląda prawie jak żywa. Trzeba pilnować, żeby nie łąziła wieczorami.

Spojrzał badawczo. „Urojenia wracają...?”

– No zobacz, jakie ma mięśnie – wytłumaczyła się, jakby czytając w jego myślach. – Normalne i kształtne.

– Trochę jest rozczochrana – powiedziała. – Nie obrazi się za to? Można by ją przyczesać, żeby się nie rozgniewała.

– Lepiej nie. Straci za dużo włosów.

W czasie kiedy Braborka tkwiła jeszcze przy drodze w dolinie, wspierała się na swoich nogach, a przez to warkocz nie został zniszczony. Włosy nie wytargały się.

– Można skrócić węzeł warkocza, ale wtedy trzeba podeprzeć stopy. Niech jeszcze nie wisi. Powinna doschnąć.

Alica kazała postawić *kazetu* w kącie biblioteki, przed jedną z szaf z kartkami manuskryptów. Sucha ruda kobieta stała ciągle na jej widoku. Mogła co chwilę sprawdzać jej obecność. Ajfrid widział, że to Alicy pomaga.

73.

Dwa dni później zszedł do osady. W dolinie było ciepło, ale nie upalnie.

Nauczyciel siedział przy oknie w szkolnej sali. Coś czytał i co chwilę notował. Ajfrid przyniósł mu nowy podręcznik zoologii Matcinaj Dolany, napisany przez Alicę. Książka, przeznaczona dla najstarszych uczniów, zawierała sporo nowych informacji. „Może to go wreszcie zadowoli?”, pomyślał Ajfrid. „Gdyby Gjacke uczył się z tego podręcznika, nigdy nie wpadłby na bezsensowny pomysł uboju *volcav*”.

Urbanec nie przerywał lektury. Łysiał w zastraszającym tempie. Rude włosy odsłoniły błyszczący czerep.

„Inni piją, śpiewają, a ten czyta za każdym razem, kiedy go widzę”, pomyślał Ajfrid.

Nauczyciel dalej nie reagował, więc Ajfrid poruszył się głośniejsze. Pióra zaszemrały.

Zachowanie Urbaneca mogło być celowym ignorowaniem przybyłego. *Auraio* powinien zostać powitany, kiedy wchodzi do izby.

Urbanec wreszcie podniósł głowę znad notatek.

– Ach, to ty... – powiedział. – Mam wiele pytań do nowego podręcznika.

– Dostaniesz jeszcze nowszy. Przyniosłem tom dla najstarszych uczniów. Jest tak szczegółowy, jak tylko się dało. Więcej nie wiemy o zwierzętach Matcinaj Dolany.

– To dobrze. Ale najpierw sam się go nauczę.

– Jasne. Czy to ty wymyśliłeś nowy rodzaj uboju *volcav*? Podsunąłeś Ovidanowi pomysł ramy do ścinania głów?

– Nie rozmawiam z *vedanam*. Wtrąca się do mojej pracy, awanturuje się. Omijamy się. To był jego pomysł. I to mu powiedziałem, dlatego przestał ze mną rozmawiać.

Ajfrid nie wiedział, co odpowiedzieć. Jemu nie było wolno podważać autorytetu *vedana*, zwłaszcza jeśli to ktoś taki jak Gjacke Ovidan, bo groziło to przerwaniem kontaktów z osadą.

– Nigdy nie byłem na Prewaju – przerwał milczenie Urbanec. – Widać stamtąd inne granie?

– Oczywiście, przecież Prevaj oddziela Matcinu Dolanu od Bezladnu Dolanu.

– To wiem, ale czy widać więcej grani górskich? To byłby dowód na istnienie innych dolin.

– Od północy zamyka wszystko Ljedan Grbat. To straszliwe, niedostępne, czarne ściany, zerwy skalne i jęzory lodowców.

Urbanec zrobił bezmyślną minę.

– Ale jak patrzysz na wschód czy na zachód, to ponad przełęczami widać inne granie – potwierdził *auraio*.

– A wiele ich widać? Jedną, dwie, trzy?

– Gdzie tam... Z początku wydają się niezliczone, ale da się je policzyć. Policzę je i powiem ci, ile ich widać z każdej strony.

– Skoro te grzebienie widać znad okolicznych grani, to krzywizna ziemi jest bardzo mała. Więc może być wiele dolin, do których można by dotrzeć bez groźby upadku w otchłań.

– Wydaje się, że tak. Pamiętam, że wspominałeś o wyprawie badawczej do Bezladnaj Dolany. Teraz nadszedł odpowiedni czas na taką wyprawę. Wegetacja tam się już ucisza. Jest szansa, że badacze ujdą z życiem.

– Myślałem o innych dolinach, skoro Bezladna jest wroga.

– Dalej zajdziesz, idąc nową doliną od samej góry. Każda grań w dół się rozgałęzia, więc próbując zejść Matcinu Dolanu do końca, a potem obchodząc podnóża gór, musiałbyś przejść większy dystans, żeby obejrzeć to samo.

– A góry w ogóle się kończą?

– Od południa nie widać gór, tylko płaski, siny horyzont.

– Płaski horyzont? Przecież ziemia jest kulą.

– Nic tam nie widać, może właśnie przez krzywiznę ziemi. Jeśli są inne góry na południu, to chowają się pod horyzontem... Nikt tam nie był, nikt nie przebył Zatròvati Ljucav.

Nauczycielowi zaświeciły się oczy.

– Jak badać Bezladnu Dolanu? – spytał po chwili.

– Pieszko. Wszystko trzeba nieść na grzbiecie. Żaden *mlokan jogr* nie wdrapie się na Prevaj.

Urbanec rozdziawił usta.

– Pamiętasz tę Marijkę, która się zabiła? – spytał Ajfrid.

– Oczywiście. – Oczy tamtego zablyszczwały chorobliwie. – Dobra uczennica.

– Czy ona nie mówiła czegoś dziwnego? Że widuje jakieś plamy, inne widziadła, których nie było...?

– Widziadła...?

– No, jakieś fantazje, wymyślonych ludzi. Może słyszała jakieś głosy?

– Nie. Wyobraźnię miała, ale zwyczajną. Ona tylko posłuszna nie była.

74.

Alica przestała gorączkować. Opuchlizna ustąpiła, pióra miały już po parę centymetrów długości, a kratery wokół nich opadły. Zarysy jej ciała coraz lepiej skrywały się pod jakby kolorowym futerkiem. Unikała pracy, by pióra nie wytarły się; godzinami snuła się po samotni. Było już za zimno na dłuższe spacerowanie.

– Już wyglądasz prawie jak odziana.

– Ty masz ładne pióra, a moje są brzydkie.

– Brzydkie? Dałem ci bardzo wiele złotych i czerwonych... Będziesz ich mieć więcej niż ja.

– Ale twoje pióra są barwne, spłaszczone i szerokie. Wyglądają jak wąskie liście, a moje to takie brunatne tulejki.

– Jak podrosną, nabiorą dorosłego kształtu i pięknej barwy. Na razie formują się,

rozwijają. Jeszcze są za młode.

– Piersi mi widać. Tak to posiałeś... – marudziła.

– Skryją się pod wspaniałą grzywą złotych piór. Szybciej niż ci się wydaje. Łono też ci jeszcze widać.

– Już prawie wcale.

– No widzisz.

– Naprawdę pióra zapewnią nam długie życie? Przetrywamy dłużej niż wszyscy inni?

– One kiedyś nas też zabiją. Tyle że *krve znama* zabiłyby o wiele szybciej. Te barwne organizmy chronią nas przed czerwonymi mikroorganizmami.

– Kiedy nas zabiją?

– Stale nas zabijają.

– To po czym poznamy, że zwyciężyły?

– Nie da się zasnąć przed *noceljam*. *Vatran auraio* miota się bez celu po samotni. Chodzi, zatacza się, czasem ogarnia go szaleństwo, bo zgaduje, że to już koniec.

– Tak było z Drevaną Auraicą?

– Nie wiem. Ja wtedy spałem. Znalazłem ją martwą, siedzącą przy tym stole, z czołem opartym o blat.

– Może sadzenie piór nie jest konieczne? Na Prewaju wyleczyłam się z *krve znam*.

– W dolinie zaatakowałyby cię znowu. Nie ma innego sposobu niż pióra.

– Zatem człowiek mógłby żyć jeszcze dłużej niż *aurai*? Przecież my już żyjemy poza czasem.

– Tak. My żyjemy poza czasem, ale niewykluczone, że można by żyć jeszcze dłużej.

Trudno było uwierzyć w te słowa.

– Może w innych dolinach nie ma mikroorganizmów...?

– Nowy nauczyciel, Urbanec, często wspomina o badaniu innych dolin. Chce zorganizować wyprawę do Bezladnej Dolany. Moim zdaniem dopiero tam szaleją te mikroorganizmy. Wraz z porą roku zmieniają się kolory całych połaci terenu. To muszą być kolonie żywych organizmów. Tak rozszalałe pojawy mikroorganizmów nigdy nie zdarzają się w Matcinaj Dolane, a tam regularnie co *medinocelj*.

– Którędy tam chce dotrzeć? Przez Prevaj?

– Tędy jest najkrótsza droga.

– Może przyniosą resztę zapasów na *nocelj*.

– Nic nie przyniosą. Będą dźwigać swoje własne zapasy.

– Wygląda, że będziemy mieli gości.

– Byle trzeźwych, byle trzeźwych...

– Daj spokój. Pijany tu nie wyjdzie.

Parę dni później faktycznie ktoś odwiedził samotnię na Prevaju. Był to sam nauczyciel, nie cała wyprawa. Jego przybycie stanowiło rzecz niebywałą, ponieważ mieszkańcy osady nigdy tu nie przychodzili. Wyjątkiem byli *nosiczja*. To *vatran auraio* miał schodzić do osady, nie odwrotnie.

Alica skryła się w obawie przed zakażeniem. Ajfrid stanął w drzwiach i spojrzał wyczekująco na spoconego z wysiłku Urbaneca. Ten przetarł łysinę, zbierając przy okazji wydzielinę z *krve znam*, i grzecznie się przywitał.

– Ależ tu pięknie. Tyle tych grani – wyrwało mu się. – Myślałem, że jest ich wiele, ale że aż tyle...

– Jest ich wiele i jest tu pięknie. Z czym przychodzisz? – powiedział sucho Ajfrid.

– Tak. Są ważne sprawy. Źle się dzieje w osadzie.

– Dobrze. Zejdźmy porozmawiać na siodło. Przy tym stole na Prevaju. W schronie jest *pticzjaka auraica*. Nie może się zetknąć z nikim z osady. Ja też nie powinienem, żeby nie przenieść mikrostrukturów na nią.

– Tak.

Zeszli na przełęcz, Ajfrid z wiatrem. Usiedli też tak samo. Nigdy dość ostrożności. „Obiecałem mu podać liczbę widocznych grani”, pomyślał Ajfrid. „Przyszedł tu na przespiesi? Czego chce ten człowiek?”

– Źle się dzieje w Matcinaj Dolane – powtórzył Urbanec.

Ajfrid znał konflikt między nauczycielem a *vedanam*, jednak nie chciał angażować się po żadnej stronie.

– Gjacke Ovidan nie traktuje równo mieszkańców. Znalazł sobie *zaplecnikav*: *Mateju Branu, Jurdu Drevaru a Kosimu Progaru*. Innych przegnał z *garadu vyletnikav* i kazał się osiedlić w starych budynkach.

Ajfrid milczał dalej. „To, że Gjacke wyróżnia akurat nich, to jeszcze nic złego. Jante też miał *zaplecnikav*, chociaż żaden nie przetrwał *nocelja*”, pomyślał. – *Vedan* wybiera sobie najbliższych współpracowników – powiedział.

– Współpracować można, ale nie można bić ludzi.

– Co?

– Matej na polecenie *vedana* tak pobił Jonczillo, że ten leżał bez przytomności parę godzin.

– Tego pijaka?

– Tego samego. Jonczillo, jak jest trzeźwy, to bardzo dobry człowiek. Zresztą pijany też nikogo nie skrzywdził.

– Poszło o tę obelgę przy uboju *volcav*?

– Od tego się zaczęło. Gjacke potem obraził Jonczillo, a kiedy tamten odpowiedział, został zmasakrowany przez Branu.

– To jest wszystko? – spytał.

– *Vedan* rzuca obelgi pod adresem każdego i chełpi się swoją siłą fizyczną. Lada dzień dojdzie do następnej awantury. – Głos nauczyciela zabrzmiał donośnie i melodyjnie.

– A ty przyszedłeś tutaj, żeby mi o tym powiedzieć?

– Tak. Chciałem też zobaczyć otoczenie górskie Matcinaj Dolany.

– Nie wspomniałeś o innej rzeczy – powiedział Ajfrid.

Urbanec rzucił mu metaliczne spojrzenie niebieskich oczu.

– Co się dzieje z *czetrinocljnicama*? Dwie umarły w męczarniach, bo zaczęły za wcześnie, trzecia sama się zabiła. Nauczyciel opiekuje się młodymi, a te dziewczyny zostały zaniedbane.

– Nie zaniedbałem ich.

– Więc co się stało? Ty masz znaleźć odpowiedź. Jesteś nauczycielem.

– *Vedan* rozmawiał ze mną wielokrotnie. Ostatni raz dzisiaj. Tak przed nim nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi, jak i przed tobą nie potrafię.

– Wywiąż się z tego, co do ciebie należy. Wyjaśnij to.

– Tak. – Nauczyciel zwiesił głowę.

– Rozejrzyj się dokładnie po okolicy. Policz, co chcesz policzyć, i jak najszybciej zejdź z powrotem do osady. Tutaj twoja obecność jest złem.

Ajfrid wrócił do schronu. Nauczyciel rozglądał się i patrzył, jakby każdy szczegół krajobrazu chciał wrysować do pamięci. Oglądał otoczenie Bezladnaj Dolany. Wreszcie ruszył w drogę.

– Po co przyszedł? – spytała Alica, zerkając zza okiennicy, jak przybysz zbiega po stopniach do doliny.

– Nie wiem. Ten człowiek jest dla mnie zagadką. Niby ze skargą na *vedana*, ale to pretekst.

– Więc co? Na przespiegi?

– Nie ufa nam. Uważnie oglądał widok znad Prevaja.

– Dostał przecież mój rysunek. Namęczyłam się z tym.

– Może dla niego nie był dość dokładny? Sam nie wiem. Gapił się na kartkę i co

chwilę zerkał na krajobraz, jakby sprawdzał, czy go nie oszukaliśmy. To była mała kartka, może skopiował twój rysunek. Żeby tylko nie przywłókł tu czerwonych mikrostrukturów.

– Mógłby mi jeszcze zaszkodzić?

– Tak.

75.

Pióra Alicy przestały przypominać grube sznury, a przybierały przyjemny, spłaszczony kształt: najszersze na środku, lekko zwężały się ku skórze i ku końcowi.

– Ale szybko wyrosły. – Lekko podrzuciła pióra, żeby ładnie zafalowały. – Wszystko skrywają jak milusie futerko. Trochę żałuję, że nie wyrwałeś mi włosów z głowy i tam też piór nie posadziłeś. Wyglądałabym oryginalnie. – Spróbowała się drażnić.

Zignorował to.

– Proces przebiegł normalnie. Pióra wolno zadamawiają się, potem gwałtownie rosną, wreszcie ustala się ich ostateczna długość. Jak zetniesz jakieś, to szybko odrasta do poprzedniego rozmiaru. Już będziesz z nimi na zawsze.

Na stole stała małeńka *kazeta z gazowa drava*. Ajfrid przyniósł drugą ze składzika i postawił obok. W wydrążeniach kiwali się ich mieszkańcy: mumia dziewczynki o ośmiu ramionach i chłopczyk o dwóch parach dobrze wykształconych nóg, oboje powieszony za sznurek przeciągnięty przez czaszki.

– Po co ich tu przynosisz? Niech sobie stoją w archiwum.

– *Nezradilca* nie są niebezpieczni dla innych. Ich mumie są wolne od mikrostrukturów. Ludzi zarazają dorośli, im starsi, tym bardziej. Ci mali nigdy nie żyli w osadzie, ale za to teraz będą trwali dłużej niż ich szczęśliwsi bracia.

– Wyglądają niesamowicie.

– Właśnie. Może niesamowicie, ale nie obco. Zwróć uwagę, że ani rączki dziewczynki, ani nóżki tego chłopczyka nie są zdeformowane, spotworniałe, lecz wyglądają ładnie i zwyczajnie, jakby przeznaczone były do zwykłych funkcji życiowych. Każda ma swoje miejsce, tyle że jest ich więcej.

– Dlatego ich przyniosłeś na stół...?

– Powód jest inny. Na historycznych rysunkach znalazłem podobizny zarówno jednego, jak i drugiego.

– Też widziałam na rysunku czteronożnych ludzi, ale oni mieli nogi i korpusy zwierzęce.

– Może to niedokładne przedstawienia? Może zwyczajowo nadawali ich ciałom formę

zwierzęcą, by odróżnić takich ludzi od typowego schematu ludzkiego ciała? Albo z jakichś powodów obawiali się przedstawiać dosłownie zmienionych w taki sposób? Zwróć uwagę, że ten chłopiec ma genitalia przy tylnej parze nóg, *ak kintar*, ta postać z rysunku, chociaż obie pary nóg ma znacznie bliżej siebie.

– Chcesz powiedzieć, że gdzie indziej działa się to samo, co w Matcinaj Dolane? Jeden przykład to za mało...

– Jest drugi przykład: dziewczynka.

– Nie znalazłam historycznego sztychu.

– Owszem, jest. To *devi*, kobieta o ośmiu rękach. Dorosła, urodziwa niewiasta z widocznym gołym biustem, w naszyjniku i kolczykach. Na pewno była zamożna.

– Ten rysunek to była niedokładna kopia, dlatego go zignorowałam. Tam nie chodzi o ośmioreczną kobietę, ale w ten sposób rysownik chciał przedstawić różne fazy ruchu.

– To nie są fazy tego samego ruchu, bo ona trzyma w dłoniach różne przedmioty.

– Może chodziło o pokazanie różnych czynności gospodarskich?

– Jej budowa nie budzi wątpliwości. Ma osiem dobrze rozwiniętych, sprawnych ramion. Może ją tak narysowali, aby nie było wątpliwości, że każde jej ramię jest sprawne.

– Kobieta z rysunku różni się od tej małej. – Alica lekko dotknęła rysikiem mumii dziewczynki, a ta odpowiedziała jej kilkoma wahnięciami. – Tamta kobieta ma trzecie oko na środku czoła, a nasza mała ma tylko dwoje oczu, jak każdy z nas.

– To prawda. Nigdy nie znaleziono kogoś ze zwielokrotnioną liczbą oczu. Może jednak gdzieś daleko znajdowane są osoby z ośmiorgiem ramion i trojgiem oczu...?

– Znaczący, że ciało ludzkie ujawnia te same tendencje w swoim rozwoju?

– Albo wszędzie jest atakowane przez te same czynniki.

– Ktoś wywłókł *krve znama* z Matcinaj Dolany i zaraził nimi inne wspólnoty?

– Ktoś? *Priljetateljja*, oczywiście.

– Kazałeś tych dwoje tutaj przynieść, aby mi to powiedzieć?

– Tak. Uważam, że właśnie te dzieci mogą ich u nas najbardziej zainteresować.

76.

Dni były jeszcze ciepłe, ale wieczorami coraz częściej nadchodził przymrozek. Czasami rano nawet ściany schronu pokrywała szklista polewa. Słońce ją szybko suszyło, ale w cieniu pozostawała nawet i do południa. Dzień skracał się w szybkim tempie, nadchodził *nocelj*.

Żeby szybciej schła, Braborkę wystawiali na całe dni na zewnątrz, pod daszek samotni, z powrotem chowając tylko na noc i na niepogodę. Mumię suszy wiatr, nie ciepło,

uważał Ajfrid. Alica kazała stawiać ją tak, żeby schnąca Braborka patrzyła w pusty kokonik. „Niech wie, że straciła współnika swoich podstępów”, powiedziała. Ajfrid przezornie nie podsunął, że uwolniony Jadòvina może się czaić w pobliżu samotni. Prawdziwy Jadòvina wisiał na skraju Matcinaj Dolany na sznurze przeciągniętym przez środek czaszki.

Alica przywykała do nowej postaci. Uczyla się nowego sposobu chodzenia, siadania, uczyła się wyczuwać pracę piór, zaopatrujących jej organizm w glukozę i trujących go swoimi produktami przemiany. Obecnie dzieliła ciało z innym użytkownikiem.

– Rozłóż ramiona – powiedział kiedyś Ajfrid. – Słońce świeci dość mocno, żeby cię posilić.

Alica rozkrzyżowała ramiona.

– Czujesz?

– Faktycznie, przychodzi ciepło i sytość.

Ajfrid zasadził pióra Alicy tak, by swą obfitością nie skryły jej smukłej talii, a niżej przypominały długą suknię. Wyglądała teraz, jakby nałożyła na siebie podkreślający sylwetkę, piękny, trójbarwny strój, z tą różnicą, że ona już nigdy nie zdoła go zdjąć. Podobnie jak on, obecnie odziewała się jedynie w sandały, nosiła też przeciwsłoneczny kapelusz utkany z trawy.

Zwykle odległy widok ku dolinom, ku Zatròvati Ljucam, przesłaniała mgiełka, dzisiaj jednak linia horyzontu rysowała się wyraziście. „Tam są jakieś inne wzgórza”, zaintrygowany Ajfrid wyłowił wzrokiem ciemniejszą, siną linię.

Już chciał się pochwalić tym spostrzeżeniem z płaszącą po czytelnicy Alicą, kiedy spod wysokich, pierzastych chmur, spowijających południowy nieboskłon, zaczęła się opuszczać gruba biała kreska. Nie tworzyła prostej linii, lecz łuk, czasami zmieniała kierunek, biegnąc zygzakiem. Przybywało jej niewiele, lecz stale. Od chmur konsekwentnie zbliżała się ku ziemi. „Jak drażona we mgle, jak tunel z mgły”, pomyślał.

– Alica!

– Przestań. Grają mi *trubyci*, a ja tańczę do ich muzyki. Pióra lubią mój taniec. Czują, jakbym się wystawiła do słońca. Krew żywiej krąży. Próbowaleś kiedyś takich tanów?

– Nie, nigdy. Podejdź tu i popatrz, jakie dziwne zjawisko na niebie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Ty widzisz coś ciekawego...? To ja mogłabym ci opowiedzieć, co się może pokazać na niebie... Plamy zielone i plamy szkarłatne... Może wreszcie uwierzysz, że one istnieją.

– Podejdź i zobacz.

– Na pewno *ljetuczan smyj*, a z niego wysiądzie *priljetatelj*. – Zatrzymała się,

zdyszana. – Gdzie to dziwo?

– Ta biała kreska. Teraz już sięga do samej ziemi. Wygląda jak gruba, nierozgałęziona błyskawica, ale nie znika.

– Trafiła daleko na Zatròvati Ljuci.

– Nie rozchodzi się w powietrzu. To trwały tunel z mgły.

– Może to wiatr tak go uformował?

– Nie. Narastało już takie pogięte. Teraz się rozmywa.

– To chyba rzeczywiście jest...

– Przestań żartować! – przerwał jej. – Trzeba poszukać w archiwum informacji na temat *ljetuczan smyjav*.

– Może to burza idzie. Albo tornado tak wiruje.

– Tornado nie zbliża się do gór i ma formę leja. Tylko *kornaaca* widywali je. Nie ma pewności, czy coś takiego istnieje.

– Może to inne naturalne zjawisko.

Gruba i powolna błyskawica rozeszła się w powietrzu. Nad Zatròvati Ljuci wrócił spokój.

Gdzieś były te notatki. Oboje przeglądali stronę po stronie, szperali po półkach. Ajfrid ledwie pamiętał tamten zapis. Ona tego nie czytała. Nie myślano poważnie, że ktoś może ich tutaj odwiedzić. Poza czaszką Doedda Furlongga dowodów nie było.

– Trzeba przesunąć Braborkę – powiedziała. – Na półce za nią jest trochę starych tekstów.

Przesunęli *kazetu* w kąt. Mumia pochyliła się i miękko wahała się do przodu i do tyłu.

– Nie gniewaj się, ale to ważna sprawa – powiedziała Alica.

Ajfrid lekko ujął brunatną dłoń mumii, drgania wytłumiły się. Braborka zatrzymała się w niemym wyrazie zapytania, w jakim już na zawsze zastygły jej niedomknięte usta.

Alica podniosła plik zakurzonych manuskryptów, luźnych kartek między cienkimi deszczułkami okładek, powiązanych powrozem.

Czytali, ale wzrok stale uciekał ku dalekiemu krajobrazowi Zatròvati Ljucav. Gdyby tylko jedno z nich widziało tunel mgły, można by pomyśleć, że to halucynacja, widzieli jednak oboje.

Alica trafiła na poszukiwaną relację. Ledwie parę zdań.

– „*Ljetuczan smyj* opuszcza się wolno na ziemię, myszkuje za najlepszym miejscem do osadzenia się na gruncie. Ślad jego szeroki jest, wydaje się cylindryczny i długo pozostawa w powietrzu. *Smyj* potrzebuje spłaszczenia terenu, ale się weń nie wkopuje” – przeczytała

głośno.

Potem już było o spotkaniu *priljetatjela*, ostatniego przybyłego, więc z pewnością Doedda Furlongga.

– To jest dokładnie to, co zobaczyliśmy – podsumowała.

– Też tak myślę.

– Odsuńmy Braborkę na miejsce.

– Po co? Przecież niedługo będziemy demonstrować, co mamy najlepszego. Braborkę i jej suchych ludzików.

– Zasłania przejście.

Odsunęli *kazetu* w kąt archiwum.

– Nie zakurzyła się? – Alica przejechała palcem po rękę mumii. – Tutaj stale ją dotykamy – zreflektowała się. – Może odkurzymy ją trochę? Wstyd pokazywać najważniejszą kolekcję zaniedbaną. *Priljetatjelja* pomyśla, co z nas za *aurai*.

– A małych ludków odkurzyłaś?

– Ależ miałaś intuicję, żeby ich zachować! *Jadòvina* powiedział ci, że *smyj* przyleci? – Nagle spojrzała badawczo.

– Skądże. *Vylet* się skończył, a tych dwoje malców wyglądało tak, jak zwyczajny człowiek, bardzo regularnie mimo deformacji. Braborkę zaś ty zaproponowałaś do ich towarzystwa.

– *Drevana Auraica* nie wpadła na ten pomysł.

– Trzeba zejść jak najszybciej do osady.

77.

Schodząc lasem, ustalili, jak ma wyglądać ich przybycie do *Matcinaj Dolany*. Przez osadę przeszli w rytualnym tańcu. Po raz pierwszy mieszkańcy mieli okazję zobaczyć płasy dwojga *aurai*. Ważne było, żeby wspólnota zaakceptowała Alicę w nowej roli. Gromadziło się coraz więcej osób. Do *garady vyletnikav* towarzyszył im już orszak.

Bliżej najważniejszego budynku *aurai* już nie płasali, lecz szli godnym krokiem, unosząc i równo opuszczając ramiona, by pióra malowniczo powiewały. Każde ukazanie barwnych kształtów wzbudzało szmer podziwu.

Vedan oczekiwał przybywających w drzwiach *garady vyletnikav*. Za nim stali trzej *zaplecnika*.

A jeszcze bardziej z tyłu, wzdłuż ściany, wisiało na tyczkach kilka rzędów trupich czaszek, przewleczonych przez dziury w kości. Ciemne oczodoły natarczywie wpatrywały się

w przybysha, jakby oczekując jego tłumaczenia się. „Już przeniósł *wspomnienia* z powrotem?” pomyślał Ajfrid.

Gjacke milczał, zaplótł ramiona, oczekiwał przedstawienia nowej *auraicy*.

„Zmieniło się. Mamy rządy mocnej ręki”, pomyślał Ajfrid. „Trzeba sprawy ustawiać na nowo”.

– Podejrzewam, że nastąpiło niezwykle wydarzenie – zaczął *auraio*.

Gjacke milczał.

– Chcę ci coś powiedzieć na osobności.

Gjacke cofnął się w głąb drzwi, zapraszając go do wejścia.

Ajfrid zatrzymał się jednak, czegoś oczekując.

– Mamy nową *auraicę* – odezwał się wreszcie Gjacke.

– Cieszymy się z tego wszyscy. Ale jest też coś innego, nieznanego. Myślę, że wagi niezwyklej.

– Wejdź, proszę.

– Jesteśmy we dwoje.

– Tak.

Weszli do ciemnego wnętrza.

– Są tu jeszcze Matej Branu, Jurdo Drevar i Kosima Progar. Mają się oddalić?

– To są twoi *zapplecnika*?

– Tak.

– Niech zostaną. Naradzimy się wszyscy razem.

– Usiądźmy – powiedział Gjacke. Nie chciał, żeby zauważono, że okazał uległość.

– Stało się to, na co nasi przodkowie czekali od pokoleń. Przybyli *priljetatjelja*.

– Gdzie są? Widziałeś ich aby...?

– Daleko na południu, nad Zatròvati Ljucima pojawiła się powolna błyskawica.

Trwała przez parę minut na niebie.

– Tylko tyle?

– Aż tyle. Nic innego nie wygląda jak *ljetuczán smyj*. Żadne zjawisko atmosferyczne nie wywoła czegoś podobnego.

– A jeśli to miało zupełnie inną przyczynę? Jeśli się mylisz?

– Na wszelki wypadek nie powinno o tym wiedzieć zbyt wiele osób. Akurat my tutaj, to wystarczy.

– A nauczyciel?

– To pomysłowy człowiek. Można go dołączyć.

– Sam nie wiem. Dziwne rzeczy mówi uczniom na lekcjach. Przekonuje młodych, że Ziemia jest płaska. Demonstruje eksperymenty mające tego dowieść.

„Wygląda, że konflikt osłabł”, pomyślał Ajfrid.

– On nie dochowa tajemnicy – włączył się barczysty i łysawy Branu. – Kilkakrotnie nie dotrzymał sekretu. Jeszcze jak obaj byliśmy *czetrinocljnikama*. Nie ręcę za niego.

– Ani ja – dodał przygarbiony Jurdo Drevar o twarzy usianej rudymi piegami. Gdy uwaga obecnych zogniskowała się na nim, zaczerwienił się.

„Ten z nich jest *vedanu* najbardziej posłuszny. Imponuje mu, że przyjęli go do swojego grona. Wykona każdy rozkaz Gjackego. Nowy *vedan* zbudował sobie drużynę. Tacy przeprowadzą wspólnotę przez *nocelj*, jeśli nie kieruje nimi szaleniec”, pomyślał Ajfrid.

– Co powiemy innym? – odezwał się Gjacke.

Ajfrid wzruszył ramionami.

– Czy w ogóle musimy coś mówić?

– Będą pytać, niuchać.

– Powie się, że ruszamy z ekspedycją na Zatròvati Ljuci. Aby sprawdzić, jak daleko płynie Styrman.

– Jak daleko płynie Styrman?

– Właśnie. Podobno ktoś dotarł do jego końca i ujrzał, jak niknie pod czerwonymi piaskami, ale nie umieszczamy tego w podręcznikach, bo oryginalna relacja się nie zachowała.

– To Styrman nie ścieka w otchłań? – zdziwił się Jurdo Drevar.

– Do otchłani jeszcze tam daleko. Ci, którzy dotarli do pochyłości i spadli w otchłań, nie zostawili swoich notatek.

– Podróż na Zatròvati Ljuci to *skorja smyrt* – powiedział, milczący dotąd Kosima Prugar.

– *Tij durny!* – obruszył się *vedan*. – *Jograma pojadime*.

– Obecnie żadnego nie ma w Matcinaj Dolane – zauważył Matej Branu.

Ajfrid wyłączył się z rozmowy. Lepiej niech sami decydują. Jak wezmą to za swoje, lepiej wykonają jego zamiar.

– Dziś nie wyruszamy – burknął *vedan*.

– Czas może grać rolę – powiedział Ajfrid. – *Priljetateljja* mogą uznać, że w Matcinaj Dolane nikt nie mieszka, i odlecieć.

– Znam sposób, żeby zobaczyć, kiedy przybędzie *jogr* – wtrącił się Jurdo Drevar. – Ale to sposób niegodziwy.

„Wróżą, jak nie potrafią czegoś wyjaśnić”, pomyślał Ajfrid. „Szkoda czasu na bzdury”.

– Jaki to sposób? – Uniósł brew.

– Trzeba wznieść się na latawcu.

„Wiem, że latacie, chociaż to zakazane”, pomyślał lekceważąco.

– Lotnik może zginąć.

– Sam polecę, na swoje ryzyko. Na wieczór wieje teraz mocno, da się wspiąć na całą długość liny. Stamtąd widać *jogra* na paręnaście kilometrów.

„Skąd ty to, bracie, wiesz...?”

Gjacke patrzył wyczekująco, więc Ajfrid skinął głową.

Wezwano kilku mężczyzn, przyniesiono wielki latawiec. Wiało od lodowca ku dolinie, mocno na wieczór. Ajfrid z Alicą stanęli z boku, by nie wyglądało, że pochwalają brawurę. Trzech mężczyzn schwyciło linę, a przywiązany do wielkiego papierowego *vatran aurai* Drevar ustawił się pod wiatr. Ajfrid z zaciekawieniem oglądał złożony kształt latawca. Wytrzymałą konstrukcję z cienkich palików, gęsto wzmocnionych naciągami z nici. Barwne poszycie wykonano z papieru, dodano wiele kolorowych pasków, którymi zaraz zaczął bawić się wiatr. Zdumiewała wprawa obsługujących latawiec. „Oni codziennie latają?” pomyślał Ajfrid. „Trzech przepadło na *stryżaja*, jeden niby przytłuczony drzewem. A może właśnie on, Jaguła Tezejan, roztrzaskał się o ziemię?”

Mężczyźni uwijali się sprawnie, zerkając na Ajfrida.

Latawiec szybko nabierał wysokości. Jurdo malał w oczach. Kiedy wzniósł się już na długość liny, ta nagle odpięła się i wijącym węzłem opadła do stóp trzymających ją mężczyzn.

– *Czo je to?!* – krzyknął zdumiony Ajfrid. Nie słyszał, by ktoś próbował swobodnego lotu na latawcu.

Tymczasem Jurdo Drevar łagodnymi łukami szybował na skrzydłach papierowego *vatran aurai*. Panował nad lotem, manewrował. Jeden łuk, potem drugi, wreszcie krąg i jeszcze jeden. „On wzniósł się chyba na poziom suchej kotlinki”, pomyślał Ajfrid.

– To oni wymyślili?

– Nikt wcześniej nie umiał – odpowiedziała Alica. – Co się dziwisz? W podręczniku opisano zasady lotu. Sama przepisywałam książkę o mechanice. Tam wszystko jest. Te reguły, chociażby wydawały się najdziwniejsze, działają.

– Sam już nie wiem, jaka część naszej wiedzy pochodzi od *priljetatelj*, a jaka od naszych poprzedników, innych *aurai*.

Wiatr znosił samotnego lotnika w dół doliny, z każdą chwilą sylwetka latawca malała.

Wreszcie znikła do reszty. „Ręce opadają”, pomyślał Ajfrid. „Ani Drevara, ani wiadomości”.

Oboje podeszli do *vedanu*.

– On poleciał na swoją odpowiedzialność. – Gjacke wyprzedził słowa Ajfrida. – Potrafi bezpiecznie wylądować. Raz skręcił nogę, drugi raz się potłukł.

– Kto skonstruował manewrowy latawiec? – Ajfrid unikał uwagi o tym, że w takim razie stale narusza się decyzję *aurai*.

– A kto? On sam, Jurdo Drevar.

Vedan zerknął spode łba.

– A jak manewruje?

– Ściąga linkami końcówki skrzydeł. Podglądał, jak latają *ptyci*. Trzyma przygarść linek i tylko on sam się wyznaje, którą pociągnąć.

– *Ptyci* tak nie latają.

– Może wyczytał w podręczniku, a nam powiedział, że odgapił od *ptycav*.

– W podręczniku tak było. Tylko że tak już nikt nie lata, to historia. Nikt nie zgina skrzydeł linkami.

– Może pomyślał, że skoro to stary pomysł, to na pewno dobrze sprawdzony.

Ajfrid był przekonany, że *vedan* kłamie.

– Sam jeden tyle wymyślił, ten Drevar?

– Może ja mu trochę doradziłem...

– Wygląda, że to były skuteczne porady.

– Nauczyciel narysował co innego, aleśmy go wyśmiali, bo nie dało się tego zrobić. –

Nie wytrzymał *vedan*.

– Są plany waszego latawca?

– No, gdzieś jeszcze...

– Trzeba je skopiować.

– Wydamy je. *Nosiczja* wyniosą na Prevaj.

– A teraz nie wiadomo co zrobić.

– Jak się nie utłukł, to wróci przed nocą albo w nocy i wieści przyniesie. Zostawimy drzwi niedomknięte.

78.

Podniebny popis zakończył się sromotną klęską. Jurdo Drevar wrócił późnym wieczorem, wspierając się na kiju. Cała stopa obrzmiała wysiękiem. Jeśli nie było to złamanie, to z pewnością paskudne skręcenie. Jego udział w wyprawie do *ljetuczan smyja* był wykluczony.

Roztrzaskany latawiec został w dolinie. Wyżej wiało bardzo mocno. Lotnik nie poradził sobie z silnym wichrem.

Przynajmniej przyniósł dobre wieści. Dwa *jogra* wracały do osady. Na rano, a najpóźniej koło południa miały już być.

Ajfrid odniósł wrażenie, że Urbanec kłamał, bo wszyscy nadal zamieszkiwali wspólne *garada*. To przy nich wieczorem kręcili się ludzie, a małe domostwa stały puste i zaniedbane.

Ajfrid z Alicą przenocowali w dawnym Domu Dziwaczek. Niewiele się tutaj zmieniło. Barykady były w dobrym stanie. Tylko kurzu przybyło. Pogoda panowała obecnie łaskawsza, znowu dało się spać na piętorku.

Pierwszy potwór mleczny przysapał do osady rankiem, drugi dotarł w południe. Zebrali się do wyprawy w pośpiechu.

– *Auraio* nie powinien brać udziału w tej wyprawie. Jego strata to upadek społeczności – powiedział Gjacke. – Ale jeśli to rzeczywiście *priljetatjelja*, *auraio* musi tam być. Ranga spotkania jest za wysoka. Szczęśliwie mamy dwoje *aurai*, ale wykluczony jest udział was obojga. Jedno jedzie, drugie zostaje. Trzeba uniknąć ryzyka.

Ajfrid milczał chwilę. Gjacke miał rację. Z drugiej strony Alica powinna pozostać pod kontrolą. A jeśli wróci jej szaleństwo? Jeśli zginie lub zniszczy autorytet *auraio*?

– Ja jadę, ona zostaje. Jestem starszy o *nocelj*.

– Mnie jeszcze brak doświadczenia, by cię zastąpić – odparła.

– W razie czego duczysz się. Każde rozwiązanie jest tu złe.

– Ja też powinienem pojechać? – *Vedan* spojrzał spode łba.

– Jeśli ufasz komu jak sobie, to go poślij. Taka wizyta może mieć nieoczekiwane skutki. Lepiej mieć to pod kontrolą.

– Jurdo Drevar by tu pasował. Lojalny jest i bystry. Ale się połamał. Wyślę Mateja Branu w swoim zastępstwie.

– Wyślij też nauczyciela – powiedział Ajfrid.

– Urbaneca...?! – Gjacke aż się szarpnął.

– Ma olej w głowie, jak ten Drevar.

– Dobrze. Mnie zastąpi Matej Branu, a z wami dwoma przywita ich nauczyciel.

Ajfrid nie odezwał się. Trzy osoby stąd, dwaj *kornaaca*, a trzeba przecież jeszcze zapewnić miejsca dla *priljetatjeljav*. Zostało siedem wolnych przewężeń między segmentami *jograv*. Na jednym trzy, na drugim cztery. Należało wyruszyć jak najszybciej. *Smyj* może lada chwila odlecieć, a taka okazja się nie powtórzy.

– Jak nas *priljetatjelja* rozpoznają? – spytał Matej Branu. – Przybędziemy na

nieznanych im, ogromnych zwierzach. Czy zobaczą w nas ludzkie istoty?

– Jest sposób. Oprócz wody jest druga wspólna rzecz dla nas wszystkich. To glina. Czerwona glina, *krvedema*. Oni z niej powstali i my z niej powstaliśmy. Tak nas nauczył Doedd Furlongg. Oni będą o tym wiedzieć.

– Ze szczególnego miejsca?

– On zawsze mówił o naszej glince. Trzeba przygotować tej najczerwieńszej, z której robiliśmy barwnik.

Znalazło się jej z pół worka. Wszyscy mieli wysmarować twarze czerwoną gliną.

– Całe?

– Policzki na pewno, może też czoła.

Zmieszano parę garści glinki z olejem.

Obecnie *jogram* podbierano pożytek – jeden po drugim łuskano wory mleczone. Skórzaste kule były twarde, nabite. Na żyznych łąkach każdy wypas trwał teraz połowę krócej niż z początkiem *medinocelja*.

– Wyglądasz jak jaki potwór, nie jak *priljetatjel*... – powiedziała Alica, patrząc na usmarowanego gliną Ajfrida.

– To popraw. Ja sam siebie nie widzę.

Roztarta mu plamy na policzkach i czole.

– Reszty nie trzeba?

– Myślę, że nie. To ma być symboliczne przykrycie twarzy *krvedemą*. Niektóre części nie muszą więc być nią pokryte.

Skrzywiła się. Nie zadowolila jej ta odpowiedź.

79.

Należało zabezpieczyć się przed wchłonięciem przez *jogra*. Nie można jechać na oklep, bo zaraz zacznie się inwazja – organizm stworza stara się przeniknąć do ciała człowieka. Wystarczyła grubo tkana, silna i przewiewna derka. Siedziało się na niej miękko, wygodnie i przyjemnie ciepło, ale gdy tylko jakiś skrawek ciała dotknął do błonistej tkanki pomiędzy segmentami zwierzęcia, skóra zaczynała mrowić.

Ajfrid zajmował następny międzysegment po *kornaaku*. Na drugim *jogrze*, za *kornaakam*, siedzieli Matej Branu i Urbanec. Zwierz stapał ciężko, równomiernie, na grzbiecie nie kiwało nadmiernie. Monotonna jazda usypiała.

Dlaczego Alica tak łatwo zgodziła się na rozstanie? Ostatnio była w znakomitym humorze. Mogła to być zasługa piór, mogła to być jednak też kolejna faza jej choroby. Nie

wycofała się z żadnego z urojeń. Traktowała je jako część rzeczywistości. Wiele by dał, by dowiedzieć się, jak ona je sobie tłumaczyła. Prędzej czy później musiało to zaowocować jej nieoczekiwanym zachowaniem, groźnymi decyzjami. A teraz została w Matcinaj Dolane poza jego kontrolą.

– Byłeś na Zatròvati Ljucam? – rzucił *kornaak*, Vjido Gbanec.

– Raz, dawno temu, ale już prawie nic nie pamiętam.

– Potrafiłbyś powozić *mlokan jogram*?

– Kiedyś umiałem, ale już nie pamiętam.

Tamten skinał głową.

Mijani ludzie przyglądali się rzadkiemu widokowi. Oto maszerowały przed nimi dwa potwory mleczone, dosiadane przez dwie lub przez trzy osoby naraz.

Mijali po kolei *garada* osady. Jednak rzeczywiście wiele z małych domostw już odnowiono, wyreperowano odrzwia, okiennice, na niektórych poprawiono tynk. Przygotowywano je do zamieszkania.

Kiedy skończyły się zabudowania, rozmowy ucichły. Tylko czasem dobiegł mlask uderzenia pięt *kornaaka* w miękką skórę za olbrzymią głową potwora mleczonego. Jakby zbyt ciężkie, bo ogromny stwór i tak poszedłby swoją drogą na pastwisko.

Widok wolno zmieniał się. Dolina wiała się wąską tasiemką wciśniętą pomiędzy strome górskie stoki. Roślinność na zboczach nie zmieniała się. Dominowały różnobarwne porośla, już martwe i suche o tej porze.

Potwór nie będzie żywił swoich jeźdźców, póki nie wykształcą się nowe wory mleczone. Kto nie wziął pożywienia, wędrował na głodniaka.

– Trzymaj się mocno – powiedział *kornaak*. – Każdego, kto wpadnie mu pod łapy, *jogr* srodze poturbuje. Nie zagryzie, ale zdepcze, kości połamie.

– Tak zginęły dwie osoby, ale to rzadkie przypadki.

Wkrótce zbliżyli się do *pamjati vyletnikav*. Wydrążone pnie na szczytach kamiennych kopczyków równomiernie znaczyły obie strony drogi. Z ciemnych, wydrążonych nisz wychylały się brunatne mumie. Niektóre z *kazet* były puste, a rozłożone ciała leżały jak kupki patyków czy skrawki brunatnych łachów.

Kirus ułamał się już i tylko jego przedziurawiona czaszka wisiała u szczytu drążonej komory. Ciało przemieniło się w niewielką stożkowatą stertę, z której jak gałązki sterczały jego żebra, piszczele i inne kości, których nie sposób było już rozpoznać. Na jednym z dalszych kopców brakowało nawet pnia.

Obszar *pamjati vyletnikav* szybko się skończył, a przecież wyznaczał zasięg terenów

osady. Słabiej widoczna droga biegła dalej w dół doliny, wzdłuż Styrmiana. Nurt był tutaj szerszy i spokojniejszy. Od prawej otwarł się szeroki wylot wiszącej doliny. Widniał wysoko nad progiem, z którego dolinny strumień spadał stromą siklawą.

– Tamta dolina nazywa się Visoka Voda? – spytał Ajfrid.

Vjido skinął głową.

– Nikt tam nie był – wyjaśnił. – Z Visoky Vody kiedyś wywalił się olbrzymi kłęb *žjaracav*. Gęsty jak szara chmura. One zagryzły *kornaaka*.

– Widziałeś to?

– *Stryżaj* został. Chmurę widziałem z daleka. W godzinę podjechałem, nie? A z Kosimy został *stryżaj*. Po jednej godzinie...

– *Stryżaja* się biorą przez te chmury?

– Najprędzej tak. Ja nie słyszałem, żeby kogo tak *jogr* wciągnął sam z siebie. Swojego *kornaaka*? Nie, to przyjazny stwór jest. Jak się nim długo jedzie, to jakby z tobą rozmawiał. Znaczy, to tak bez słów, ale jakby rozmawiał. Rozumie stwór, co się od niego chce. Czasem zakreści albo zwolni czy przyśpieszy, już zanim się go klepnie sandałem.

„To skąd te relacje o żarłocznym organizmie potwora?”, pomyślał Ajfrid. Zaraz zauważył, że Vjido ma na przedramionach bardzo duże *krve znama*. Może takich *mlokan jogr* się nie ima?

80.

Dolina rozszerzyła się, a jej zbocza stały się połogie. Skaliste góry zostały zastąpione przez kopulaste wzgórza, porośłe suchą trawą. Drzew było coraz mniej. Dolina przechodziła w Zatròvati Ljuci, porośłe suchą, przypominającą włosy i skłębioną trawą, gdzie ścieżka rozwidlała się dziesiątki razy, wiodąc płytkimi wąwozami pomiędzy płaskie pagórki. Wąwozy były jednak dość głębokie, by ograniczać widoczność.

„Dlaczego Alica tak gładko przełknęła długie rozstanie?” myślał dalej. „Może chce się go pozbyć? Uznała, że został podmieniony, więc teraz czekała na prawdziwego Ajfrida? Do tej pory gwałtownie reagowała na każdą rozłąkę. Co ona zaplanowała?” Pytania nie dawały mu spokoju.

Spojrzał za siebie. Góry za plecami piętrzyły się sinym masywem. Lodowce w dolinach były mniej widoczne, wyróżniały się czapy śnieżne przykrywające wierzchołki. „Mieszkamy w pięknym miejscu”, pomyślał. Kiedy się odwracał, kant pancerza nieprzyjemnie ocierał krzyże.

Pierwszy raz, gdy wracał z wypasu na grzbiecie *jogra*, ten widok go urzekł. Później

inne wrażenia zatarły w pamięci to piękno. Wkrótce skręt drogi w ciasnym wąwozie, potem drugi, a zaraz trzeci zamknęły widok.

„Gdzie szukać celu wyprawy?” pomyślał. „Powolna błyskawica dotknęła ziemi gdzieś tutaj i tyle. Z Prevaja to zamglona równina, nic więcej. A tych wąwozików o pionowych ścianach jest tak wiele i jeden podobny do drugiego”.

Zagadał do *kornaaka*.

– Niżej te wąwozy są płytsze – odpowiedział Vjido. – Niedługo zrobi się płaski teren, suchy step. Tam jest najgorzej. Można umrzeć już po tygodniu, nawet nie wiedząc, którą przysła *skorja smyrt*.

Ajfrid pokiwał głową. Jeśli niżej nie znajdą *smyja*, trzeba będzie wrócić i błądzić po wąwozikach. Wąwóz obecnie był niewiele szerszy od wyciągniętych na boki odnóży *jogra*. Po obu stronach pokrywał go gęsty materac pokręconych kłaczy wystających z ziemi. Charakterystyczne maczugowate łodygi jeżyły się spod stóp *jogra* i z obu zbroczy wąwozu. „Ale dorodne *bulavi pazdaca*”, pomyślał. „W Matcinaj Dolane nie dorastają do takich rozmiarów...”

Jogr zaczął się paść. Jego ogromna głowa poruszała się w górę i w dół. Słysząc było chrzęst suchych *bulav*.

– Ile to będzie trwało? – zapytał Ajfrid.

– Ledwo mógł przejść, tak tu wąsko. A ponieważ nie zebrał jeszcze ani trochę pożytku, więc też nie mógł się powstrzymać. Bardzo lubi żerować w tych wąwozikach. Zje swoje, to ruszy.

Mijała minuta za minutą. Nic się nie działo. Idący za nimi drugi *jogr* wziął się do czyszczenia ścian wąwozu. Lekko wygiął się w bok, by wygodniej sięgnąć do kłaczy porastających stromy klif. Krótkie, ale niezwykle masywne żuwaczki *jogra* poruszały się rytmicznie.

– Ależ utknęliśmy – burknął Ajfrid. „I to w takim miejscu. Zaduch i kurz, a na dodatek gór nie widać. Kilometr wcześniej można było gapić się w te zamglone olbrzymy”.

– Teraz lepiej się nie ruszać i chronić ciało derką. *Jogr*, kiedy je, może zrobić krzywdę – rzucił Vjido.

– Wydziela co ze skóry?

– Tak. Teraz potrafi być nieprzyjemny. Jego skóra może się ślimaczyć, a czasem nawet wystawia wypustki, które chcą wnikać do naszego ciała.

– To nie zawsze miły towarzysz podróży.

Ajfrid poprawił derkę, żeby w żadnym miejscu nie dotykać żółtawej, napiętej błony.

– Ja myślę, że to nie on sam. To mikrostwory opuszczają *jogra* i szukają nowego gospodarza. Można te wypustki odrywać, a wielkiego to nie rozłascza.

Ubawiło to Ajfrida.

– A jakże mógłby się *mlokaj* rozłascić? – Wiedział, że świeżo wylęgłym *jogram* podcina się nerwowy zwój podprzęłkowy, żeby stały się posłuszne jeźdźcom.

– W jednej chwili zrzuci *kornaaka*, jak go nie chce. Potrafi się tak szybko gibnąć w bok, że każdy spadnie. Zrzuci, ale nie zadcpe. To znaczy, że pozwoli się dosiąść drugi raz.

– Zadeptał kiedy *kornaaka*?

– Podobno kiedyś się tak zdarzyło.

– A co wtedy robi się z takim *jogram*?

– Nic. Najlepiej niech pójdzie precz w Zatròvati Ljuci. Z takiego nic nie będzie. Raz zabił *kornaaka*, to drugi raz przyjdzie mu to łatwiej. Niech przepadnie, *medvad go pojedl!*

Wybuch Vjido wyraził obawy jeźdźców. Choć nie wiadomo, czy powtarzana z ust do ust historia kiedykolwiek się zdarzyła. W archiwum nie było ani jednej relacji o takim przypadku. „A może przecięty zwój nerwowy zrasta się u niektórych egzemplarzy?”

Jogru brakowało dwóch odnóży z lewej strony. Znakomicie sobie radził bez nich, chociaż gdy szedł, oba segmenty przechylały się na bok i kiwało, że można było spaść.

– Wiesz, jak *jogr* stracił te odnóże?

– Nie pode mną. *Medvad* przyszedł i oderwał. Dobrze, że nie zagryzł całkiem.

– Potrafi zabić *jogra*?

– Bez trudu. Dużymi cęgami przytrzymuje za odnóże, a małymi od razu rozcina segment. Nic dla niego pancierz *jogra*. Zaraz potrafi przegryźć go na pół. *Jogr* się wykrawi, a on bierze się za tylne segmenty.

– A *kornaak*?

– Na *medvada* nic się nie poradzi. – Vjido podrapał się po głowie. Przez rzadkie, bezbarwne włosy przeświecała błyszcząca skóra. – Trzeba jak najszybciej zeskoczyć przez głowę i uciekać, żeby *medvad* i za tobą nie poszedł. A jeszcze *mlokaj* może przypadkiem połamać gnaty, jak cię zawadzi. A szarpie się dziko, chociaż obronić się przed potworem nie potrafi.

– A *porok* chyba jest za mały?

– *Porok* nie jest lepszy. *Jogru* nie da rady, ale poluje na *kornaaka*. Skądś się tam wyznaje, że *jogr* jest kornaczony, wskoczy mu na grzbiet i ściąga człowieka. Czasem wpadnie na *stryżaja*, to zrezygnuje, bo nie wie, jak obejść, żeby mu się *stryżaj* nie wbił od spodu.

– A jak się wydrapie między tymi potężnymi odnóżami? Przecież *jogr* go zrzuci i zdepcze... – ciągnął Ajfrid.

– Nie wdrapuje się, tylko skacze z góry. *Poroki* atakują w tych wąwozach.

Zrobiło się nieswojo. Blisko górnej krawędzi klifu wisiał cały dywan nici *porokav*. A odległość krawędzi klifu nie była duża. Ot, właśnie na jeden sus wielkiego drapieźnika.

– Ale nigdy za dnia – dokończył wesoło Vjido. – Za dnia *porok* nie wyłazi z nory. Sam się boi.

– To co robicie w nocy, żeby się zabezpieczyć?

– Zwyczajnie. Śpimy na stepie, chociaż w wąwozach *skorja smyrt* nie grozi.

– *Porok* nie ruszy *jogra*?

– Zdarza się, ale rzadko. Wbije kolce pomiędzy segmenty i wstrzyknie jad. Potem wypije to, co rozpuścił. Uderza w zad *jogra* i czasem zostawi wielką ranę, taką wypaloną dziurę. Ale to się wygoi, a przy kolejnych wylinkach zejdzie zupełnie. – *Kornaak* przerwał na chwilę. – Jeden z naszych *jograv* ma sparaliżowane dwie pary ostatnich odnóży, całkiem jak jaki stary *volec*, tak go palnął wielki *porok*.

Wąwóz miał niezbyt wysokie ściany, ale klif ostry. „Zupełnie jak meandry w wiszącej kotlinie, tylko większe”, pomyślał Ajfrid. „Czyżby wcześniej było tu jezioro?” Rozejrzał się. „Jakby tak dostać się na górę... Jeśli to powierzchnia martwego jeziora, będzie płaska, a stamtąd dobry widok”.

81.

Mlokan jogr, zerując, wolno przemieszczał się wąwozem. Czyścił go i poszerzał ścieżkę. Południe już dawno minęło, a oni dalej tkwili w dolince. Najlepiej byłoby dotrzeć do *prostoran smyja* jeszcze dzisiaj. Każda noc spędzona na *Zatròvati Ljucam* była niebezpieczna. Vjido kilkakrotnie pogonił *mlokaja* kopniakiem, ale zwierz odpowiedział tylko niecierpliwym ruchem łba.

Ajfrid obejrzał klif. Dałoby się go sforsować. Powiedział *kornaaku*, że chce się wspiąć na górę.

– Nie schodź przez głowę *jogra*. Chwyci zuwaczkami.

– Zejdę w miejscu, gdzie brakuje odnóży.

Ajfrid przeszedł do tyłu zwierza, stąpając z jednego segmentu na drugi, a wreszcie zeskoczył z przedostatniego z nich, wznosząc chmurę kurzu. Przy ziemi zaduch i gorąc były nieznośne. Olbrzym pozostawiał za sobą szeroki wyjedzony pas, ale sporo zdrewniałych kłaczy pozostało, ułatwiając stromą wspinaczkę. Wyżej brakowało dobrych chwytów, ale po

chwili *aurai* wdrapał się na szczyt wąwozu.

Stał na wierzcholinie porosłej suchymi czapami roślinności. *Bulavi pazdaca* tutaj nie sięgały. „Tu faktycznie kiedyś było wielkie jezioro”, pomyślał.

W twarz uderzył ciepły, suchy wiatr. Ajfrid poprawił chustę, którą owinał głowę. Wiatr nadleciał od południa, od równin. Trzeba było zmrużyć oczy. Siało rudym pyłem. Może zarodnikami tej trawy, która porasta tu powierzchnię?

Powiew aż uginał pióra. Ajfrid rozejrzał się. W dali widać było dłuższe, sine grzbiety gór. Tam równiny nie podchodziły tak wysoko. Zakasłał raz i drugi od brązowego pyłu. „Czy to *skorja smyrt*?”

Jogr ruszył, nieco się przesuując podczas jedzenia. Nie należało zwlekać i wracać.

Widok ograniczały obfite czapy roślinności. Trzeba było podejść dalej. Wszędzie siatka nici *porokav*. Stąpało się po niej wygodniej niż po szorstkiej jak szczota trawie. Ajfrid wyszedł na środek płaskiego wierzchołka wzniesienia. Stąd mógł dostrzec najwięcej. W oddali, na równinach, widniał płaski, podłużny i szary wzgórek. Zbyt regularny na formę terenu. Jeśli *prostoran smyj* jeszcze nie odleciał, to tym wzgórką powinien być on.

Ajfrid omijał wysłane nicią jamy. Mroczne, owalne, spłaszczone otwory. Czytał o takich miejscach, choć trafił na nie pierwszy raz. Trzeba stąd jak najszybciej odejść: był w pułapce. Starał się nie deptać nitek sygnalizacyjnych. Oczywiście nie mógł uniknąć potrącenia przynajmniej niektórych cienkich, napiętych nitek.

Przeszedł połowę drogi, kiedy kątem oka ujrzał ruch z lewej. Duży, czarny obiekt. Wielki *porok* wyłonił się z jamy i zastygł bez ruchu. Ajfrid był poza zasięgiem skoku bestii, ale i tak zbyt blisko. Póki się nie ruszał, był bezpieczny, jednak czekać nie mógł. Dobięły go nawoływania z głębi wąwozu. Nie mógł odrzyknąć. *Porok* nie ma dobrych uszu, ale drgania powietrza pobudzą włosy czuciowe na jego odnóżach. Ten okaz był świeżo po wylince, a jego gęste, długie kudły w świetle słońca przybierały soczysty, aż granatowy odcień. Na szczycie karapaksu olbrzymiego drapieznika błyszczały cztery pary nieoczekiwanie małych oczu, przedzielonych zabawną kępą futra.

Porok jest nocnym drapieznikiem, ale pewny zwycięstwa zapoluje też za dnia. „Nie rusza się, obserwuje. Najlżejszy ruch i mnie zauważy”. Ajfrid analizował sytuację. Stał nierówno, z jedną nogą ugiętą w kolanie i sandałem zaplątanym w kobierzec z nici. Łydka zaczynała drętwieć. „Duży *porok*, grzeczny *porok*. Poszedłbyś sobie wreszcie do swojego mieszkania. Ze mnie żylasty facet. Pióra są gorzkie. I po co ci to? Dostaniesz po mnie sraczki. Ileż on tak potrafi tkwić?”

Sytuacja przeciągała się. „Zerwać jakąś łodygę i rzucić mu jako zmyłkę? Bestia

natychmiast zorientuje się, gdzie jestem”. Pot spływał mu po karku, pióra jeżyły się od wilgoci.

W końcu musiał zmienić pozycję. Przeształ z nogi na nogę. Nawet patyczek nie trzasnął pod stopami. Drapieźnik zrobił gwałtowny krok w stronę Ajfrida i nagle zamarł w pół ruchu, wysoko unosząc nogogłaszczki. Z pobliskiej jamy wysunął się inny okaz. *Porok*, niewiele mniejszy od pierwszego, stanął przed swoją jamą i też uniósł nogogłaszczki. Bestie powoli unosiły się na przednich odnóżach, ukazując połyskujące, czarne, długie i ostre jak szable chelicery. Na końcach każdej wisiała duża, opalizująca kropla lepkiego jak miód, śmiernego jadu.

Ajfrid znów się poruszył. Trudno już mu było stać bez ruchu, nogi drętwiały w niewygodnej pozycji. Oba *poroki* zadrżały, każdy z nich zauważył ten ruch, ale to one same stanowiły dla siebie największe niebezpieczeństwo. Zaraz z dalszych jam wychyły jeszcze dwa zaniepokojone drapieźniki. Tamte były mniejsze. Jeden z nich niemal całkiem rudy, przed wylinką, którego prawie łysy odwłok pokrywała sina skóra. Drapieźniki zwracały uwagę przede wszystkim na siebie. Ajfrid zrobił krok, potem drugi. Jeden wyżej uniósł chelicery, ale znieruchomiał. „Ileż was tu mieszka? Ciekawe, jak wychodzicie ze swoich nor, żeby sobie nawzajem nie deptać po nogach?” Bardzo ostrożnie wycofywał się ku brzegowi klifu.

Poroki zauważały jego ruch, jednak trwały nieruchomo. Nawzajem trzymały się w szachu. Ajfrid nie zatrzymywał się. Starł się nie zbliżyć do pustych jam. „Każdy z ich mieszkańców ma tu swój rejon, z którego zgarnia pokarm?”

Dostrzegł wyrostki ostatniego segmentu *jogra*, wystające zza zakrętu. Nie był daleko. Ajfrid szedł skrajem klifu. Wydawało mu się, że nitki sygnalizacyjne są tutaj przyklepione do murawy i nie wibrują pod jego krokami.

Minął drugiego *jogra*, potem zrównał się ze swoim.

– Wreszcie jesteś! – rzucił Vjido.

– Zaraz – powiedział tylko i jednym susem zeskoczył na segment *mlokaja*. Uderzył o szorstki pancerz, ale się nie zsunął. Zebrał się i usiadł na swoim miejscu.

– Coś tam tak długo robił?

– Polowałem na *poroki*.

– Ile ich upolowałeś?

– Było ich ze sześć. Wszystkie mieszkają na piętrze. Olbrzymie bestie, same czarne.

– Jak im uciekłeś?

– Wyszły przed nory, ale nie dalej.

- Młodzi się tam sprawdzają. Na pierwszym kornaczeniu.
- Szkodliwa brawura.
- Niektórzy uwielbiają drażnić się z *porokami*. Sami włączają do ich sypialni.
- Ilu śmiałków tam zginęło?
- Nie słyszałem. Tam nie jest tak niebezpiecznie. *Poroki* w dzień nie polują. Trzeba tylko uważać, żeby nie stanąć w miejscu, gdzie wszystkie nitki pochodzą od jednego. Wtedy taki zapoluje nawet w dzień.
- A *jogr* się wtedy nie straci?
- Nigdy. Wolno żeruje. Nie ruszy się.
- A ty lubisz się ganiać z *porokami*...?
- Zdarzało się. – Vjido wyszczerzył żółte zęby.
- Trafiają się opustoszałe siedliska?
- Często. Kiedy przyjdzie *medvad*, zaraz zostają po nich puste nory. Czasem potrafi w tydzień wyczyścić taką wysepkę.
- Jedźmy już.
- Można już jechać. *Jogr* się napasał. – Vjido palnął piętą segmentowanego olbrzyma, a ten ruszył przed siebie.

Wąwozami wędrowali jeszcze przez godzinę. Syty *mlokaj* maszerował energicznie. Przy końcach segmentów, pomiędzy odnóżami, zaczęły mu się już wyodrębniać nowe mleczne wory.

82.

Środkiem wąwozu snuł się nikły cieczek, jedno z wielu ramion, na jakie podzielił się Styрман. Olbrzymi *jogr* szedł, jakby była tu równa droga. Nie chlapał błotem, odnóża stawiał po obu stronach leniwego potoczka. *Kornaak* powiedział, że syty potwór mleczny przyspieszy, aby opuścić rejon gniazd *porokav*.

- Zobaczyłeś *smyja*?
- Szary podłużny wzgórek o dziwnym kształcie.
- Daleko?
- Przed zmrokiem zdążymy.

Wąwozy rozgałęziały się lub łączyły, *jogr* szedł szlakiem spływającej wody, stale w dół, na południe. Ajfrid starał się zapamiętać kierunek ku zauważonemu obiektowi.

Ściany wąwozu nagle stały się znacznie wyższe, a potem wyjechali na otwarty teren. Przed nimi były już *Zatròvati Ljuci*. Obszar, gdzie *skorja smyrt* przychodzi najczęściej. Step

ciągnął się jak okiem sięgnąć w dal. Oko wyławiało niewiele punktów orientacyjnych. Pagórek był już bliżej, jednak w oddali majaczyło więcej podobnych wzniesień. Ten wyróżniał się niezwykłym kształtem. Czy naturalna forma terenu, niewielka górka, mogła mieć tak zadarte krawędzie?

– Dokąd teraz? – Vjido odwrócił się do Ajfrida.

– W stronę tego wzniesienia.

Kornaak pognał zwierza. Łąkę porastała trawa wysoka na prawie dwa metry. *Jogr* tonął w falującej na wietrze roślinności. Piechur byłby tu niewidoczny. Olbrzymi *porok* też. A nawet *medvad*, gdyby opuścił koniec odwłoka. Taka jazda wywoływała dziwne uczucie. Wokół rude fale, a wyżej tylko zachmurzone niebo. Tylko *kornaak*, który siedział wyżej – tuż za głową potwora – widział więcej. Jednostajny szum trawy, brak innych wrażeń skłaniały do rozmyślań.

Wszyscy starannie zawinęli twarze chustkami. Powiew wiatru niósł rudy pył, który zbierał się na każdej powierzchni, odbierał barwy piórom. Uważano, że to wiatr przynosi *skorju smyrt*, a kiedy ta nadchodzi, kolor niesionego pyłu zmienia się na czarny. Ajfrid sprawdzał kolor kurzu osadzającego się na dłoni. Cóż, wiatr pył przyniósł, wiatr go potem zabierze.

„Co im powiemy? Czy w ogóle mówimy tym samym językiem? Czy rozpoznają znak *krvedemy*, czerwonej glinki, początku wszystkich ludzi? Może oni o tym zapomnieli? A jeśli Doedd Furlongg napisał to jako metaforę? Albo jak przetrwamy noc, jeśli to nie będzie *ljetuczan smyj*? W tych trawach podejdzie *jogra* każdy drapieżnik. Czy wtedy uciekać we wszystkie strony, czy raczej zgrupować się w jednym miejscu, bo *medvadu* starczy *jogr* jako posiłek?” Za nimi trawy zaraz się zamykały, znad nich wyłaniały się długie czułki i błyszczący pancerz czoła drugiego *jogra*, a za nim mała sylwetka *kornaaka*. „Tamten nazywa się Ovid, Jante czy Grabar?”

Droga szła teraz nieco pod górę. *Jogr* zwolnił. Kiedy już osiągnęli najwyższy punkt i zaczęli zjeżdżać w dół, wyrósł przed nimi przedziwny kształt wyslizganego wiatrem ostańca. Skała przypominała regularny, spłaszczony dysk z ostro podciętymi krawędziami. Piękny głaz, nie przybysz z gwiazd.

„Szukamy nieistniejącego widma? Uganiamy się za mirażem? Widmem powietrznym? Może *smyj* już dawno odleciał?” Ajfrid nie mógł się uwolnić od wątpliwości. „Wracać? Co powiem *vedanu*? Czy Gjacke wykorzysta tę niefortunną wyprawę przeciw nam?”

– Gdzie teraz? – rzucił przez ramię Vjido.

Z poziomu *jogra* nic nie było widać. Wokół ostańca snuły się pojedyncze nici *porokav*. Urbanec ruszył na rekonesans. Zeskoczył na ziemię. Wylądował pomiędzy odnóżami potwora mlecznego.

Skała nie była całkiem lita. Pionowo w górę wiodła szeroka rysa, którą łatwo dało się wyjść na wierzchołek. Nauczyciel wspinał się jednak z trudem, Ajfridowi poszłoby to szybciej. „Po co się wrywał, skoro lęka się stromizny?”, pomyślał.

Wreszcie Urbanec na czworakach wyczołgał się na skraj szczytowej płasni. Wolno wznosił się pochyloną powierzchnią, dla niego za trudną. „Ależ ambitny...”, pomyślał Ajfrid. „Koniecznie chce pierwszy zobaczyć *priljetatjeljav*. A twierdzi, że nie istnieją. Przecież jeśli powie, że nic nie widać, to ja i tak to sprawdzę”, pomyślał.

Urbanec stanął na szczycie ostańca. Potem usiadł i zaczął się wolno zsuwać. Omal nie spadł, przewijając się do rysy. Wreszcie znalazł się z powrotem na ziemi.

– Zobaczyłem wielkiego zwierza, ale taki nie może latać...

– Jak wielkiego? – spytał Ajfrid.

– Długi na pięć starych *jograv*, a wysoki jak *garada vyletnikav*. Ma ze cztery pary ramion. Nie rusza się.

– Martwy jest?

– Nie wiem.

– Nadjedzony przez *medvady*?

– Stąd nie widać. Wielkie potwory żyją tutaj...

– Wsiadaj.

Ściśnięty piętami *kornaaka jogr* spuścił łeb, żuwaczkami dotknął ziemi. Urbanec wspinał się po gruzłowatym pancerzu, jak hełm kryjącym całą głowę potwora. Ominął *kornaaka*, potem Mateja i usiadł na swoim miejscu. Stwór ruszył, w ślad za nim poszedł jego towarzysz.

Po drugiej stronie skały teren tworzył zagłębienie. Trawy zaraz się skończyły, a gdy wjechali na krąg suchej i ubitej ziemi, stąpnięcia *jograv* zaczęły dźwięczeć.

Na środku znajdował się olbrzymi bryłowaty kształt – nieruchomy, brunatny, którego wcześniej zasłaniał ostaniec. Na wspaniałym, masywnym grzbiecie stwór pokryty był twardym, gładkim, rogowym pancerzem, podzielonym na kwatery zaznaczające się jako odrębne elementy. Na podłużnym, niższym ogonie wyodrębiały się jakby segmenty, ale sam grzbiet nie był podzielony. Wzdłuż całego ciała biegły płynnymi liniami karby pancerza podkreślające kształt stworzenia. Od przodu, gdzie mogłoby mieć głowę, skóra układała się w

wystające, rozgałęzione, krótkie i grube występy czy kolce, jedne przypominające krótkie kończyny, inne znów czułki o wielu zakończeniach, a jeszcze inne mocno zmodyfikowane żuwaczki. Po bokach miało sześć szerokich, płetwowatych odnóży, a pancerz na nich spękany i porowaty.

– To jest *ljetuczan smyj*...?

„Czyżby tak masywny obiekt potrafił się unieść w powietrze?” Olbrzymie rozmiary i mocarne odnóży budziły respekt.

– Opisywano co innego – powiedział Ajfrid. – Najpierw go obejrzyjmy. Może Urbanec ma rację. Może przyszedł tu jakiś nieznany potwór i zdechł na łące. Nie wiadomo, co zamieszkuje Zatròvati Ljuci.

– Nie widać śladów rozkładu – wtrącił się Matej. Oba *jogry* powoli okrążyły olbrzyma. Był bocznie symetryczny, jak większość zwierząt.

„Jest olbrzymi. Ma ogon i łapy. Mniejszy i bez kończyn, to mógłby być *ljetuczan smyj*. Może to egzemplarz po wszystkich wylinkach? A może dziki *smyj*, który nie służy ludziom z gwiazd?”

– Co zdecydowałeś?! – krzyknął Matej Branu z drugiego *jogra*.

– Inne *smyja* opisywano – odkrzyknął Ajfrid. – Niech dwie osoby spróbują się wspiąć na niego. Jeśli to *smyj*, rozpozna ludzkie kroki i otworzy pancerz, jeśli zaś inna bestia, to uciekać co sił w nogach.

– Urbanec! Idziemy! – rzucił Matej.

Obaj zeszli na ziemię, poprawili chustki zakrywające twarze.

„Cuchnie?” pomyślał Ajfrid.

Podeszli do leżącego obiektu. Matej najpierw dotknął olbrzyma kijem, potem spróbował dłonią. Wreszcie, chwytając się gruzłów i nierówności pancerza, zaczął się wdrapywać na płaskie fałdy skóry. Nauczycielowi szło znacznie gorzej. Od razu wziął się do nieporadnej wspinaczki na kolanach. Ślizgał się na stromej powierzchni, ręce mu się osuwały.

Ich wysiłkom nie towarzyszyła żadna reakcja stwora.

Ajfrid nie wytrzymał z ciekawości, też się zebrał.

Po chwili stał na trawie. Odruchowo sprawdził chustę zasłaniającą usta. Matej wspiął się już na dwie wysokości człowieka. Urbanec oderwał się od ziemi. Nagle olbrzym poruszył się. Obaj wspinacze spanikowali. Matej błyskawicznie zjechał, w takim tempie, że upadł. Ludzie zgrupowali się, obserwując zachowanie *smyja*.

Ruch olbrzyma nie ustał. Wolno unosiły się postrzępione pokrywy głowia, tworząc nad grzbietem niby skrzydła, nastroszone, wąskie, zadarte do góry; najpierw jedna, potem

dwie, trzy i cztery pary. Wreszcie *smyj* dźwignął ogon i znieruchomiał. W tej pozycji wyglądał jak przysiadła na ziemi, gigantyczna *ljetucza ptica*. Mało przypominał opis gościa z nieba. Widać i takie *cyvuty* przylatywały.

Spod uniesionego ogona wyłoniła się połać białawej błony, przypominającej sflaczały rękaw. To był rejon torby łęgowej. Zaraz zaczęły przesuwac się wewnątrz niej kuliste zgrubienia, wolno, jedno po drugim.

– Myślę, że to kapsuły mieszczące *priljetatjeljav* – powiedział Ajfrid. – *Smyj* myśli, że teraz składa jaja.

– Wolno mu to idzie – odrzekł Matej. – Ledwie się poruszają.

– Jakby się niezwykle męczył.

– Są cztery zgrubienia.

– Spróbuję wspiać się w rejon przedni, głowia, tam będzie *jahaczka*. A wy obaj spróbujcie wydobyć z torby łęgowej kapsuły. W nich będą ludzie z gwiazd.

– Jak to robić?

– Ostrożnie, chociaż nie sędzę, żeby siła ludzka była w stanie wyrzucić krzywdę olbrzymowi.

Ajfrid wspinał się po kolejnych warstwach i karbach skórzastego pancerza *smyja*. Nie było stromo, a gruzły tworzyły wygodne chwytty. Wysoko z przodu, w rejonie głowia, pod pierwszą parą uniesionych skrzydeł, odsłoniło się wnętrze jego organizmu. Całe jeziorko suchego i sprężystego śluzu. Na dnie, w najgłębszym miejscu, *aurai* ujrzał zanurzoną w śluzie ludzką głowę. Chwilami poruszała się i wychodziły z niej grube rury czy jakieś gałęzie, znikające w tkance *smyja*.

Ajfrid ostrożnie zstąpił do wnętrza ciała potwora. Półprzezroczysta tkanka lekko ugięła się pod stopami, w środku prześwitywały jakieś naczynia czy arterie.

Zbliżył się do zanurzonej głowy na odległość wyciągniętego ramienia i zaczął garściami usuwać śluz, w którym tonęła. Nie szło to szybko, bo wprawdzie wydobyta maź zaraz sztywniała, ale też sporo ściekało z powrotem.

Wreszcie cała głowa kobiety wynurzyła się ponad powierzchnię lepkiego płynu. Ze skroni, z policzków, z kilku miejsc na potylicy wychodziły z niej wyrosła *smyja*.

„Może to tylko sama głowa, szyja i ramiona, a resztę *smyj* strawił? Żywe popiersie?“, pomyślał Ajfrid.

W półprzezroczystej substancji kusząco falowały jej bardzo duże, długie piersi. Ajfrid patrzył jak zaczarowany.

Kobieta uniosła ciężkie powieki i spojrzała na niego, ale nie odezwała się. Przyjazne

spojrzenie nagle stało się nieobecne, jakby odbierała niesłyszalny przekaz.

Ajfrid gestem pokazał, że pomogą jej opuścić ciało *smyja*. Jeździec, *jahaczka*, spojrzała badawczo i zdecydowanie pokręciła głową. Wątpliwości nie było: odmawiała opuszczenia głowy.

Powiedziała kilka słów. Bełkotliwych i syczących.

Zaraz odezwała się inaczej, dziwnie śpiewnie.

– *Czo jse? Czo rjeczesz?* – spytał Ajfrid.

Jahaczka spojrzała na niego poważnie i odezwała się łamaną mową:

– *Ne priblazalsa ky noima. Mi poradalsa. Pokrivite zamknusa. Otdalsa ot civutot. Szkodita a vredit na jahaczkata a na civutot. Ostavaima ovajata a priljetatjelata a otlataima. Civutot priljetal na vistrahu.*

Wiele słów było zrozumiałych, choć język obcy. Jednak ta wypowiedź nie zostawiała wątpliwości. Słowo *civutot* oznaczało *ljetuczan smyja* w języku *priljetatjeljav*.

– Jak stary jest *cyvut*? – spytał Ajfrid. Też starał się mówić jak najprościej.

– *Veljak stari. Njekto ne zna.*

– Dlatego on tak dziwnie wygląda?

– Są takie. Oddalcie się jak najszybciej. Trujecie nas.

– Możemy cię stąd wyciągnąć.

– *Ne, ne! Otdalsa ot civutot.*

– A ten śluz? Nie trzeba tego zgarnąć z powrotem na ciebie?

– *Dobro, jse dobro. Otdalsa. Veljaka vistraha.*

Ajfrid zszedł w dół po pancerzu.

– *Jahaczka* nie wysiadła? – spytał Urbanec.

– Ona się boi nas albo jest przerażona miejscem, do którego przybyła.

– Może nie rozumie symbolu *krvedemy*? Nie trzeba było smarować twarzy na czerwono.

– Jest połączona ze *smyjam*. Rozmawia z nim za pomocą tych połączeń. Może to *smyj* się czego przestraszył, nie ona.

– Wielki jak pagórek i taki strachliwy...?

Nie byli w stanie przyspieszyć wydania kaset z torby lęgowej. *Smyj* wolno przymykał kolejne pary pokryw głowy. Widać było, że stwór męczy się bardzo. Wreszcie z torby lęgowej wydostało się jedno dwumetrowe jajo, potem drugie. *Smyj* znieruchomiał.

– Pozostałe dwa trzeba z niego wyciągnąć, sam nie da rady i jeszcze zdechnie – powiedział Ajfrid.



Urbanec odważnie wsunął się w głąb rozciągniętego tunelu tkankowego, następnie precyzyjnie przesunął między jego ścianą i powierzchnią pojemnika, a potem wrócił z drugiej strony jaja, jednocześnie przeciągając pętlę z grubego sznura. Wprawdzie lina nieco opadła, ale opasała całą kapsułę.

– Tam w środku smród, nos odpada. – Łapał oddech.

– Jaki smród? – Ajfrid zerknął badawczo.

– Jak nasiurane. Wszystko tam tak śmierdzi. We łbie się ćmi, udusić się można.

Ciągnąc za oba końce liny, Matej z Urbanecem wytoczyli kuliste jajo na murawę. Podobnie poradzili sobie z ostatnim, chociaż z torby lęgowej wysunęła się za nim długa szypuła, od której trzeba było je z trudem oderwać. Rozchodził się mocny zapach mocznika, jak z *ovajav nezradilcav*. Porowata skórzasta powłoka przesiąkła charakterystycznym odorem.

– Tam są żywi ludzie? – spytał Matej. – Jak mogą w tym oddychać?

– Teraz już nie mogą. Trzeba to przeciąć.

Matej przyniósł od *kornaaka* łopatę bez styliska.

– Uważnie! Skorupa jest cienka.

Rozciął krawędzią łopaty skórzastą powierzchnię ostatniego wydobytego jaja. Ostrze zagłębiło się w środku. Rozszedł się fetor. Matej przedłużył cięcie na całą długość i dodał drugie, poprzeczne. Otworzył się wewnątrz jaja.

„Przypomina to zbiór *zradilcav*”, pomyślał Ajfrid. „Tyle że *ovaja* są znacznie większe...”

Ze środka *ovaja* nikt nie wychodził, więc Matej z nauczycielem mocno rozchylili rozciętą skorupę. Wewnątrz zobaczyli zwłoki mężczyzny w dziwnym haftowanym kubraku, spodniach do kolan i grubo tkanych, wzorzystych pończochach. Trup był już częściowo rozłożony ale nie stracił przedziwnego wyglądu. Był bardziej łysy niż Urbanec, został mu tylko mizerny wianuszek włosów nad uszami. Jego brzuch był wydęty jak balon. Tak tłustego człowieka tutaj nie widzieli. „A może napuchł już po śmierci? Szare włosy, siwizna... Opis z archiwum się zgadza. Chciałbym dożyć jego wieku”.

– Ależ on okropnie brzydki – mruknął Branu.

– Był niezwykle stary. Pisali o takich.

– Tego trzeba pochować na miejscu.

– Nie ma go w co zawinąć.

– Wykopiemy tylko dół.

– Zaczekajmy na następnych. Może od razu wykopiemy większy dół. Będzie mniej

pracy.

84.

Musieli się śpieszyć, by *priljetatjelja* się nie podusili. Branu otworzył kolejne *ovajo* długim cięciem od góry do samego dołu. Nie śmierdziało. Strugą wylał się mleczny, półprzezroczysty płyn. Wewnątrz nieruchomo siedział wychudzony, ciemnoskóry mężczyzna, odziany w kompletnie przemoczony szary kubrak i spodnie. Z ust i nosa wychodził mu gruby wąż tkankowy, jakby żyła czy jelito sięgające od twarzy do ścianki *ovaja*.

– To przyrosło do niego? *Smyj* go pożerał w taki sposób? – zdziwił się Branu.

– Wręcz przeciwnie. Tak ma być. – Ajfrid pokręcił głową.

– Ten jest żywy. Trzeba go tylko odłączyć od tych rur.

– To pewowiny?

Ajfrid już wyciągał mężczyźnię z nosa końce grubych wyrośli. Wyczuwał pod palcami chrzęstną ściankę naczynia.

– Skądże. *Vylet* się nie powtarza. Te rury zaopatrują go w powietrze do oddychania i w pożywienie.

Z oderwanego wyrośla wylał się mleczny płyn.

– To przecież ciecz! – wyrwało się nauczycielowi.

– Ale nasyciona gazem do oddychania, dlatego mlecznobiała. Wyrwij mu to z ust. Nie jest przyrośnięte, tylko dokładnie dopasowało się do gardła. Matej, ty otwórz następne *ovajo*. Pozostali mogą się dusić.

Ajfrid przyłożył mocno raz i drugi w plecy mężczyzny.

Ten zadrzał i mocno wciągnął powietrze nosem. Szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Urbanec ujął grube, karbowane zwężeniami wyrośle w obie ręce i mocno pociągnął. *Priljetatjel* pomagał mu, cofając głowę z całej siły.

Wreszcie udało się wyrwać wyrośle z gardła ciemnoskórego mężczyzny. Ten opadł na czworaki i długo wymiotował. Gwałtowne skurcze szarpały jego wnętrznościami.

– Tnij następne *ovajo*. Im już brakuje powietrza.

Długim, głębokim cięciem Matej otworzył kolejną kapsułę. Znów buchnął strumień mlecznej cieczy. Wewnątrz była nieduża postać. Matej z nauczycielem ujęli pod ramiona i wydobyli niewysoką, ciemnowłosą kobietę. W jej dużych, czarnych, wyrazistych oczach wypisane było przerażenie. Szarpnęła się do tyłu, wyrwała z rąk podtrzymujących ją osób. Cały czas z natężeniem wpatrywała się jednak w Ajfrida. Grube wyrośla nadal łączyły ją z *ovajam*.

– Zostawcie ją na chwilę. Może oszalała.

– Dobrze.

Wreszcie ostatnie *ovajo*. Znowu fala mlecznego płynu. Wydobyli tęgawego, młodego człowieka o łysym ciemieniu, odzianego w dziwaczny jednocześnie kombinezon sznurowany po bokach. Do przerażonego spojrzenia zdążyli się już przyzwyczaić. Ale ten pasażer od razu zaczął współpracować. Zaparł się i pomagał Matejowi wyrwać teraz już zbyt ciężkie, a odżywiające go w trakcie podróży naczynia.

Kobieta upadła na ziemię. Jej twarz siniała. Podnieśli ją.

– Przecież się udusisz! – powiedział Ajfrid z naciskiem.

Przytrzymał głowę czarnowłosej, a Urbanec mocno pociągnął za wyrosłe wystające z jej nosa. Kobieta już się nie broniła. Z jej pomocą wyrwali zbyt ciężkie połączenie. Wkrótce ona i tęgawy oddychali już normalnie, tylko szarpały nimi torsje. Kiedy ustały, wszyscy *priljetatjelja* zbili się w przerażoną gromadkę. Omawiali coś między sobą podniesionymi głosami. Nie dało się zrozumieć ani jednego słowa z ich rozmowy.

Urbanec obejrzał najmniej zniszczone *ovajo*.

– Wejść do niego – powiedział. – Skorupa jest bardzo plastyczna, zaraz się skleci z powrotem. Umieściecie mnie w torbie łęgowej *smyja* i polecę stąd. Muszę sprawdzić, skąd przylecieli!

– Chcesz zawieźć im *krve znama*? Jesteś nimi skażony.

– To jedyna szansa, żeby o nas powiedzieć innym.

– To prawda. Ostatni raz *smyj* przyleciał tutaj przed *velmi noceljama*. Zostało po nim tylko trochę słów.

– Auraio! Ty zostań naszym przedstawicielem. Jesteś zdrowy. Wiesz najwięcej!

„Alica powinna polecieć. Może wyleczyliby jej duszę. Może zobaczyłaby swoje dziecko”, pomyślał.

– Jestem potrzebny tutaj.

„Alicy nie można powierzyć osady”, pomyślał.

Przybysze przyglądali się ich głośnej rozmowie. Łysy mężczyzna nerwowo pokazywał, żeby go wsadzić do *ovaja*.

– Skoro chce, niech leci – powiedział Ajfrid.

„Chyba oni wszyscy najchętniej wróciliby. Zresztą, jaki z nich pożytek, skoro dogadać się z nimi nie da? Do roboty też się nie nadadzą. Wyglądają marnie”.

Pomogli łysemu wejść na powrót od *ovaja*, zamocowali wyrosła odżywiające, wreszcie zestawili z powrotem rozłupaną skorupę. Przecięte ścianki złączyły się w całość.

Brakowało tylko mlecznego płynu. Pasażer miał niewiele czasu, by *ovajo* zostało ponownie umieszczone w torbie lęgowej.

Pokrywy *smyja* były już półprzymknięte. Ajfrid jeszcze raz wspiął się po pancerzu do *jahaczki*. Jej głowa nadal wystawała ze śluzu, a obfite piersi łagodnie podpływały w gęstym płynie. Kobieta podniosła ciężkie powieki i spojrzała na niego.

– Jeden z przybyszów chce pojechać dalej.

– Może – odpowiedziała. – Ale *smyj* zbyt osłabł. Musicie sami wepchać jajo do torby lęgowej.

Gdy próbowali wepchać *ovajo* z powrotem do pokładełka, tkanka nie zamknęła się, straciła sprężystość. *Ovajo* wypadło na trawnik; pękło. Wydobyli z niego niedoszedłego podróżnika, zanim się udusił.

85.

Matej zamocował łopatę na stylisku, a drugą wręczył nauczycielowi.

– Trzeba go pochować – powiedział.

Urbanec zmontował drugie narzędzie.

Grunt nie był tu zbyt spoisty. Dużo piasku, żwir. Wydobywali sporo posklejanych brył. Nauczyciel powiedział, że to wyschły śluz *pazdaca*. Jednak do siatki łodyg tego organizmu się nie dokopali. Praca szła szybko. Wykopali grób na wysokość człowieka. Chcieli obcym pokazać, że w Matcinaj Dolane szanuje się każdego i nikogo nie zostawia na pożarcie dla *stjegan smyjav*. Zmarły *priljetatjel* już się rozkładał, nikt nie chciał go dotykać, skrepowali więc trupowi ręce jednym, a kostki nóg drugim kawałkiem sznurka i za ich pomocą opuścili wiotkie zwłoki do dołu. Kiedy ciało ułożyło się na dnie, wrzucili za nim resztę sznura i zasypali mogiłę. Wyrównali ją z gruntem i zatarli, aby na jej ślad nie natrafił padlinożerca.

Zbici w gromadkę przybysze w milczeniu obserwowali pochówek. Ucichli. Czy poczuli wspólnotę z miejscowymi ludźmi?

Ajfrid dał znak, a *jogry* zbliżyły się, wywołując u przybyszów wybuch przerażenia. „Oj, ciężko im będzie się przyzwyczaić”, pomyślał Ajfrid. „Wszystkiego tutaj się boją”.

– Wsiądźmy najpierw. Nauczymy ich własnym przykładem.

Urbanec zgrabnie wspiął się na pochylony łeb *jogra*. Ominął *kornaaka*, przestąpił wypukłość segmentu, podłożył sobie derkę i wygodnie usiadł na przewężeniu ciała potwora mlecznego.

Ajfrid chciał zrobić to samo, ale drobna czarnowłosa kobieta wystąpiła zza swoich

towarzyszy i ufnie podeszła do niego. Wyciągnęła rękę. Była mała, dość przysadzista i młoda. Twarz miała ładną, oczy bardzo czarne, jakby matowe, czasem tylko rozbłyskujące. „Jej wielkie oczy wyrażają wszystkie myśli”, pomyślał z podziwem.

Lekko ujął nieznajomą w pasie i podniósł nad masywne żuwaczki stwora, rytmicznie zaciskające się i rozwierające. Niskiej dziewczynie byłoby trudno je przekroczyć.

Zgrabnie wspięła się po chropawej tarczy głowowej stwora. Powiedziała jedno słowo, które musiało wyrażać podziękowanie. Ajfrid wspiął się w ślad za nią.

– Siadaj z tyłu za mną. – Ruchem ręki wskazał miejsce czarnowłosej.

Mężczyznom nie wypadało okazać lęku, skoro filigranowa dziewczyna nie uległa się olbrzymu. Obaj usiedli za Urbanecem w kolejnych przewężeniach między segmentami. Musiało ich zdumieć, że polecenia wydawane gestami i kopnięciami *kornaacav* olbrzymi stwór wykonuje bez sprzeciwu. „Ciekawe, czy widzieli kiedyś podobną bestię oswojoną?” pomyślał Ajfrid.

Kazali przybyszom zawinąć twarze w chusty. Groźba *skoraj smyrti* była większa niż możliwość ataku mikro stworów *jogra*. Ciemnooka dziewczyna skrzywiła się, wachając tkaninę. „Śmierdzi jej? Żeby działać, zasłona musi być nasycona potem *volca*”.

Nie owinęła ciasno nosa i ust, tylko zamarkowała zasłonę.

Odwrócił się i pokazał jej, jak ma zawiązać chustkę.

– Zawiń twarz, bo cię dopadnie *skorja smyrt* – rzucił.

Ciekawe, ile z tego zrozumiała.

Słońce już było nisko. Przed zmierzchem nie dotrą do Matcinaj Dolany. Pchać się po zmroku między gniazda *porokav* było głupotą i samobójstwem. „Mówić im, że przez całą noc oba *jogra* będą wlec się bez celu, zółwim krokiem, a my będziemy drzemać na siedząco...? Ani nie rozumieją, ani nie będą wiedzieli, co zrobić”. Zaraz Vjido dał wszystkim przykład, kładąc się płasko na brzuchu i tuląc do powierzchni pancerza puszki głowowej *jogra*. Groźne było tylko dotknięcie miękkiej tkanki międzysegmenta, stwardniałego pancerza już nie. Szeroko rozpajęczył ręce i nogi, żeby się nie zsunąć. Stwór jakby zrozumiał i zwolnił. Drugi poszedł w jego ślady.

86.

W mroku słyhać było, jak ktoś sika. Spadająca z wysoka struga biła o zarośla. Ajfrid spał płytko, budząc się co chwila. Przed oczyma duszy widział *ljetuczan smyja*, który unosił kolejne pary skrzydeł, a spod każdej z nich wychodziła para ludzi. Każda w innym kolorze. Jedni mieli skórę zieloną, inni pomarańczową, jeszcze inni ciemnobrązową, jak łysy

priljetatjel, a dwoje ostatnich czarną jak węgiel. Zamiast odzieży nosili gęste pióra w odpowiednich kolorach. Sen rozwijał się, Ajfrid zaś nie potrafił zliczyć par skrzydeł unoszących się ostro w niebo i kolejnych par przybywających ludzi. „Teraz my będziemy *aurai* w Matcinaj Dolane”, powiedział jeden z przybyszów. „A wy oboje z Alicą włączcie do *ovaja*”. Ajfrid zaprotestował. Obcy pokręcił głową. „My umiemy znacznie więcej od was. Przydamy się bardziej. Ja zbuduję wyciągarke do drutu, aby zrobić stalowe liny do wiązania *jograv*. Nie będzie więcej *stryżajav*”, puszył się niski, przysadzisty, zielony mężczyzna. „Wy wsiadajcie pod ostatnie skrzydło *smuja*, może komu przyda się para takich olbrzymów, jak ty i Alica. Ludzie powinni być niscy jak my czy jak Gjacked Ovidan albo ta czarnowłosa dziewczyna, zbudowana jak kobiety z historycznych rycin”. „Alica też jest tak zbudowana”, sprzeciwił się Ajfrid. „Nie dość. Ona tylko udaje. Jest stanowczo za smukła”, zielony był niewzruszony. Zbudził go krzyk przerażenia. Szarzało. Ajfrid rozejrzał się, szukając napastnika. *Jogra* stapały noga za nogą. To któryś z przybyszów po obudzeniu zetknął się z nową rzeczywistością.

Kolejny raz zbudził go ruch i dźwięk rozmów. Słońce było już dość wysoko. *Jogra* przestały się paść. *Kornaaca* pognali je do żywszego marszu. Jechali w milczeniu. Czarnowłosa krzyknęła coś do swoich towarzyszy. Ajfrid spojrzał na nią surowo. Na *Zatròvati Ljucam* krzyk może sprowadzić co złego. Obca umilkła.

Obszar legowisk *porokav* przebyli szybko. Może *jogra* czegoś się obawiały? „Jak one wiedzą, które wężoziki wybierać?” zastanawiał się zaspany Ajfrid.

Wkrótce osiągnęli wylot Matcinu Dolanu. Było tu równie gorąco, wiał taki sam suchy wiatr, odnóża *jogra* stale wznosiły takie same chmury rudego pyłu, ale zrobiło się bardziej swojsko.

Kiedy przechodzili pod wylotem *Visoky Vody*, z doliny wysypała się skłębiona biała chmura. Zaraz ogarnęła ich wirująca nawałnica jasnych drobinek. Białe płatki przywierały do skóry, lepiły się do ust, do nosa. Zaraz zaatakowały. Płaskie jak ostre liście *ljuszt* mocno przywierały do skóry, a potem wciskały się pod nią. Trzeba było oddychać przez chustkę, by latające stwory nie wepchały się do gardła. Znowu ktoś krzyknął. „Głupiec”, pomyślał Ajfrid.

Chmura kłębiła się nad nimi, aż pociemniało. Ajfrid wyrwał ze skóry na wierzchu dłoni jedną, zaraz potem drugą łuskę. Rana nie krwawiła. Atakujące *ljuszt* najpierw mocno bolało, jednak kiedy się zwlekało z wyrwaniem, ból ustawał i można było przegapić agresora. Jeszcze jedno z lewej dłoni, potem z podbicia stopy, pomiędzy rzemyków sandała, potem z podudzia. Ajfrid zmagął się z nalotem pasożytów. Miał nadzieję, że inni radzą sobie równie dobrze. Wreszcie chmura przerzedziła się i jak nagle się pojawiła, tak szybko pognała w dół

doliny, ku Zatròvati Ljucam. Wszyscy zostali pokłuci. Nikt nie zginął. „Bardzo ruchliwe *ljushta*. Jakaś odmiana z Visoky Vody? To chyba pasożyty *jograv* albo *volcav*. Nas zaatakowały przypadkowo”.

Ajfrid znalazł na swoim ciele aż dziesięć pasożytów. Dwa wgryzły się w pachwinę, jeden w pośladek.

Wszyscy z Matcinaj Dolany oglądali swoją skórę. *Kornaaca* mieli obcisłą odzież chroniącą przed atakiem *ljusztav*.

To wzbudziło zaciekawienie czarnowłosej. Coś powiedziała. Jej luźne odzienie nie chroniło przed pasożytami. Ajfrid skinął ręką, żeby podeszła do niego. Dziewczyna posłusznie zebrała się i przeszła po pancerzu. Ajfrid przytrzymał ją, kiedy go omijała. Nieznajoma zadrżała, a gdy spojrzała na niego z bliska, znowu dostrzegł w jej wzroku przerażenie. „Przecież cię nie zjem”, pomyślał.

– *Zadri kobrak!*

Tamta nie zrozumiała.

Nieco podciągnął jej kubraczek na plecach.

Natychmiast posłusznie odsłoniła całe plecy, a spódnicę obsunęła tak bardzo, że ukazał się przedziałek między pośladkami. „Gdyby to Alica ujrzała...”, pomyślał.

Wyskubał jej ze skóry kilka *ljusztav*. Każdemu towarzyszył jęk dziewczyny. „To ją boli?” Lekko sięgnął dłonią pod jej odzież i przegładnął brzuch, znajdując więcej łusek wciśniętych w skórę.

– Dużo tego. Smakuje im twoja skóra. *Tij sama* – powiedział do czarnowłosej, naśladując gest wrywania łuski. – *Tij sama*.

Priljetatjelnica zaczęła badać swoją skórę dłonią, poszukując napastników. Później odwróciła się i rozgarnęła pióra na plecach Ajfrida. Ten uśmiechnął się, nie zaprotestował. Wyszukała i wyrwała mu ze skóry kilka *ljusztav*. Gdy wracała na swoje miejsce, nie była przerażona.

Wkrótce potwór mleczny dotarł do *pamjati vyletnikav*. Zapanowała głucha cisza. Przybysze obserwowali wysuszone brunatne mumie wiszące za głowy, czasem łagodnie kiwające się na wietrze. Kremowa czaszka Doedda Furlongga nie wzbudziła ich zainteresowania. Najwyżej dostrzegli w niej jedną z przedziwnych ozdób. Co z tego, że była kremowa, nie rdzawa? „O czym teraz myślą? Jak nas postrzegają? Jako dzikusów, zwyrodnialców czy jakich innych potworów?”, Ajfrid uśmiechał się do swoich myśli.

Żaden z *priljetatjeljav* nie miał twarzy pokrytej czerwoną *krvedemq*.

87.

Już z dala widać było latawiec unoszący się nad osadą. Pilnie wyglądano powrotu wyprawy. Pod *garadu szestnocljinikav* oczekiwała na nich gromada. Mężczyźni byli uzbrojeni w pałki.

Przyprowadził ich tam orszak malców. – *Priljetatjelja! Priljetatjelja* przybyli! – wołały dzieci, gapiąc się na obcych.

Obaj mężczyźni nadal jechali z twarzami szczelnie owiniętymi chustami, czarnowłosa, wzorem Ajfrida, siedziała na złożonej we czworo chuście.

Ktoś schwycił oba potwory za czułki, *jogra* pochyliły łby do ziemi, by pasażerowie mogli z nich bezpiecznie wysiąść. Zaraz też obu *kornaacav* zastąpili zmiennicy. Wory mleczne uformowały się już, ale były jeszcze nie wypełnione, więc *jogra* zaraz wróciły na pastwiska.

Stojący na czele Gjacke Ovidan pokłonił się przybyłym. *Priljetatjelja* odwzajemnili ten gest. Łysy, ciemnoskóry mężczyzna ledwie trzymał się na nogach. Kiedy odkłaniał się *vedanu*, byłby upadł, gdyby drugi go nie podtrzymał.

– *Dobro, czo doszjati vo Matcinu Dolanu* – zaczął przemowę *vedan*. – Wierzymy, że nauczycie nas wiele.

– Oni nie rozumieją nawet najprostszycy słów – rzucił Ajfrid.

– Taaa...? – prychnął Gjacke.

Jakby na potwierdzenie *priljetatjel* powiedział parę wyrazów, dziwnych, szeleszczących, do niczego niepodobnych.

– To co z nimi zrobić? – Gjacke miał głupawą minę.

– Można ich dać do budynku szkoły – zauważył Matej. – Na piętrze wszystkie pokoje są puste.

– Wykluczone! – uniósł się Urbanec. – Zараżа uczniów, jeśli przywieźli chorobę albo nieznanе pasożyty. Trzeba ich odizolować.

Gjacke spojrzał pytająco na Ajfrida.

Ten skinął głową. Nauczyciel mógł mieć rację.

Gjacke wyznaczył przybyszom pusty dom na uboczu osady. Dostarczono im dość kulek *jedal drava*, kłaczy *cukrovinu* i mlecznego wina. Pokazano na migi, gdzie spać, gdzie jadać, gdzie się myć, jak barykadować drzwi. Przybysze zniknęli w mroku domostwa. Nawet nie podnieśli okiennic. Co tam czynili, nikt nie wiedział. Gawiedź powoli rozchodziła się. „Oni chyba śpiąją?” pomyślał Ajfrid.

Szukał wzrokiem Alicy. Nigdzie jej nie było. Podszedł do *vedanu* i spojrzał poważnie. Pytać nie musiał.

– Jest zamknięta w Domu Dziwaczek – wyjaśnił Gjacke. – Nie przyjmuje pożywienia.

– Jak to się stało?

– Dwa dni po waszym wyruszeniu zaczęła wykrzykiwać, że przypadniemy w katastrofie, a potem że Jadòvina podmienia waszą wyprawę. Kiedy ją spytałem, skąd o tym wie, odpowiedziała, że to zobaczyła. Kazała się przygotować na atak podmienionych.

– Dlatego wypuściliście latawiec i zaopatrzyliście się w pałki?

– Na wszelki wypadek kazałem przygotować obronę.

– Uwięziliście ją?

– Sama zeszła do podziemi. Była przerażona. Krzyczała, że pada z nieba krew, chociaż żadnego deszczu nie było. Potem zaczęła się ranić. Powiedziała, że wszczepiłeś jej fałszywe pióra. Wtedy kazałem ją związać.

– Jest związana?

– Już nie. Daliśmy jej *czyrnaj hubiny*. Wieczorem spała. Co teraz zrobicie?

– Parę nocy można tu przespać bez obaw. Pióra już dojrzały, dolina słabiej atakuje...

Ajfrid obawiał się o Alice. Chciał ją jak najszybciej zobaczyć, jednak teraz obserwowali go wszyscy. Był tu dla gromady. Miał doradzać i decydować.

– Potem wyprowadzę ją z powrotem na Prevaj. Tam się jej poprawi. Teraz musimy zdecydować, co z *priljetatjeljama*.

– Tak. Wejdźmy do środka.

W sali *garadu szestnoclnikav* usiadł Ajfrid, Gjacke z jego trzema zaufanymi, wreszcie Urbanec. Wisząca pod sufitem półnaga meluzyna wydawała się bardziej swojska niż przybysze.

– Jak z nimi nawiązać kontakt? – spytał Gjacke. – Przecież oni nie znają ani słowa.

– Trzeba zacząć od imion, od prostych czynności.

Gjacke pokiwał głową.

– Spróbujemy się z nimi dogadać. Ta kobieta wydaje się najbardziej rozgarnięta – kontynuował Ajfrid. – Wszystko obserwuje. Nie można zmarnować szansy, jaką jest ich wiedza. Ich porady mogą ulżyć naszemu trudowi.

– Tak... Nie możemy zmarnować takiej szansy.

– Ale jak? Zacząć od imion? Od czynności? Co to właściwie znaczy? – wtrącił się z emfazą nauczyciel. Jego teatralny głos śmiesznie rezonował. Sposób mówienia Urbaneca irytował. Bez powodu nagle robił się wzburzony, zagniewany, ruda broda mu się trzęsła. Śmieszył i denerwował.

– A zwyczajnie – warknął Ajfrid. – Trzeba ich oprowadzić po osadzie. Pokazać pracę

w polu, przy *volcav*. Mówić nazwy różnych przedmiotów. Może nie od razu, ale przyjdą skutki takiego działania.

– Kto będzie potrafił tak działać?

– Właśnie ty masz się przyuczyć do tej pracy! – rzucił *vedan*.

– *Priljetatjelja* mogą tutaj poumierać. Bo nie tylko oni nam zagrażają, ale my im też.

Od nas mogą się pozarażać.

– Lepiej, żeby wcześniej nauczyli się ludzkiej mowy – wtrącił Gjacke.

Nagle zrobił się gwar za oknami. Wyjrzeni na zewnątrz, gdzie Baric z Jonczillo pokazywali sobie coś na niebie.

– Szybko! – rzucił Ajfrid. – Trzeba to zobaczyć.

Wybiegli przed dom. Na niebie rysowała się nieruchoma błyskawica. Zaczęła się od ziemi, gdzieś daleko poniżej wylotu Matcinaj Dolany, i rosła, powyginana jak pień drzewa.

– Wezwać *priljetatjeljav* – rzucił Ajfrid. – Niech to zobaczą.

Wkrótce już wszyscy gapili się w niebo. Start *smija* nie wyglądał tak elegancko, jak jego przylot. Niektórzy twierdzili, że widzą go na szczycie narastającego zygzaku. Stwór wznosił się powoli, kreślił na niebie jakieś figury. Wreszcie zniknął na nieboskłonie, a w miejscu, gdzie zniknął, nagle rozbłysła w dzień gwiazda. Mieszkańcy Matcinaj Dolany przywitali ten rozbłysk brawami.

Priljetatjelja przyglądali się odlotowi *ljetuczan smija* w milczeniu. Ciemnowłosa się rozplakała.

88.

Alica leżała nieruchomo na wznak na wąskim łóżku w piwnicy Domu Dziwaczek i patrzyła w ciemność. Kaganek rozjaśnił mrok, lecz to leżącej nie zainteresowało.

– Już wróciliśmy – zagadał Ajfrid.

Obróciła głowę.

– Słyszałam gwar rozmów.

– Opowiesz mi, co się stało?

– Nie.

Podłożyła ręce pod głowę. Pióra uniosły się do góry i odsłoniły jej piersi. Nie była to zachęta erotyczna – Alica była dalej nieobecna. Zaprzątały ją inne myśli.

Jednak Ajfrid nie mógł ich nie zauważyć. „Są piękne, dorodne, zsuwają się na boki. Krótsze niż u *jahaczki*, ale też chudsze i bardziej płaskie”, porównał ze wspomnieniem.

– Przestałaś jeść.

– Nie będę tego jadła. Podsuwają mi podmienione potrawy.

– Kto podmienia?

– Jadovina. Któżby inny?

– Po czym poznajesz, że to Jadovina podmienił? Przecież stąd nie wychodzisz.

– Może to kto inny podmienia, nie wiem.

– Nie widzisz, co ci przynoszą. Tutaj jest całkiem ciemno.

– Nie muszę patrzeć. Zabroniłam im przynosić. Jem tylko *ovaja smyjaka*. Te jeszcze dają mi niesfałszowane.

– Wyjdź na słońce. Pióra obumierają.

– Boję się. Jestem słaba.

– Pójdę z tobą. Będziemy trzymali się pod rękę.

– Wszyscy będą się śmiać ze mnie. Już drwili. Co to za *auraica*, która biega po drodze i krzyczy.

– To nie biegaj po drodze i nie krzycz. Wyjdiesz do światła?

– Później.

– Zaraz słońce zajdzie. Musisz pomóc twoim piórom.

– Dobrze, to chodźmy teraz.

Alica podniosła się, szła pewnie, nie zataczała się. Niewiele wychudła. Głodówka nie była jeszcze długa.

Ajfrid poprawił jej pióra i nałożył słomkowy kapelusz. Organizmy prawie się nie ruszały. Kolory wyblakły.

– Mówili, że się okaleczałaś.

– Oczywiście, że nie. Po prostu usunęłam kilka piór, bo były nie moje.

– Też podmienione?

– Tak.

Uderzył ich w oczy ostry blask słońca. Alica przysłoniła oczy dłonią.

– Czekaj... najpierw pójdziesz z opaską na oczach. – Zawiązał jej oczy swoją chustką.

– Zrobiłeś tak wielkie zmiany pod moją nieobecność, że byłabym przerażona? – spytała. – Wszystko już sfalszowałeś?

– Ech, ty znowu swoje... – Machnął ręką. – Oczy w półmroku przyzwyczajają się do światła. Byłaś zbyt długo w pełnej ciemności. Możesz tak iść?

– Tak, ale trzymaj mnie pod rękę. Blisko siebie.

– Widzisz coś pod opaską?

– Tak. Półmrok.

– To na razie dobrze.

Jej pióra wyblakły, ale nie zwiotczały jeszcze. Już zaczęły się poruszać. Na pewno odżyją. Miejsca, z których je wyrwała, nie były widoczne.

– *Sljapa auraica! Auraica! Sljapa, sljapa!* – przeraźliwie wrzasnął malutki chłopiec i puścił się biegiem do ucieczki.

– Teraz mają sensację. Wydałeś mnie na pośmiewisko.

– To tylko jeden malec. Inni pomyślą, że to leczenie.

– Jestem zdrowa. Wszystko to widziałam.

– Co widziałas?

– Krew padała z nieba jak deszcz. Dużo jej padało, aż tworzyły się czerwone kałuże, ale takie płaskie jak plamy. A potem były takie słupy, takie wiry, fontanny. Każda w innym kolorze: czerwonym, zielonym, niebieskim, fioletowym, żółtym. Zbierały się w chmurach i opadały takimi szpilami ku ziemi. Swoimi ostrymi podstawami celowały w Matcinu Dolanu, w nas.

– Dlatego krzyczałaś?

– Przecież to zagrażało wszystkim. Mogły kogoś przebić.

– Dużo ich było?

– Najpierw kilka. Potem jedne znikwały, a pojawiały się inne, nowe.

Tłumaczyć jej, że to kolejne urojenie, nie było na razie sensu. „Niech najpierw wróci do formy fizycznej”. Była słaba.

– Spróbuj przesunąć opaskę. Może oczy już sobie poradzą?

– Wtedy wyjdą na jaw twoje sprawy. Nie boisz się?

– Czego?

– Przecież wiem, że Ajfrida dorwała *skorja smyrt* na Zatròvati Ljucam, a ty jesteś Jadòvina...

89.

Wychudzony, ciemnoskóry mężczyzna umarł następnego dnia. Na jego skórze znaleźli bardzo wiele głęboko wbitych *ljusztav*. Zbyt luźne odzienie nie ochroniło go przed atakiem. Czy to właśnie białe łuski go zabiły? Vjido, Baric i Jonczillo wzięli jego ciało do pochowania po drugiej stronie Stymana. Nie było pewne, czy jego dolegliwość była zakaźna, więc mieli go pochować z dala od osady.

– Auraio dba o siebie – powiedział Vjido do obu tragarzy. Baric i Jonczillo nieśli zwłoki zaszyte w całun, a on nimi kierował. Obiecał w zamian opowiedzieć historię wyprawy

po *priljetatjeljav*. – Kazał tej czarnej *priljetatjelnicy*, żeby mu wydierała ze skóry zwyczajne *ljusztav*.

– *Ljusztav* was opadły? Tak późno? Przecież to nie ich pora.

– Wyleciały jak jaka nawałnica z *Visoky Vody* i spadły na nas. Wygłodniałe, zaraz pchały się pod skórę, na swoją zgubę. A ta czarna z *ovaja* zaraz się wzięła za niego. Wszędzie zaglądała, żeby mu się co nie popsulo od tych *ljusztav*... Ledwie z nieba spadła, a już wiedziała, co trzeba. Myślałem, że kręci nim młoda *auraica*, a tu zaraz druga się za niego wzięła...

– Z *auraicu* nic nie będzie. Biega i gada od rzeczy. Duszę jej toczy choroba. Podobno pióra się na niej nie przyjęły i tak się jej to na głowę rzuciło. *Nocelja* nie przetrwa.

– Czarna tego nie wie. Zwyczajnie zatroszczyła się, bo *auraio* ważny jest. A tyś sobie tak zostawił te *ljusztav*? Żeby w ciebie włożyły? Przecież to boli jak cholera.

– Tamte bolały tylko z początku. To było takie małe, słabowite ścierwo. Wystarczyło zaczekać, aż się w skórze zasiedziało i przejechać ręką. Od razu się odkruszały, a reszta się rozpuści w człowieku.

– *Aurai* sami nie wiedzą, na co muszą uważać. Na wszelki wypadek dbają o wszystko. Zanim się nowy wykształci, to starego nie może zabraknąć.

– On powydierał *ljusztav* z tej nowej, co wylazła z potwora.

– A to po co...? – obruszył się *Baric*. – Cóż jej to zaszkodzi? Jak się tych *ljusztav* w człowieka nabija, to tylko dobre na zdrowie. *Liszaje* same wysychają. *Krve* *znama* się goją.

– Ta czarna starannie czyściła naszego *auraio*.

– Może jakaś niedouczona...

– Douczona, douczona, wyuczylili ją tam w gwiazdach – powiedział *Vjido*. – Zobaczysz, jak zakręci naszym *auraio*. On będzie nami rządził, a ona nim. Nie huśtajcie tak tą kładką, bo wam *priljetatjel* wpadnie do *Styrmana*.

– *Byde naszi otplavatjel* – podsumował *Joncillo* i wszyscy trzej ryknęli śmiechem.

Potok już przybierał na wieczór i niesło od niego chłodnym pyłem wodnym.

– Zaraz ja będę *zamrazatjel* – burknął *Vjido*.

– Poniósłbyś go trochę, tobyś się rozgrzał.

– *Kornaaca* nie mogą tyle nosić, bo im się wycucie w stopach psuje. Wiesz, ja muszę delikatnie sterować, żeby się potwór mleczny nie znarowił.

– Bajdury. Sam kornaczyłem. – *Baric* wydał wargi.

– Ale coś mało, bo *Vjido* już prawie na *stryżaja* wygląda, a tobie brzuch urósł – zauważył *Joncillo*.

– Bo się mnie *jogr* nie ima.

Po drugiej stronie Styrmana stało ledwie kilka szafasów. Zaczął się już zbiór *jedal drava*. Obok wiaty widniała spiętrzona pryzma ogromnych pni, od której ciągnął przyjemny balsamiczny zapach. Kładka była zbyt wąta, żeby dało się dostarczyć te pnie do osady, dlatego wszystko przetwarzano po tej stronie. Każdy pień łupano na drobne szczapy, które moczono w wodzie. Pod wiatą, w dużym basenie, kilka dziewcząt deptało po miękkiej kremowej masie. Kiedy wymyje się już całą mąkę, wytłoki pójda na paszę dla *volcav*, a kremowy, słodkawy osad zostanie starannie wypłukany w czystej wodzie, podsuszony na papkę i zmieszany z olejem z potwora mlecznego, a z tej masy ulepi się niewielkie kulki, które – już całkiem suche – da się przechowywać bardzo długo.

– *Mladciny! Mladciny!* Wyżej zadzierajcie spódnice, bo się z nich farba zmyje – zawołał Jonczillo.

– *Chtjelbis, zapilcu jedan!* – odkrzyknęła Mjadka. – Żadna z tobą nie pójdzie do *vyleta!*

– Nie piłem od miesiąca.

– Zanieś sobie do *vyleta* tego pozawijanego *priljetatjela!* Żadna cię nie zechce! – włączyła się Jadinka.

– Przed *vyletam* jeszcze *nocelj*, a te sobie już wybierają – burknął Vjido. Zbyt często kornaczył, żeby marzyć o *vyletu*.

– Jak wróćcie, to przynieście nam pień *jedal drava!* – zawołała jeszcze za nimi Jadinka. – Trzeba połupać nowy, bo stary się już skończył.

– Zaraz się z nim uporamy! – odkrzyknął Jonczillo.

– Ty, *zapilcu*, możesz sobie wracać do osady! – Mjadka była nieubłagana.

– Idźcie, nie gadajcie – rzucił Vjido. – Coś cieknie z całunu.

– Smrodliwe...

– Gdzie go trzymali przez noc?

– No pewnie że nie w chałupie. Wyłożyli go w krzakach, bali się zarazy.

– To nie ma strachu – zawyrokował Vjido. – *Pazdac* go podziabiał i teraz z niego wycieka. Nam krzywdy nie zrobi. A choroby też w nim nijakiej nie ma, boby *go pazdac* nie ruszył.

– To może przyrzucimy go tylko kamieniami? – podsunął Baric.

– Wykluczone. Człowieka nie zostawimy *medvadam* na obiad. Nawet jeśli to jakiś przybłęda, słabowity *priljetatjel*.

Poszli szybciej, chociaż dziewczyny jeszcze za nimi coś krzyczały. Ze zwojów całunu

kropla za kroplą sączył się ciemny płyn. Jonczillo starał się tak stąpać, żeby nie wdepnąć w oleiste plamy. Rozchodził się od nich zapach acetonu.

90.

Alica czuła swędzenie skóry. Jej pióra straciły kolor, mogły zmarnieć. Oboje leżeli w chłodzie piwniczki pod *vyletan bazinam*. Kaganek rozjaśniał mrok.

– Spodziewam się wiele dowiedzieć od *priljetatjeljav* – powiedział Ajfrid.

– Wszyscy umrą, zanim opanują podstawy naszej mowy. Jeden już umarł, reszta choruje.

Ciekawe, czy uznała, że przybysze też zostali sfalszowani, czy jej obawy wynikały z racjonalnych przesłanek.

Jednak Alica myliła się. Zarówno młody, tęgi i łysawy, jak i mała czarnowłosa po dwóch nocach gorączki wstali z łóżka.

Akurat obrodziło okazałymi, podłużnymi i słodkawymi w środku *smyjakama*, wydobywanymi z *jedal drava*. Z każdego pnia wydobywano dziesiątki beznogich, bezgłowych, miękkich stworów, które można było zjeść. Niektórzy mówili, że z małych *smyjakav* wylęgają się *zjaraca*, ale nikt takiej przemiany nie widział. Ajfrid kiedyś czytał, że *smyjaka* nie są odrębnymi zwierzętami, lecz częściami organizmu *jedal drava* przeznaczonymi do usuwania zmartwiałej tkanki. Jednak nie wierzył, żeby *jedal dravo* miało aż tak duże, ruchliwe, a jednocześnie nie powiązane z resztą organizmu części.

Oczywiście przybyszów poczęstowano przysmakiem. Ajfrid badawczo patrzył, jak młody mężczyzna wepchnął sobie do ust podłużne stworzenie i próbował je połknąć.

– Mocno zaciśnij szczęki, to może uda ci się wycisnąć z niego zawartość. Ale koniecznie wypłuj skórę, bo mocna i spoista, prędzej zęby połamiesz, zanim przegryziesz, a może zatkać ci kiszki – powiedział Ajfrid.

Gjacke pokręcił głową.

– On nie rozumie.

– Trzeba stale do nich mówić. Wreszcie się nauczą.

Obcy mężczyzna desperacko walczył, by połknąć białawego stwora, szorstkiego, elastycznego, o obu końcach otoczonych koronkami cienkich wypustek, ciągle poruszającego się w ustach. Czarnowłosa z przerażeniem zerknęła na misę wypełnioną grubymi na dwa palce, czolgającymi się czerwiemi.

– Trzeba mu pokazać. – Urbanec ujął w palce *smyjaka*, przekłuł szpikulcem i rozerwał skórę. Kiedy pociekła kremowa masa, zaczął ją wsysać.

Mężczyzna wypluł częściowo przeżutego *smyjaka* do trawy.

– Nawet nie poczuł smaku – zauważył Matej.

Ajfrid ujął w palce drugiego stwora i powtórzył czynności Urbaneca. Do ust spłynęła mu słodka, aromatyczna masa. *Smyjaka* były jedną z najsmaczniejszych rzeczy, jakie znał.

Czarnowłosa sama wzięła do ręki poruszające się pożywienie, położyła na blacie i mocno wbiła w nie szpikulec.

– Nie tak mocno. Przybijesz go do stołu – zauważył Ajfrid.

Rzuciła mu poważne spojrzenie ogromnych, czarnych oczu, a następnie kolcem rozpruła korpus stworzenia. Rozlała się miękka masa. Czarnooka zebrała jej trochę palcem i skosztowała.

– No widzisz? Słodkie? – Uśmiechnął się Ajfrid.

Dziewczyna spijała już ciekącą masę wprost do ust.

Łysawy patrzył na nią ze zdumieniem. Coś powiedział. Nieznane słowa zaszeleściły w powietrzu. Branu pytająco spojrział na *vedanu*.

– Nie zabronię im gadać do siebie – mruknął Gjacke.

– A jeśli coś knują?

– Nawet jeśli, to za szybko umierają, żeby nam zaszkodzić.

Z początku obawy *zaplecnika* wydały się Ajfridowi przesadzone, ale potem pomyślał, że jeśli oboje *priljetatjelja* bardzo przewyższają ich wiedzą, to ich narady mogą okazać się szkodliwe.

91.

Gjacke wyznaczył obojgu *priljetatjeljam* oddzielne samotne chałupy. Naprawiono okiennice, żeby chroniły od *porokav*, zapasowych szyb nie mieli, ale za dnia było dość ciepło, chociaż noce chłodne. Mogliby zamieszkać w karze, ale *vedan* się nie zgodził. Chciał ich mieć na oku. Nikomu nie udało się nawiązać kontaktu z *priljetatjeljama*.

– Siódmy dzień mija, a nawet nie wiadomo, jak się nazywają – powiedział Gjacke. Siedział na ławie w *garadu vyletnikav*. Za nim stali Matej Branu i Kosima Prugar. Matej zaplótł muskularne ręce. Obaj *zaplecnika* wpatrywali się w wezwanego Urbaneca, który stał nieruchomo, jakby przyszpilony ich wzrokiem.

– Oni nie są wcale zainteresowani kontaktem z nami – odpowiedział. – Nie są głodni, mają dość wody do mycia i do prania odzieży, nie pracują. Dostają, o co proszą. Łatwo zrozumieć, czego chcą.

– Dobrze sobie radzą za pomocą gestów – zauważył Kosima Prugar.

– Przestać ich karmić, póki nie zaczną mówić...? – Matej zacisnął pięść.

– Oboje mówią bardzo mało, rzadko odzywają się nawet do siebie – powiedział Urbanec. – Może oboje słabo się rozumieją?

Gjacke gruchnął śmiechem, a zawtórowali mu obaj *zaplecnika*. *Vedan* śmiał się w nos nauczyciela, aż się popłakał. Urbanec nie rozumiał reakcji przywódcy, skubał brodę. Ovidan kułakiem przetarł łzy z oczu.

– Czy mogłoby się zdarzyć, żeby dwie osoby w Matcinaj Dolane nie potrafiły się porozumieć? – zapytał łaskawie.

Dwaj *zaplecnika* znowu wybuchnęli śmiechem. Nauczyciel spojrział na nich krzywo.

– Nie ciekawią ich nasze sprawy – powiedział. – Oprowadzam ich, pokazuję nasze czynności gospodarcze, wyrób kulek *jedał drava* czy suszenie *volcavinu*. Stoją, nudzą się, czekają, kiedy im pozwolę odejść.

– Może by ich przywiązywać? – wtrącił się Matej.

– To nie jest rozwiązanie. – *Vedan* wzruszył ramionami.

– Może to im uświadomi, że patrzą na rzeczy ważne?

– Wiem. Ale rozumieją to raczej opacznie.

– Nie radzisz sobie – powiedział *vedan*. – Dotąd nie wyjaśniłeś, dlaczego nagle dwie *czetrinocljnice* zaczęły za wcześnie. Może to twoja wina?! Źle pracujesz. Nie wytłumaczyłeś im dość wyraźnie, że to pewna śmierć!

Urbanec zgarbił się pod jego słowami.

– Który z *priljetatjeljav* jest bardziej zadowolony? – spytał po namyśle *vedan*.

– Ta kobieta. Więcej słucha, bystro zerka, wydaje się coś rozumieć. Liljka na nią mówimy, bo bardzo piękna z oblicza.

– To ich rozdzieli. Ją samą oprowadzać i pokazywać wszystko. Niech widzi, że jest wyróżniana. Jeśli jest bystra, to zrozumie.

– A ten drugi, tłusty? Mówimy na niego Bijelak, bo taki bladej. – Skóra obcego była bardzo bladej karnacji, a tak jasnych włosów jak on nie miał nikt.

– Niech robi, co chce. Może co ściemnieje, to zmądrzeje...

Po *smyjakav* żadne inne pożywienie nie wzbudziło niechęci przybyszów. Jedli, co dano, i wydawało się, że nawet im smakuje. Łysawy, widząc jak Liljka chętnie zjada dziwaczne pożywienie, sam nauczył się spijać słodką, aromatyczną masę. Nie to jednak stało się jego ulubioną strawą. Szybko nauczył się przychodzić z glinianym dzbanem pod *bazin* i spokojnie czekać. Zawsze ktoś mu ten dzbanek napęlił mlecznym winem. Potem siadał na progu swojego domostwa i nalewał sobie kubek, a potem drugi i następne. Pierwszy kubek

wypijał zwykle duszkiem, potem nieco zwalniał tempo. Koło południa miał już dobrze w czubie. Jadł mało albo wcale. Wszyscy zauważyli, że na płynnym wikcie przybysz szybko chudnie. Wyprzystojniał. Dziewczyny zaczęły się za nim oglądać, obcość przyciągała. On jednak znalazł sobie towarzysza pogardzanego przez innych.

Jonczillo przychodził i siadał na progu obok obcego. Z początku mówił do niego, a tamten sprawiał wrażenie, że rozumie, chociaż nie powiedział ani jednego sensownego słowa. Potem, kiedy Jonczillo się wygadał, obaj pili w milczeniu. Gdy jednemu skończył się dzbanek, drugi mu dolewał. Obaj porozumiewali się bez słów, chociaż czasem, kiedy rozczochrany Jonczillo się pojawiał, w oczach *priljetatjela* budził się strach.

– Co się tak drapiesz, Bijelak? – Jonczillo stuknął nieznajomego łokciem.

Obcy poruszył się. Ale nic nie powiedział, tylko dalej orał plecy rozcapierzonymi palcami, jakby chciał potargać kapotę na grzbiecie. Jego odzież nie ochroniła przed *ljustami*, zresztą na mocnym słońcu szybko się rozsypała, dostał więc solidne portki, koszulę i kubrak.

– No, co z tobą?

Nieznajomy jęknął, coś powiedział i wykonał zrezygnowany ruch ręką.

– Oblazło cię co? Boli cię tak? – Jonczillo był jeszcze trzeźwy. Zatrokał się o towarzysza. – No, *priljetatjel*, zadrzyjże kubrak, pokaż te plecy. Co cię tam tak gryzie?

Bijelak spojrzał pytająco. Oczy mu już błędziły.

– No, kapotę. – Jonczillo pokazał gestem, co tamten powinien zrobić.

Obcy posłusznie podciągnął kubrak i koszulę, odsłaniając plecy. Pokrywała je sieć pęknięć wiodących w głąb ciała, wykwitły czerwonych ziarenek oraz płaty karminowych liszajów, z których sączyła się biaława ropa.

– Ależ cię wzięło cholerstwo. Nie dopuszczą cię do *vyleta*, nawet jak przetrzymasz *nocelj*, biedaku.

Jonczillo dalej oglądał plecy *priljetatjela*. Z pęknięć skóry w wielu miejscach wydobywały się grudki czerwonych ziarenek, u niego okazałych jak spore granulki. Wyrastały całymi gronami. Jonczillo spróbował parę z nich odłamać, ale trzymały się za mocno.

– Może by to nożem pozbierać – mruknął do siebie. Chociaż w szkole uczyli, że drobinki same nie szkodzą, a jak odpadają, to znak, że *krve znama* przechodzą.

Bijelak podciągnął odzież jeszcze wyżej i wskazał ręką na kark.

Jonczillo przyjrzał się uważniej. Aż zmrużył oczy, bo wydało mu się, że wzrok go oszukuje. Przetarł twarz dłonią.

– Takie tam masz?

Na karku Bijelaka znajdowała się dziura prowadząca w głąb, pomiędzy kręgi. To nie było pęknięcie, wąska szpara, jak przy inwazji *krve znam*. W ciało obcego prowadził okrągły otwór.

Bijelak odpowiedział szerokim uśmiechem na przerażoną minę Jonczillo. Odsłonił szyję, gdzie miał trzy mniejsze czarne otwory, jakby wykłute gwoździem, a idące też pomiędzy kręgami. Pokazał nadgarstki. Na każdym miał po dwie podobne dziury, tylko obwiedzione prostokątną ramką, też mocno zagłębioną w skórę. Nogi w kostkach zostały otoczone wianuszkiem otworów o podobnej średnicy jak na rękach. Biegły wokół nich czarne cięcia otaczające całą nogę. Wszystkie te otwory były głębokie, dobrze wyodrębnione, nie krwawiły ani nie goiły się.

– Tyś, chłopie, swoje przeżył! – świsnął Jonczillo. – To takie *krve znam* robią się u twoich...? No nie, to za równe na *krve znam*. Ktoś ci zrobił to świństwo...

Bijelak z powrotem wpuścił koszulę do portek, naciągnął kapotę i stuknął pełnym kubkiem w kubek Jonczillo.

Właściwie te otwory w ciele nieznajomego wyglądały dekoracyjnie, tylko ta szeroka dziura w karku przerażała.

– Teraz przynajmniej trafiłeś do spokojnych ludzi.

Obaj wypili.

92.

Gjacke wezwał *aurai*o dla porady. Rozmiar *krve znam* u *priljetatjela* budził zdumienie. Zmiany na plecach Bijelaka wyglądały typowo, chociaż *znam* pożerały go błyskawicznie. Czy przywiózł chorobę ze sobą? Może dla bezpieczeństwa należy przenieść go na drugi brzeg Styrymana? Można w jednej z wiat zrobić mu legowisko. Ajfrid nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Pozostawienie obcego na noc w niezabezpieczonej wiacie oznaczałoby dla niego wyrok śmierci. Może zresztą Gjacke do tego właśnie zmierzał.

Czarnooka kobieta radziła sobie lepiej. Kiedy pokazano jej zniszczone plecy *priljetatjela*, zamachała dłońmi i pokręciła głową. Te gesty były jasne. Mjadka przeszukała jej skórę, nie znajdując uszkodzeń. Wielkooka nadal nie odzywała się do nikogo, chociaż uważnie obserwowała funkcjonowanie osady. Wszyscy mówili na nią Liljka, jak kiedyś wymyślił Jonczillo. Ona sama też reagowała na to imię.

Czy Bijelak umarł od *krve znam*, czy zapił się na śmierć, pozostanie tajemnicą. Któregoś popołudnia Jonczillo zastał go leżącego przed progiem swojego domostwa. Był już zimny, a ciało zeszywniało. Akurat Jonczillo rankiem tego dnia pomagał przy pracy nad

jedal dravam i zaniedbał codziennego towarzysza. Następnego dnia z Baricem zanieśli go za Styрман i pochowali niedaleko ciemnoskórego. Z jego całunu ciekło więcej. Jonczillo kłął, unikając zabrudzenia cuchnącą ciecżą, zamiast wspominać druha. Nie reagował na szyderstwa dziewcząt depreczających rozmoczone *jedal dravo*.

– Nie masz szczęścia do przyjaciół, Jonczillo – mruknął Baric.

– No, nie mam. Ten przynajmniej mało gadał.

– Ale się z niego leje.

– Odczep się. Polubiłem go.

– To mu wykopimy fajny, głęboki dołek. Żadne *żjaraca* go nie znajdą.

– Jego żreją od środka. Za tydzień zostaną kości.

– To go wykopiesz, umyjesz i zaniesiesz do izby *wspomnień*. *Vedan* na pewno pozwoli go postawić na półce.

– Jak się czaszka nie rozpęknie.

– Wykopałeś tego pierwszego?

– Nie kazali mi. Ani *vedan* nic nie mówił, ani *zapplecnika*.

– Teraz, kiedy przestali się bać, to ci go każą wykopać.

Chwilę milczeli.

– Długo nie pijesz.

– Mogę nie pić. Pokazałem wszystkim, że potrafię.

– Dlatego przestałeś...?

– Ale znowu zacznę. Przychodzą takie bóle głowy, że nie sposób wytrzymać.

– Bo nie pijesz?

– Nie od tego. Boli mnie od lewej strony, od oka, co mi wtedy Matej przyłożył. Już nie widzę na nie nawet jasności. Tylko tak szaro.

– Przestali ubijać *volca* na tej nowej maszynie *vedana*.

– *Auraio* nie pochwalił tego sposobu. Dlatego przestali.

– Przecież stwór się męczył przy uboju – prychnął Baric.

– Zawsze się męczy – skwitował Jonczillo, i umilkli.

93.

Liljka zaczęła gorączkować. *Krve znanja* zaatakowały jej skórę. Była najodporniejsza ze wszystkich *priljetatjeljav*, ale teraz i jej się pogarszało. *Malcina Dolana* wygrywała nawet z nią. *Gjacke* zdecydował się urządzić dla niej mieszkanie w karze. Długo się wahał. *Zaopatrywanie* dwojga *aurai* dość obciążało gromadę.

Do najlepiej zachowanego zabudowania wprawili drzwi, okiennice i położyli dach. Przez kilka dni do karu wnoszono niezbędne zapasy. Potem przenieśli tam Liljkę. Zapowiedzieli, że to jej nowe miejsce zamieszkania, ale nie wiadomo, ile zrozumiała. Niesiona na ramionach dwóch *nosiczy*, wysoko na noszach, rozglądała się badawczo. Uznali to za zachwyt nad pięknem nieznanego krajobrazu.

Po dwóch dniach o własnych siłach zeszła z powrotem do Matcinaj Dolany. Twarz pokryła warstwą czerwonej glinki, co przyjęto z uznaniem. *Priljetatjelnica* okazała, że czuje się już jedną z nich. Przeofilowała przez osadę, wspierając się na kijach, potem zniknęła za drzwiami swojego domostwa. Zaraz przyniesiono jej coś do zjedzenia i picia.

Kiedy pytano ją, dlaczego stamtąd uciekła, powiedziała:

– Sama, za długo sama. – To były jej pierwsze zrozumiałe słowa.

W tajemnicy poduczyła się języka. Wydawało się, że rozumie sporo, chociaż mówiła niewiele i tylko pojedyncze słowa.

– Tutaj umrze w dwa tygodnie – powiedział Gjacke do Ajfrida. – *Krve znama* zaatakowały ją później niż tamtych, ale teraz przyśpieszyły.

– Nie wytrzymuje samotności, a my nie zdołamy zapewnić jej towarzystwa do Górnej Osady – powiedział Branu.

– Nawet nie myślałem o czymś takim... – zachnął się Gjacke.

Spojrzenie Mateja Branu było kwintesencją bezmyślności. Rozdziawił usta.

„*Vedan* wymaga od nich takich min?” pomyślał Ajfrid.

– Liljka przetrwa tylko na Prevaju – zawyrokował Gjacke. – Tutaj umiera, a w Górnej Osadzie zabija ją samotność.

Teraz Ajfrid zrobił zdumioną minę.

– Chociaż na pozostałe dni *medinocelja*...

– Niedługo śniegi przykryją góry i samotnia zostanie odcięta. Obca będzie musiała wrócić do osady. Pobyt na Prevaju nie przedłuży znacznie jej życia.

– Może *aurai* nawiążą z nią lepszy kontakt, bo nam się nie udaje. Tyle ciekawych rzeczy mieli nam przekazać *priljetatjelja*... Tymczasem tylko pogrzeb za pogrzebem.

– Tak... Została tylko ona – powiedział Ajfrid. – Dobrze, niech się przeniesie na Prevaj.

94.

Alica nie zaprotestowała przeciw przeniesieniu Liljki do samotni. Spokojnie patrzyła, jak szóstka *czetrinocljnikav* wspina się z boczem Prevajnoej Planiny po schodach wiodących na

przełącz, dźwigając na ramionach nosze z *priljetatjelnicu*. *Nosiczja* przysiedli na schodkach, zjedli przyniesione ze sobą jedzenie i zaraz zebrali się na dół, żeby zdążyć przed zmrokiem do osady.

Alica wyznaczyła Liljce pomieszczenie koło archiwum. Spać kazała na wąskiej, twardej kanapie. Słowa nie powiedziała, wskazała palcem w sposób nie budzący wątpliwości.

Liljka posłusznie usiadła na kanapie.

– Tu będziesz mieszkać – powiedział Ajfrid.

Liljka pokiwała głową.

– Tu będę mieszkać.

Ajfrid uśmiechnął się. Obca mówiła zrozumiale i składnie. „Może uda się czego od niej dowiedzieć”, pomyślał.

Przybyła miała rozpalone czoło. Napoili ją ciepłym winem mlecznym i ułożyli do snu. Alica co jakiś czas zaglądała do pokoju sprawdzić, czy Liljka oddycha. Spod koca wystawały tylko ciemne, pozlepiane potem włosy. Śpiąca oddychała chrapliwie.

– Myślisz, że ona umiera? – spytał Ajfrid.

Alica pochyliła się nad śpiącą.

– Dzisiaj nie umrze.

– Trzeba obejrzyć jej *krve znama*.

– Sama to zrobię. Też jestem *auraio*.

Rano blada i rozczochrana chora przyszła do stołu. Nauczyła się odziewać w sznurowany kubraczek i sznurować rzemyki długich nogawic. Mechanicznym ruchem wetknęła kulkę z *jedal drava* w sos z mlecznego wina i oleju nalany na spodeczek. Bez entuzjazmu wzięła ją do ust.

– Trzeba dłużej namaczać – wyjaśniła Alica. Potrzyzymała grudkę w cieczy, aż ta zmieniła kolor na szarosiny.

– Spodek martwy – powiedziała Liljka. Jej głos miał taką barwę, jakby mówiło duże dziecko.

Ajfrid z Alicą spojrzeli na siebie. Liljka powiodła palcem wzdłuż krawędzi naczynia, popukała opuszką i uśmiechnęła się.

– Martwy – powtórzyła.

– Pewnie, że martwy. – Alica podniosła do ust smakowity kęs nasączony słodko-cierpkim napojem.

– Kubrak martwy – nie ustawała Liljka. Lekko palcami poskubała rękaw.

– Przedmioty są martwe, to oczywiste – prychnęła Alica. – Wiadomo przecież, co jest

żywe.

Drugą kulkę Liljka prawidłowo namoczyła w sosie.

– Dobrze? – spytała Alica.

– Bardzo dobre. – Uśmiechnęła się. – Lubię te kulki.

– Te kulki są martwe? – Alica spojrzała na nią, jakby chciała prześwidrować wzrokiem.

– Martwe? – tym razem zdumiała się Liljka. – Jak mogą być inne?

„Jak mogą być inne”, powtórzył w myślach Ajfrid. „Słowa i zdania są zrozumiałe, ale treść nie”.

– Wasze twarze straszne – powiedziała Liljka. Oboje dziś z rana pokryli skórę *krvedemą*, aby przypomnieć jej o najważniejszym. Może chociaż ona to zrozumie.

– Zaczekaj tutaj – powiedziała Alica.

– Stąd nie ma dokąd pójść.

Ajfrid spojrzał na nią z uznaniem. Użyła wielu trudnych słów. Starła się mówić jak najwięcej, ćwiczyła wymowę w obcym języku. „Szybko się uczy”, pomyślał.

Zmywanie olejem czerwonej glinki z twarzy potrwało. Trzeba było skrobać drewnikiem, a potem mozolnie ścierać.

Kiedy wrócili do jadalni, Liljka uśmiechnęła się wesoło. Mniej się ich bała.

– Macie piękne twarze – powiedziała. – Całkiem jak ludzie.

Ajfrid parsknął śmiechem.

– Jesteśmy ludźmi – powiedział.

– Wy jesteście *aurai*.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Drugą noc też jęczała przez sen, rzęziła. Czuwali przy niej na zmianę. Dwa razy przebudziła się i potoczyła po ciemnej sali przerażonym wzrokiem. Alica dała jej kubek podgrzanego mlecznego wina. Liljka przypomniała sobie, gdzie jest, i zasnęła. Rano czuła się dobrze. Może to był przełom?

Ajfrid zaproponował jej, by towarzyszyła mu przy pracy w archiwum. Może przypomni sobie więcej, poznając ich wiedzę? Dotąd przyłot *ljetuczan smyja* nie przyniósł korzyści. *Priljetatjelja* niczego nie przekazali, bo nie umieli lub niczego nie wiedzieli. Usiadł za stołem zawalonym arkuszami papieru. Liljka spoczęła na taborecie obok niego.

Sięgnął po kartę zapisaną wczoraj do połowy. Już miał zanurzyć piórko w zbiorniczku z tuszem.

– Huaa...! – krzyknęła Liljka.

Spojrzał na nią.

Dziewczyna patrzyła z przerażeniem na malutką drewnianą ramkę, w której wisiał wysuszony embrion.

– Bjegaczak, *maljak kintarak* – powiedział Ajfrid, lekko stukając piórkiem czteronożnego chłopczyka, który zakolebał się w powietrzu.

Przerażenie w oczach Liljki nie gasło.

– Zobacz teraz ją. – Ajfrid przyniósł z półki maleńką mumię dziewczynki o sześciu rączkach. – To Sprawka, *maljka devijka*.

Wielkie, wyraziste oczy Liljki mówiły, że chce stąd uciec jak najszybciej.

– Wiesz, dlaczego oni tacy się rodzą? – spytał.

Milczała.

– Każdy *vylet* przynosi kilka osób o dodatkowych rękach lub nogach. Niektórzy z nich żyją, ale bardzo krótko. Tych dwoje zostawiłem, bo wyróżnili się proporcjonalnymi dodatkowymi kończynami. Czy my wszyscy tacy się staniemy?

– Nie wiem.

– Czy dodatkowe ręce wynikają z potrzeby wydajniejszej pracy, a dodatkowe nogi, bo potrzeba szybciej biegać? Czy to dlatego, że poprzednie pokolenia musiały dużo pracować albo dużo chodzić?

– Biedni ludzie – powiedziała Liljka.

– Czy spotkałaś takich ludzi w gwiazdach? Czy tam też się tacy rodzą?

– Nie widziałam. Nie widziałam takich małych, pomarszczonych ludzi.

– Schematy budowy zwierząt z Matcinaj Dolany często przypominają typowe schematy z podręcznika biologii, z tym że niektóre elementy – najczęściej odnóża – są zwielokrotnione. Czy takie zwierzęta poznałaś gdzie indziej?

– Nie poznałam zwierząt.

– To co jest tego przyczyną? – ostatnie pytanie zadał raczej sobie. Liljka nie miała pojęcia o tym zjawisku. Zresztą może to nie jest zjawisko, tylko reguła, a świat, z którego przybyła Liljka, jest od tej reguły odstępstwem?

95.

Liljka często wychodziła na taras przed samotnią i dalej na koniec rampy, skąd wpatrywała się w głąb Bezladnaj Dolany. Podziwiała pokryte białymi śniegami szczyty na północy, to znowu obserwowała szary jezior lodowca zamykający Matcinu Dolanu. „Nie zna takiego widoku?”, pomyślał Ajfrid. „Kiedyś Alica tam wychodziła”.

Mówiła coraz lepiej, ale rozmawiała tylko o rzeczach związanych z Matcinu Dolanu. Wypytywali ją o inne sprawy, ale wiedziała zastanawiająco mało. Potwierdzała, że *ljetuczansmyj* przybył z nieba, lecz jej odpowiedzi na pytania o świat opuszczony przez nią były niezrozumiałe. Brakowało słów do opisu, a ona nie potrafiła wyjaśnić nieznanymi pojęć. Nie pomogło, kiedy pokazali jej kartony historyczne. Zaciekawiona oglądała nagie, pulchne niewiasty, dziwne rośliny, nieznanne zwierzęta czy półludzkie stwory wyłaniające się plamami wyblakłych barw.

– To *kintar*. – Ajfrid wskazał na rycinę przedstawiającą mężczyznę na czterech nogach z kopytami. – A to *devi*. – Inny rysunek pokazywał piękną półnagą kobietę o wielu rękach. – Tacy rodzą się u was?

– Piękne – powiedziała Liljka.

– Mnie też się podobają, ale myślałem, że ty mi to objaśnisz.

– Ja? – Liljka pokręciła głową. – To ty objaśnisz. Ty je narysowałeś.

– Nie. Są bardzo stare.

Nie miał czego wyjaśniać, wszystko zapomniano. Rysunki dawno temu skopiowała Drevana Auraica albo jej poprzedniczki, dlatego kartony rozsypywały się ze starości.

Alica opowiedziała jej o zwierzętach Matcinaj Dolany i zwierzętach *smyjav*.

– Takie...? Ale to ciekawe. – Liljka dmuchnęła na niesforny kosmyk grzywki, który opadł jej na oczy. – Bardzo chciałabym je zobaczyć. – Spojrzała na Ajfrida, jakby sprawdzając, czy robi wystarczające wrażenie.

„Czy te zwierzęta zachowały się tylko w Matcinaj Dolane, a wszędzie indziej już wymarły?”, pomyślał. Zwrócił uwagę na blask w oczach Liljki. Była piękną dziewczyną o drobnej posturze, niezwyklej, szerokiej twarzy, długim nosku i wyrazistych, ciemnych oczach.

Alica zauważyła to zainteresowanie, ale milczała.

Codziennie przeglądała *krve znama* Liljki. Na karcie sporządziła mapę jej ciała i zaznaczała rozrost zmian.

– Nieporadny ten szkic. – Ajfrid obejrzał karton. Wygodnie rozparł się za stołem. – Zwykle rysujesz lepiej.

– Dobrze ją narysowałam.

– Takie proporcje? Takie biodra?

– Tak. – Alica pokiwała głową. – Takie biodra... Liljka spojrzała przez ramię Ajfrida na kartkę z rysunkiem.

– Nie jestem pokraczna – powiedziała, a z jej oczu poleciał czarny piorun. Dzisiaj

zasnurowała bezrękawnik niedbale i między połami widać było odsłoniętą szczelinę, sięgającą głęboko pomiędzy piersi.

– Ja tak nie twierdzę. To rysunek jest niezbyt udany.

Odpowiedziało mu zagniewane spojrzenie Alicy.

96.

Liljka szybko znalazła sobie miejsce w schronie. Rano wczesnie wstawała i jeśli tylko nie padało, wychodziła opatulona kocem na Prevaj, aby obejrzeć wschód. Kiedy słońce wspięło się wyżej, chowała się pod dachem, czekała na wspólne śniadanie i oględziny. Zaraz potem sznurowała nogawice i kubraczek, szukała Ajfrida i towarzyszyła mu w pracy w archiwum. Przestała się bać Bjegaczaka i małej Sprawki, ale znowu przeżyła szok, kiedy Ajfrid ściągnął zasłonę, a na dużej ramie ukazała się wisząca za splecione włosy zasuszona Braborka. Ajfrid przytrzymał mumię, by się nie kiwała. Liljka ostrożnie wyciągnęła dłoń i dotknęła brunatnego uda Braborki.

– Wszystkich suszycie?

– Sami schną.

– Jak tamci po drodze?

– Tamtych już przeniesiono do osady, bo się *nocelj* zbliża. Wielu z nich rozsypało się w proch. Braborkę kazałem zanieść na Prevaj, żeby kiedyś można było pokazać, jak wyglądaliśmy. Bo może zmieniamy się tu, w Matcinaj Dolane, a w inny sposób nie da się tego zauważyć.

– Ona jest ładna, chociaż okropna. Nic się na niej nie wije.

– Boisz się piór?

– Tak, one same się ruszają i straszą.

– Bo są żywe. A ruszają się bardzo niewiele.

– Mogą udusić.

– Nie duszą, inaczej zabijają, wolno, ale chronią od innej śmierci.

Nie odezwała się.

W archiwum pracowali do posiłku. Na obiad jedli suszone mięso. Na śniadanie i kolację było *jedal dravo*, z tym że do śniadania namaczane, zaś do kolacji wypijali do niego po dwa kubki mlecznego wina.

– Stale jecie to samo – zauważyła kiedyś.

– To najlepsze jedzenie. Już kończy się czas innych potraw. Tak pozostanie przez cały *nocelj*.

– W ten sposób nie da się długo żyć. Człowiek się nudzi.
– Długo to nie potrwa. Nadejdzie *nocelj*, spadną śniegi, wszystko skuje lód, a my położymy się do długiego snu.

– Jak długiego?

– Kilkaset dni.

– Kiedy tak będzie?

– Za trzydzieści, czterdzieści dni już nie da się zejść do Matcinaj Dolany.

– Co wtedy stanie się ze mną?

– Zaśniesz z nami.

– Nigdy tak nie spałam.

– Zasypia się od mlecznego wina oraz różnych ziół.

– A jak mi się nie uda zasnąć?

– To będziesz się nudzić sama.

– Kiedy wrócę do domu?

Ajfrid zamilkł. Bez wątpienia Matcina Dolana znajduje się na dalekich peryferiach lotów lęgowych *smjyav*, a tutejsze warunki tak dalece odbiegają od przeciętnych, że tylko przypadkiem trafi tu żywy statek kosmiczny. Kolonia w Matcinaj Dolane skazana jest na samotność. Możliwe, że ludzie stąd nie mogliby żyć nigdzie indziej.

– Może kiedyś wrócisz – powiedział wreszcie. – Ale nikt nie pamięta, kiedy przyleciał poprzedni *ljetuczan smyj*. A zapisy w archiwum przypominają opowieści bajkowe.

– To powieście mnie potem za włosy jak Braborkę.

Ajfrid podniósł wzrok. Ona jednak rozumiała więcej, niż myśleli, chociaż nie zawsze to, czego oczekiwali.

– No... – powiedziała, jakby zawstydzona. – Skoro inni odeszli, to i ja pewnie odejdę za nimi. Trudno tu u was.

– Ty jednak nie odeszłaś.

– Ale gniję coraz bardziej. Auraica to zapisuje. Pewnie już wie, kiedy umrę.

– Nie wie. Nikt nie wie.

– Nie róbcie mi wtedy dziury w czole, jak tamtym przy drodze do osady. Wtedy może kiedyś wrócę.

– Braborka też kiedyś wróci...?

– Jak ktoś ją będzie umiał obudzić.

Liljka unikała Alicy. Albo przebywała sama, albo w towarzystwie Ajfrida. Z *auraicu* stykała się tylko na posiłkach. Niechęć była wzajemna. Alica ją mierzyła, badała, obserwowała.

Ajfrid instynktownie wyczuwał, że wkrótce dowie się, kto podszył się pod przybyłą.

– Wczesnym rankiem ona odsłania Braborkę spod szmaty i gapi się na nią przez długi czas. – *Auraica* wreszcie oskarżyła Liljkę.

– Długi czas?

– Tak. Siedzi przykryta kocem i patrzy w Braborkę, póki się kaganek nie wypali.

– Czego u niej szuka? Kiedyś powiedziała mi, żeby ją też tak powiesić, kiedy odejdzie, więc to może dlatego.

– Braborka się wszystkim podobała. Teraz też ładnie zaschła. Ja zaschłabym jeszcze ładniej, ale wszyscy *aurai* zostają pożarci przez zielony szlam. Nie zachowują się ich ciała.

– Ona powiedziała mi, że zasuszonych czasem można obudzić. Może ma nadzieję, że w taki sposób wróci do gwiazd.

– Zasuszonych czasem można obudzić?

– Widać oni to potrafią.

– Masz mnie zasuszyć. Obudzę się w innych czasach. W Matcinaj Dolane nie będzie już tego aroganckiego błazna Gjackego, jego trzech sługusów ani tych wszystkich innych pijaczysk.

– Tak bardzo ich nie lubisz?

– Nigdy za nimi nie przepadałam.

„Teraz ma następnych przeciwników?”, pomyślał. „No, to oczywiste, skoro Jadovina to ja”.

– Suszyć można po kąpieli *ve vyletan bazinu*.

– Wiem. Żartowałam...

„Chciała coś więcej powiedzieć, ale znowu się zatrzymała”, pomyślał.

– Obawiam się, że naszych ciał nie da się zasuszyć. Zostaną pożarte przez pióra – powiedział.

Następnego dnia Ajfrid wstał szarym świtem i zebrał się z posłania. Alica coś wymamrotała przez sen. Spojrzał w cień skrywający ledwie widoczną sylwetkę leżącej i zakradł się do biblioteki. W pomieszczeniu panował półmrok, kaganek był zgaszony. Na ławie siedziała Liljka i gapiła się w odsłoniętą mumię Braborki. Coś cicho szeptała. Zmumifikowana postać ledwie wyłaniała się z mroku. Ajfrid chwilę stał w drzwiach.

– Jesteś chora? – spytał.

Dziewczyna drgnęła.

– Mniej niż ona – odpowiedziała.

– Ona żywa?

Liljka uniosła brew.

– To niepewne. Raczej nie.

– Dlaczego więc mówisz do niej?

– Nie warto mówić. Ona nikomu nie powtórzy. – Zebrała się i poprawiła odzienie. – Weź się do pracy. Będę się przyglądać, jak notujesz.

– Tak.

Rozmowa zeszła na tematy neutralne, bieżące. Zaraz trzeba było przygotować śniadanie. Zauważył, że Liljka nawet siada po jego stronie stołu, byle z dala od Alicy. „Cóż się znowu dzieje?”

Została z nim także wtedy, kiedy wziął się do codziennej pracy. Zostało sporo do przepisania. Najstarsze karty rozsypywały się. Trzeba jak najwięcej zrobić przed *noceljam*. Alica zaszła się w magazynie, spisując zapasy. Z powodu coraz częstszych zamieci dostawy *nosiczy* prawie ustały. Trzeba było ocenić, ile jeszcze brakuje. Obecnie tylko on kopiował teksty archiwalne. Zbyt wiele jeszcze zostało. Było oczywiste, że bardzo wiele przepadnie.

Alica pisała z coraz większym trudem. Wada wzroku stale się pogarszała. Musiała mrużyć oczy, by widzieć ostro. Choć rysowała nadal lepiej niż on. Musiał tylko uzupełniać szczegóły na jej szkicach, gdyż *auraica* nie dostrzegała detali. Czytanie też ją męczyło.

Liljka nie odzywała się, ale uważnie śledziła pracę Ajfrida. Patrzyła, jak powieliał szkice, starając się wiernie przenieść treść. Kiedy rysunki wychodziły dobrze, leciutko uśmiechała się. Zauważył to. „Oni tam daleko też rysują na kartach papieru? A może wolą ryc na płaskich *ljusztrach*?”

W pomieszczeniu nie było zbyt ciepło, ale Liljka rozpięła głęboko kubrak i wsunęła dłoń pod dekolt. Może coś ją zaswedziało. Jednym ruchem pozbyła się dolegliwości, ale dekoltu z powrotem nie zasznurowała.

Ajfrid odsunął się nieco, by obejrzeć skończoną stronę. Postać ludzka wyszła lepiej niż na kopiowanym rysunku. Zerknął w bok i zauważył, że niedyskretny promień słońca wdarł się za dekolt Liljki, ukazując prawie całą pierś. „Ona nie nosi bielizny?” Zauważył, że piersi podwiązała tylko opaską z szerokiej wstążki, wypychając je ku środkowi i unosząc do góry.

Pierś Liljki nie była ani tak obfita, ani tak piękna jak piersi Alicy, ale zauważona przypadkiem, miała urok podejrzanej tajemnicy. Nieodparcie przyciągała wzrok Ajfrida. Praca szła wolniej. Pisał z przerwami, często odsuwał tekst dla dokładniejszego obejrzenia.

Rzecz jasna, wszystko to w wiadomym celu.

Prawda była jednak bardziej złożona. Liljka powoli obracała się na ławie tak, by mógł dostrzec więcej. Słońce wędrowało po nieboskłonie i wścibski promień przestał pomagać. Cień skrył tajemnicę. Wprawdzie Liljka jeszcze bardziej rozchyliła poły kubraczka, ale to nie pomogło, natomiast Ajfrid zorientował się, że jest sprawdzany, czy widzi to, co powinien zobaczyć. Spłoszył się. Zaraz też Alica zawołała Liljkę, by ta pomogła jej w pracy, i czas wspólnego milczenia się skończył.

98.

Szarym świtem Liljka wyszła przed samotnię. W Matcinaj Dolane kłębiły się mgły. Jakby wypełniono ją gęstą masą. Granie wokół były dobrze widoczne, a na niebie stała warstwa bardzo wysokich chmur. Liljka patrzyła zafascynowana na groźny taniec mrocznej mgły, wreszcie trochę zmarzła i przeszła do biblioteki. W pomieszczeniu było dość jasno, by móc oglądać to, co poukładano na półkach przy ścianie. Jej uwagę zwrócił nóż do sadzenia piór. Lekko ścisnęła oba pierścienie. Wtedy ostry stożek rozjechał się w cztery malutkie ostrza. Zadrżała. Łatwo można było się tym zranić.

– Nie bój się – powiedział Ajfrid, stojąc w drzwiach. – To nóż do sadzenia piór.

Dziewczyna spojrzała na niego z przestachem. Jej oczy potrafiły wyrazić bardzo wiele.

Uśmiechnął się do niej.

Pozwoliła ostrzom złączyć się w jeden kolec, a następnie jeszcze raz ścisnęła oba pierścienie.

– Nieżywy, ale jakby żywy – powiedziała.

– Ruchomy?

– Ruchomy. Mów mi więcej, abym uczyła się nowych słów.

– Dobrze. Dzisiaj skopiujemy tekst o piórach. – Przywykł już do rozpoczynania codziennej pracy przed świtem. Zebrał z półki plik stronic. – O, ten. Wczoraj przygotowałem.

Usiedli do pracy. Dzisiaj Liljka była zasznurowana pod szyję. Zresztą dzień był pochmurny, żaden promień słońca nie pomógłby wścibskiemu obserwatorowi.

Ajfrid czytał na głos, żeby Liljka się uczyła. O roli piór w walce z *krve znamam*, o ich pielęgnacji w skórze, o obowiązku usuwania obumierających egzemplarzy.

– Możesz czytać szybciej. Ja poznaję większość liter, chociaż ty nazywasz je inaczej – powiedziała.

– Należy nożem do sadzenia wyczyścić otwory po usuniętych organizmach, jeden,

zdrowy, pociąć na kawałki i zasadzić w miejsca po usuniętych martwych piórach.

– Jak poznać, że pióra osłabły?

– Gorzej się wiją, bledną. Zresztą pora przejrzeć pióra na skórze Alicy i na mojej. Zobaczysz, jak to się robi.

– Tu napisano, że wszystkie ludzkie wydzieliny są czerwonawe? – Liljka podniosła kartkę. – Dobrze przeczytałam?

– Tak. Wszystkie ludzkie wydzieliny mają zabarwienie czerwonawe.

– Tak przecież nie jest.

– No jakże?

– Ja dopiero od niedawna sikam i pluję czerwonawo. Dopiero odkąd tutaj przybyłam.

– A wcześniej jak było?

– No zwyczajnie: siki są żółte, ślina zupełnie przezroczysta.

„Co jest zwyczajne, co nim nie jest?” pomyślał. „Trzeba to zapisać. Chyba to pierwszy pożytek dla naszej wiedzy z przybycia *priljetatjeljav...*”

Było już zupełnie jasno. Pora na śniadanie.

– Chodź, Alica pewnie też już wstała.

Zdążyli przygotować jedzenie, zanim przyszła. Pili gorące wino mleczne z kubka.

– Kiedyś powiedziałaś, że kubek jest nieżywy – powiedział. Tutaj nie mogło to znaczyć „ruchomy”.

– Ten kubek jest nieżywy – powiedziała i wypła łyk napoju.

– Dlaczego?

– Nie mówi.

– Co miałby mówić? – wzdrygnęła się Alica.

– Różne rzeczy. Przynajmniej, czy można pić.

– Dlaczego miałoby się nie dać pić?

– To jest za gorące.

– Co jeszcze mógłby powiedzieć? – wtrącił się Ajfrid.

– Różne rzeczy. Co chciałbyś usłyszeć.

Alica badawczo zerknęła na Liljkę.

– A twój kubrak też mógłby coś powiedzieć?

– Nie ten. Ten nic nie powie.

Parę dni później Alica stała na środku pokoju i co chwilę unosiła ramiona, by pióra swobodnie opadały, lekko się wijąc. Ajfrid przeczesywał dłonią jedno pasmo za drugim. Gdy znajdował jakieś obumarłe, wylawiał ten egzemplarz ze skłębionej gęstwy. Następnie ścinał

pióro przy samej skórze. Teraz nożem do sadzenia wycinał naokoło wrosnięty w ciało korzeń pióra. Potem wystarczyło lekko zmarszczyć skórę wokół nacięcia, uchwycić palcami skraj korzenia i wyrwać go ze skóry. Wychodziły w całości, zostawiając cylindryczny otwór o brunatnym wnętrzu. Wcisnął weń krótki kawałek zdrowego pióra o takim samym kolorze jak to usunięte.

- Dużo trzeba usuwać – powiedział. – Są osłabione.
- Pióra słabną, kiedy choruje *aurai* – powiedziała Alica.
- Ciemność też je osłabia.

Wyszukał inne obumierające pióro, wyłowił je z barwnej gęstwiny i powtórzył te same czynności. Alica syknęła z bólu, ostrza noża weszły za głęboko.

Na blacie przybywało usuniętych kawałków, niektórych zwilżonych krwią. Usunięte, osłabione pióra Ajfrid odkładał do garnka.

Liljka przypatrywała się jego pracy.

- Pióra chronią przed chorobą? – spytała.

Chwilę przesiewał wijące się organizmy.

– Tak, ale czasem to nie wystarczy – odpowiedział. – Popatrz, jak się kruszy. – Pokazał jej usunięty egzemplarz. – To jest martwe. – Powiódł palcem wzdłuż pióra, ścierając suchy, czerwony proszek. – A te przywiędły. Jeszcze żyją, chociaż są słabowite. – Wrzucił je do garnka.

- Mogłyby jeszcze odzyskać kolor? – spytała Liljka.
- Tak, ale teraz jest ich nadmiar. Można zostawić najzdrowsze.

Kazał Liljce opróżnić garnek.

– Trzeba je wyrzucać na słońce – powiedziała Alica. – Niech nie cierpią. Były pożyteczne.

Dziewczyna spojrzała na wolno wijące się, barwne organizmy i wyszła z naczyniem w rękę. Zaraz wróciła z pustym.

Kiedy pióra *aurai* zostały już przejrzone, oboje zamienili się w pracy. Teraz to Ajfrid stał z uniesionymi ramionami, Alica zaś przeglądała jego ochronną powłokę. Liljka jeszcze dwukrotnie wносиła koszyk z piórami.

- Ginę odcięte od skóry? – zapytała.
- Mogą żyć samodzielnie – powiedział Ajfrid. – Ale zabijamy te odcięte. To taki zwyczaj. Szybko wysychają na słońcu.

Liljka stale kręciła się w pobliżu Ajfrida. Może adorowała go dlatego, że był tutaj jedynym mężczyzną. Pióra przestała zauważać. Przyglądała się jego pracy, pomagała mu, słuchała wyjaśnień. Ajfrid starał się jak najwięcej do niej mówić, gdyż szybko się uczyła, zdania wymawiała coraz poprawniej, używała nowych słów.

Alicy przestało przeszkadzać zbliżenie Ajfrida i Liljki. Zasztywniała na długie godziny w mroku. Kiedy powiedział jej, że jej pióra nie odżyją, zaczęła wychodzić na pół godziny kąpieli świetlnej dziennie, ale nic więcej. Kiedy budził się w nocy, spotykał ją siedzącą przy stole. Znowu przestała sypiać. Okresy bezsenności następowały zawsze przed nasileniem choroby.

Dzisiaj Ajfrid kopiował rysunki przedstawiające skutki urazów mechanicznych. Deformacje kończyn mogły być zarówno wynikiem zmiżdżenia ich przez upadający pień drzewa, jak i nieudolności nieznanego dokumentalisty. *Auraio* rysował fragment, odsuwał się do tyłu, żeby sprawdzić wynik, coś uzupełniał, potem trochę cieniował, i znowu. Powstająca kopia jeszcze mniej przypominała prawdziwe kształty niż poprzedni szkic.

Liljka znowu przysłała w niedbale zasznurowanym kubraku, a właściwie rozsznurowanym głęboko, znacznie poniżej miejsca, gdzie zaczynają się piersi. „Znowu ułożyła je chustką, żeby podnieść jak najwyżej”, pomyślał. Wynik tego zabiegu, z pewnością przeznaczony dla jego oczu, nieodparcie przyciągał wzrok. Skóra dekoltu była smagła. „Opaliła na słońcu?” Wszyscy unikali słońca. Nieostrożne wystawianie skóry na jego promienie owocowało guzami i naroślami, które sączyły się, a potem boleśnie rozpadały. Jednak skóra na piersiach Liljki była gładka, miała przyjemny śniady kolor. Ich właścicielka tak przekreślała się na siedzeniu, by jego wzrok mógł dotrzeć jak najgłębiej.

– Nie ma rysunków przedstawiających proces niszczenia ciała przez *krve znama* – przerwała milczenie.

– Nie ma. Trzeba by to rysować na jednej i tej samej osobie, a to zbyt trudne. Pilnować terminów, pozy, regularnie opisywać zmiany w stanie zdrowia... Dużo pracy. Nikt tego nie zrobił.

– Ale to bardzo ważne. *Krve znama* atakują wszystkich.

– Brakuje również wielu innych ważnych rzeczy.

– Moje ciało też jest atakowane.

– Ty bronisz się przed ich agresją, innych zabiły od razu.

– Dlatego właśnie mnie trzeba rysować. Proces rozwija się z każdym dniem. Te plamy i rany codziennie wyglądają inaczej. A poza tym dokładnie wiadomo, kiedy się nimi zaraziłam.

„Ona ma rację”, pomyślał. „Jest stale blisko. I sama bada się szczegółowo. Można by zaznaczać kolejne etapy... Na podobiznie jej pięknego ciała”, uśmiechnął się do swoich myśli.

– Ta wiedza też przyda się następnym, co przybędą, *ljetuczan smyjam* – powiedziała zdecydowanie i powstała z miejsca. – Może wasi następcy ich wyleczą.

Ajfrid uniósł głowę, zdziwiony jej nagłą reakcją.

– Tak trzeba zrobić! – Liljka wspięła się na stół.

– Co ty?

– Bo jestem niska. – Jeden po drugim rozwiązała supełki kubraczka. Spod jasnoszarego, grubo tkanego płótna wyłoniły się śniade, drobne ramiona.

– Liljka...?

– Przygotuj deskę do szkicowania i kartę.

– Alica lepiej rysuje. Mnie wychodzi to marnie.

– Ty mnie narysujesz. – Liljka skończyła już rozsupływanie sznurowań i zdjęła kubraczek. Teraz mozoliła się z kolejnymi węzłami spódnicy. – Ona celowo zniekształca moje ciało. Jej rysunki są nieprawdziwe. Nie przydadzą się nikomu.

– Alica dobrze rysuje.

– Ta wysoka kobieta oszpeca mnie na swoich szkicach. – Liljka zsunęła spódnicę i odrzuciła ją na ławę.

Ajfrid nie mógł oderwać wzroku.

Ściągnęła przez głowę długą halkę na ramiączkach. Została w samej przepasce zawiązanej na biodrach i drugiej, bardzo wąskiej, podnoszącej piersi.

Liljka spojrzała na niego nieoczekiwanie ciepło i jakby konfidencjonalnie, po czym sięgnęła dłońmi za plecy i rozsupłała węzeł. Lekko raz i drugi odwinęła opasującą ją wąską chustkę. Przysłoniła się dłońmi i odrzuciła szarą tkaninę w ślad spódnicy.

Ajfrid dalej patrzył jak zaczarowany. Liljka miała na skórze sporo *krve znam*, ale teraz jakby jego spojrzeniem kierowały jej ruchy: nie mógł oderwać wzroku od dłoni skrywających jej piersi.

Dziewczyna dobrze wiedziała, jakie wywiera wrażenie. Powolnym, wystudiowanym ruchem uniosła ramiona, pozwalając piersiom nieco opaść, a po chwili ujęła dłońmi włosy z tyłu głowy i wypięła się mocno.

Piersi miała małe, zbyt chude i spiczaste, i w sumie niezbyt kuszące, jednak Ajfrid nie potrafił oprzeć się urokowi tego spektaklu. Liljka obróciła się nieco bokiem, potem pokazała dokładnie z przodu i z drugiego boku, żeby mógł się przyjrzeć, a następnie zaczęła rozwijać swój *pelven namotanec*. Rozluźniła pierwszy zwój, potem drugi, westchnęła i wysunęła pasek

przechodzący przez krok, a zaraz potem drugi. Szybkim ruchem odwinęła ostatnie dwa zwoje. Całkiem naga stanęła w lekkim rozkroku i odrzuciła smugę *namotaneca*, ostatnią resztkę stroju.

Jednak kiedy stała bez ruchu, całkiem rozebrana, nagle odszedł towarzyszący temu spektaklowi niepokój i tajemniczość. Liljka miała bardzo szerokie biodra, zbyt krótkie nogi i za małe piersi. Oczy były wielkie i wilgotne, spojrzenie kusicielskie, ale gdy minęło uczucie pierwszego zaskoczenia, niedostatki jej urody stały się widoczne.

To nie był koniec. Teraz wyciągnęła ręce w jego stronę i zwróciła się wprost do niego.

Ajfrid, zaskoczony, zbliżył się i też wyciągnął ręce, a wtedy ona zeskoczyła ze stołu, lądując w jego ramionach. Objęła go za szyję, a nogami opasała jego uda. Zaskoczony *auraio* odwzajemnił uścisk. Wyczuł przyjemnie suchą, ale zbyt szorstką i nierówną skórę na jej plecach. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Liljka coraz mocniej przyciskała biodra do jego bioder. Chciała jak najszybciej doprowadzić do zbliżenia. Ajfrid nie bronił się. Pióra zgniecione między ich ciałami, lekko usunęły się, ułatwiając jeszcze większe zbliżenie. W pewnym momencie już bliżej być nie mogli. Dotarł do jej końca.

– Dosyć! – krzyk Alicy skończył chwile rozkoszy.

Liljka szybko zsunęła się na ziemię i puściła szyję Ajfrida. Ten stał jak wmurowany. Oboje czuli się jak przestępcy.

– Wyjdz! – rzuciła, piorunując Liljkę wzrokiem.

– Chciałam, żeby narysował, jak rozwijają się *krve znama* na *priljetateljnicy*.

– Rysuje się na papierze, a nie w środku brzucha. Wyjdz stąd!

– On nie jest z tobą związany, chociaż wygląda tak jak ty.

– Milcz! Ty jesteś tylko intruzem.

Liljka wzięła swoje odzienie i wybiegła z archiwum.

100.

Ajfrid zgarnął dłonią pasma piór, żeby skryły jego nagość, te jednak osunęły się znowu na boki. Przygarnął je silniej.

Alica nie zwracała uwagi na jego zabiegi. Patrzyła gniewnie przed siebie. Coś ważyła w myślach.

On też milczał. Co tutaj mówić? Sytuacja była oczywista. Starał się tylko zasłonić piórami. Udawało się coraz lepiej.

– Zresztą nie! – Alica odpowiedziała na swoje myśli. – Zrobimy co innego. Ty tutaj zaczekaj! – Wyszła szybkim krokiem.

Zaraz wróciła, ciągnąc *priljetateljnicu*. Liljka spoglądała niechętnie przez ramię na swoją prześladowczynię.

– No to ją narysuj, jak chciałeś – rzuciła Alica.

– Ale...

– Potrzeba dobrych szkiców w archiwum, a jej wygląd jest niepowtarzalny. Sam to powiedziałeś.

– Można rysować same *krve znama*, a resztę sylwetki uproszczoną.

– Nie chcę tak – wtrąciła się Liljka.

– Rzeczywiście. Jej wygląd też jest niepowtarzalny – zdecydowała *auraica*. –
Rozbieraj się.

– Tutaj...?

– Już to zrobiłaś.

Liljka pośpiesznie ściągnęła z siebie odzienie. Zgarbiona i zmarznięta, wyglądała szaro i niepozornie. Śladu podobieństwa do porannego spektaklu.

– Wyłaż na ten stół.

– To nie jest konieczne.

– Już tam byłaś, mówię. – Alica była nieubłagana. – Ja też chcę to zobaczyć.

Dziewczyna wdrapała się na stół.

Alica przyglądała się nagiej dziewczynie.

– Ma za krótkie nogi – powiedziała. – Sięga mi ledwie do ramienia, chociaż jej biodra są szerokie jak moje. Jest nieproporcjonalna. Odbiega od wzorców.

Liljka kuliła się pod świdrującym spojrzeniem.

– Jej ciało nie spełnia reguł piękna.

– Może niskie kobiety mają inne proporcje ciała? – wtrącił się Ajfrid.

Alica prychnęła i zachichotała bezgłośnie.

– Może powiesz, że to ja mam za krótki tułów?

Nie odezwał się.

– Jak mogła cię zainteresować taka brzydula?

Ajfrid źle się czuł w tej sytuacji. Liljka została obnażona, wyśmiana i upokorzona. Alica zachowywała się, jakby wymierzała zasłużoną karę, którą dla nich wybrała. „Pastwi się nad nią za bardzo”, pomyślał. „Bardziej, niż na to zasłużyła”.

– Rysuj ją!

– Lepiej ty ją rysuj, ale nie deformuj. – Nie dał się wyprowadzić z równowagi.

Nieoczekiwanie Alica wzięła szkicownik. Podzieliła kartę na cztery pola. Zamierzała

zrobić planszę przeglądową.

– Zmieścisz tutaj tyle sylwetek?

– Tak. – Przymrużyła oczy i zaczęła końcem piórka mierzyć proporcje Liljki. Na kartce zaznaczała krótkie kreski, na których kanwie powstanie zarys jej ciała.

„Uspokoila się zupełnie”, pomyślał. „Już zapomniała, czego była świadkiem?” Ajfrid zerkał przez jej ramię na powstający rysunek. On sam nie potrafiłby tak dobrze szkicować.

Liljka stała wsparta na lewej nodze. Na korpusie, głównie na brzuchu, miała niewielkie karminowe znamiona, a nieco krótkich pęknięć skóry dziwnie podkreślało kształt łydek i ud. Podobnie układ mięśni ramion dodatkowo akcentowały ciemne linie szpar idących w głąb ciała. Dzięki nim sylwetka Liljki rysowała się oryginalną formą.

Czas płynął. Alica zapamiętała się w pracy. Stale doskonaliła wyrysowaną sylwetkę. Nie przeszła jeszcze do szczegółów. Nie zniekształcała modelki. Nie poszerzyła karykaturalnie jej ud ani nie zdeformowała piersi. Rysowała uczciwie. Liljka skreślona jej ręką wyglądała ładnie, nawet lepiej niż w rzeczywistości.

W końcu modelka zaczęła drętwieć w bezruchu i odwróciła się nieco, ukazując nie tylko bok, ale i skrawek pleców. Na jej plecach ukazały się rozległe liszaje, ciemne plamy i ubytki skóry.

– Zaczekaj... – głos Alicy pozbawiony był złości. – Powoli odwróć się w kółko.

Zapanowała cisza. Plecy Liljki wyglądały przerażająco. Skóra była całkiem zniszczona. Z niektórych miejsc odpadła płatami, odsłaniając wysuszony szary tłuszcz podskórny, nawet pojedyncze pasma mięśni. „Miałem ją w dłoniach i nic nie poczułem”, pomyślał Ajfrid. „Skóra wydawała się gładka i delikatna”. Pośladki nie zostały dotknięte chorobą. To przecież na nich oparł dłonie, kiedy ona zawisła na jego ciele.

– Dlaczego taka cisza? – odezwała się Liljka. – Tam jest aż tak źle?

– Jest źle – powiedziała Alica.

– Ile pożyję?

– Nikt nie wie. Ale żaden *auriao* nie dopuściłby kogoś z takimi plecami do *vyleta*. Co robiłaś, że straciłaś skórę?

– Nic przecież.

– Na twoich plecach nie ma skóry. Na reszcie twojego ciała nie jest zniszczona.

– Ja tylko opalałam plecy i barki...

– Co to znaczy?

– No... wyłożyłam się na kocu na godzinę.

– Tak długo wystawiałaś gołą skórę na słońce...? – Ajfrid aż świsnął. – Przecież to

szaleństwo.

– Teraz wiem. Opalałam się tylko raz.

– A piersi? – Pamiętał złoty kolor, który go urzekł.

– Nie. Zdrzemnęłam się tylko, leżąc na brzuchu. Nie mogłam potem usnąć przez całą noc, tak bolała skóra, ale później zrobiły się pęcherze i wyschły. Przeszło.

– Nie przeszło.

101.

Atmosfera w samotni była trudna do wytrzymania. Troje mieszkańców omijało się z daleka. Spali osobno, posiłki jedli w samotności. Nie rozmawiali ze sobą. Ajfrid czasami słyszał kroki Alicy czy dostrzegał drobną, zgarbioną sylwetkę Liljki, jednak omijał je obie, bo żadna nie tęskniła do towarzystwa.

W osadzie sprawy poszły w niewłaściwą stronę. Spór pomiędzy Gjackem a Urbanecem wymknął się spod kontroli. Nauczyciela skazano na śmierć i ścięto za głoszenie poglądu o tym, że ziemia jest płaska.

Oficjalnym powodem stracenia Urbaneca było to, że szkodził wspólnocie, przekonując do fałszywych tez.

„To rzecz niebywała. Tak nigdy nie uczyniono”, myślał stropiony Ajfrid. Nie wiedział, jak ustosunkować się do tego morderstwa. Czy pozbawić Gjackego władzy? Tak właściwie należałoby postąpić, bo szaleniec może wydać następne, równie szkodliwe polecenia. Ale jeśli w takim przypadku wspólnota posłucha swojego *vedana*, a nie *auraio*, i podpuszczona przez Gjackego zniszczy schron na Prevaju, i zabije *aurai*? Przecież to byłby koniec wszystkich. „Nie ma wyjścia”, pomyślał.

Samotnie ślęczał nad notatkami w archiwum. Gdy zerknął w stronę wąskiego stołu pod oknem, wracały tamte niezwykle wydarzenia.

Alica stanęła w drzwiach. Zaplotła ramiona i wpatrywała się w niego z natężeniem. Milczała.

Podniósł oczy znad notatek. Nie odzywał się. Nie miał ochoty na poważną rozmowę. Chciałby wyjść pod jakimś pozorem, ale nie zdażył.

– Dlaczego od razu zbliżasz się do tej niezgrabnej kobiety, o której nic nie wiesz, a która jest jeszcze mniej odporna na *krve znama* niż ja...? – powiedziała Alica.

– Unikasz mnie.

– Mam robić to, co ona...?!

Nie było sensu się wypierać. Przecież od początku zdawał sobie sprawę z tego, co się

między nimi działało. Łowił spojrzenia Liljki, jej gesty. Wiedział, że jest czarowany i odpowiadało mu to, aż oboje zabrnęli za daleko. Za łatwo byłoby zrzucać winę na nią – bez jego akceptacji nic by się nie zdarzyło.

– Nalegaliśmy, żeby zebrać materiały do archiwum. Nie rozebrała się z własnej inicjatywy – powiedział wreszcie.

– Nie kłam.

– Ty sama już wcześniej rysowałaś ją naga.

– Jej budowa mnie zadziwia.

– Masz tu kobietę jak z dawnych relacji.

– Przy niej jestem smukłobiodra.

Powoli zmieniał się temat rozmowy. „Czy ona nie widziała wszystkiego?” pomyślał zdumiony.

– Zawsze byłaś.

– Ale ty lubisz inne kobiety. Ona podoba ci się bardziej niż ja...

– Nie – powiedział prawdę. – Ty jesteś piękniejsza.

„A może Alica specjalnie zmieniła temat?” pomyślał. „Przecież musiała wiedzieć, że zrobiłem z obcą to, czego nigdy nie spróbowałem z nią samą”.

– Przestań mnie unikać – powiedział po chwili milczenia.

– A ty w zamian dasz jej spokój?

– To było przypadkiem... – Na języku miał kłamstwo, że Liljka pośliznęła się i spadła ze stołu, ale przeszło go jasne spojrzenie Alicy.

– Właściwie ty powinieneś ją rysować – rzuciła jeszcze i wyszła. – Ja ze złości ją deformowałam – dobiegło z korytarza. – Moje rysunki ją szpecą.

„Z wyjątkiem ostatniego”, pomyślał. Nie wiedział, co o tym sądzić. Alica mogła mówić prawdę, mogła też go sprawdzać.

102.

Nadeszły chłodne dni. *Nosiczja* obtłukiwali szklistą lodową polewę ze stopni wiodących na Prevaj. Czasem warunki pogarszały się tak bardzo, że na przełęcz przez parę dni nikt nie docierał. Ajfrid już nie powinien był schodzić do Matcinaj Dolany, gdyż mógłby tam zostać odcięty. Chciał jednak wyrwać się z dusznej atmosfery w samotni.

Siedział teraz na ławeczce obok Jurdo Drevara, który relacjonował właśnie ostatnie wydarzenia we wspólnocie. Jurdo chodził o lasce. Złamana przy lądowaniu latawca noga zrosła się krzywo. Ostatnio przestano go zaliczać do *zapplecnikav*. Gjacke uznał, że brakuje

mu siły i stanowczości.

– Kto wykonał wyrok na nauczycielu? – spytał Ajfrid.

Karą za przewinienia stała się chłosta. Osobiście wykonywał ją *vedan*, ofiarę zaś przytrzymywali jego *zoplecnika*. Wcześniej taką karę wykonano tylko dwa razy. Raz, kiedy Jura wrócił sam z Zatròvati Ljucav, a jego *mlokan jogr* przepadł. Winowajca kornaczył po pijanemu i znarowiony stwór zrzucił go z grzbietu. Drugi raz, kiedy pijany drwał ściągł pień *jedal drava*, a ten śmiertelnie przytłukł kobietę.

Sprawy były zresztą jeszcze bardziej złożone, bo ani Gjacke, ani żaden z jego *zoplecnikav* nie chciał sobie pobrudzić rąk krwią Urbaneca. *Vedan* zmusił Jonczillo, by ten wykonał egzekucję. Wcześniej jego też skazano na śmierć, za to, że po pijanemu przewrócił kadeł z przerabianym *jedal dravam*, przez co przepadł wynik trzytygodniowej pracy gromady. Warunkiem uniewinnienia było stracenie nauczyciela.

Ajfrid nie chciał spotkać Gjackego. Przez usta nie przeszłaby mu aprobata dla jego czynu. Szczęśliwie dostęp do *vedana* był obecnie utrudniony. Całymi dniami przesiadywał w wydzielonej *garadzie* w otoczeniu swoich zaufanych. Można z nim było rozmawiać, kontaktując się jedynie przez Mateja. Ovidan w miejsce Drevara dobrał sobie dwóch nowych *zoplecnikav*. Najbardziej atletycznych, najlepiej odżywionych. Inni mężczyźni nie mogli się im przeciwstawić. Młodszym nie wpadłoby to do głowy, słabych i schorowanych *patnocljkav* pochłaniały własne kłopoty.

Cóż, Gjacke starannie przestudiował podręcznik rządzenia i wyciągnął z tej nauki właściwe dla siebie wnioski. Ajfrid ani nie mógł, ani nie chciał tego zmieniać. Zadzrażnień należało teraz za wszelką cenę unikać – to była prawdopodobnie ostatnia wizyta *auraio* w osadzie przed *noceljam*. Obecnie najważniejsze było właściwe przygotowanie gromady do snu zimowego. Po *nocelju* wszystko będzie wyglądało inaczej, jeszcze krótki czas do *vyleta* i u władzy będzie kto inny.

– Co teraz robi Jonczillo?

– Żyje jeszcze – mruknął Drevar. – Ale wygląda źle. Długo nie pociągnie.

– Pamiętam, że się podniósł z nałogu.

– Sparaliżowało mu lewą rękę i powłóczy lewą nogą. Ledwie chodzi. Chyba nie dotrwa do *nocelja*, a na pewno go nie przetrzyma.

– Gdzie jest teraz?

– Pewnie tam, gdzie zawsze. Przy domu Bijelaka, tego swojego przyjaciela.

– Zajdę do niego.

Jonczillo siedział na progu i kubek za kubkiem pił z glinianego dzbana mleczne wino.

Już miał zdrowo w czubie. Nie mógł się podnieść, nie potrafił skupić wzroku na rozmówcy. Ajfrid usiadł obok, zagadał.

– Jego odcięta głowa tak się wgrzyła w kosz, do którego wpadła, że nie dało się jej stamtąd wyjąć – powiedział Jonczillo. – Próbowałem wyszarpnąć ją za te rude kudły, ale tylko wykruszył się jeden ząb i wkręcił w plecionkę, a reszta nie puściła. Zresztą strach w czymś takim przynosić później jedzenie. – Schował twarz w dłoniach i zaszlochał. – Wyrzuciłem ten kosz *na zaturatu*. Do Styrmana wrzuciłem ten kosz, ale nie chciał odpłynąć... Między kamieniami się zakleszczył, jak głowa Urbaneca w nim samym... – Znowu zaszlochał.

– Dawno to było?

– No, ze dwa tygodnie temu.

– Toporem go ściałeś?

– Kazał ściąć na tej maszynie, co kaleczyła *volca* przy uboju. Ale Urbanec nie cierpiął długo.

Ajfrid zerknął na niego. Jonczillo mówił składowo, niemal każde zdanie niosło cierpienie.

– Znowu pijesz, Jonczillo. Przecież przestałeś pić...

– Ach... – Machnął ręką. – Od tamtego dnia nie trzeźwieję. Nawet próbowałem przepaść jako *stryżaj*, ale *jogr* zrzucił, nogę mi skręcił, a nie poddał się pijakowi.

Przykuśtykał Jurdo Drevar. Skinał głową do siedzących.

– Zostało trochę papierów po Urbanecu – zaczął. – *Vedan* nie wie, co z nimi zrobić. Zatrute myśli, szkody przyniosą.

– Myśli nie da się zabić – zauważył Ajfrid. – Co najwyżej same umierają. Nie płoną.

– No właśnie, więc może wynieść to na Prevaj? *Aurai* sami ocenią najlepiej szkodliwość tych wymysłów.

– Dobrze. Przynieście wszystkie stronice.

– Nie ma tego aż tak wiele. Pisał na papierze ukradzionym uczniom.

103.

Ajfrid zbierał się na Prevaj. Obejrzał jeszcze raz osadę. Młodzi pozostali we wspólnych *garadav*. Jedynie *garada szestnoclĵnikav* została opuszczona. Mieszkańcy przenieśli się do pojedynczych domostw. *Vedanu* chodziło być może, by budynki nie popadły w zbytne zaniedbanie. Teraz *garadu szestnoclĵnikav* zajmowali wyłącznie Gjacked i jego czterej *zapplecnika*. Zabronił im kornaczyć i pić za wiele. Może chciał, żeby przynajmniej oni

dotrwali do *vyleta*. Obecnie bowiem co parę dni ktoś ginął. Przynajmniej tak powiedziano Ajfridowi. Nisko w dolinie było jeszcze ciepło, ale tarcza słońca zmniejszyła się już znacznie. Przynajmniej można było zabezpieczać się przed nim mniej starannie.

Ajfrid zamyślał wybrać się nad *Prvni Urav*, gdzie kiedyś spotkał Alicę, jeszcze zdrową, ale zrezygnował. Zawrócił przy *vyletan bazinu*. Dojrzewała tam ostatnia porcja mlecznego wina. Nurt Styrmiana niósł ił, na wieczór swym zwyczajem chciał przepelnić koryto. Żadnych czerwonych ziarenek nie było nawet na przybrzeżnych kamieniach.

Wiedział, co zastanie na Prevaju. Nie śpieszył się tam. Żegnał się dzisiaj z Matcinu Dolanu. Zobaczy ich dopiero po długim czasie. Wielu pewnie przypadnie, zresztą nawet nie zdążył się do nich zbliżyć. Kiedyś Drevana Auraica powiedziała mu, że im dłużej, tym *auraio* jest coraz bardziej samotny, a on roześmiał się, bo już wtedy był sam. Znajdując mu Alicę, Gata sprawiła, że przez długi czas czuł się inaczej, jednak nie mogła przewidzieć, że ta zamknie się w swojej chorobie. Przynajmniej na Prevaju nie wróci do pustego domu. Zresztą groźba, że nikt nie przetrwa *nocelja*, była teraz mniejsza niż poprzednim razem. Nie można wykluczyć, że decyzją dyktatora zostanie zabity jeszcze ktoś niewinny, jednak obawy, że wspólnota przestanie funkcjonować, były mniejsze.

Skądś przyszły gęste, szare chmury i zasłoniły słońce. W dolinie pociemniało, stało się chłodniej. Zagrzmiało raz i drugi, a po chwili rzeźsiście lunęło. Deszcz nie zdarzał się tutaj często, ale w tym okresie przychodził co parę dni. Wszyscy chowali się pod dachem. W takich warunkach nie da się wyjść na Prevaj. Pewnie dziś tam śnieży.

W Domu Dziwaczek mieszkały obecnie Mjadka i Jadinka, jednak piwniczka była wolna.

Gdy poprosił o jedzenie na wieczór, Jadinka wytrzeszczyła wielkie, czarne oczy. Chwilę nie mogła wydusić z siebie słowa. „Żeby tylko nie umarła ze strachu”, pomyślał wesoło.

– Dzbanek mlecznego wina na wieczór i pięć kulek *jedal drava*...? – spytała Mjadka z za jej pleców.

– Może być dwanaście? – spytał roześmianą pannę.

– Gruby orzeł nie pofrunie – odrzekła Mjadka. – *Auraio* ma być piękny i smukły. Dostanie najwyżej osiem kulek... – Ona dla odmiany była przesadnie aktywna. Aż promieniała, roześmiana w rozmowie, ale Ajfrid uważał, że to podwójna garda, za którą skrywa się równie nieśmiała dziewczyna co Jadinka. Zresztą obie trzymały się razem, razem pracowały.

Przestało padać, ale ściemniało się szybko, bo dolinę wypełniał gęsty opar.

Podziękował rezolutnej pannie za przyniesione jedzenie.

– Ciemno już. Słoneczko nie nakarmi – zauważyła.

– *Auraio* je normalnie. Tylko w czasie największych upałów pióra trochę pomogą.

– Taak...?! – Spojrzała badawczo. – To po co się je sadzi? – Roześmiała się znowu. Jej jasne oczy jakby nie uczestniczyły w uśmiechu. Rzuciła nimi chłodne, badawcze spojrzenia. Miała piękne, równe zęby.

Ajfrid zszedł do piwniczki. Wyczuwał niewidzialną barierę w tej rozmowie. Chętnie pogadałby z pięknymi dziewczynami, ale zbyt się go obawiały. Jedną paraliżował strach, druga dodawała sobie odwagi przesadną wylewnością. Nie chciał ich męczyć swoją osobą. Został sam.

Z góry dobiegały go podniesione głosy. Uchylił nieco drzwi.

– Przecież *auraio* może nocować w każdej chacie, jaką wybierze – usłyszał Mjadkę.

– Ale co powie *vedan*? – Jadinka mówiła głośno i pewnie.

– Od *auraio* nam nic nie grozi. On nas ochroni.

– Przed kim? Przed *vedanam*?

– Przed *vedanam* i przed każdym innym napastnikiem.

– Ciebie pragnie sam *vedan*.

– Do *vyleta* jeszcze daleko. Różnie może być.

104.

Na rano chmury rozeszły się i kryły tylko nad graniami, ale zaraz znowu zaczęły się rozbudowywać. Na stopniach przed chatą siedziały obie dziewczyny. Jadinka coś cerowała. Ajfrid dołączył do nich.

Mjadka usiadła po jego drugiej stronie.

– *Auraio* może żyć w Matcinaj Dolane? – zaczęła.

– A dlaczego nie?

– Stale ucieka na Prevaj, ale już drugi dzień tu bawi.

– Może żyć. Mów mi po imieniu. Już nie ma starszych od was.

– A Płomienisty Orzeł? Suchy i pomarszczony...? A jego Szalona Auraica?

– Słońce suszy skórę każdemu. Zmarszczki się robią.

– *Priljetatjelnica* jeszcze żyje?

– Żyje, ale bardzo słaba.

– Przekazała już naszemu *auraio* wiedzę z gwiazd?

– Niewiele wie. Sami sobie musimy radzić.

- Czyli że Gjacke nadal pozostanie *vedanam*?
 - A któżby inny? – zdziwił się.
 - Niektórzy mówią, że *auraio* przysposabia Liljkę, żeby ją wymienić i będziemy mieli *vedanicu* – słowo „Liljka” wypowiedziała z przekąsem.
 - *Auraio* do niczego Liljki nie przysposabia.
 - Ona ma oczy jeszcze większe i czarniejsze niż Jadinka. Nie to, co ja.
 - Ty masz piękne, błękitne oczy.
- Jadinka milczała.
- Co trzeba zrobić, żeby zostać *auraicu*?
 - Uczyć się. Przetrwąć *nocelj*.
 - To nie wystarczy.
 - Tak. Czasem to nie wystarczy. Teraz jest dwoje *aurai*.
 - Mówią, że Szalona *Auraica* rychło zginie.
 - Różne rzeczy mówią. Zwykle nikt nie chce zostać *auraio*.
- Mjadka wydeła usta w podkówkę i się nie odezwała.

„Może właśnie mam przed sobą moją następczynię?”, pomyślał. „Jeśli tylko ktoś jej nie skaże na śmierć w męczarniach...” Przyszłość Alicy była niepewna. Gdy Ajfrid nie przetrwa *nocelja*, a jej choroba zbyt się rozwinie, Gjacke każe ją zabić, podobnie jak bez chwili wahania kazał stracić nauczyciela.

Od *garadu vyletnikav* zbliżał się sam Matej Branu, najważniejszy ze wszystkich *zaplecnikav*.

– *Gyspodyn vedan* chciałby z tobą pogadać – powiedział Matej. – Przeprasza, że nie mógł przyjść, ale ma nawał pracy.

Ajfrid zostawił miłą rozmówczynię. Poszedł za Matejem. Jadinka patrzyła za nim, póki się nie oddalił. Coś szeptała Mjadce do ucha.

W paradnej sali *garadu vyletnikav* czaszek przybyło. Cała tylna ściana była nimi wypełniona. Nawleczone na długie tyczki jak rzędy koralików łypały czarnymi oczodołami i szczyrzyły zęby do wchodzącego. Mumie ustawiono przy ścianach bocznych i wejściowej. Nad drzwiami nadal wisiała meluzyna. Tyczki zastąpiły dawniejsze pniaki. W obecnym wystroju wewnątrz wyglądało groźniej i poważniej.

Za solidną ławą siedział poważny Gjacke, a za nim z zaplecionymi ramionami stali trzej *zaplecnika*. Ajfrid poznał już wcześniej trochę tego teatru. Na innych mieszkańcach z pewnością robiło to duże wrażenie.

– Z każdym dniem *nocelj* bliżej, a nasz *auraio* jeszcze raz nas odwiedził... – Gjacke

zwrócił się do niego w podobnie ceremonialny sposób, jak wcześniej Mjadka.

„Innego *auraio* nie ma”, pomyślał Ajfrid i nieznacznie skłonił głowę.

– To dla nas radość – doprecyzował Gjacke.

„No jasne, no jasne”. Ajfrid niechętnie patrzył na zbrodniarza. Tylko dla zaspokojenia ambicji Ovidana zabito człowieka. Wspólnota straciła oddanego nauczyciela.

– Wyjdźcie. – Gjacke skinął ręką, a *zaplecnika* skierowali się do wyjścia. – Smeljak, przynieś nam dzbanek. Mamy sporo do omówienia.

Ajfrid nie znał tego *zaplecnika*. Smeljak miał bardzo bladą skórę pokrytą gruzłami. Wrócił za chwilę z dzbankiem i dwoma glinianymi kubkami. Nalał *vedanu* i *auraio*.

– Poradzimy sobie – powiedział Gjacke.

Gdy Smeljak wyszedł, Gjacke odezwał się:

– Chciałem ci coś wyjaśnić.

– Tak?

– Wiesz, że różniłem się poglądami z Urbanecem.

– Nie było to tajemnicą.

– Wiesz, że kazałem go stracić.

Ajfrid powstrzymał się, by nie stwierdzić, że nauczyciel nie zasłużył na tak okrutną karę.

– Nie musiałeś się konsultować ze mną. – Unikał konfrontacji.

– Jednak taki wyrok jest ostatecznością – napierał Gjacke.

„Czego on chce? Jakby oczekiwał mojego potępienia. Co ma w zanadrzu?” Milczał.

– Nic nie odpowiadasz – spochmurniał *vedan*.

– Przecież wiesz, co powiem. Ludzi mało. Ubył jeszcze jeden.

– Tylko że przez niego ubyło znacznie więcej z nas, a jeszcze więcej by ubyło! – wybuchnął *vedan*. – I to kobiet ubyło, najważniejszych z ludzi, bo matek następnych pokoleń. Jeden mężczyzna do *vyleta* może od biedy wystarczyć, byle kobiet było wiele. Wspólnota przetrwa. Jedna kobieta do *vyleta* to kres wszystkiego.

„To oczywiste”, Ajfrid słuchał z coraz większym zdziwieniem.

– Mów dalej.

– Skazałem Urbaneca za coś zupełnie innego, niż myślisz. Nie wolno przecież skazywać na śmierć za samo mówienie.

– Więc za co został ścięty?

– Za niegodziwości, które robił przez długi czas. Za śmierć dwóch uczennic.

– Te dwie *czetrinocljnice*, które zaczęły za wcześnie?

- Właśnie za nie. Nie zdarza się to przecież takim młodym.
- Dlaczego za to ścinać nauczyciela? Nie można nawet wskazać winnego.
- Można wskazać. To przez niego, przez Urbaneca.
- Jakżeż...?
- Uwodził uczennice. Wiesz przecież, jak sugestywnie przemawiał.
- Mówił dużo, bardzo głośno i niezbyt mądrze.
- Dzieci tego nie poznawały. Dla nich był kimś najważniejszym. Wybierał sobie ładną, spokojną dziewczynkę i zaczynał ją uwodzić. Najpierw ją surowiej niż innych karał, zwracał na nią szczególną uwagę. Gdy ta zaczynała się podporządkowywać, on odpowiadał pochwałami. Jedno pociągało drugie. Uczennica czuła, że jest kimś szczególnym, a jednocześnie do głowy by jej nie przyszło, żeby mu się w czymkolwiek sprzeciwić.
- Co za skurwiel!
- Rudy skurwiel. Słuchaj dalej. Pewnego dnia mówił tak przygotowanej ofercie, by przysłała do niego, i dostawał, co chciał.
- Ależ łajdak.
- Nadużywał zaufania dzieci. Żadna inna kobieta by mu nie uległa. Nie tylko dlatego, że wie, czym to grozi, ale głównie dlatego, kim on był. Nędzną, komiczną kreaturą. Pośmiewiskiem.
- Dwie umarły?
- Było jeszcze samobójstwo *czetrinocljnicu*. Może jedna Marijka odważyła się mu sprzeciwić i ją zagnębił. Szkoda, że rzuciła się ze skały, zamiast o wszystkim powiedzieć *vedanu*.
- *Auraio* dowiaduje się ostatni.
- *Vedan* niewiele wcześniej.
- Uwiódł wiele uczennic?
- Bardzo wiele. Podejrzewam, że wszystkie co ładniejsze. Działał wedle tego samego schematu.
- Dobrze zrobiłeś, że go ściałeś.
- Czekałem na te słowa.

105.

Chmury znowu zeszyły do doliny. Znowu lunęło. Wypadł mu jeszcze jeden nocleg w osadzie. Ajfrid czuł się kompletnie zagubiony. Relacja Gjackego tak bardzo różniła się od tego, czego się spodziewał. Jeśli *vedan* mówił prawdę, to ktoś taki jak Urbanec był niebezpieczeństwem

dla wspólnoty, przed którym nie ostrzegał żaden podręcznik. Ajfrid czekał pod daszkiem, aż ulewa zelżeje. Nie chciał przechładzać piór, bo nadchodził dla nich ciężki okres. Gdy ulewa chwilami słabła, przebiegał od progu jednej chaty do drugiej. Wreszcie zrezygnował i szedł w strugach wody. Chata Dziwaczek była coraz bliżej.

– Nasz *auraio* cały się rozpuścił w deszczu – przywitała go ciepło Mjadka. – Woda splukała wszystkie kolory z piór. Płomień zgasł. – Dziewczyna owinęła go w mięsisty, wygrzany koc. Sama się nim wcześniej owijała.

– Kiedyś byłem bardziej kolorowy.

– Bardziej suchy, bo kolorowy jesteś nadal – pierwszy raz zwróciła się do niego wprost. – Dla mnie dość kolorowy.

– Jadinka, przynieś gorącego wina! – krzyknęła w mrok korytarza. – *Auraio* przemoczony i przemarznięty.

Ajfrid, zachwycony powitaniem, pokornie dawał udzielać sobie pierwszej pomocy. Mjadka krzątała się wokół niego. Drugi koc był suchy, ale już nie wygrzany jej ciałem. Pióra schły szybko.

Usiedli przy kaganku. W kącie stała milcząca Jadinka. Zaraz znalazły się kubki. Od gorącego wina mlecznego oczy dostawały blasku, a twarz rumieńców.

– Co myślisz o straceniu nauczyciela? – rzucił Ajfrid. Zapanowało nagle milczenie.

– O tym nie wolno rozmawiać – powiedziała Mjadka.

– Z *auraio* wolno o wszystkim rozmawiać. Nawet trzeba.

– Mniejszy zabił większego od siebie, bo mu zazdrościł. – Mjadka wydeła usta.

– Uważasz, że został skrzywdzony wyrokiem?

– Taki znany i wielki człowiek? Oczywiście, że tak. On tyle odkrył, tyle doświadczeń przeprowadził.

– Opowiadał wam o swoich odkryciach?

– No oczywiście. Przecież *ljetuczan smyj* zaniósł wieść o nich w gwiazdy. To największy uczonec w Matcinaj Dolane. Teraz i gwiazdy się o nim dowiedzą.

– Tak wam mówił?

– To oczywiste. A ile on odkrył, ile wyjaśnił. Nikt lepiej nie opisał świata niż on. Gjacke zemścił się, że jest zbyt mały przy nauczycielu.

– Uważaj, Mjadka – odezwała się Jadinka i zaraz przygarbiła znowu.

– Mnie może wszystko powiedzieć. Nie stanie się jej krzywda.

– Czy na *Prevaju* są spisane jego myśli? – spytała Mjadka. – To przecież nie może przepaść. Nasza wspólnota niech zginie, ale myśli rudego nauczyciela zginąć nie mogą.

– Mają nam przynieść jego notatki. Sporo spisał.

– To dobrze – powiedziała z ulgą Mjadka.

– Mjadka, *vedan* powiedział, że Urbanec brał do łóżka uczennicę za uczennicą. Wszystkie musiały z nim zaczynać. Czy ty też? – Liczył, że nie dostanie odpowiedzi na tak intymne pytanie.

– Tak. – Mjadka spuściła oczy. – Ale to nieprawda, co o nim mówią. On tylko mnie kochał.

– Nie tylko ciebie! – rzuciła Jadinka. – Mnie też kazał przyjść do siebie.

– Jak mogłaś mi to zrobić!?

– Takich było znacznie więcej. Każdą zaciągał do swojego łóżka, ale na ogół nic z tego nie wychodziło, bo mu się nie udawało. Gadał pół godziny, magnetyzował tym swoim wzrokiem, wreszcie zaczynał biegać po izbie, nerwowo machając rękami. Na koniec wyganiał wybrankę z łóżka, mówiąc, że jest niegodna prawdziwej wiedzy. Mnie też tak zaciągnął, nie wyszło mu, i zaraz potem mnie przegnał.

– Ciebie też?

– Zaczynj wreszcie rozmawiać z innymi dziewczynami, a nie powtarzać całymi dniami jego słowa.

– Trzeba je powtarzać, by nie przepadły.

– Są spisane – włączył się Ajfrid. – Mjadka, wiesz, że nie wolno zaczynać przed *vyletam*? Że to śmierć dla kobiety!?

– Każda to wie – odparła. – Wiele kobiet tak umarło w przeszłości. Ja trzymam się od mężczyzn z daleka, chociaż oni ciągle zaczepiają, nagabują. Obie z Jadinką bardzo się pilnujemy, trzymamy razem, bo niektórzy bywają agresywni, nie, Jadinka?

– Tak.

– Ale poszłaś do łóżka z nauczycielem – powiedział Ajfrid.

– No tak.

– To też mężczyzna.

– On to zupełnie co innego. Przecież trzeba wykonywać polecenia nauczyciela.

– Mogłaś stracić przez to życie.

– Powiedział, że on nie grozi śmiercią jak inni.

Rudy nauczyciel zawładnął duszą Mjadki w zupełności, zawładnął myślami, uczuciami, wszystkim. To samo zrobił z wieloma innymi, bo był jedynym mężczyzną widzianym przez nie całymi dniami, a koledzy rówieśnicy wydawali się im niedojrzali.

„Jeśli jest w ciąży, skona w męczarniach w czasie *nocelja*”, myślał Ajfrid. „Jeśli jej

się udało, dożyje *vyleta*, jak większość kobiet. Jest bardzo wyedukowana”.

Ten wybuch ujawnił tajemnicę Mjadki. Znikło dziwne napięcie. Dziewczyna otworzyła się bardziej. Rozmawiali normalnie na obojętne tematy.

Rankiem, gdy tarcza słońca wyłoniła się zza chmur, *auraio* poszedł z powrotem do samotni.

– Wracaj cało do siebie – pożegnała go ciepło Mjadka.

Nie wiedział, czy ona rzeczywiście zatroszczyła się o niego, czy tylko obawia się, by myśli Urbaneca nie przepadły. „Ten dom był Domem Dziwaczek i taki pozostał”, Ajfrid odpowiedział Mjadce uśmiechem.

Sytuacja *aurai* w przyszłości nie była jasna. Zachowanie Alicy niepewne. Jeśli jej choroba będzie się nasilać, takiej osobie nie wolno powierzyć przyszłości gromady. Utalentowana i umotywowana Mjadka jawiła się tu jako ewentualne zabezpieczenie, jego następczyni. Uznał, że dziewczynę uda się wydobyć spod zgubnego uroku nauczyciela, jeśli tylko wkrótce nie umrze przez swojego idola.

106.

Nadal unikali się, ale trzy osoby w tym samym domu nie mogły ukryć się przed sobą zupełnie. Widywali się raz na parę godzin, a to gdy Alica szła przeglądać dzbanki w składziku, a to gdy Liljka kładła się zdrzemnąć na ławie, przyrzucona kocem. Każde z nich obserwowało pozostałych. Ta gra mogła trwać dłużej, gdyż skłóceni nie dążyli ani do pogodzenia, ani przeprosin.

Nie wszystko jednak w samotni było takie, na jakie wyglądało. Ajfrid przypadkiem znalazł stronę z kolejnymi fazami rozwoju *krve znam* na ciele Liljki. Rysunków było kilka. One obie spotykały się więc i spędzały razem trochę czasu. Zasięg liszajów powiększał się, a czarne szczeliny wydłużały i poszerzały. Odłożył kartę bez słowa. Następnego dnia przybył kolejny rysunek. *Auraio* dyskretnie podejrzwał, co się dzieje.

Bładym świtem do dużej sali przyszła Alica i przygotowała narzędzia do rysowania. Zaraz pojawiła się milcząca Liljka, rozebrała się, złożyła odzież w kostkę, wdrapała na stół. Pozowała. Godzinę później, kiedy rysunek był gotowy, a skryty Ajfrid zasypiał z nudów, Alica złożyła deszczułki. Na ten znak Liljka zeszła ze stołu, odziała się i wyszła. Pracowały w milczeniu, rozstały się bez słowa. Może okres samotności zbliżał się do końca?

Skoro obie kobiety tak blisko współpracowały, *auraio* postanowił zerwać barierę milczenia. Następnego dnia kopiował stare rękopisy. Alica inwentaryzowała prowiant na *nocelj*, a Liljka siedziała na werandzie, zgarbiona nad tekstem. W chłodny i wietrzny dzień

zawinęła się szczelnie w pled i uczyła się czytać. Próbowwała dopasowywać znane słowa do wyrysowanych symboli.

Ajfrid dosiadł się na sąsiednim foteliku. Pióra przykrył kocem. Nie należało tego robić za często, ale jeden raz nie zaszkodzi. Sączył gorące, gorzkie ziółka.

– To są te same zioła, które wrzucacie do basenu w podziemiach? – spytała Liljka.

– Inne. Tamte umożliwią nam przespanie *nocelja*.

– Kiedy położycie się do letargu?

– Za dwa tygodnie, może za miesiąc. Kiedy stanie się już za zimno, żeby tu wytrzymać.

– Zabijecie mnie wcześniej?

Spojrzał zdumiony. Liljka mówiła spokojnie, patrzyła spod leniwie opuszczonych powiek. Może niewłaściwie użyła tego słowa?

– Nikt ci tu krzywdy nie zrobi.

– Rudego nauczyciela ścięto.

– Takie rzeczy się nie zdarzały wcześniej. To pierwszy raz.

– Wszystkie rzeczy najpierw się nie zdarzają, a potem już tak.

– Dlaczego ktoś miałby cię zabić?

– Alica uważa, że ja jestem tą wiszącą suchą kobietą.

– Mnie też uważa za kogoś innego.

– Dlaczego jej nie leczysz?

– Nie umiem. Nikt nie umie.

– Trudno wam jest tutaj...

Nie odpowiedział.

– Alica uważa, że cię wtedy zakaziłem.

– Poprawiło mi się potem. Szkoda, że nam przerwała. Było przyjemnie.

– Poprawiło ci się?

– Plecy mnie nie bołą, nie sączą się. Chcesz, to ci pokażę.

Obejrzał się z obawą w stronę samotni.

– Tylko plecy...

– Wieje tutaj. – Wyczuł, że ona znowu go kokietuje.

– Nie szkodzi, popatrz.

Zdjęła koc, chwilę męczyła się ze sznurowaniem kubraka, wreszcie zadarła go bardzo wysoko, odsłaniając plecy aż po szyję. Dzisiaj nie założyła taśmy podnoszącej piersi.

Wygląd jej pleców zmienił się bardzo. Otwartych ran nie było. Pokrywała je

zaschnięta, twarda powłoka o jednolicie brązowym kolorze. Widać było granice wcześniej odsłoniętych mięśni czy płatów tłuszczu podskórnego.

– Mumifikujesz się za życia – powiedział. – Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Może dzięki temu przeżyjesz oparzenie słońcem.

– To się samo zagoiło, ale *krve znam* stale rosną. One mnie zabijają.

– Na Prevaju masz więcej szans. One tutaj słabną.

– Koniecznie powieście mnie potem za włosy.

– Dlaczego mówiłaś do Braborki?

– Może ona słyszy.

– Może kiedyś powtórzy, tak?

– Właśnie.

Od Matcinaj Dolany wspięły się na Prevaj cztery ciemne sylwetki. Ajfrid oczekiwał na potępione pisma Urbaneca. *Czetrinocljnika* przydźwigali kilka zawiniątek – zwitków z notatkami. Ajfrid wskazał im ławkę przed schronem. Nie pozwolił wejść do środka. Mogli na odzieniu przynieść zarodniki *krve znam*. Nie potwierdzono istnienia takich zarodników, ale lepiej uważać na zapas. Złożyli ładunek i zbrali się z powrotem do osady.

107.

Po pięciu dniach Liljka nagle się rozchorowała. Wieczorem położyła się zdrowa, a rano była półprzytomna, bardzo słaba. Gorączkowała, jej ciało jakby płonęło. Kiedy Ajfrid do niej przyszedł, Alica już stała nad łóżem.

Liljka coś cicho mówiła. Jej bełkotu nie dało się zrozumieć. Mowa była chrapliwa i szeleszcząca.

– Ona myśli, że jest wśród swoich – powiedziała Alica.

„A nie jest?”, pomyślał.

– Ona nie ma już nikogo innego.

– Ale tym bełkotem się z nami nie porozumie.

Próbował wyłowić znane słowa. Bezskutecznie. Słyszeli tylko dziwny szelest przedzielany gardłowymi głoskami, ciągły dźwięk, w którym nie dało się wyszczególnić pojedynczych słów.

– Przyczyną jesteś ty. Wpuściłeś chorobę w jej ciało.

– *Krve znam* szerzą się inaczej.

– Sam nie chorujesz, ale zarażasz innych.

– Podobno coś takiego czasem się zdarza.

- Dlaczego umarła Drevana Auraica?
- Zabiły ją pióra. Spałem, kiedy to się stało.
- Mówisz to samo co Ajfrid.

Znowu był Jadóviną. Choroba wróciła.

- Bo tak było.
- Nie byłeś tego świadkiem.
- Nie jestem Jadòvina, lecz Ajfrid.

– To żalosne! – prychnęła. – Musisz być Jadòviną. Powiedziałeś tak niewiele słów Braborce, a ta zaraz cię pokochała i porzuciła dla ciebie samego *vedanu*. Bez żadnego wysiłku owinałeś ją sobie wokół małego palca. Podobnie jak wiele innych kobiet. Ty potrafisz bardzo wiele.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Na mnie też robisz większe wrażenie niż Ajfrid...

Liljka rozejrzała się, rozpoznała *auraio*, ślad uśmiechu ubarwił jej twarz, potem popatrzyła na Alicę. Ta podała jej kubek gorącego wina mlecznego. Dziewczyna zaczęła ostrożnie pić.

- Dosyć – powiedziała, opadła na posłanie i zamknęła oczy.

Nie opuszczali Liljki. Alica opiekowała się słabnącą kobietą. Może uświadomiła sobie, że obszar jej władania może się skurczyć, a w porównaniu z tym zagrożeniem niewierność Ajfrida miała mniejsze znaczenie. Odzyskała pewność siebie, wzięła się do pracy. Zmieniała Liljce kompresy na czole. W oleju zaparzyła zioła, które miały pomóc nieprzytomnej, a potem przelała napar do płaskiej czaruki, żeby ostygł. Gdy Liljka odzyskiwała świadomość, poili ją gorącym winem mlecznym.

Alica przyniosła czarukę i szmatkę. Wywar należało wcierać w skórę. Brunatny, oleisty płyn był rzadszy niż maść, wsiąkał w skórę. Auraica odkryła ramię Liljki spod koca. Zsunęła ramiączko koszuli, rozsznurowała ją na piersiach i odsłoniła cały bark.

- Tutaj? – zdziwił się.
- Gata zawsze kazała zaczynać od lewego barku i ramienia.

Nabrała na gałganek lekarstwa. Następnie miejsce przy miejscu wcierała je w skórę Liljki.

- W twoją skórę też wsiąka.
- To leczniczy płyn. Nie zaszkodzi, chociaż piecze, kiedy wsiąka.

Skóra pacjentki ciemniała i rozgrzewała się.

- Często tak kurowałaś Gatę?

– Codziennie. Przedłużyłam jej życie. Trochę schudła. To wyciąga wodę z człowieka.

– Od tego się chudnie?

– Tak.

Kiedy już całe lewe ramię Liljki zbrunatniało, Alica poleciła rozebrać ją bardziej.

– Leczy to, co wsiąka, ale trzeba zmienić miejsce wcierania, aby nie wywiązało się zapalenie skóry.

– Tak?

– Raz zeszła skóra z ramienia Gaty.

W prawe ramię wtarła resztę płynu.

– Dla niej nie ma innego lekarstwa – zawyrokowała. „Skąd wiesz?”, pomyślał. Umiejętności lecznicze należały do mieszkańców Matcinaj Dolany, nie do *aurai*.

Liljka spała mocno. Może to był efekt lekarstwa? Alica przyszła z nową porcją.

– Zrobiłam duży zapas – powiedziała. – Wysmarujemy ją całą. Jeśli to jej nie uratuje, to już nic nie pomoże. – Zamieszała gęsty płyn. – Już ostygło. Można podać. Pomóż ją rozebrać do reszty.

Spojrzał niepewnie.

– Przecież ona sama chętnie ci się pokazywała.

Powoli ujawniali skromne wdzięki Liljki. Śpiąca wyglądała niezbyt atrakcyjnie. Nie była tak pięknie zbudowana jak Alica.

– No, wcieraj, wcieraj – przynagliła *aurai*, wskazując nagie piersi Liljki. – Ja bym ją tam pewnie zadrapała. Miałbyś pretensje. Marzyłeś, żeby dotykać tych piersi.

– Zdarzyło się – mruknął. Nasączył gałganek i wziął się do pracy.

Liljka szeroko otworzyła oczy i uśmiechnęła się leniwie.

– No – powiedziała. – Ona wreszcie odeszła...?

– Ty! – Alica zrobiła ruch, jakby chciała ją spoliczkować. Ajfrid dłonią zasłonił twarz Liljki.

Kobieta zanosła się kaszlem. Jej świadomość odpłynęła. Oczy przestały cokolwiek wyrażać. Zaraz je przymrużyła i zaczęła cicho pochrapywać.

– Przecież ona mówiła przez sen.

– Nie wierzę – ucięła Alica.

Powoli piersi, cała klatka piersiowa i brzuch Liljki zmieniły kolor na brunatny.

– Może wystarczy? – spytał.

– Pomagało dopiero, gdy brunatniała cała powierzchnia ciała Gaty. Ściągnij z niej te cudaczne nogawice.

Ajfrid posłusznie rozdział Liljkę do reszty. Została tylko w *pelven namotatecu*. Lekko drżała z zimna lub od gorączki.

– Popatrz, co ona tam ma! – Wskazał palcem na brzuch i uda Liljki.

Jej skóra usiana była kolistymi kraterami. Z jednych wystawały płaskie szare cylindry, z innych nie. Sączyła się wydzielina.

– Coś takiego... – Alica pochyliła się nad jej ciałem. – Ależ ma tego... Sama sobie wszczepiła pióra. – Zsunęła *namotanec* Liljki tak nisko, jak tylko pozwoliła naprężona wstążka, a potem rozluźniła węzeł i ściągnęła go zupełnie.

Pióra znajdowały się na podbrzuszu, w dolnej części brzucha oraz na udach. Sadzonki były obumarłe, ich otoczenie zropiało. Nie przyjęły się. Skóra wokół piór była gorąca, zaczerwieniona, tkanka obrzmiała.

– Ona chciała nam dorównać! Też chciała zostać *auraio*... Zostać jednym z nas – stwierdziła.

– Walczyła o życie. Uznała, że tylko pióra ją uratują.

– Jej pozostaje tylko złociste lekarstwo. Jak najwięcej. Nawet jeśli dostanie wysypki.

Ajfrid usuwał martwe pióra ze skóry Liljki i czyścił zropiałe ranki.

– To może jej zaszkodzić. Szok może być za duży.

– Jej już niewiele zaszkodzi.

Każdy oczyszczony krater Alica przytykała wacikiem nasączonym naparem. Kiedy słońce rozganiło ciemność nocy, oboje byli zmordowani.

– Zostawmy ją, żeby się w spokoju zdrzemnęła – powiedziała Alica. Zaraz jej głowa opadła na ramię Ajfrida. Pod warstwą piór wyczuł ciepło jej ciała. Bardzo szybko usnął.

108.

Miotало śniegiem, że trudno było wyjść ze samotni. Nawałnice przechodziły jedna za drugą, odsłaniając szare chmury i ponure szczyty. Około południa Liljka obudziła się i powiodła po sali zdumionym wzrokiem.

– Wszyscy razem...? – zapytała. – Już dobrze?

Ajfrid podszedł i lepiej przykrył ją kocem.

– Jestem naga, a ona się na mnie nie wścieka...

Alica drzemała, półleżąc na kanapie. Ją też *auraio* wcześniej przyrzucił pledem.

– Podobam ci się...?

– Leż spokojnie. Alica cię leczyła całą noc. Teraz śpi kamiennym snem. A ty jesteś cała brązowa od lekarstwa. Usunąłem z twojej skóry martwe pióra.

– Trzeba je było zostawić. Tylko to mogło mi pomóc, bo drugi raz nie zdecydowałbyś się na co innego...

– Pióra gniły w twojej skórze. Zakażenie by cię zabiło.

– Nie było zakażenia. Ona nie śpi. Ona nie sypia.

Alica gwałtownie podniosła się z kanapy.

– A ty skąd to wiesz?! – rzuciła ze złością.

– Nie spałaś? – zdziwił się.

– Nie zmrużyłam oka już od paru nocy – rzuciła.

– A ty miałaś się już nie obudzić.

– Pewnie tak wkrótce się stanie. Jestem bardzo słaba.

– Ale na razie dalej go uwodzisz?

Liljka się nie odezwała.

– Teraz będzie ci łatwiej, bo odtąd będziesz siedzieć tylko przyrzuciona kocem. Już jedną jego kobietę tak pielęgnowałam.

– Nie zabijesz mnie?

– Jej podtrzymałam życie przez długi czas. Tobie też je przedłużę.

Skoro tak mówiła, Ajfrid uznał, że dzisiaj jest z nią lepiej. Nie utożsamia go przecież z wydumanym Jadòviną, lecz wspomniała historię Gaty.

– Może przejrzymy traktat Urbaneca? – powiedział. – Ona jest zmęczona, niech się prześpi.

– Najpierw dam jej czego gorącego do picia. Niech się wzmocni. Ciągłe mnie oskarża.

109.

Właściwie Ajfrid powinien czuć żal z powodu śmierci człowieka, jednak do rudego nauczyciela czuł tylko obrzydzenie. Na wspomnienie skołtunionej brody, pełnego emfazy głosu i płonących obsesją oczu przechodził go dreszcz odrazy. Dawniej myślał, że w taki sposób u Urbaneca przejawiała się obsesja wiedzy teraz jednak uważał, że to tylko zapatrzenie w siebie samego. To uczucie rozlewało się na myśli Urbaneca. Nawet karty z traktatem o płaskości *ziemi* budziły niechęć Ajfrida.

– A jeśli on miał rację? – powiedział do Alicy – Nigdy nie widzieliśmy gwiazd pod spodem. Może ich tam nie ma? Może, jak twierdził Urbanec, cały wszechświat podzielony jest właśnie na dwie połowy nieskończoną płaszczyzną, na której mieszkamy.

– Skąd wiadomo właściwie, że *ziemia* jest kulą?

– W starych tekstach tak napisano. Jest jeszcze rysunek. Przedstawia postać ludzką

stojącą na powierzchni kuli i strzałki idące ku jej środkowi. Wszyscy dotąd uważali, że przedstawiają one kierunek pionu. Tekst podręcznika i jeden rysunek, to wszystko.

– Sama kopiowałam ten rysunek.

– Urbanec zmierzył, że kierunek pionu w Matcinaj Dolane nie odchyła się tak, jakby wynikało to z tego szkicu. Zarówno ze zboczy Vatron Vrh, jak i Ledan Vrh nie celuje w stronę doliny, a górą nie odchyła się w stronę szczytu, lecz celuje w dół.

– Może więc to Urbanec miał rację? Przyplącił życiem swoje pomysły.

Ajfrid nie odpowiedział. Przewertował plik zapisanych maczkiem stronic.

– Poszedł znacznie dalej w swoich wnioskach. Twierdzi, że skoro ziemia jest nieskończoną płaszczyzną, a kierunek pionu wskazuje, jak spadają wszystkie ciała, to również gwiazdy nie są tym, o czym uczymy w szkole, gdyż spadłyby na ziemię, dokładnie w linii pionu. Nie można wskazać przyczyny, która powstrzymałaby je przed upadkiem.

– Czymże według niego są w takim razie gwiazdy?

– Ułudą. Wirującym kalejdoskopem, czymkolwiek, ale na pewno nie globami zawieszonymi gdzieś wysoko nad nami, gdyż nie sposób sobie wyobrazić, że mogłyby obracać się na niebie tak szybko co noc. Jego zdaniem *ljetuczan smyj* nie przyleciał z gwiazd, lecz zwyczajnie przyszedł na masywnych płetwowych nogach, piechotą przywędrował zza Zatròvati Ljucav, gdzie z dala od Matcinaj Dolany mieszka wielu ludzi, a my tylko zagubiliśmy się w tym nieprzyjaznym dla człowieka rejonie.

– Przecież *smyj* odleciał.

– Nie według Urbaneca. Przeciągła błyskawica była naturalnym zjawiskiem atmosferycznym, *smyj* po prostu odszedł, jak każde zwierzę, zaś my oboje okłamujemy wspólnotę.

Ajfrid zamilkł. „Takie słowa napisał, a jednocześnie Mjadkę uwodził, opowiadając, jak to jego światłe myśli rozgłoszone zostaną między gwiazdami. Dziwaczny osobnik. Czy on sam wierzył w to, co głosił?”

Alica badawczo patrzyła na niego.

– Ty celowo okłamujesz mnie i wszystkich innych?

– Skądże. Przecież też zdobyłaś wiedzę ze starych tekstów.

„Nawet ona już zaczyna wierzyć w słowa Urbaneca. Jak on to robi spoza grobu?”

– Opisał też dokładnie wydobywanie *priljetatjela z ovaja*, podkreślając niezwykle podobieństwo tego procesu do wydobywania *zradilca z vyletan bazina* – kontynuował. – Niepodobieństwem jest według niego, by jakieś dziwne stwory z dalekich światów rozmnażały się w niemal identyczny sposób jak ludzie z Matcinaj Dolany. Wyrosła

odzywiające zupełnie jak pępowina, to zawieszenie w płynie... Według Urbaneca nie sposób, aby ludzie i *smyje* pochodzili z kompletnie różnych światów.

– Może być, ale z tego nie wynika jeszcze, że ziemia jest płaska...

Sięgnął po inny karton.

– Skonstruował dokładny czasomierz.

– Po co to komu? A jak to zrobił?

– Wykorzystał wodę ściekającą z dziury przy dnie naczynia. Zaznaczył na ściankach kolejne kreski.

– To zła metoda – powiedziała Alica. – Najpierw woda ścieka szybciej, potem coraz wolniej. Czytałam o tym.

– On użył dwóch zegarów. Jednym wyznaczał pierwszą godzinę. Drugi skalował za pomocą pierwszego. W pierwszym uzupełniał wodę, żeby wyciekała tylko między tymi samymi kreskami. Na drugim zaznaczał odstępy czasu.

– Zmyślne.

– Tak, ale nie potrafił wyznaczyć długości godziny, jednej dwudziestej czwartej doby. Próbował zmieniać odległość między kreskami, ale nie utrafił, więc zniszczył zegar.

– Stracenie Urbaneca stanowiło wielką szkodę dla gromady. To był niezwykły umysł.

– Nie stanowiło. Zniszczyłby wspólnotę, tak jak zniszczył zegar. Nas by przegnali, archiwa znieśli do Matcinaj Dolany, a tam wkrótce rozsypałyby się w proch i wiedza by przepadła. A gdyby wyruszyli na poszukiwania innych osad, jednego po drugim zabrałaby *skorja smyrt* na Zatròvati Ljucam.

– Był więc niszczycielem wielkiego formatu.

– Nieprzeciętnym człowiekiem, który nas nienawidził.

Nie miało sensu mówić, jaka była prawdziwa przyczyna stracenia nauczyciela. Alica mu nie uwierzy. Uzna, że chce poniżyć dzieło Urbaneca albo że Jadòvina znowu mydli jej oczy swoimi kłamstwami.

Coś mu przyszło na myśl. Postanowił jeszcze raz przeczytać teksty Doedda Furlongga i apokryfy.

„Skoro nie da się orzec, którzy spośród nas są braćmi, zawsze jest podejrzenie, iż dwóch z nas jest braćmi”, pomyślał po lekturze. „Skazanie więc i wykonanie wyroku na Urbanecu mogło być popełnieniem drugiej winy przez naszą wspólnotę: winy bratobójstwa. Jednak Urbanec zabijał wcześniej, podobnie jak każdy, przez którego kobieta ginie w męczarniach. Doedd Furlongg popełnił błąd, ukrywając przed nami wszystko, co zaszło po czerwonej glinie. Ciekawe, czym była pierwsza wina? Może być przecież tak, że nie znając

jej natury, i tak ją już popełniliśmy ponownie. Niezależnie od tego, czy jej nieznajomość zwalnia nas z odpowiedzialności, czy też nie zwalnia”.

– Odkryłeś coś w zapiskach...? – zapytała wieczorem Alica.

Pokręcił głową.

110.

Przygotowywali się do letargu. Kilka razy dziennie pili gorzkie zioła. Kąpiel, w której mieli się zanurzyć, miała już odpowiedni poziom. Liljka nie podnosiła się ze swojego posłania zrobionego ze stołu w pracowni. Bardzo osłabła. Jej ciało przypominało ciało Gaty przed odejściem. Jeszcze chodziła, choć wstawiała coraz rzadziej. Szybko chudła. Policzki zapadły się, skóra opięła na czaszce, tylko wielkie oczy płonęły. Codziennie nacierali jej ciało lekarstwem. Skóra zrobiła się szorstka i brunatna. Liljka drzemała całymi dniami, coraz rzadziej budziła się i rozmawiała normalnie.

– Wyszły jej rany po wszczepionych piórach – powiedział Ajfrid.

– Jest silna, ale nikt nie jest dość silny.

– Z dnia na dzień się jej pogarsza. Wczoraj wyniosłem ją na rękach za potrzebą. Nie zdążyła i pobrudziła mi pióra.

– Jak chcesz, możesz zrobić jej drugi raz to, co wtedy – powiedziała Alica. – Ona ciągle powtarza, że to jej pomogło.

– Tobie chciałbym tak zrobić. Przestałabyś być zazdrosna.

– Chcesz mnie zabić?!

– Liljka powiedziała, że było przyjemnie. Tobie też by było.

– Chcesz, żebym umarła w męczarniach...? Gata miała szczęście, że poroniła twojego syna.

– Gata tak powiedziała? Mojego syna...?

– Kiedyś wygadała... W gorączce. Powiedziała, że to ona namówiła ciebie. Wierzyła, że urodzi normalnie. Zresztą bardzo chciała ciebie.

Chwilę milczał. Podejrzewał to, od kiedy powiedziano mu, że Gata poroniła.

– I mimo tego poszłaś ze mną na Prevaj? – spytał.

– Co miałam robić? Wiedziałam, że jesteś niebezpieczny. Teraz jako Jadovina potrafisz jeszcze więcej. Na Jadovinę leciały wszystkie. Każda z *vyletnic* zaczęła wcześniej. Nie chciały zdawać się na płyn.

– Skąd wiesz?

– Żadna tajemnica. A połowa zaczęła z tobą. Poleciały na te twoje czarne włosy.

- Jadòvina garbił się i trochę podsiwiał.
- Inni *vyletnika* wyglądali jak wraki. Liljka rzuciła się na ciebie, chociaż się specjalnie nie starałeś. Nawet mniej niż o Braborkę.
- Może właśnie to ty jedna spośród mieszkanek Matcinaj Dolany mogłabyś urodzić swoje dzieci bez *vyleta*, nie w *vyletan bazinu*.
- Sama proporcja ciała może nie wystarczać. Zresztą przecież pióra wykluczają potomstwo.
- Chciałem, żebyś to ty pojechała witać *ljetucznan smyja*. Potem wsiadła do *ovaja* i odleciała z nim w nieznane.
- Czego miałabym tam szukać, tak daleko!?
- Wyleczyliby chorobę twojej duszy.
- Ja nie umiem wieszając się na męskich biodrach jak Liljka.
- Nie spróbujesz?
- Nie! Jeszcze mi życie miłe – powiedziała szybko i wyszła.

111.

Liljka zasadziła sobie pióra, kiedy infekcja *krve znam* szerzyła się w jej organizmie. Stała do desperackiej walki o życie, jednocześnie pozbawiając się wszystkich szans. Tego jej organizm nie mógł przetrzymać. Umarła we śnie. Kiedy ją znalazł, jej ciało już stygło, szczeka opadła, a oczy były półprzymknięte. Ajfrid opuścił jej powieki.

Chwilę patrzył na drobną, nieruchomą sylwetkę martwej *priljetatjelnicy*, potem zbudził Alicę.

Zanieśli jej ciało i złożyli w czytelnii.

Alica przyniosła dzbaneczek i szmatkę.

– Trzeba z nią zrobić – powiedziała.

Przetarła skórę Liljki szmatką zamoczoną w mlecznym winie. Przygotowała płócienne taśmy. Te same, którymi Liljka owijała stopy pod sandały.

– Zwiążmy jej nogi w kostkach, a ręce na plecach – poleciła.

„Tak nie przygotowuje się ciało *vyletnikov* do mumifikacji. Ani ciało *aurai*. Ręce zawsze wiąże się z przodu i układa na podolku”, pomyślał. „Zresztą, może ona ma rację, przecież Liljka nie była ani jednym, ani drugim, więc jej pożegnanie powinno się różnić od jednego i drugiego”.

Skórę Liljki zniszczyły *krve znama*, pęknięć było wiele, jednak pojedyncze płatki nie odrywały się, a z ran się nie sączyło. Liszaje wyschły. „Niewiele brakowało, aby pokonała ich

agresję”.

Ułożyli Liljkę na wznak. Alica dokładnie mierzyła upozowane ciało. Liczby dyktowała Ajfridowi. *Priljetatjelnica* była niska, drobnej budowy, chociaż biodra miała pełniejsze niż każda kobieta z Matcinaj Dolany. Ajfrid wpisywał odpowiednie dane na szkicu jej ciała, wykonanym kiedyś przez Alicę.

– Mówiłaś, że jako następne pofrunie stąd twoje ciało. Myliłaś się.

– Nie myliłam się. Ona chciała czego innego. Spełnimy jej życzenie.

– Chcesz, żeby ją powiesić jak Braborkę?

– Tak właśnie.

– Miejsca nie ma. Samotnia jest zagracona. Od tych mumii wyjdzie zaraza.

– Od wysuszonych ciał nie wyjdzie zaraza. A to jest *priljetatjelnica*. Kobieta z gwiazd. Jej ciało jest bezcenne. Trzeba je zachować jak najdłużej. Niewiele się od niej dowiedzieliśmy, ale może jej ciało powie naszym następcom więcej.

– Obudzą ją...?

– A choćby.

– Powiedziała, żeby nie robić jej dziury w czole.

Włosy Liljki były za krótkie, aby dało się ją za nie powiesić, więc Alica wplotła w nie sporo długich nici i gałganków, a potem związała wszystko w gruby, długi warkocz. Następnie przyniosła duży kawał surowego płótna na całun.

Zawinęli i zaszyli w nim Liljkę, ale tak, by kłęb czarnych włosów wystawał na zewnątrz.

– Są jeszcze dwa pniaki *gazovo drava*. Wydrążę dla niej jeden – oznajmił. – Wystawi się ją na zewnątrz, może w mrozie *nocelja* wyschnie bez kąpieli w mlecznym winie.

– *Vyletnika* moczą się w mlecznym winie z innego powodu. Może nie jest to konieczne dla zachowania ciała.

Jeden z pniaków był na miarę. Dłuto szybko zagłębiało się w suchą, lekką masę. Wylupywał długie drzazgi, pojedyncze poprzeczne cięcia oddzielały je od pnia, a wnęka pogłębiała się szybko. Po dwóch godzinach pracy *kazeta* na Liljkę była gotowa. Wydrążony pniak dało się unieść jedną ręką. Od dołu przybił dwie deski na krzyż, aby *kazeta* stała na wietrze, a z góry zamocował poprzeczkę – zaostrzony kawałek grubego kija. Alica przywiązała do niej warkocz Liljki. Aby włosy nie urwały się, podłożyli pod jej stopy klocek.

– Żeby jej tylko wiatr nie przewrócił – powiedziała. – Jest takie zaciszne miejsce z tyłu od strony skał...

Ajfrid pokręcił głową.

– Powinna schnąć na słońcu i mrozie, nie w cieniu. Obłożę stojak kamieniami. Nie przewróci się.

Jednak zamieć na dworze nie ustawała, więc na razie postawili płócienny tłumok w kącie czytelnicy, obok stojaka z Braborką. „Co Alica powie, kiedy Liljka zasuszy się jeszcze ładniej niż tamta...?”, pomyślał.

112.

Rano czytelnicy wypełniał przykry zapach. Rozchodził się od całunu z Liljką. Trudno było wytrzymać ten smród. Żadne *wspomnienie* nie śmierdziało jak zwłoki *priljetatjelnicu*. Na szczęście wiatr osłabł i można je było wynieść. Ajfrid wybrał nasłonecznione miejsce, osłonięte od wiatru budynkiem samotni. Ziemia już stwardniała, więc kilofem wyłupał oblodzone kamienie. Posadził stojak i starannie obłożył go nimi, od góry dodatkowo mocując kilkoma naprężonymi linami. Chłodny wiatr zaraz na nich zaświstał.

Ajfrid wrócił do samotni. Na ławie leżał opisany szkic budowy ciała Liljki. Obca różniła się od nich zachowaniem i budową fizyczną. Cóż, trudno przypuszczać, że to oni w Matcinaj Dolane są normą dla wszystkich ludzi.

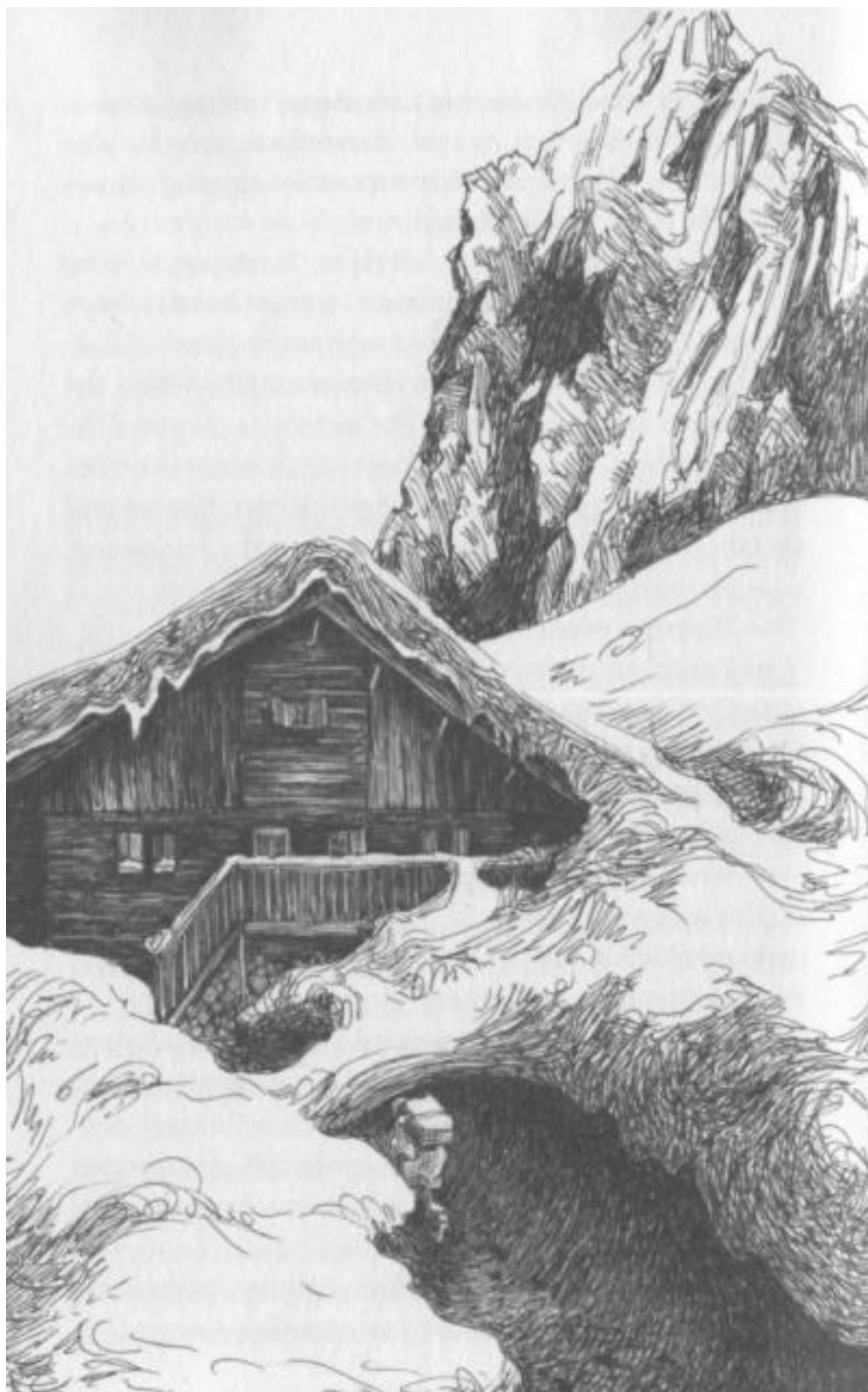
„Co z naszych cech szczególnych pojawiło się najpierw? Czy zdolność do zapadania w letarg zimowy – bo wszyscy ci, którzy tego nie potrafili, stopniowo wymarli bezpotomnie? Czy zwężenie bioder u kobiet – bo kobiece biodra nie były już potrzebne, gdy ludzie rozmnażali się przy *vylecie*? Czy może skłonność do mnogich porodów – bo nasze kobiety mogły wydać najwięcej potomków przy *vylecie*, a potomstwa tych innych, jeśli się jeszcze pojawiało, było coraz mniej z każdym pokoleniem? Przeszliśmy aż takie zmiany? Jak daleko się oddaliliśmy od naszych przodków... Czy po tych przemianach nadal jesteśmy ludźmi? Przecież oni tutaj umierają zaraz po przylocie, a my wciąż bronimy się przed wymarciem”, myślał. Ta myśl nie załamała go, nie przygnębiła, lecz wzmocniła. Wróciła energia do działania, zapał do walki o przetrwanie ich wszystkich.

Wieczorem usiedli do wspólnego posiłku. Ukrywać się przed sobą nie było sensu. Góry przykrył śnieg. Nikt z Matcinaj Dolany nie dotrze już na Prevaj. Ajfrid i Alica zostali uwięzieni w samotni na kilkaset najbliższych dni.

- Dalej o niej myślisz? Ja ci nie wystarczam?
- Nie myślę o niej – powiedział szczerze.
- Wypatrujesz jej w tych szkicach. Czekasz, żeby odezwała się do ciebie z rysunku.
- Narysowana kobieta nie odezwie się do ciebie z rysunku.
- Ona sama uważała inaczej.

– Liljka?

– Tak.



- Ach... – zdumiał się. Coś takiego nie mogło być możliwe. Owszem, rysunek Alicy był bardzo dobry, sugestywnie oddawał wygląd modelki. Patrzące z kartki duże, ciemne oczy, półotwarte usta... „Nie, to niemożliwe, żeby nawet tak dobry rysunek odezwał się do oglądającego”, pomyślał.

- Oglądałem proporcje – odezwał się. – Liczby wynotowane na marginesach.
- Są jak niewielkie stwory chodzące wokół jej ciała.
- Nieruchome, ale wiedzące o niej wiele. O tobie one też wiedzą sporo.
- A cóż takiego? – zaciekawiła się.
- Wiedzą, że jesteś podobna.
- Mówiliśmy już o tym – ucięła.

113.

Słońce pojawiało się coraz niżej na niebie, szybko zbliżał się kolejny *nocelj*. Głęboki zbiornik z niezamarzającą cieczą w podziemiu samotni został już cały wypełniony. Zapasy żywności były zabezpieczone.

Dolinę pokryła gruba warstwa śniegu, a szczyty skuł lód. Potwory mleczne dawno wypuszczono na wolność, a kokony z jajami *volcav* w głębokich piwnicach troskliwie skryto przed przemarnięciem. Twarde rządy Gjackego dawały pewność, że dopełniono wszystkiego. *Aurai* byli odcięci na *Prevaju*. Kontakt z doliną urwał się już dawno.

- Cóż, *priljetatjelja* przybyli i zaraz przeminęli – powiedział Ajfrid, pijąc gorące wino mleczne. Było gorzkie, tyle dodano do niego ziół. Oboje pili teraz wielkie ilości takiego wina.

- Nie powiedzieli nam wiele.

- Mniej powiedzieli, więcej zrobili...
- Tak.
- Ona nadal na ciebie czeka. Tylko teraz musi się obudzić.

Spojrzał na nią badawczo.

- „Wszystkie zwierzęta składają jajka” – przeczytał na głos, zmieniając temat. – „Człowiek nie jest tu wyjątkiem. Kobiety też składają swoje jajka w kąpielni *vyletan bazina*. Różnica jednak polega na tym, że człowiek czyni to tylko raz, w czasie *vyleta*, natomiast większość innych stworzeń potrafi to robić wielokrotnie”.

Wzruszyła ramionami.

- Wygląda, że tak jest.

- Według podręcznika anatomii istnieją kobiety, które nie rozstają się z *ovajam* i same rodzą swoje dzieci, aczkolwiek są one rzadkością. Moim zdaniem taka sytuacja jest

wybrykiem natury, nie normą. Żadna kobieta nie potrafiłaby tego przeżyć. To samo mówi podręcznik. Może to ty mogłabyś być jedną z takich troskliwych kobiet. Rozmnożyć się taką drogą jak owe kobiety z podręcznika astronomii.

– Po *nocelju* dam ci się namówić, nie wcześniej...

– Dlaczego wtedy?

– Zobaczę, czy ona wróci.

– Ona się rozpadnie. Coraz mocniej śmierdziała, póki nie zamarzła do reszty. Jej ciało było czymś skażone.

– Dlatego tak łatwo cię skusiła?

– Nie wiem, dlaczego mnie skusiła. Ty jesteś piękniejsza.

– Wiem.

„Czy ona potraktowała to jako ponowne objęcie władzy nade mną?” pomyślał potem w samotności. „Jako odzyskanie utraconego terytorium?”

Śniegu napadało już tyle, że wąską wydeptaną ścieżyną można było dojść tylko do Prevaju albo przejść z tarasu na koniec rampy przewieszanej nad Bezladnu Dolanu. Zwykle jednak było tak zimno, że nie opuszczali pomieszczeń samotni. Co jakiś czas musieli jednak przedeptywać obie ścieżyny.

Ajfrid, szczelnie zakutany w pled, gapił się w białą głębię Bezladnaj Dolany. „Czy kiedyś znowu pojawi się rozumny *porok*?”, zakołatało w głowie marzenie. A jednak można zatęsknić do dziwnego, obcego stworzenia, które chwilami chyba rozumiał lepiej niż najbliższą osobę. Oczywiście *porok* o czarnych oczach, obwiedzionych białymi kudełkami niby rzęsami, nie przeżyłby tak niskiej temperatury, jaka tu teraz panowała. Czy skrył się gdzieś przed mrozami, czy też jego życie dobiegło kresu?

114.

W Matcinaj Dolane zabudowania po dachy skryły się pod grubą warstwą śniegu. Mieszkańcy zapadli w letargiczny sen, z którego nie wszyscy się obudzą. Sen bez marzeń, z rzadka przerywany na krótkie chwile. Wtedy półprzytomny człowiek rzuca wzrokiem na *ljuszturu* nad głową, najczęściej nie mając nawet sił, by zmienić pozycję.

Co jakiś czas wybrany *obudac* wspinał się po schodach na szczyt drewnianej wieżyczki wystającej spod śnieżnej pokrywy, oglądał otoczenie, nożem na desce znaczył kolejny patrol i przemarznięty do kości, wracał do mrocznej kryjówki.

W samotni na Prevaju Ajfrid z Alicą też szykowali się do *nocelja*. Sypiali coraz dłużej, budzili się na coraz krótsze okresy. Wielkie ilości mlecznego wina i ziół powodowały,

że nie przytomnieli z oszołomienia. Wreszcie weszli do basenu. Ciecz wydawała się letnia, nie była zbyt chłodna.

Myśli odpływały. Ajfrid tracił świadomość. Odór zgniłych jaj przeszkadzał coraz mniej. Na granicy świadomości dostrzegł jakby zmianę czegoś niezbędnego, co w otoczeniu zmieniać się nie powinno. Impuls ten był jednak zbyt słaby, by przegnać senny opar. Świadomość odpłynęła.

Alica podniosła się z kąpieli. Jej pióra ociekały cieczą. Zaczekała, aż jej nadmiar wrócił do basenu, i wyszła z kadzi. W głowie jej się kręciło, jednak miała jeszcze pracę do wykonania. Z każdym krokiem siły wracały. Z początku podpierała się rękami o ścianę, potem już nie musiała. W pracowni przysiadła dla odpoczynku. Z trudem wytrzymywała odór kąpieli. Jej praca wymagała wiele siły. Wzięła świder i łom.

Wyszła z samotni, ślizgając się po ubitym śniegu. Pomagała cienka warstwa świeżo napadanego puchu. Ziąb przenikał do kości. Miotło drobnym śniegiem. Skórzane podeszwy ślizgały się z każdym krokiem. *Kazeta* z ciałem Liljki stała tuż przy ścianie. Zaspą nie była tutaj jeszcze duża. Alica odsłoniła tłumok z ciałem. Liljka lekko zakolebała się. Nie mogła oderwać warkocza, bała się, że *priljetateljnica* wstanie i zaszkodzi śpiącym w letargu. Trzeba działać delikatnie. Raz i drugi przymierzyła się i wreszcie wyłamała łomem osadzenie *kazety*. Udało jej się oprzeć ją o ścianę. Liljka przestała się kiwać. Alica rozcięła całun. Ukazała się twarz Liljki. Na długich rzęsach zebrał się szron.

Auraica przyłożyła do czoła Liljki świder. Zakręciła, obrót za obrotem. Ostrze zapiszczało, ale zaczęło zagłębiać się w zamarznąłą skórę. Zaraz doszło do czaszki. Teraz zwolniło. Każdy obrót skrawał tylko drobne wiórki kości. Alica marzła, ale nie przerywała metodycznej pracy. Wreszcie, po długim czasie, świder prawie wpadł do wnętrza puszeki mózgowej. Wiercił w miękkiej masie, na zewnątrz wydobywały się spore, nieforemne kawałki. Oparł się na kości po drugiej stronie czaszki, i znowu szło wolniej. Alica była przemarznięta. Obrót za obrotem drążyła dziurę w czaszce Liljki. Zorientowała się, że traci świadomość od zimna, więc przerwała pracę i wróciła ogrzać się do samotni. Musiała długo czekać, aż krążenie wróciło do zgrabiających palców.

Wróciła do pracy. Nie przestała, póki świder nie zaskrobał o ścianę po drugiej stronie głowy. Wtedy przeciągnęła przez świeżo wykonaną dziurę szeroką tasiemkę, którą kiedyś Liljka podwiązywała sobie piersi. Teraz Alica zawiązała pętlę, za którą można było powiesić mumię. To jej wystarczyło. Nie stawiała już pnia z Liljką, lecz zostawiła go w tej pozycji. Wichry nie powinny go przewrócić.

Zamarznięta rozdziałała się i wróciła do smrodliwej kąpieli. Zanurzyła się szybko, by

ogrzać w letnim płynie. Liljka już jej nie dopadnie. Nikt jej nie obudzi. Chwilę zastanowiła się, czy z Braborką i Jadóviną nie zrobić tego samego, ale uznała, że nie trzeba. Wprawdzie oboje podmieniają jej różne fragmenty rzeczywistości, ale miała to już pod kontrolą. Mogła powitać nadchodzący *nocelj*.

Zakopane, grudzień 1996 – Kraków, październik 2009

Spokojne, słoneczne miejsce lęgowe

I.

Cielsko rakiety drgnęło po raz ostatni. Masywny, wrzecionowaty kształt znieruchomiał na równej murawie łąki. Trawa była jeszcze pokryta rosą, której nie zdążył wysuszyć wyzierający już spoza grani Ouaigh. Po chwili rakietę zaczęła rozsuwać pancerne powłoki tylne, otwierając swą torbę lęgową.

– *En raketo! En portago! Os portagos!* – Gromadka spalonych na brąz dzieciaków ruszyła pędem do skupionych na zboczu zabudowań wioski.

– *Segor pa'a!* – krzyknął umorusany Jovano, widząc daleko przy zajeździe krzątającego się ojca. – *Segor pa'a, trzeba przygotować en otel!*

Kudłate białe owczarki, przywykłe do wielu przylotów, przejęły opiekę nad porzuconymi stadami płowych kóz i białych owiec. Rakietę kilkakrotnie poruszyła odwłokiem, wyciskając przez otwór torby lęgowej pierwszą obłą kapsułę.

Aberto już wcześniej usłyszał grzmot pojawiającego się *en raketo*. Teraz, słysząc wołanie małego Jovano, przestał gryzmolić kolejne, mozolnie ułożone zdania wypracowania z geografii. Geografię lubił, lecz pisanie sprawiało mu trudność, dlatego nie lubił *segory* Fiory, która te wypracowania zadawała. Z ulgą zatrzasnął drewniane okładki kajetu. Rzucił zabezpieczoną pracę na ziemię i pobiegł w przeciwnym kierunku niż Jovano i jego koledzy, pobiegł ku *en port*, ku *en raketo*.

Już z dala zauważył charakterystyczne rdzawe plamy w miejscu, gdzie obłe cielsko rakiety rozdzielało się na symetryczne fasety upodabniające je do kaczana kukurydzy. Od dwóch lat czekał na ten przylot.

– *Paré Willemo* przyleciał! – wrzasnął z radości. – *Paré Willemo! Cyvut!* – pognał, niemal gubiąc plecione sandały.

Powoli, z wysiłkiem, unosiły się pokrywy głowia rakiety. Ukazywały się duralowe siłowniki hydrauliczne, rozpierające brunatne skorupy. Widać było, że ten ruch odbywa się

wbrew woli rakiety; mechaniczna instalacja podstępnie wbudowana w jej ciało brutalnie wyginała płyty pancerza. Z tyłu, poza cielskiem, leżało dwanaście kapsuł; torba lęgowa sflaczała, przygnieciona przymkniętymi powłokami.

Coś lub ktoś szamotał się w odsłoniętym głowiu rakiety. W zielonkawym, przezroczystym śluzie widać było ciemniejszy, niezdarnie ruszający się kształt.

– *Paré Willemo?* – zaniepokoił się Aberto. Stary powinien był już wydobyć się z głowia, w przeciwnym razie mógł się udusić. System oddechowy działał bardzo słabo po uniesieniu przednich pokryw. Cielsko rakiety ponownie znieruchomiało.

Aberto zręcznie wspiął się po wyrostkach i gruzłach pancerza rakiety. Od wczesnych lat zaprawiał się, biegając za kozami czy owcami po stromych upłazkach i skałkach *doal* Greillt. Zdążył poznać wszystkie zleby i piarzyska, śmiało zapuszczał się pod samą grań.

Miękko wsunął ogorzałe ramię, starając się nie uszkodzić delikatnych wachlarzy śluzowych przykrywających wnętrze. Lekko piekący śluz spowoduje, że jutro całe ramię Aberto pokryje czerwona, swędząca wysypka alergiczna.

Musiał się głęboko nachylić, zanim jego palce zacisnęły się na kościstym ramieniu starego. Lekkim, ale stanowczym ruchem ciągnął go ku górze. Czuł konwulsywne, kurczowe drgania przechodzące przez tamto starcze ramię, ale i brak oporu. Stary szamocząc się, drżąc, wysuwał się spod grubej warstwy pokrytego czerwonymi żyłkami śluzu. Gdy wysunęła się już jego łysa i pomarszczona głowa, Aberto zebrał mu z powiek nadmiar śluzu i wymierzył kilka szybkich policzków. Stary kaszlnął, zwymiotował paroma garściami różowawej galaretki i otworzył oczy.

– *Bon dayo, Aberto!* – powiedział ze swoim szeleszczącym akcentem. Zmarszczył bezrzęse powieki w uśmiechu.

– *Bon dayo, paré Willemo.*

– Dalej mnie nie wyciągaj, Aberto. Biegnij po ojca. Zostaw mnie tak.

II.

Segor Anzelmo reperował drzwi do składziku. Górny zawias przegryzła rdza i drzwi kiwały się na wszystkie strony. Obliczał, ile *pachecos* trzeba będzie wypłacić handlarzowi za nowy zawias. We wsi na ogół nie posługiwano się pieniędzmi, ale *Romero* zawsze domagał się zapłaty w *pachecos*, sam też płacił pieniędzmi.

Słyszał syna już od połowy wsi. Odłożył robotę, tym bardziej że wykonywał ją bez entuzjazmu. Wyciągnął rozeschnięte taczki z komórki. Wiedział, że *Willemo* będzie potrzebował pomocy. Był już stary, stary był też jego *Cyvut*.



- Znajdź też *segora ma'a* i powiedz, żeby potem za nami poszła. Może przydać się do pomocy – powiedział synowi, gdy ten przybiegł i usiłował złapać oddech.

Dotarli na łąkę przed innymi wieśniakami. Większość z gospodarzy była na polach, inni jeszcze dalej ze swoimi stadami. Przyłot rakiety był atrakcją, ale nie tak wielką, by natychmiast porzucać pracę. *Segor Tomaso* wziął się do sprząwania i przygotowywania *en otel*.

– *Bon dayo, Willemo* – powiedział Anzelmo.

– *Bon dayo*. Piękny tu macie dzień.

– Przyleciałeś na winobranie. A zeszłoroczna *pechilcha* już dojrzała.

– *Segora Madlena* dalej wypieka ten swój złoty chleb?

– Znajdzie się świeży dla ciebie, Willemo.

Gawędząc z *paré Willemo*, ojciec mozolnie uwalniał go z wyrosli rakiety. Każde z nich, podrażnione, opuszczało dziurę wywierconą kiedyś w skórze i ciele *paré Willemo*.

– Jesteś dziurawy jak ser *agostella*, Willemo.

– Dziurawy los *en gaucho*. Słaby jestem też jak łajno twojej najsłabszej krowy, Anzelmo.

– Rozpakowuje ktoś kapsuły, bo niedowidzę? – zapytał Willemo.

– *Segor Tomaso* zaraz tu będzie. *Jovano* już go powiadomił o twoim przylocie, *paré Willemo* – odpowiedział posłusznie *Aberto*.

– Wyrósł ci najstarszy chłopak, Anzelmo, przez te dwa lata.

– Wyrósł. Zna góry jak mało kto. Szczególnie *doal Glian*. Często tam zachodzi przez *Wrath*.

Aberto lekko zaczerwienił się.

– Przez *Wrath*? To ostra droga... – powiedział z uznaniem Willemo i jednocześnie syknął z bólu, gdy kolejne węzowate wyrosłe rakiety wysunęło się z otworu wiodącego gdzieś hen, w głąb, między żebra i osierdzie.

– Obecnie jedyna. Zeszłej wiosny *strom Greillt* bardzo wezbrał po deszczach i osuwisko zupełnie zniszczyło dolną drogę. Nie da się jej odbudować.

Stary był tak słaby, że nie mógł nawet unieść ręki. Przynajmniej dobrze ruszał szczęką i można go było zrozumieć, choć kaleczył mowę szeleszczącym akcentem.

– Skąd lecisz, Willemo?

– Z *Wyborga*, tranzytem przez *Nyhiam Toal*. *Cyvut* jest stary jak ja. Były kłopoty. Myślałem, że już po nas, *grav Engelese*.

Jeszcze kilka razy pogawędkę przerywały skowyty starego, który męką opłacał

odłączanie się kolejnych wyrośli rakiety.

Gdy wreszcie jego bezwładne ciało udało się odczepić od rakiety, zwlekli go i ułożyli na trawie. Wszystkie wyrośla pochowały się w głowiu. Ojciec oblał go wiadrem zimnej wody przywiezionym na taczkach.

- Oua! – wrzasnął stary. – Ale to zimne. Zapomniałem już wodę.
- Wydelikaciła ci się skóra, Willemo.
- Lej drugie wiadro.
- *Segor pa 'a*, przyniosę wodę z potoka – zadeklarował Aberto.
- Lećże, *junor* – uśmiechnął się ojciec.
- *Segor Tomaso* dalej jest starostą? – zapytał Willemo.
- *Ouaigh. Ena mahla eblud.*
- Nie mów złych słów na *segor Tomaso*. To twardy *omré*.
- Twardy, ale *ena mahla eblud*.

Drugie wiadro zmyło ślady śluzu ze skóry starego. Otwory na wyrośla zacisnęły się nieco, ale nie zamknęły całkowicie. Willemo wyglądał normalniej. Anzelmo wywrócił jego bezwładne ciało na brzuch.

„Worek ze skóry na flaki i kości”, pomyślał.

– Aberto, przynieś jeszcze wody. Ruszże się sporzej. Trzeba z tym skończyć, zanim kobiety przyjdą.

Aberto przyniósł trzecie wiadro i potem czwarte. Na umytego starego naciągnęli samodziałowe portki wieśniacze i takiż kaftan. Stary wył i stękał, gdy naciągali na niego odzienie.

– Nie wyj, Willemo. Masz zgniłe i spróchniałe nerwy i nie powinno cię boleć. Cyvut wyżarł twoje nerwy.

- Wyżarł, ale coś czuję i to jest cholerne.
- Do zmierzchu *Ouaigh* spaliłby twoją skórę. Musisz przetrwać ból.
- Moja skóra i tak będzie tu gniła. *Ouaigh* nie musi się wysilać.

Całą powierzchnię skóry pomiędzy czarnymi otworami miał pogruzłowaną i zmacerowaną. Anzelmo przewiązał go potrójnym gazdowskim sznurem.

- Godzi się ten sznur, Anzelmo?
- Godzi się, *paré Willemo* – ojciec zwrócił się tak do starego po raz pierwszy. – Z ciebie też gazda, powietrzny.
- Tak mówią w *Nyhiam Toal*, nie tu.
- Przyleciałeś z *Nyhiam Toal*, Willemo.

Wzięli starego pod ramiona i za nogi i ułożyli na taczkach.

– Trzeba wpięć zabezpieczyć Cyvuta – powiedział Willemo.

– Otwórzcie trzynastą kapsułę, tam jest wszystko, co trzeba.

– Nie ma jej, *paré*. Są tylko numery od jeden do dwanaście – wykrzyknął Aberto, który szybko przebiegł pomiędzy pomiotem rakiety i przeliczył urodzone kapsuły.

– *Ena mahla eblud* – zaklął *paré* Willemo. – To ją wyciągnijcie. Cyvut cierpi.

Spomiędzy przywartych powłok zadnich wystawał obły, ciemny kształt pokryty wydzieliną. Anzelmo z synem doskoczyli do słabo drgających pokryw.

– Uważaj na krawędzie – rzucił Anzelmo. – Tną chciwiej niż noże z Glian.

Mocno wparli się obaj w lekko sprężynującą, jajowatą powierzchnię kapsuły. Układ łęgowy rakiety był zbyt słaby i nie wspierał ich w wysiłkach. Choć gdy wreszcie wyłupali obły, masywny pojemnik i złożyli go na trawie, przez cielsko przeszedł słaby dreszcz ulgi.

– Cyvut jest już słaby – rzucił Willemo.

– Jest słaby.

Pokrywy pancerza zamknęły się, skrywając wreszcie torbę łęgową.

Pojemnik miał pod warstwą śluzu numer trzynaście, namazany niezdarnie węglem. Tylko węgiel opierał się temu śluzowi.

– Zgadza się, *paré* Willemo. Czy umyć go wodą?

– Nie trzeba, *junor*. Podaj siekierę.

Anzelmo zamachnął się i palnął obuchem. Skorupa zgrabnie rozpadła się na kilka części.

– Weź tuby z czarną pastą – powiedział Willemo, który zdołał przetoczyć głowę i zerkał w ich kierunku.

– Jeszcze pamiętam, Willemo.

Ojciec starannie pokrył pastą dezynfekcyjną wszelkie szczeliny nie dolegającego pancerza głowia rakiety. Aberto gorliwie pomagał mu w robocie. Był szybki i wprawny. Lepiej pracował niż niedowidzący ojciec.

– *Junor* jest lepszy od ciebie, Anzelmo.

– Dobrze. Ma młode oczy

– Przywiozłem okulary. Ty też będziesz miał młode oczy.

– Ten złodziej Romero zamówił?

– Ja kupiłem dla ciebie, Anzelmo.

– Już dawno powinniśmy wypić razem *milgeblut*, Willemo.

– *Os portagos* wymiotują na widok *milgeblut*. Ale jest tak, jakbyśmy wypili *milgeblut*,

Anzelmo.

– Reszta zestawu przyda się do startu. *Segor Tomaso* zawiezie ją do wsi. – Stary wskazał podbródkiem na polną drogę. Ten ruch był jego nowym osiągnięciem.

Drogą ciągnęła się wstęga kurzu. *Segor Tomaso* nadjeżdżał swoim najokazalszym wozem, do którego zaprzął czwórkę wołów. *Segor Tomaso* powoził, a *Mathao*, starszy brat *Jovano*, prowadził za pysk pierwszą parę. Okazały orszak. *Mathao* był wysoki, masywny i bardzo się pocił. We wsi mówiono na niego *Thusta Wieża*.

– Zatratają się te woły – mruknął *Anzelmo*. – *Ena mahla eblud*.

– Ale ty pójdziesz do nas, a nie do *en otel pvor portagos, paré Willemo*, prawda? – rzucił zaniepokojony *Aberto*.

– *Anzelmo* powiedział, że *segora ma'a* upiekła złoty chleb. Nie mogę go opuścić.

– *Ouaigh!* – wykrzyknął ucieszony *Aberto*. – A *pechilcha* jest w tym roku lepsza niż była kiedykolwiek!

– Ja ci wypiję *pechilchę*. *Ena mahla eblud!*

– Twoja *eblud*, twoja, *Anzelmo* – zauważył *Willemo*.

– *Ena mahla eblud!* W głowie mu tylko *pechilcha* i gonienie do *Glian* do *ena mila Ineda*.

– Córki starosty *Peppo*?

– *Peppo* już nie jest starostą, odkąd go przygniotło w lesie przy wyrębie. Jego brat *Yorig* został starostą. Pomagasz staremu *Peppo, junior?* – rzucił do syna.

– Czasem pomagam, ale rzadko.

– Pewnie, że rzadko, bo stałe przesiaduje z *ena mila Ineda*. A ma biegać po górach. Będzie z niego przewodnik. Dostanie po ojcu *pile-monte* i każdej zimy będzie umiał przejść przez *Wrath*.

– Będzie, będzie. Jeśli będzie miał do kogo.

– Dawniej więcej łąził po górach.

– Znam już *doal Greillt* i *doal Glian*, a dalej *segor pa'a* zabronił się zapuszczać.

– Pewnie, że zabroniłem, bo tam bezludzie. Można spotkać tylko stada *vukos*.

– Zdziczałe psy? – zapytał *Willemo*.

– *Ouaigh*.

– Ale groźne są tylko w zimie – dodał *Aberto*. – W lecie łążą pojedynczo i wystarczy na nie *pile-monte*.

– Nie było ich jeszcze dwa lata temu – zauważył *Willemo*. Rozmowa zmęczyła go i zamknął oczy.

III.

Z hurgotem podjechał wóz *segor* Tomaso. Przyjechali wszyscy: Jovano, Mathao, *segora* Marion i nawet maleńka Eribar.

– *Bon dayo, paré Willemo* – rzucił *segor* Tomaso i z ukosa spojrzął na sznur gazdowski przepasujący kaftan Willemo. *Segor* Tomaso był wysoki i suchy jak tyka, przypominał zmokłe ptaszysko. – Pokoje w *en otel pvor portagos* są już przygotowane. Dla ciebie i wszystkich *os portagos*.

– *Bon dayo, bon dayo*. – Willemo pokiwał głową, nie otwierając oczu. Był bardzo zmęczony. Każdy ruch przychodził mu z nieopisanym trudem. – Wypełni się cały *en otel pvor portagos*. Jedenaścioro ludzi i tylko jedna kapsuła z frachtem – ciągnął. – Zwykle jest pół na pół. Sześcioro z nich przestanie być *os portagos*. Oni chcą się tu osiedlić.

– Nie ma miejsca w *doal Greillt*. Ziemia nie wyżywi więcej, *paré Willemo*.

– Oni pójdą na bezludzie, aż za *doal Glian*.

– Nie mają wiele: tylko jedna kapsuła frachtu na sześciu ludzi.

– To nie ich fracht. Oni mają tylko robotne ręce.

– Robotne ręce, to wystarczy, *grav Engese* – zgodził się *segor* Tomaso.

Skinął na Mathao i obaj wzięli się do rozbijania kolejnych kapsuł. Wychodzili z nich umęczeni niewygodną pozycją podróży. Prostowali się, rozglądali, mrużyli oczy od blasku *Ouaigh*. Niektórzy cuchnęli moczem – ci musieli przebrać się w świeżą odzież. *Segor* Tomaso krzątał się wśród nich i ich dobytku. Spodziewał się zarobić wiele *pachecos*. Raz jeszcze podszedł do tacek z *paré* Willemo.

– W *en otel pvor portagos* jest dwanaście pokoi. Będziemy dumni, mogąc cię tam gościć, *paré Willemo*, choć możesz też mieszkać, gdzie chcesz, gdzie zwykle... – powiedział.

– Zatrzymam się jak zwykle u *segor Anzelmo*.

– *Ouaigh. Bon* – odpowiedział *segor* Tomaso. Nie wyglądał na zdziwionego.

IV.

Życie wioski zmieniło się, jak zawsze po przylocie rakiety. Przybyszów goszczono dla samej chęci poznania kogoś nowego i usłyszenia czegoś nowego. Trudno im było wyjść z *en otel*, by nie otoczyła ich gromadka dzieciaków. Mądre, białe owczarki musiały same pilnować stadka owiec i kóz.

Segor Tomaso troszczył się o tych, co mieli lecieć dalej, *os portagos*. Osiedleńcy, *os novados*, sami rozglądali się za jakąś pracą, by zgromadzić nieco potrzebnych przedmiotów. Trzy pary małżeńskie, które dla jakichś powodów musiały opuścić *Nyhiam Toal*. *Segor*

Tomaso wyznaczył im dolinę następną na północ za *doal* Glian. Wybrali dla niej nazwę *doal* Novado. Potrzeba było jeszcze zgody *segor* Yoriga, starosty Glian, ale wszyscy uważali to za formalność, bo zasiedlona dolina ochraniała od *vukos* i innego plugastwa, którego ciągle przybywało.

Os portagos byli zamożniejsi. Zamówili dobre pokoje z umywalkami. Płacili za pożywienie pieniędzmi, nie pracą; niektórzy szukali pracy. *Segor* Donovan był medykiem i też szukał miejsca stałego osiedlenia. Gdy zorientował się, że w Greillt żyje zaledwie osiemnaście rodzin, postanowił lecieć dalej, bo nie wyżyłby ze swojego fachu. Na razie jednak wędrował ze swą walizką od zagrody do zagrody, zbierając *pachecos* lub to, czym mogli zapłacić wieśniacy.

Ena segora Emilia była ponoć z rodu samych Kysari, co miało gdzieś szczególne znaczenie. Dlatego wędrowała aż z samej Kyrreig do Dillam Baoam, aby poślubić tamtejszego władcę. Dillam Baoam było tak odległe, że na lekcjach geografii *segora* Fiora mówiła na nie Kraj na Nigdy-Nigdy. *Segora* Emilia nie opuszczała swojego pokoju i Aberto nie pamiętał nawet, jak ona wygląda.

V.

Był ciepły wieczór, jak bywa o tej porze roku w Greillt. Z wygwieżdzonego mocno nieba gdzieś zniknęły wszystkie chmury, co nie znaczyło, że koło południa następnego dnia nie będzie ulewy. Bliski Nored, *Nor Stairn av Greillt*, gwiazda północna, świecił chłodnym niebieskawym blaskiem.

Segora Madlena wystawiła plecione foteliki na werandę. Od wczoraj w oknach chałup wioski znów jaśniało światło elektryczne. *Segor* Aniceto Dozireff z pomocą Tomaso, Mathao, Wais'avo i jego trzech synów uruchomił prądnicę w małej elektrowni wodnej na Strom Greillt. Dozireff był *en ine'ero* wysłanym przez Olam w rejs okrężny. Miał spisywać i w miarę możliwości reperować istniejące instalacje elektryczne. Olam zamierzało nieco zwiększyć produkcję maszyn elektrycznych i żarówek i rozpoznawało możliwości zbytu na *os planetos* w pobliżu Wyborga.

Wokół starej, popstrzonej żarówki, jedynej, jaka znalazła się na strychu u Anzelmo, kłębiły się ćmy i komary. Żarówka wisiała na zetłałym przewodzie przybitym gwoździem do sufitu werandy. Pod nią na białym, czyściutkim obrusie systematycznie rosła przyzma sześcionogich trupków.

– Jeszcze jedna szklaneczka pechilchy, *paré Willemo?* – Anzelmo z rozmachem wyciągnął z pękatej butelki zwinięty z papieru korek, aż jęknęło zamknięte w niej powietrze.

Miał już zaczerwienione oczy; rozpiął ozdobną, haftowaną koszulę. Było mu za gorąco. *Paré* Willemo pociągał przez plastikową rurkę, z grubo rżniętej szklanki, czerwony płyn. Gdy płyn kończył się, głośny siorb rurki i bulgot pechilchy sygnalizowały, że trzeba dolać.

– Jeszcze mam, Anzelmo. Mocna *pechilcha* tego roku. – *Paré* Willemo przechylił głowę i czerwony płyn zaczął wyciekać przez otwory w jego brodzie.

Aberto doskoczył uprzejmie, poprawił głowę starego, żeby wino ściekało do gardła, a nie na podłożoną chustę. Następnie poprawił ją, żeby lepiej chroniła kaftan starego.

– Chi... chi... – Zachichotał Willemo. – To musi być widok. Dziurawy łeb, dziurawy los starego *gaucho*. Cyvut wyżarł mi dziury wokół nerwów.

Krępowwała go własna nieporadność; sztucznie podkreślał swoje kalectwo.

– Bolało, jak żarł, *paré Willemo?* – Aberto jednym okiem zerkał na starego, drugim na czerwony płyn w pękatej butelce.

– Bolało na początku. Próba bólu. Potem już nie, potem już jesteś *gaucho*. Niektórzy nie wytrzymują, wariują. Trzeba ich wyciągać ze środka.

– Nalej juniorowi, Anzelmo – zwrócił się do ojca. – Dzisiaj może trochę wypić.

– Ciągle ubywa pechilchy – włączyła się *segora* Madlena. – Jeśli go nie wywieje do Glian.

– Lepsza *pechilcha* w Greillt?

– *Pechilcha* lepsza.

– Mówią, że kobiety w Glian zrobiły się tłuste, duże i blade – wtrącił Anzelmo. Od lat nie ruszył się poza przełęcz, choć kiedyś był przewodnikiem handlarzy. Żartował, że Romero wyciąga teraz od niego wszystkie *pachecos*, jakie mu kiedyś pozostawił za przeprowadzanie przez Wrath.

– Nie są blade. One tylko nigdy się nie opalają. Chronią się przed blaskiem *Ouaigh* dużymi słomkowymi kapeluszami.

– Za moich czasów nie nosiły – burknął Anzelmo.

– Gonileś za Madleną, to nie zauważyłeś – zachichotał *paré* Willemo. Chichot przerodził się w kaszel i znowu trochę pechilchy zmarnowało się w chustce.

– Sera czy chleba, *gorozzolo Willemo?* – *Segora* Madlena, pomimo wieku, pomimo skóry pomarszczonej i spalonej przez *Ouaigh*, zachowała w oczach młodzieńczy błysk wesołości. Ser *gorozzola* był drugim gatunkiem sera wyrabianym w Greillt.

– Więcej *ena agostella* dla *en agostello*. – Willemo uśmiechnął się.

Willemo nie lubił sera *gorozzola* z Greillt. Dla niego był zbyt twardy i słony. *Gorozzole* podawano się pokrojoną w bardzo cienkie plasterki niemal pozbawione dziurek.

Willemo wolał wyglądać jak jego ulubiony ser *agostella*.

Wszyscy łamali po kawałku sera i chleba. Dla *paré* Willemo przygotowali połamane drobno kawałeczki. Kawałek sera czy chleba potrafił unieść do ust, szklanka z winem była zbyt dużym ciężarem.

– Jaka jest Ineda av Glian? – zapytał Willemo, popijając winem kolejny kawałek sera. *Agostella* robiona w Greillt była miękka, tłusta i soczysta. Przez dwa lata Willemo nie zapomniał jej smaku.

– *Ena biolla reguza, paré Willemo. Bioella*. Ma żółte włosy jak *segor Domenico* albo *segora An'ela*. Wyższa niż dziewczyny z Greillt, ale niższa ode mnie. Kobiety z jej rodziny nie są tłuste, ani ona. Willemo pokiwał głową.

– Jak podkreślił, że niższa. – Anzelmo podrapał się po brzuchu. Wokół lampy zakłębiły się małe, czarne, latające mrówki.

– Dobrze, Anzelmo. Krew powinna się mieszać. Mało tu rodzin. Serowar Domenico jeszcze żyje?

– Żyje, ale robotę robi jego *junor*. Stary jeszcze dogląda, poucza. Połamał go reumatyzm.

– *Ena mahla eblud!* – wrzasnął *paré* Willemo. – *Fuccho!*

Szarpnął się na fotelu na miarę swych wątłych sił.

Spojrzeli na niego ze zdziwieniem. *Paré* nie powinien używać złych słów.

– *Os mahlos anos* zeżrą mnie żywcem – wyjaśnił. Bał się mrówek. Bał się, że wejdą do otworów w jego ciele, zrobionych przez wyrośniętą głowia, i zaczną kąsać albo pożerać zmienioną tkankę. Pierwsza mrówka łącząca po chuście wywołała jego popłoch.

– Anzelmo, Aberto, przesuńcie stół spod lampy, o tam, na skraj werandy. *Os anos* mają swoją *ena nott pvor amor*. Nie odejdą od światła.

Zamieszanie nie trwało długo. Mężczyźni rozłożyli nowy obrus, bo poprzedniego nie dałoby się uwolnić od nawały czarnych, skrzydlatych drobinek.

– Rozłóżcie ten brudny pod lampą, na podłodze. Wtedy wszystkie *os anos* będą na nim siedziały. Nie zleżą z niego – powiedziała Madlena.

– *Bon*. Będą miały białe prześcieradło.

Rozciągnęli obrus na świeżo wyszorowanych deskach werandy.

W półmroku siedziało się równie przyjemnie. Nadal było ciepło. Willemo obserwował czarny wir kłębiący się wokół żarówki.

– Fruwająca, rozkochana śmierć – powiedział.

– Tu cię nie dosięgnie, Willemo.

– Mówisz znakomicie naszym językiem, chociaż z obcym akcentem. Skąd jesteś, *paré Willemo*’?

Stary uśmiechnął się.

– Już raz zadałeś mi to pytanie, Aberto. Miałeś wtedy sześć lat. Odpowiem ci to samo. Powietrzny gazda jest *av Stairns*, z gwiazd.

– Teraz mam piętnaście lat, *paré Willemo*.

– Odpowiedź może być tylko ta sama. Jestem Willemo *av Stairns*. Tak jest.

Anzelmo i Madlena spojrzeli po sobie.

– No, może jestem też częścią *Cyvuta* – dodał Willemo.

– Mądry jest *segor Dozireff*. Patrzyłem na jego pracę. Kierował starszymi od siebie. A potem to wszystko ruszyło, dokładnie jak uczy *segora Fiora*. To jest wielki *en conruttore*.

– *En ientoro* – odpowiedziała synowi *segora Madlena*.

– Wielkie słowa – mruknął Willemo. – Sam nic nie skonstruował ani nie wymyślił. *En ine’ero* po dobrej szkole w Wyborgu. *Pachecos* bierze od Olam.

Stary Anzelmo uważnie spojrzał na *paré Willemo*. Czyżby powietrzny gazda był zazdrosny o młodszego kolegę?

– Ten drugi, *segor Niewymawialny*, jest dziwny – powiedział Aberto.

– Donovan?

– Nie.

– *Zelosshosky*?

– Pewnie tak, *paré Willemo*.

– *Ubaldo Zelosshosky*.

– Właśnie. Przedwczoraj zwołał wszystkich *os reguzos* z *Greillt* i zapowiedział, że będzie płacił *os pachecos* za wszystkie przyniesione *os foscilos*. *Eno pacheco* za *en foscilo*.

– Złodziej. – *Paré Willemo* poprawił się w fotelu. Pogodził się z pechilchą sączącą się przez dziury w podbródki. – W Wyborgu dostanie po dziesięć *pachecos* za każdy *en foscilo*, jeśli zainteresuje kogoś z *os dozetos*.

Segora Madlena wstała i wytarła pechilchę z podbródka i szczęki *paré Willemo*. On też musiał wyglądać schludnie.

– Kłopot w tym, że nikt z nas nie wie, co to są te *os foscilos*. Każdy by chętnie zarobił *pachecos*, nawet jeśli to złodziejska cena. *Mathao* pytał ojca, ale *segor Tomaso* nie wiedział.

– Trzeba było spytać *segora Ane’la, junor*. Ona przyjechała kiedyś do *Greillt* szukać *foscilos*. Zamiast znaleźć *foscilos*, została z *Morio fil Jerome* w *Greillt* – powiedział Anzelmo. Przełamał z przyjemnym trzaskiem skórkę chleba.

– *Os foscilos* to jest to, co pozostało po tych, co byli tu przed nami – wyjaśnił *paré* Willemo. Coś jakby szybciej sączył swoją pechilchę. *Segora* Madlena dolewała mu częściej.

– Mamy też słodką pechilchę, Willemo – powiedziała. – Jest jak miód.

– O nie, Madlena. Nie dzisiaj.

– W każdym z miejsc lęgowych *os raketos* byli jacyś przed nami. Byli dziwni albo głupi, albo jedno i drugie – kontynuował *paré* Willemo. – Ale wymierali, kiedy my przybywaliśmy. Tak jakoś było.

– *Ena etter'inacia otal* – rzucił Anzelmo. – Jak zawsze.

– *Nei* – oburzył się *paré* Willemo. – Oni sami wymierali. Słabsze *os gennores*, nie wiem. Nie było podboju, *nei ena etter'inacia*.

– Na wszystkich *os planetos*? – powątpiewał Anzelmo.

– Na wszystkich *os planetos*. Nie słyszałem, żeby gdzieś było inaczej – przytwierdził *paré* Willemo. – *Nei ena etter'inacia*.

– Mało prawdopodobne, żeby wszystkie gatunki tak wymarły, Willemo. Ich ryby, ptaki, drzewa, kwiaty.

– Ale tak było, Anzelmo. *Os bacillones* zrobiły wszystko. W Wyborgu wszyscy *os dozetos* tak uważają.

– *Paré Willemo, paré Willemo...* – Anzelmo zamazyście rozlał wszystkim po szklance pechilchy. Natrafił jedynie na słaby gest sprzeciwu *segory* Madleny. Aberto był dumny, że traktują go jak dorosłego, choć w głowie mąciło się od pechilchy.

– Wierzysz, że wszystko tak łatwo poszło? W każdym miejscu lęgowym, gdzie *os raketos* zawiozły ludzi?

– Wszędzie było podobnie: dość tlenu, woda, klimat. Przyjeliśmy się jak ziarno w glebie.

– W Wyborgu wszyscy *os dozetos* tak uważają?

– W Wyborgu wszyscy *os dozetos* tak uważają. Nasze *os bacillones* były najmocniejsze. Zabiły innych. Zabiły tych, co byli przed nami. Znajdujesz jakieś takie rzeczy, Aberto? Przecież tyle chodzisz po górach.

– Nie wiem, które z nich to *os foscilos*.

Zamilkł na chwilę.

– Ale myślę, że zarobię sporo *pachecos* – dodał po namyśle. – *Foscilos* nie są z kamienia, no nie, *paré Willemo*?

– Bardzo stare mogą być skamieniałe, ale raczej nie.

– Znalazłem parę takich miejsc w górach, jakby osiedla. Tam jest dużo różnych

foscilos. Wyrysuję też dla *segor* Niewymawialny ich ułożenie. Myślę, że wpadnie za to parę dodatkowych *pachecos*.

– Wpadnie. Na pewno – przytaknął *paré* Willemo. Oczy kleiła mu senność. Przez rok odwykł od alkoholu. Przewidywał niepokój i niechęć wyrośli Cyvuta, gdy znów będą wchodzić w jego ciało i natrafią na ślady alkoholu. Przewidywał ból.

– *Paré Willemo* – zwrócił się do niego Aberto. – Czy można zostać *gaucho* z dziewczyną, w jednym *en raketo*? We dwoje.

– Jasne. To jest ideał. Możecie wtedy osiągnąć sprzężenie. Wasz *en raketo* pomknie do najbardziej odległych miejsc lęgowych, jeśli zechcecie. Na kraj wszechświata. Ale która kobieta zgodzi się, by zostać podziurawiona jak ser *agostella*?

– *Ineda av Glian* – powiedział bardzo cicho Aberto, ale inni dosłyszeli.

– Pewny siebie.

– Po ojcu. *Segor pa'a* był uparty jak skała. Długi czas – powiedziała *segora* Madlena.

– Już nie jest?

– Skała się kruszy. Woda wierci w niej dziury.

Anzelmo chlapanął wielki łyk *pechilchy* i wytarł usta rękawem.

– A jaki jest *segor* Tomaso? – zapytał. – Zmienił się, czy nadal taki wielki *en dogmatico*? Dalej tylko *grav Engelese* i nic więcej?

– Tfu – splunął Anzelmo. – Im starszy, tym gorzej. *Ena mahla eblud*. Na wiosnę kazał ukamienować *Agostino Nei*.

– Tego głupawego jakałę? Przecież *Agostino* nie skrzywdziłby ani człowieka, ani mrówki.

– *Agostino* stracił dłoń w tartaku. *Segor Tomaso* stwierdził, że bez ręki nie jest godny żyć.

– *Ena mahla eblud*.

– Właśnie.

– Dlaczego kazał tak zrobić?

– Bo *Agostino* przestał być pełnym człowiekiem. Ręka stworzyła człowieka.

– Ręka stworzyła człowieka. Wiesz, Anzelmo, że w *Wyborgu* niektórzy *os dozetos* wątpią w myśli *grav Engelese*?

– No to kto?

– *Ena Perso'a Prima*. Osoba, nie sama część ciała.

– Lepiej żeby tego nie słyszał *segor Tomaso*. To *ena mahla eresia*, najgorsza.

Chwilę milczeli. W drugim kącie werandy nadal trwał miłosny taniec tysięcy mrówek.

VI.

Od dawna Aberto nie chodził po górach tak często jak obecnie. W szkole pojawiał się raz w tygodniu. *Segora* Fiora witała go z wściekłością, lecz za każdym razem odpowiadał z wyłożonego materiału lepiej niż uczniowie, którzy godzinami wygrzewali ławki.

– *Ena mahla eblud* – mówiła *segora* Fiora. „*En vene metal*”, myślała.

Aberto wiedział, co robi. Odwiedzał niedostępne kary, wiszące ponad *doal* Greillt. Tropił ślady tych, którzy byli przedtem. Zbierał, kolekcjonował, mierzył, szkicował. Z każdej wyprawy wracał obładowany, z ciężkim plecakiem.

Segor Niewymawialny z początku płacił mu jak innym, później za dobrze udokumentowane znalezisko Aberto dostawał dwa *pachecos*, a za odnalezienie osiedla i dobre szkice nawet trzy.

Wkrótce *segor* Niewymawialny wyczekiwał na przybycie Aberto niecierpliwie. Od innych przestał skupywać *os foscilos*, bo nie umieli ich opisywać i uzupełniać dobrymi szkicami, jak to robił Aberto. Joao próbował podsunąć kilka wymyślonych rysunków, ale zamiast *pachecos* zarobił kuksańca.

Oszustwo Joao spowodowało jednak, że leciwy *segor* postanowił osobiście sprawdzić jedną z praosad skartowanych przez swojego najlepszego asystenta.

Po pięciu godzinach podejścia zakosami po stromych upłazkach w piekącym skwarze *Ouaigh*, ledwie mogąc nadażyć za obładowanym bagażem Aberto, spocony *segor* Ubaldo przekonał się, że ruiny praosady w karze *Bon Ouaigh* zostały bezbłędnie przerysowane. Aberto robił rzetelną robotę. Z kilku powodów: ciekawiła go ta praca; chciał zarobić jak najwięcej *pachecos*, żeby opłacić nimi studia w Wyborgu; a najważniejsze, bo zawsze starał się dobrze robić to, do czego się brał.

Segor Ubaldo sprawdził stanowisko i rozsiadł się wygodnie na wancie.

– *Ena pechilcha ndor en milg?* – zapytał Aberto.

– *En milg, en milg*, chłopcze. *Pechilcha* by mnie zabiła – sapnął *segor* Ubaldo, wycierając chusteczką pot z czoła. Aberto rozwiązał plecak, nalał z bukłaka kubek mleka i podał *segorowi*. Los przewodnika – noszenie bagażu klienta.

– Piękna nazwa, kar *Bon Ouaigh*. – *Segor* Ubaldo mlasnął i biała obwódka otoczyła mu wargi.

– To dlatego, że *Ouaigh* zawsze najpierw tu zagląda, gdy wstaje ponad granią. – Aberto celowo wybrał właśnie ten kar, gdyż całe podejście było w słońcu. Miał nadzieję, że zniechęci to wścibskiego *segor* Niewymawialnego do kolejnych weryfikacji.

– Ja myślałem, że znaczy to *Dobre Tak* – uśmiechnął się *segor* Ubaldo. – A to *Dobre*

Słońce. Co to jest? – zapytał, biorąc do ręki okuty kij Aberto.

– *Pile-monte*.

– Takie godło przewodnika?

– *Nei*. To normalny ekwipunek. Szczególnie pomaga na śniegach.

– Mało gdzie używa się takich *os pile-montos*. Przyślę ci z Wyborga nowy sprzęt, jakiego tam używają w górach.

– *Pile-monte* dostałem od ojca. Nie jest zły. Ale nowy sprzęt przyda się. Komuś, nie mnie... – dodał cicho. – W *doal* Glian używają po parze krótkich *os pile-montos*. Po jednym na każdą rękę. *Segor Yorig* tak chodził, a teraz jego syn. To jest lepsze, ale ja dostałem *pile-monte* od ojca. Bez zgody *segor pa'a* nie zmienię sprzętu – kontynuował.

Segor Ubaldo pił kubek za kubkiem i jadł za dwóch. Aberto uraczył się naparstkiem pechilchy. Był dumny ze swojej formy fizycznej. Sam mógłby wspiąć się do karu Bon Ouaiigh w czasie o połowę krótszym. Wlókł się ze względu na *segor* Niewymawialnego.

– W Wyborgu używają *os pile-montos* w kształcie kilofka, tylko bardzo lekkiego. Jak u was w kopalniach. Jest bardzo dobry na śnieg i na lód.

– Kopalnia rudy jest w Glian. U nas w Greillt jest huta szkła. *Segor Tomaso* ją zbudował i uruchomił. Dlatego wybraliśmy go na starostę. Nie musimy teraz płacić *pachecos* za szyby, szklanki i butelki. Mądry *omré*, ten *segor Tomaso*, ale ojciec go nie lubi.

– Mógł przyjąć *os novados* do Greillt – zauważył *segor Ubaldo*.

– Mógł. Sześcioro ludzi mogło zamieszkać nawet tu, w karze Bon Ouaiigh. Tu śnieg znika tak wcześnie, jak na samym dnie *doal*. Zrobił błąd. Każdy robi błędy.

Aberto ogryzał udko kurczaka przygotowanego przez matkę na drogę. Zastanawiał się, gdzie jeszcze będzie chciał iść *segor* Niewymawialny. Na razie sapał i stękał, jadł i pił, i się pocił. Byłoby źle, gdyby mu teraz serce nawaliło.

– *Segor Ubaldo*, czy w Greillt była kiedyś *ena etter'inacia*?

– *Ena etter'inacia*?

– No, tych, co byli przed nami...

– Mhm... – mruknął *segor Zelosshosky*. – Wiesz, Aberto... Dużo czytałem o Greillt. Nie jestem zwykłym handlarzem *os foscilos*. – Spojrzał szybko na Aberto. – W Wyborgu byłem *en dozeto*, ale i tam brakuje *pachecos*, więc przestali mi płacić. Ale mam nadzieję, że znowu będą... Dzięki twoim wyprawom.

Urwał na chwilę.

– Greillt było zasiedlane dwa razy – zaczął po chwili. – Za pierwszym razem przybyło dwieście rodzin. Wszyscy koloniści osiedlili się wtedy w Greillt. I wszyscy umarli.

– Wiem. *Segora Fiora* mówiła o tym. Ziemia nie mogła wyżywić wszystkich i pomarli z głodu. Na ich pamiątkę nasz *en planeto* nazywa się Greillt, chociaż znacznie więcej ludzi mieszka w Glian.

– Tak uczą. Ale właściwie nie wiadomo, co się stało. Może w tym przypadku *os bacillones* tamtych były lepsze... Nie ma żadnych świadectw, nawet w Wyborgu. Kiedy po czterystu latach ludzie znowu odważyli się tu osiedlić, tamtych już nie było. Ludzie przywieźli swoje zwierzęta i rośliny, i udało się.

– A te osiedla? Moje szkice? Czy coś z nich widać?

– Hm... wiesz. Obejrzyjmy jeszcze raz to stanowisko.

Łazili po karze przez trzy godziny, aż *segor* Ubaldo znowu zgłodniał.

– Świetnie opracowane stanowisko – powiedział, jedząc ser.

Aberto dotąd pochłoniął jedynie kawałek kurczaka i mały kawałek sera, całkowicie roztopiony w plecaku, przez to jeszcze lepszy niż zwykle. Jako początkujący przewodnik nie wiedział, ile wspólnego jedzenia należało do niego. Resztę kurczaka i prawie cały ser spałaszował *segor* Ubaldo.

– Wykonałeś dokładnie moje polecenia. Dam ci trzy *pachecos* ekstra za dobrą robotę.

– Inne osiedla zostały opisane tak samo, *segor* Ubaldo. Co o tym sądzisz? Była *ena etter'inacia*? – Ta myśl nie dawała mu spokoju.

– Wiesz, chłopcze... – westchnął *en dozeto*. – To jest przykre, ale wiele na to wskazuje. Znalazłem cienką, czarną warstwę. To musi być węgiel, popiół. Te ruiny świadczą, że te siedziby zostały kiedyś zburzone, spalone. Nie wiem, jak wyglądają inne osiedla, pójdziemy do kilku innych, ale obecnie uważam, że w tym osiedlu mogła być *ena etter'inacia otal*. Tak to wygląda.

– Za tych dwieście rodzin?

– Może.

– Jak wyglądali ci, co byli tu przed nami?

– *Preomrés* czy inne organizmy?

– *Preomrés*.

– Nie wiem dokładnie. Ze znalezionych *os foscilos* trudno jednoznacznie odtworzyć ich wygląd. Na pewno byli do nas bardziej podobni niż *os raketos*. Gdybyś dokładnie odrysował jakiś *en skeleto*, ale dokładnie tak jak leżą kości, to mógłbym odtworzyć ich wygląd.

– *Bon*. Zrobię tak. Czasem znajduję *os skeletos* leżące w trawie. *Preomrés* mieli dwie ręce, dwie nogi i głowę.

- Ale czaszkę z paru części.
- Odrysuję takiego *preomré* najdokładniej jak potrafię.
- Sam też spróbuj go zrekonstruować – podsunął *en dozeto*.

Na zejściu *segor* Zelosshosky obtarł stopy, a już niedaleko wsi skręcił nogę. Wrócili, gdy na niebie chłodno świecił Nored. *Segor* Ubaldo ciężko wspierał się na starym *pile-monte* starego Anzelmo.

VII.

Dzień odlotu *paré* Willemo zbliżał się w szybkim tempie. Tym razem Cyvut miał udać się na bezproduktywny lot. Po to, by przygotować się do kolejnej pory lęgowej. Trzy miesiące błąkania się w przestrzeni. *Los en gaucha* – jedność z *en raketo*. Okres skrócony do minimum przez *os ancessores*, tych, którzy kiedyś okiełznali *os raketos*.

Aberto nadal opuszczał lekcje. Obecnie pomagał przygotować Cyvuta do startu. Przykładał się do tego bardziej, niż powinien młody przewodnik. Jednak *segora* Fiora nie potrafiła więcej złościć się na swego najlepszego ucznia. Był błyskotliwy jak *en vene metal*. Dużo czytał, uczył się szybciej niż inni. Nieobecności nie były dla niego niebezpieczeństwem.

Zapas *pachecos* wzrósł radykalnie. Na podstawie tego, co mówił *segor* Ubaldo, powinno to wystarczyć na opłacenie czesnego za pierwszy rok, a po pierwszym roku kolegium można już było dostać stypendium, jeśli *En Univarsal* pvor *Sopia* zainteresował się bystrym uczniem. Aberto uważał, że skoro tak szybko nauczył się fachu przewodnika i opisywania *os foscilos*, to i zawodu *en ine'ero* też nauczy się w krótkim czasie.

Segor Ubaldo zrobił kilka szkiców rekonstrukcyjnych *en preomré*. Wyglądały dość prymitywnie, ale i tak uderzało podobieństwo do człowieka. Choć może właśnie brak informacji o mięśniach, tłuszczu, powodował, że *segor* Ubaldo upodabniał rekonstrukcję *en preomré* do sylwetki ludzkiej. Gdy Aberto zwrócił mu na to uwagę, *segor* Niewymawialny obraził się. Nie będzie jakiś tam *en reguzo*, pastuch z *Greillt*, pouczał *en dozeto* z *Wyborga*.

Aberto zrezygnował więc z niewczesnych uwag i własnoręcznie spróbował nakreślić rekonstrukcję *en preomré*. Wielokrotnie pomagał ojcu rozbierać zarżniętego wołu i pamiętał, jak mięśnie, ścięgna i kości łączą się we współdziałający układ.

Szczególnie trudno było odtworzyć głowę: niezrośnięte kości czaszki sugerowały bardzo wiele możliwości; od w miarę podobnej do człowieka o dużych wylupiastych oczach pod proporcjonalnym czołem, z kilkunastoma krótkimi wyrostkami czy różkami nawieszającymi się nad oczyma, płaskim nosem i szerokimi, zwierzęcymi ustami; do potwora o dwóch niemal rozdzielonych głowach, każda z jednym okiem na szypule, symetrycznych

nosach i miękkim ssawkowatym otworze gębowym.

Rekonstrukcja wykonana przez segora Dozeto, jak zwał go obecnie Aberto, była najbardziej człekopodobna ze wszystkich. Aberto zaczął podejrzewać go o dziwny brak śmiałości w myśleniu. Może właśnie dlatego zabrakło dla niego *pachecos* na En Univalsal?

Za to rozsądku nie zabrakło doświadczonemu *en Dozeto*. Uważnie obejrzał szkice zrobione przez Aberto i kupił je wszystkie za siedem *pachecos*, co było dużą sumą. *Segor Ubaldo* tak zainteresował się wynikami, że postanowił dłużej pozostać w Greillt. Początkowo planował zabrać się następnym *en raketo*, który miał przybyć już za miesiąc. *Segor Tomaso* cieszył się, że *en otel pvor portagos* przyniesie większy dochód.

Praca nad Cyvutem zajmowała znacznie więcej czasu. *Paré Willemo*, szczelnie zawinięty w koc, siedział na fotelu w cieniu pod wielkim, składanym parasolem i instruował Aberto. Potrafił już wykonać sporo różnych ruchów, ale podniesienie do ust pełnej szklanki z pechilchą było dlań nadal niewykonalne.

Cyvut leżał na ogół zupełnie nieruchomo, nieco rozplaszczony na łące. Czasami zrobił kilka rytmicznych ruchów końcem odwłoka. *Paré Willemo* mówił, że są to słabe odruchy, bo wszystkimi ruchami *en raketo* zawsze steruje *en gaucho*.

Oporządzanie *en raketo* wymagało częstego wspinania się na krępy, wrzecionowaty korpus, przypominający trochę poczwarę motyla.

– Ileż on ma tego wszystkiego – narzekał Aberto, to czyszcząc z wydzielin różne otwory w korpusie, to zaklejając inne pastami wybranymi z zawartości trzynastej kapsuły. *Paré Willemo* instruował go i pouczał.

– Nie możesz pomylić się, źle dobrana maść może spowodować nieobliczalne szkody.

– Jak one żyły, zanim je przysposobiono? Przecież pełne oporządzenie Cyvuta zajmie parę dni – rzucił Aberto, zręcznie biegając po pancerzu pomiędzy ostrymi jak sztylety z Glian kolcami i grzebieniami.

– Było im łatwiej. Wszystko to robiły same. Miały kompletny układ nerwowy. Teraz wszystko robi za nie *gaucho*, a jeśli *gaucho* nie siedzi w głowiu, *en raketo* nie potrafi wykonać najprostszej czynności życiowej.

Ouaigh ostro świecił, choć wokół okolicznych szczytów płątało się kilka białych chmurek. Płyty pancerza Cyvuta nagrzewały się bardzo, parzyły przy dotknięciu ręką.

– Nie robi się coś niedobrego od tego nagrzewania się, *paré Willemo*?

– *Nei*. Cyvut nawet tego nie zauważy. Dla niego to żadna różnica temperatury, w przestrzeni napotyka na wielekroć większe.

Kiedy Aberto uwinął się z robotą, zaparzył na palniku benzynowym ziółek i z

kubkiem aromatycznych *os erbos* rozwalił się na fotelu, obok starego. Benzyna i palnik były własnością *paré Willemo*, ale Aberto nauczył się nim posługiwać już przed laty. Chwilę obaj milczeli, gapiąc się na kolosalny korpus Cyvuta.

– Przywiozłeś trochę *en denamento Nobeles*, *paré Willemo*? – zapytał Aberto.

– A na co ci?

– Znalazłem dobre, niskie przejście do *doal Glian*. Po drugiej stronie *strom Greillt* niż stara droga. Trzeba tylko wysadzić jedną skałkę. Droga paskudna, przez las, ale znacznie krócej niż przez *Wrath*. A jakby zbudować gościniec, to można by tam jeździć okrągły rok. Bez walki ze śniegiem czy lodem na *Wrath*.

– *Segor Tomaso* powinien przeznaczyć *pachecos* na *en denamento Nobeles*. To sprawa starosty.

– To beznadziejne. On nigdy nie da *pachecos* na *en denamento Nobeles*. *Segor Tomaso* nie chce bliskich kontaktów z *doal Glian*. Obawia się ich.

– Dlaczego? Sprzedaje im szkło po dobrej cenie...

– Ludzie w *Glian*, jak ty, *paré Willemo*, wątpią w *grav Engelese*. Wprowadzili stałe prawo, a przecież *grav Engelese* nakazał *ena prattica sottial*. Oni, to znaczy *Peppo* i *Yorig*, twierdzą, że jak coś jest dobre, to zawsze jest dobre; albo jak złe, to zawsze jest złe. A to jest *ena eresia*.

– No tak, jeśli byłoby prawo, to *Tomaso* nie mógłby tak łatwo ukamienować takiego *Agostino Nei*. Chyba żeby wcześniej wymyślił takie prawo.

„Lepiej by kiedyś zrobili, wybierając na starostę przewodnika *Anzelmo* niż *en ine'ero Tomaso*”, pomyślał *Willemo*. „Ale *en ine'ero* to pożyteczny zawód, dobrze rokował, nie to co górski ptak, wędrowiec...”

– Czasem myślę, że chodzi o widzimisię *segor Tomaso*, a nie o myśl *grav Engelese*.

– Niektórzy *os dozetos* uważają, że myśl *grav Engelese* prowadzi zawsze do zastąpienia prawa czymś widzimisię.

– To wielka *eresia*.

– *Fuccho* – mruknął *paré Willemo*. – Uczyłem cię wielu rzeczy, Aberto.

– To prawda, *paré Willemo* – przyznał pokornie Aberto.

– Czy któraś z nich okazała się kłamstwem albo złem, Aberto?

– *Nei*, *paré Willemo*. To były najwartościowsze rzeczy, jakie słyszałem. Po jednym słowie... – dodał po cichu.

– To dlaczego ciągle powtarzasz *ena eresia* i *ena eresia*? Powiem ci prawdę: *grav Engelese* nie był żaden *grav*. W jego myśli jest więcej złego niż dobrego.

Aberto milczał. Śmiałość myśli *paré* Willemo była dokładną odwrotnością ostrożności *segor* Ubaldo. Powietrzny gazda nie tracił w oczach w miarę znajomości. Na pewno byłby z niego *en dozeto*.

– *Paré Willemo* – odezwał się po chwili.

– Tak?

– Dlaczego nie zostałeś *en dozeto* w Wyborgu?

– Dlaczego myślisz, że nim nie byłem? – warknął stary napastliwie. Po dwóch latach młody Aberto fil Anzelmo nie był tylko uczniem, stał się normalnym partnerem w dyskusji.

– Byłem *en dozeto*. A wcześniej byłem *en conruttore*. Uruchomiłem hutę stali w Glian. Dotąd działa, lepiej niż ta cholerna hydroelektrownia, którą naprawiał *segor Dozireff*. A potem zostałem *en gauchó*. I z tego jestem najbardziej dumny. Nie zamieniłbym tego na...

– przerwał na chwilę. – Jest niewiele rzeczy, na które zamieniłbym powietrzne gazdowanie – zakończył i uroczyście splunął fusem.

– *Paré Willemo* – zaczął z namaszczaniem Aberto. – Dawniej, gdy wypytywałem cię o powietrzne gazdowanie, obiecywałeś powiedzieć mi więcej, kiedy będę starszy. Czy jestem już wystarczająco dorosły, *paré Willemo*?

Stary milczał dłużej, niż należało się spodziewać.

– Tak. Tak sądzę – powiedział wreszcie. – Co chcesz wiedzieć?

– Skąd przybyły.

– Tego nie wie nikt. Tego nigdy nie wiadano. Kiedyś przybyły na Ena Prima, pierwszą planetę, z której wywodzą się ludzie. Przybyły, gdyż była ich miejscem lęgowym. A potem zaniósł ludzi do innych swoich miejsc lęgowych. Zawsze podobnych, o podobnym klimacie, temperaturze, z wystarczającą ilością wody.

– To mówiła w szkole *segora Fiora*. Powiedz więcej, powiedz, jak odnajdowały swoje miejsca lęgowe.

– *En in'ttinto*. W Wyborgu, w oceanie, żyją morskie żółwie. Składają jaja zawsze na tych samych kilku wysepkach. Małych, podobnych do setek innych łąch piachu. Odnajdują je wśród tysięcy mil bezkresnego oceanu. *En inttinto*. Tak samo robią *os raketos*. Przypadkiem ich miejsca lęgowe znakomicie nadają się do życia dla ludzi.

– A jak ludzie nauczyli się je przysposabiać?

– Nie wiem. – Stary wzruszył ramionami i mocno pociągnął przez rurkę *os erbos*, aż zasiórbało. – Tak robi się od pokoleń. Kto pierwszy okiełznał *en raketo*, nie wiem. Znam procedurę. Okres, kiedy młody *en raketo* nadaje się do przysposobienia, jest bardzo krótki. Usuwa się mu z głowia większą część układu nerwowego. Nawet nie wiem, jak się która

część nazywa, ale potrafiłbym to powtórzyć. Wiem, co i ile należy zostawić. Jeśli w porę się tego nie zrobi, *en raketo* pewnego dnia zniknie, odleci, by nigdy nie wrócić.

– Dokąd?

– Ma dla siebie cały Wszechświat, to jego życie. My zdążyliśmy poznać niewiele, a zasiedliliśmy jeszcze mniej miejsc lęgowych, *os planetos*.

– Ale przecież lata do miejsc lęgowych, więc musi wrócić.

– Nie lata. Jego cykl lęgowy jest wolny raz na kilkadziesiąt lat, to *en gaucho* musi go przekonać, że złożone w torbie lęgowej kapsuły są jego *os ovos*. Ten cykl da się skrócić do trzech miesięcy. Wiesz, trzy miesiące błąkania się w przestrzeni i następnie jeden lot użytkowy. To wszystko kosztem zdrowia i długości życia *en raketo*.

– Bardzo nudno jest w czasie tych trzech miesięcy?

– Jest cudownie. Doznajesz zjawisk, które trudno ubrać w słowa. Brakuje odpowiednich słów. Nawet trudno zrozumieć innego *gaucho*. Każdy przeżywa to inaczej. Przecież wiesz, że *os raketos* dzięki rozwojowi, który trwał eony, opanowały przestrzeń i czas. Wędrują poza przestrzenią i poza czasem. Chociaż nie wytworzyły świadomości, pozostając robakami, kosmicznymi robakami, które miałyby się bezładnie po całym Wszechświecie, gdyby nie wola swojego *gaucho*.

– Smutny los.

– Odplaca swojemu *en gaucho* tym samym. *Gaucho* nie może żyć bez swojego *en raketo*. Umiera bez niego. Jego ciało gnije, obumiera. Wygląda pokracznie, podziurawiony. Mało kto może spojrzeć na jego spotworniałe ciało.

– Pamiętasz, jak pomalowałem się kiedyś w czarne plamy, żeby wyglądać jak *en gaucho*?

– Pamiętam. Miałeś wtedy dziesięć lat.

– Zmieszałem wtedy łój z węglem, żeby farba lepiej się trzymała. *Segora ma'a* przeraziła się moim wyglądem.

– Pamiętam.

– A może taki nieprzysposobiony *en raketo* ma świadomość albo inteligencję?

– Kto to wie. W takim razie dlaczego jednego z nich, pierwszego, udało się przysposobić? Dlaczego pozwolił się okaleczyć?

– Jeden?

– Tak. Wszystkie używane przez ludzi są potomstwem jednego *en raketo*.

– A co pisze o *os raketos grav Engelese*?

– Tfu. *Ena mahla eblud*. – *Paré* Willemo splunął podobnie jak stary Anzelmo, gdy

wspominano o *segor Tomaso*.

– Nic sensownego. Gdzie *en raketo* ma rękę, która go stworzyła? Grav *Engelese* nie ma tu nic do powiedzenia.

– Myślisz *paré Willemo*, że jeden z *os raketos* dobrowolnie dał się przysposobić, a wcześniej nauczył ludzi, co powinni z nim zrobić?

– Nie pytaj, nie wiem. Sam zmagam się z tą myślą od lat. Ludziom nigdy nie udało się zbudować sztucznych *os raketos*, które mogłyby śmigać przez wszechświat. Kiedyś próbowano coś takiego budować, ale skutki okazały się mizerne: olbrzymi nakład pracy i *pachecos*, a sztuczny *en raketo* latał najdalej do sąsiedniego *en planeto*. Tyle. Gdzie tam do bezkresu wszechświata, *os Galatticos*. Tak było dotąd, aż do swojego miejsca lądowego na *Ena Prima* trafił jeden z *os raketos*. Dzięki niemu ja z moim Cyvutem przemierzamy *ena Galattica*.

– Ten pierwszy musiał bardzo ukochać ludzi, skoro pozwolił okaleczyć siebie i swoje potomstwo – zauważył *Aberto*.

Willemo przyjrzał mu się uważnie: z młodego *reguzo* rośnie *en dozeto*.

– Jak to jest, *paré Willemo*, kiedy się leci? – pytał dalej, widząc zyczliwość starego.

– Dziwnie. To tak jakbyś pojawiał się ciągle w nowych miejscach, a pomiędzy kolejnymi pojawami nie istniał. Nieciągłość istnienia, podobno tak oszukuje on fizykę. Tak twierdzą *os dozetos* w *Wyborgu*, chociaż nikt nie rozumie, jak *en raketo* to robi, ani nikt nie potrafi powtórzyć tego efektu.

– Mądre są *os raketos*.

– O tak. Odczuwasz to, gdy zespalasz się z Cyvutem. Ale to dziwna mądrość, obca; dziwna logika. Stając się *gaucho*, stajesz się innym człowiekiem.

– Ja nadal chcę zostać *en gaucho*, *paré Willemo*.

Po tym oświadczeniu stary milczał przez długą chwilę.

– Powtarzałem to będąc dzieckiem, a teraz potwierdzam. Chcę zostać *en gaucho*, powietrznym gazdą.

– A *Anzelmo*? Co on na to? Przecież chce, żebyś został przewodnikiem.

– *Mathao*, syn *segor Tomaso*, chce zostać przewodnikiem. Nie jest tak dobry jak ja, ale uczy się i będzie dobry. Jemu ojciec może przekazać swój *pile-monte*. Zresztą, kiedy zbudują dolną drogę do *Glian*, przewodnicy nie będą tak bardzo potrzebni. Tylko po to, żeby prowadzić *os dozetos* śladami *os preomrés*.

– Jesteś bardzo pewny siebie. Jednak dam ci ten *en denamento Nobele*.

VIII.

O tym, że Aberto wykorzystał otrzymany *en denamento Nobele* właściwie, *paré Willemo* dowiedział się dopiero rankiem dnia odlotu Cyvuta.

Jak zwykle siedział na werandzie zakutany w pled i obserwował mgły snujące się nad lasem porastającym zbocza doliny. Tam, gdzie las kończył się i zaczynały hale, mgły nie sięgały. Wschodził piękny dzień, choć Ouaigh nie wspiął się jeszcze ponad grań, a dopiero rozświetlał mgły.

Stary chciał nacieszyć się jeszcze *doal Greillt*, wchłonąć jak najwięcej zapachów, ułoić okiem jak najwięcej barw, by wszystko to przekazać okaleczonemu bogu, Cyvutowi. By i ta kaleka resztki giganta choć częściowo poznała, czego zaznaje kaleka resztki człowieka, *en gauchos, paré Willemo*. Był to winien tamtemu za wrażenia, którymi obdarzał go Cyvut, gdy byli w przestrzeni. To różniło starego od Anzelmo, Aberto czy innych mieszkańców *doal Greillt* od wszystkich, którzy nie byli *os gauchos*.

– *Paré Willemo* – Aberto przerwał jego zamyślenie.

Stary obrócił głowę. Aberto przyprowadził nieznaną dziewczynę. Wysoka, smukła, odziana w białą sukienkę, w rękach trzymała słomkowy kapelusz z Glian. Szczególną świetlistość nadawały jej włosy i bardzo jasna cera. Oczy miała niebieskie, nie błękitne, lecz niezwykle: modrosiwe. Wrażenie tej jasności pogłębiał kontrast ze smagłym, ciemnowłosym Aberto.

Dziewczyna patrzyła na Willemo. W jej spojrzeniu mieszały się strach, ciekawość, obrzydzenie i sporo sympatii.

„Nie jest źle”, pomyślał stary. „Na ogół, gdy ktoś pierwszy raz zobaczy *gauchos*, w jego wzroku jest tylko strach i obrzydzenie”.

Oboje młodzi wymienili kilka szybkich spojrzeń. Aberto chciał skłonić ją wzrokiem do zrobienia czegoś.

– To jest Ineda fia Peppo av Glian, *paré Willemo* – powiedział jednak Aberto. Wyjaśniło to, kto rządzi w tym stadle.

– Nie miałem wątpliwości od chwili, gdy ją ujrzałem. To dlatego nie chcesz być przewodnikiem, żeby nie prowadzić innych *os reguzos* do Glian, Aberto?

– W Glian też są *os reguzos, paré Willemo* – roześmiała się Ineda. Miała w spojrzeniu modrosiwych oczu coś, co sprawiało, że chciało się łowić to spojrzenie jak najdłużej. – Są tłuści i brzuchaci, jak oskubane kury, nie jak górskie ptaki. – Uśmiechała się, a w jej oczach skakały białe iskierki.

– Jak to się stało, że *ena reguza* z Glian przyszła do *doal Greillt*, nie brudząc białej

sukienki? Czyżby śniegi na Wrath stopniały, a piargi ułożyły się w stopnie?

– Nie wiemy – powiedział Aberto. – Może tak zrobili. Ineda przyszła dolną drogą, przez *toar*...

– *Toar Aberto* – przerwała mu Ineda. Pierwsza wypowiedziała nazwę nowego przejścia.

– Dobra nazwa. Jak się ma Peppo, Ineda?

– Już chodzi po obejściu. Ale co jakiś czas wracają mu bóle. Od czasu, jak zaczął chodzić, pije znacznie mniej *ena pechilcha*. Rozmyśla, jak rozbudować hutę. Mamy za mało stali. Od kiedy zaczęliśmy budować *os vapore machinos*, każdy chce mieć taką jedną albo kilka w obejściu. Pomagają bardzo w pracach w polu. Zbudujemy też *os trattoros*. Może ludzie będą je kupowali. Można by z ich pomocą szybko zrobić drogę przez Toar Aberto.

– *En denamento Nobele* starczyło na zrobienie *toar* w skałach, u dołu *doal* Greillt. Cała reszta drogi wiedzie przez nastromiony, gęsty las.

– Znałaś tę drogę wcześniej, Ineda?

– Chodziliśmy wielokrotnie z Aberto i oglądaliśmy to miejsce.

– Byłaś tu już kiedyś we wsi?

– Oglądałam *en raketo* na *en port*. Aż do wsi nie zaszłam. Będę dziś oglądać start Cyvuta.

– Nie podchodźcie za blisko, gdy będzie startował.

– *Ouaigh, paré Willemo*.

Stary zamknął oczy, więc zrozumieli, że chce zostać sam.

– Ineda! – powiedział jednak, gdy już mieli odejść. – Gdy zobaczyłaś mnie, nie bałaś się tak bardzo ani nie brzydziłaś.

– To prawda, *paré Willemo*.

– Dlaczego? Przecież wyglądałam jak *en monstero*.

– To też prawda, *paré Willemo* – jej szczerłość rozbrajała. – Gdy byłam małą dziewczynką, *segora ma'a* opowiadała mi bajeczkę o małym Sebastiano. Znasz ją?

Na takie pytania nie odpowiada się, ale *paré Willemo* zaprzeczył ruchem głowy.

– Na odległym *en planeto* była wioska w *doal* Vucos. Całą wioskę prześladowały *os monsteros*, wielkie pająki. Były czarne, na bardzo długich nogach i wyglądały okropnie. Wychodziły na okna i zaglądały przez szyby do wnętrza izb, niektóre z nich wchodziły do ich wnętrza i siadywały na suficie albo za piecem. Były groźne i wszyscy bali się do nich zbliżyć i je przegnać.

Mały Sebastiano raz podszedł do najgroźniejszego *en monstero*, jaki wszedł do ich

izby. Chwilę patrzyli na siebie.

– *En monstero*, dlaczego mnie nie atakujesz? Przecież stoję tak blisko, że możesz mnie zabić.

– Dlaczego miałbym zrobić ci krzywdę? Czy nie wystarczy, że jestem *en monstero*, wyglądam okropnie i nikt mnie nie lubi? Czy do tego muszę jeszcze robić komuś krzywdę?

– To dlaczego wszedłeś do mojej izby, a inni *os monsteros* też wchodzą i nas tak okropnie straszą?

– W chłodzie nocy i w deszczu drętwiejemy z zimna. A w waszych izbach jest jasno i ciepło. Możemy się ogrzać, patrzymy, co robicie, możemy być z wami.

I mały Sebastiano zaprzyjaźnił się z En Monstero, a tamten opowiedział mu wiele pajęczych baśni. Podoba ci się ta bajka, *paré Willemo*?

– Nie zdążę opowiedzieć ci wielu baśni, Inedo. Bardziej boisz się pajaków czy mnie?

– Pajaków – uśmiechnęła się. – Ale nie bardzo.

– Idźcie już. – Stary pokiwał głową. – Muszę odpocząć przed startem.

IX.

Cyvut startował w bezproduktywny lot. *Segor Tomaso* nie podwoził obłych, ciemnych kapsuł ładunkowych, choć przyszedł i przyglądał się z dala, jak i wszyscy mieszkańcy Greillt. Należało zachować odpowiednią odległość od *en raketo*.

Anzelmo z synem zawieźli *paré Willemo* na środek *en port* do spokojnie leżącego Cyvuta. Pokrywy głowia już wcześniej uniosły się same, zgodnie z przewidywaniami *paré Willemo*. Cyvut chciał już lecieć. Cała instalacja siłowników została uruchomiona właśnie przez niego. Pozostawienie odkrytego, nie zabezpieczonego głowia mogło spowodować groźną infekcję.

Ostrożnie wspięli się po pancerzu, pół niosąc, pół wlekąc starego. W wachlarze śluzowe głowia wsuwali go ostrożnie piszczelowatymi nogami naprzód. Już zanurzony do kostek, zaczął wyć i skamleć. Szamotał się słabo, bo mięśni nie miał prawie w ogóle, ale był jak śmiertelnie ranne zwierzę. Wciskające się węzowate wyrośla były ledwie widoczne przez warstwę śluzu, żadne z nich nie wychyło ponad nią.

– Coś jest nie tak – wystękał *paré Willemo*. Kolejne wyrośla odszukiwały swoje otwory, swoje podłączenia do układu nerwowego *gaucho*.

Zanurzony do pasa *Willemo* przestał wyć. Cyvut już odczuwał cząstkę jego bólu i starał się zadawać go mniej. Już nie trzeba było podtrzymywać starego, *gaucho* miękko, łagodnie zapadał się w lepłą masę.

– Nie wiem, Anzelmo – powiedział *paré* Willemo, gdy wystawały już tylko jego ramiona i głowa. – Jest bardzo źle. Całe grupy nerwów nie odpowiadają. Nie odczuwam tego, co powinien mi przekazywać Cyvut. To może być nasz ostatni lot.

– Bądź dobrej myśli, Willemo.

– Jak zadecydujesz, gdy Aberto nadal będzie chciał zostać *en gaucha*? – zapytała znikająca w słuzie głowa.

– Będzie dobrze, Willemo. Aberto pójdzie na Univalsal.

– Żegnaj, Anzelmo.

– Do zobaczenia, Willemo.

Stary nabrał do ust śluzu, a wkrótce galaretowate wachlarze zamknęły się nad jego łysą, pomarszczoną i obłążącą ze skóry głową. Siłowniki wolno, równomiernie opuszczały pancerne pokrywy.

Anzelmo i Aberto jak najszybciej oddalali się od Cyvuta. Stary ciągnął za pysk wołu, szybciej, niż ten chciał iść. Bydlę ruszało łbem, próbowało ryczeć, łypało przekrwionym okiem. Obok szedł zamyślony Aberto. To, co usłyszał od ojca, wstrząsnęło nim bardziej, niż gdyby usłyszał sprzeciw. Był przygotowany na ten sprzeciw i był przygotowany do walki o swoją decyzję. Zgoda ojca przyszła zbyt łatwo.

To, co usłyszał od *paré* Willemo, zasmuciło, ale Aberto uważał, że mądry *paré* i tym razem sobie poradzi.

Wkrótce znaleźli się za ziemnym szańcem, umocnionym belami drewna, znajdującym się na skraju *en port*. Aberto stanął tuż obok Inedy. Ich dłonie zaraz odszukały się, chociaż krawędź jej słomkowego kapelusza boleśnie drapnęła go w ucho.

En raketo wygiął się w łuk, unosząc swą przednią część na odwłoku. Teraz powinien mocnym skurczem odwłoka odbić się od ziemi i przez moment będąc w powietrzu, zniknąć na oczach wszystkich. Miał zająć znany cud startu *en raketo*.

Tymczasem skurcz odwłoka okazał się zbyt słaby, żeby wybić w powietrze kilkunastometrowe wrzeciono. Cyvut stracił równowagę i palnął głowiem w murawę, aż jęknęło. Chwilę trzepotał jak ryba wyrzucona z wody, po czym uniósł głowie i znów spróbował odbić się od ziemi. I znów grzmotnął z impetem o trawę. Tym razem seria drgawek, jaka nastąpiła, była dłuższa.

Gigant ponowił jeszcze kilka razy próbę wyskoku w powietrze, łamiąc i gnąc niektóre swoje wystające ostrza i płyty. W końcu jego ruchy utonęły w seriach nieskoordynowanych drgawek. Bił sobą o ziemię, rzucał się, rytmicznie machał odwłokiem.

Wieśniacy byli przerażeni.

– Cyvut kona – powiedział Anzelmo. – Szaniec powinien ochronić nas przed najgorszym, ale lepiej opuścić nawet jego poblizę.

Śmierć *en raketo* mogła spowodować straszliwe konsekwencje, aż do potwornej eksplozji włącznie. Podobno kilka *os planetos* zostało zdewastowanych przez konającego *en raketo*.

Ludzie zaczęli w popłochu opuszczać skraj *en port*. Oddalenie zwiększało szanse przeżycia.

– *Segor pa'a*, trzeba ratować *paré Willemo* – powiedział Aberto.

Obok przejechał *segor Tomaso*, poganiając woły ciągnące jego najlepszy wóz. Ktoś krzychał ze strachu. Drgawki *en raketo* osłabły i zanikły. Cyvut umarł.

Dwóch mężczyzn wyjechało wozem w przeciwnym kierunku niż reszta wieśniaków. Dwie kobiety pozostały za szanecem, czekając, aż oni przywiozą ciało *en gaucho*.

X.

W tym samym dniu przyszła wiadomość: stado *os vukos* zaatakowało osiedleńców w *doal Novado*. W biały dzień, podczas budowy domu. Zagryzły dwóch mężczyzn i kobietę, która niosąc wodę, wracała od źródła. Pozostali zabarykadowali się w domu, słysząc jak *os vukos* pożerają ciała ofiar. To, że *os vukos* zaatakowały stadem o tej porze roku, było rzeczą niebywałą. Strata tych trojga ludzi poszła na konto *segor Tomaso*, ponieważ Aberto zdążył po wsi rozpowszechnić myśl, że lepszy dla *os novados* byłby kar Bon Ouagh niż nowy *doal*. Gdy troje ocalałych przybyło do Greillt, Aberto wyprowadził ich do wysokiej dolinki. Byli zbyt zszokowani, by cieszyć się lub smuć.

Ponadto wszyscy uznali, że należy wykarczować drogę leśną do Toar Aberto. *Segor Tomaso* w końcu przestał się sprzeciwiać, chociaż stale argumentował, że bardziej zaludnione i bogatsze *doal Glian* zniszczy ekonomicznie Greillt. Nawet Mathao fil Tomaso uważał, że powinno się zrobić dolną drogę do Glian. Może sam trochę obawiał się trasy przez Wrath, przez którą, będąc przewodnikiem, musiałby prowadzić handlarzy; może wpłynął na to widok świetlistej Inedy, która przez kilka dni z rzędu przychodziła do Greillt, zawsze w białej sukience i słomkowym kapeluszu; może wiadomość, że Ineda ma młodszą siostrę. Mathao, dotąd zarozumiały i wyniosły jako syn starosty, nagle zrobił się sympatyczny i przyjazny, szukał okazji do pogawędki z Aberto. Ineda przychodziła do Greillt za każdym razem z porcją ziół i medykamentów, przygotowywanych dla *paré Willemo* przez *segor Garcie*, medyka z Glian.

Segor Donovan opiekował się *paré Willemo*, ale ciągle kręcił głową i bez przekonania

podawał leki, które sam zaordynował lub te zaproponowane przez *segor* Garcie. Żaden z nich nie znał się na leczeniu *os gauchos*. Donovan kilkakrotnie bąkał, że najchętniej naradziłby się ze swoim kolegą z *doal* Glian, ale skłonienie spasoego *segor* Garcii do kilkugodzinnej drogi przez wykroty i pokruszone skały było rzeczą niemożliwą. Tylko Aberto i Ineda przemierzali drogę z Glian do Greillt i z powrotem. Ineda wędrowała w normalnym stroju podróжным, a w białą suknię z Glian przebierała się dopiero tuż przed wioską. To był mądry pomysł słabującego *paré* Willemo, aby odpowiednio zareklamować dolną drogę. Pierwszy raz zrobiła to Ineda, by ładnie wyglądać przedstawiana *paré* Willemo, potem on zaproponował, by ubierała się tak stale, by przekonać mieszkańców Greillt do nowej drogi.

XI.

Tego wieczora wypito zbyt dużo pechilchy *Segora* Madlena nie protestowała, gdy Anzelmo dolewał synowi lub przyjacielowi.

– Szkoda, że nie pożarli mnie *os anos* – powiedział *paré* Willemo, wypuszczając na chwilę z ust rurkę, przez którą sączył pechilchę. – Przynajmniej mówiono by, że stary Willemo umarł z miłości. – Cudzej – dodał po chwili z ironią.

Obecnie, pozornie, nie był w gorszej formie niż przed startem Cyvuta. Jedynie nieposłuszna skóra schodziła z niego płatami, a wargi poczerniały i popękały, pokryte strupami.

Nikt nie podjął tego tematu. Anzelmo chlapnął haust pechilchy; Aberto milczał, bo miał już w czubie i bardzo nie chciał, by ktoś ze starszych to zauważył.

– Aberto – odezwał się znowu *paré* Willemo. – Rzeczywiście nadal chcesz zostać *en gaucha*? – Przekrzywił swoją pomarszczoną głowę, by zerknąć w górę.

– Tak.

– Daj mi jakąś kartkę i ołówek.

„Do Stais’avo av Stairnes”, napisał nagłówek na podsuniełym świstku. „Chciałbym zarekomendować Aberto fil Anzelmo av Greillt jako kandydata na przyszłego *gaucha*. Jest inteligentny i oddany. Jeśli zdoła ukończyć Univalsal, może zostać *gaucha*. Podobnie myślę o Inedzie fia Peppo av Glian, choć znam ją mniej. Podpisał: Willemo av Stairnes”. Stary skrobał niezdarnymi kulfonami. Jego dłoń dawno straciła siłę, by kreślić zgrabne zawijasy.

Aberto przeczytał kartkę, złożył ją i schował.

– Stais’avo zarekomenduje cię w Wyborgu. Inedę też, jeśli będzie chciała. Przyjmą was do kolegium, a czy dalej się przedrzecie... To w waszych rękach.

– Dziękuję, *paré* Willemo.

– Tu jest chleb i ser, Willemo – powiedziała *segora* Madlena.

– Nie mam dla kogo jeść. Dla kogo zbierać wrażeń.

– Wybierzcie sobie młodego *en raketo* – zwrócił się do Aberto. – Tak, żeby to on was przeżył. Wtedy *en raketo* będzie cierpiał po was, nie wy po nim,

– Cyvut sam otworzył pokrywy głowia – powiedział Anzelmo. – Dzięki temu ciebie wydobyliśmy.

– Wiem. To była jego ostatnia myśl.

– Mówiłeś, że był bezrozumnym robakiem.

– Nie był bezrozumnym robakiem, to znaczy był inaczej. Nie wiem.

– Ale nie był *Ena Persoa Prima*, Willemo?

– Nie. Może *Ena Persoa Superiore*.

– W Greillt boją się, że Cyvut zniszczy dolinę, *paré Willemo*.

– A jak teraz wygląda *en port*?

– Zwyczajnie. Cyvut leży nieruchomo. Widać wygniecioną, zbielałą trawę w tym miejscu, gdzie leżał przed śmierć... przed startem. Jakby się zmniejszał, *paré Willemo*.

– Ja wiem. On nie robi krzywdy. Nie Cyvut. *En raketo* umiera wielostopniowo, kontroluje swoją śmierć. To *Ena Perso'na Superiore*. Zapadnie się w siebie, zredukuje. Nie będzie eksplozji.

Wieczór był chłodny, nie tak przyjemny jak ten, kiedy przyleciały mrówki. Wszyscy pili za dużo. Z cienia wyłoniła się wysoka, zgarbiona postać.

– *En grav onor, segor Tomaso* – powiedział ojciec. – Bądź z nami w ten wieczór.

Starosta poruszył ramionami jak zmokłe ptaszysko skrzydłami, na których pozlepiały się pióra. Usiadł jednak na podsunętym przez Aberto plecionym fotelu. Spojrzał krzywo na potrójny gazdowski sznur zapleciony na brzuchu *paré Willemo*, tym bardziej niestosowny, że Cyvut umarł. Co znaczy *en gaucho* bez *en raketo*?

Właśnie o to zapytał.

– Kim dla ciebie był Cyvut, Willemo?

– Drugą częścią mnie. Mroczną, zagadkową, potężną. Gdy przylatywałem na *en planeto*, podsuwał mi wszelkie wspomnienia z tym związane. Dlatego miałem wielu przyjaciół, bo przyjaźń to znaczy też pamięć.

– To dlatego twoja głowa pełna jest otworów jak pień drzewa pogryziony przez robaki?

– Dlatego. Nie przeszkadzało to moim przyjaciołom. To znaczy mało przeszkadzało.

Segor Tomaso wychylił duszkiem szklanę pechilchy. Potrafił pić więcej niż inni

wieśniacy i zachować jasny umysł. Słaby *paré* Willemo mówił nadmiernie wylewnie.

– Czy myślisz Willemo, że *en raketo* to *ena perso'a* rozumna? – Spojrzał na niego bystrym wzrokiem drapieżnego ptaka.

– Nie mam żadnych wątpliwości. To intelekt, to *Ena Perso'a Superiore*, *segor Tomaso* – stary mówił szczerze, z serca. Mówił rzeczy, których się domyślał, które taił przez lata przed innymi.

Aberto chciał przerwać tę niebezpieczną wypowiedź swojemu mistrzowi, Anzelmo chciał przerwać przyjacielowi. Nie zdążyli.

– Czy uważasz, *paré Willemo*, że *os raketos* stworzyła ręka? – *Segor Tomaso* spojrzał przenikliwie, jak najszlachetniejszy ptak, jasnoszary *en adero*. Pił szklankę po szklance, gorliwie dolewana przez *segorę* Madlenę, a wzrok jego nie chciał stracić blasku.

– A gdzie poczwarka motyla ma rękę? – palnął *paré Willemo*. – *En grav Engelese* to *en idioto*. Wszystko pomylił. Przez palce jego ręki przemknęła potęga Wszechświata.

Wydawało się, że *paré Willemo* jest kompletnie pijany.

– A co to jest *Ena Perso'a Prima*? Wspominałeś o niej, jak szedłem ku wam – rzucił *segor Tomaso*.

– No tak. Tak mówią światlejsi *os dozetos* w Wyborgu. – *Paré Willemo* był zadziorny jak nigdy. – *Ena Perso'a Prima*.

– Czy *grav Engelese* to *ena Perso'a Prima*? – *Segor* błysnął spojrzeniem.

– Ha! On...!?! – *Paré Willemo* parsknął śmiechem, aż wokół prysnęło winem. Stary Anzelmo miał ochotę zatkać te spróchniałe usta garścią. Młody Aberto też.

– *En idioto? Ena mahla eblud? Maleńki Engelese?* – Wzrok starego był błędny i mętny. – To nieporozumienie większe niż *en planeto*.

Wysoki *segor Tomaso* podniósł się z fotela, jakby odepchnął kolejną szklankę z pechilchą. Spojrzał ze wzdargą na okaleczone ciało *paré Willemo*, bezwładnie wtłoczone w fotel.

– To mi wystarczy – powiedział. – Teraz wiem.

– *Segor Tomaso*, jeszcze nie wyszła butelka z pechilchą... – próbowała łagodzić *segora* Madlena.

– *Nei*. To mi wystarczy – powtórzył *segor Tomaso* i zniknął w mroku, tak jak się pojawił.

XII.

Nienaturalnie długie milczenie po odejściu *segor Tomaso* przerwał *paré Willemo*. Był

rozluźniony jak nigdy.

– Anzelmo – powiedział. – Powinniśmy wypić *milgeblut*.

– *Os portagos* wymiotują po *milgeblut*, Willemo.

– Może nie zwymiotuję. Pora wypić *milgeblut*.

– *Bon*.

Anzelmo polecił Aberto przyprowadzić Rocco, najokazalszego wołu, jakiego mieli. Aberto trzymał za pysk zwierzę i starał się je uspokoić, kiedy stary przyniósł ze składu prastary łuk, pozostały po pierwszych kolonistach, a troskliwie przekazywany z ojca na syna. Założył jedną z pięciu posiadanych strzał i napiął cięciwę. Trafił w żyłę przecinającą na skos tylny udziec bydłęcia. Zwierzę szarpnęło się, powstrzymywane przez Aberto. Anzelmo mocno uchwycił strzałę i wyciągnął z boku Rocco. Grot nie miał zadziórów i nie rozrywał rany. Krew pociekła cienką, ciemną strużką. Anzelmo zebrał ją do kubka, a następnie wlał do garnka z mlekiem i starannie zamieszał.

Nalał kubek *paré* Willemo i drugi sobie. Willemo krzywił się i prychał, wyginał i parskał, próbował połknąć różowawą mieszaninę. W końcu osuszył swój kubek. Wtedy Anzelmo wypił duszkiem swój.

– Jesteśmy braćmi, Willemo.

– Jesteśmy braćmi, Anzelmo.

– Aberto zacznie kolegium w Wyborgu, chociaż może jeszcze zmienić decyzję – powiedziała *segora* Madlena.

– A Ineda? – spytał Willemo, a w jego oczach zaigrały iskierki.

– Zadecydowała, że oboje pójdziemy do kolegium. Ineda mówi mi, co powinienem zrobić. A ja to robię. I tak jest dobrze – roześmiał się Aberto.

– Ale ten Tomaso wyglądał jak zmokłe ptaszysko – parsknął śmiechem *paré* Willemo, pierwszy raz od śmierci Cyvuta.

– Jak ptak śmierci – mruknął Anzelmo.

– Myślisz, że długo podsłuchiwał? – zapytała *segora* Madlena.

– Słyszał, co chciał.

XIII.

Aberto spotkał Inedę przy *toar*. Przyszła wcześniej, nie musiał czekać. Siedziała na kamieniu poruszonym eksplozją *en denamento Nobe*.

– *Segora ma'a* powiedziała mi o *paré* Willemo.

– Tak? – zainteresował się.

– *Paré Willemo* przybył kiedyś z daleka, hen spoza Wyborga, z Parloigg do Glian. Był wtedy młodym *en conruttore*. Niektórzy mówili, że to wielki *en ientoro*. Podobno jego huta była wzorem dla innych *os ine'eros*. W Glian poznał starszą siostrę mojej *segora ma'a*, An. Potem został *en gaucha*, a jej zabronił, choć bardzo chciała być z nim. Bardzo chciała zostać *ena gaucha*.

– Była piękna?

– Podobno bardzo. – Ineda się uśmiechnęła. – Wyglądała jak ja, lecz miała włosy miodowe, ciemniejsze niż moje, a oczy koloru nieba, nie takie siwe jak ja – śmiała się dalej. – Chociaż niedowidziała jak stary Anzelmo... Zakochałeś się już?

– Przestań. Co było dalej?

– Poleciał na swój pierwszy lot z Cyvutem. Podczas tego lotu zastanowił się i zmienił decyzję. W międzyczasie ona zaraziła się jakąś chorobą i zmarła. Gdy wrócił, by jej powiedzieć, że powinni oboje razem wędrować, było za późno. Gdyby zdecydował się wcześniej lub w Glian był dobry medyk, życie ich obojga ułożyłoby się inaczej. Potem Willemo przywiózł *segor* Garcię do Glian.

Aberto milczał.

– Chodźmy już – powiedziała Ineda. – *Segor Garda* przesyła długi list do *segor Donovan*a, a w nim szereg nowych pomysłów, jak uratować *paré Willemo*. Szkoda czasu.

– Mhm – skinął głową. – Wiesz, że Mathao już zakochał się w Ivannie, chociaż jej nigdy nie widział, tylko ciebie?

– Mathao jest tłusty jak oskubany indyk z grubym kuprem. Tłustszy niż *os reguzos* z Glian. Ivanna nie będzie go chciała.

– On myśli, że ją kupi. *Segor Tomaso* ma hutę szkła i *en otel pvor portagos*, poza tym to starosta, a jego *en junor* też pewnie zostanie starostą.

– Jeśli Aberto fil Anzelmo zostanie górskim ptakiem albo powietrznym gazdą – odpowiedziała.

– No, tak.

– Ivanna nie da się kupić. Znam moją siostrę.

XIV.

Przed Greillt, przed wyjściem z lasu, Ineda przebrała się w przyniesioną w worku podróżnym imponującą, białą sukienkę z Glian. Minęli *en port*, gdzie trup Cyvuta gotował się, kipiał i zapadał w sobie. Obok nadal widniał odcisnięty, znacznie większy ślad w zbieletej trawie. Cyvut konał tak, by nie skrzywdzić ludzi w Greillt.

Gdy dochodzili do wsi, zaskoczyła ich cisza. Nie natknęli się na nikogo. Ojciec poszedł pod Wrath, aby obejrzeć stan śniegu, według polecenia *segor* Tomaso. Staroście zależało na jak najszybszym otwarciu górnej drogi. Miał nadzieję, że przez lato ludzie zapomną o drodze przez Toar Aberto. Badanie stanu śniegu na Wrath od dawna należało do Aberto, ale ten przezornie poszedł do Glian. Pod jego nieobecność starosta wymusił jednak na starym Anzelmo wyjście pod Wrath. W pustej zagrodzie nie było nikogo, kto mógłby powiedzieć, co się dzieje.

Gwar dochodził jedynie z budynku szkoły. Wyglądało, że starosta *segor* Tomaso zwołał *ena prattica sottial*. Nie zdarzało się to często. Aberto błyskawicznie zrozumiał, że sytuacja wymyka się mu z rąk. Przerazenie ścisnęło serce.

Właśnie zbliżyli się do budynku szkoły, gdy nagle zaroilo się od ludzi. Pierwszy szedł *segor* Tomaso, za nim ktoś wioził na taczkach *paré* Willemo.

Aberto pobiegł, za nim Ineda, grzęznąc w fałdach świetlicie białej sukni z Glian. Było już jednak za późno.

Za wsią utworzono krąg wokół wywalonego na ziemię z taczek *paré* Willemo. Poleciały kamienie.

Aberto roztrącał wieśniaków, którzy zachowywali się nieoczekiwanie biernie. Byli silniejsi, jednak *en reguzo* przepychał się między nimi.

– Aberto! – krzyknęła Ineda. Przepychała się za nim przez tłum. Straciła zwykłą, spokojną pewność siebie. Przytrzymała ją *segora* Madlena.

– Za chwilę, gdy będzie po. Nie zdołacie ich powstrzymać. To musi się stać. Nie uratujecie go.

Kamienie trafiały w bezwładne ciało *paré* Willemo, a on nie krzyczał, ani nawet nie jęczał. Spróchniałe nerwy ledwie informowały o ponoszonych szkodach.

Aberto dotarł do kręgu rzucających. Czuł głuchą rozpacz i ból, jakby każdy z tych kamieni trafiał właśnie w niego.

Segor Tomaso palcem wskazywał kolejnych, którzy powinni rzucić kamień.

– *En eretico* – powtarzał po każdym kamieniu. – Niewart żyć.

Czyjaś silna dłoń zacisnęła się na ramieniu Aberto. Nie dość silna, aby go powstrzymać.

– Czego!?! – warknął Aberto.

To Mathao, Tłusta Wieża.

– Nie, Aberto. Tak musi być. On sam mi to powiedział. I tak umarłby, zanim *paré Stais'avo* doleci do Greillt. *Ouaigh* by go spalił.

– Jak możesz.

– Mów szybko: czy *grav Engese* się mylił? Czy przez jego dłonie przemknęła cała wspaniałość wszechświata? – Wodniste, blade tęczyówki oczu tłustego Mathao natarczywie wpatrywały się w Aberto.

– Tak myślę.

Mathao stęknął.

– Udowodnisz mi to, jak wrócisz z Wyborga! – powiedział z naciskiem.

– Tak.

– ...lub... – urwał Mathao.

Aberto wzruszył ramionami.

Paré Willemo widział i słyszał tę scenę. Jego zniekształcone wargi wygięły się w karykaturę uśmiechu.

– *Paré Willemo*, będziemy *os ine'eros*, *os conrutoros* – krzyknęła Ineda, która wreszcie dobiegła do Aberto i wpiła się palcami w jego ramię. By go powstrzymać, by nie wyrwał się przed krąg, by nie spotkało go to samo, co spotkało Willemo.

– Staniemy się *os gauchos!* Nie zapomnimy cię!

– Ja wiem – wymamrotał stary.

Wtedy trafił go większy od innych kamień, rzucony ręką *segor Tomaso*. Głowa *paré Willemo* rozpękła się jak zgniły orzech.

Hinterbichl, sierpień 1992

Maika Ivanna

I.

To była ta pierwsza, świetlista część poranka, kiedy w lesie nie jest jeszcze duszno, a słońce już zmieniło tajemnice mroku w spektakl barw, podświetleń i półcieni. Lisbjeta wędrowała lasem. Ojciec wysłał ją, by nazbierała grzybów. Nie lubiła stromych zboczy nienazwanej doliny. Za grzybami wypuszczała się daleko, byle stale trawersować. Grzybów i tak nie brakowało, jeśli wyrosły. Koszyk szybko wypełniał się dorodnymi *guskami*, *bedukami*, a często też trafiał się ciemnobrązowy *grijb szlachetni*.

Mijała nawet piękne okazy, byle tylko dalej zawędrować, by zmienić pracę w ciekawy spacer, jedną z niewielu atrakcji obecnego bytowania. Wyplatany koszyk nie ciążył bardzo, póki był pusty, a zresztą można go było w każdej chwili postawić na darni. Nie chciało się jeszcze wracać do domu, szalasu skleconego z gałęzi i przysypanego ziemią, w którym przetrwali ostatnią zimę.

Domostwo wzniesli nad potokiem, ale potok zamarł i trzeba było topić śnieg albo rąbać lód do stopnienia. Ojciec co dwa miesiące zabijał kolejną krowę, żeby mieli co jeść. Mięso nie psuło się, gdyż trzymał surowy mróz, ani razu nie przyszła odwilż.

Ojciec ukradł te krowy, aby mogli przetrwać zimę. Dlatego też opuścili *skupiszu*. Dawniej mieszkali pod Nowi Gradkiem. Mieli dom, siedem krów, trzy woły, którymi ojciec obrabiał pole. Wystarczało do spokojnego, dostatniego życia. Ciężka praca przynosiła akurat tyle żywności, by przetrwać długą zimę, a za resztę nabyć nieco potrzebnych rzeczy. Taki spokojny dostatek, kiedy można mieć w zasadzie wszystko, co się chce, jeśli tylko chce się rozsądnie. Niestety to życie skończyło się bezpowrotnie. Po wielkich deszczach w górach Porogach doliną zesła wielka woda i oberwało się górskie zbocze, grzebiąc cały dobytek. Ledwie uciekli z życiem. W straszną noc, wśród ulewy i ryku wichru, matka wyniosła na rękach maleńkiego Myhaję, a Lisbjeta ciągnęła za ręce Anicę i Marka. Ojciec był wtedy w Gradku, próbował znaleźć dobry kredyt na traktor. Gdy wrócił, zastał rodzinę całą, mokrą i osowiałą, i ogromne zbocze świeżej gliny, przykrywające dorobek jego życia. Usiadł wtedy obok nich i długo patrzył na tę przewróconą glebę. Nie tknął alkoholu.

Przez jakiś czas tułali się od zagrody do zagrody, ale dobroć ludzka ma granice. W końcu drzwi się przed nimi zamknęły. Wtedy ojciec okradł bogatego sąsiada, Alojsza Dubena. Razem z Markiem zakradli się w nocy i wyprowadzili jego krowy. Matka już czekała z innymi dziećmi. Uciekli nocą, udało się. Zdołali zaszyć się w lasach z dala od *skupiszu*.

Z tamtego, lepszego życia pozostała Lisbjecie błękitna, kolorowo haftowana sukienka i wspomnienie Jane z Gradka, który potrafił i trzy razy w tygodniu przejść osiem kilometrów, żeby z nią plotkować, pić mleko, którym go częstowała, znów plotkować, czasem pomagać jej w pracy, a pod wieczór znów wędrować osiem kilometrów do miasteczka.

II.

Las rzedniał. Lisbjeta nie zapuściła się jeszcze nigdy tak daleko w górę doliny, choć zawsze chciała wiedzieć, co jest z dala od ich szałasów. Wyszła w pole. Mimo że las był rozświetlony, to otwarte słońce niemal ją oślepiło. Na polu ktoś pracował. Równomiernie, metodycznie kopał motyką ziemię, a co jakiś czas zastępnął w bezruchu, wpatrując się w niebo.

Po chwili obserwacji nie miała najmniejszych wątpliwości, że to trupiel. Nikt nie potrafi tak długo, bez zmruczenia oka wpatrywać się w słońce. Przez chwilę chciała, jak dziecko, podbiec do niego i szybko okrążając niezdarnego, wykrzykiwać: „*A ti trupiel, schwati me! A za czjo tebu duszu wzali?!*”. Powstrzymała się jednak. Zobaczyła, że pola ciągną się w dół zboczy, aż do samej doliny. A w dole widnieją zarysy jakichś zabudowań. Raczej nie wioski, tylko ciągłych zabudowań wzdłuż odległej drogi.

Na sąsiednim zagonie pracowała kobieta. Chwila wprawnej obserwacji wystarczyła, by stwierdzić, że też trupielka. I na polu niżej również zginał kark w mozolnym trudzie jakiś trupiel. Niby zwykły obrazek, często widywany na polach bogatszych gospodarzy w okolicach Nowi Gradku. Ale było coś obcego, co niepokoiło w układzie tych zabudowań w dolinie. Jakaś dziwna myśl kierowała ich budowaniem. Inny styl, coś nieuchwytnego.

Zrozumiała wreszcie, ale właśnie wtedy usłyszała:

– *Spokojnejo, malkita djawollica! Nje ruszilsja!*

Obejrzała się i zadrżała: Naprzeciwko niej stał prawdziwy sysun. Bacznie wpatrywał się w nią oczyma o pionowych źrenicach i mierzył do niej z rzeźbionej sysuńskiej kuszy.

– *Nje ruszilsja!* – powtórzył wyraźnie, choć obca mowa sprawiała trudność jego jaszczurczym ustom. Odziany był w lekką, czarną zbroję z laki, przypominającą chitynowe segmenty owada. Na napierśniku miał rzeźbiony, płaski krzyż. Musiał zetknąć się z ojcem Jonem ter Boin.

„Dobrze. Nie zabije mnie od razu...” pomyślała Lisbjeta. Zrozumiała, że przypadkiem natknęła się na strażnika pól. W Gradku nikt nie pilnował trupielei. Nie ginęli. Widać sysuni byli ostrożniejsi.

– *Pojdziesz iz mnoima* – powiedział sysun. Miał zabawny akcent, ale Lisbjecie nie było wesoło.

Aby nie natknąć się na sysunów, ojciec wybrał boczną dolinę, gdzie gęsty las sugerował, że nie jest zamieszkana. Mylił się: sysuni mieszkali w jej górnym piętrze.

Sysun kazał jej wziąć koszyk ze sobą. Schodzili wąską ścieżką wśród pól, na których krzątali się trupiele, niektórzy ludzie, inni sysuni. Słońce wspinało się wyżej, było coraz upalniej. Po nieruchomych twarzach trupielei spływały wąskie strużki potu, ale nie zwalniali tempa powolnej, systematycznej pracy. Łączyła ich ta charakterystyczna jednostajność ruchów przypominająca rutynową perfekcję mistrza.

– *Swijati Mykoła, modyhja za noima!*

Swijati Myhajło, modyhja za noima!

Swijati Marko, modyhja za noima!

Lisbjeta pobladłymi ustami szeptała słowa litanii. Bała się bardziej niż w tę noc, gdy ziemia pogrzebała ich dom, bardziej niż wtedy, gdy ojciec poszedł kraść cudzą własność.

Długo prowadził ją polami, potem łąkami, na których pasły się stada bydła. Takiego dostatku, tak licznej trzody, nie widywało się wokół Gradka. Paśli je sysuni, normalni, nie trupiele. Zawsze w zbrojach, schludni, jednakowi, uzbrojeni. Również i w Nowi Gradku bydło paśli wyłącznie normalni ludzie; zwierzęta wyczuwały nienormalność trupielei i zwykle reagowały na nich agresją, atakowały.

Lisbjeta bezwiednie poprawiła haftowany kaftan, żeby też wyglądać należycie.

W dolinie było gorąco. Słońce zdążyło wspiąć się do zenitu. Zabudowania sysunów tworzyły jakby jedną ulicę wyciętą z Gradka. Wokół toczyło się normalne życie wsi sysuńskiej. Sysunki chodziły prawie gołe, przyodziane tylko w te swoje paski tkaniny, spomiędzy których wystawała szara, szorstka, matowa skóra. Ogoniaste sysunięta biegały na czworakach. Sysuni nie rozstawali się ze swoimi zbrojami, mimo upału. Nie pozwalał honor woja, chociaż broń nie pomagała w zwykłych gospodarskich obowiązkach. Nikt nie zwracał uwagi na Lisbjetę konwojowaną przez strażnika.

III.

W pewnym momencie Lisbjeta drgnęła. Przy drodze wkopana w ziemię tkwiła belka ledwie metrowej długości. Do jej szczytu przybito drugą, w poprzek. Do belek przybito sysuna. Do

poziomej za nadgarstki, rozciągając ramiona mocno na boki; do pionowej nogi, przez obie jednym gwoździem. Sysun jest wzrostu człowieka, więc aby zmieścić się na metrowej belce, maksymalnie zgięto mu nogi w kolanach i ułożono bokiem, podciągając w górę kostki. Naprzeciwko, po drugiej stronie drogi, w podobnej pozie wisiała ukrzyżowana sysunka. Kat oszczędził na surowcu i podzielił jedną pionową belkę na dwa krzyże.

Oboje żyli jeszcze. Co chwilę unosili się na ramionach i dolnym gwoździu, by nabrać tchu, i zaraz potem opadali, gdy ból rozrywanego ciała i przemieszczanych kości stawał się zbyt silny.

– *Ljubci. Mužu ubili* – rzucił strażnik przez ramię. Zauważył reakcję Lisbjety. Nie prowadził jej już pod bronią, lecz zarzucił kuszę na ramię i szedł równym, żołnierskim krokiem. Nie obawiał się, że Lisbjeta spróbuje uciec. Ona, wiedząc, że ucieczka nie ma szans, beznadziejnie dreptała za nim.

– *A wy djawolci Bohu ukriżowali* – dodał pogardliwie sysun. – *Len Najswijatszitu dlugu belku dali.*

Nie przypatrywała się konającym nieszczęśnikom więcej, tylko starała się nadażyć za postawnym sysunem, chociaż jeszcze długo dochodziły ją ich jęki. Kochanków ukarano podwójnie, bo ponad własne cierpienie, widzieli śmierć ukochanej osoby.

Pomyślała, że jeśli sysuni mają ją zabić, to niesienie kosza z grzybami nie ma najmniejszego sensu. Odstawiła go. Sysun natychmiast odwrócił głowę.

– *Ber te beduki a guski* – rzucił sucho. Nie było dyskusji.

Gdyby Lisbjeta była mniej zdenerwowana, z pewnością zaskoczyłaby ją znakomita znajomość języka ludzi, jaką wykazał sysun. Ona potrafiła po sysuńsku ledwie parę słów.

IV.

Wanko Małysz siedział na pniaku przed szałasem i ciosał siekierką nogi nowego taborecika. Niemal wszystkiego brakowało w jego nowym gospodarstwie, ale wierzył, że spokojną, metodyczną pracą odbuduje to, co stracił. Najważniejsze, że przetrwali pierwszą zimę; śniegi zeszyły już dawno, paszy dla krów starczało, zgromadzili sporo zapasów żywności na nadchodzące chłody. Powinno obyć się bez zarznięcia kolejnej krowy. Gdyby tylko skądś zdobyć ziarno na zasiew. Mógłby wtedy wykarczować poletko. Byłoby lepiej.

Tak naprawdę mieli marną szansę na przetrwanie, ale każdy kolejny dzień rodził nadzieję na następny.

Póki co, ciosał nowy taboret; jeszcze dwa i wszyscy będą mieli na czym siedzieć. Przed ziemianką tliło się bezdymne ognisko. Na ogniu piekł się królik, złapany w sidła

założone przez Marka. Syn błyskawicznie uczył się leśnego bytowania. Umiał zakładać wnyki i strzelać z łuku. Wanko martwił się jedynie tym, że dzieci musiały przerwać naukę, a zawsze chciał, by się kształciły, by przynajmniej niektóre z nich przeniosły się do Gradku, bo życie w mieście było łatwiejsze.

Pozwalał polować tylko za pomocą łuku, zaś dubeltówka i siedemdziesiąt dwie sztuki amunicji leżały schowane. Hałaśliwa broń mogła zdradzić miejsce pobytu, ale mogła przydać się w sytuacji ostatecznej.

Żona Wanki, Nastazija, cerowała sypiące się odzienie; mały Myhajło drzemał w hamaku; Anica i Lisbjeta powinny już wkrótce wrócić z grzybami i jagodami. Ostrzegął córki, by nie wypuszczały się za daleko w dół doliny, bo mogły napotkać kogoś z Nowi Gradka; ani w górę doliny, bo nie można było wykluczyć, że zamieszkiwali tam sysuni.

Ta nazwa wzięła się od pierwszych zetknięć obu społeczeństw. Ludzie zauważyli, że obcy wysysają krew upolowanych zwierząt. A potem nazwa została, na pokolenia.

– *Położył topor!* – rozległo się nagle.

Wanko drgnął. Nastaziji wyrwało się westchnienie.

„Ależ dałem się podejść...” zakołatało w głowie.

Nagle na polanie aż zaroilo się od sysunów. Pojawili się zza drzew. Cały oddział. Chyba ze dwunastu. Każdy z bronią gotową do strzału, kuszą albo dwururką podpatrzoną od ludzi.

Wanko przez dwie sekundy oceniał szanse obrony. Przez dwie sekundy natarczywie wpatrywały się w niego, oprócz sysuńskich, oczy żony i syna. Ważyły się losy ich wszystkich. Wanko kiwnął głową i beznadziejnie rzucił siekierę na ziemię. Żona westchnęła. Znajac Nastaziję, był pewien, że to westchnienie ulgi.

– *Czjo chcete?* – zapytał spokojnie.

– *Pydete iz nojima* – powiedział sysun.

– *Pre czjo?*

– *Tuto jest naszija zemija, sysunskita. Djawolci nje mogju zit na sysunskitu zemiju.*

Wanko bezradnie pokiwał głową. Prawo jest prawem, chociaż niepisane. Gdyby wiedział, że obcy roszczą sobie prawa do tego terenu, zbudowałby szałas bliżej Gradka. Teraz wszystko się skończyło.

– *Wszjecko wzjat iz swoima!* – rozkazał jeden z sysunów. Naramienniki lakowej zbroi miał pokryte misternym, złotym ornamentem. Z pewnością dowódca. Może jakiś oficer? Krzyż przymocowany z przodu jego napierśnika był metalowy, obficie złożony. Inni mieli drewniane krzyże, choć często zdobione blaszkami z metalu.

Wanko lekko poprawił koszulę, ale tak, by rozjechała się na piersiach, by sysuni zobaczyli łańcuszek i metalowy krzyżyk. Może to będzie miało jakiś wpływ na ich przyszłe losy...

Chwilę analizował, czy Anica i Lisbjeta mają szanse przetrwać same. Czy powinien o nich wspomnieć, by nie błąkały się do śmierci głodowej.

– *Dwe djewki uż schwaczete* – odezwał się sysun, uprzedzając jego pytanie.

Teraz dopiero dwóch sysunów wyprowadziło Anicę. Spojrzała spokojnie na ojca i jakoś tak bezradnie spłynęła jej po policzku łza, tylko jedna.

„Twarda, jak ojciec i matka...”, pomyślał z dumą Wanko.

– *A Lisbjeta?*

Oficer zamienił parę słów z jednym z żołnierzy. Chropawa sysuńska mowa miała w sobie coś jaszczurczego. Wanko znał ledwie pięćdziesiąt podstawowych słów w tym języku. Oczywiście nie zrozumiał ich rozmowy.

– *Nje boilsja. Lisbjeta uż wo Thalaht* – ostatnie słowo oficer wypowiedział już ze swoim akcentem. Musiał być dobrze wykształcony, skoro potrafił ludzkie słowa mówić z ludzkim akcentem.

Pozwolili im zabrać dobytek, chociaż nie pomagali. Wcześniej, podczas drobiazgowej rewizji, skonfiskowali całą broń, nie tylko dwururkę, ale też wszystkie łuki. Do łuków odnosili się z pogardą, natomiast strzelbę dowódca obejrzał bardzo starannie. Poprosił, żeby Wanko ją zdemontował, a następnie złożył. Sysun uważnie obserwował jego ruchy, a następnie samodzielnie powtórzył całą procedurę.

V.

Trzymali ich w więzieniu przez kilka dni. Właściwie trudno to było nazwać więzieniem, skoro warunki egzystencji mieli lepsze niż w ich ziemiance. Przestronne, wysokie pokoje kamiennego sysuńskiego domu. Rzeźbione portale, łukowe sklepienia, inne niż w drewnianej ludzkiej chacie, gdzie żyli koło Gradku, a co dopiero w mrocznej, zadymionej ziemiance, którą zamieszkiwali ostatnio. W każdym pokoju płonący kominek, drewniane łóżka wyścielane krowimi skórami. Codziennie świeże mleko i miód.

Sysuni zabili dla nich nawet krowę, ale Wanko musiał sam ją rozebrać. Dwaj żołnierze uważnie obserwowali jego czynności, wypytywali o nazwy i rolę różnych organów. Sami hodowali krowy wyłącznie dla mleka, które starannie gotowali, by usunąć niestrawne dla nich białko. Wołowinę dodawali do swoich potraw wyłącznie w charakterze przyprawy, chociaż większości białek wchodzących w jej skład ich organizmy nie były w stanie

przyswoić. Sami żywili się głównie owadami czy miejscowymi dziwacznymi zwierzętami. Oba światy egzystowały wspólnie, będąc dla siebie w dużej mierze niejadalne.

Dziwna to była niewola, w dostatku, jak w złotej klatce, no, może grubo pozłacanej. Wewnątrz domostwa robili to, co chcieli, ale każda próba jego opuszczenia spotykała się ze spokojnym, choć stanowczym sprzeciwem strażników. Domyślali się, że ich losy ważą się, a decyzja zostanie wkrótce podjęta.

Lisbjeta spróbowała zagadać do jednego ze strażników. Tego, który przynosił im jedzenie. Sysun znał niewiele ludzkiej mowy, ale porozumienie nie było niemożliwe.

– *Ja’b probowała na sysunskitu jedu* – powiedziała mu.

Sysun coś tam zanotował na świstku papieru. Jego biegłość w pisaniu budziła podziw. Ołówek w jego dłoniach biegał sprawnie po kartce, kreśląc dziwaczne hieroglify, jak igła w dłoniach Lisbjety, gdy haftowała. Jej samej pisanie szło trudniej, słowa nie chciały się tak ładnie układać, myśli biegły za szybko, ołówek nie nadążał.

Po godzinie wrócił.

– *Malkita diawollica* – wywołał Lisbjetę gestem dłoni.

Przed domem usiadł na chodniku. W Nowi Gradku nie było chodników, ścieki płynęły otwartymi rynsztokami, a w deszczowe dni błoto pokrywało ulice. Jedynie rynek wybrukowano otoczkami. W Thalaht wąskie uliczki były bez wyjątku pokrywane kamiennymi płytami, a ścieki szumiały sobie gdzieś głęboko, pod chodnikiem. Sysuni puścili kanałami potok dolinny, tak że nieczystości nie gromadziły się w osadzie ani nie zasychały. Dzięki temu nie śmierdziało tak, jak w Gradku. Może z powodu tego fetoru sysuni mówili o ludziach: „*smradliwi diawolci*”.

Sysun starannie rozdmuchał płomień z żarzących się węgielków w przyniesionym żeliwnym piecyku. Lisbjeta przysiadła obok niego, obciągając sukienkę, ale chłód ciągnął od kamiennej płyty, więc przyniosła z domu krowią skórę, zwinęła w rulon i usiadła na niej. Obok zaciekawiona usiadła Anica. Młodsza od siostry, była dawniej uważana za najbardziej piegowatą dziewczynę pod Nowi Gradkiem.

Sysun łypnął badawczo na przybyłą. Jego otwory nosowe kilkakrotnie otworzyły się i zamknęły.

– *Djawolci, wy nje smjerdja* – powiedział grzecznie. – *Djawolci smjerdja len wo Nowi Gradek?* – To chyba było pytanie, ale wyszło niezbyt zrozumiale.

Obie dziewczyny wzruszyły ramionami, spojrzały po sobie i roześmiały się w głos.

– *Sysun po djawolski rjecze malkjo* – powiedział, jakby usprawiedliwiając się. Nie rozumiał reakcji sióstr.

Ustawił na piecyku płaski rondel i nalał do niego nieco oliwy. Następnie z worka wydobył jednego z miejscowych owadów, bezskrzydłego, przypominającego świerszcza o tylnych skocznych odnóżach, ale znacznie większego i o pierzaście rozgałęzionych, okazałych antenach, którymi stabilizował swój lot.

Gdy olej zaskwierczał, sysun nie spróbował ssać ofiary gdyż świerszcze nie mają czerwonej krwi, a tylko przezroczystą zielonkawą limfę, lecz obojętnie wrzucił próbującego się niezdarnie uwolnić owada do rondla. Lisbjeta aż otrzepała się ze zgrozy, nie dlatego, że świerszcz budził obrzydzenie swoim wyglądem, bo spodziewała się podobnej potrawy, a takie świerszcze podchodziły nawet pod Nowi Gradok, ale dlatego, że sysun rzucił żywe stworzenie na gorący olej. Agonia owada trwała kilkanaście sekund, pierzaste czułki zeschnęły i skręciły się w cienkie niteczki, nieszczęsne zwierzę z brunatnego zmieniło się w jaskrawopomarańczowe.

Sysun wydobył z mieszka jeszcze dwa identyczne owady i beznamiętnie wrzucił je do wrzącego oleju. Zauważył reakcję dziewczyn.

Po kilku minutach wyłowił usmażone owady i rozdał po jednym, sam biorąc trzeciego. Pozwolił mu ociec z oliwy. Następnie oderwał tylne, skokowe, mięsiste odnoże i rozłupał je szponiastym palcem. Lisbjeta i Anica poradziły sobie szpilką do włosów. Chitynowy pancerzyk był cienki i przypominał przypieczoną wołowinę, wewnątrz odsłoniło się dymiące smakowicie, białe, jednolite mięso. Jak pierś kurczęcia, ale bez widocznych włókien i bardziej soczyste. Sysun pokazał im, że co jakiś czas powinny przygryzać spieczonymi antenami. Były ostre, pikantne w smaku i przyjemnie chrupały w zębach.

Z przednich odnóży też dało się wydobyć nieco białego mięsa. Z rozciętego tułowia i odwłoka jadło się tylko parzyste, przypominające orzeszki narządy. Było ich ze szesnaście, smakowały jak kurze żołądki.

– *Dobre, dobre* – powiedziała Lisbjeta i na znak, że jej smakowało, poklepała się po brzuchu. Anica przytaknęła.

Sysun wykonał węzowy ruch głową, który mógł oznaczać aprobatę; patykiem rozgrzebał ogień w piecyku, zdusił płomień, ale zostawił żar; olej wylał do zlewu; powiedział coś do wartownika i zabrał się z tym wszystkim, co przyniósł. Chyba nawet nie dosłyszał podziękowania za poczęstunek.

Wieczorem przyszedł dowódca, ten w złoconej zbroi, żeby oznajmić im decyzję rady.

– *Bydete wraczety wo Nowi Gradok* – powiedział.

Wanko wolałby, żeby sysuni ukarali go według swojego prawa. Za naruszenie ich terytorium nie powinno im grozić zbyt wiele.

– *Sudtje nas na waszitu prawu* – zaproponował.

– *Nje*. – Sysun odwrócił się i wyszedł.

W nocy Lisbjeta i Anica dostały bóleści. Obie zwymiotowały niestrawionym świerszczem. Ludzki żołądek nie poradził sobie z obcymi substancjami. Przed świtem było z nimi już lepiej.

Rano przyszli sysuni, którzy mieli ich konwojować do Nowi Gradka. Krowy zatrzymano jako rekompensatę za utrzymanie i wyżywienie rodziny Małyszki w Thalaht.

VI.

– *Sweti Mykulia, modlise za name*.

Sweti Mato, modlise za name.

Ivanna głośno odmawiała słowa litanii, a wtórowali jej chórem mieszkańcy Sejnych. Imiona świętych zmieniały się, ale każdą oktawę zaczynała linia:

– *Sweta Maria, modlise za name*.

Gdy powtarzali za nią: „*Sweti Bazylia, modlise za name*”, Ivanna nieufnie rozglądała się po kościele. Wieśniacy wiedzieli o tym i uśmiechali się. Wielokrotnie tłumaczyła im, że nie chodzi o biskupa Bazylego, który przybył do Sejnych trzydzieści lat temu, by zaraz potem zginąć w wypadku. Przecież nawet nie wszczęto procesu kanonizacyjnego, bo jak?

Ale krótki pobyt Bazylego wywarł jakiś magiczny wpływ na tych ludzi i z uporem nazywali go świętym.

Na nią mówili *maika* Ivanna, na co im pozwalała, chociaż wiedziała, że między sobą mówią też *sweta* Ivanna albo *sweta golabica*, na co, oczywiście, zgodzić się nie mogła.

– *Sweti Jurko, modlise za name* – słowa modlitwy układały się w rytmiczną melodię myśli.

Na pozostałe pięć mniszek też mówili *golabicy*, z racji śnieżnych, lnianych habitów. Zresztą, co to za mniszki, jeśli nie miał kto przyjąć od nich ślubów zakonnych? Ciągłość została przerwana, wysłannik Kościoła Piotrowego zginął, zanim wyznaczył następcę. A jednak one nie odchodziły. Składały śluby w duchu i wypełniały regułę.

– *Sweta Ana, modlise za name*.

Ivanna co tydzień schodziła z Orlego Gnezna tysiąc i siedemset dwanaście stopni wykutych w wapiennej skale, wygładzonej tysiącami bosych stóp i sandałów, a potem stromym piarzystym zboczem. Schodziła, bo chcieli, aby odmawiała z nimi modlitwy, chociaż pełnej Ofiary odprawić nie mogli. Nie miał kto. Żył jeszcze tylko Jon ter Boin, ale od lat sysuni trzymali go jako rękojmię pokoju. Nie zgadzali się na żadną próbę choćby

wypożyczenia kapłana na parę dni w roku. Nawet niechby i pozostawał u nich na Wielkanoc, ale żeby raz w roku przyjechał, wypowiadał wiernych, odprawił Ofiarę. Nic z tego. Węszyli zdradę i utratę zakładnika. Cóż, mieli sporo przykładów z przeszłości.

Litania dobiegła końca. Wierni śpiewali na zakończenie: „*Ot Boga my dusze...*”

„Gdyby chociaż szanowali słowa tej pieśni...”, trapiła się Ivanna, „...i tych dusz nie wrywali”.

Śpiewali równo, pięknie, na trzy głosy. Stary Jano Teczot głośno przygrywał na kobzie.

„Pięknie chwalić Pana potrafią...” pomyślała. „Na pokaz... Zaraz z kościoła pójdą na zabawę i będą hulać do rana, aż upiją się zupełnie, a pijani będą ganiać za dziewczuchami. Ten sam Jano będzie im przygrywał”.

O wódkę była pierwsza wojna z sysunami. Ludzie sprzedawali im ją po bardzo wysokich cenach. Sysuni dotąd oszalałami się jakimś swoim grzybem czy kaktusem. Ale można to było zrobić najwyżej kilkadziesiąt razy w życiu i tylko w ściśle określonych odstępach czasu. W przeciwnym razie nałogowiec umierał albo zostawał kretyńcem. A wódkę można było pić codziennie, wprawdzie nie wywoływała wizji, jak owoc kaktusa, ale wystarczająco oszalała. Sysuni szybko poznali te zalety.

Ale oddziaływanie kultur było obustronne. W zamian za wódkę sysuni obdarzyli ludzi odbieraniem duszy. Trupiele byli plagą, która stała się zjawiskiem powszechnym w społeczności. Tę karę wymierzano często zamiast kary śmierci. Zmuszano skazańca do wypicia sysuńskich ziół i człowiek umierał. Odbywał się oficjalny pogrzeb. Po paru dniach budził się bezwolny automat. Przedmiot, bezwzględnie posłuszny rozkazom właściciela. Bez pamięci, bez wspomnień, bez tożsamości. Zdolny jedynie wykonywać prostą pracę fizyczną. Za to systematycznie i dokładnie, bez przerwy, do poranienia ciała, do wyniszczenia, do śmierci. Właściciel musiał rozkazać trupielowi, by jadł lub by spał, w przeciwnym razie ten pracował nieustannie. Zwykle trupiel umierał z wyczerpania po kilku latach, bo któryś właściciel nie jest na tyle zachłanny, aby nie wykorzystać narzędzia w pełni?

Trupiele byli nieszczęściem Ivanny, po nocach modliła się za ich nieszczęsne dusze, jak i za dusze tych, którzy ich okaleczyli. Z drugiej strony co było lepsze, czy odebranie duszy, czy okrutna śmierć na krzyżu? Krzyżowanie też przejęli od sysunów. Obecnie była to w zasadzie jedyna forma kary śmierci wymierzana w Sejnych czy Nowi Gradku.

Wieśniacy skończyli śpiewać. Rozchodzili się. Iwanę czekało wspięcie się tysiąc i siedemset dwunastoma stopniami, wykutymi w wapiennej ścianie skalnego bastionu Orlego Gnezna, do małego budynekczku klasztoru i dużej, betonowej konstrukcji hangaru dla Bijelego

Golaba, klasztornego sterowca. Sterowiec był kosztowną rzeczą. Nie tyle jego konstrukcja, bo w razie zniszczenia i tak nikt nie potrafiłby zbudować identycznego, gdyż technologia helu została zapomniana, lecz kosztowało paliwo dla niego. W Sejnych otrzymywano je z oleistej skały, tylko w odległym Caban mieli prawdziwy szyb naftowy. Na technologii paliwa znał się w Sejnych Pawio Doban, jedyny mężczyzna, który mieszkał z rodziną stale w Orlem Gneźnie. W kilku pomieszczeniach na tyłach hangaru. Oleistą skałę należało starannie prażyć, a zmyślna instalacja zbierała parujący olej. Było to mozolne, ale możliwe. Dzięki temu w każdej zagrodzie mieli pracujący traktor, a łąki wypasano w całej Sejenskiej dolinie aż po pionowe, skalne bastiony Grodów. Sysuni opuścili tę dolinę pod naporem ludzi.

Gdy Ivanna weszła na serpentynkę skalnych stopni, odruchowo wzięła w dłonie drewniane paciorki różańca.

VII.

Ten dzień przyniósł Ivannie więcej nowości, niż się spodziewała. Pod wieczór przyszła Marta, średnia córka Dobana. Powiedziała, że jakiś nieznany człowiek wspiął się na Orle Gneźno i prosi, aby go wysłuchać. Pytała, czy ojciec ma go wpuścić.

Ivanna nie odmawiała w takich sytuacjach. Przyjęła go w otoczeniu reszty mniszek. Dla pewności poprosiła, by towarzyszył im stary Doban i wziął swoją strzelbę.

Nieznajomym okazał się młody chłopak, nieogolony, o twarzy zdradzającej wielodniowe przemęczenie. Był w starych butach i podartym odzieniu; worek podróżny postawił na zimnej posadzce. Czuł się niepewnie, nie wiedział, czy powinien uklęknąć, czy pozostać stojąc.

– *Boh iz woima, swijata majica Ivanna* – zaczął, wymową zdradzając, że pochodzi z Nowi Gradka, co tłumaczyło jego wygląd. Jeśli szedł pieszo przez doliny i przełęcze, to zajęło mu to przynajmniej pięć dni. I przynajmniej dwukrotnie musiał przejść przez tereny sysunów. Albo był dobrym zwiadowcą, który potrafi niepostrzeżenie przenikać przez terytorium obcych; albo opłacił wysokie myto; albo był zdrajcą. Raczej nie to drugie, bo nie wyglądał na zamożnego człowieka.

– *Bog s wame* – odpowiedziała Ivanna, nie poprawiając tego fałszywego uświęcenia, by nie płoszyć przybysza. Za nią pozdrowienie powtórzyły mniszki i Pawio.

– *Moje mjeno, Jane Crjelp z Nowi Gradku.*

Ivanna przytaknęła skinieniem siwej głowy.

– Przyszedłem po pomoc, *majica* Ivanna. Nie dla siebie proszę, ale dla mojej dziewczyny. Dla Lisbjety Małyszki spod Nowi Gradku – ciągnął Jane. – Ją i całą jej rodzinę

sysuni wydali *skupiszu* w Nowi Gradku.

Jane dokładnie opowiedział całą historię nieszczęścia Małyszów. O tym, jak ziemia pogrzebała ich gospodarkę, jak błakali się, jak stary Małysz przymuszony groźbą śmierci głodowej okradł sąsiada z dobytku, a potem z rodziną ukrywał się w lesie, aż go przypadkiem pojмали sysuni.

– *Pre czo kradl?* – przerwała mu Ivanna. Nieźle rozumiała mowę z Nowi Gradku, ale co jakiś czas upewniała się.

– *Czo 'b ot smjerti ochronit žjenu a swoime djeti.*

– *Alojszu Dubenu na smert zawedl* – zauważyła Ivanna. Nie starała się mówić po nowogradkowemu, nawet w języku z Sejnych nie była bardzo biegła.

– *Nje* – zaprzeczył Jano. – Alojsz Duben pozostał z połową swojego dobytku. Śmierć głodowa mu nie zagroziła. Miał dość, by przeżyć.

– Dobrze. Co uważasz, że powinnam zrobić?

– Przybądź do Nowi Gradku, *majica Ivanna*. Twoja obecność wystarczy, żeby sąd wydał łaskawy wyrok.

Ivanna chwilę zastanawiała się: Przybysz mógł kłamać. Mógł być przekupionym przez sysunów zdrajcą, który chciał zdobyć sterowiec. Z drugiej strony jeśli mówił prawdę i ten Małysz ukradł tylko, by przeżyć, to trzeba udać się do Nowi Gradku jak najszybciej. Wiedziała, kto będzie sądził Małyszów.

Ivanna nie była osobą lękliwą, a przynajmniej nie lękała się o swoje bezpieczeństwo, zaś zdobycie Bijeli Golabu nie zdradziłoby sysunom technologii otrzymywania helu.

– Dobrze – odpowiedziała. Następnie wydała polecenie, aby przybysza nakarmić i znaleźć mu jakiś nocleg we wsi.

VIII.

Sala Mjestskitu Skupiszu w Nowi Gradku była wypełniona. Dzień był upalny i w niewielkim, dusznym pomieszczeniu brakowało powietrza. Kobiety wachlowały się chusteczkami, mężczyźni słomianymi kapeluszami. Kobiety były na ogół w bogato haftowanych gorsetach, białych bluzkach, suto marszczonych, kwiecistych spódnicach; mężczyźni w cyfrowanych kubrakach, białych koszulach i czerwono-białych, paskowanych spodniach. Odświętny strój obowiązywał, niedbale odzianych nie wpuściłby woźny grodzki.

Zbierał się Sud Skupijszni. Miano rozpatrzyć dzisiaj dwie sprawy. Obie wzbudzające powszechne zainteresowanie, stąd tłok na sali.

Na środku, za najwyższą katedrą, zasiadł sam *grodni*, Stijopan Babulija. Był odziany

w oficjalną pelerynę z wyhaftowanym herbem miasta i symbolami swojej władzy: książką, złotym słońcem i skrzyżowanymi różgami. Książka oznaczała prawo, tarcza słoneczna – dzielenie publicznych pieniędzy, zaś różgi egzekucję prawa. Gdy *grodni* rozsiadł się wygodnie za katedrą, publiczność grzecznie usiadła. Wtedy Babulija łaskawym skinieniem głowy odwzajemnił przywitanie. Wśród mieszkańców Gradku miał opinię starego osła, ale jednocześnie kryształowo uczciwego i w zasadzie ludzie byli nadal zadowoleni z jego wyboru, choć upłynęło już siedem lat z jego dziesięcioletniej kadencji.

Ale nie *grodni* był dzisiaj najważniejszy. Drzwi otwarły się ponownie, woźni znów skłonili się w pas, a widzowie powstali ponownie. Do sali weszli obaj *oponijenty*, Myhajło Pyszcziel i Franija Fyłożofow. Powinni wejść równo, ale drzwi były wąskie i komicznie wyglądający Pyszcziel przodem przepuścił swojego wielce poważanego, popularnego i świątobliwego kolegę. Spasy Fyłożofow wcisnął do sali swój wyduły brzuch. Niski, tłusty, łysy, o nalanej, czerwonej twarzy; sunął z dostojeństwem i majestatem, równo, trochę tak jak tocząca się kula.

Pyszcziel wyglądał dokładnie jak jego przeciwieństwo: niezwykle wysoki, karykaturalnie wychudzony, niezdarnie machał długimi rękami, a wtedy poły jego czarnej togi fruwały na boki jak skrzydła wiatraka. Wchodząc, pochylił się, by nie uderzyć głową w nadproże, a jednocześnie przytrzymał ręką wysoki *kapelijun*. Idąc, głośno stukał drewnianą nogą.

Obaj *oponijenty* odziani byli w długie, czarne togi z wyhaftowanymi z przodu i tyłu srebrnymi trupimi czaszkami i skrzyżowanymi puszczelami, symbolami władzy życia i śmierci, jaką mieli w sali *sudu*, pełniąc funkcje *oponijentów*. Na głowach nosili wysokie, czarne, cylindryczne *kapelijuny* z wyhaftowanymi wieńcami ze srebrnych liści, co oznaczało chwałę niewinności. Spod *kapelijuna* Myhajły sterczały długie, czarne kudły, układające się w strąki; Franija co chwilę zdejmował swój *kapelijun* i przecierał czerwona łysinę wilgotną od potu, szarą chustką.

Krażył żart, że każda sprawa sądowa w Nowi Gradku jest na dziewięć puszczeli – po cztery na togach *oponijentów* i Myhajłę.

Gdy obaj zasiedli wreszcie za swoimi katedrami, Franija po lewej, a Myhajło po prawej ręce Babuliji, ten uderzył drewnianym młotkiem w pulpit.

– *Pierwita sporjenija: Alojsz Duben protiv Wanku Małyszu* – zaczął.

W tej samej chwili powstał Franija Fyłożofow.

– *No, wpijerwije Bohu czjest oddaime* – powiedział głośno.

Rozpoczął litanię:

– *Swijata Marija, modyłsja za noima.*

Swijati Mykoła, modyłsja za noima.

Wszyscy w audytorium powstali i zaczęli powtarzać wypowiedane słowa. Kolejne wersy ciągnęły się aż do oktawy.

„Dzisiaj jest wyjątkowo żądny krwi...”, pomyślał niechętnie Myhajło. Nie lubił ostentacyjnej świętoszkowości Franiji. Sam zmówił dwukrotnie litanie ze swoją rodziną w domu. „Mógł odmówić wcześniej, jak ja”, pomyślał złośliwie.

Zgodnie recytowali modlitwę; zaczęta przez Franiję, wciągnęła wszystkich.

W Nowi Gradku bardzo poważano Franiję Fyłożofowa. Myhajło w duchu mówił na niego Sysun, dla surowości zasądzanych wyroków. Powiedzieć tego głośno by się nie odważył. Przypatrywał mu się z ukosa: z powodu wielkich ust, wielkich dziurek od nosa, małych, położonych blisko siebie oczek oraz słusznej tuszy Franija Fyłożofow nieodmiennie kojarzył mu się z tłustym prosięciem, chociaż w rzeczywistości kły miał dłuższe niż *mjedojed*.

Po litanii wszyscy usiedli. Rozpoczęła się pierwsza część rozprawy: ustalenie faktów.

– Ty jesteś Wanko Małysz? – zapytał Myhajło.

– Tak – odpowiedział oskarżony. Uprościło to wiele spraw. Gdyby się zaparł, należałoby powołać świadków dla stwierdzenia tożsamości wydanego przez sysunów zbiega.

– Ty jesteś Nastazija Małysz? – spytał Franija, a jego śleпка rozbłysły obłeśnie.

– *Tako że* – potwierdziła.

Podobnie ustalono tożsamość dzieci, jedynie za maleńkiego Myhajkę odpowiedziała matka. Oczywiście Alojsz Duben też nie wyparł się siebie.

Podobnie nieoczekiwanie łatwo ustalono okoliczności kradzieży, jedynie Wanko próbował ukryć, że młody Marko kradł krowy razem z nim. Troska ojca o syna wzbudziła cień sympatii u Pyszczieła, nie u widzów.

– *Howorji samoimu prawdu* – zwrócił uwagę Wance Fyłożofow.

IX.

Gdy ustalono, że Wanko ukradł osiem krów, a następnie osiadł na terenach sysuńskich, nie wiedząc o tym, oraz to, że sysuni zatrzymali sześć krów, które przetrwały zimę, strony sporu zostały usunięte z sali. To znaczy Małysz wyprawdzili zbrojni woje, zaś Alojsz wyszedł na korytarz i zakurzył fajeczkę.

Obecnie nie czuł już nienawiści do Wanki, stratę połowy dobytku zdążył przeboleć; raczej był ciekaw, jak twarda sprawiedliwość dotknie niewdzięcznych Małysz. Ostatecznie

sam żywił ich przez dwa tygodnie, a oni mu tak paskudnie odplacili. Radził Małyszowi, żeby zostawił mu Marka albo którąś z córek do pomocy w gospodarstwie, ale ten był zbyt hardy i wolał kraść, to teraz zobaczy sobie...

Zapałił zapałkę o szorstki obcas i przytknął do cybuszka. Lekko wciągnął powietrze. Poczł przyjemny zapach tytoniu. Stać go było na tytoń pomimo straty połowy inwentarza. Był zamożnym, mądrym chłopem. A mądrości nikt ukraść nie może.

Nie chciał śmierci swoich winowajców. Miał nadzieję, że może niektórych z nich oddadzą mu jako trupieli do roboty. Wtedy z nawiązką odrobią to, co ukradli. Szczególnie córki Małysza były piękne. Lisbjeta miała taki cudowny kasztanowy warkocz, a Anica modre oczy, które szklily się jak skalne kryształki. Zresztą i Nastazija Małysza trzymała się świetnie, nie to co jego stara. Wprawdzie z trupielką to jak z kłodą, jak z materacem, ale czasem trudno powstrzymać się, jeśli aż tak piękna i młoda. „Tak, takie trzy trupielki to byłaby niezła rekompensata...”, rozmyślał Alojsz Duben, siedząc na ławie w korytarzu Gradskiej Skupiszy.

„Małysz jest silny, jego syn, Marko, już też. Stary nie chciał iść do mnie na parobka. Jako trupiel będzie robotny, młody Marko też. Tylko tego małego, Myhaję, pewnie każą wychowywać. Kłopot... Chociaż jak się go wychowa na parobka, to się nakład zwróci... A może Ksenija zechce go usynowić...? Jeśli będzie dzielny po Małyszu i przystojny po Małyszy, to taki syn to chwała... A Ksenija dzieci mieć nie może”. Alojsza otaczał wonny obłoczek dymu. Nie dość, że stać go było na tytoń z Caban, to jeszcze dosypywał do niego proszek z sysuńskiego grzyba.

„A gdyby tak zrobić trupielce syna?” wzięło go na rozważania. „Niby wszyscy mówią, że urodzi się potwór, ale skąd pojawiają się czasem małe, zdrowe dzieci u starych gospodarzy, którzy dostali młodą trupielkę...? Ta Anica, piękna, ma białe włosy, wielkie oczy, piegi nie przeszkadzają... Tylko ma *priejsti* jakieś takie małe, to może nie wykarmi małego. Znowu ta Lisbjeta taka bujna, dzika, nieokiełznana, pewna siebie, to i dziecko byłoby nieznośne...” Zbudzone narkotykiem hormony znów zwyczajnie, wolno krążyły w starym ciele Alojsza.

Głowa łagodnie mu opadła, fajeczka wysunęła się z dłoni i stuknęła o drewnianą podłogę Mjestskitu Skupiszu, a potem łagodnie zagasła. Stary zasnął.

X.

Rozpoczęła się druga część rozprawy: jawna dysputa, podczas której obaj *oponijenty* mieli ustalić wyrok.

– Jeśli ktoś kradnie drugiemu środki do życia, skazując go na śmierć, to winien jest

morderstwa i powinien zostać ukrzyżowany. Ci, którzy mu w tym pomagali lub ciągnęli z tego korzyść, również winni są morderstwa i należy ich ukrzyżować – powiedział Franija Fyłożofow. – Tedy cała rodzina Małyszy winna być ukrzyżowana. Mały Myhajło też. – Te twarde słowa określiły granice dyskusji.

Pyszczel nie potrafił się oprzeć logice tej argumentacji, chociaż wymknęła mu się złośliwa myśl: „Sysun łaknie krwi...”

– Są precedensy – kontynuował Franija. – Osiemdziesiąt dwa lata temu *sud* w Cabanie skazał na ukrzyżowanie całą rodzinę, bo odsprzedała dwururkę sysunom. Czterdzieści siedem lat temu *sud* w Gradku skazał na ukrzyżowanie całą rodzinę Mraczných, bo okradli *Stijopanu Goru* i ten zmarł z zimna i głodu w swoim gospodarstwie.

Franija Fyłożofow śmiało zakreślał ramy dysputy. Myhajło rozumiał, że musi mu się równie zamasyżycie przeciwstawić, bo zginie kilka osób. A on sam nie osądzał aż tak surowo paskudnego czynu Małyszy.

Gdy Franija urwał dla nabrania oddechu i dyszał jak wyrzucona na brzeg ryba, Myhajło przyglądał strąki swych tłustych, przyprószonych siwizną, czarnych włosów, machnął ręką, by bardziej przypominało to ruch skrzydeł czarnego wiatraka – specjalnie, gdyż znał ten efekt, a chciał wzbudzić sympatię widowni uwiedzionej argumentacją Franiji.

– Małysz jest niewinny, bo kradł dla życia i zdrowia swej rodziny. – By zjednać audytorium, Myhajło komicznie stuknął o podłogę drewnianą protezą.

„Powinni sobie przypomnieć, że Pyszczel to Pyszczel...”, pomyślał.

– Wanko i Marko odpracują ukradzione krowy Alojsza jako parobcy, ale kobiety Małyszy nie zawiniły.

Franija łypnął wzrokiem wściekłego wieprza.

– Jadły krowy, które ukradł Wanko, więc są winne. – Franija był pewny swojego wyводу, był pewny poparcia sali.

Rozległy się pojedyncze oklaski.

– Czy młody Myhajło też powinien zostać ukrzyżowany? – pytanie Pyszczela było ryzykowne, bo mały nosił jego imię. Nie powinno to mieć znaczenia dla sprawy, ale mogło. Pyszczel miał nadzieję, że krwiożerczość gawiedzi nie sięga aż tak daleko.

– Nikt nie krzyżuje niemowląt, ale mały Myhajło może zostać *obraczety na trupielu* – wybrnął Franija.

– Jaki pożytek będzie miał Alojsz Duben czy MjestsKita Skupisza w Nowi Gradku z szesnastomiesięcznego trupielu? – celnie trafił Myhajło.

– To prawda, racja twoja, *oponijentu* – pokornie zgodził się Franija. Spodobało się to

słuchaczom.

Myhajło najbardziej obawiał się pokory Franiji. Pokorny Sysun był już pewny czyjejs krwi.

„Co planuje?” Każda chwila grała rolę dla Myhajły. „Poniechał małego, to czego chce naprawdę...? Tak lubieżnie patrzył na Nastazję Małyszę... Czyżby Franija tak stanowczo domagał się wyroków śmierci, by móc zobaczyć nagą kobietę? To niesamowite. Z drugiej strony jest stary, tłusty, nigdy żadna go nie zechciała, a płatnego romansu pewnie by nie zaryzykował, żeby nie stracić godności *oponijenta*... Może właśnie dlatego mądry Bazyłko nie dopuścił Franiji do godności kapłańskich, chociaż ten ukończył niemal cały fakultet...”

– Dorośli są w pełni winni – przerwał jego rozważania donośny głos Franiji.

„Oczywiście... Sukisyn chce kobiet”. Pyszczel aż zadrżał z odrazy „Nagich kobiet... Przemocą obnażanych kobiet...”

– Bezpośrednio kradli Wanko i Marko – rzucił Myhajło.

– Prawda.

– Więc Nastazija, Lisbjeta i Anica nie powinny być skazane z utratą godności. – Myhajło uderzał niepowstrzymanie.

– Ale bezpośrednio korzystały z kradzieży – nie ustępował Franija.

– Ale faktem jest, że bezpośredniego udziału w kradzieży nie brały. – Myhajło czuł, że uderza w słaby punkt przeciwnika.

– Nie brały – musiał przytaknąć Franija i była to jego pierwsza prawdziwa porażka.

– Więc nie powinny zostać ukarane z utratą godności – naciskał Pyszczel.

– Nie powinny.

Uwaga tłustego Franiji Fyłożofowa oznaczała, że wszystkie kobiety Małyszów, nawet jeśli zostaną skazane na śmierć, nie zostaną publicznie obnażone.

Myhajło, pewien swoich domysłów, w duchu wymyślał Franiji: „Ty sukisynu, znalazłbyś sobie wreszcie *babu*. Ale która by cię chciała?”

Nie miał wątpliwości, że dzisiejsza surowość Franiji wzięła się z tego, iż chciał po kolei obejrzeć nagie Małysze. Myhajło znał go od młodości. Kiedy on sam gonił za dziewczynami, Franija usiłował wieść filozoficzne dysputy, a potem i tak biskup Bazyłko nie zgodził się, by Fyłożofow został księdzem. I to pomimo że Franija był człowiekiem wielce kształconym i pragnącym uchodzić za świętobliwego. Przeciwnie, zarówno *majica* Ivanna, jak i mądry, święty Bazyłko unikali go jak mogli. Pracując przez lata z Franiją, jako drugi *oponijent*, Myhajło coraz lepiej rozumiał dlaczego.

Czasem wspominał Stijopanowi Babuliji, że niektóre wyroki decydowane przez

Franiję są dziwne, ale stary w czystości ducha nie chciał słuchać.

– Oni nie powinni zostać ukrzyżowani – rzucił Myhajło, obserwując reakcję *oponijenta*.

Tamten chwilę zbierał się w sobie.

– Dobrze, ale nie wszyscy – powiedział twardo Fyłożofow. – Rodzina nie, ale Wanko tak. Jego wina jest zbyt wielka.

Myhajło czuł, że Fyłożofow tym razem ma rację, że taki wyrok będzie surowy, ale sprawiedliwy.

– *Prigołosijte storony* – powiedział Franija do woźnych. Oznaczało to, że to on wzięł na siebie wygłoszenie wyroku, gdyż uznał, że obaj *oponijenty* uzgodnili swoje stanowiska.

Pyszczel zagryzł wargi – nie miał już nic do powiedzenia, nie mogąc podważać autorytetu sądu.

– *Wwedi storony* – stary Babulija wydał oficjalne polecenie.

Strażnicy wprowadzili wszystkich Małyszy. Obie piękne dziewczyny i starą, która trzymała na ręku Myhajłę. Młody Marko stanął obok ojca, postawnego i krzepkiego jak dąb. Patrzyli niezłomnie na urzędników.

„Bije od nich jakaś siła”, pomyślał Myhajło. „Ale ta hardość we wzroku wam nie pomoże. Do Sysuna trzeba z uniżeniem, z udaną pokorą...”

Drugim wejściem spokojnie wszedł zbudzony Alojsz Duben. Zgasła fajeczkę wcisnął za cholewę błyszczącego skórzanego buta.

– *Wanko Małysz pyjde na tjażku smjert* – ogłosił Franija Fyłożofow. Oznaczało to, że pozostali zostaną lżej ukarani.

– *Czjo to byde, majica?* – zapytała Lisbjeta.

– *Papica byde ukriżowaty* – zaszlochała Nastazija.

– *A jeho żjena, Nastazija, a jeho djewki, Lisbjeta a Anica, a synowi jeho, Marko a Myhajło, pyjdu na ljahku smjert. Pro Alojszu Dubenu* – skończył Franija. Wodził wokół niezadowolonymi ślepkami gniewnego wieprza. Nie tego chciał.

– *Majica, a czjo iz noima?* – zapytała Lisbjeta. Nie znała terminów prawniczych.

– *Djeweczko ljubita, bydeme na trupieli obraczete* – straszne słowa nie chciały przejść Nastaziji przez gardło. – *Pre Alojszu Dubenu.*

Alojsz spokojnie, ale z uznaniem przyjrzał się swojemu nowemu dobytкови.

XI.

Do Orlego Gnezna wezwano wszystkich mężczyzn z Sejnnych. Nie zdarzało się to często,

choć było zawarowane w umowie między klasztorem a Sejnymi. Chłopi z ciekawością wstępowali na tajemniczą basztę skalną, niedostępną na co dzień. Uciążliwa wspinaczka dla sprawnego mężczyzny, a co dopiero dla świątobliwej zakonnicy. Na dodatek eksponowaną ścieżkę wykuto w pionowej, wapiennej ścianie.

– *Pawio, poletime na Nowi Gradek. A s name twa dewka, Maria* – zdecydowała Ivanna.

To był jej wybieg, by powstrzymać fantazję Dobana, który gdy tylko mógł kierować lotem, zmieniał się w istnego diabła: gnał z maksymalną prędkością, wyduszając z Bijelej Golabicy więcej, niż mogła wydolić.

Chwila, gdy sterowiec opuszczał hangar na szczycie skalnej baszty, była wielkim wydarzeniem w życiu Sejnych. Ci, co nie pomagali wyprowadzać statku powietrznego, zalegli na łące u podnóża Orlego Gnezna, poniżej skał, tam gdzie jeszcze sięgały uprawne pola Sejnych. Pojawienie się srebrzyście białego cygara przyjęto oklaskami. Dla wieśniaków, na co dzień używających ledwie traktorów, była to manifestacja technologii.

Ivanna myślała, że stary będzie ostrożniejszy, mając na pokładzie swoje dziecko. Łudziła się.

Kiedy Bijeli Golab został wyprowadzony przez wieśniaków ciągnących liny z hangaru na Orlem Gnezne, w małej Dobance odezwała się krew starego. To ona właśnie poganiała do szybszej jazdy, to ją rwało w dal, aż stary z niepokojem spoglądał na sfatygowany silnik.

Ivannie pozostało tylko spokojnie czekać, kiedy w wariackim pędzie dolecą na miejsce i kiedy tamtejsi *buryłaci* schwycać cumy i sprowadzą Bijeli Golabu do miejskiego hangaru. Sejnych nie było stać na zatrudnienie specjalnych pracowników, zresztą mały hangar był tylko na skale klasztornej. Natomiast hangar w Nowi Gradku był ogromną, drewnianą halą, zdolną pomieścić cztery sterowce, ale zwykle parkował w nim tylko jeden, miejski sterowiec, Nowi Gradek. Zupełnie wystarczał do kontaktów z innymi dolinami. Rozmiary hangaru odpowiadały bardziej aspiracjom Mjestskitu Skupiszu niż realnym potrzebom, ale dzięki tym aspiracjom parkowanie sterowca było bardzo wygodne.

Jane Crjelp aż wytrzeszczał oczy, obserwując czynności towarzyszące startowi i sam lot. Wyraźnie zaraził się tym samym bakcylem, co Pawio Doban czy Maria.

„Co ich tak ciągnie do latania?” rozmyślała Ivanna. „Czy on gnał przez te pustkowia z narażeniem życia po to, by uratować życie swojej Lisbjety, czy tylko po to, by pofrunąć w powietrzu...?” Dla niej latanie nie było czymś niezwykłym, choć może właśnie dlatego, że była tak często w powietrzu...

XII.

W drugiej sprawie rozpatrywanej dzisiaj przez Skupiszni Sud w Nowi Gradku należało ocenić czyn Cypryłko Brotiłki. Wbrew zakazowi, wydanemu przez Sud dwadzieścia dwa lata temu, skonstruował on samolot i próbował na nim wzlecieć w powietrze.

Dwadzieścia dwa lata temu Franijsa Fyłożofow w subtelny wywodzie, skrzętnie zanotowanym przez *pysatjeli*, precyzyjnie wyjaśnił, że budowanie wszelkich maszyn latających cięższych od powietrza jest herezją, gdyż zabiło to *swijati Bazyłku*, więc jako ręka szatana zabrało z Nowi Gradku najlepszego człowieka, biskupa. A tymczasem Cypryłko Brotiłka znów spróbował z desek i drutów obciążonych płótnem zbudować aparat latający, więc powtórzyć dzieło szatana.

Tamten proces sprzed dwudziestu dwóch lat Myhajło Pyszcziel pamiętał doskonale. Uległ wtedy precyzji myśli i argumentacji Franijsi Fyłożofowa.

Uległ, choć czuł inaczej. Przecież to on sam jako młody chłopak pomagał biskupowi Bazyłce budować latającą maszynę. Potem razem wzlecieli ponad kwietną dolinę. To było niewydieralne wspomnienie, gdy mijali ścieżki, zagony, ludzi, trzodę. Bazyłko mógł dać ludziom coś więcej niż tradycyjne sterowce. Tanie, proste maszyny latające. A potem nastąpił błąd, coś, czego nie zrozumieli. Samolot roztrzaskał się o skalne zbocze. Biskup Bazyłko zginął, a ci tutaj i ci z Sejnych zrobili z niego świętego. Myhajło stracił nogę, aż kość wyszła na wierzch. Odtąd dali mu *mjeno* Pyszcziel, które później sam przyjął za nazwisko. Tyle że dziewczyny przestały na niego lecieć. Chociaż jedna została jego żoną, Lisbjeta. Tak samo jak ta nieszczęsna, młoda Małysza skazana w poprzedniej sprawie.

Myhajło wyczuł, że Fyłożofow oczekuje, by w sprawie Cypryłki właśnie on, Pyszcziel, zakreślił górną granicę kary. Z pewnością chciał odwetu za wyrok w poprzedniej sprawie. Lecz staremu Myhajle trudno było zmiażdżyć marzenie swojej młodości. Milczenie przeciągało się, wieśniacy spodziewali się znów ostrego spięcia pomiędzy intelektami obu *oponijentów*.

– *Cypryłko wysmiał pamijatu swijatu Bazyłku* – podsunął wreszcie Franijsa, wciągając jak ryba powietrze. – Nie jemu mierzyć się ze świętym. *Djawoł wysmijat swijatu*.

Myhajło uporczywie milczał.

– *Diawołu nje wolno kriżowat*. Nie godzien. *Djawołu wszjecnojo kamijenowat* – dalej podsuwał Franijsa. Chodziło jedynie o to, by Myhajło połączył oba właściwe paragrafy i sformułował wyrok.

– *Oponijentu, rjeczjete prawdu* – poddał się Myhajło. Najzdolniejszy mechanik z Nowi Gradku, kowal Cypryłko, zostanie ukamienowany jako diabeł, ponieważ zbeszcześcił

majestat śmierci biskupa Bazylego, uważanego powszechnie za świętego. Sytuacja była bez wyjścia.

Swijati Jurija czerwjenu draku pobit. Prawa należało słuchać. Bez wyjątku. *Czerwjeni drak* był symbolem państwa, w którym prawo było narzędziem dla doraźnych celów, a nie wartością; był też symbolem skutku, do którego takie traktowanie prawa prowadzi.

Jedyną, skromną satysfakcją Myhajły było to, że nie on wypowiedział słowa tego srogiego, ale najwyraźniej sprawiedliwego wyroku. W skrytości ducha marzył, by móc jeszcze raz w życiu wzlecieć w powietrze warczącym ptakiem z płótna, desek i drutu. Nawet jeśli miał za to stracić drugiego kulasa. Nie rozumiał do końca, dlaczego Bazyłko, umierając, nakazał latanie wyłącznie sterowcami. Nie rozumiał, ale ufał autorytetowi intelektu wielkiego biskupa.

Zamyślony Myhajło drgnął, ponieważ na sali ożywienie wywołane jego wypowiedzią nagle umilkło. Stary rozejrzał się uważnie. Do zatłoczonego, dusznego pomieszczenia weszło kilka osób i to tak zmieniło zachowanie widowni.

W długich, białych habitach raczej wpłynęły, niż weszły. Pierwsza, oczywiście, *majica* Ivanna, jasna, wysoka, z wiekiem już przytyła, ale nadal trzymała się prosto i ruszała zgrabnie; z nią cztery mniszki z Sejen, ciemniejsze, o brązowych oczach i włosach, drobniejsze i niższe. Był pewien, że pod kwefami skrywają długie, zaplecione warkocze. Kobiety z Sejen miały brązowoszare włosy, które z wiekiem przeplatały coraz gęściej nitki siwizny; za nimi wszedł barczysty Pawio Doban o spalonej słońcem, pomarszczonej twarzy oraz jedna z jego córek, jasna jak żona Dobana, ale w gestach i sposobie patrzenia podobna do ojca. Doban był dalekim krewnym Alojsza, ale od dawna przeniósł się do Sejnych, nawet pisał się inaczej.

Doban i Pyszczel wymienili porozumiewawcze spojrzenia: znali się od młodości. Wspólnie wybierali się na zabawy do Caban. Wspólnie zdarzało się im oberwać po gębie od miejscowych, choć zbyt chudy i zbyt wysoki Pyszczel obrywał częściej. Obaj też znaleźli żony w Caban. Z tym że Myhajło ustatkował się wcześniej – może dlatego, że stracił nogę – zaś Pawio znacznie później.

Łączyła ich też wspólna niechęć do Franijsy Fyłożofowa, który nieustannie udawał, że jest lepszy i gorliwszy, tylko co jakiś czas wychodziły na jaw jego nieładne postęпки, a później, gdy miał władzę, jego decyzje budziły odrazę.

Zanim jeszcze Myhajle zaświtał w głowie ten pomysł, zanim jeszcze Franijsa zdołał ułożyć w głowie odpowiednio uroczystą mowę powitalną na cześć Ivanny, odezwał się Stijopan Babulija:

– Korzystając z obecności świątobliwej, może *majica* Ivanna przybliży nam ostatnie chwile *swijatu Bazylku*, byśmy podjęli wyrok z duchem prawa, by *czzerwjeni drak* przypadkiem nie podniósł łba w Nowi Gradku.

Za to jedno zdanie Myhajło gotów był podarować Babuliji baryłkę wódki pędzonej z najdorodniejszych ziemniaków z jego zagonu. Że też jemu samemu to nie przyszło do głowy. Trudno będzie mówić o Stijopanie nadal „stary dureń”, jak zwykle dotąd.

– *Boh iz woima, swijata majica Ivanna...* – zaczął swą przemowę Franija Fyłożofow.

– *Bog s warne, Franija Fyłożofow* – szybko odpowiedziała, przerywając spodziewany wpływ pochwał i zachwytów. Planowała wejście na salę w trakcie sprawy Małyszcy, wiedziała jaki to wywoła efekt i dzięki temu będzie mogło mieć wpływ na wyrok. Spóźniła się, trafiła na inną sprawę, choć równie ważną, bo też decydowano o życiu człowieka.

Powstała i podeszła ku katedrom, choć nikt nie miałby jej za złe, gdyby mówiła, siedząc na ławie w ostatnim rzędzie sali. Szła spokojnie, lekko, mimo tuszy; bił od niej majestat dobroci. Ludzie w Nowi Gradku lubili ją i to dało się wyczuć.

– Byłam przy śmierci biskupa Bazylia – powiedziała Ivanna. – Bazylia nie umarł na miejscu wypadku. Gdy wszyscy przybiegli i udało się wydobyć obu awiatorów, Bazylia był nieprzytomny i udzielano pomocy Myhajle, chociaż jego kikut nie krwawił, bo żyły zacisnęły się.

– Tak było – przytaknął stary. – Nie krwawiłem i nie czułem mocnego bólu, tylko kręciło mi się w głowie. Pamiętam ten dzień, tak było. A *Bazylku* odniesiono do sali *sudu*, właśnie tu, gdzie dziś siedzimy. I był z nim, oprócz Ivanny, też Franija Fyłożofow. I właśnie Franija Fyłożofow zapisał ostatnie słowa *swijatu...*

– Rozmawiałam z Bazylią. – Ivanna skinęła głową, potwierdzając słowa Myhajły, ale jednocześnie grzecznie mu przerywając. Nie wiedziała, co w jej relacji może zainteresować sąd, ale nie chciała, by jej słowa zostały zastąpione czymś opisem, a szczególnie sporządzonym przez Fyłożofowa.

– Umierał spokojnie. Odniósł poważne obrażenia wewnętrzne i było wiadomo, że w Nowi Gradku musi umrzeć. Jego największym strapieniem było, że nie zdążył naznaczyć następcy. Najważniejszą rzeczą jest ciągłość, ciągłość od Petra Skały, a u nas na Zeme ciągłość ta na razie została przerwana. O tym mówił najwięcej.

– A co mówił o samolotach? Zginął przez samolot. – Myhajło czuł, że może dowiedzieć się czegoś innego, niż zwykle mówił Franija o śmierci *swijatu Bazylku*.

– Powiedział: „To fascynujące, nigdy nie studiowałem konstrukcji lotniczych, oparłem się na ogólnej wiedzy technicznej i udało się...” Poleciał. Potem koniecznie chciał zobaczyć

Myhaję, chciał mu przekazać jakieś swoje spostrzeżenia z lotu.

– Mnie?

– Tak. Kilka razy powtórzył, że młody Myhajło ma naturalną smykałkę techniczną.

– Ale przecież powiedział, że samolot to *djawińska* sztuczka, by zabić świętego męża.

By odtąd żyć w pokorze i nie budować więcej tych diabelskich narzędzi – zdziwił się Babulija. – Tak nam jego słowa przekazał świętobliwy Franija Fyłożofow.

– Nic takiego nie powiedział biskup Bazylia.

– Ale tak, tak wynikało z jego słów... – wmieszał się Franija, aż kiwając się do przodu i do tyłu. Jego duże nozdrza wydawały się większe niż zwykle, a małe oczka, umieszczone blisko siebie, umieszczone jeszcze bliżej niż zwykle. – Przede wszystkim pokora...

– Najwyższy chciał, byśmy kontynuowali jego dzieło, dzieło stworzenia. Nie powiedział, byśmy byli tchórzliwymi niedorajdami – proste słowa Ivanny leciały jak pociski. Franija kulił się w sobie.

„Ona musi o nim wiedzieć coś, czego nie wie nikt inny na tej sali...” pomyślał Myhajło.

– Tworzenie nowego wymaga odwagi. Pokora zaś, to ma być właściwy stosunek do naszego dzieła, nie może nam pozwolić, byśmy utracili właściwą relację do Stwórcy, byśmy wpadli w pychę – kontynuowała.

„No jasne, zawsze unikał latania sterowcem”, myślał dalej Myhajło. „Czyżby chciał ze swego tchórzostwa uczynić powszechną cnotę...?”

– Pyszny można być, będąc jednocześnie tchórzliwym niedorajdą – dokończyła Ivanna, nie spuszczać wzroku z Frani.

Myhajło gotów był założyć się o krowę, no może o dwie kozy, że gdzieś w kąciach tych jasnych, spokojnych oczu czai się uśmiezek.

– *To wielka prawda, swiate słowa.* – Franija pokornie opuścił głowę.

„Znowu Sysun zgadza się pokornie, znowu poleje się czyjaś krew?” Myhajło nie mógł uwolnić się od zwykłych podejrzeń. Odruchowo poprawił *kapelijun* i przyglądał włosy. O ileż mniej krzyżowano by w Nowi Gradku, gdyby Orleto Gnezno wznosiło się nie nad Sejnymi, a tutaj... Ale zaraz przypomniał sobie dyskusje i spory sprzed lat, kiedy zabroniono Ivannie odwiedzania Nowi Gradku częściej niż raz w roku, bo władze tak bardzo obawiały się jej wpływu na ludzi.

– *Tako stoi czjo Cyprylko nje wynowity* – rąbnął Myhajło, zanim Franija powiedział co innego. – I niech zbuduje do końca swój samolot.

Franija nie odezwał się ani słowem. Nie sprzeciwił się, co oznaczało, że wyrok

Myhajły jest i jego decyzją.

– Czy *majica* Ivanna przechowała jakieś notatki *swijatu Bazylku*, inne niż zachowane przez świątobliwego Franiję? – zapytał przytomnie Babulija. – Mogłyby być przydatne Cyprylce.

– Niestety nie. Nic mi nie przekazał, prócz tych słów.

– Mógłby polatać ze mną jako praktykant – włączył się milczący dotąd Pawio Doban. – Wprawdzie zasady lotu sterowca różnią się od reguł lotu samolotem, ale pozostaje wiele wspólnego. Jeśli *skupisza* się zgodzi... – Pawio znał społeczne zwyczaje panujące w Nowi Gradku. Już nawet w małych Sejnych zrezygnowano z tak silnego, prawnego powiązania człowieka z gromadą, gdyż na szanse przetrwania społeczności nie miała wpływu obecność jednego człowieka, ale uszanował tradycyjne prawo panujące w Nowi Gradku.

„Cyprylko musi lecieć jako praktykant na sterowcu z Sejnych, bo nasz własny, miejski już od trzech lat nie wychynął z hangaru”, pomyślał z przekąsem Myhajło.

– Tak będzie z pożytkiem dla *skupiszu*. – Stijopan Babulija z rozmachem palnął drewnianym młotkiem, aż młotek spadł z trzonka. Kilkoro dzieci zachichotało, a usłużny woźny podszedł i podał spadły klocek. Babulija energicznie nabił młotek na trzonek. Myślał podobnie jak Doban: obywatele powinni mieć więcej samodzielności, ale ogół ludzi uważał inaczej i nikt nie próbował tego zmienić.

Stary Babulija miał dzisiaj swój dobry dzień.

– Tak rzadko jesteś wśród nas, *majica* Ivanna, a ojca Jona ter Boin utraciliśmy chyba na zawsze. Skoro jesteś, wypowiedz swoje zdanie i w sprawie, którą rozpatrzyliśmy wcześniej.

Ivanna błysnęła spojrzeniem. Była wdzięczna staremu za tę wypowiedź. Spóźniła się na sprawę, dla której tu specjalnie przybyła i nie wiedziała, jak do niej wrócić, by nie urazić *sudu* w Nowi Gradku. Natychmiast wybaczyła mu nieszczerzy żal, pamiętała przecież, że właśnie Babulija najgłośniejsz gardłował przeciwko jej zbyt częstym wizytom w Nowi Gradku.

Stijopan pokrótce wyłuszczył znaną wszystkim sprawę Małysz.

– Trudno rozstrzygnąć – zaczęła Ivanna, a oczka Franiji Fyłożofowa zrobiły się twarde jak ślepią węża.

– Kobiety Małysz nie brały w kradzieży udziału wcale. – Ivanna czuła strach dławiący gardło, by nie powiedzieć czegoś niewłaściwego. Czuła, że na sali siedzi człowiek łaknący odwetu za jej ingerencję w poprzedniej sprawie, człowiek łaknący krwi; czuła, że większość sali uważa, że stary Małysz zasługuje na surową karę.

– Młody Marko został przywieziony do kradzieży przez ojca... – głośno zastanawiała

się Ivanna, choć były to zdania układane w głowie od chwili, kiedy Jane Crjelp prosił ją o pomoc. – Stary Wanko Małysz kradł, ale nie dla swojego zysku, lecz dlatego, że głód zajrzał mu w oczy. Przecież wcześniej był uczciwym człowiekiem, niczego nie ukradł... – ciągnęła w pozorowanym zamyśleniu.

– Jednakże Wanko Małysz ukradł i nie zwrócił – przerwał jej nienaturalnie cienkim, nerwowym głosem Franija Fyłożofow.

– Ale Alojsz Duben nie umarłby z niedostatku, bo Wanko pozostawił mu osiem krów – próbowała przekonywać Ivanna. Niezręcznie, bo powtarzała argumenty Myhajły, które Franija zdołał wcześniej odparować.

– Kradzież to kradzież. – Franija bezradnie rozłożył ręce, jakby i on chciał najłagodniejszej kary. Jego argumenty znakomicie trafiały do słuchaczy, na ogół niezamożnych ludzi, dla których skromny dobytek był wartością najwyższą.

Ivanna umilkła. Rozumiała, że nie kontroluje sytuacji, że kto inny podejmie decyzję, że głos jej serca nie trafił do nikogo.

Lepkie zadowolenie wylało się na gębę Franiji Fyłożofowa. Wiedział, że teraz może okazać miłosierdzie w należytych granicach, a za każdy gest Ivanna musi mu być wdzięczna.

– Cenne prawdy powiedziała nam *swijata majica* Ivanna i musimy z nich skorzystać, by *czzerwjeni drak* nie zbudził się w Nowi Gradku – zaczął. Wiedział, że ma salę po swojej stronie.

– Kobiety, Małysze, nie są winne kradzieży – powiedział, skromnie zwieszając głowę.
– Wyjaśniła mi to *majica* Ivanna.

Na sali podniósł się życzliwy pomruk. Franija potrafił znakomicie wyczuwać oczekiwania słuchaczy.

„Sukisyn, jak nie będzie mógł zobaczyć ich nagich, to przestały go interesować jako ofiary...” pomyślał złośliwie Myhajło.

– Dlatego powinny odejść wolne – kontynuował świątobliwy Franija.

Ktoś klepnął parę oklasków. Ta decyzja została bardzo dobrze przyjęta. Jakoś nie wypadało w obecności Ivanny pochopnie skazywać na wyrwanie duszy.

– *Malkity* Myhajło nie jest winien kradzieży – głosem niższym niż zwykle zawyrokował Franija. To też przyjęto dobrze, bo nikt nie chciał karać niemowlecia.

– Marko jest dzieckiem, więc poprowadzony przez ojca nie wiedział, co czyni, i jako dziecko robił tylko to, co rodzic przykazał.

– *Welkity Franija, swijatlywity Franija* – szeptały osoby z audytorium. I właściwie Pyszczel też powinien dołączyć się do tych szeptów.

„Tłusty wieprz potrafi we właściwej chwili powiedzieć właściwe słowa”, tylko na tyle złośliwości potrafił zdobyć się Myhajło.

– Ale Wanko ukradł i nie zwrócił, choć nie zrobił tego dla zysku.

– *Tak sud Nowi Gradku rjecze* – powiedział autorytatywnie Franija. – *Nastazija, Lisbjeta, Anica, Myhajło a Marko Małyszi su swobodne.* – Tego chciała sala. – *A Wartko Małysz pyjde na ljahku smjert pre Alojszu Dubenu.* – Z sali dobiegły odgłosy aprobaty. Sysun potrafił okazać wspaniałomyślność...

Stary Babulija przytwierdził nowy wyrok głośnymi uderzeniami młotka. Zanim *swijatływity* Franija nie zmieni zdania...

Ivanna była bliska łez, wiedząc, że znów człowiekowi zostanie wyrwana dusza, i to tak dzielnemu jak Wanko Małysz. Nie zdobyła się, by podziękować Franiji za wspaniałomyślność.

Na salę wezwano Cypryłkę, by ogłosić mu wyrok. Następnie wprowadzono całą rodzinę Małyszy. Mimo że ocalili życie, płakali, tylko Wanko nie płakał.

XIII.

Przez dwa dni Ivanna pozostała w Nowi Gradku. Wprawdzie spraw sądowych nie było chwilowo więcej, ale ludzie uważali, że sama jej obecność ma dobry wpływ na społeczność. Złościły ją te bujdy, ale gdy o tym mówiła, siostry spuszczały oczy, a Pawio Doban uśmiechał się tym swoim denerwującym, ironicznym uśmieszkiem.

Te dwa dni składały się z nieustannych wizyt u różnych ludzi w Nowi Gradku. Podejmowali ją, prosili, by wspólnie się modlić. Udało jej się załatwić miejsce dla Małyszy. Córki i Małysza pójda na służbę, Marko do terminu do kowala Cypryłki. Szkoda, że Lisbjeta i Anica nie będą mogły kontynuować nauki.

Jeśli już uruchomiła Bijeli Golabu na coroczną podróż, to należało polecieć też nad tereny sysunów, odwiedzić ojca ter Boin. Doban nie zdziwił się zbytnio. Wysłuchał polecenia i powiedział jedno słowo:

– Kiedy? – Do latania nie potrzebował zachęty.

Bijeli Golab polecał w górę doliny, mijając kolejne szczyty i turnie Porogów. Doban nie wznosił statku zbyt wysoko, wołał lecieć w zasięgu strzału z dubeltówki z ziemi. Sysuni pamiętali wysoko latające sterowce z okresu ostatniej wojny. Nie chciał wywoływać ich niechęci, a wiedział, że karni, jako pierwsi nie zaatakują. Wieść o wysoko lecącym sterowcu mogła zarówno zaszkodzić ojcu ter Boin, jak i wpłynąć na nieżycziwe przyjęcie *maiki*. Lot na małej wysokości był trudny, w statek powietrzny uderzały lokalne prądy dolinne. Górna

część doliny Thalaht nie była zamieszкана. W surowym, górskim krajobrazie widzieli odosobnione strażnice sysuńskie. Po ostatniej wojnie wyparli ludzi z górnej części Thalaht, udało im się nawet zrównać z ziemią Gradek, poprzednie miasto.

– To zupełnie inne góry niż Grody – powiedziała Maria, która pierwszy raz leciała sterowcem i pierwszy raz widziała Porogi obramowujące Thalaht. Ludzie nadali nazwę górom, sysuni dolinie.

Grody wznosiły się pionowymi, skalnymi cytadelami, izolowanymi od siebie. A do zasiedlenia nadawały się tylko fantazyjnie pogmatwane doliny między nimi. Orle Gnezno było basztą na skraju jednej z takich cytadel.

– Dlatego lecę tak nisko – odpowiedział Doban. – W tych górach można tak lecieć, powietrze przy ziemi jest spokojniejsze.

– Dziwne te osiedla na dole. Domy jak paciorki nanizane na nitkę.

– To są tereny sysunów. Oni tak mieszkają.

– Dobrze, że Nowi Gradek osłania nas przed nimi. Co by to było, gdyby na nas napadli?

– To my napadamy na nich, nie oni. Z wyjątkiem pierwszej wojny, zaczętej przez nich. Zresztą Sejny graniczą z sysunami. My zasiedliliśmy doliny pod Grodami, a oni cofnęli się od gór.

– Boją się nas.

– Nie sądzę. – Doban pokręcił głową. – Są dobrymi żołnierzami. Zamieszkują całą Zemę. Może nie mogą dogadać się między sobą...? Staczają z nami wojny, ale nie angażują się w nie bardzo. Ty wojny nie pamiętasz, bo ostatnia toczyła się w Thalaht, ale Sejny także kiedyś walczyły z nimi, Caban też.

– Czekaj chwilę, zaraz przelecimy przez przełęcz Bakletf. Muszę uważać, może uderzyć w Golaba jakiś inny prąd.

Pogoda była dobra, chociaż wiele chmur snuło się po niebie. Pod wieczór mogła zrobić się z tego burza.

Od drugiej strony przełęcz Bakletf obrywała się ścianą, pod którą w karze zieleniało okrągłe jeziorko.

– Jak się nazywa ta dolina?

– Caz dl Kvoi.

– Trudno to wymówić.

– Sysunom też trudno mówić ludzkim językiem, ale się uczą. Niektórzy mówią całkiem dobrze. A tylko niewielu ludzi włada językiem sysuńskim.

XIV.

Sterowiec zatrzymał się nad łąką koło jednego z osiedli dl Kvoi. Na trawie widniały wyraźne znaki: cztery strzałki umieszczone w rogach kwadratu i celujące w kółko znajdujące się pośrodku. Sterowiec zatrzymał się nad kółkiem. Skądś pojawili się sysuni, którzy chwycili za cumy Widać wieść o przylocie rozchodziła się z szybkością większą niż szybkość sterowca.

Zgodnie ze zwyczajem sterowiec nie parkował w żadnym hangarze, jedynie opuszczono wiklinowy kosz, do którego weszła *maika* Ivanna. Ten zwyczaj miał proste uzasadnienie: sysuni od dawna chcieli poznać technologię budowy sterowców i w ten sposób zabezpieczano się przed napaścią. Inna sprawa, że Bijeli Golab był sterowcem helowym i jego zdobycie nie dałoby sysunom wiele, poza ogólnymi zasadami konstrukcji kadłuba i silnika. Prawdziwym nieszczęściem byłoby, gdyby udało im się zdobyć Nowi Gradek albo Ptijcu Cabanskoju, które latały na ogrzewane powietrze. Technologia wydobywania helu przepadła mniej więcej pięćdziesiąt lat temu przy okazji wielkiego pożaru Caban.

Gdy kosz z Ivanną lekko oparł się o ziemię, kilku sysunów pomogło jej wydobyć się z niego. Sysuni wprowadzili byli uzbrojeni, ale zachowywali się swobodnie, jakby nie mieli wątpliwości, kto wysiądzie z kosza, a broń mieli, bo taki rozkaz. Dwaj z nich przeżegnali ją znakiem krzyża, pozostali przyjrżeli się jej uważnie.

– *Dobrejo doszjeli, welkita diawollica Ivanna* – przywitał ją jeden z nich, oficer.

Ivanna skinęła głową, nie spodziewała się innych słów. Prawdopodobnie było to życzliwe powitanie.

Dała znak, by podjęto kosz na pokład. Białe kółko na trawie zostało równiutko usypane z drobnych kamyczków. Bijeli Golab majestatycznie zawrócił; jego srebrzysta sylwetka wolno malała w oddali.

Odprowadzili ją do jednego z tych swoich solidnych, murowanych zabudowań wznoszonych z głazów układanych i dopasowywanych bez spoiwa. Po zniszczeniach ostatniej wojny na ludzką modłę zaczęli używać zaprawy, ale dostatek trupieli spowodował, że znów wrócili do starej, pracochłonnej technologii.

Wewnątrz budynku czekał na nią ojciec Jon ter Boin. Mały, chudy staruszek o różowej łysinie i długiej, siwej brodzie. Przypominał miłego gнома. Sława jego intelektu, świętości i dobroci jakoś nie pasowała do tej skromnej postaci.

Uśmiechnął się do Ivanny jakoś tak bardzo otwarcie, jak potrafią uśmiechać się niektóre dzieci.

– Znowu upłynął rok i znowu się spotykamy – powiedział.

– Sporo zdarzyło się tego roku.

– Nie wątpię, nie wątpię. – Stary poprawił habit. Skinął głową, aby dwaj towarzyszący mu sysuni wyszli. Był zakładnikiem, nie więźniem. Miał prawo rozmawiać z Ivanną bez świadków.

– Przyleciał ktoś? – zapytał, gdy zostali sami.

– Nikt.

Ter Boin pokiwał głową.

– Musimy być bardzo na skraju – powiedział. – Bardziej niż mogłem pomyśleć, kiedy zdecydowałem się tu przylecieć.

– Bardziej, niż ja mogłam pomyśleć.

– Zapominam ludzkiej mowy – podjął po chwili. – Z nimi rozmawiam wyłącznie po sysuńsku.

Znów umilkł.

– Wiesz Ivanno – odezwał się. – Odnoszę wrażenie, że oni znacznie więcej korzystają na kontaktach z ludźmi niż odwrotnie. Dlatego ja chcę nauczyć się od nich jak najwięcej.

Do pokoju wszedł sysun, niosąc na tacy dymiący posiłek.

– Zaraz. – Jon ter Boin powstrzymał go dłonią.

– Chcesz się wypowiedzieć? – zwrócił się do Ivanny.

– Po to tu jestem.

Sysun zrozumiał jej wypowiedź i wyszedł. Ivanna była jedynym człowiekiem dopuszczanym przez sysunów do spowiedzi. Wszelkie próby negocjacji, by ojciec ter Boin choć raz w roku wracał do swoich, by udzielić im sakramentów, spotykały się ze zdecydowanym sprzeciwem.

Ivanna wymieniła swoje winy. Nie było tego zbyt wiele.

– Nie uratowałam człowieka. – Na koniec zostawiła największą wątpliwość. – Zrobią trupiela z Wanki Małysza.

– Dobrze chociaż, że sysuni wydali Małyszów ludziom do osądzenia – powiedział ter Boin, gdy wysłuchał szczegółów całej sprawy. – Wedle prawa sysuńskiego za wtargnięcie na ich terytorium każdemu wydziera się duszę. Sysuni potrzebują tanich rąk do pracy... Jak szybko to się przyjęło. – Pokręcił głową. – Ludzie wzięli ten sposób karania za swój, są krwiożerczy, taki człowiek jak Franija Fyłożofow bardzo im odpowiada. Znów go wybiorą na nową kadencję. Żeby chociaż stary Myhajło nadal pozostał *oponijentem*. Właściwie tylko on może być przeciwwagą dla tego człowieka. Myślę, że nie mogłaś zrobić więcej.

Potem rozgrzeszył Ivanę.

Wezwał sysuna, by ten przyniósł hostię.

– Zakonsekrowałem trochę na zapas. Miałem nadzieję, że może tym razem pozwolą wsiąść jeszcze komuś innemu. Uprawiają dla mnie specjalne poletko pszenicy, z której robią opłatki. Udało się nam opracować technikę usuwania niestrawnych substancji z mąki i teraz nie ma kłopotów. Ale wcześniej po opłatku dostawali straszliwych boleści, nie trawili naszego chleba. Kilku z nich popełniło samobójstwo, wierząc, że Bóg ich odrzuca. Nie potrafię ich przekonać, że życie nie jest ich własnością...

– Zabierają ci hostię – zauważyła Ivanna.

– Uważają, że diabeł nie jest godzien, by przechowywać Ciało Boże.

Jeden z sysunów przyniósł kielich, dwóch innych przyszło z nim. Ivanna uklękła z wysiłkiem, kolana bolały po bezruchu w gondoli sterowca. Sysuni uklękli sprężysto i zgrabnie.

– Ciało Chrystusa – Jon ter Boin zaczął od Ivanny.

– Amen.

Sysuni po przyjęciu sakramentu zwieszali jaszczurcze głowy i składali dłonie na krzyżach przymocowanych do napierśników zbroi. Potem powstali, a jeden z nich wyniósł kielich.

Zaraz potem wrócił ten, który wcześniej przyniósł posiłek. Widocznie to on był odpowiedzialny za zaopatrzenie zakładnika i gościa. Jon zamienił z nim kilka słów po sysuńsku. Zaraz potem sysun przyniósł posiłek.

Jon ter Boin jadł za dwóch, Ivanna nie miała apetytu po napowietrznej podróży, która wywołała u niej lekkie mdłości.

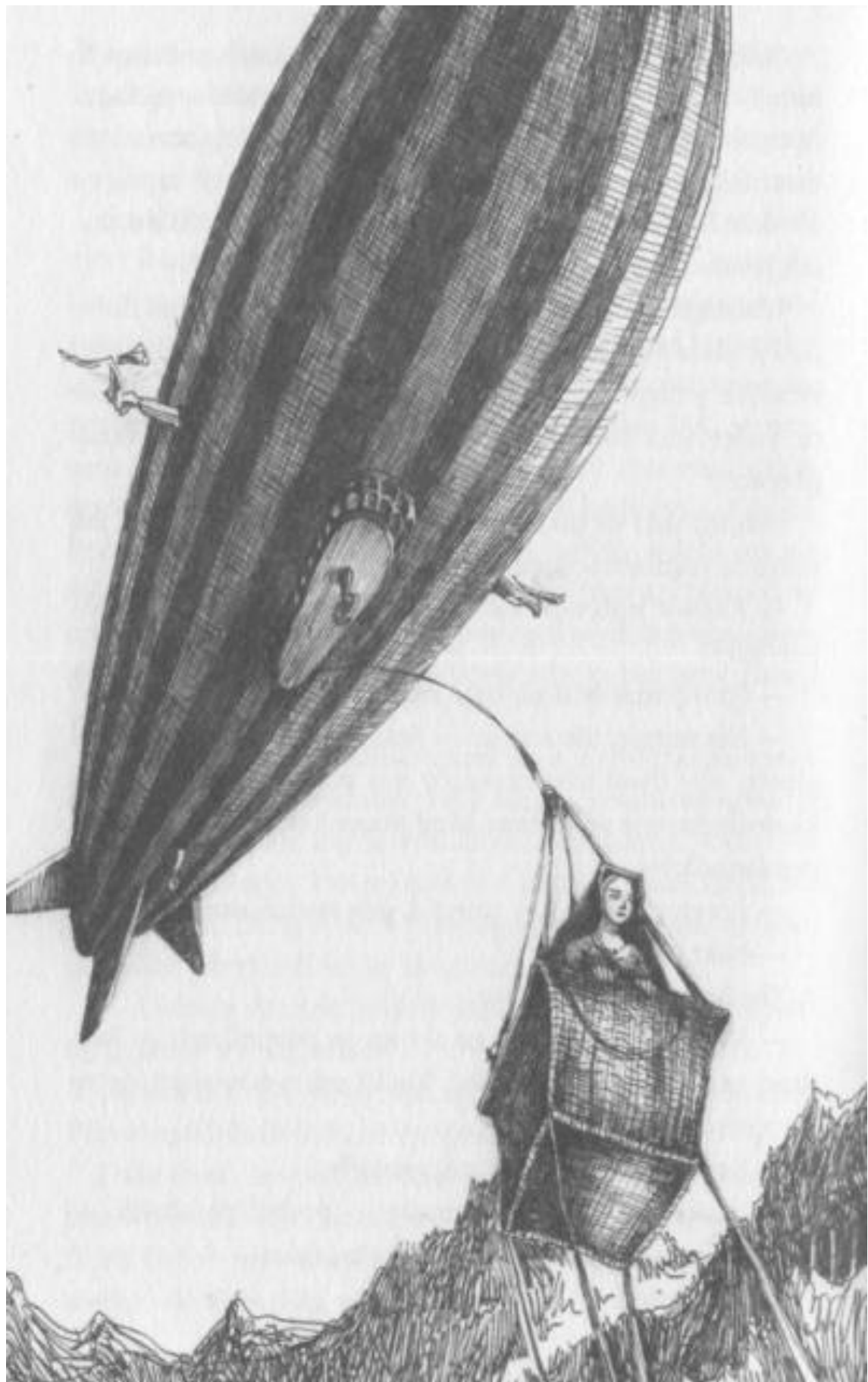
– Zawsze ręka mi drży, gdy ich komunikuję – powiedział ter Boin. – Nie wiem do końca, jak oni to rozumieją, czy rzeczywiście mogą przyjąć Pana.

– Uważasz, że sysuni nie powinni...?

– Nie, to nie to. Świat jest pieśnią śpiewaną przez Boga. Ludzie w tej pieśni są jedną strofą. Sysuni są inną. Po prostu nie mam pewności w konkretnych przypadkach... Spowiadają się dziwnie, wyliczają rzeczy, które trudno nazwać winą... Nie wiem. Z kolei wydaje mi się, że czasem opuszczają rzeczy istotne.

Ivanna z widoczną obawą wzięła się do jedzenia.

– Nie... nie... Jest w porządku – zarzekł się ter Boin. – To zwykła wołowina. Od czasu, jak w zeszłym roku strułaś się, przestali eksperymentować. Na mnie nie próbowali eksperymentów. Od początku wiedzieli, że jestem tu jedynym kapłanem i nie mogę naznaczyć następnego. Znali wartość zakładnika, nie ryzykowali na nim eksperymentów kulinarnych.



- Nie mogę jeść za dużo – powiedziała Ivanna. – Mało ruszam się i tyję. A co tydzień muszę pokonać te wszystkie stopnie na dół i do góry.

- To łażenie jakoś trzyma cię w formie.

- A ty, nadal eksperymentujesz z pożywieniem? – spytała. Jon ter Boin był kiedyś biologiem.

- Ja tak, oni przestali. Mogliby spożywać mąkę pszenną, gdyby chcieli. Ale uważają, że skoro wyrabia się z niej opłatki, to nie powinno się używać jej do zwykłych potraw.

- Badasz ich nadal...?

- Tak. Obecnie nie mam już wątpliwości. Są dinozauroidami. Wiesz, pewne cechy budowy. Ale stali się zdumiewająco podobni do nas, w budowie, w sposobie poruszania się, mówienia. Konwergencja.

- Dla mnie są jacyś tacy jaszczurczy, w gestach, w ruchach.

- To pozór. – Jon pokręcił głową. – Wydają się jaszczurczy, bo mają taką dziwną, szorstką skórę i układ twarzy. Jest tu sporo jaszczurek i mam dość okazji do porównań: oni są ludzcy, przerażająco podobni, zapewniam cię, Ivanno... Nawet mimika twarzy... Może są zbyt podobni i dlatego jesteśmy tak czuli na różnice?

- Myślisz, że wywodzą się z Primy?

- Mało prawdopodobne. Za duże różnice w chemii pomiędzy oboma światami, nami i nimi. Z drugiej strony może oni tak daleko ewoluowali chemicznie od nas? Nie wiem. Może jakieś sysuńskie rakiety też latają. Jeśli tak, to skrzętnie ukrywają ten fakt przede mną.

- Dlaczego nas po prostu nie zmiążdżą, nie zmiotą z powierzchni Zemy? Przecież zasiedliliśmy ledwie parę dolin, a oni resztę planety...

- Czy całą planetę, tego nie wiadomo, bo nie podróżowaliśmy nigdy tak daleko. Ale tak czy owak, myślę, że oni nas obserwują. Raczej unikają eksperymentów, tylko uczą się, rejestrują, wypytyują. Zrozum, Ivanno, to tak jakby nam diabeł objawił się cieleśnie, pozwolił ze sobą rozmawiać, więcej, był na tyle słaby, że można by go było zwyciężyć militarnie... To przecież fascynujący obiekt do badania.

- Nadal uważają nas za diabły?

- Nie mają co do tego wątpliwości. Ukrzyżowaliśmy Chrystusa. Widzą moją religijność; uważają, że wynika ona z pewności, a nie wiary; a diabeł nie ma żadnych wątpliwości co do istnienia Pana, bo wszystko, co chce robić, jest wyłącznie zaprzeczeniem woli Bożej.

- To dlaczego przyjmują sakramenty od diabła, znaczy od ciebie?

- Pytałem ich o to. Bo Najwyższy obecnie właśnie mnie, znaczy diabłu, kazał to robić.

Zmusił mnie. Uważają, że w ten sposób pokonują mnie, znaczy diabła.

Ivanna pokiwała głową.

– Skoro nas tak oskarżają, to może sami są bez grzechu pierworodnego i nie potrzebują odkupienia...? – zapytała.

– A wiesz, to...? – Jeśli Najwyższy kierował się tą samą logiką przy całym stworzeniu, to nie są – poprawił się ter Boin.

– Widzisz jakiś wpływ wiary na nich?

– Zdziwiająco łatwo zrozumieli konieczność istnienia Boga. Odkupienie też...

– Odkupienie też? Przecież uważają nas za diabły? – przerwała mu.

– Tak. Uważają, że Bóg dał się umęczyć przez diabła, by odkupić winy stworzonych. Ukrzyżowanie wydało im się bardzo naturalną formą cierpienia. Zawsze było u nich powszechnie stosowaną karą najwyższą. Obecnie przynajmniej ograniczyli je do najpoważniejszych przestępstw, wyłącznie kryminalnych.

– Nie chcą się pomylić, jak kiedyś ludzie...?

– Chyba tak. Mocno wierzą, że drugi raz On przyjdzie właśnie do nich.

– Niestety, w Nowi Gradku krzyżują często.

– Tak. To jest właśnie przerażające, co najszybciej przenika pomiędzy cywilizacjami. Wódka za wrywanie duszy. Kamienowanie za krzyżowanie. Oni obecnie rzadziej krzyżują, częściej kamienują. A ludziom podoba się okrucieństwo. Biorą to za swoje.

– Wiara też przenikła.

– To prawda, ale oni byli do tego przygotowani. Czekali. Mieli swoich proroków.

– Jak się nazywali?

– Z tym kłopot. Jeden z nich kazał mówić na siebie po prostu Stworzenie Boże, inny był podobnie skromny, bo nazwał się Jeden z Sysunów. Oczywiście mógłbym ci to powiedzieć po sysuńsku, ale chyba lepiej będzie przetłumaczyć ich imiona.

– I ci prorocy powiedzieli, że jesteśmy diabłami?

– Niestety tak. Powiedzieli im, że Dobrą Nowinę przyniosą diabły. I przestrzegli, żeby pomimo tego jej nie odrzucić.

– Może to taka metafora oznaczająca obcych?

Jon ter Boin uśmiechnął się niewyraźnie. Widać sam nie był przekonany.

– Uczono mnie, że ludzie są Żydami wśród narodów Kosmosu, Ludem Wybranym, bo Bóg wszedł w świat, stając się właśnie jednym z ludzi. I że tak będziemy postrzegani przez wszystkie narody rozumne Kosmosu. I wszyscy oni będą musieli przejść swą długą drogę intelektualną, zanim zrozumieją, że wszyscy ludzie są ich braćmi. Spodziewałem się, że

sysuni tak właśnie pomyślą, ale zarzut, że jesteśmy diabłami... – Pokręcił głową. – Na coś takiego nie byłem przygotowany.

– Ale przecież diabeł jest narzędziem, weryfikatorem dzieła stworzenia. Jak sekator w ręku ogrodnika – zastanawiała się Ivanna. – Jedne dzieci Boże nie mogą pełnić takiej roli dla innych dzieci Bożych...

– Zaczęłaś nazywać ich dziećmi Bożymi. – Jon ter Boin uśmiechnął się figlarnie. Gdy śmiał się, przypominał uradowanego krasnoludka.

– No, przecież... – Wzruszyła ramionami. Zaraz jednak przypomniała sobie ich rozmowę sprzed roku i spokorniała.

– Cypryłko z Nowi Gradka próbował zbudować samolot. Franija Fyłożofow o mało co nie skazał go za to na ukamienowanie.

– Znowu ten Franija. Ojciec od najmłodszych lat sposobił swego jedynaka do kapłaństwa, a z tego wybrańca wyrosło... Utrapienie dla wszystkich. I kogoś takiego regularnie z kadencji na kadencję wybierają na *oponijenta*. – Jon ter Boin pokiwał głową.

– To byłoby znacznie lepsze rozwiązanie niż sterowce – zmienił temat. – Umiemy konstruować silniki, benzyny jest dosyć, a technologia helu przepadła. – Lata chociaż ten samolot...?

– Cypryłko nie skończył budowy, a już go capnęli. Ale i tak jego konstrukcja pewnie nie wzniosłaby się w powietrze. To samouk bez doświadczenia. Żeby chociaż biskup Bazyli zostawił jakieś notatki...

– Na pewno zostawił. Był pasjonatem latania.

– Franija przechowuje notatki Bazylego. Twierdzi, że nic nie było tam o lataniu...

– Pewnie zniszczył te zapiski. Nie sądzę, żeby Bazyli budował samolot bez sporządzenia dobrych planów. Franija bał się, że ktoś może zbudować samolot, a on jako *sudowi oponijent* będzie musiał go wypróbować. Gdyby wielkość człowieka mierzyć w skali tchórzostwa, to Franija byłby wśród najpierwszych. Choć może krzywdzę go, może przeżył szok, jak zobaczył urwaną nogę Myhajły i wystającą kość, i to wspomnienie dotąd za nim idzie.

– Myhajło zupełnie inaczej mówi o lataniu, widać zapał, jaki dotąd w nim się tli. Mimo wypadku, mimo kalectwa – powiedziała Ivanna.

– Dobrze by było, żeby razem z Cypryłką wzięli się do budowania samolotu. Może Myhajło jeszcze pamięta, jak pracował z Bazylim.

– Dobrze by było.

XV.

Ivanna dostała dla siebie obszerny pokój. Następnego dnia rano miał po nią wrócić Bijeli Golab.

Późnym wieczorem, gdy już pożegnała ojca Jona ter Boin, wyszła przed dom.

Niebo na noc uwolniło się od chmur, jaśniały miriady gwiazd. Życie Ivanny ułożyło się skomplikowaną linią. Najpierw dziewięć lat wymuszonego małżeństwa z człowiekiem, który budził jej odrazę. Nie dała mu dzieci. Potem, gdy umarł na raka nerki, wyruszyła w daleką wędrowną. Wreszcie zakon i ta planeta, tak niezwykle oddalona od wszelkich tras uczęszczanych przez rakiety, wędrownie ptaki kosmosu.

Przypomniała się jej winnica ojca: dziesiątki palików wbitych w ziemię, wcześniej starannie opalonych, by niegniły, niosących na sobie dach z liści i splecionych łądyg, a pod nim zwieszające się granatowe grona pokryte białawym meszkiem. W upalne dni kryła się tam i słuchała, co mówią owady. I potem, kiedy te znakomite konstrukcje zaczęły podupadać, walić się nie konserwowane, kiedy ojciec uległ wypadkowi i pił zbyt wiele. A potem znowu równe i bezbłędne, gdy naprawiał je Aberto, chłopak, którego zazdrościła starszej siostrze, a jeszcze później znowu konserwowane przez ojca, gdy wyzdrowiał i uwolnił się z nałogu.

– Ach, Ineda, Aberto, gdzie wy teraz jesteście...? – Podniosła oczy ku białym, mrugającym punkcikom gwiazd. – Ku której z nich teraz mknicie?

Nagle odczuła tak straszną samotność, jakby lodowata łapa chwyciła za serce i gnioła, by pociekły łzy. Samotność tu gdzieś w kosmosie, na obcej, tak bardzo obcej planecie. Wśród ludzi, którzy poważali ją, właściwie nie wiadomo dlaczego, przecież po prostu była sobą.

Potem wzięła do rąk drewniane paciorki różańca i nie była już samotna.

Hinterbichl-Corvara, sierpień 1993